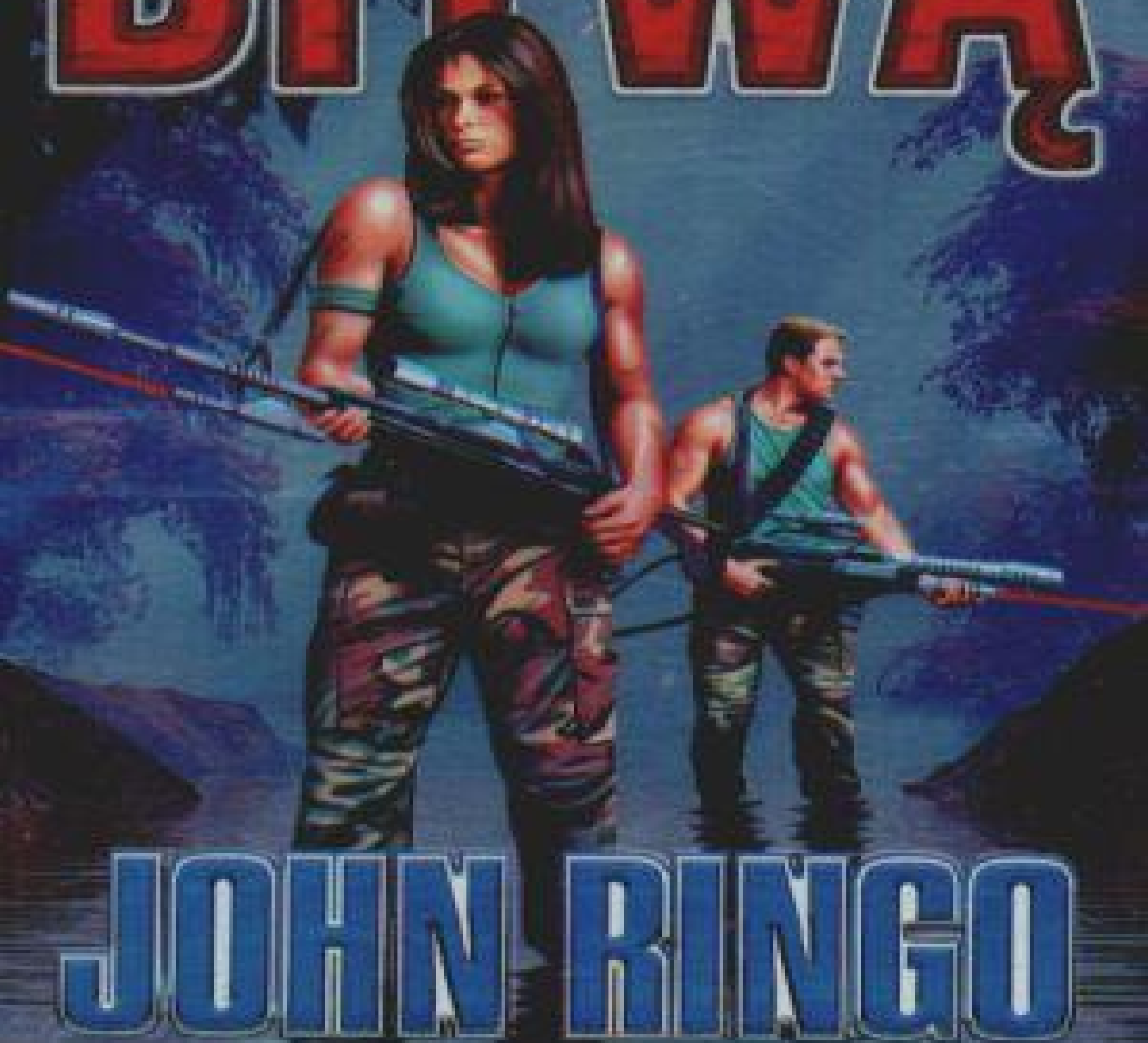


PIEŚŃ PRZED BITWA



JOHN RINGO

PIEŚŃ PRZED BITWĄ

s&c

EXLIBRIS

Spis treści

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Epilog

PROLOG

– Ile to będzie planet?

Rozmowa toczyła się przed zajmującym całą ścianę ekranem wizyjnym. Obraz nie zachęcał do przyjaznej pogawędki.

Adiutant wiedział, że pytanie było retoryczne. Ghin stawał się z wiekiem miękki i tracił zdolności przywódcze.

Ale nadal jeszcze był potężny.

– Siedemdziesiąt dwie.

– Nie licząc Barwhon i Diess.

– Nadal się jeszcze bronią.

Odpowiedzią była cisza.

– Wykorzystamy Ziemię.

Nareszcie!

– Tak, wielki Ghinie.

Cisza. Ghin spojrzał na ekran.

– Cieszysz się to, prawda, Tirianinie?

– Uważam, że to mądra decyzja, tak jak wszystkie twoje decyzje, wielki Ghinie.

– Ale powzięta zbyt późno. Bez stanowczości, bez... Jak brzmiało to ziemskie słowo? „Entuzjazm”.

Adiutant ostrożnie dobierał słowa odpowiedzi.

– Gdyby decyzję podjęto wcześniej, możliwe, że zyskalibyśmy więcej. A na pewno mniej byśmy stracili.

Odpowiedź nadeszła dopiero po chwili.

– Na początku z pewnością zyskamy więcej. Lecz jakie będą straty na dłuższą metę, Tirianinie?

– Działania najwyraźniej odniosły skutek. Ziemianie dadzą się łatwo kontrolować.

– Grupa Rintara też tak myślała.

– Tamci Ziemianie byli jeszcze nie ukształtowani. Brakowało im ogłady, byli dzicy. Nowymi rasami można o wiele łatwiej manipulować. Ziemianie nie stanowią zagrożenia, a nieliczni, którzy przetrwają inwazję, będą wdzięczni za każdy ochłap, który im rzucimy.

Ghin przez dłuższą chwilę patrzył na ekran w milczeniu.

– Może i masz rację, Tirianinie. Ale ja w to wątpię. Wiesz, dlaczego pozwalam, by kontynuowano ziemski projekt?

– Skoro sądzisz, że przesłanki są błędne, rzeczywiście mnie to dziwi.

Cisza.

– A więc dlaczego?

– Zgadnij.

Cisza, oddech i znowu dłuższe milczenie.

– Bo stracimy o wiele więcej planet bez ich pomocy?

– Częściowo dlatego. Tirianinie, bez pomocy Ziemi stracimy wszystkie planety.

– Wielki Ghinie, nasze ekspertyzy wykazują, że Posleeni przegrają, jeśli odpowiednio spowolnimy tempo przyrostu ich populacji. Zestarzeją się. Jednak do tego czasu stracilibyśmy jeszcze dwie planety. To nie do przyjęcia.

– Te ekspertyzy są błędne, tak samo jak i te, które dotyczą Ziemi. Pod koniec tej ery to Ziemianie będą władcami, a Darhelowie staną się rasą wygnańców, żyjących na obrzeżach cywilizacji i zbierających odpadki. A powodem tego będzie twój ziemski projekt.

Tirianin usilnie starał się zapanować nad wyrazem twarzy.

– Ja... kwestionuję tę ekspertyzę, wielki Ghinie.

– To nie jest ekspertyza, młody głupcze, to są fakty.

Na ekranie wizyjnym płonęła kolejna planeta.

Norcross, Georgia,
Sol III 14:47 czasu wschodniego USA,
16 marca 2001

Michael O'Neal był młodszym konsultantem do spraw sieci w atlanckiej firmie zajmującej się projektowaniem stron internetowych. W praktyce oznaczało to, że spędzał od ośmiu do dwunastu godzin dziennie na pracy z kodem HTML, Java i Perl. Czasem w dziale obsługi klienta potrzebowano kogoś, kto naprawdę orientował się w działaniu systemu, bo wśród klientów znalazł się akurat jakiś inżynier albo zapaleniec komputerowy. W takim przypadku zapraszano Mike'a na spotkanie, na którym siedział cicho, dopóki klient nie zadał jakiegoś trudniejszego pytania.

Wtedy Mike zabierał głos i częstował słuchaczy prawdziwym techno-bełkotem. Miało to przekonać zleceniodawcę, że w firmie pracuje przynajmniej jedna osoba, która interesuje się nim bardziej niż na przykład własną czupryną albo wynikiem gry w golfa. Na koniec konsultant do spraw sprzedaży zabierał klienta na lunch, a Mike wracał do swojego biura.

O ile Mike rzeczywiście miał zadbane włosy, to jednak nie grywał w golfa ani w tenisa, ponadto był brzydki jak troll i niski jak krasnolud. Pomimo to wytrwale piął się po szczeblach kariery zawodowej. Ostatnio zamiast awansu dostał nieoczekiwaną podwyżkę, co piekielnie go zaskoczyło. Krążyły też plotki o możliwości dalszej poprawy jego sytuacji.

Biuro, do którego się wprowadził, nie było duże. Ledwo starczało miejsca, żeby okręcić się w obrotowym fotelu.

Pomieszczenie znajdowało się tuż obok stołówki, więc kilka razy dziennie wypełniał je zapach prażonej kukurydzy.

Ale jednak było to biuro, a to oznaczało niemal wszystko. Ktoś dyskretnie przygotowywał go do czegoś, a on tylko miał nadzieję, że nie na gilotynę. Było to mało prawdopodobne – był typem człowieka, którego potrzebowała każda firma.

Był wściekły. Zbyt dużo dodatków na stronie internetowej najnowszego klienta okropnie spowalniało wczytywanie witryny. Niestety klient nalegał na pozostawienie tych „niewielkich” fragmentów kodu, które tak bardzo obciążały stronę, a Mike miał się teraz zastanowić, jak rozwiązać ten problem.

Usiadł i oparł stopy na blacie przeladowanego biurka. Bawiąc się przyrządem do gimnastyki dłoni, popatrzył na plakat „Tick” na suficie i pomyślał o zbliżającym się urlopie. Jeszcze tylko dwa tygodnie i będzie surfował po błękitnym oceanie, pił zimne piwo i podziwiał rafy koralowe. Powinienem być wstąpić do Komanda Foki, pomyślał.

Na jego twarzy malował się wysiłek wywołany ćwiczeniami. Mógłbym zostać instruktorem surfingu. Sharon dobrze wygląda w bikini.

Wypił łyk starej, wystudzonej kawy i właśnie zaczął smętnie rozmyślać nad przekształceniem skryptu Java, kiedy zadzwonił telefon.

– Michael O'Neal, dział projektów publikacyjnych, czym mogę służyć?

Odebrał telefon i wypowiedział standardową formułkę powitalną, zanim jeszcze otrząsnął się z zamyślenia.

Kiedy jednak rozpoznał głos w słuchawce, prawie zakrztusił się kawą.

– Cześć Mike, mówi Jack.

Z hukiem zdjął nogi z biurka i stracił przy tym książkę „XML dla laików”.

– Dzień dobry, sir, jak się pan miewa?

Nie rozmawiał ze swoim byłym szefem od prawie dwóch lat.

– Dosyć dobrze. Mike, będziesz mi potrzebny w McPherson w poniedziałek rano.

Co?!

– Sir, minęło osiem lat. Nie pracuję już dla wojska.

Odruch Pawłowa sprawił, że zaczął układać w myśli listę rzeczy, które musiałby zabrać ze sobą.

– Już rozmawiałem z prezesem twojej firmy. To nie jest na razie oficjalne wezwanie...

Podoba mi się ta ukryta groźba, szefie, pomyślał Mike.

– ... ale zaznaczyłem, że i tak możesz wrócić na mocy Ustawy o Żołnierzach i Marynarzach.

Tak, to cały Jack. Stokrotne dzięki, szefuńciu.

– Wygląda na to, że nie będzie z tym problemu. Prezes wydawał się tylko trochę zmartwiony, że straci cię właśnie teraz. Najwyraźniej dostał jakieś nowe zlecenie i bardzo mu zależało, żebyś się tym zajął.

Tak! Mike roześmiał się w duchu. Mamy uaktualnić strony „First Onion”. Było to bardzo atrakcyjne zlecenie, za którym firma gonila prawie od roku. Kontrakt gwarantował co najmniej dobre dwa lata dochodowej pracy.

– Ale przekonałem go, że tak będzie najlepiej – ciągnął generał.

Mike słyszał w tle rozmowy, kilka innych przyciszonych głosów. Miał wrażenie, jakby generał dzwonił z telefonicznej agencji towarzyskiej albo jakby kilka oddziałów wojska odbywało w tym samym czasie podobne rozmowy.

– O co w tym wszystkim chodzi, sir?

Odpowiedzią było milczenie. Męski głos w tle zaczął krzyczeć. Ktoś najwyraźniej nie był zadowolony z tego, co usłyszał od swojego rozmówcy.

– Niech zgadnę. Tajna operacja?

Udzielenie jakiegokolwiek odpowiedzi na to pytanie oznaczałoby pogwałcenie operacyjnych zasad bezpieczeństwa. Mike zdrapał plamkę tuszu z lakierowanego blatu biurka i znowu chwycił przyrząd do gimnastyki.

Ciśnienie krwi... Odszedł z wojska głównie z powodu zasad bezpieczeństwa i nadużywania władzy przez przełożonych. Nie miał zamiaru znowu dać się w to wciągnąć.

– Przyjedź, Mike. Budynek wywiadu przy Dowództwie Sił Zbrojnych.

– Tak jest, panie generale.

Urwał na chwilę, po czym dodał sucho:

– Sharon się wścieknie.

* * *

Mike mył właśnie brokuły, kiedy usłyszał zajeżdżający samochód. Wytarł ręce i otworzył drzwi do garażu, żeby dzieciaki mogły wejść do środka. Pomachał im i znowu stanął nad zlewem.

Czteroletnia Cally pierwsza przeszła przez drzwi i otrzymała od taty mocny, mokry uścisk.

– Tatusiu! Jestem cała mokra!

– Wielki, mokry tatuś przytula! Wrrr!

Pomachał wilgotnymi rękami, a dziewczynka z wrzaskiem pobiegła do pokoju.

W tym czasie przydreptała dwuletnia Michelle i wręczyła mu swój najnowszy rysunek z przedszkola.

– A cóż to za arcydzieło?

Popatrzył na zielono-niebiesko-czerwone gryzmoły i bezradnie zerknął na żonę, która właśnie stanęła w drzwiach.

– Krowa! – wyjaśniła.

– No, Michelle, to bardzo ładna krowa!

– Muuu!

– Tak, muuu!

– Soku!

– Dobrze, ale czy moja duża dziewczynka umie powiedzieć „proszę”? – zapytał Mike z uśmiechem i odwrócił się w stronę lodówki.

– Plosie – wymówiła miękko.

– Dobrze – sięgnął w głąb lodówki i wyciągnął kubek. – Tylko nie rozlej.

– Bałagan! – odpowiedziała, przyciskając kubek do piersi.

– Żadnego bałaganu.

Zniosła kubek do pokoju, żeby jak w każde popołudnie obejrzeć na wideo film.

– Puchatek!

– Kopciuszek!

– Ciuszek!

Mike usłyszał, jak starsza córka włącza magnetowid. Tymczasem jego żona przebrała się i wróciła do kuchni.

Była wysoką, szczupłą kobietą o kruczoczarnych włosach i dużych, jędrnych piersiach. Nawet po urodzeniu dwójki dzieci poruszała się z gracją tancerki, którą była, zanim się poznali. Zapisła się wtedy na siłownię, w której pracował, żeby poprawić sprawność swoich mięśni. W całym klubie Mike najlepiej potrafił wytrenować mięśnie, więc przydzielono ją właśnie jemu. Dalej wypadki potoczyły się same i oto teraz po ośmiu latach wciąż byli razem.

Czasami Mike zastanawiał się, co ją przy nim trzymało. Wiedział także, że trzeba by użyć łomu, żeby go z nią rozdzielić. Albo przynajmniej odwołać się do jego poczucia żołnierskiego obowiązku.

– Twój agent zadzwonił do mnie do pracy – powiedziała. – Twierdzi, że cię nie było.

– Ach tak? – miał nadzieję, że tą odpowiedzią wykręci się od wyjaśnień.

Od jakiegoś czasu burczało mu w brzuchu. Wyjął z lodówki butelkę krajowego Chardonnay i zaczął rozglądać się za korkociągiem.

Oparła się o stół i spojrzała na niego uważnie. Wydzielał same złe fluidy.

– Jesteś dziś wcześniej w domu – stwierdziła, splatając ręce na piersi. – Co się stało?

Zyskał na czasie, wyciągając korek i nalewając jej kieliszek wina.

– Co?

Spojrzała podejrzliwie na Chardonnay, jakby się obawiała, że jest zatrute. Po sześciu latach małżeństwa niewiele dawało się przed nią ukryć. Mogła nie wiedzieć dokładnie, o co chodzi, ale była pewna, że o nic dobrego.

– A, nic się nie stało, naprawdę – powiedział i pociągnął łyk piwa domowej roboty. Miał wrażenie, że łagodny specyfik jest ciężki jak ołów, a zaraz potem poczuł nerwowe skurcze żołądka. Sharon zaczęła się już naprawdę wściekać.

– Cholera, wykrztuś to wreszcie – wrzasnęła. – Wylali cię czy co?

– Nie, nie, przywrócili mnie z powrotem. Tak jakby.

Odwrócił się przodem do kuchenki i zaczął przecedzać makaron al dente.

– Co? Do służby? Przecież odszedłeś... Ile? Osiem lat temu?

Mówiła cicho, ale ze złością. Starali się nigdy nie kłócić przy dzieciach.

– Prawie dziewięć – zgodził się.

Spuścił głowę i skoncentrował się na przygotowaniu makaronu. Dodał zmiażdżone kawałki czosnku, a powietrze nasyciło się zapachem tej przyprawy.

– Odszedłem prawie pół roku przed naszym poznaniem.

– Nie jesteś już rezerwistą!

Złapała go za rękę, żeby się odwrócił i spojrział na nią.

– Wiem, ale Jack zadzwonił do Dave'a i wiercił mu dziurę w brzuchu, żeby pozwolił mi na jakiś czas odejść.

Popatrzył w jej błękitne oczy i nie mógł pojąć, dlaczego po prostu nie odmówił Jackowi. Wyraz bólu w jej spojrzeniu był dla niego prawie nie do zniesienia.

– Jack? Chodzi o generała Hornera? Tego samego, który chciał, żebyś został oficerem? – zapytała z nutą podejrzliwości w głosie i odstawiła kieliszek.

– A ilu znasz Jacków? – zapytał żartobliwie, żeby rozładować napięcie.

– Ja go nie znam. To ty go znasz.

Podeszła do niego, ograniczając mu swobodę ruchów, żeby przyprzeć go do muru.

– Rozmawiałaś już kiedyś z generałem Hornerem.

Znowu zajął się makaronem, świadomie uciekając od kłótni.

– Raz, zanim podszedłeś do telefonu.

– Mhm.

– A po co, u licha, jesteś im potrzebny? – zapytała i podeszła jeszcze bliżej.

Czuł delikatne ciepło jej ciała, rozgrzanego winem i kłótnią.

– Nie wiem.

Skończył precedzać makaron i dodał sosu Alfredo, grzejącego się dotąd pod przykryciem na kuchence.

Powietrze nasyciło się mocnym zapachem parmezanu i przypraw.

– No to zadzwoń do generała Hornera i powiedz mu, że nie pojedziesz, dopóki nie dowiemy się, po co. I ani makaron, ani sos Alfredo nic ci nie pomogą.

Znowu splotła ręce, ale zaraz je opuściła, chwyciła kieliszek i wypiła łyk wina.

– Kochanie, znasz zasady. Kiedy dzwonią po ciebie, musisz jechać.

Nałożył córkom kolację i postawił talerze na tacy, żeby mogły jeść przed telewizorem. Zazwyczaj starali się siadać wspólnie do posiłku, ale dziś wieczór wydawało się, że będzie lepiej, jeśli zjedzą oddzielnie.

– Nie. Nie ja – odparła, gestykulując tak gwałtownie, że rozlała Chardonnay. – Nikt wprawdzie nie próbował, ale nie byłoby im tak łatwo ściągnąć mnie z powrotem do marynarki. Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek wrócę do służby.

Potrząsnęła głową, odrzucając z czoła nie istniejący kosmyk włosów, i czekała na odpowiedź.

– Cóż, nie wiem, co ci mam teraz powiedzieć – odparł łagodnie.

Popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Ty chcesz wrócić.

To było oczywiste oskarżenie.

– Wiesz, że będzie mi cholernie ciężko zajmować się jednocześnie domem i pracą, kiedy wyjedziesz!

– Cóż...

Zdawało się, że cisza po tej odpowiedzi będzie trwać wiecznie.

– Boże, Mike, minęły lata! Nie masz już osiemnastu lat.

Z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem wyglądała jak mała dziewczynka zbierająca ślinę do splunięcia.

– Kochanie – powiedział, drapiąc się po podbródku i patrząc w sufit. – Generałowie nie dzwonią do nikogo osobiście i nie przywracają mu wojskowego statusu, żeby kazać mu potem biegać w kółko po pustkowiu. – Opuścił wzrok i potrząsnął głową.

– O cokolwiek by chodziło, jest im potrzebna moja wiedza, a nie bicepsy. Ale czasem, tak, rzeczywiście zastanawiam się, czy będąc w tej chwili na przykład dowódcą kompanii w Eighty-Dance nie robiłbym czegoś ważniejszego, bardziej przydatnego niż najlepsza nawet strona internetowa dla czwartego pod względem wielkości banku w kraju!

Przyozdobił czosnkiem i ziołami makaron oraz piersi kurczaka, i podał Sharon talerz.

Potrząsnęła głową. Musiała przyjąć jego argumentację, ale nadal nie była zadowolona.

– Wyjeżdżasz już dzisiaj?

Wzięła talerz i popatrzyła na kurczaka tak samo podejrzliwie jak przedtem na wino. Odrobina alkoholu i węglowodanów, żeby uspokoić histeryczną żoneczkę. Niestety właśnie tak się zachowywała. Mike doskonale znał jej gwałtowne reakcje na samą wzmiankę o wojsku i starał się je złagodzić. Bardzo się starał.

– Nie, muszę być w McPherson dopiero w poniedziałek rano. Jadę tylko do McPherson. To nie jest po drugiej stronie Księżyca.

Wziął szmatkę i starł nie istniejącą plamę z szarego blatu stołu. Widział światło na końcu tunelu, ale kiedy Sharon była na wojennej ścieżce, równie dobrze mógł to być nadjeżdżający pociąg.

– Nie, ale jeśli myślisz, że zabiorę dzieciaki do południowej Atlanty, to chyba zwariowałeś – odpowiedziała, świadoma, że traci grunt pod nogami.

Wiedziała, że to ostateczny argument, i zastanawiała się, co by się stało, gdyby zmusiła Mike'a do wyboru między nią a wojskiem. Myślała o tym wcześniej już kilkakrotnie, ale nigdy nie doszło do takiej rozmowy. Teraz bała się zapytać. Tak naprawdę złościło ją to, że wiedziała, iż nie ma racji. Jej własne doświadczenia zraziły ją do kariery wojskowej, ale nie do poczucia obowiązku wobec ojczyzny. Teraz zaczęła się zastanawiać, jak sama zareagowałaby na podobną sytuację.

– Hej, może mam tylko kogoś zastąpić. I to na krótko – powiedział Mike, wzruszając ramionami.

Podrapał się w podbródek. Od rana jego twarz zdążyła się już pokryć warstwą ciemnego, gęstego zarostu.

– Sam w to nie wierzysz – odparła.

– Nie, nie wierzę – potwierdził ponuro.

– Dlaczego?

Usiadła przy stole kuchennym i odkroiła kęs kurczaka. Był wspaniale przyrządzony, jak zawsze wyśmienity. Ale w jej ustach smakował dzisiaj jak piasek.

– Cóż... powiedzmy, że to przeczucie.

Mike zabrał się do nakładania na talerz swojej porcji posiłku. Spodziewał się, że w najbliższej przyszłości w jego diecie zabraknie poulet avec herb.

– Ale weekend mamy dla siebie? – zapytała.

Pociągnęła łyk Chardonnay o dymnym posmaku, żeby popić wspaniałą potrawę, którą miała w ustach.

– No to zastanówmy się, co będziemy robić.

Uśmiechnęła się lekko, i mimo wszystko był to jednak uśmiech.

– Mogę zobaczyć jakieś dokumenty, sir? Prawo jazdy?

Wstałem dziś o wiele za wcześnie na takie głupoty. Trzy godziny jazdy dzieliły jego dom w Georgia Piedmont od siedziby Dowództwa Sił Zbrojnych w Fort McPherson w Georgii. Tuż przy drodze krajowej 75-78 zielone trawniki i murowane konstrukcje skrywały całą masę strzeżonych budynków. Kierowano stąd działaniami wszystkich sił bojowych armii, więc zabezpieczenia musiały być znakomite. Media rzadko interesowały się tym obiektem. Gdyby duża ilość personelu wojskowego i cywilnego zgromadziła się nagle w Fort Myers w Wirginii albo w bazie lotnictwa wojskowego w Nellis, na pewno by to zauważono. Takie miejsca uważnie obserwowano, ale nie McPherson. Obiekt obsługiwało lotnisko Hartsfield, największe w Stanach Zjednoczonych, a ruch uliczny w Atlancie był na tyle duży, że o gromadzeniu się personelu wiedzieli tylko starannie dobrani żołnierze żandarmerii wojskowej.

– Dziękuję, sir – powiedział ponury strażnik, kiedy już wnikliwie przestudiował prawo jazdy i dokładnie porównał fotografię z twarzą Mike'a.

– Proszę jechać główną drogą aż do rozwidlenia. Potem w prawo. I dalej aż do siedziby Dowództwa; to szary, betonowy budynek z emblematem. Za głównym budynkiem po lewej stronie jest budka strażnika. Proszę tam pojechać i zastosować się do wskazówek żandarmerii.

– Dziękuję – powiedział Mike i wrzucił bieg, kiedy odebrał dokumenty.

– Nie ma za co – powiedział strażnik za odjeżdżającym pojazdem. – Życzę miłego dnia.

Komandos Delta Force w mundurze żandarmerii wojskowej podniósł słuchawkę telefonu służbowego.

– O'Neal, Michael L., 216-29-1145, 0657. Pod specjalnym nadzorem generała broni Johna Hornera.

Przez chwilę starszy sierżant zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego Mike nosi oznaczenie rangi wojskowej o trzy stopnie niższej niż ta, którą rzeczywiście miał. Ale zaraz przestał się zastanawiać.

Umiejętność powstrzymywania ciekawości była bardzo pożądana podczas długoterminowej służby w oddziałach Delta. Cholera, pomyślał, niezły mięśniak z tego gościa. Zaraz jednak zapomniał o nim, kiedy pod bramę podjechał kolejny cywilny samochód.

* * *

– Już zapomniałem, jaki z niego mięśniak – mruknął pod nosem generał broni John J. (Jack) Horner, kiedy stał w wygodnej pozycji na spocznij i patrzył, jak Volkswagen z warkotem silnika podjeżdża na parking.

Wysoki na ponad dwa metry i zabójczo przystojny generał stanowił doskonały wzór starszego oficera.

Był szczupłym mężczyzną o twardym spojrzeniu i surowym wyglądzie, który uśmiechał się tylko wtedy, kiedy miał zrugać jakiegoś niekompetentnego młodszego oficera. Stał mężnie wyprostowany, a mundur polowy pasował na niego tak, jak gdyby wbrew przepisom został uszyty na miarę. Krótko przycięte srebrzyste włosy i lodowato niebieskie oczy nadawały mu wygląd dokładnie takiego człowieka, jakim był – nieodrodzonego potomka pruskich wojowników. Gdyby nosił płaszcz i wysokie buty, mógłby niepostrzeżenie wślizgnąć się do dowództwa Wehrmachtu podczas drugiej wojny światowej.

Dwadzieścia siedem lat służby wojskowej spędził wyłącznie w wojskach powietrznodesantowych i jednostkach specjalnych. Mimo że nigdy nie udało mu się uzyskać najbardziej pożądanego stanowiska dowódcy pułku Rangersów, niewątpliwie był światowej klasy ekspertem w dziedzinie taktyki piechotnej i doktryny wojskowej.

Oprócz tego uchodził także za znakomitego zwierzchnika, przywódcę w starym stylu. W swojej karierze miał do czynienia z wieloma ludźmi, ale tylko niektórzy dorównywali krępemu mocarzowi, który właśnie zbliżał się do niego przez szmaragdowozielony trawnik. Horner uśmiechnął się w duchu, kiedy przypomniał sobie dzień, w którym po raz pierwszy spotkał byłego podoficera.

* * *

Grudzień 1989. Pogoda odpowiadała standardom zimy w Północnej Karolinie. Deszcz padał ponuro, a niebo nad Fort Bragg, siedzibą wojsk powietrznodesantowych, zasnuwały ciężkie gradowe chmury. Pomimo pogody podpułkownik Horner był zadowolony ze swojej pierwszej akcji treningowej w terenie jako dowódca batalionu.

Jednostki, które on i jego starszy sierżant niemiłosiernie męczyli przez trzy długie miesiące, spisały się niezawodnie w trudnym terenie. Jeszcze rok wcześniej, pod innym dowództwem, oblały ten sam Test Gotowości Bojowej i Program Oceny. Pomimo deszczu Bóg najwyraźniej był jednak w niebie i świat kręcił się aż do chwili, gdy nagle w jeepie pękła opona.

Jeep wyposażony był zawsze w koło zapasowe. Zwisał z niego plecak kierowcy, zawierający niezbędne w takiej sytuacji narzędzia. Ale kiedy kierowca przyznał się, że tym razem nie zapakował tych narzędzi, podpułkownik Horner uśmiechnął się. To był bardzo rosyjski uśmiech. Nie sięgał oczu.

– Nie ma narzędzi? – zapytał groźnie pułkownik.

– Nie, sir.

Specjalista przełknął, a jego pokaźne jabłko Adama przesunęło się w górę i w dół.

– Nie ma podnośnika?

– Nie, sir.

– Starszy sierżancie? – rzucił pułkownik.

Sierżant, zapięty w gortexowy płaszcz przeciwdeszczowy, próbował dostrzec w całej sytuacji coś zabawnego.

– Mam go odprowadzić na kwaterę, sir? – zapytał i wsunął ręce pod pachy, przygotowany na długie oczekiwanie w marznącym deszczu.

Miał cholerną nadzieję, że spadnie śnieg. Zmniejszyłoby to ryzyko hipotermii.

– Właściwie byłbym wdzięczny za jakieś sugestie – powiedział pułkownik z tą samą nutą groźby w głosie.

– Inne niż ta oczywista, żeby przywołać rozjemców?

Zmieszanie dowódcy wywołało uśmiech na hebanowej twarzy sierżanta. Uważał Jacka za najlepszego dowódcę batalionu, jakiego kiedykolwiek spotkał, a zawsze było zabawnie obserwować go przy rozwiązywaniu mniejszych problemów. Pułkownik bardzo nie lubił zajmować się duperelami. To tak, jakby urodził się już generałem i tylko czekał, aż będzie miał adiutantów, którzy wyręczą go w sprawach kierowców i ich błędów.

– Inne niż ta, żeby przyznać przez radio, że mój kierowca jest idiotą, i wezwać zespół ratunkowy z powodu złapania gumy. Reynolds – powiedział i odwrócił się do specjalisty czwartego stopnia, stojącego na baczność w marznącej mżawce – bardzo chciałbym wiedzieć, co ty sobie, do cholery, myślał.

– Sir, niedługo czeka nas test przydatności operacyjnej – powiedział specjalista, który teraz desperacko pragnął, żeby nagle ustały jego procesy życiowe albo żeby ziemia rozstała się pod nim i go pochłonęła.

– Aha, mów dalej. Nie krępuj się użyć więcej niż tylko jednego zdania – powiedział pułkownik.

– Chyba wiem, do czego on zmierza – zaśmiał się starszy sierżant.

Specjalista wziął głęboki oddech i mówił dalej drżącym głosem.

– No, zestaw narzędzi przydaje się tylko w gównianych sprawach, jak zmiana koła...

– Jak teraz! – warknął pułkownik.

– Tak, sir – uparcie ciągnął specjalista. – Kiedy pojazd jest dobry, opony rzadko się psują. A to jest dobry jeep i cholerna nowa opona! Ale na przeglądzie inspektorzy wiedząc, że najwięcej forsy idzie zawsze na pojazdy dowódców, sprawdzają je bardzo dokładnie. A kiedy nie znajdą nic poważnego, czepiają się takich dupereli jak odprysk farby na podnośniku czy sprzęcie. Dlatego kazałem szefowi mechaników załatwić nowy zestaw narzędzi i żeby się nie rozpieprzył...

– Wiedziałem! – zaśmiał się podoficer. – Boże, nienawidzę takich sytuacji. Następnym razem, Reynolds, weź dwa zestawy narzędzi i trzymaj tylko jeden w szafie!

– Reynolds!

Pułkownik powstrzymał się od dalszego ciągu wypowiedzi. Skręcenie karku idiotcie niczego by nie rozwiązało.

Złościło go poczucie niedopatrzenia, bo nie zajął się sam tą sprawą przed akcją.

– Tak, sir?

– Twoja bezmyślność zasługuje niemal na uznanie.

Horner spojrział w niebo, jakby szukał tam wsparcia.

– Tak jest, sir.

– Powinienem opisać to w aktach i dopilnować, żebyś już zawsze był kierowcą – powiedział pułkownik.

– Tak jest, sir.

– To nie jest komplement – powiedział oficer i uśmiechnął się jak tygrys.

– Tak jest, sir.

Reynolds wiedział, że kiedy pułkownik uśmiecha się w ten sposób, siedzi się po uszy w szambie. No, skauci, pomyślał, wybieram się do was.

– Starszy sierżancie Eady?

– Oddziały Alfa.

Kiedy toczyła się rozmowa, starszy sierżant zdążył wyciągnąć i przejrzeć plan dyslokacji taktycznej. Marznący deszcz coraz większymi kroplami padał na foliową powłokę mapy i od czasu do czasu trzeba było strząsać nagromadzoną wodę. Wyglądało na to, że wieczorem spadnie śnieg. Sierżant chciałby być już wtedy w Centrum Operacji Taktycznych i przebrać się w wygodne ubranie.

– Gdzie? – rzucił pułkownik i podszedł do jeepa.

– Na południe od najbliższej poręby, która powinna być jakieś dwieście metrów na lewo, za zakrętem, potem jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście metrów. Polana na prawo. O ile pamiętam, przy drodze na skraju polany rośnie trafiona piorunem sosna.

Podoficer jeździł po tych drogach jeszcze zanim specjalista nauczył się jeść bez pomocy mamusi.

– Reynolds – warknął pułkownik, wskoczył do otwartego jeepa i oparł stopę na zabłoconym boku.

– Sir?

– Zakładam, że potrafisz przebiec czterysta metrów w oporządzeniu.

Pułkownik przybrał tę samą pozycję, co starszy sierżant z tyłu. Włożył ręce w rękawiczkach pod

pachy i lekko się skulił. Była to pozycja doświadczonego i zdrowo wkurzonego oficera piechoty, przygotowanego na długie oczekiwanie w zimnym, marznącym deszczu.

– Tak jest, sir!

Specjalista stanął na baczność, szczęśliwy, że będzie miał gdzie umknąć przed lodowatym wzrokiem swojego dowódcy.

– Jazda.

Zmieszany specjalista pobiegł jak gazela. Zimne błoto z każdym krokiem rozbryzgiwało się na wszystkie strony.

– Sierżancie – powiedział spokojnie pułkownik, kiedy postać żołnierza zniknęła za pierwszym zakrętem.

– Tak, sir! – powiedział Eady i wyprostował się w fotelu, ale nie wyjął rąk spod pach.

– Sarkazm? – zapytał surowo pułkownik.

– Sarkazm? U mnie, sir? Nigdy – powiedział i odchylił się do tyłu.

Wyciągnął przed siebie prawą rękę z wysuniętym kciukiem i palcem wskazującym. Zmieściłoby się między nimi ziarno grochu.

– Może tylko troszeczkę. Odrobinę.

– Zastanawiam się, czy nie znaleźć nowego kierowcy... – powiedział pułkownik i rozluźnił się nieco.

Cała ta sytuacja była po prostu głupia i zbyt mało istotna, żeby się nią przejmować.

– Doprawdy? – zaśmiał się starszy sierżant.

– Chodzi nie tyle o to, że jest tak cholernie głupi – ciągnął zrezygowany pułkownik z lekkim uśmiechem. – Tylko o to, że albo jest arogancki, albo strasznie przymilny.

– Cóż, pułkowniku – powiedział podoficer, zdjął kevlarowy hełm i podrapał się w głowę.

Zimny wiatr zdmuchnął z niej łupież. Zadbawszy w ten sposób o podstawową higienę osobistą, sierżant założył hełm na głowę i zajął się dopinaniem wszystkich pasków. Pasek na podbródku był przetłuszczony; zużyty materiał przesiąkł potem podczas długich operacji polowych.

– Jeśli chodzi o to, że jest małym lizusem, to głównie dlatego dostał tę pracę. Poza tym cholernie dobry z niego biegacz. Pułkownik Wasserman uwielbiał biegaczy.

Hebanowej karnacji żołnierz, także znakomity biegacz, uśmiechnął się z zadowoleniem. Z jego punktu widzenia była to ostatnia rzecz, którą należało zmienić w całym batalionie.

– Pułkownik Wasserman był o włos od wydalenia go ze służby i nadal niewiele brakuje, żeby go wyrzucono na bruk – pułkownik parsknął śmiechem.

On i starszy sierżant starali się doprowadzić żołnierzy do przyzwoitego poziomu, ale Reynolds najwyraźniej należał do tych, którzy najlepiej nadawali się do „starej gwardii”. Prezentował się znakomicie podczas inspekcji, ale na ćwiczeniach po prostu nie mógł czegoś nie schrzanić. Horner westchnął zrezygowany. Zdawał sobie sprawę, że w pewnych sytuacjach nawet trening nie pomagał.

– Zasadniczo działałam według następującego planu – ciągnął. – Jeśli pułkownik Wasserman uważa coś za doskonały pomysł, ja staram się zrobić coś zupełnie odwrotnego. W pewnym sensie żałuję, że nie mogę się tego trzymać przez resztę mojej kariery. To jak latarnia morska. Potraktuj Reynoldsa łagodnie. Daj mu miły list polecający z twoim podpisem, nie moim, i odeślij go do kompanii Charlie. Znajdź kogoś na jego miejsce. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli będziemy musieli iść na wojnę z takim głupkiem.

Przez chwilę obaj dowódcy w milczeniu wsłuchiwali się w odgłosy zawieruchy. Najwyraźniej przyszła pora na grad, a chwilami sypało też śniegiem lub padał marznący deszcz. Z oddali dobiegały pomruki kanonady korpusnej artylerii, odbywającej jak co pół roku ćwiczenia. Pogoda dawała

kanonierom niezły trening. Ten wojskowy eufemizm oznaczał kiepską sytuację, w której miało się cholerne kłopoty. Ich aktualne położenie spełniało wszystkie wymagania „niezłego treningu”.

– A gdzie jest jeep, do cholery? – zapytał pułkownik z wyraźną rezygnacją w głosie.

W innych okolicznościach widok na drodze byłby komiczny. Reynolds był wysoki i szczupły. Żołnierz, który szedł obok niego i niósł gigantyczny, przeładowany plecak, był niski – Horner dowiedział się później, że miał sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu – i niesamowicie szeroki w barach. Wyglądał jak zakamuflowany troll albo półork. Obrazu dopełniał zbyt duży hełm typu Fryc, a kiedy podszedł bliżej, również zbyt duży nos. Pod pachą niósł okazały sosnowy pień, który mógł ważyć dobre trzydzieści, czterdzieści kilogramów, a na jego twarzy malował się wyraz wysiłku. Żołnierz wyglądał na dużo bardziej rozżłoszczonego niż pułkownik i sierżant.

– Specjalista, hm, O'Neal, dowódca jednej z sekcji mózdzierzy – szepnął starszy sierżant, kiedy żołnierze się zbliżyli. Wsiadł z jeepa, a pułkownik zrobił to samo, przygotowany do udzielenia ochrzczu prawdziwie w swoim stylu.

– Sir – Reynolds brnął w beznadziejną sytuację – kiedy dotarłem do plutonu, dowiedziałem się, że wszystkie pojazdy odstawiono właśnie do tankowania...

Tymczasem O'Neal podszedł do tyłu jeepa bez słowa powitania. Puścił pień, zdjął plecak i chwycił za zderzak.

Przykucnął, naprężył się i wypuszczając powietrze z płuc uniósł róg półtonowego jeepa.

– Tak, poradzimy sobie – stęknął i opuścił jeepa z powrotem w błoto.

Pojazd zakołysał się na amortyzatorach i jeszcze bardziej zachlapał Reynoldsa zimną, kleistą gliną. Zachowanie O'Neala skutecznie odwróciło uwagę pozostałych żołnierzy od Reynoldsa.

– Dzień dobry, starszy sierżancie – powiedział O'Neal.

Nie zasalutował. Pomimo konkretnych rozkazów dywizyjnych, które nakazywały tak robić, osiemdziesiąta druga dywizja tradycyjnie uznawała salutowanie na polu walki za kuszenie snajperów – a zatem za rzecz nazbyt złą, by przyzwyczajać do niej żołnierzy.

Starszy sierżant wyciągnął rękę na powitanie.

– Siemanko, O'Neal.

Zdziwiła go siła uścisku. Miał już do czynienia z O'Nealem, ale nigdy jeszcze nie przekonał się o jego niesamowitej kondycji fizycznej. Luźny ubiór skrywał ciało, które było najwyraźniej jednym wielkim mięśniem.

– Specjalisto – powiedział surowo pułkownik. – To nie był dobry pomysł. Spróbujmy wymyślić coś bezpieczniejszego, dobra? Naderwanie ścięgna tylko pogorszyłoby sytuację.

Przechylił głowę na bok jak sokół i wpił w żołnierza swoje najbardziej mroźne spojrzenie.

– Tak, sir, domyślałem się, że pan to powie – powiedział specjalista.

Przesunął w ustach odrobinę żutego tytoniu i ostrożnie splunął.

– Sir, z całym należnym szacunkiem – wycedził – każdy cholerny dzień spędzam na pracy z takimi ciężarami.

Podnosiłem już wcześniej dla wprawy jeepy bojowe, jeden nawet kiedyś przewróciłem. Teraz chciałem tylko sprawdzić, czy razem z dodatkowym sprzętem komunikacyjnym jeep nie będzie za ciężki. Poradzimy sobie.

Podniosę go, sierżant wsunie pod spód kłodę, zmienimy koło i już nas nie ma.

Pułkownik przez chwilę patrzył na specjalistę. O'Neal z podobnie chmurnym wyrazem twarzy wykrzywił dolną wargę. Twarz pułkownika na chwilę zachmurzyła się jeszcze bardziej, co było u niego niewątpliwą oznaką rozbawienia. Taktownie nie zapytał, dlaczego to starszy sierżant, a nie kierowca miał wsunąć belkę pod jeepa.

Najwyraźniej O'Neal podzielał jego zdanie o Reynoldsie.

– Macie jakieś imię, O'Neal? – zapytał pułkownik.

– Michael, sir – powiedział specjalista.

Przesunął tytoń w ustach na drugą stronę. Poza tym jednak z jego twarzy nie zniknął wyraz rozdrażnienia.

– Michael czy Mike? – zapytał pułkownik z jeszcze bardziej zachmurzoną miną.

– Mike, sir.

– Ksywa?

– Mocarne Maleństwo – zdradził niechętnie specjalista.

Starszy sierżant zaśmiał się, a twarz pułkownika bardzo się zachmurzyła.

– Cóż, specjalisto O'Neal, z niechęcią wyrażam zgodę na to postępowanie.

– A jak odkręcimy mocowania? – zapytał sierżant.

Zaprzątało to jego myśli bardziej niż kwestia podniesienia jeepa. Na podnośnik nadawało się w razie czego wiele rzeczy, ale brakowało klucza do śrub.

Specjalista O'Neal sięgnął do kieszeni plecaka i triumfalnie wyjął klucz nasadowy o ośmiocalowym ramieniu.

– Powodzenia – parsknął śmiechem Reynolds. – Śruby przykręcano kluczem udarowym.

Grymas uśmiechu na chwilę rozjaśnił chmurną twarz O'Neala. Zimna woda wsiąkła w materiał jego munduru, kiedy klęknął w błocie, wyregulował klucz i przytknął do śruby. Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze z głośnym sapnięciem. Jego ręka przesunęła się do przodu jak prasa mechaniczna, a śruba obluźowała się z piskiem naprężanej stali.

– Mistrzem jest ten – powiedział, rozluźniając mięśnie i powoli wypuszczając z płuc resztę powietrza – kto się stara najlepiej jak umie.

Znowu splunął, zręcznie odkręcił śrubę i zajął się następną.

Twarz pułkownika zachmurzyła się, ale w jego zazwyczaj zimnych oczach można było dostrzec błysk. Odwrócił się, żeby nikt tego nie widział, i mrugnął do sierżanta. Znaleźli nowego kierowcę.

* * *

– Siemanko, Mike? – zapytał generał Horner, kiedy zbliżająca się postać przerwała mu tok wspomnień.

Mike schował pod pachę pudełko cygar i ucisnął dłoń.

– W porządku, sir, w porządku. Co u żony i dzieci?

– Wszystko dobrze. Nie uwierzyłbyś, jak dzieciaki urosły. A co u Sharon i dziewczynek? – zapytał.

Zauważył w przelocie, że były żołnierz nic nie stracił ze swojej muskulatury. Ścisnął dłoń jak dobrze naoliwione imadło. Jeżeli cokolwiek uległo zmianie, to były podoficer rozrósł się jeszcze bardziej. Poruszał się jak miniaturowy czołg. Horner zastanawiał się tylko, czy żołnierz wytrzyma psychiczne obciążenie, na które wkrótce miał być narażony.

– Cóż, u dziewczynek wszystko gra – powiedział O'Neal i skrzywił się. – Sharon jest nieszczęśliwie zadowolona.

– Wiedziałem, że obojgu wam będzie ciężko – powiedział generał z lekkim uśmiechem. – I myślałem o tym, zanim do ciebie zadzwoniłem. Nie prosiłbym cię, gdyby to nie było ważne.

– Myślałem, że generałowie mają adiutantów, których wysyłają na powitanie tak mało ważnych parobków jak ja – powiedział, celowo zmieniając temat.

– Generalowie mają adiutantów, których wysyłają na powitanie parobków o wiele ważniejszych od ciebie.

Jack zmarszczył brwi, zadowolony z możliwości zmiany tematu.

– No to do diabła z tobą.

Mike roześmiał się i podał oficerowi pudełko cygar.

– Zobaczmy, czy zdołamy wypalić jeszcze trochę Ramarsów.

* * *

Jeszcze podczas czynnej służby specjalista O'Neal i ówczesny podpułkownik Horner nawiązali zażyłe stosunki.

Pułkownik często traktował Mike'a bardziej jak adiutanta niż kierowcę. Specjalista, a później sierżant, jadał posiłki z rodziną pułkownika. Horner wyjaśniał mu zwyczaje wojskowe i zasady funkcjonowania sztabu, które w normalnych okolicznościach pozostałyby zagadką dla niższego stopniem podoficera. W zamian za to Mike wtajemniczał pułkownika w świat komputerów i fantastyki naukowej. Ten rodzaj literatury zaskakująco przypadł pułkownikowi do gustu, zważywszy że oficer nie czytał wcześniej takich książek. Mike od samego początku starał się zaostrzyć apetyt pułkownika i zaczął od wielkich współczesnych pisarzy science fiction, lubujących się w opisach działań wojskowych.

Kiedy Mike odszedł ze służby, nadal prowadzili ze sobą korespondencję i były specjalista śledził karierę Jacka Hornera. Później jednak stracili ze sobą kontakt na trzy lata, głównie z powodu niezgodności poglądów na karierę Mike'a. Kiedy Mike ukończył college, Horner chciał go awansować na oficera, ale on wolał zająć się projektowaniem witryn internetowych i pisaniem książek. Pułkownik nie mógł zaakceptować sposobu myślenia Mike'a, a Mike nie mógł znieść niechęci Jacka do przyjęcia odmowy.

Mike czuł czasami, że kariera wojskowa mogłaby mieć dla niego więcej sensu niż praca w cywilu, ale widział zbyt wielu oficerów, którym wymogi służby zniszczyły życie. Dlatego odszedł i zapisał się do college'u, zanim jeszcze nadeszła dla niego pora awansu. Presja przyjęcia stopnia oficerskiego – szczególnie podczas ciężkich lat, kiedy dopiero układał sobie życie i kiedy urodziła się Cally – była dla niego trudna do zniesienia i powodowała konflikty w małżeństwie. Mike nigdy nie powiedział o tym Jackowi, ale to właśnie jego milczący szantaż doprowadził do zerwania ich stosunków.

Sharon na własnej skórze doświadczyła kłopotów z armią. Jej pierwsze małżeństwo z pilotem lotnictwa morskiego skończyło się rozwodem, nie miała więc zamiaru pozwolić Mike'owi na powrót do służby. Rozmyślenia Mike'a nad rozstaniem z Jackiem, pod wieloma względami przypominającym rozłąkę syna z ojcem, przerwało pewne spostrzeżenie: ranga wojskowa Jacka.

– Generał broni? – zapytał zaskoczony.

Pięcioramienne gwiazdki stopnia wojskowego lśniły w promieniach porannego słońca. Kiedy Mike ostatnim razem miał wiadomości od Hornera, zgłoszono go na generała dywizji. Nie powinien więc nosić trzech gwiazdek przed upływem kilku lat.

– Cóż, „kto się stara najlepiej jak umie”...

O'Neal uśmiechnął się na tę aluzję.

– Co? – zapytał. – Z powodu twojego powszechnie znanego podobieństwa do Friedricha von Paulusa, zdecydowano, że generał dywizji to dla ciebie za niski stopień?

– Byłem generałem dywizji jeszcze cztery dni temu; dowodziłem sztabem osiemnastego korpusu

wojsk powietrznodesantowych...

– Zastępca dowódcy do spraw operacyjnych. Gratulacje.

– ... kiedy ściągnięto mnie tutaj.

– Czy to nie jest aby odrobinę za szybko, żeby uzyskać „zgody i poparcie Senatu”?

– Dopiero dostałem nominację – powiedział zniecierpliwiony oficer. – Ale wiem z doskonałych źródeł, że zostanie potwierdzona.

– Nie sądziłem, że mógłbyś... – zaczął Mike.

– Będziesz musiał z tym poczekać – uciał generał z lekkim uśmiechem. – Najpierw trzeba cię zaznajomić z całą sprawą, a w tym celu musisz przejść do pokoju konferencyjnego.

Mike dostrzegł nagle znajomą twarz, co utwierdziło go, że tematem zebrania będzie fantastyka naukowa. Po drugiej stronie trawnika, otoczony tłumem oficerów w czarnych mundurach marynarki wojennej, stał sławny pisarz, który specjalizował się w bitwach morskich.

– Możemy poczekać jeszcze chwilę, sir? Chciałbym porozmawiać z Davidem – powiedział, wskazując palcem.

Generał Horner obejrzał się przez ramię.

– Prawdopodobnie zabierają go na tę samą konferencję. Możecie pogadać później. Zebranie zaczyna się o dziewiątej, a mamy jeszcze dużo do omówienia.

Objął Mike'a ramieniem.

– Chodź, Mocarne Maleństwo, armaty czekają.

* * *

Tajny pokój konferencyjny nie miał okien i prawdopodobnie znajdował się na zewnętrznej ścianie budynku.

Z jednej strony wyraźnie promieniowało ciepło. Na ścianie widniał obraz przedstawiający czołg Abrams na szczycie wału fortyfikacyjnego, z jego działa ział ogień. Tytuł brzmiał „Siedemdziesiąt trzy mile na wschód”. W pokoju nie było żadnych innych ozdób: roślin, innych obrazów ani nawet kawałka papieru. Wokół unosił się zapach kurzu i starych tajemnic. Mike przestał się rozglądać, chwycił jeden z niebieskich foteli obrotowych i usiadł wygodnie.

Generał Horner zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu. Kiedy drzwi zatrzasnęły się, generał uśmiechnął się szeroko. Zrobił się przez to bardzo podobny do rozżłoszczonego tygrysa.

Twarz Mike'a przybrała wyraz jeszcze bardziej zachmurzony niż zwykle.

– Jest aż tak źle?

Horner uśmiechał się w ten sposób tylko wtedy, kiedy sytuacja była naprawdę beznadziejna. Ostatnim razem, kiedy O'Neal widział ten uśmiech, zapowiadał on bardzo nieprzyjemne przejścia. Mike pożałował nagle, że już nie pali tytoniu.

– Gorzej – powiedział generał. – Mike, to nie może wyjść poza tę salę niezależnie od tego, czy zdecydujesz się zostać, czy nie. Musisz mi dać słowo.

Odchylił się w fotelu obrotowym i przybrał zrelaksowaną pozycję, ale każdy mięsień był napięty aż do bólu.

– Dobra – powiedział Mike i przysunął się do stołu.

Nagle wydało mu się, że to najlepszy moment na powrót do dawnych nawyków. Rozpakował swój prezent dla generała i bez pytania wyjął cygaro.

Horner pochylił się do przodu, żeby podać mu ogień, na co były podoficer uniósł brew. Generał usiadł z powrotem i kontynuował wywód.

– Ty i każdy inny sukinsyn, który kiedykolwiek miał na sobie mundur, zostanieie powołani na nowo do służby.

Przez cały czas szeroki uśmiech nie schodził z jego twarzy, a teraz widać już było nawet tylne zęby.

Mike był tak oszołomiony, że zapomniał wciągnąć powietrze, żeby zapalić cygaro. Poczł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, a ciało oblewa zimny pot.

– Co się dzieje, do diabła? Wypowiedzieliśmy wojnę Chińczykom czy co?

Przytknął cygaro do płomienia zapalniczki, ale kombinacja zaskoczenia i prób wciągnięcia powietrza do płuc spowodowała, że się zakrztusił. Sfrustrowany odłożył cygaro i pochylił się nad stołem.

– Nie mogę tego wyjaśnić przed konferencją – powiedział generał i odłożył zapalniczkę. – Ale już teraz mam dla ciebie czek in blanco. Mogę cię awansować na oficera...

– Znowu to samo? Ja...

Mike odchylił się w fotelu, jakby chciał wstać. Żadne inne stwierdzenie nie mogło bardziej zaognić sytuacji, zważywszy na ich wcześniejsze kłótnie.

– Wysłuchaj mnie, do cholery. Możesz wrócić teraz jako oficer i pracować ze mną albo za kilka miesięcy i tak zostaniesz przywrócony do służby jako jeden z wielu sierżantów sekcji mózdzierzy.

Generał wyjął z pudełka własne honduraskie cygaro i wprawnie je zapalił, wyraźnie łamiąc zakaz palenia w budynku. Obydwaj nauczyli się, kiedy w trudnych sytuacjach – w których niejednokrotnie bywali razem – należy zwracać uwagę na drobiazgi, a kiedy można je po prostu zignorować.

– Jezu, sir, to dla mnie jak grom z jasnego nieba!

Mike zmarszczył czoło tak, iż zdawało się, że twarz mu pęknie. Mięśnie jego szczęki to napinały się, to rozluźniały.

– Ja mam swoje życie, wiesz? Co z moją rodziną, moją żoną? Sharon strasznie się wścieknie!

– Sprawdziłem. Sharon była kiedyś oficerem marynarki. Ona też zostanie powołana.

Srebrnowłose oficer odchylił się do tyłu i przez kłęby wonnego dymu obserwował reakcję swojego byłego, a pewnie i przyszłego podwładnego.

– Jezus Maria i wszyscy święci, Jack! – krzyknął Mike i uniósł ręce w geście frustracji. – A co z Michelle i Cally? Kto się nimi zajmie?

– Nad tym właśnie będzie się zastanawiał jeden z zespołów na konferencji – powiedział Horner i zaczął, aż minie nieuniknione wzburzenie podwładnego.

– Czy mogą przydzielić Sharon i mnie do tej samej jednostki? – zapytał Mike.

Sięgnął po odrzuconą zapalniczkę i na nowo przypalił Ramarsa. Po raz pierwszy od trzech lat głęboko zaciągnął się dymem z cygara i pozwolił, żeby nikotyna częściowo uwolniła go od napięcia. Wypuścił z płuc gniewne kłęby dymu.

– Pewnie nie... Nie wiem. Jeszcze tego nie ustalono. Wszystko stoi teraz na głowie i właśnie dlatego zwołano to zebranie: żeby wszystko wyprostować.

Przez chwilę Horner rozglądał się dookoła, a potem wyciągnął kartkę papieru jako popielniczkę. Strząsnął na nią popiół i przesunął kartkę na środek stołu konferencyjnego.

– Co się dzieje? Wiem, nie możesz mi powiedzieć, prawda? Kontrwywiad słucha.

Mike patrzył przez chwilę na żarzący się koniec cygara i znowu się zaciągnął.

– Nie mogę i nie zamierzam grać w dwadzieścia pytań.

Generał Horner stuknął palcem w stół i przeszył byłego podwładnego piorunującym spojrzeniem.

– Oto cała sprawa – ciągnął, wydmuchując kolejne kłęby wonnej chmury.

Pomieszczenie szybko wypełniło się dymem z cygara.

– Konferencja potrwa trzy dni. Mogę cię zatrzymać jako przedstawiciela zespołu technicznego, za naprawdę śmieszne wynagrodzenie, na czas konferencji, może nawet na tydzień. Ale tylko jeśli już teraz zgodzisz się na awans na oficera. Poza tym będziemy później działać w ścisłej tajemnicy przez jakiś czas, może przez kilka miesięcy.

Wszelka komunikacja ze światem zewnętrznym będzie monitorowana i filtrowana.

– Chwileczkę, nic nie mówiłeś o żadnej cholernej pracy w tajemnicy! – rzucił Mike z kamienną twarzą.

– W tej kwestii nie ma żadnej dyskusji, więc nawet nie próbuj. To rozkaz prezydenta. Możesz też jechać do domu, a za kilka miesięcy dostaniesz rozkaz zameldowania się w Benning jako sierżant.

Jack odchylił się w fotelu i złągodził ton wypowiedzi.

– Ale jeżeli zostaniesz z nami już teraz, Sharon za tydzień dostanie czek z twoim wynagrodzeniem reprezentanta grupy technicznej – myślę, że uda mi się to wygospodarować z funduszków zespołu – a później dostaniesz wynagrodzenie i wszystkie uprawnienia starszego oficera, łącznie z opieką medyczną, nowym mieszkaniem i tak dalej.

Jack przechylił głowę i czekał na odpowiedź.

– Sir, ja już robię karierę...

Mike obracał w palcach cygaro i wpatrywał się w blat stołu konferencyjnego. Stwierdził, że nie może znieść wzroku Hornera.

– Mike, nie dobijaj mnie. Wyjaśnię ci to tak, jak pozwalają mi na to rozkazy: potrzebuję cię w moim zespole. – Znowu uderzył palcem w stół. – A żeby nie owijać zbytnio w bawełnę: twój kraj cię potrzebuje. Nie po to, żebyś pisał science fiction albo tworzył strony internetowe, ale żebyś uczestniczył w science fiction. Na nasz sposób.

– Uczestniczył...

I nagle dotarło do niego. Ten pisarz przed budynkiem specjalizował się w powieściach o flocie wojennej. Kosmicznej flocie wojennej, nie „mokrej” marynarce!

Mike przymknął powieki. Kiedy je podniósł, zobaczył parę niebieskich oczu, zimnych jak przestrzeń między gwiazdami.

Gdy furia lądy skrywa,
A morza ściemnia gniew,
Uprężny naród wkracza,
By naszą przelać krew.

Lecz nim legiony padną,
Lecz nim zaświszcze broń,
Jehowo, Królu Gromów,
Wszehwładco Bitew: chroń!
– Kipling

**Fort Bragg, Północna Karolina,
Sol III 9:11 czasu wschodniego USA,
16 marca 2001**

Na szerokim drewnianym biurku w Połączonym Dowództwie Zadań Specjalnych zadzwonił służbowy telefon, a dowódca rzucił arkusz papieru, na którym coś notował, na stertę podobnych dokumentów.

– Dowództwo – powiedział. – Generał Taylor.

Jedna ze ścian pokoju była ozdobiona imponującą kolekcją dekoracji o tematyce wojennej, obrazów słynnych bitew i zdjęć z czasów oficerskich. Dywan i tapety miały głęboki, intensywny niebieski odcień, ale całość sprawiała wrażenie gołych ścian. Pomieszczenie znajdowało się w samym środku jednego z betonowych budynków w Fort Bragg w Północnej Karolinie.

Połączone Dowództwo Zadań Specjalnych utworzono z powodu katastrofalnych skutków funkcjonowania istniejących wcześniej organów. Podczas akcji uwalniania zakładników w Teheranie główną przyczyną kompromitacji służb specjalnych była ich niezdolność do koordynacji działań. Zadania specjalne wymagają treningu, którego nie odbyły regularne oddziały. Przykładowo radarzyści nie zostali dokładnie powiadomieni, gdzie odbędą się loty, i nie mogli ostrzec przed burzami piaskowymi czy wrogimi helikopterami na trasie. Piloci lotnictwa morskiego, aczkolwiek zdolni i odważni, nie byli dostatecznie przygotowani na tak trudną misję, co doprowadziło do wielu katastrof i problemów.

Nieprawidłowości w przekazywaniu informacji, w pracy wywiadu i przeszkoleniu żołnierzy spowodowały połączenie różnych grup do zadań specjalnych pod egidą jednej organizacji: Połączonego Dowództwa Zadań Specjalnych. Właśnie Dowództwo planowało i przeprowadzało tak skomplikowane akcje jak najazd Sił Specjalnych i Rangersów w Panamie, rozpoznanie sił bojowych w Bagdadzie czy dywersja Komanda Foki podczas Pustynnej Burzy.

Połączone Dowództwo Zadań Specjalnych było teraz organem gotowym do dostarczenia właściwych sił specjalnych w odpowiednim momencie i w każdym miejscu na Ziemi. Ale nadchodzące zadanie nie mieściło się w tych celach.

– Generale Taylor, mówi Trayner – powiedział zimny głos w słuchawce.

– Co może zrobić Dowództwo dla Zastępcy Szefa Sztabu? – zapytał generał Taylor i odchylił się w fotelu, patrząc bezmyślnie na obraz na przeciwległej ścianie: szereg żołnierzy w niebieskich mundurach, wyłaniających się z mgły i nacierających na podobny szereg żołnierzy w szarych uniformach.

– To trudne zadanie – powiedział Zastępca. – Potrzebuję jednego z twoich ludzi. Podam ci szczegóły, a ty sam mi powiesz, kogo potrzebuję. Poza tym – muszę to podkreślić, bo wykraczam poza procedurę – wszystko powinno być możliwie „czarne”. Czy to jasne?

„Czarne” operacje są czasem tak tajne, jak gdyby ich nigdy nie przeprowadzono. Nie ma rozkazów ani raportów, są tylko skutki. Politycy, a nawet prezydenci, nienawidzą „czarnych” operacji.

– Capice, sir – odparł dowódca, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi.

To był chleb powszedni Dowództwa Zadań Specjalnych.

– Czym ma się odznaczać ta szczególna osoba? – zapytał.

Chwycił nóż do otwierania listów i położył go sobie na dłoni w taki sposób, żeby balansował na końcu palca wskazującego.

– Podoficer albo oficer – ciągnął Zastępcę – żeby zawiązać zespół jedno– lub wielofunkcyjny na nie sprecyzowany rekonesans we wrogim terenie poza obszarem kontynentalnych Stanów Zjednoczonych.

Taylor podrapał się w tył karku i przeniósł wzrok na stojący na biurku obrazek tropikalnej plaży. Na zdjęciu o wiele młodszy i opalony Taylor obejmował w talii szczupłą, uśmiechniętą blondynkę.

– To jest cholernie niejasne, generale. Z wyjątkiem określenia „wrogi”.

Podrzucił nóż do góry. Spadł ostrzem w dół i wbił się w korkową podstawkę, która najwyraźniej właśnie po to tam leżała. Dowódca nie zwrócił na to uwagi.

– Nie draż, Jim – rzucił Zastępcę. – To jest czarne jak noc; przyszło prosto od Zwierzchnika Sił Zbrojnych, prezydenta. Ominęło nawet Obronę Narodową i Sztab Generalny. Nie należą do gry. Otrzymałem to zadanie bezpośrednio od prezydenta.

– Jezu, no to wdepnęliśmy – parsknął Taylor.

Zastanowił się przez chwilę i roześmiał się.

– Dobra. Mosovich.

– Kurde, wiedziałem, że to powiesz – stwierdził drugi generał. – Starszy sierżant zesra się w gacie.

– To twój sierżant, nie mój – znowu zaśmiał się Taylor. – Jeśli chcesz „czarnego” rekonesansu we wrogim terenie, Mosovich jest właściwym człowiekiem. Widzę, że nie proponujesz Goryla.

– Nienawidzi, kiedy ktoś go tak nazywa – powiedział zrezygnowany Zastępcę. To był stary i zużyty argument. – Dobra, dobra, przydziel go tymczasowo pod moje dowództwo. Powiedz mu, żeby się przemknął koło ochrony, jeśli taki z niego cholernie dobry tajniak.

Telefon pyknął przy uchu Taylora.

* * *

– Chciał mnie pan widzieć, generale?

Na dźwięk cicho wypowiedzianych słów raport, który czytał Zastępcę Szefa Sztabu, pofrunął w górę wśród zamieci innych papierów. Od czasu ostatniej rozmowy z naczelnikiem Połączonego Dowództwa Zadań Specjalnych trzy dni temu Trayner prawie nie wychodził z biura. Było zagadką, kiedy starszy sierżant Jacob „Wężowy Jake” Mosovich wszedł do środka i jak długo siedział cicho na kanapie Zastępcy Szefa Sztabu. Zaskoczenie i zmęczenie po wielogodzinnej pracy sprawiły, że Trayner stracił panowanie nad sobą.

– A niech cię cholera, ty, ty pieprzony, smarkaty oprychu! Jak długo tu już siedzisz? – krzyknął i trzasnął pięścią w biurko.

Zabolała go tylko ręka: reprimenda ściekła po Mosovichu jak deszcz po dachu.

– Nie nauczono cię, jak trzeba się meldować? – warknął oficer.

Zabrał się do zbierania dokumentów, jakby to były porozrzucone strzępy jego opanowania.

– Przyszedłem tu o piątej rano, sir, jakieś dwadzieścia minut przed pańskim przyjazdem. – Na jego poprzecinanej bliznami twarzy pojawił się grymas uśmiechu. – Generał Taylor powiedział, że mam ominąć Goryla.

Starszy sierżant Mosovich od trzydziestu lat brał udział w tajnych operacjach wojskowych. Miał sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył jakieś siedemdziesiąt kilo i z jednej strony jego całkowicie łysej głowy widniały blizny. Na jego zielonym mundurze prawie nie było odznaczeń. Sierżant mógł pochwalić się tylko kilkoma orderami za odwagę, a z jego akt wojskowych numer dwieście jeden wynikało, że nie miał dużego doświadczenia bojowego: kilka operacji w Grenadzie,

Panامية, podczas Pustynnej Burzy i w Somalii. Pomimo braku oficjalnych odznaczeń Purpurowego Serca, na jego twarzy widniały czarne znamiona po nie usuniętych odłamkach pocisków szrapnelowych, a tułów i kończyny pokryte były podłużnymi bliznami, jakie zostawia metal tnący ludzkie ciało.

Jego akta medyczne, w przeciwieństwie do wojskowych, zawierały tyle danych na temat leczenia szoków pourazowych i innych dolegliwości, że można by ich używać jako podręcznika lekarskiego. Cała służba sierżanta, z wyjątkiem jego pierwszej akcji w osiemdziesiątej drugiej dywizji powietrznodesantowej, polegała na wykonywaniu zadań specjalnych, najpierw w Siłach Specjalnych, potem w Delta Force, a potem znowu w tych pierwszych. Niezależnie od tego, gdzie przebywał, zawsze wydawało się, że jest gdzie indziej, i był stale opalony na brąz tropikalnym słońcem. Z wypłat za tajne akcje zgromadził przez lata dość dużo pieniędzy na emeryturę i teraz już nigdzie się nie ruszał, chyba że płacono maksymalną stawkę.

Konieczność unikania starszego sierżanta była wynikiem pewnego przykrego incydentu rok wcześniej, na corocznym konwencie Stowarzyszenia Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych w waszyngtońskim Sheratonie.

Wśród podoficerów o odpowiednio wysokim stopniu wojskowym wszystkie stanowiska są praktycznie równe.

Oczywiście pozycja starszego sierżanta w dowództwie, powiedzmy, trzeciej armii mimo wszystko różni się prestiżem od takiej samej pozycji w trzeciej brygadzie czwartej dywizji piechoty w Fort Carson w Kolorado. Ale na prestiżowe stanowiska niekoniecznie przydziela się starszych sierżantów o najlepszych kwalifikacjach i największym doświadczeniu bojowym. Stanowiska te przypadają w udziale raczej tym, którzy odznaczają się politycznym zapałem albo ktoś sprawuje nad nimi patronat.

Obecnie stanowisko starszego sierżanta w dowództwie armii zajmował Robert McCarmen. Był on rówieśnikiem Mosovicha i obydwaj służyli wcześniej w Siłach Specjalnych. Ale podczas gdy starszy sierżant Mosovich był stale gdzieś za morzami i robił coś dziwnego i niesamowitego, starszy sierżant McCarmen przebywał w Fort Bragg w Północnej Karolinie (grupa piąta i siódma), w Waszyngtonie (grupa pierwsza), w Fort Carson w Kolorado (grupa dziesiąta) albo na misjach treningowych. Brał jednak udział także w akcjach w Granadzie, Panامية i w operacji Pustynna Burza. Mimo że te operacje, poza kilkoma wyjątkami, nie wymagały znacznego udziału w walce personelu zadań specjalnych, starszy sierżant McCarmen zgromadził imponującą kolekcję medali. Srebrna Gwiazda, Brązowa Gwiazda z literą „V” za męstwo w obliczu wroga, a nawet DSC, drugie w wojskowej hierarchii odznaczenie za odwagę. Każdy medal był całkowicie uzasadniony i jeśli nawet treść pochwał była trochę niejasna, to cóż, czego można oczekiwać od „Czarnego Wojownika”. Fakt, że pochwały pisali zawsze dowódcy, z którymi sierżant miał bliskie i ciepłe stosunki, nie odgrywał tutaj żadnej roli. Pochwały i tak otrzymywało się od bezpośrednich przełożonych, a McCarmen zawsze dobrze współdziałał ze swoimi dowódcami.

Dzięki dużej ilości pochwał i łatwości nawiązywania dobrych stosunków ze starszymi oficerami i politykami McCarmen uzyskał najbardziej upragnione stanowisko podoficera sił lądowych: stanowisko starszego sierżanta armii, największej szczy w całej wielkiej maszynie zielonomundurowych.

Podczas zeszłorocznego konwentu Mosovich, starszy sierżant w dowództwie piątej grupy Sił Specjalnych, w niemal pozbawionym odznaczeń zielonym mundurze, i McCarmen, starszy sierżant armii, w obwieszonym medalami granatowym uniformie wojskowym, przypadkiem wsiedli razem do pustej windy, obydwaj nieco wstawieni. Kiedy winda zjechała na najniższe piętro, starszy sierżant armii, cięższy od Jake'a Mosovicha o jakieś czterdzieści kilogramów, krwawił i leżał nieprzytomny

na podłodze, a sierżanta Mosovicha widziano wysiadającego z windy i machającego prawą ręką, jakby go bolała.

– Tak, chyba mu to mówiłem – nawiązał spokojnie do słów Jake'a generał Trayner. – Ale ochrona budynku miała mnie poinformować, kiedy przyjedziesz.

– Cóż, generał Taylor zaznaczył, że to bardzo ważne i że lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie o tej rozmowie. Więc skoro ochrona budynku zapisuje, kto wchodzi i wychodzi... – pokryty bliznami podoficer wzruszył ramionami.

– Ominąłeś sieć bezpieczeństwa Pentagonu? – zapytał Zastępca Szefa Sztabu i obrzucił sierżanta piorunującym spojrzeniem.

– Mówił pan przecież, że to „czarna” operacja – powiedział Mosovich, rozprostowując kości. Przez ostatnie trzy godziny siedział w całkowitym bezruchu. Gdyby był szpiegiem, byłoby to bardzo owocne.

Niesamowite, jakie rzeczy potrafią mówić generałowie, kiedy myślą, że nikt ich nie podsłuchuje. Jake nie był pewien, o co dokładnie chodziło – generał nie mówił o tym wprost – ale rozmowy jasno wskazywały, że działo się coś niezwykle ważnego.

– Nie aż tak „czarna”, kurwa mać – wrzasnął generał. – Cholera jasna, Jake, tym razem spieprzyłeś za dużo. Kryłem cię w zeszłym roku, ale teraz uważaj, kurwa, co robisz.

– Tak jest, panie generale.

Podoficer nadal uśmiechał się lekko bez cienia skruchy.

Generał opanował daremny gniew i roześmiał się.

– Nigdy nie ulegałeś dyscyplinie, ty mały skurwielu.

Podrapał się w koniuszek nosa i potrząsnął głową.

– Tak, trudno cię też było wyszkolić, nawet jako smarkacza.

Podoficer uśmiechnął się i wstał, żeby zrobić sobie filiżankę kawy. Generał miał niezmiennie najlepszą kawę w armii od czasu, kiedy spędził rok w służbie wymiennej w marynarce. Jake nalał sobie filiżankę znakomitego napoju i wciągnął aromat głęboko w nozdrza. Łyk kawy potwierdził, że był to ten sam co zwykle wyśmienity napar generała.

– A więc o co chodzi? – zapytał unosząc brew i usiadł z powrotem na kanapie.

– Cóż, siedzimy po same uszy w gównie, Jake. Słyszałeś kiedyś o projekcie NFŻ? Wciągnęli cię w to kiedyś? – zapytał generał i wypił łyk swojej kawy.

– Chodzi o Niezidentyfikowane Formy Życia? Tak, weszli za specjalnymi jednostkami gdzieś w dziewięćdziesiątym trzecim albo dziewięćdziesiątym czwartym. Jakiś durny skurwiel podał im moje nazwisko i dlatego poddano mnie serii najgłupszych w historii testów psychologicznych. Płacą mi dodatkowe sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie za skoki ze spadochronem, więc naturalnie zapytano mnie, czy nie bałbym się skoczyć z wysokości. Chryste. – Westchnął zirytowany. – Ci psychiatrzy!

– A co ty o tym sądzisz? Myślisz, że kosmici istnieją?

Generał sądził, że ma minę pokerzysty, ale Jake rozegrał z nim zbyt wiele partii pokera, żeby nie rozpoznać, że do czegoś zmierza.

– Musi pan coś wiedzieć, bo inaczej nie rozmawialibyśmy o tym – powiedział podoficer, nie dając się złapać w pułapkę.

– Tak, no, potrzebujemy zespołu specjalnego. Niekoniecznie musisz go prowadzić; później o tym zadecydujemy.

– Trayner wyciągnął purpurową teczkę dokumentów, dokładnie obwiązaną taśmą z napisem „Ścisłe tajne”. – Jakies siedem do dziesięciu osób, specjaliści z różnych dziedzin, do tajnego przetrzucenia na niebezpieczne terytorium wrogich sił zbrojnych w celu rozpoznania wroga i zbadania

terenu.

– Mógłby pan określić koszty, szefie? I dokąd, u licha, mamy wysłać zespół przeciwko „wrogim siłom zbrojnym”? Nie prowadzimy w tej chwili, cud nad cudy, żadnej wojny.

Pomachał palcem na znak, że szanowny generał powinien przestać się ociągać i wręczyć mu teczkę. Pomimo całego swojego gderania na temat trzymania oczu szeroko otwartych w obliczu niebezpieczeństwa, najwyraźniej nie mógł sobie odmówić przyjemności płynącej ze skoków adrenaliny, bo inaczej już dawno odszedłby ze służby.

– No... nie mogę określić kosztów. Wszystko jest w dokumentacji – powiedział Trayner, wachlując teczką tam i z powrotem, jak gdyby chciał pomachać nią Jake'owi przed nosem.

Trayner znał słabości Jake'a.

– Dobra, teraz druga sprawa, generale. Co to ma wspólnego z obcymi formami życia?

Jake miał czasami poczucie, że ciekawość zaprowadzi go kiedyś do piekła.

– Hm, powiedzmy, że nie jesteś już najsprytniejszym sukinsynem w mieście. – Zazwyczaj ponury generał uśmiechnął się. – Himmicie Rigas, to chyba właściwy moment.

Na dźwięk tych słów na ścianie po prawej stronie generalskiego biurka pojawiła się istota o czterech kończynach.

Cienkie zielone paski, zgodne ze wzorem tapety, zniknęły ze skóry stworzenia, która przybrała teraz jednolitą szaropurpurową barwę. Kończyny, które skierowane ku górze przylegały do ściany, ześlizgnęły się na dół, a stworzenie przyjęło czworonożną postawę. Wyglądało teraz jak żaba z kończynami równej długości i dwiema parami oczu i ust, po jednej z każdej strony. Powyżej ust i pomiędzy szeroko rozstawionymi oczami widniała narośl przypominająca złożony plaster miodu. Mogło to być ucho albo nos. Skóra zafalowała, kiedy istota zbliżyła się płynnie i wyciągnęła łapę w oczywistym geście powitania. Pudełko przymocowane do nadgarstka przemówiło wysokim tenorem.

– Zachowujesz się wyjątkowo cicho jak na człowieka – powiedziała istota.

W ciągu następnych kilku lat wielu ludzi miało przeżyć taką chwilę. Każdy zadawał sobie wtedy pytanie, z czym ma do czynienia. Po raz pierwszy w historii ludzkość mogła z całą pewnością stwierdzić, że nie jest jedyną inteligentną formą życia w galaktyce, i spojrzeć w twarz pozaziemskiej istocie. Niektórzy reagowali strachem, inni przyjaźnią, jeszcze inni miłością. Reakcje były zróżnicowane jak sama ludzkość. Sierżant Mosovich po prostu wyciągnął dłoń na powitanie. Uścisk łapy Obcego wywołał u sierżanta gwałtowny wzrost adrenaliny, co w wojsku określa się jako chłodny zastrzyk moczu do serca. Wyciągnięta kończyna była zimna i gładka, pokryta delikatną warstwą jedwabistych piór. Jake starał się kontrolować oddech i opanować drżenie głosu.

– Dzięki. Ty też jesteś niezły. Jak długo tu już stoisz?

– Od wczoraj. Przyszedłem po waszym drugim posiłku, ale jeszcze przed popołudniową odprawą generała.

Zszedłem z sufitu przez drzwi, kiedy strażnik odprowadzał interesanta. Zamek nie był przeszkodą. Jak sam pan odkrył, można go łatwo otworzyć wytrychem magnetycznym. Generał przyjął piętnastu interesantów i odbył siedemdziesiąt osiem rozmów telefonicznych w ciągu ostatnich osiemnastu godzin. Jego interesantami byli kolejno: jego adiutant, podpułkownik William Jackson, w sprawie odwołania zaplanowanego wcześniej spotkania. Drugim interesantem...

– Przepraszam, Himmicie Rigas, ale muszę udzielić starszemu sierżantowi Mosovichowi kilku wstępnych wskazówek.

Generał uśmiechnął się uprzejmie, przyzwyczajony do gadatliwości Himmity. Uważał przy tym, żeby nie pokazywać zębów.

– Oczywiście, generale. Mój raport może zaczekać.

Jake odwrócił się powoli plecami do generała i opadł na kanapę. Nie chciał patrzeć, jak Himmit z powrotem wtapia się w ścianę.

– Masz tu wszystko opisane. – Trayner rzucił wreszcie Jake'owi purpurową teczkę. – Przeczytaj teraz; to nie może wyjść poza ten pokój. Zaczynaj myśleć o składzie zespołu, który weźmie udział w pozaplanetarnej misji zwiadowczej. Planeta typu ziemskiego, chłodna i bagnista. Odbędziecie trening z Himmitem. Kiedy uporamy się ze wstępnymi przygotowaniem, odeślę cię z powrotem do Bragg. Zbierzesz zespół, ale niczego nie wyjaśniaj, dopóki nie ustalimy ostatecznego składu grupy. Potem będziecie pracować w ścisłej tajemnicy; to też rozkaz prezydenta.

– A w jaki sposób prezydent dowiedział się o tym wszystkim? – zapytał Mosovich, nie otwierając jeszcze teczek.

– Zadzwonili do niego przez telefon – odpowiedział Zastępca.

– Ach tak?

– Tak. – Oficer potrząsnął głową. – Po prostu zadzwonili z orbity na jego bezpośredni numer. Rozmawiali też z przedstawicielami siódemki najbogatszych państw oraz Chin i Rosji. To było trzy dni temu.

– Waszyngton szybko się tym zajął.

Jake wypił kolejny łyk kawy i otworzył teczkę. Zauważył, że była zrobiona ze śliskiego, błyszczącego papieru.

Wszystko było najwyraźniej trzymane w największej tajemnicy, skoro Zastępca posługiwał się błyszczącą teczką.

Teczka sprawiała wrażenie mokrej i zimnej, a sierżant miał przeczucie, że to samo można powiedzieć o misji.

– Dobra, ale potrzebuję jeszcze kogoś do pomocy przy zbieraniu zespołu.

– Kogo? – zapytał podejrzliwie generał.

– Starszego sierżanta nazwiskiem Ersin.

Generał zastanowił się przez chwilę i kiwnął głową.

– Dobra, możesz mi wszystko opowiedzieć za moją zgodą. Zrozum, w tej chwili wszystkie informacje są tak ściśle strzeżone jak nigdy dotąd. Wiedzą o tym tylko niektórzy. Nie mów o tym nikomu więcej.

– Ja nawet sobie nie mówię połowy rzeczy, które robię – powiedział z uśmiechem Jake, zerknął po raz ostatni na kamuflującego się Himmita i zaczął czytać.

**Fort McPherson, Georgia,
Sol III 9:31 czasu wschodniego USA,
18 marca 2001**

– Panie i panowie, jestem admirał Daniel Cleburne, a dla tych, którzy o mnie nie słyszeli, jestem Szefem Sztabu Marynarki Wojennej.

Tajne audytorium mniej więcej w połowie wypełniał personel cywilny i wojskowy, składający się głównie z mężczyzn. Mike miał wrażenie, że większość cywilów nosiła kiedyś niebieski albo zielony mundur. Najwyraźniej nie tylko generał Horner wezwał byłych podwładnych.

– Wyznaczono właśnie mnie, żebym przedstawił powagę sytuacji, bo mogę zniknąć łatwiej niż inni Szefowie Sztabu. Dla porządku: żegluję obecnie na Bahamach. Jak napisano w państwa umowach, każdy powinien powiadomić najbliższych, że będzie pracować w ścisłej tajemnicy przez dwa do czterech miesięcy. Pracują państwo z byłymi kolegami nad tajnym projektem i wkrótce wrócą państwo do domu. Podczas przyszłych kontaktów ze światem zewnętrznym proszę ukrywać powagę sytuacji tak bardzo, jak to tylko możliwe. Fakt, że projekt wymagał ściągnięcia dużej liczby cywilów, bez wątpienia dotrze do uszu dziennikarzy, ale im dłużej uda nam się utrzymać w tajemnicy tę informację, tym lepiej dla naszego narodu i całego świata. Wolimy ujawnić wszystko równocześnie z innymi państwami, żeby zminimalizować... nie kontrolowane reakcje społeczeństwa. Moja żona nienawidzi zabawy w dobrą i złą wiadomość, ale trudno. Dobra wiadomość dla wszystkich państwa, w większości zapaleńców fantastyki naukowej, brzmi, że nawiązaliśmy kontakt z przyjaźnie nastawioną rasą Obcych.

Zaczekał, aż ucichną pomruki zaskoczenia. Większość obecnych od jakiegoś czasu zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodzi, i odgadła przynajmniej tę część odpowiedzi. Nieliczni domyślili się reszty.

– Zła wiadomość: Obcy są w samym środku międzyplanetarnej wojny.

Tym razem szmer rozmów utrzymał się przez jakiś czas, dopóki admirał nie uciszył zebranych gestem dłoni.

– Proszę, mamy dużo do omówienia i mało czasu, więc będę się streszczał. Chcę, żeby każdy miał ogólne pojęcie o naszych celach i przeszkodach na drodze do ich osiągnięcia. Wszyscy państwo otrzymają dokumenty z opisem sytuacji – wskazał kilku oficerów, którzy kręcili się między rzędami i rozdawali teczki. – Będą doradcy z innych planet...

Powstało poruszenie.

– ... i obce technologie...

Szmer rozmów wzmógł się.

– ... z których będziemy mogli skorzystać. Cisza! Nie mamy czasu.

Zerknął do dokumentów przed sobą.

– Najpierw krótkie tło historyczne. Przez ostatnie sto tysięcy lat istniało polityczne stowarzyszenie, będę je nazywał Federacją, zrzeszające zamieszkałe planety wokół Ziemi. Obcy są pokojowo nastawieni, bo wszystkie wojownicze rasy najwyraźniej powybiły się nawzajem, jeszcze zanim posiadały zdolność lotów w odległą przestrzeń kosmiczną. Dla zapaleńców fantastyki naukowej – skrzywił się – którzy zastanawiają się nad równaniem Drake'a, czymkolwiek by ono nie było, jest to właśnie powód, dla którego aż do tej chwili nie mieliśmy kontaktu z cywilizacją Obcych. Jakies sto

pięćdziesiąt do stu siedemdziesięciu pięciu lat temu nowa rasa, nazwana Posleenami, dokonała inwazji na peryferia Federacji. Posleeni są tak okrutni, że nawet wy, pasjonaci science fiction, nie mieliście jeszcze do czynienia z takim okrucieństwem. W dokumentacji przedstawiono podstawowe informacje o tej rasie, więcej szczegółów poda państwu zespół planowania. Ogólnie rzecz biorąc, jest to rasa czworonożnych, wszystkożernych, składających jaja centaurów. Dysponują technologią podobną do federacyjnej i o zbliżonym stopniu zaawansowania, ale najwyraźniej używają jej niezbyt efektywnie. Jednak rasy Federacji nie uznają przemocy i nigdy nie dochodziło wśród nich do jakichkolwiek konfliktów. Poza tym mają pewne trudności w stosowaniu, a nawet mówieniu o przemocy, mimo że od blisko dwustu lat prowadzą wojnę. Są tylko dwie rasy, które byłyby w stanie, że się tak wyrażę, „pociągnąć za spust”, ale nawet one mają z tym pewne problemy. Dlatego nie udało im się powstrzymać nacierającego wroga. Próbowano zbudować urządzenia o sztucznej inteligencji i niezależnej woli, ale po katastrofalnych doświadczeniach, kiedy roboty same próbowały przejąć nad wszystkim kontrolę, zrezygnowano z nich.

Poza szelestem papieru w pomieszczeniu panowała absolutna cisza, kiedy zebrani z kamienną twarzą wertowali intrygujące dokumenty. Mike uśmiechnął się ponuro, kiedy spojrzął na układ tekstu. Dokument podzielono na części: wstęp, zagrożenie, przyjazne siły, misja i dodatek. Był to najbardziej zwięzły dokument tego typu, jaki Mike kiedykolwiek widział.

– Zaprzyjaźniona rasa bezpośrednio zamieszana w konflikt, Himmici, to rasa tchórzy. To nie jest obelga, oni po prostu tacy są. Kiedy myślą, że zostali wykryci, nawet jeśli nie mają co do tego pewności, zrywają wszelkie stosunki.

Przedstawiciele innej rasy, z którą mieliśmy najwięcej kontaktu, Darhelowie, mogą strzelać tylko raz w życiu.

Później przez sam fakt odebrania komuś życia zmieniają się w coś w rodzaju automatów. Pozostałe dwie rasy, Indowy i Tchpth, są tak bezkonfliktowe, że w ogóle nie potrafią stosować przemocy.

Mike przewertował rozdział o zagrożeniach i przejrzał informacje o pierwszej napotkanej rasie. Cokolwiek miało się stać w ciągu następnych kilku miesięcy, konferencja zapowiadała się ciekawie.

– Więc dotąd Galaksjanie opierali się na sztucznej inteligencji, naciskali przyciski, automatycznie je zwalniali i mieli nadzieję, że wszystko potoczy się jak najlepiej. Tak się jednak nie stało. Obcy stracili już ponad siedemdziesiąt planet i tracą kolejne. Odnieśli trochę, ale naprawdę bardzo niewiele, sukcesów w przestrzeni kosmicznej, za to w walce na powierzchni planet nie mają żadnych szans. Chcieliby więc skorzystać z pomocy Ziemiaków podczas całej tej wojny. Planują wykorzystać nas nie tylko jako wojowników, ale też jako taktyków i projektantów broni. Z powodu braku doświadczenia wojennego Federacja kopiowała dotąd pomysły wrogów, ale wróg nie jest najlepszym wzorem do naśladowania w żadnej z tych dziedzin. U Posleenów jeden myślący przywódca kontroluje działania czterystu „żołnierzy”, którzy nie są bardziej inteligentni od szympanów. Ich broń nie ma celowników, więc muszą polegać na zmasowanym ataku. To jak skoncentrowana napaść wojsk Napoleona. A ich statki są śmiechu warte z punktu widzenia potrzeb prawdziwej wojny. Ponieważ Federacja wzoruje się na Posleenach, używa przeciw jednostkom naziemnym czołgów strzelających minami energetycznymi o szerokim polu rażenia. Ich „statki wojenne” to przekształcone frachtowce.

Roześmiał się lekceważąco i spojrzął na tłum w czarnych mundurach.

– Osobiście uważam, że poradzimy sobie lepiej, a przywódcy świata dzielają moje zdanie. Będziecie, cholera, lepsi albo was zdegraduję.

Rozległy się ponure śmiechy, ale większość zebranych słuchała tylko jednym uchem, szybko wertując dokumenty.

– Na tej konferencji każdy zespół ma więc ustalić, jakiej broni powinien użyć nasz kraj i jaką zastosować taktykę. A teraz więcej złych wiadomości. Główni dowódcy, czyli ja i kilku innych, postaramy się coś wynegocjować, ale istnieją pewne polityczne i budżetowe przeszkody, który uniemożliwiają Federacji użycie jej wojsk. Dlatego Federacja wykorzysta większość naszej marynarki wojennej, lotnictwa wojskowego, piechoty morskiej i elitarnych oddziałów wojska.

W cichym dotąd pomieszczeniu rozległy się teraz pomruki rozmów. Cleburne uciszył zebranych gestem dłoni i mówił dalej.

– W niektórych przypadkach będziemy współdziałać z armiami innych krajów, które pracują nad tym samym problemem, szczególnie z armiami krajów sojuszniczych. Ostateczne plany dotyczące statków kosmicznych, wahadłowców, satelitów komunikacyjnych i myśliwców kosmicznych oraz wszystkie sprawy związane z flotą Federacji będzie musiał ustalić wspólny komitet. Chcę coś wyjaśnić: lepiej, żeby zespoły pracujące nad zastosowaniem statków wojennych i oddziałów piechoty zrobiły wszystko dobrze. Będzie cholernie mało przeglądów kontrolnych, a tymi siłami będziemy walczyć o życie. To jest ostatnia zła wiadomość. Powód, dla którego Federacja unikała dotąd kontaktu z nami, jest oczywisty: obawiano się zamienić jednego wroga na drugiego.

Ale, co też jest oczywiste, ostatecznie zdecydowano się skorzystać z naszej pomocy. Powodem tego jest fakt, że Obcy ponoszą ogromne straty i w końcu zostali przyparci do muru. Nasza planeta jest następna. Według Galaksjan, Ziemię czekają cztery do pięciu fal najazdów. Pierwsza dotrze tu już za pięć lat.

**Fort Bragg, Północna Karolina,
Sol III 18:24,
19 marca 2001**

- Mueller.
- Żartujesz?
- Nie.

Najdalsza misja zwiadowcza w wojskowej historii Ziemi zaczęła się od rozmowy dwóch doświadczonych podoficerów nad kartką papieru w linie. Mosovich i Ersin, wysoki, szczupły, ciemnowłosy starszy sierżant o lekko azjatyckich rysach, siedzieli przy stole kuchennym i wybierali członków wielozadaniowego zespołu spośród najlepszych ludzi, jakich znali. Dochodziło do nieuniknionych różnic poglądów.

– Na pewno żartujesz – powiedział Mosovich. – Po pierwsze, jest piekielnie niedoświadczony. Po drugie, cholerny z niego gaduła; ten dureń nie wie, kiedy się zamknąć.

Mosovich wstał, podszedł do lodówki i wyjął butelkę piwa. zaproponował napój Ersinowi, a potem wyjął drugą butelkę dla siebie, otworzył obydwie, wyrzucił kapsle do śmieci i wrócił do stołu.

– Ale śpiewająco przeszedł testy bojowe – upierał się Ersin. – I miał wspaniałe akta, już zanim wstąpił do Sił Specjalnych. A tak naprawdę przyda się nam jego doświadczenie w badaniu terenu. Będziemy go potrzebować, bo ta cała cholerna planeta to najwyraźniej jedno wielkie bagno i nie znam innego żołnierza, który mógłby dać sobie z tym radę. Nie zawadzi nam też to, że jest cholernie dobrym tragarzem.

– A może Simmons? – zapytał Mosovich i pociągnął łyk piwa.

Ersin odchylił głowę do tyłu i potrząsnął nią lekko.

– Porusza się jak pieprzony słoń w składzie porcelany – rzucił z odrazą.

– Pracowałeś z Muellerem – powiedział Mosovich.

To było stwierdzenie.

– Tak – przyznał Ersin, obrócił butelkę w rękę i wypił łyk piwa.

Wolał lepsze gatunki, niż miał do zaoferowania starszy sierżant, ale nigdy nie odmawiał darmowego piwa.

– Pracował z Haroldem. Wykonaliśmy kilka drobnych zadań i przeprowadziłem go kilka razy przez kurs operacji specjalnych. To dobry żołnierz o dobrych rękach.

W Zadaniach Specjalnych określenie to miało swoje szczególne znaczenie. Oznaczało kogoś, kto bardzo dobrze posługiwał się bronią.

– Dobra, czort wie, ilu ludzi już kiedyś wkurzyłem – zgodził się niechętnie Mosovich.

– Wydaje mu się, że wie wszystko najlepiej, ale prawdziwy problem polega na tym, że zwykle ma rację.

Ersin zwycięsko zakończył sprzeczkę.

– Dobra, obstawiamy zatem operacyjny, broń, łączność, zadania saperskie i sanitariusza. Potrzebujemy zwiadowcy i kogoś, kto zdubluje sanitariusza. Ciebie.

– Dobra. Dajmy Muellera do zadań operacyjnych i zwiadu razem z tobą.

– Ja się zajmę łącznością, Walters zadaniami saperskimi, poza tym wszyscy od biedy wiemy, jak

używać broni.

Zresztą to misja zwiadowcza, a nie rajd. Po co nam broń? – uśmiechnął się pokryty bliznami weteran.

Ersin parsknął śmiechem.

– Więc chcesz lecieć nie uzbrojony?

Była to znana taktyka jednoosobowych misji zwiadowczych, ale nie rekonesansu w zespole.

– Na pewno nie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli strzelać, ale zabiorę najcięższy sprzęt, jaki się da. Oby Traynerowi udało się nam to wszystko załatwić. Będziemy potrzebować broni specjalnej. To mi przypomniało, że przyda się też kilku ludzi na innych stanowiskach.

– Niech zgadnę. Czy jednym z nich nie mógłby być Trapp?

Ersin uśmiechnął się do wspomnień i zamachał rękami przed oczami Mosovicha, jakby czarował.

– Tak – uśmiechnął się Mosovich. – Mógłby się przydać ktoś do podchodów. A skoro już o tym mowa, musimy zdobyć informacje o fizjologii tych istot, zanim wylądujemy. Ktoś jeszcze?

– Nie wiem. Jeszcze jeden inżynier?

– A co będzie, jeśli będziemy musieli przerwać kontakt?

– A, dobra.

Ersin zastanowił się przez chwilę i wypił kolejny łyk piwa słodowego. Poruszył mięśniami twarzy jak szczur machający wąsami.

– Snajper?

– Tak. Ale kto? – zapytał Jake i uniósł brew.

Najwyraźniej miał kogoś na myśli.

– Fordham – odpowiedział natychmiast Ersin.

– Nieee. Jest dobry, ale słyszałeś kiedyś o Ellsworthy?

Ersin wyglądał na zakłopotanego.

– No, nie wiem, Jake, kobieta?

– Widziałeś, jak ta suka strzela? – uśmiechnął się Jake.

Grymas uśmiechu sprawił, że jego pokryta bliznami twarz wyglądała koszmarnie.

– Nie, ale słyszałem o niej. Bannon spotkał ją w Quantico. Nazywają ją „Zjawą”.

Twarcz Ersina zdradziła, że nie spodobał mu się ten pomysł.

– Bardzo jej nie lubię. Wielu ludzi uważa, że staram się nie przegapić żadnej okazji, żeby się z kimś przespać, ale gdyby ta lalunia się na mnie wkurzyła, mógłbym od razu zacząć kopać sobie grób.

– Ty tu jesteś szefem – powiedział starszy sierżant z oczywistą niechęcią.

– Jak cholera.

* * *

Siedmiu mężczyzn i jedna kobieta siedziało w małym, słabo oświetlonym pomieszczeniu Sztabu Pierwszego Dowództwa Specjalnych Operacji Wojennych imienia Johna F. Kennedy'ego w Fort Bragg w Północnej Karolinie.

Nosili cztery rodzaje mundurów i plakietki różnych jednostek. Każda z tych osób miała duże doświadczenie w swojej dziedzinie. Większość brała już udział w walce. Wszyscy byli aktualnie stanu wolnego. Należeli do piechoty morskiej, sił lądowych i marynarki. Tylko jedna osoba miała mgliste pojęcie o misji. Starszy sierżant Mosovich pojawił się po minucie i zbliżył do szczytu stołu konferencyjnego. Usiadł, a pozostali zaczęli odsuwać krzesła od starego drewnianego stołu. Niektórzy nie przerwali rozmowy.

Jednym z rozmawiających był potężny mężczyzna o blond włosach, ubrany w mundur starszego sierżanta siódmej grupy Sił Specjalnych. Miał dobrze ponad dwa metry wzrostu i wypełniał sobą mundur jak ludzki czołg.

Szeroko gestykulując, omawiał właśnie technikę walki nożem z niskim, krępy młodszy oficerem, noszącym emblemat Komanda Foki. Młodszy oficer śmiał się przez szczerbate uzębienie z wyraźnym brakiem zainteresowania. Ręce oficera były tak umięśnione, że mógłby występować w roli Popeye'a, a jego dłonie i nadgarstki były poorane bliznami.

Wysoki, z hiszpańską bródką, łagodnie wyglądający starszy sierżant Sił Specjalnych kontynuował jednostronną rozmowę z jedyną wśród obecnych kobietą. Była atrakcyjna, miała smukłą twarz, kasztanowe włosy i ciemnozielone oczy. Nosila starannie wyprasowany mundur starszego sierżanta piechoty morskiej. Kurtka bez odznaczeń przylegała ciasno do ciała i była wykonana z tak cienkiego materiału, że widać było każdy ruch małych, ale jędrnych piersi kobiety. Jej figurę wyraźnie podkreślał również krój spódnicy, która – o ile Jake się nie mylił – była przynajmniej pięć centymetrów krótsza niż przewidywały przepisy. Buty były wprawdzie przepisowo czarne, ale wbrew regulaminowi wykonane z lakierowanej skóry, i miały dziesięciocentymetrowy obcas. Ubiór i ostra piżmowa woń perfum, która jak młot kowalski uderzyła sierżanta, kiedy tylko wszedł do pokoju, były dostatecznym powodem, żeby nie przerywać rozmowy. Kobieta zachowywała się bardzo spokojnie. Przez cały czas nie poruszała rękami ani nie kręciła głową. Utkwiła wzrok w jakimś punkcie na ścianie, jakby patrzyła w odległą przestrzeń.

Brodaty sierżant sztabowy ciągnął monolog.

W pomieszczeniu byli jeszcze Ersin, gigantyczny starszy sierżant o hebanowej karnacji, z emblematem Dowództwa Zadań Specjalnych na ramieniu, i pękaty, czarny starszy sierżant z pierwszej grupy.

– Dobra, zaczynamy – powiedział Mosovich, kiedy wszyscy w ciszy zajęli miejsca. – Najpierw wszystkich przedstawię. Po mojej prawej stronie siedzi Mark Ersin z siódmej grupy, Siły Specjalne. Będzie zwiadowcą podczas naszej małej operacji. – Wskazał na hebanowego starszego sierżanta. – A to jest starszy sierżant Tung. Pracuje w pewnym sensie dorywczo w Dowództwie Zadań Specjalnych.

Kilku obecnych zaśmiało się cicho. Starszy sierżant, doświadczony instruktor i oficer polowy, był legendą wśród żołnierzy zadań specjalnych w nie mniejszym stopniu niż Mosovich.

– O, niektórzy z was znają starszego sierżanta Tunga. Dobrze, to nam zaoszczędzi wyjaśnień. Starszy sierżant Tung zajmie się kwestiami operacyjnymi. – Następnie wskazał na dużego, jasnowłosego sierżanta. – Starszy sierżant Mueller też jest z siódmej grupy. Nie dajcie się zwieść jego wyglądowi. Jest nie tylko duży i milczący. Jest duży, milczący i bardzo nieprzyjemny. Młodszy oficer Trapp – wskazał na żołnierza Komanda Foki, który pokazał w uśmiechu szczerbate uzębienie i zabawnie pomachał ręką – jest z szóstego Komanda Foki.

– Sierżant Martine – Jake wskazał szczupłego czarnego sierżanta – z pierwszej grupy jest znakomitym technikiem od łączności i złotą rączką od wszystkiego. Sierżant sztabowy Richards – wskazał żołnierza z hiszpańską bródką, który nadal zagadywał jedyną wśród obecnych kobietę. – Jest doświadczonym łapiduchem.

Sierżant skrzywił się na to określenie.

– Sierżant Ellsworthy – ciągnął Jake, wskazując kobietę – przyjechała ze Szkoły Snajperów Piechoty Morskiej.

Panowie, teraz nie żartuję, nie drażnijcie tej młodej damy; jest równie niebezpieczna, co ładna. Dobra, wszyscy zadają sobie teraz pytanie „Dlaczego ja i o co, do cholery...” – Przepraszam,

sierzancie – kobieta przerwała głosem małej dziewczynki – ale chyba coś jest przyklejone do ściany za pana krzesłem.

Miała chropowaty południowy akcent, ale jej głos był słodki jak miód.

Rozmowy ucichły, a sześć par oczu zwróciło się w stronę wskazanego kawałka ściany. Zebrani kolejno zatrzymywali wzrok na właściwym miejscu.

– Tak – powiedział reprezentant Komanda Foki. – Teraz widzę. Wygląda jak jakaś ośmiornica.

– Nie – powiedział Mueller. – Raczej jak zakamuflowana żaba. Co to jest, do cholery? Wygląda na żywe.

Wychylił się do przodu, a na jego twarzy malowało się zaciekawienie.

– Jest żywe – powiedziała Ellsworthy. – Poruszyło jednym okiem.

– Więc – huknął Tung – co to, kurwa, jest i skąd się tu wzięło, do cholery?

– Nie wiem – powiedział Trapp, a w jego dłoni w tajemniczy sposób pojawił się nóż. – Ale zaraz będzie o jedną żabę mniej.

– Chwileczkę – powiedział Mosovich. – Nie jest groźny. Himmicie Rigas, miał pan nie brać udziału w tym spotkaniu.

– Pierwsze spotkania są zawsze bardzo pouczające – powiedział Himmit, a jego skóra przybrała na chwilę naturalną szaropurpurową barwę, po czym znowu dopasowała się do koloru ściany.

Grupa do zadań specjalnych zareagowała mieszanymi, ale tłumionymi uczuciami. Tylko czarny sierżant wstał i odsunął się.

– Proszę usiąść, sierzancie Martine, nie jest groźny – rzucił Mosovich.

– Cho... cho... cholera! C... c... co... t... to jest? – wyjąkał Martine. Jego sposób mówienia był tak dobrze znany jak jego umiejętności.

– ET jak cholera – stwierdził Mueller, kiedy przyglądał się Rigasowi bez cienia strachu na twarzy.

Odwrócił się do Mosovicha.

– Obcy?

– To jeden z powodów naszego spotkania. Miał poczekać, aż o nim opowiem, do diabła! – rzucił Mosovich.

– Gdzie on się podział? – wyszeptała Ellsworthy. – Spuściłam go z oka tylko na chwilę.

Zacząła studiować ścianę centymetr po centymetrze.

– Nie wiem – powiedział Mueller, kręcąc głową. – Po prostu zniknął.

– Kurde – powiedział Trapp i nerwowo machnął nożem. – Gdzie jest ta mała ropucha?

– Spokojnie – powiedział Mosovich. – Nie pojawi się znowu, dopóki nie będzie się czuł bezpieczny. To Himmit. Chcecie coś o nim wiedzieć, to zamknijcie się, do cholery, i słuchajcie...

Powoli odzyskali poczucie dyscypliny i skupili uwagę na starszym sierzancie, wciąż jednak ukradkowo zerkając na ściany.

– Dowództwo Zadań Specjalnych zleciło nam dokładne zbadanie wrogiej planety. Właśnie, wrogiej. Dobra, oto szczegóły.

Przedstawił główne zagrożenia kontaktu z Federacją i zagrożenia ze strony Posleenów.

– Problem polega na tym, że nie mamy wystarczającej ilości informacji na temat Posleenów. Wywiad jest jedną z najważniejszych spraw w operacjach wojskowych, a my go właśnie nie mamy. Himmici są jak duchy, weszli nie zauważeni po całej planecie Posleenów. Ale nie byli w miejscach, gdzie mogliby nawiązać kontakt, co oznacza, że nie przyjrzeliby się wrogom z bliska. Poza tym nie szukają rzeczy, które nas interesują. Wreszcie, wybaczyć Himmicie – skinął głową w kierunku miejsca, gdzie w jego mniemaniu czaił się zakamuflowany kosmita – góra, czyli w tym wypadku prezydent, oczekuje niezależnej ekspertyzy. Obecnie wszystkie nasze informacje pochodzą od

wywiadu Darhelów i Himmitów. Prezydent chce, żeby wszystkiemu przyjrzały się ludzkie oczy, i to my jesteśmy tymi oczami.

Jake spojrział w notatki i miał nadzieję, że jego wybrani doskonali specjaliści posłuchają go jeszcze. Wyczuwał niepokój w powietrzu. Zebrani najwyraźniej oglądali ściany w poszukiwaniu niewidzialnego Himmita. Jake, który już wcześniej wielokrotnie próbował to zrobić, był pewien, że im się nie uda. Zaskoczyło go, że Ellsworthy w ogóle dostrzegła kosmitę.

– Nasza misja polega na przedostaniu się z Himmitem Rigasem na zajmowaną przez Posleenów planetę, na którą wyślemy wkrótce potem pierwszą dywizję piechoty morskiej i różne inne jednostki. Będziemy tam nadzorować działania wojenne i wyślemy agentów wywiadu, żeby zebrali informacje o Posleenach. Odbędziemy trening na Ziemi, spędzimy około czterech miesięcy na statku i niepostrzeżenie dostaniemy się na powierzchnię planety. Jeśli nam się uda, będziemy mogli skorzystać podczas naszych działań z himmickiego statku. Jeśli nie, zaczekamy, aż przybędzie drugi statek, żeby nas odebrać cztery miesiące po lądowaniu. Jeśli się spóźnimy, będziemy zdani tylko na siebie. Następny statek przywiezie korpus ekspedycyjny dopiero za kilka lat.

Urwał i spojrział na pobieżne notatki, które sporządził razem z Ersinem. Nie zawierały szczegółów. Zespołowi takiemu jak ten udzielało się dokładnych informacji dopiero podczas treningu i przygotowań.

– Kilka uwag. Będziemy dźwigać ciężki bagaż. Na planecie nie ma nic jadalnego, ale będziemy mieli osobiste konwertery, które dostosują rośliny i mięso zwierząt do naszych potrzeb, jeśli będziemy musieli sami zdobyć pożywienie.

Uśmiechnął się na widok skrzywionych twarzy członków zespołu. Każdy z nich przynajmniej raz był już w podobnej sytuacji podczas wykonywania zadania i nie było to miłe doświadczenie. Ellsworthy zmarszczyła nos, jakby poczuła coś nieprzyjemnego.

– Jeśli będziemy mogli wykorzystać tajny statek Himmitów, nie dojdzie do tego.

– Niezależnie od tego, podczas każdego wypadu będziemy nieść razem z konwerterami pewne rzeczy, które według naukowców są nieprzetwarzalne, jak choćby witaminy i niektóre aminokwasy. Nie są one ciężkie, ale musimy wziąć zapasy na pięć miesięcy. Po drugie, o ile to możliwe, starajmy się unikać wszelkiego kontaktu, ale bądźmy do niego przygotowani. Wszyscy jesteśmy dorośli, proszę więc samodzielnie zdecydować, co zabrać.

Potrzebny będzie ciężki sprzęt: M-16 nie wystarczy w konfrontacji z tymi istotami. To tyle jak na razie. Spotkamy się jutro rano, żeby rozpocząć ćwiczenia. Ersin poda szczegóły zakwaterowania i harmonogram ćwiczeń.

Po tych słowach wstał i wyszedł z pokoju. Pozostali nie ruszali się z miejsc i zastanawiali, czy żaba nadal ich obserwuje.

Moc żądz, co posłuch kruszy,
Bunt serc i dumny tan –
Słuch tępy, oschłość w duszy,
Swą łaskę okaż nam!

Grzesznikiem, kto Ci przeczy,
A głupcem, wątpi kto,
Nasz los w Swej dierzysz pieczy –
Śmierć złagodź mocą Swą!

– Kipling

**Fort McPherson, Georgia,
Sol III 11:15 czasu wschodniego USA,
18 marca 2001**

Gwarny tłum mundurowych i cywilów podniósł się, żeby wyjść z audytorium, a generał Horner skinął ręką na Mike'a, żeby z powrotem usiadł na krześle. Odczekał, aż wszyscy opuszczą duże pomieszczenie, i rozejrzał się wokół. Kilku innych zwierzchników wysłało członków swoich zespołów na pospieszne konferencje. Jack uśmiechnął się w duchu. Wszyscy starsi oficerowie, łącznie z nim, byli całkowicie zdezorientowani. Wyszkolono ich do walki z ludźmi i żaden z nich nigdy poważnie nie zastanawiał się nad walką z pozaziemskimi siłami zbrojnymi.

Sam pomysł wydawał im się dotąd absurdalny: przestarzały scenariusz, odłożony na najwyższą półkę w Pentagonie, wymyślony przez zapalonych mięczaków z komitetu ekspertów od zimnej wojny.

Ale teraz musieli odkurzyć ten nedorzeczny scenariusz. Horner zdawał sobie sprawę z niewielkiej przydatności ekspertów. Możliwe, że szaleńcy na punkcie fantastyki naukowej, jak troglodyta, którego wezwał, marzą o gruszkach na wierzbie, ale przynajmniej trochę wiedzą o tym rodzaju zagrożenia i dlatego są na wagę złota.

Tylko dwóch szefów zespołu rozmawiało z wojskowym personelem – pozostali dyskutowali z cywilami, a więc większość z nich wiedziała, gdzie szukać wsparcia.

Kiedy Horner upewnił się, że nikt ich nie słyszy, zwrócił się do byłego podoficera. Mike nadal wertował dokumenty. Blask białych świateł na wysokim suficie uwydatniał liczne nadruki „Ścisłe tajne” na kartkach dokumentacji.

– No? – Generał skinął głową w stronę dokumentów. – Co o tym sądzisz? Chciałbym poznać twoje zdanie, zanim spotkamy się z resztą zespołu.

– Mam mówić szczerze? – zapytał Mike, oglądając schemat jakiegoś pojazdu.

– Tak.

– Mamy przesrane.

Były podoficer z trzaskiem zamknął notatnik i spojrzał ponuro na pozbawiony wesołości uśmiech generała.

Wyglądał na nieco bardziej przygnębionego niż zwykle, a generał wiedział z doświadczenia, że to mogło oznaczać wszystko albo nic.

– Czy byłbyś łaskaw wyrażać się bardziej precyzyjnie? – zapytał Horner i złożył dłonie w kształt piramidy.

Mike przesunął się na bok w krześle, dzięki czemu lepiej widział twarz generała, i uderzył ręką w dokumentację.

– Według tego możemy spodziewać się pięciu fal inwazji w około półrocznych odstępach i dodatkowych mniejszych ataków, niezależnych od głównych najazdów. Pierwsza fala dotrze tu za jakieś pięć lat. Podczas każdej inwazji będziemy musieli stawić czoło pięćdziesięciu do siedemdziesięciu wielkim bojowym kulom kolonizacyjnym, a w skład każdej z nich wchodzi od pięciuset do sześciuset lądowców bojowych. Na pokładzie każdego lądowca będzie posleeński odpowiednik dywizji wojska, mimo że nazywamy go brygadą. Mam rację?

Pięćset do sześciuset dywizji?

– Tak. Bardzo małe, niemal kieszonkowe, dywizje. Wolę określenie „brygady”.

Horner otworzył własną dokumentację i sprawdził liczby.

– Ale każda kula będzie zawierała do czterech milionów żołnierzy wszystkich typów. Zgadza się?

– nalegał Mike.

– Zgadza się.

– Czyli każda fala inwazji przyniesie dwieście czterdzieści milionów dobrze uzbrojonych pozaziemskich żołnierzy.

Oskarżenie było stanowcze.

– Tak.

– Pięć razy. Liczba uczestników każdego najazdu przekracza ostatnie znane mi dane na temat liczby personelu wojskowego na świecie. I każdy z tych Posleenów jest żołnierzem, a nie jeden na dziesięciu jak we współczesnych armiach.

– Niestety – Horner obdarował Mike'a kolejnym ze swoich pozbawionych wesołości uśmiechów.

– Nie widzisz w tym przypadku jakiegoś problemu? – zapytał cicho Mike, rytmicznie to zaciskając, to rozluźniając dłonie.

– Czekam, aż sam to z siebie wyrzucisz – przyznał Horner.

– W porządku. Więc, ci... Posleeni dysponują kompaniami około czterystu żołnierzy każda. Wszystkie są dowodzone przez kogoś zwanego Wszechwładcą, posiadającego ciężką broń zamontowaną na pojeździe.

Urwał i przez chwilę rozmyślał o strukturze takiej armii. Naraz przyszło mu coś do głowy i uśmiechnął się dziwnie.

– Co? – zapytał Horner i spojrzał na niego uważnie.

– Wiesz, co mi to przypomina?

– Co?

– Strukturę armii w czasach Sun Tzu.

Spojrzał na generała i zauważył jego zakłopotany wyraz twarzy.

– Jeden ciężki rydwan na dziesięciu piechotnych – wyjaśnił.

Jack zastanowił się przez chwilę i przytaknął.

– Więc co nam to daje?

– „Kiedy wróg jest silny, wycofujemy się, kiedy jest słaby, atakujemy.” – Tak, i podstępny strategiczny. A jeśli chodzi o broń?

– Posleńska kompania będzie dysponować jakimiś ośmioma ciężkimi wyrzutniami rakiet – ciągnął Mike, patrząc w dokumentację. – Należy przypuszczać, że rakiety te przebiją Abramsa wzdłuż na wylot. Jeszcze kilka trzymilimetrowych dział Gaussa, które pewnie załatwią Abramsa z boku, a już na pewno rozwalą Bradleya.

– Nie można nimi wycelować – zauważył generał.

– Z całym należnym szacunkiem, sir, można – nie zgodził się Mike. – Broń nie ma celowników, ale to nie znaczy, że nie można wycelować. A z tego, co wiemy, Posleeni lubią zmasowany atak.

– Słusznie – przyznał Horner. – Ale pomoże im to tylko przy strzelaniu na niewielką odległość. Czy nam to coś daje?

– Tak, i właśnie o to chodzi. Jeśli podejdziemy za blisko, rozwalą nas przy użyciu dowolnego nowoczesnego systemu.

Mike uniósł brew.

– Właściwie sam już do tego doszedłem – stwierdził Horner.

Obdarzył Mike'a kolejnym chłodnym uśmiechem i opuścił ręce. Zmęczyło go narzekanie, nadszedł czas na pomysły.

O'Neal znowu otworzył teczkę dokumentów.

– Żeby ich zatrzymać, potrzebujemy piechoty. Możemy uzyskać przewagę, jeśli użyjemy artylerii, lotnictwo nie wchodzi w grę, możemy też użyć jakichś cudownych czołgów, ale jeśli będą za drogie, wykończą nas koszty produkcji. Ale potrzebujemy czegoś, żeby przeprowadzić atak, a nie tylko bronić się w fortyfikacjach. Musimy być w stanie zatrzymać ich w miejscu i przetrwać, nawet jeśli będziemy otoczeni, wezwać wsparcie ogniowe...

– Przyszły mi do głowy dwie rzeczy – powiedział Jack.

Mike spojrział na schemat pojazdu Wszechwładcy, antygravitacyjne sanie w kształcie spodka, z ciężką bronią zamocowaną centralnie. Na ilustracji był to wielolufowy ciężki laser.

– Myślę, że możemy użyć mechów – powiedział generał i odchylił się lekko w bok, żeby zobaczyć, czy były podoficer go słucha. Ciche parsknięcie było wystarczającym potwierdzeniem.

– Co?

– Widzisz? – zapytał Mike i wskazał na laser.

– Tak.

– Napisano tu, że Wszechwładcy używają ciężkich laserów, ciężkich dział Gaussa albo wieloprowadnicowych powtarzalnych wyrzutni pocisków hiperszybkich. Więc o ile nie masz na myśli mechów w ilości wystarczającej do przytłoczenia celu, nie chciałbym być w niczym takim jak mech. – Mike znowu wskazał rysunek. – Pięć, sześć takich dział rozbiłoby go na miazgę, a takich dział jest od czternastu do dwudziestu na „brygadę”. Nie mówiąc już o tym, że żaden mech nie wytrzyma trafienia pociskiem hiperszybkim. Zresztą kawaleria zaliczyłaby mechy raczej do swojej działki.

– Ja się zajmę walką na górze – powiedział generał – a ty się zajmij systemami. A może ich zabijemy zanim będą mieli szansę zabić nas? Powinno nam się udać zaatakować z daleka i wyeliminować Wszechwładców.

– Pewnie tak, w sprzyjających okolicznościach, Jack, ale co się stanie, kiedy się wreszcie zbliżą? Albo kiedy nagle znajdziesz się pomiędzy nimi? Daj spokój! Sam mnie tego uczyłeś. Na pewno pamiętasz, co się stało w Grenadzie.

– W takim razie pancerze wspomagane, które były moim drugim pomysłem, też nie wchodzi w grę – powiedział generał i skrzywił się.

Wysłanie nie chronionej niczym piechoty przeciw tym wojskom ponad wszelką wątpliwość skończyłoby się rzezią.

– Niekoniecznie – stwierdził Mike i otworzył dokumentację na innej stronie. – Posleeni walczą przecież w falangach. Duże bloki zwykłych wojowników z Wszechwładcami w nieregularnych odstępach, zazwyczaj daleko z tyłu.

– Zgadza się. – Generał zmrużył oczy, kiedy patrzył na Mike'a, i próbował nadążyć za jego tokiem rozumowania.

– I zasadniczo nie można ich zawrócić. Nie można ich ani wystraszyć, ani zmusić do odwrotu.

Mike w zamyśleniu podrapał się po podbródku.

– Galaksjanom nigdy się to nie udało – zaznaczył Horner z wyraźną sugestią, że mogłoby się to udać Ziemianom.

– Więc trzeba ich wybić wszystkich co do jednego. – Mike podrapał się w policzek, który zaczął już pokrywać się słabym meszkiem zarostu. – Ale nawet jeżeli będziemy na wzniesieniu terenu, a oni będą mieli ograniczone pole manewru, to i tak jeśli zabijemy jeden milion, zostaną nam jeszcze dwa.

– Tak – zgodził się Horner. – Więc potrzebujemy czegoś na tyle silnego, że zabiłoby miliony i jednocześnie przetrwałoby atak milionów.

Horner zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział, i przyszło mu do głowy coś podobnego do piechoty.

– Masz rację, to niemożliwe, mamy przesrane.

Generał potrząsnął głową, zaciął usta i utkwił wzrok w jakimś odległym punkcie przestrzeni.

Mike otworzył nagle szeroko oczy i strzelił palcami.

– Masz rację tylko częściowo. Nie musimy mieć czegoś, co przetrwa uderzenie milionów pocisków jednocześnie.

– Dla podkreślenia słów miarowo kiwał palcem. – Jeśli użyjemy mecha, będzie wystawał ponad formację wroga i stanie się celem dla każdego Posleena. Ale jeśli użyjemy pancerzy wspomaganych, będziemy na ich poziomie i wtedy mogą nas trafić tylko jednostki z pierwszego szeregu. Jeśli jednostka pancerzy sama rozpęta wystarczające piekło, będzie w stanie zmniejszyć ostrzał skierowany przeciw niej, szczególnie jeśli wesprzemy ją artylerią. Poza tym jednostka taka mogłaby przemieszczać się po nierównym terenie, nie do przebycia dla Posleenów i cholernie trudnym dla czołgów i mechów. Poruszałaby się szybciej niż Posleeni i przy każdym kontakcie zadawałaby im ogromne straty. Przy odpowiedniej komunikacji z dowództwem i sprawnych systemach kontrolnych jednostka będzie w stanie podać precyzyjnie współrzędne wroga i jednocześnie odpowiedzieć na bezpośredni atak z bliska i z daleka.

Na zakończenie Mike kiwnął głową.

– Od początku byłem za pancerzami wspomaganymi, ale chciałem się upewnić, czy moja intuicja dobrze mi podpowiada.

Z uśmiechem odchylił się do tyłu na krześle, ogarnięty uczuciem ulgi. Nadciągająca burza wywołała duże straty, ale jeśli Galaksjanie będą w stanie dostarczyć pancerze wspomagane, ludzkość będzie mogła jednak przetrwać.

– Dobra – powiedział Horner, kiedy zastanowił się na tym pomysłem.

Zaczął marszczyć czoło, co było niewątpliwą oznaką zadowolenia.

– Niech tak będzie, jeśli tylko Galaksjanie potrafią to zbudować.

– I jeśli nas na to stać. Pancerze będą drogie. A skoro już o tym mowa, czy możesz mi wyjaśnić zależność między budżetem i strukturą armii? Nie opisano tego dokładnie w dokumentacji.

Mike przerzucił strony, żeby przeszukać indeks, ale jedyny wpis odnosił się do pojedynczej, niewiele mówiącej linijki tekstu.

– Cóż – powiedział Horner, a jego twarz stała się jeszcze bardziej ponura. – Mówiono mi o tym. Galaksjanie walczą z Posleenami od czasu naszej wojny secesyjnej. Początkowo bronili każdej planety jako Federacja, ale kiedy stracili ich zbyt wiele, przestali sobie radzić z kosztami. Więc teraz podczas obrony każda planeta jest zdana tylko na siebie, a Federacja wspiera jedynie Flotę. Atakowane planety mogą uzyskać fundusze od innych sojusznicznych planet. My jednak nie zawarliśmy żadnych sojuszów międzyplanetarnych, więc źródło funduszy na obronę jest naszym głównym problemem.

– Ale skoro mamy Flotę, Posleeni nigdy nie wylądują – zauważył Mike.

– Zgadza się – przytaknął Horner – ale Flota składa się w tej chwili ze statków bardzo złej jakości. Właśnie to muszą naprawić chłopaki z marynarki i lotnictwa.

Wskazał innego starszego oficera, admirała, który był pochłonięty rozmową z jakimś cywilem.

– I zgadnij, kto podpisze kontrakt z marynarką – parsknął śmiechem Mike, kiedy rozpoznał cywila.

– Więc zostawia nas tutaj, żebyśmy gnili na ziemi – skończył kwaśno Mike. – Mam nadzieję, że przynajmniej przewiozą nas bojowym wahadłowcem.

– Niezupełnie. Jednostki, które zaplanujemy na tej konferencji, oparte na technologii Galaksjan,

zostaną najpierw wykorzystane przez Flotę. Niektóre zostaną przydzielone do obrony „domu”, ale większość będzie użyta na innych planetach.

Horner z kamienną twarzą czekał na nieuniknioną reakcję na to stwierdzenie.

– O, rany – powiedział Mike ze złością. – Więc wymyślimy sprzęt, wyślemy go poza planetę i zgubimy Ziemię? Kim my jesteśmy, nową Australią? – zapytał, odnosząc się do sytuacji tego kraju podczas drugiej wojny światowej.

Kiedy przeważająca część wojsk Australii walczyła z Niemcami w Północnej Afryce, kraj ten został najechany przez Japończyków. Tylko dzięki amerykańskiej interwencji i uśmiechowi losu na Morzu Koralowym udało się nie dopuścić, żeby kontynent wpadł w ręce Japończyków.

– Tak jak powiedziałem – wyjaśnił cierpliwie Horner – odpowiednia ilość zostanie przydzielona do samoobrony.

Cała sprawa polega na tym, że Galaksjanie pokryją koszty sprzętu, badań i rozwoju. Naprawdę musimy się postarać, bo będziemy potem używać w walce tego, co stworzymy podczas tej konferencji. Mamy nie tylko wymyślić systemy obronne, ale musimy też wszystko zatwierdzić. Ta broń nie zostanie przyjęta zgodnie ze zwyczajowymi procedurami.

– Co? Dlaczego? – zapytał zaskoczony Mike.

Powstanie projektu i jego zatwierdzenie było zazwyczaj długotrwałym procesem wymagającym milionowych nakładów. Mimo że do zespołu należał nie tylko on i generał, grupa taka w normalnych okolicznościach ograniczyłaby się tylko do fazy projektowania.

– Zastanów się, Mike – powiedział generał. – Mamy tylko pięć lat, a nawet mniej, jeśli wziąć pod uwagę wysłanie wojsk na planety już oblężone i ataki, które mogą się rozpocząć jeszcze przed główną falą inwazji. Musimy te systemy zaprojektować, zbudować, przetestować, napisać do nich podręczniki i wdrożyć odpowiednio wcześniej, żeby można było w pełni przygotować jednostki na inwazję. – Horner uśmiechnął się drapieżnie. – A to oznacza też, że żaden nawiedzony koleś od kontraktów wojskowych za cztery miliardy dolarów nie dostanie zamówienia.

Wszystko od początku do końca zaprojektuje nasz zespół i przedstawiciele Indowy i Tchpth.

– Tak! – powiedział Mike z uśmiechem.

– Ale skąd weźmiemy ludzi? – ciągnął. – Nawet jeśli przeprowadzimy powszechną mobilizację i wezwiemy wszystkich takich jak ja, którzy są jeszcze dość młodzi, może się zdarzyć, że i tak nie starczy nam ludzi dla Floty i sił lądowych.

– Przede wszystkim – powiedział Horner z uśmiechem – naszym zadaniem jest skoncentrować się na systemach i pozwolić, żeby pozostali zajęli się ich urzeczywistnieniem. Ale żeby ci uzmysłwić, że nie ma z tym problemu, zaznaczę, że mówiłem poważnie, że wezwiemy każdego sukinsyna, który kiedykolwiek miał na sobie mundur.

– Galaksjanie wprawdzie niechętnie odnoszą się do pomysłu dzielenia się technologią medyczną z powodu ich etyki badań biologicznych, ale przekażą nam tajniki technologii odmładzania i przedłużania życia. Wezwiemy ludzi, którzy nie nosili munduru od czasu Wietnamu, jeśli będzie trzeba. A może nawet i starszych.

Mike zastanowił się nad tym przez chwilę, otworzył usta, zamknął je z powrotem, zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Czy ktoś to naprawdę przemyślał?

– Tak – powiedział Horner z uśmiechem.

– Czyli... – Mike urwał, starając się przetworzyć jakąś myśl. – rzuć kamieniem, a trafisz weterana. Weterani może i stanowią tylko kilkanaście procent populacji, ale za to są wszędzie...

– I często okazuje się, że to właśnie dzięki nim wszystko trzyma się kupy.

– Tak – zgodził się Mike. – To spowoduje całkowity zastój we wszystkich gałęziach gospodarki. Produkcja, transport, wytwórstwo żywności, sądownictwo... no, może oprócz sądownictwa i marketingu.

Horner uśmiechnął się na ten mały żarcik.

– Tak będzie. Z drugiej strony nie wezwiemy wszystkich od razu. Obecny plan zakłada selekcję na podstawie wieku, stopnia wojskowego, punktów za „jakość” służby.

– „Jakość”? – przerwał Mike.

Wyobraził sobie grupę cywilnych biurokratów, którzy na podstawie raportów decydują, kogo przywrócić do służby. Raporty te często nie dawały prawidłowej oceny oficerów i podoficerów.

– „Jakość”. Może powinienem powiedzieć „jakość bojowa”. Dziwnym trafem byłem na tym spotkaniu. – Horner mocno zmarszczył czoło. – I zaznaczyłem, że będziemy potrzebować żołnierzy z przeszkoleniem bojowym. Innymi słowy, prawdziwych weteranów. Każdy medal za odwagę zwiększa przydatność, tak jak działalność wywiadowcza i czas spędzony w strefie działań wojennych...

– O, cholera – wyszeptał Mike i zaśmiał się lekko.

– ... więc żadnych tyłowych pierdzistołków – skończył Horner z nieczęstym u niego śmiechem.

– Cholera – powiedział znowu zaskoczony Mike. – Dobra, więc nie będzie problemu z doświadczonymi w walce, wyszkolonymi żołnierzami.

Mike potarł pokrywający się zarostem podbródek i przyjrzał się tekstowi o galaktycznych technologiach.

– Federacja dysponuje dużą wiedzą na temat kontroli grawitacji i wszystkich innych zjawisk związanych z bezwładnością, łącznie z systemami energetycznymi. – Przewrócił stronę i ściągnął brwi w zamyśleniu. – I najwyraźniej w dziedzinie materiałoznawstwa. Żadna tam psychotechnologia ani inne „czary”; porządna nanotechnika, jednak nic, co dałoby się bezpośrednio zastosować w działaniach wojennych. Na razie. Wszystko dotyczy transportu i biotechniki. Chyba mogę coś zrobić na podstawie tych danych, ale w jaki sposób uzyskamy dokładniejsze odpowiedzi na nasze pytania?

Horner wyciągnął z teczki czarne pudełko wielkości paczki papierosów i wręczył je Mike'owi.

– To jest przekaźnik obdarzony sztuczną inteligencją, obsługiwany za pomocą głosu i w pełni interaktywny.

Pozostaje w kontakcie z siecią podobnych urządzeń i wszystkimi dostępnymi dla nas pozaziemskimi bazami danych.

– Wyjął własny przekaźnik i odezwał się do niego. – Przekaznik, mówi generał Horner.

– Gotów, sir – rozległ się pozbawiony akcentu głos.

– Proszę uruchomić drugi przekaźnik dla Michaela A. O'Neala. Udzielam zezwolenia na dostęp do wszelkich informacji dotyczących GalTechu i na ich wykorzystanie zgodnie z moimi rozkazami. Czy to jasne? – zapytał Horner.

– Tak jest, generale. Witamy w zespole projektowania uzbrojenia piechoty GalTechu, sierżancie O'Neal.

– Nie przywrócono mnie jeszcze do służby.

O'Neal uśmiechnął się. To było pierwsze galaktyczne urządzenie techniczne, z którym miał do czynienia, i spełniało ono wszystkie kryteria dobrej fantastyki naukowej. Ale z drugiej strony inteligentny przekaźnik już na samym początku popełnił błąd.

– Dziś rano o siódmej trzydzieści dwie prezydent podpisał rozkaz przywrócenia do służby w nadzwyczajnym trybie wszystkich uczestników konferencji GalTechu, z wcześniejszym przeszkoleniem wojskowym. Dokumenty dotyczące zwolnienia pana z obecnego stanowiska i nadania

stopnia oficerskiego przygotowano do pańskiego podpisu.

Kamienna twarz podoficera zwróciła się w stronę generała.

– Nic na to nie poradzę, Mike – wzruszył ramionami generał. – Ktoś najwyraźniej uznał, że lepiej to zrobić bez uzgodnienia. Ale przyznam, że to ja kazałem przygotować dokumenty dotyczące awansu.

Mike podrapał się w podbródek i spojrzał w sufit. Zauważył czarne sfery kamer bezpieczeństwa. Nagle ogarnęło go przeczucie, że odtąd zawsze będą go otaczać kamery i mundury wojskowe, a jego życie porwą nieznane wichry losu. Zamknął oczy i z głową nadal przechyloną do tyłu zmówił cichą, smutną modlitwę za koniec złotego wieku, koniec niewinności, koniec, o którym wciąż wiedzieli tylko nieliczni.

– Cóż, panie generale – powiedział cicho, nie otwierając oczu. – Chyba powinniśmy zacząć pracować na nasze hojne wynagrodzenie.

Statek wyszedł z nadświatłnej i ukazała się przed nim planeta Barwhon, świat mgieł i purpurowej roślinności.

– Przedostaniemy się przez nie zabezpieczony korytarz, który według naszych danych nie należy jeszcze do Posleenów.

Starszy sierżant Mosovich po raz ostatni zerknął na opis misji. Członkowie Żrenicy 1, jak oficjalnie nazwano zespół, siedzieli przy małym stole w ciasnym himmickim statku, jedząc śniadanie i popijając ostatnią odrobinę prawdziwej kawy, a planeta rosła w oczach na ekranie wizyjnym. Atmosfera była napięta; w powietrzu unosił się zapach podniecenia. Wszyscy byli wyszkolonymi żołnierzami, ale otoczenie nie pozwalało im zapomnieć, że znaleźli się w grupie ludzi, którzy pierwsi postawią stopę na obcej planecie. Otrzymali zastrzyki hibernacyjne, jeszcze zanim statek wystartował z atolu Kwajalein. Prawie nie mieli czasu, żeby uporać się z poczuciem alienacji, gdyż zastrzyki zadziałały i zapadli w sen. Teraz wszystko w zasięgu wzroku roztaczało delikatną aurę obcości.

Oświetlenie mamiło wzrok. Nie było jarzeniowe ani fluorescencyjne i wydawało się niezbyt dostosowane do ludzkich oczu. Odnosiło się wrażenie, że na statku nie jest ciemno, tylko większość światła leży w zakresie fal niewidzialnych dla ludzi. Przedmioty majaczyły na granicy widoczności, niby dostrzegalne, a jednak nieuchwytnie.

Leśny kamuflaż załogi zmienił się pod osobliwym oświetleniem w dziwaczne, nieostre plamy czerni i migotliwej zieleni.

Pokłady i ścianki działowe miały głównie niebieską lub błotnobrązową barwę. Odnosiło się wrażenie, że kolory były jaskrawe, tylko że nie w taki sposób, w jaki pojmują to ludzie.

W powietrzu unosiły się słabe, drażniące zapachy, dziwne i tak samo obce. Nie pochodziły ani od związków organicznych, ani od maszyn, były po prostu inne. Okazjonalne piskliwe dźwięki pobrzmiwały na granicy słyszalności, drażniły podświadomość. Może były to komunikaty dla całego statku, może startujące podsystemy, a może duchy martwych Himmitów. Dyskomfort zwiększały niewłaściwie skonstruowane meble. Stół był za wysoki, ławki za niskie, siedzenia za małe. Meble zaprojektowano najwyraźniej dla ludzi, ale ich twórcą nie była na pewno istota, która miała ich używać.

Wszystko wokół raziło obcością. Żołnierze ścieśnili się i łapczywie kończyli posiłek. Każdy marzył skrycie, żeby choć przez chwilę zobaczyć jeszcze coś prawdziwie zielonego albo żółtego.

Himmit Rigas był obecny, a jeśli na statku znajdowali się jeszcze jacyś inni himmiccy członkowie załogi, to nie dawali się zobaczyć. Dla Himmitów drapieżnik był zawsze drapieżnikiem i Rigas musiał być szalony, żeby się z nimi zadawać.

– Na planecie nie ma kontynentów ani oceanów, jest tylko jedno wielkie bagno i dżungla. Zaczniemy misję w terenie, gdzie jest więcej bagna niż dżungli, bo nie da się zamaskować akustycznych i termicznych sygnałów pochodzących ze zwalniającego statku kosmicznego. Potem przeniesiemy się w ten region. – Mosovich wskazał obszar na ekranie wizyjnym po to, żeby podkreślić, że prawie nadszedł już czas rozpoczęcia misji! – To jest region, który Posleeni najechali w pierwszej kolejności i gdzie asymilacja nie powinna stwarzać trudności. Na początku po prostu

sprawdzimy teren i spróbujemy ustalić, z jakim zagrożeniem mamy do czynienia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, a rzadko tak bywa, skoczmy do innych sektorów i sprawdzimy, co się dzieje w różnych odstępach czasu po podboju.

W czasie kiedy Mosovich mówił, Ellsworthy ostrożnie wybrała całe mięso z gulaszu i przesunęła je na bok talerza, potem oddzieliła ziemniaki od warzyw. Warzywa podzieliła dalej według kolorów na żółte, brązowe i pomarańczowe. Z dziecinnym grymasem wybrała wszystko, co nie należało do żadnej z głównych grup pożywienia. Zanim skończyła, wszyscy zdążyli już zjeść, odchylił się do tyłu w fotelach i obserwowali ten codzienny rytuał. Przez prawie miesiąc przed startem tajnego statku zespół trenował razem. Mieli dość czasu, żeby odkryć swoje mocne i słabe strony, swoje prywatne troski i nawyki. Z luźnej grupy wspaniałych żołnierzy zmienili się w zgrany zespół i oswoiili ze zwyczajami każdego członka drużyny.

Teraz robiono szeptem zakłady na temat tego, którą część posiłku Ellsworthy uzna za prawdziwe jedzenie, a którą, według jej własnego nazewnictwa, za „kleistą papkę”. Ellsworthy ostrożnie zgarnęła z mięsa możliwie najwięcej sosu i połknęła go. Przyjrzała się badawczo pozostałej części posiłku, kręcąc głową z boku na bok i pochylając się, żeby powąchać, aż wreszcie odsunęła talerz. Według Sandry Ellsworthy, ludzie dzielili się na mięsożerców i roślinożerców, a ona doskonale wiedziała, do której grupy się zalicza.

W milczeniu podsunęła talerz siedzącemu po drugiej stronie stołu Muellerowi, kiedy ten pytająco uniósł krzaczaste blond brwi. Potężny podoficer wziął talerz i włożył do ust pozostawione kupki posiłku, nie wyłączając – tutaj Ellsworthy musiała zamknąć oczy – „kleistej papki”. Kiedy skończył, jego policzki były wypchane jak u chomika. Wytarł poplamiony sosem podbródek i znowu uniósł brwi.

– Jeśli już skończyliście... – zaśmiał się Mosovich.

Ten rytuał doskonale rozładowywał napięcie, a w obcym himmickim statku było to potrzebne jeszcze bardziej niż zwykle. Mosovich nie musiał się martwić, czy Ellsworthy zna swoje zadania podczas misji. Gdyby ją poprosił, mogłaby powtórzyć słowo w słowo całą jego wypowiedź.

– W wypadku nie przewidzianych kłopotów odbierze nas za cztery miesiące inny himmicki statek. Martine ma sprzęt komunikacyjny o dużym zasięgu. W razie potrzeby może połączyć się ze statkiem kurierskim. Mamy zapasy na pięć miesięcy w przenośnych kontenerach i magazynach statku, o ile nie stracimy z nim kontaktu. Są jakieś pytania?

Nie było; słyszeli już to wszystko z milion razy.

– Dobra, początek misji za godzinę. Pora założyć skafandry.

Odsunęli się od stołu i ruszyli w stronę komory ciśnieniowej, a Rigas podszedł do pulpitu sterowniczego. Mueller chwycił ostatnie trzy kromki chleba i wepchnął sobie do ust, jeszcze bardziej wydymając policzki.

– Nie mogę uwierzyć, że tak dużo jesz – powiedział Trapp, a na jego berecie przez chwilę zaśniło złoto oznaczenia Komanda Foki.

– Fffuzo ważę. Nie ffak jak ffy, kurfuple! – wielki podoficer wymamrotał niewyraźnie.

W ciasnej komorze ciśnieniowej małego statku sierżant Martine, którego jąkanie ani trochę nie przeszkadzało mu w pracy, otwierał zabezpieczenia sprzętu i broni. Zaczął składać swój zestaw sprzętu, kiedy Ellsworthy wyminęła go, żeby wyjąć broń. Do pomieszczenia niewiele większego od klozetu wpakował się jeszcze Mueller, żeby otworzyć skrzynki ze sprzętem zwiadowczym i materiałami wybuchowymi, a Ersin i Richards zajęli się sprawdzaniem zapasów lekarstw i opatrunków. W niektórych przypadkach sprzęt udoskonalono według technologii Galaksjan.

Urządzenia komunikacyjne używały pól podprzestrzennych, dzięki którym sygnał był wykrywalny,

ale nie można było zlokalizować jego źródła. Jedynym wytworem federacyjnej technologii, z którego ku zmartwieniu Darhelów nie mogli skorzystać, były inteligentne przekaźniki. Galaksjanie bardzo przepraszaali, ale po prostu wszystkie takie urządzenia przypisano już innym użytkownikom.

Podczas gdy reszta zespołu kończyła zapinać plecaki i kombinezony bojowe, Mosovich włożył do ucha odbiornik komunikacyjny i ruchem dłoni nakazał pozostałym zrobić to samo. Następnie zainstalował mikrofon gardłowy na swoim jabłku Adama.

- Próba, ogólny test – wyartykułował, nie otwierając ust i wydając z siebie tylko lekkie mruczenie.
- Operacyjny.
- Zwiad.
- Snajper.
- Terenoznawstwo.
- Sanitariusz.
- Łączność.
- Saper.

Mueller wyciągnął dwie sztuki ładunków wybuchowych C-9 i zamachał nimi demonstracyjnie. Mosovich skarcił go spojrzeniem.

- Dowództwo, test pomyślny. Od tej chwili otwieracie usta tylko po to, żeby jeść.

System odbierał drgania jabłka Adama i przekazywał je w postaci fal o niskich częstotliwościach, które były dużo trudniejsze do wykrycia niż dźwięk. O ile Posleeni w ogóle używali jakichś detektorów, zaszyfrowane mikrodrgania mogłyby im się wydać tylko rodzajem anomalii podprzestrzennych, które zwykle występują na powierzchni planet.

Jeszcze raz sprawdzono plecaki, posegregowano sprzęt i wreszcie wszystko było gotowe. W chwilę później w głośnikach rozległ się głos Himmita Rigasa.

- Za moment wchodzimy w atmosferę. Proszę zająć pozycje.

Członkowie zespołu zapięli plecaki, zamocowali broń i wdrapali się na niewygodne koje ratunkowe. Plecaki, których nie zdejmowali, zmieściły się w specjalnie zaprojektowanych zagłębieniach. Kiedy wszyscy już się ułożyli, plastyczna masa wypełniła przestrzeń między nimi a kojami, a potem powiększyła swoją objętość i zaczęła z wolna pokrywać żołnierzy od stóp do głów, łącznie z przymocowaną bronią. W końcu substancja okleiła kokonem całe ich ciała, z wyjątkiem twarzy. Kiedy masa dobrze dopasowała się do kształtu ich ciał, skurczyła się i maksymalnie ścisnęła. W ten sposób, gdyby doszło do nagłej utraty sterowności, załoga miała pewne szanse na przeżycie.

Wszyscy ćwiczyli ten manewr w symulatorach na Kwajalein, ale mimo to ogarnął ich lęk, kiedy dziwna substancja zaczęła pełzać w górę twarzy, omijając oczy, nos i usta. Kiedy tylko kokony były gotowe, tajny statek kosmiczny uderzył w zewnętrzne warstwy atmosfery i szarpnął jak nie ujeżdżony koń.

– Hej, sierżancie – Mueller zamruczał przez obwody komunikacyjne. – Po co ten cyrk? Skoro mamy kompensatory bezwładności, i tak nic nie pocujemy.

- Nie mam zielonego pojęcia, Mueller – rzucił Mosovich. – Zamknij się i leż spokojnie.

W tym momencie statek skręcił ostro w dół i jednocześnie przechylił się mocno na bok, a twarz sierżanta zzieleniała od przeciążenia.

Ellsworthy, która miała najmniejsze doświadczenie w lotach tego typu, gwałtownie zwymiotowała, co jeszcze pogorszyło sytuację, zwłaszcza że nie mogła przewrócić się na bok. Smród zwróconego gulaszu wywołał u załogi reakcję łańcuchową. Kabinę wypełniły wiązki promieni ściągających, które złapały krople kleistej mazi i wciągnęły je w otwory w ścianach. Wokół koi ratunkowych i twarzy załogi zaroilo się od nannitów, usuwających nieczystości z każdego

centymetra kwadratowego kabiny. Nieoczekiwaną zaletą kokonów okazał się fakt, że ochroniły one mundury i sprzęt.

– Sierżancie Mueller – zabrzmiał interkom, kiedy pająkowate nannity usuwały resztki zawartości żołądka z twarzy żołnierza. – Mówi Himmit Rigas. Nie odczuwacie na szczęście wszystkich skutków manewrów, które wykonuje statek. Podążamy torem maksymalnie zmniejszającym prawdopodobieństwo wykrycia. Ostatni przechył spowodował przeciążenie dwieście razy większe od grawitacji waszej planety. Nie możemy zamaskować naszego śladu termicznego, więc staramy się przyjąć tor lotu bardzo nieregularnego meteoru. A teraz, jak powiedział wasz starszy sierżant, zamknijcie się i leżcie spokojnie.

Część załogi zaśmiała się ponuro, a statek wykonał beczkę i ostro zanurkował ku ziemi.

– Trzydzieści sekund.

Koje ratunkowe jak na komendę uniosły się do pionu i przechyliły, odwracając członków załogi twarzą do dołu.

Podłoga rozchyliła się i przez zasłonę pola siłowego żołnierze zobaczyli purpurowe drzewa planety Barwhon.

Dziewicze zarośla śmigwały w dole szybciej niż rozpędzony pociąg i wydawało się, że statek dzieli od nich zaledwie kilka centymetrów. Wielowarstwowa dżungla była najgęstszym lasem w całym znanym wszechświecie; perspektywa misji bojowej w tym terenie przestała się nagle wydawać dobrym pomysłem.

– Dziesięć sekund.

Mosovich wziął głęboki oddech, a masa plastyczna cofnęła się nagle w głąb koi. Sierżant przycisnął do piersi swojego Zamiatacza Ulic kaliber 12 i postanowił zaufać himmickim urządzeniom. W kabinie rozległ się nagle huk powietrza, dźwięk dobrze znany wszystkim jednostkom powietrznodesantowym, a Mosovich prawie w tym samym momencie poczuł uderzenie w plecy. Połączony efekt wyrzucenia ze statku i grawitacji wydawał się przesądzać o roztrzaskaniu załogi o drzewne giganty rodem z mitów greckich. Kiedy gałęzie niemal sięgały po nich jak odnóża modliszki, Mosovich usłyszał zgrzyt w plecaku i tempo lotu gwałtownie osłabło. Nie odczuł zwalniania. Tylko widok nie przybliżających się już drzew wskazywał, że zatrzymał się w powietrzu. Rozejrzał się i zobaczył pozostałych członków zespołu, którzy podobnie jak on dyndali na rzemieniach swoich plecaków. Włączył obwód opuszczania w galaktycznym urządzeniu antygravitacyjnym i zespół do zadań specjalnych zaczął opadać w stronę nieznanego lasu.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbii,
Sol III 20:12 czasu wschodniego USA,
16 sierpnia 2001**

Prezydent stał na podium i mocno zaciskając dłonie na krawędziach blatu wodził wzrokiem między słuchaczami a ekranem z tekstem przemówienia. Jego wystąpieniu nie wtórował zwykły w takich sytuacjach aplauz. Informacja o przemówieniu przed obiema izbami Kongresu przyszła nagle i była zbyt złowieszcza, żeby wywołać jakiegokolwiek oznaki radości. W ciągu kilku dni między zapowiedzią przemówienia a samym wystąpieniem kraj i świat ogarnęła panika, a plotki rozszalały się jak gwałtowny pożar. Jednostki wojskowe na całym świecie postawiono w stan gotowości, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia, na czym polegało zagrożenie. Znikało coraz więcej naukowców i techników, na prawo i lewo zawieszano realizację projektów, a personel ginął w informacyjnej czarnej dziurze.

Wszyscy wiedzieli już, że była jakaś tajemnica, której skutki miały zatrzęść światem, ale udało się ją zachować aż do tej decydującej nocy.

– Członkowie Kongresu, mężowie stanu, drodzy Amerykanie – zaczął prezydent z najbardziej ponurym wyrazem twarzy, jaki kraj dotąd oglądał. – To jest noc, która przejdzie do historii, noc, która na zawsze utkwi w pamięci człowieka, nawet przez miliony lat.

Powiódł wzrokiem po sali i niemal wyczuł w powietrzu wzrastające zaniepokojenie zebranych polityków. Po raz pierwszy widział tę zazwyczaj rozkojarzoną grupę ludzi słuchających w takim skupieniu czyichś słów. Nie znali tekstu przemówienia i nie mogli go na bieżąco komentować.

– W mediach szerzono wiele plotek na temat ostatnich wydarzeń, tajnych debat, ruchów wojskowych i nagłych zmian w budżecie. Jestem tu dziś, żeby uciszyć wszystkie plotki i przekazać wam całą przerażającą prawdę.

– Drodzy Ziemianie – ciągnął, posłużywszy się wyrażeniem nigdy dotąd nie używanym w takich okolicznościach. – Pięć miesięcy temu skontaktowali się ze mną i innymi przywódcami państw świata emisariusze pozaziemskiego rządu. – Uniósł ręce, żeby uciszyć szum rozmów, które zawrzały wokół. – Przekazali pozdrowienia, prośbę i gorzkie ostrzeżenie...

Nieźle, pomyślał Mike, kiedy oglądał w kawiarni transmisję sieci C-SPAN. Mógł obejrzeć wystąpienie w swoim pokoju, ale po spędzeniu tak dużej ilości czasu na wspólnej pracy w zespole wydawało się naturalne, że będą oglądać je razem. Członkowie zespołów zajmujących się galaktyczną technologią siedzieli w swoich grupach i popijali ulubione drinki. Śledzili program o największej oglądalności w historii telewizji i potrafili nie tylko ze spokojem przyjąć straszne nowiny, ale też na bieżąco komentować przekaz. Oczekali, aż prezydent powoli opisz całą sytuację i zagrożenia. Mike uśmiechnął się na myśl o ironii losu. Już tydzień po tym, jak zaczęli znikać niektórzy pracownicy, jakiś łebski internetowy felietonista sprawdził listę zaginionego personelu. Kiedy stwierdził, że ponad trzydzieści procent stanowili autorzy fantastyki naukowej i pisarze zajmujący się tematyką wojen kosmicznych, a pozostali byli wojskowymi, wyciągnął prawidłowe wnioski. Stał się przedmiotem zgodnej drwiny większości mediów. Najłagodniejszy nagłówek brzmiał „Marsjańskie zagrożenie?”. Mike oczami wyobraźni widział teraz tego dziennikarza z butelką whisky w rękę, krzyczącego z radości, że miał rację.

– ... opóźnienie zostało uzgodnione przez wszystkich wtajemniczonych przywódców państw w celu

ustalenia prawdziwości faktów. Mogło się bowiem zdarzyć, iż mimo pozornej życzliwości Obcych zostaliśmy okłamani.

Dopiero trzy dni temu uzyskaliśmy potwierdzenie. Wysłaliśmy międzynarodowy zespół złożony z naukowców, oficerów armii, przedstawicielei rządu i prasy. Wróć do tego za chwilę. W tym czasie wojskowy i przemysłowy personel pracował w tajemnicy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ze swoimi galaksjańskimi współpracownikami nad wynalezieniem nowej broni, łącząc ziemską wiedzę z galaksjańską technologią. Zespoły te, odcięte od świata w bazach wojskowych, bez możliwości spotkania z przyjaciółmi, nawet bez możliwości zdradzenia im, dlaczego zostali rozdzieleni, doprowadziły do wielkiego przełomu. Pomimo poniesionych ofiar dokonano cudów.

– Ach, to nie były żadne ofiary – zażartował pilot myśliwca za plecami Mike'a. – Sukinsyn i tak miał mnie zostawić.

Mike zerknął na generała Hornera. Oficer z kamienną twarzą patrzył na ekran i wyglądał nagle na zmęczonego i starego. Dopiero dzień wcześniej podjęto ostateczną decyzję, które siły i w jakiej kolejności mają zostać uzbrojone, i kto ma nimi dowodzić. Pomimo jego oczywistych kwalifikacji na dowódcę floty uderzeniowej, stanowisko to przydzielono komuś innemu i generał Horner musiał wrócić do „regularnych” oddziałów, bo we flocie nie było wolnego etatu dla generała broni. Gdyby go nie awansowano, mógłby objąć dowództwo jednej z dywizji, ale najwyraźniej pisane mu było zająć się tylko programem zadań dla personelu wojskowego. Poza tym skoro nie włączono go do działań floty, na pewno wpisano go na listę oficerów, który poddadzą się odmładzaniu. Nie był jeszcze stary i w innych okolicznościach minęłyby lata, zanim przyszedłby dla niego czas na terapię. W każdym razie wiadomości, jakie przyniósł ten dzień, nie były dobre. Na domiar złego otrzymał jeszcze pozew rozwodowy.

– Zaprojektowano, przetestowano i rozpoczęto produkcję myśliwców, pancerników, transportowców i pocisków, które zniszczą wroga w kosmosie. Zaprojektowano również działa, panczerze i czołgi, żeby bronić naszego narodu i całego świata na powierzchni Ziemi....

Mike prawie niezauważalnie wzruszył ramionami i zdjął z nadgarstka inteligentny przekaźnik. Doskonale domyślał się reszty przemówienia. Przez ostatnie dwa miesiące międzynarodowa współpraca okazała się bardziej konieczna, niż spodziewano się tego na początku. Nadal były pewne różnice poglądów pomiędzy głównymi partnerami, ósemką najbogatszych państw, w kwestii szczegółów strategii, ale mimo to udało się zaprojektować wszystko, od superpancerników po panczerze wspomagane, nad którymi Mike pracował osobiście. Problem stanowiły teraz testy, produkcja i rozmieszczenie wszystkiego w terenie, a były podoficer miał przeczucie, że dla niego będzie to również ciężkie doświadczenie.

Podniósł przekaźnik do ucha i szepnął: „Dom.” Przekaznik, uruchomiony chwilę wcześniej, żeby nawiązać kontakt z zewnętrznymi liniami, podłączył się do cywilnej sieci telefonicznej, wybrał numer domowy Mike'a i obciążył jego kartę telefoniczną kosztami połączenia. Wszyscy wokół też dzwonili właśnie do domu i salę wypełnił gwar rozmów.

– Halo? – powiedział ostrożnie kobiący głos.

– Cześć, skarbie, zgadnij, kto mówi.

Było mu ciężko wyksztusić z siebie powitanie, a znajomy głos sprawił, że oczy zasły mu mgłą. W ustach poczuł słony smak.

– Mike? Cally, tatuś dzwoni! Chodź tutaj. Przypuszczam, że prezydent mówił o tobie? – zapytała Sharon.

– Tak, o mnie i o blisko stu pięćdziesięciu innych specjalistach w kraju. Dzięki, że nie zostawiłaś mnie w tym czasie.

– Masz na myśli, że nie wyrzuciłam twoich ubrań za drzwi? Zrobiłam tak z większością tych plamistych. – Zaśmiała się, łykając łzy.

– Cóż, nikt z nas nie miał szczęścia – powiedział cicho i spojrzał na generała.

– Tak to ujął prezydent.

– ...Muszę niestety powiedzieć, że przedsięwzięcie pochłonęło już pierwsze ofiary w ludziach...

– Co? Przepraszam, kochanie, zadzwonię później.

Ścisnął przekaźnik, przerywając połączenie, i zapiął go z powrotem na nadgarstku. Miał nadzieję, że Sharon zrozumie.

– Naszym korespondentem prasowym była międzynarodowej sławy reporterka Shari Mahatsi. Ona, jej operator kamery Marc Renard, specjalista od dźwięku Jean Carron, producentka Sharon Levy, marszałkowie Siergiej Leworst z Rosji i Chu Feng z Chin, generałowie Erton z Francji i Trayner ze Stanów Zjednoczonych oraz ubezpieczający ich francuscy spadochroniarze zginęli na Barwhon 5...

– Dobry Boże – powiedział pilot myśliwca. – Jak to się, do diabła, stało?

Zebrany na sali personel, poinformowany o wszystkim, co dotyczyło zbliżającej się wojny, był zszokowany tą wiadomością. Szmer rozmów nasilił się tak bardzo, że jeden ze starszych oficerów musiał krzyknąć, żeby wszystkich uciszyć.

– ...wyjaśnić, co się wydarzyło, oraz pokazać państwu oblicze wroga, redaktorzy sieci CNN i biura prasowego Departamentu Obrony przygotowali nagranie. To ostatnie dzieło wybitnej dziennikarki ujawnia, tak jak nie dokonałyby tego żadne słowa, prawdziwą twarz diabła. To jest ostatnia transmisja, jaką przechwyciły wspierające nas tajne statki Federacji. Rodzice nie powinni pozwolić małym dzieciom, żeby oglądały ten przekaz.

* * *

– Generale Trayner, pragnę podziękować panu za możliwość...

Ciemnowłosa reporterka była bardzo poważna, a jej spojrzenie zdradzało zdenerwowanie. Stała na polanie w dziewiczym purpurowym lesie. Na obrzeżach kadru widać było spiralne niebieskie i zielone budynki. Wyglądały na zbyt delikatne, żeby sprostać normalnej grawitacji. Niska postać przypominająca kraba przedreptała przed kamerą: to Obcy rasy Tchpth, na zawsze uwieczniony na taśmie, spieszył gdzieś w nieznanym kierunku.

– Co może pan powiedzieć nam w tej chwili na temat oddziałów Posleenów i naszego bezpieczeństwa? Wygląda na to, że niemal wszędzie wokół nas toczy się walka.

Rozległ się daleki trzask, jakby uderzyło tysiąc piorunów, a niebo w tle zapłonęło aktywnym światłem.

Generał uśmiechnął się uspokajająco.

– Cóż, Shari, jak wiesz, Posleeni zasadniczo nie potrafią przekraczać rzek i pokonywać gór. Pomimo pewnych problemów Galaksjanie dosyć dobrze chronią ten teren. Region z dwóch stron ograniczają duże rzeki i dopóki wróg nie przemieści się w górę rzeki, żeby przejść na drugą stronę, z pomocą naszych legionistów – wskazał na pełniących wartę francuskich żołnierzy – nic nam się nie stanie.

– Generale Erton – przysunęła mikrofon do ust drugiego rozmówcy. – Zgadza się pan?

– O, oui.

Wysoki Francuz o arystokratycznym wyglądzie miał ciemnoszary kamuflaż, który dobrze się komponował z otaczającą ich zewsząd purpurą. I on uśmiechnął się uspokajająco, podczas gdy marszałkowie z Chin i Rosji czekali na swoją kolej, żeby jeszcze raz zapewnić nerwową reporterkę

o ich bezpieczeństwie. Żaden z nich nie zdawał sobie jednak sprawy, że dziennikarka spędziła w strefach działań wojennych więcej czasu niż oni wszyscy razem wzięci i rozwinęła w sobie zdolność przeczuwania kłopotów.

– Jak dotąd Posleeni nie okazali się zdolni do sforsowania tych rzek. Ponadto – według wywiadu – po początkowej fazie inwazji nie używają oni lądowników do celów transportowych, tak jak zrobiliby to ludzie...

– Mon Général! – krzyknął jakiś głos w tle. – Le ciel!

Kamera przesunęła się gwałtownie i ukazała widok wież Tchpth wznoszących się na tle zachodzącego fioletowego słońca. Ponad purpurą gigantycznych drzew i wieżami miasta widniał olbrzymi blok jednolitej czerni, z której na wojowników Darhel i ziemskich obrońców sypały się srebrne błyskawice. W odpowiedzi na leniwy lot pocisków samonaprowadzających w kierunku lądownika Posleenów z nieba runęła pręga stalowej błyskawicy. Fala uderzeniowa wywołana wiązką plazmy porwała kamerę i cisnęła nią w powietrze jak dziecięcą zabawkę.

* * *

Kamera leżała na boku. Coś, guzik albo kawałek materiału z ubrania, zasłaniało dolną część obrazu.

Amerykański but spadochroniarski opierał się o stertę szarych łachmanów, rozerwane ciało byłego wroga. Jedyne żywe człowiek w zasięgu wzroku, francuski spadochroniarz, wyjął pusty magazynek i popatrzył na niego w oszołomieniu. Odrzucił go przez ramię, sięgnął za pasek i wyciągnął bagnet. Zamocował go na karabinie i wybiegł z kadru z głośnym okrzykiem „Cameron!”.

Chwilę później na ekranie pojawiły się krostowate, pokryte żółtymi łuskami nogi z orlimi szponami. Kamera wywinęła koziołka w powietrzu, straciła ostrość, a ekran przykryła chmura czerwieni. Ani przez chwilę nie było widać wyraźnego obrazu wroga.

– Drodzy Amerykanie – powiedział prezydent, kiedy znów pokazano obraz podium. – Czeka nas nawałnica, jakiej nie było jeszcze w naszej historii. Jednak niczym majestatyczne dęby mamy mocne korzenie, nasza siłą jest jedność. W czasie nawałnicy możemy stracić liście, może stracimy gałęzie. Ale nasza jedność pod okiem Boga przetrwa, a wiosną rozkwitniemy na nowo.

Przez chwilę panowało milczenie, aż pojedynczy słuchacz zaczął klaskać. Aplauz przybrał na sile, rozprzestrzenił się i przeszedł w grzmiący huk potwierdzenia. Przez jedną krótką chwilę przywódców najsilniejszego państwa świata połączyła jedna wizja, wizja przetrwania i przyszłości. Przez jedną krótką chwilę panowała jedność przeciw nawałnicy.

**Fort Bragg, Północna Karolina,
Sol III 16:48,
19 listopada 2001**

Starszy sierżant Bob Duncan, szef kierowania ogniem w sekcji ciężkich moździerzy drugiego batalionu trzysta dwudziestego piątego pułku piechoty, przysparzał czasem problemów swoim przełożonym, co eufemistycznie nazywano wyzwaniem dla dowództwa. Przez cały czas trwania kariery wojskowej nie zdołał się nigdzie wpasować.

Miał wszystkie odznaczenia, jakich można by oczekiwać po dziesięciu latach służby w osiemdziesiątej drugiej dywizji powietrznodesantowej. Patkę Rangersów, skrzydła spadochroniarskie, belki starszego sierżanta. Jednak mimo wszystko podlegli mu sierżanci jakoś nie do końca mu ufali. Częściowo przyczyną tego była natura jego kariery. Z wielu powodów nie przeniesiono go nigdy do innej jednostki. Przyszedł jako szeregowiec świeżo po szkole indywidualnego szkolenia i desantu piechoty, od razu został przydzielony do kompanii D (ówczesnej kompanii wsparcia) drugiego batalionu trzysta dwudziestego piątego pułku, i tak już zostało. Nie dla niego były transfery do Korei albo Niemiec. Nie wysyłano go do jednostek powietrznodesantowych we Włoszech, na Alasce albo w Panamie. Zamiast tego pełnił chyba wszystkie funkcje w swojej kompanii. Potrzebny zwiadowca, żeby uzupełnić pluton? Sierżant Duncan był zwiadowcą. Potrzebny dowódca sekcji TOW na HUMVEE? Sierżant Duncan. Potrzebny szef centrum kierowania ogniem? Dowódca sekcji moździerzy? Sierżant operacyjny? Wezwij sierżanta Duncana. Duncan był stałym elementem kompanii D, bardziej trwałym niż koszary czy ciągle przenoszeni starsi sierżanci, porucznicy i inni dowódcy. Kiedy tylko nowi szefowie mieli jakieś pytania, nieodmiennie zwracali się do sierżanta Duncana.

Wydawałoby się, że taka wszechwiedza w zakresie funkcjonowania kompanii, od zaopatrzenia (urzędnik biura zaopatrzenia, dziewięć miesięcy) po pluton przeciwpancerny (dowódca plutonu, blisko rok, celowniczy, dowódca zespołu w jeepie, sierżant bazy motorowej), powinna prowadzić do ciągłych pochwał i szybkich awansów. Przy jakimkolwiek niebezpiecznym i brudnym zadaniu, przy jakiegokolwiek trudnej robocie w kurzu i pyłe niezbędny był sierżant Duncan.

Ale to stwarzało też pewne problemy. Jak można dawać te same rady, udzielać w kółko tych samych lekcji, i to nie podkomendnym, a przełożonym, i nie rozwinąć w sobie pewnej wyniosłości? Gdyby dowódca kompanii stale musiał cię o coś pytać, nieuchronnie doszedłbyś do ubliżających mu wniosków. Gdybyś dwa razy w swojej karierze przewodził niedobitkom kompanii na manewrach ćwiczeniowych, z czego raz dostałbyś dużo wyższą notę niż twój aktualny dowódca, gdyby najcięższe zadanie stało się dla ciebie rutyną, gdyby zawsze wybierano cię jako pierwszego do każdej trudnej i nieciekawej pracy, bo jesteś w tym cholernie dobry i twój pierwszy sierżant ma cię wtedy z głowy, ogarnęłoby cię w końcu nieopisane znużenie. W przypadku żołnierzy takich jak sierżant Duncan znużenie to zawsze prowadziło do niefortunnych innowacji. Może byłoby lepiej, gdyby druty przebiegały tędy? Co by się stało, gdybyśmy zrobili to w ten sposób? Może użyjemy tych fajerwerków do produkcji miny-pułapki?

Reperkusje tego ostatniego eksperymentu odczuwał do dzisiaj.

Byłoby o wiele lepiej dla sierżanta Duncana, dla armii, a już na pewno dla kompanii D, gdyby przeniesiono go i postawiono przed nowymi wyzwaniami. Ale on pozostawał ciągle stałym

elementem kompanii i batalionu, i zaczął coraz bardziej gnusnieć.

Zrządzeniem losu odmiana przyszła i do niego. Odwrócił czarną skrzynkę i usiadł na pryczy naprzeciwko swojego obecnego współlokatora, którego nie znosił. Zwrócił uwagę na zadziwiające zjawisko, że najwyraźniej nie znosił trzy razy więcej współlokatorów niż ich kiedykolwiek miał. Niedługo przyjdzie pora, żeby okazać niechęć także i temu sierżantowi zwiadowcy, któremu wydaje się, że zjadł wszystkie rozumy. Cóż, Duncan był zwiadowcą, kiedy ten mały gówniarz chodził jeszcze do szkoły, więc według Boba Duncana mógł równie dobrze spakować swój pieprzony worek na rzeczy osobiste i od razu wkroczyć do akcji. Głupi dureń uważnie ostrzył na diamentowej ostrzałce nóż długości mniej więcej swojego przedramienia, jakby już następnego dnia miał go użyć przeciwko Posleenom. O ile sierżant Duncan zdołał ustalić, na ciałach Posleenów nie było ani jednego miejsca, gdzie można by wepchnąć nóż i zadać śmiertelną ranę. Poza tym jak zamierzał użyć noża w pancerzu wspomaganym? Ciągłe ostrzenie stawało się jeszcze bardziej irytujące niż drapanie wełny z pościeli na łóżku. Rany boskie! Do jasnej cholery, zabierzcie tego gościa z mojego pokoju!

Duncan czekał, aż zwołają ostatni apel, i żeby zapomnieć o durnym współlokatorze przyglądał się ostatniej czarnej skrzynce, jaką im przydzielili. Była wielkości mniej więcej pudełka Marlboro, płaska, o intensywnie czarnej barwie, z wyglądu bardzo podobna do inteligentnych przekaźników. Czarna jak as pik. I wytwarzała pole siłowe, którego nie można było przebić kulą kaliber .308. Duncan już to sprawdzał. Kilka razy, żeby się upewnić. Skrzynka nawet nie drgnęła, kiedy pociski odbijały się rykoszetem; to był ciekawy widok. Dość powiedzieć, że chłopaki wokół ruszali się cholernie szybko, kiedy kule wróciły na teren klubu strzeleckiego w Fort Bragg. Na szczęście w okolicy nie było żadnych trepów. Inni strzelcy tylko się śmiali, a potem powrócili do strzelania.

Dobra, więc skrzynka odbijała pociski. Ale pole rozwijało się tylko na jakieś dwa metry w każdą stronę i zatrzymywało, kiedy napotykało przeszkodę. Zatrzymywało się. Nie omijało przeszkody. Po prostu się zatrzymywało, co było kompletnym niewypałem, jeśli się nad tym przez chwilę zastanowić. I skrzynkę trzeba było specjalnie przymocować, a nie tylko schować ją w odpowiednim miejscu. Duncan odbył krótką rozmowę z inteligentnym przekaźnikiem i okazało się, że cholerna skrzynka miała coś w rodzaju blokady bezpieczeństwa.

Więc Duncan porozmawiał z przekaźnikiem jeszcze trochę dłużej i przekonał go, że skoro byli batalionem eksperymentalnym, to powinni mieć prawo eksperymentować. Przekąźnik sprawdził protokoły i najwyraźniej zgodził się z tym, bo wyłączył blokady. Duncan upewnił się, że przyrząd jest w zasięgu ręki, i uruchomił go.

Urządzenie wytwarzające osobiste pole siłowe działało na zasadzie generowania siatki siłowej o niskiej energii.

Zaprojektowano je w taki sposób, żeby przez czterdzieści pięć minut podtrzymywało pole siłowe wokół obszaru o powierzchni dwunastu metrów kwadratowych. Jeżeli nastawiono by je na maksymalny zasięg, pole objęłoby powierzchnię tysiąca dwustu pięćdziesięciu metrów kwadratowych i utrzymałoby się przez trzy milisekundy. Siatka była praktycznie dwuwymiarowa. Rozwijała się na dwadzieścia metrów w każdą stronę, przenikając przestrzenie między atomami.

Siatka przecięła teraz powietrze niczym samurajska katana, przechodząc przez wszystkie przedmioty, belki dwuteowe, konstrukcję łóżka, szafki na ścianach i, na nieszczęście dla współlokatora sierżanta Duncana, przez jego kończyny. Płaszczyzna siatki, cieńszej od włosa, sięgała od magazynu, gdzie między innymi rozcięła całe pudełko piór Bica i spowodowała ogromny bałagan, aż po dach, gdzie zrobiła ogromną wyrwę. Jednak kiedy całą bazę zaatakowali później Posleeni, i tak nikt nie zwracał już uwagi na tę jedną wyrwę. Ponadto wydajność urządzenia była większa niż zespołu obwodów nadprzewodnikowych i tracona energia szybko ogrzała skrzynkę do ponad dwustu

stopni Celsjusza.

– Jezu! – wrzasnął sierżant Duncan i upuścił parzące nagle urządzenie, a jego prycza spadła na podłogę. Kiedy przełamana podłoga zapadła się lekko do środka, zaczął zsuwać się naprzód, podobnie jak jego towarzysz na drugiej pryczy. Współlokator wydał z siebie przeraźliwy krzyk, kiedy jego nogi odłączyły się nagle poniżej kolan od ześlizgującego się po pochylni ciała, a jasnoczerwona krew bluznęła na szybko ciemniejącą pościel.

W swoim czasie sierżant Duncan widział więcej tragicznych wypadków niż ktokolwiek inny, więc teraz zadziałał bez zastanowienia. Szybko owinał rzemień spadochronowy wokół kikutów. Nóż doskonale nadał się na krępulec przy jednej opasce uciskowej; dobrze umiejscowiony nie przeciął nawet rzemienia. Druga opaska spowolniła upływ krwi po użyciu samozaciskającej się pętli, bardzo przydatnej do przygotowywania pojazdów do twardego lądowania lub w kontaktach z pewnego rodzaju kobietami. Nieszczęsny współlokator miotał przekleństwa i płakał; dla kogoś takiego jak on utrata nóg mogła oznaczać śmierć.

– Przestań – warknął sierżant Duncan, kiedy wsunął śrubokręt pod drugą opaskę i zacisnął ją, aż ustał upływ krwi. – Potrafią teraz sprawić, że wyrosną ci nowe nogi.

Wzrok współlokatora stawał się mętny od utraty krwi, ale mężczyzna zdołał jeszcze uchwycić sens wypowiedzi i przytaknąć, zanim zemdlął.

– Za to ja siedzę w gównie – szepnął wreszcie Duncan, przycisnął poparzoną dłoń do piersi i wdrapał się w górę pochylni do drzwi.

– Sanitariusz! – ryknął w głąb korytarza, oparł się plecami o framugę i popatrzył niewidzącym wzrokiem na podłogę opadającą ku miejscu niezwykle równego cięcia.

* * *

Starszy sierżant Black wszedł do biura dowódcy batalionu, przepisowo wykonał zwrot w prawo i zasalutował.

Sierżant Duncan wszedł tuż za nim i stanął na baczność.

– Starszy sierżant Black melduje się na rozkaz z jednym podkomendnym – powiedział zdecydowanym, ale cichym głosem Black.

– Spocznij, sierżancie Black – powiedział podpułkownik Youngman.

Patrzył na sierżanta Duncana przez całą minutę. Duncan stał na baczność i pocił się, czytając wiszący na przeciwległej ścianie dyplom mianowania na oficera. Jego umysł odpłynął w takie miejsce, w którym nie mogło być mowy o sądzie wojskowym. Duncan miał nieodparte wrażenie, że ostatnie wydarzenia z pewnością były snem, koszmarem nocnym. Nic tak okropnego nie mogło się zdarzyć w rzeczywistości.

– Sierżancie Duncan, i to jest czysto retoryczne pytanie, co ja mam z wami zrobić? Jesteście bardzo kompetentni, o ile akurat czegoś nie spieprzycie, a najwyraźniej robicie to na zawołanie. Odbyłem rozmowę ze starszym sierżantem, dowódcą waszej kompanii, z sierżantem z waszego plutonu i, poza protokołem, waszym byłym dowódcą. Usłyszałem także kilka oficjalnych uwag na wasz temat od obecnego przełożonego.

Youngman urwał, a jego twarz zmieniła się.

– Przyznam, że jestem w kropce. Oczekujemy w bardzo niedalekiej przyszłości wojny i potrzebny nam jest każdy cholerny wyszkolony podoficer, jakiego tylko możemy dorwać. Tak więc wycieczka do Leavenworth – obydwaj podoficerowie drgnęli na dźwięk tej nazwy – która byłaby najłżejszą karą, na jaką zasługujecie, prawie nie wchodzi w grę. Jednak jeśli postawię was przed sądem,

właśnie tam traficie. Zdajecie sobie z tego sprawę, sierżancie?

– Tak, sir – odpowiedział cicho Duncan.

– Spowodowaliście uszkodzenie struktury budynku, którego koszty naprawy wyniosą pięćdziesiąt trzy tysiące dolarów, i odcięliście nogi waszemu współlokatorowi. Gdyby nie ta nowa galaktyka – podpułkownik praktycznie wypłuł to słowo – technologia medyczna, byłby kaleką do końca życia, ale i tak mam o jednego starszego podoficera mniej. Teraz jest tylko pacjentem i zostanie zastąpiony kimś innym. Podobno miną co najmniej trzy miesiące, zanim urosną mu nowe nogi, co oznacza, że raczej nie dostaniemy go już z powrotem. Więc, jak już mówiłem, co ja mam z wami zrobić? To jest oficjalne pytanie, życzyście sobie karę administracyjną czy sądową? To jest, przyjmiecie dowolną karę, którą wymierzę, czy chcecie stanąć przed sądem wojskowym?

– Administracyjną, sir.

Duncan odetchnął w duchu, że dano mu tę możliwość.

– Bardzo sprytnie, sierżancie, mówiono mi, że jesteście inteligentni. Więc dobrze, sześćdziesiąt dni aresztu, czterdzieści pięć dni dodatkowej służby, połowa żołdu przez dwa miesiące i jeden stopień niżej.

Pułkownik zastosował praktycznie wszystkie przewidziane regulaminem kary.

– Aha, sierżancie, jak rozumiem, liczył pan na awans na sierżanta pierwszej klasy. – Oficer urwał na moment. – Musiałby wtedy być bardzo zimny dzień w piekle. Odmaszerować.

Sierżant Black stanął na baczność, ryknął „W prawo zwrot!” i wyprowadził sierżanta Duncana z biura.

– Sierżancie!

Sierżant wszedł do biura, kiedy obydwaj podoficerowie wyszli już z budynku.

– Tak, sir?

– Przekażcie to pierwszym sierżantom i kapitanom. Nie rozumiemy, na jakiej zasadzie działają te wszystkie urządzenia, i nie mamy czasu, żeby zajmować się zagrożeniami, które niosą. Czekają nas ogólne Testy Gotowości Bojowej i musimy się skoncentrować na podstawowych umiejętnościach. Noty za ostatnie ćwiczenia były tragicznie niskie. Chcę, żeby zaraz schowano wszystkie urządzenia GalTechu. Proszę zamknąć w zbrojowniach te, które się tam mieszczą, a resztę w magazynach, szczególnie te cholerne hełmy i przekaźniki. A co do Duncana, myślę, że był w naszym batalionie zbyt długo, ale brakuje nam podoficerów i nie mogę go odesłać. Co pan o tym sądzi?

Krępy starszy sierżant o blond włosach przygryzł wargi w zamyśleniu.

– W trzecim plutonie kompanii Bravo przyda się dowódca drużyny. Zajmujący to stanowisko sierżant jest doświadczony, ale karierę zrobił w oddziałach piechoty. Myślę, że Duncan dobrze by się tam nadawał, a sierżant Green powinien wiedzieć, jak radzić sobie z trudnymi dziećmi.

– Zrób to. Jeszcze dzisiaj – rzucił oficer, umywając ręce od całej sprawy.

– Tak jest, sir.

– I zamknij ten złom pod kluczem.

– Tak jest, sir. Kiedy spodziewa się pan rozpoczęcia ćwiczeń z pancerzami wspomaganymi? Zapytają mnie o to.

Starsi sierżanci stale go o to wypytywali. Szczególnie dowódca kompanii Bravo codziennie wiercił mu dziurę w brzuchu.

– Dziewięćdziesiąt dni po ogólnym Teście Przydatności Bojowej mamy zaplanowany lot na Diess – powiedział ostro Youngman. – Odbędziemy wtedy intensywny cykl szkoleniowy. Prosiłem już o fundusze.

– Tak jest, sir.

– Odmaszerować.

Pułkownik wziął do ręki raport i zaczął go uzupełniać, kiedy starszy podoficer batalionu opuścił biuro.

**Nowy Jork,
Sol III 14:30,
20 listopada 2001**

– Nazywam się Worth, byłem umówiony.

Biuro mieściło się na trzydziestym piątym piętrze pięćdziesięciokondygnacyjnego budynku na Manhattanie i nie było w nim nic nadzwyczajnego oprócz przebywających tam osób. Wywieszka na drzwiach głosiła po prostu „Terra. Przedsiębiorstwo Handlowe”. Biuro zajmowało całe piętro i był to oficjalny konsulat handlowy Federacji Galaktycznej.

Oszłamiająco piękna recepcjonistka bez słowa wskazała na sofę i krzesła pod ścianą dużej, przestronnej poczekalni, i wróciła do prób opanowania obsługi nowego komputera.

Pan Worth, zamiast usiąść, spacerował po recepcji i podziwiał dzieła sztuki na ścianach. Uważał się za konesera sztuk pięknych i szybko rozpoznał kilka dzieł jako oryginały albo przynajmniej nadzwyczajnej jakości kopie. Były dwa obrazy Rubensa, jeden Rembrandta i, o ile się nie mylił, oryginał „Gwiezdnej, gwiazdnej nocy”, który ostatnio widziano pod opieką Korporacji Matsushita.

Chodząc wśród eksponatów odniósł wrażenie, że również meble mogą być autentycznymi dziełami sztuki z epoki Ludwika XIV. Zwróciło to myśli pana Wortha z powrotem ku recepcjonistce. Skoro według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystko w pokoju było autentyczne, prawdziwy kolekcjoner również po recepcjonistce spodziewałby się jakiejś nadzwyczajnej oryginalności. To był prosty wniosek. Zerknął na nią ostrożnie i, szczerze powiedziawszy, nie mógł oderwać wzroku. Kiedy na konsoli rozległ się dźwięk dzwonka, podniosła wzrok i zauważyła ukradkowe spojrzenie; rzecz jasna obeszło ją to tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– Ghin czeka na pana, panie Worth.

Wszedł przez wolno otwierające się drzwi do ciemnego pokoju. W poprzek obszernego pomieszczenia ustawiono biurko wielkości małego samochodu. Za biurkiem rysował się kształt, który w nikłym świetle padającym zza zasłoniętych okien można było wziąć za ludzką postać.

– Proszę wejść, panie Worth. Niech pan usiądzie – powiedział Darhel charakterystycznym syczącym głosem i ospale wskazał krzesło naprzeciw siebie.

Pan Worth wolno przemierzył biuro, starając się dostrzec więcej szczegółów rysującej się w cieniu postaci. Od czasu pierwszego kontaktu Darhelowie byli wszędzie. Zjawiali się osobiście lub wysyłali reprezentantów na wszystkie ważne rządowe rozmowy i posiedzenia. Zdawali się rozumieć, że najwięcej spraw jest załatwianych za kulisami wszystkich posiedzeń świata, dlatego pojawiali się na nich, zazwyczaj owinięci w płaszcze dla ochrony przed silnym ziemskim słońcem, albo reprezentowali ich opłacani konsultanci. Pan Worth zdawał sobie sprawę, że był jednym z nielicznych, którzy mieli okazję spotkać się z Darhelem twarzą w twarz.

Nadal dostrzegając tylko ciemne kontury głowy, pan Worth usiadł na wskazanym krześle.

– Pewnie, jak wy to mówicie, zastanawia się pan, czemu dziś tu pana wezwałem.

Głos brzmiał tak czarodziejsko, że Worth czuł się jak pod działaniem jakiegoś uroku. Potrząsnął głową.

– Właściwie to zastanawiam się, skąd pan w ogóle miał mój numer. Niewiele osób go zna i, o ile wiem, nigdzie go nie zapisywano.

– Umieszczono go w przynajmniej trzech bazach danych, w tym w dwóch, do których mamy dostęp.

Postać lekko zatrzęsała się w odruchu, który mógł być odpowiednikiem śmiechu człowieka. Rozniósł się słaby, drażniący zapach; mógł to być oddech albo darhelska wersja wody kolońskiej.

– Aha. Byłby pan łaskaw mnie oświecić?

– Pański numer oraz ogólny, powiedzmy, opis wykonywanej pracy jest zawarty w aktach CIA, Interpolu i bazie danych rodziny Corleone.

– Głęboko nad tym ubolewam.

Zapamiętał sobie, że musi przedyskutować kwestię bezpieczeństwa danych z Tonym Corleone.

– Właściwie powinienem powiedzieć, że dane były umieszczane w tych bazach. Teraz jest w nich nieco nieścisłości. – Urwał na chwilę. – Ma pan coś do dodania?

– Nie.

Worth nauczył się w swoim czasie, że w niektórych sytuacjach lepiej trzymać gębę na kłódkę. Nagle zdecydował, że była to jedna z takich sytuacji.

– Darhelowie przywiązują dużą wagę do interesów, panie Worth. W interesach są sprawy rozwiązywalne i nierozwiązywalne. Istnieją też sprawy, które wymagają dosyć subtelnego podejścia.

Ghin urwał, jak gdyby starał się starannie dobrać słowa.

– A wy bylibyście zainteresowani moimi usługami w celu... załatwienia tych subtelnosci?

– Bylibyśmy zainteresowani usługami – powiedział Darhel bardzo ostrożnie.

– Moimi usługami?

– Gdyby sporządzał pan dla nas faktury z wyszczególnieniem wydatków...

Postać zadrżała i umilkła. Zdawało się, że Darhel wziął głęboki oddech, zanim znowu zaczął mówić.

– Gdyby ktoś sporządzał dla nas faktury z wyszczególnieniem wydatków związanych z interesami Darhelów, które mogłyby wyjść na jaw w czasie przypadkowej rozmowy z Darhelami albo na skutek działań waszego wywiadu... – Na moment znowu zapanowało milczenie, ale po chwili Darhel odezwał się piskliwym głosem. W jego wypowiedzi czuć było teraz napięcie. – Otrzymałby godziwe wynagrodzenie.

Zdanie zakończyło się wysokim, zdławionym dźwiękiem. Darhel odwrócił głowę na bok, potrząsnął nią silnie i wydał z siebie drżący oddech.

Pan Worth zdał sobie sprawę, że jego nowy pracodawca? klient? zwierzchnik? nie tyle nie chciał, co po prostu nie mógł mówić bardziej precyzyjnie.

– A jak byłyby dostarczane te faktury? I jak przekazywano by zapłatę? Ostrożność to jedna sprawa, ale interesy to interesy.

– Szczegółami zajmą się inni – odpowiedział Darhel z drżącym oddechem. – Rozumiem, że się pan zgadza? – dodał z nutą złości w głosie.

– Na co? – zapytał Worth. – Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek rozmawiał z jakimś Darhelem. Prawda?

– Ach, słusznie.

Postać pochyliła się do przodu, a w ciemności błysnęły nagle zęby. Worth zadrżał z powodu ich podobieństwa do szczęk rekina.

– Nie robi się z panem miło interesów, panie Worth.

Żrenice Wortha rozszerzyły się, kiedy zobaczył postać w całej okazałości.

* * *

Szef zaopatrzenia armii Chińskiej Republiki Ludowej w prowincji Shantung stukał piórem w plik

dokumentów i przedstawiał swojemu zwierzchnikowi, dowódcy sił zbrojnych w prowincji Shantung, fakty, które właśnie wyszły na jaw. Jeden z jego młodszych oficerów podczas wstępnych rozmów na temat produkcji i zaopatrzenia napotkał na niespodziewaną przeszkodę. Przekonany, że inteligentny przekąźnik popełnia błąd w tłumaczeniu – takie rzeczy zdarzały się już wcześniej – major bardzo dokładnie wypytał o wszystko swojego darhelskiego odpowiednika. Elfiej postury Darhel miał niespotykaną zdolność unikania w rozmowie problemowych zagadnień, ale w końcu, po poruszeniu kwestii techników Indowy i naukowców Tchpth, młodszy oficer zerwał negocjacje i sporządził długi raport. Raport ten, uzupełniony przez zwierzchnika majora, leżał teraz na kolanach marszałka.

– Może coś jest nie w porządku z moją zdolnością pojmwania. Jak to możliwe, że nie znają produkcji przemysłowej? Przecież widziałem ich statki. I skąd się biorą te ich przekąźniki?

– To kwestia tłumaczenia słowa „przemysł”. Produkują fenomenalne urządzenia, cudowne statki kosmiczne i wspaniałe maszyny doradcze, ale wszystko jest robione ręcznie; nie znają koncepcji produkcji taśmowej. Nie należy myśleć o taśmach produkcyjnych w kategoriach technologii; są one filozoficznym wyborem, a nie konsekwencją rozwoju. Masowa produkcja stwarza potrzebę planowania krótkiego okresu przydatności produktów, bo w przeciwnym razie dzięki wydajności taśm produkcyjnych całkowicie zaspokojono by popyt i trzeba by zamknąć fabryki. Tak więc na Ziemi niejako celowo wytwarza się produkty z tańszych materiałów, które szybciej się zużywają. Jednak wyższość przemysłu, czyli taśm produkcyjnych, polega na tym, że pozwalają one na szybką produkcję przy stosunkowo niskich kosztach. Dlatego wszyscy są zmuszeni do ich stosowania.

Urwał i zastanowił się nad doborem dalszych słów.

– Jest także druga sprawa. Jesteśmy pewni, że Federacja jest silnie zestrukturalizowana. Mogę pana odesłać do odpowiednich dokumentów...

– Czytałem je – powiedział marszałek, podnosząc pióro i przerzucając je między palcami.

Spojrzał przez okno na wznoszące się ku niebu drapacze chmur czwartego pod względem wielkości miasta w Chinach i zastanawiał się, jak je obronią, jeśli Galaksjanie nie zdołają na czas zbudować floty.

Szef zaopatrzenia skinął głową.

– Ta galakcjańska kolonia mrówek jest w dużym stopniu wyspecjalizowana.

Znowu urwał i zastanowił się, jak wyrazić następną myśl.

– Naszym zadaniem jest, wydaje się, być mrówczymi żołnierzami. Indowy, te zielonkawe, karłowate dwunożne stworzenia to mrówki robotnice. Niemal automatycznie produkują skomplikowane urządzenia wysokiej klasy.

Wahania precyzji wykonania są tak niewielkie, że produkty wyglądają, jak gdyby wykonano je w fabryce. Każdy wyrób wytwarzany jest z myślą o tym, żeby działał bardzo długo. A skoro wszystkie urządzenia produkuje się ręcznie i mają one działać przez dwieście do trzystu lat, każde z nich jest niewiarygodnie drogie. Pojedynczemu Indowy wyprodukowanie galakcjańskiego odpowiednika telewizora może zająć nawet rok. Koszty są porównywalne z rocznym dochodem elektronika albo inżyniera elektryka. Jedynym wyjątkiem wydają się inteligentne przekąźniki, które produkowane są masowo przez Darhelów. Najwyraźniej z tego samego powodu znacznie wzrasta też zapotrzebowanie na urządzenia odmładzające.

– A czy ktoś u nich handluje? – zapytał dowódca.

– Darhelowie – odparł sucho oficer zaopatrzeniowy. – Istnieje pojęcie, które kojarzone jest z ceną, a przekąźniki właśnie w ten sposób to tłumaczą. Bardziej odpowiednim określeniem byłaby „wierzytelność” albo „dług”. Jeśli nie jest się wystarczająco bogatym, żeby cokolwiek kupić, trzeba zaciągnąć pożyczkę u Darhelów.

Uśmiechnął się lekko. Każdy oficer zaopatrzeniowy uwielbiał dobre szwindle.

– W całej Federacji? – zapytał dowódca, zastanawiając nad efektem takich działań; wynik był oszałamiający.

– Tak. Pożyczkę należy spłacić w ciągu stu pięćdziesięciu lat. Z odsetkami. – Oficer zaopatrzeniowy wzruszył ramionami. – Z drugiej strony produkty nie psują się i mają gwarancję do czasu spłacenia pożyczki.

– A statki? – zapytał dowódca, wracając do najważniejszej kwestii.

– Właśnie dzięki temu wszystko zrozumiałem. Indowy muszą mieć hierarchię bardziej złożoną niż w Sądzie Mandaryńskim. Każdy Indowy wybiera specjalizację względnie zostaje mu ona przydzielona w młodym wieku, odpowiadającym wiekowi jakichś czterech, pięciu lat u człowieka. Najbardziej złożona hierarchia i najlepiej opłacane stanowiska to konstruktorzy statków. Każda część statku, od płyt kadłubowych po elementy ze stali molibdenowej, wykonywana jest przez odpowiedni zespół budowniczy, zazwyczaj rodzinny. Wchodzą surowce, wychodzi gotowy statek. Każda część jest znakowana i zatwierdzana przez głównego podsystemowego albo głównego budowniczego. Każda część. Tak więc statki Indowy działają przez tysiące lat i praktycznie nie potrzebują serwisu. Nie są potrzebne żadne części zamienne. Jeśli cokolwiek się zepsuje, nowy komponent wyrabiany jest ręcznie. To tak jakby każdy statek był jednym z tych drapaczy chmur – machnął ręką w kierunku budynków za oknem – a każda część produkowana była na miejscu. W ten sam sposób powstają wszystkie ich urządzenia, sprzęt, broń i tym podobne. Uczeń zaczyna jako wytwórca sworzni albo armatury, potem awansuje na producenta podsystemów – hydrauliki, sprzętu elektrycznego, konstrukcji – i uczy się wyrobu każdego komponentu systemu.

Przy odrobinie szczęścia po kilku stuleciach może zostać mistrzem nadzorującym budowę całego statku. Z powodu tego długiego procesu i braku mistrzów w całej Federacji rzadko kiedy produkuje się więcej niż pięć statków rocznie.

– Ale... nam potrzebne są setki, tysiące statków w ciągu kilku lat, nie wieków – powiedział ostro dowódca i rzucił piórem o biurko. – A planujemy wyprodukować miliony kosmicznych myśliwców.

– Tak. I właśnie dlatego wszystkie statki Federacji to przerobione frachtowce. Najwyraźniej produkowali kiedyś prawdziwe statki wojenne, ale było ich bardzo niewiele i wszystkie zostały zniszczone w walce z Posleenami.

W całej Federacji brakuje teraz statków, bo Galaksjanie tracą te przerobione frachtowce znacznie szybciej niż mogą zbudować nowe.

– Nie przyszedłby pan z tym do mnie, gdyby nie można było temu jakoś zaradzić – powiedział dowódca.

Szef zaopatrzenia bywał często bardzo drobiazgowy, ale jego propozycje były zazwyczaj warte uwagi.

– Federacja ma tylko około dwustu mistrzów stoczniowych...

Liczba zaskoczyła dowódcę.

– Na ilu Indowy? – zapytał.

– Około czternastu bilionów – szef zaopatrzenia uśmiechnął się lekko, kiedy wypowiadał tę liczbę.

– Czternastu bilionów? – wykrztusił dowódca.

– Tak. Ciekawa sprawa, nie uważa pan? – oficer zaopatrzenia uśmiechnął się sztywno.

– Mogłem się spodziewać! Wysokość wynagrodzenia dla naszych oddziałów oparto na wysokości pensji rzemieślników Indowy. Potencjalnych ludzkich żołnierzy jest co najwyżej miliard – wrzasnął dowódca. – Porównywanie ich z Indowy wydaje się teraz śmieszne.

– Tak, nasz personel jest stosunkowo ograniczony liczebnie. Najwyraźniej, jak ujęliby to

Amerykanie, Darhelowie nas „wykiwali”. Indowy stanowią osiemdziesiąt procent federacyjnej populacji, ale ich władza jest niewielka. Darhelowie umiejętnie kontrolują ich komunikację międzyplanetarną i w zasadzie mają kontrolę nad ich funduszami. A skoro kontrolują fundusze, kontrolują też pożyczki. Każdy Indowy musi zakupić narzędzia do pracy.

Jeśli któryś próbuje wyłamać się spod kontroli, Darhelowie żądają od niego zwrotu długu, zostaje pozbawiony dochodu i staje się wyrzutkiem. Nie ma opieki społecznej; tacy Indowy albo popełniają samobójstwo, albo umierają z głodu. Nawet ich rodziny im nie pomogą z powodu wstydu, coś w rodzaju Giri albo Gimu u Japończyków, i ze strachu przed karą. Indowy są poza tym służącymi Galaksjan i wykonują wszystkie niewolnicze i upodlające prace.

Mimo że teoretycznie jest to planeta Tchpth, osiemdziesiąt procent populacji stanowią Indowy.

– Rozwiązanie?

Dowódca podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Stał z rękami założonymi na plecach i pomyślał o swoim starym przyjacielu Chu Fengu, który zginął z powodu błędnych informacji otrzymanych od wywiadu tych darhelskich łajdaków. A teraz jeszcze to.

– Szczególnie w kwestii płac powinniśmy zadbać o interesy naszego narodu, ale trzeba będzie także stworzyć wspólny front z innymi krajami. Trzeba przekazać tę informację pozostałym stronom porozumienia, a potem zastosować strategię Darhelów przeciwko nim samym. Powinniśmy piętrzyć problemy z przygotowaniem wojsk ekspedycyjnych; należy jeszcze raz przedyskutować główne problemy i renegocjować niektóre umowy. Żołnierze powinni dostać płace w wysokości zgodnej z zapotrzebowaniem na ich usługi; szeregowiec powinien na przykład zarabiać tyle, co każdy tiriański negocjator. A Darhelowie muszą użyć swoich wpływów, żeby wprowadzić zmiany w społeczeństwie Indowy.

Sprawdził notatki i uderzył piórem w dokumenty.

– Mimo że jest bardzo niewiele mistrzów stoczniowych, nie brakuje wytwórców komponentów, którzy mogą pracować według czyichś wskazówek. Trzeba zatrudnić Indowy do produkcji części zamiennych dla warsztatów, które należy zbudować w wielu miejscach. Będą się sprzeciwiać – to jest dla nich sprzeczne z czymś, co można by określić mianem religii – ale trzeba ich przekonać albo zmusić. Warsztaty mogłyby powstać w układzie słonecznym...

– Nie wiemy, czy uda nam się utrzymać Ziemię – zauważył dowódca.

W oddali przez jasnoblękitne niebo przefrunęła gromada gołębi. Dowódca zastanowił się, czy takie stworzenia jak te przetrwają zagładę ludzkości, czy też na Ziemi pozostaną tylko szczury i karaluchy.

– Nie na Ziemi – poprawił go młodszy oficer. – Na orbicie innych planet, na przykład Marsa, albo w pasie planetoid. Według naszych aktualnych informacji, Posleeni nie przeszukują ani nie eksploatują przestrzeni międzyplanetarnej w układach, które atakują, pomimo istniejących tam zasobów. Podobnie z jakiegoś powodu nie robią tego Galaksjanie. Dlatego umiejscowienie zakładów produkcyjnych w naszym systemie wiąże się z niewielkim ryzykiem. Posleeni na pewno ich nie zauważą; ominęli już wiele kosmicznych instalacji w innych układach planetarnych w Galaktyce. Ponadto rzemieślnicy Indowy są w stanie wyprodukować potrzebne elementy statków w ilości niezbędnej dla celów wojennych, ale nie mamy czasu na montaż. Musimy więc stworzyć statki, które można będzie montować tak jak amerykańskie statki „Liberty” podczas drugiej wojny światowej. Jeżeli uda nam się uzyskać zgodę na kilka projektów, części mogłyby być produkowane w całej Federacji, a potem przesyłane do nas.

Tymczasem budowalibyśmy bazy montażowe w różnych ukrytych miejscach układu słonecznego. Nawet jeśli stracimy kontrolę nad planetą, zachowamy możliwość dalszej produkcji wojennej i

znaczne zasoby genowe. Może nawet wystarczy nam to, żeby odzyskać Ziemię.

– Fundusze?

Kwestia odzyskania Ziemi nie była warta dyskusji, bo oznaczała utratę Chin jako samodzielnego kraju. Państwo Środka liczyło sobie pięć tysięcy lat historii. Posleeni na pewno zniszczyliby je całkowicie.

– Nie powinno z tym być problemu. Po pierwsze, tworzenie budowli orbitalnych finansowano by z funduszy marynarki, a potem wynajmowano te pomieszczenia ziemskim przedsiębiorstwom. Już na samym początku wojny Indowy uzyskali specjalne prawa do zakupu nowych narzędzi i materiałów do produkcji uzbrojenia. My, mam na myśli Ziemian, powinniśmy stwarzać problemy techniczne z dostarczeniem oddziałów zbrojnych, dopóki nie otrzymamy zgody na budowle orbitalne. Użyjemy galaktycznych systemów treningowych, żeby wyszkolić Indowy i ludzi do pracy nad budową warsztatów i w samych warsztatach. Galaksjanie dysponują wielozmysłowym systemem ucącym, dzięki któremu obsługa może szybko zdobyć duże umiejętności. Aż do pierwszej fali najazdu będziemy budować warsztaty z wykonanych wcześniej części. Warsztaty te wyprodukują broń, systemy i statki potrzebne do obrony Ziemi. Sprzedamy to wszystko Darhelom, żeby wyposażyć nasze oddziały i otrzymać sprzęt do obrony planetarnej. My dostaniemy broń, Indowy pracę, a Darhelowie za to wszystko zapłacą. Poza tym skoro warsztaty będą w naszym systemie i pod naszą kontrolą, na dłuższą metę to my będziemy czerpać z tego zyski.

– A dlaczego Darhelowie mieliby się na to zgodzić?

Dowódca odwrócił się do oficera zaopatrzeniowego i przeszył go spojrzeniem.

– Kwestia produkcji wydobyła na światło dzienne wiele spraw Galaksjan. Zdaniem naszego antropologa, „ojczyzna” Darhelów to owe dwieście do trzystu planet w głębi Galaktyki. Wszystkie z pięciu planet, które już zdobyto lub są teraz atakowane, należały właśnie do Darhelów. Inne, które stracono w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat, te „ponad siedemdziesiąt planet”, o stracie których Darhelowie stale mówią, były koloniami Indowy, galaktycznymi ośrodkami wyzysku. Z wyjątkiem Diess uważano je za biedne i mało znaczące. Teraz Posleeni uderzyli na główne planety Federacji. Nie dajmy się znowu oszukać Darhelom; są zdesperowani i zgodzą się zapłacić każdą cenę, byleby tylko zatrzymać Posleenów. I jest jeszcze jedna kwestia, którą trzeba przemyśleć.

– Tak?

– W przypadku istot podobnych do Darhelów rzadko mamy do czynienia z pojedynczym oszustwem. O wiele częściej jest to cała sieć kłamstw.

* * *

– Brad, co o tym sądzisz?

Prezydent stał odwrócony plecami do swojego doradcy i wyglądał przez zielonkawę zbrojone szyby w oknach najsłynniejszego na świecie pokoju.

– Cóż, panie prezydencie, uważam, że możemy wdrożyć większość punktów chińskiego planu, ale w przypadku negocjacji powinniśmy zachować się nieco bardziej powściągliwie. – Sekretarz stanu zerknął do notatek. – Chińczycy chcą, żeby Darhelowie sfinansowali całą obronę planetarną, a mnie się nie wydaje, żeby się na to zgodzili. Nawet jeśli tak zrobią, negocjacje bardzo się przeciągną, a w czasie ich trwania niczego byśmy nie produkowali. Myślę, że dość łatwo uzyskamy podwyżki wynagrodzenia i pozwolenie na budowle orbitalne, ale nie przeciągajmy struny. Nakładając podatek progresywny na oddziały opłacane przez Federację, wojska ekspedycyjne i przedsiębiorstwa orbitalne, i tak będziemy w o wiele lepszej sytuacji finansowej.

– Finanse to działka Ralpha, Brad, ty zajmujesz się międzynarodowymi negocjacjami – rzucił prezydent, niezadowolony z decyzji, które sekretarz stanu ostatnio podejmował. – I wolałbym, żebyś nie zapominał, że pracujesz dla Stanów Zjednoczonych, a nie dla Darhelów. To naszemu krajowi grozi zagłada, Brad, naszej planecie, naszym dzieciom.

– Tak, panie prezydencie, ale jeśli będziemy zbyt długo negocjować, to wszystko stracimy. Zaczniemy od żądań całkowitego pokrycia kosztów, ale ostatecznie poprzestaśmy na zezwoleniu na orbitalną produkcję sprzętu i ewentualnie pełnym sfinansowaniu wyposażenia do obrony planetarnej. Zdaje się, że zaproponowano nam bardzo niekorzystne warunki jego wypożyczenia. To by nam bardzo pomogło.

– Dobra, Brad, ale jeśli się nie zgodzą, żadnego wsparcia zbrojnego ani technicznego dla ich floty. Będziemy walczyć nawet gołymi pięściami, zanim zrobią z nas niewolników.

– Tak, panie prezydencie.

* * *

– Udało mi się go przekonać, żeby poprzestał na zezwoleniach na orbitalne zakłady produkcyjne i sfinansowaniu sprzętu dla wysyłanych wam oddziałów.

Sekretarz stanu starał się nie patrzeć, jak Darhel próbuje zjeść coś bardzo podobnego do marchewki. Kawałki pokarmu spadały na blat stołu i ubranie Darhela, kiedy jego ostre jak brzytwa zęby rozdrabniały warzywo na plasterki.

– Dobrze. To są rozsądne wydatki. Nie będziemy oszczędzać na waszych wynagrodzeniach.

Duże kocie źrenice rozszerzyły się od niezrozumiałej dla człowieka emocji, a sześciopalczaste dłonie zebrały kawałki pokarmu z grzebienia na gardle istoty.

– Ale pełne finansowanie lokalnej obrony... to o wiele za duża hojność.

– Nie bądź pazerny – powiedział sekretarz i wziął się za swój stek.

Z jakiegoś nieznanego powodu zawsze tracił apetyt podczas posiłków z Darhelem.

– Ludzie potrafią być uparci aż do przesady. Jeśli wystawicie sobie świadectwo skąpców, nikt nie będzie dla was walczył. A przynajmniej nikt, kto jest w tym choć trochę dobry.

– Jesteśmy tego świadomi.

Źrenice znowu się rozszerzyły, a długie lisie uszy zadrgały. Sekretarz pomyślał, że zapłaciłby każdą cenę za podręcznik mowy ciała Darhelów.

– Od samego początku mówiłem, że warunki są nierozsądne, ale przegłosowano mnie. Nieważne, rozwiążemy wszystko w swoim czasie. Moje uznanie.

– Ufam, że wynagrodzenie będzie odpowiednie.

Sekretarz wiedział, że jego szef staje się coraz bardziej podejrzliwy w kwestii jego kontaktów z Darhelami.

– Z całą pewnością. Twoja wnuczka jest bardzo zdolna. Może za jakieś cztery lata otrzyma zaproszenie na studia na jakimś pozaplanetarnym uniwersytecie?

– Czytasz w moich myślach.

A tych, co klęczą z nami
Przy ogniu cudzych bóstw
I w mrokach błędzą sami,
Zgań słowem z boskich ust.

Lecz jeśli przez nas muszą
Z honorem przy nas trwać,
W Twojej Łasce niechaj ruszą,
A nam każ Gniew Twój znać.

– Kipling

**Fort Benning, Georgia,
Sol III 23:21,
23 grudnia 2001**

Mike podniósł wzrok, kiedy generał Horner wszedł do ciasnego biura.

W pomieszczeniu nie było żadnych osobistych rzeczy, stacji roboczej ani innych przedmiotów oprócz sejfu zamykanego na szyfr, które wskazywałyby, że ktoś w nim pracował. W ciągu ostatnich kilku miesięcy porucznik spędzał w biurze tak mało czasu, że pomieszczenie stało się dla niego biurem raczej tylko z nazwy niż rzeczywistym miejscem pracy. Zamiast tradycyjnego komputera miał inteligentny przekaźnik, z którym można się było komunikować w dowolny sposób i który dysponował większą mocą obliczeniową niż cała korporacja Intela. W jego pamięci Mike przechowywał rodzinne zdjęcia, każdy przekaz wideo, jaki otrzymał od dziewczynek, kiedy nie miał jeszcze przekaźnika, i zapis wszystkich rozmów, jakie z nimi odbył od tamtej pory.

– Tak, sir? – zapytał.

Spostrzegł stojącego z tyłu nowego adiutanta generała.

Widok, jaki zobaczył generał, uznałby przed przybyciem Galaksjan za komiczny, ale teraz był tak oczywisty jak widok myszki przy komputerze. Porucznik siedział ze wzrokiem zawieszonym w przestrzeni i stukał palcami w pusty blat biurka. Nosił okulary, które podłączone do inteligentnego przekaźnika na biurku tworzyły iluzję klawiatury i monitora. Obraz był niewidoczny dla Hornera – mikroskopijny projektor laserowy w okularach tworzył go bezpośrednio na siatkówce oka porucznika – ale generał używał tego samego systemu i doskonale zdawał sobie sprawę z jego realności.

– Uporałeś się już z propozycjami udoskonalenia urządzeń? – zapytał Mike'a, ignorując nowego adiutanta.

Mimo że Mike był oficjalnie jego młodszym adiutantem, generał jasno wytłumaczył nowo przydzielonemu podpułkownikowi, że porucznik O'Neal jest jego zaufanym zastępcą. Może pułkownik będzie kiedyś w połowie tak przydatny jak Mike, ale do tego czasu niech lepiej siedzi cicho na kanapie i nie przeszkadza.

Sposób, w jaki nakłoniono go do przyjęcia na adiutanta oficera spoza wojsk powietrznodesantowych, był nieprzyjemny. Najwyraźniej departament do spraw personelu sił lądowych wystarczająco położył łapę na GalTechu, żeby mieszać się do decyzji personalnych, nawet tych tradycyjnie „prywatnych” jak wybór adiutanta. Kiedy tylko jednostki pancerny wspomaganych zostaną włączone do floty, problem zniknie, ale na razie pozostawał on przedmiotem jeszcze jednej gry politycznej, w której Horner nie chciał w tej chwili brać udziału. Jednak skoro to on będzie pisał raport oceniający przydzielonego mu oficera, pułkownik powinien przełknąć obrazę i rzeczywiście siedzieć cicho na cholernej kanapie.

– Tak, sir – odpowiedział Mike. – Ponieważ z pewnością nie pozwolą nam użyć antimaterii jako źródła energii, sugeruję zastosowanie zaawansowanego systemu maskującego. Mój prototyp wykazał w każdej symulacji, jaką przeprowadziliśmy, czteroprocentowy wzrost prawdopodobieństwa przetrwania. Po prostu uważam za sensowne zwiększyć nieco fundusze na systemy maskujące.

– A kwestia długości treningów?

– Ja mówię tysiąc godzin, personel chce sto pięćdziesiąt. Ja mówię w terenie albo w symulatorach, oni wolą trening teoretyczny. Impas – orzekł Mike.

– Dobra, pora pomachać komuś moimi gwiazdkami przed nosem. Czas czy jakość?

– Jakość – odparł Mike, mając na myśli ćwiczenia. – Spróbuj dłużej niż sto pięćdziesiąt godzin, ale nie kosztem jakości. Dobre szkolenie w krótszym czasie jest prawdopodobnie lepsze niż długie złe ćwiczenia.

– Ma być niezły trening, co? – Horner zmarszczył czoło z rozbawienia.

– Tak, sir – uśmiechnął się Mike, kiedy przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie.

– To obietnica GalTechu – dodał Horner. – „To będzie niezły trening albo GalTech nie jest GalTechem.” Urwał, a na jego twarzy pojawił się pozbawiony radości uśmiech.

– Ocena sił ekspedycyjnych również należy do GalTechu. Jednostki NATO i Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego stworzą teraz jeden korpus wyposażony w broń najnowszej generacji. Głównymi częściami składowymi będą druga dywizja pancerna, siódma dywizja kawalerii i ósma dywizja piechoty. Będzie też batalion pancerny wspomaganych z osiemdziesiątej drugiej powietrznodesantowej, drugi batalionu trzysta dwudziestego piątego pułku. Oni mają najwięcej sprzętu, a po zaliczeniu Testu Przydatności Operacyjnej zostali uznani przez Generalny Inspektorat za przygotowanych do walki.

– A co z ARTEP? – zapytał Mike. Test Gotowości Bojowej i Program Oceny ARTEP był dla wszystkich jednostek ostatecznym egzaminem gotowości. – Zgłosiliśmy propozycję, żeby nie uznawać jednostek za przygotowane do walki przed przeprowadzeniem testu ARTEP.

– Przegłosowano nas. Reszta sił ekspedycyjnych nadaje się do akcji, a batalion pancerny wspomaganych leci z nimi, gotowy czy nie.

– A mają Banshee?

Antygravitacyjne bojowe wozy pancerne były niezbędne do zapewnienia pancernom wspomaganym mobilności strategicznej.

– Bardzo mało, a wsparcie artyleryjskie zapewnią 105 mm, 155 mm i MLRS. HOW-2000 trzymane są w rezerwie.

– Jezu – Mike potrząsnął głową i chwycił przyrząd do gimnastyki dłoni. – Lecą na Barwhon czy Diess?

– Diess.

– A jak dokonamy oceny?

– Cóż, poruczniku, pamiętacie ten prototyp pancerza dowódcy, który gdzieś upchnęliście?

– Mam się pakować?

– Masz być w Bazie Lotniczej Pope we wtorek o północy za dwa tygodnie. Przynajmniej będziesz mógł spędzić Boże Narodzenie z Sharon i dziećmi.

– A potem Diess?

– W Pope będzie przedstawiciel USGF TRADOC – Biura Strategii i Szkolenia Lądowych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, który zapozna cię ze szczegółami. Twój wylot na orbitę zaplanowano w siedemdziesiąt dwie godziny później. Poza dokonaniem oceny masz też inną misję. Jednostka jest niedostatecznie wyszkolona i nie ma własnych ekspertów. Tak naprawdę na to określenie zasługują tylko członkowie zespołów projektanckich i komisji z dowództwa piechoty. Więc twoim drugim zadaniem będzie szkolenie batalionu i doradztwo w sprawach zatrudnienia i taktyki. Problem polega na tym, że jesteś porucznikiem. Tak się składa, że znam dowódcę batalionu, podpułkownika Youngmana. Pamiętasz mojego poprzednika w batalionie?

– Tak, sir. Mam nadzieję, że nie chodzi panu o to, co mam na myśli.

– Podpułkownik Youngman ma znakomite akta i doświadczenie w działaniach wojennych. Jest też dobrym dowódcą. Ale jak na mój gust jest trochę zbyt arogancki, jeżeli chodzi o jego zdolności i

wiedzę. Przypuszczam też, że obawia się nowych technologii. To może stwarzać pewne problemy.

– To dlaczego dostał pierwszy batalion panczerzy wspomaganych?

– Wiedzieli, że akcja jest niebezpieczna, więc przydzielili dowódcę sprawdzonego w działaniach wojennych; wybór nie był duży. Poza tym jak zawsze w grę wchodzi polityka. Piechota morska zdecydowała, które jednostki dostaną pierwsze panczerze wspomagane na Barwhon, a wojska powietrznodesantowe ustaliły, które jednostki dostaną je na Diess. Ja wolałbym kogoś bardziej elastycznego, ale mądrzejsze głowy ustaliły, że z jakiegoś powodu powinien to być drugi batalion trzysta dwudziestego piątego pułku, dowodzony przez Youngmana.

Podpułkownikowi Paulowi T. Youngmanowi na pewno nie podobałoby się, gdyby doradzał mu jakiś inny podpułkownik, a tym bardziej porucznik, więc będziesz musiał zachowywać się możliwie taktownie. Ja mam teraz dużo pracy, a następny w kolejce byłeś ty.

– A Gunny Thompson?

Starszy podoficer z zespołu piechoty w GalTechu został przeniesiony do programu z floty Marines. Na początku odnosił się sceptycznie do pomysłu panczerzy wspomaganych, ale potem stał się jednym z jego głównych orędowników.

– Dostał to samo zadanie w jednostkach wybranych przez piechotę morską na Barwhon, więc zostałeś tylko ty.

I niestety nie będziesz miał za dużego wsparcia. Ponieważ zakończono już fazę projektów i rozpoczęto produkcję, nasza gwiazda błędnie.

– Więc co się stanie po dokonaniu oceny?

– Mam nadzieję, że obydwaj dostaniemy dowództwo. Zasłużyłeś na kompanię. Ale projekty i decyzje zaopatrzeniowe miały zły wpływ na moją karierę. Spodziewam się czegoś w rodzaju „J-3, Dowództwo Obrony Terytorialnej, środkowy zachód”.

– To głupie. Skoro odmładzają tylu starych wiarusów, powinni dać to stanowisko komuś, kto przynajmniej słyszał strzały w Wietnamie.

– Nie przejmuj się tym, Mike. Ty i ja jesteśmy wojownikami. Jeśli historia może nas czegoś nauczyć, to tego, że na początku wojny zawodowi oficerowie dzielą się na dwa obozy, menadżerów i wojowników, a władzę mają menadżerowie. Tak było w każdej wojnie; Halsey był na początku drugiej wojny światowej tylko kapitanem, a Kusov pułkownikiem. W toku wojny zarządcy wracają do mniej ważnych zajęć jak logistyka, a dowodzenie przejmują wojownicy. Nasza szczęśliwa gwiazda znowu rozbłyśnie, kiedy tylko sprawy pochrzanią się na dobre.

Mogę się założyć.

**San Diego, Kalifornia,
Sol III 08:22,
5 listopada 2001**

Ernie Pappas był obywatelem Stanów Zjednoczonych urodzonym na terytorium Samoa Amerykańskiego.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym w wieku osiemnastu lat zaciągnął się jako szeregowiec do Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Samończycy są dziwnymi i cennymi nabytkami amerykańskiej armii. Dziwnymi, bo oprócz herkulesowej postury mają wyraźnie polinezyjskie rysy, które wyróżniają ich spośród tłumu żołnierzy białej i czarnej rasy. Cennymi, bo oprócz wspomnianej herkulesowej budowy ciała odznaczają się wysokim intelektem i dużym opanowaniem. Samończycy szybko awansują, a zwierzchnicy samońskich podoficerów zawsze bardzo nalegają na pozostawienie ich w jednostce przez dłuższy czas. Ich udział wśród żołnierzy przeniesionych z powrotem do służby z rezerwy jest wysoki.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym starszy szeregowy Pappas poślubił szesnastoletnią Priscillę Walls z Yemassee w Południowej Karolinie. Według rodziców panny młodej, związek ten kłócił się z pewnymi ogólnie przyjętymi normami. Po pierwsze, mimo że szeregowy Pappas nie był Murzynem, to jednak był „kolorowy”.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku w Yemassee w Południowej Karolinie białe dziewczęta, nawet z niezamożnych rodzin, nie wychodziły za mąż za kolorowych. Po drugie, panienska Priscilla, ich mała Prissy, była za młoda na takie rzeczy, mimo że wśród dziewcząt z jej pokolenia i z pokolenia jej rodziców małżeństwa zdarzały się już w wieku piętnastu lat. Po trzecie, pan młody był żołnierzem piechoty morskiej w czynnej służbie. Mimo że Priscilla uważała to za krok w górę po drabinie społecznej – jej rodzinę najdelikatniej można by określić jako „mało zamożnych rolników” – rodzice mieli odmienny pogląd. Standard życia mało zamożnego rolnika odpowiadał jej dziadkowi, dzierżawcy gruntów, i pradziadkowi, także dzierżawcy gruntów, i na pewno był dla niej lepszy niż małżeństwo z „chińskim marynarzykiem”. (Wiedza pana Wallsa na temat Samoa Amerykańskiego była porównywalna z jego znajomością fizyki jądrowej.) Mimo wszystko Wallsowie podpisali jednak odpowiednie papiery i stanęli przed sługą bożym z siostrą Prissy jako drużką i sierżantem szeregowego Pappasa jako drużbą, bo Prissy najwyraźniej spodziewała się dziecka.

Był piąty listopada roku dwa tysiące pierwszego. Earnest Pappas, specjalista celowniczy sierżant w stanie spoczynku, sączył gorącą czarną kawę Kona i kontemlował niedzielne wydanie San Diego Times. Raz po raz wydymał policzki i wypuszczał powietrze z lekko chrapliwym dźwiękiem.

Pani Pappas zmywała naczynia po śniadaniu i po trzydziestu pięciu latach małżeństwa potrafiła odgadnąć, że mąż jest w złym nastroju. Znała nawet powody jego niezadowolenia.

Pomimo tego, że Earnest Pappas dał swoim teściom trójkę wspaniałych wnuków – wszyscy skończyli college – nigdy nie podniósł ręki na ich córkę, pozostał jej wierny i zapewnił standard życia, jakiego tylko mogło jej pozazdrościć rodzeństwo, oni i tak darzyli go niechęcią. Nigdy się z tym nie zdradzał, ale i tak było oczywiste, że odwzajemniał ich uczucie. Dlatego na zbliżającą się wizytę teściów zareagował ze złością i rezygnacją, jaką wywoływały u niego wszystkie nieprzyjemności, których nie dało się uniknąć. Starał się zmieniać rzeczy, na które miał wpływ, i nie przejmować się tymi, na które nie miał wpływu. I to przypomniało mu o kolejnej rzeczy, której nie

mógł zmienić. O wieku.

Przez trzydzieści lat Earnest Pappas trenował w jednym celu: obrony Stanów Zjednoczonych. Ale wojna, która groziła jego krajowi, spadła na barki młodszych, zdrowych mężczyzn. On zaś był tylko zużyтым wiarusem, za starym, żeby się na cokolwiek przydać.

Jego – jak mniemał – doskonale ukryty zły nastrój rozwiąła wręczona mu przez żonę depesza. Na kopercie widniało jego nazwisko, numer referencyjny i adres zwrotny dobrze znanego biura Departamentu Obrony w St. Louis w Missouri. Z uczuciem absolutnego niedowierzania w obecności wstrząśniętej żony ostrożnie wytarł nóż, ostatnio użyty do krojenia grejpfruta, i rozciął kopertę. Wewnątrz znalazł złożony na pół dokument.

Szanowny Panie: Na podstawie Dyrektywy Prezydenta 19-00 wzywam pana do stawienia się w OBOZIE PENDLETON, W KALIFORNIJSKIEJ BAZIE PIECHOTY MORSKIEJ, nie później niż O PÓŁNOCY 20 LISTOPADA 2001 celem odbycia służby wojskowej. W przypadku niestawienia się w wyznaczonym terminie zostanie wszczęte postępowanie zgodnie z Artykułem 15 Kodeksu Prawa Wojskowego: Odmowa stawienia się do niebezpiecznej służby. Wszelkie wnioski o zwolnienie ze służby z powodu wieku, piastowanych funkcji cywilnych, stanu zdrowia i innych zostaną rozpatrzone na miejscu.

Zwrot kosztów transportu nastąpi na podstawie załączonych voucherów. Można je stosować w samolotach, pociągach, autobusach i taksówkach, ale nie zostaną uwzględnione w przypadku podróży prywatnym środkiem lokomocji.

NIE ZABIERAĆ: prywatnych pojazdów, osobistej broni, odbiorników radiowych z dołączanymi głośnikami, dużych instrumentów muzycznych i **ŻADNYCH** urządzeń komunikacyjnych, łącznie z telefonami komórkowymi i pagerami.

Zabrać: ubranie cywilne na jeden tydzień, mundur, przedmioty higieny osobistej, małe urządzenia rozrywkowe, odbiorniki radiowe i odtwarzacze ze słuchawkami, małe instrumenty muzyczne i / lub coś do czytania.

Earnest Pappas sprawdził najpierw, czy list rzeczywiście adresowano do niego, i przyjrzał się numerowi referencyjnemu. Potem jeszcze raz dokładnie przeczytał depeszę, drapiąc się przy tym w głowę trzonkiem noża, czym zawsze wyprowadzał swoją żonę z równowagi.

Zdmuchnął z listu drobne płatki naskórka, spojrzał na żonę i stwierdził oczywisty fakt.

– Ja mam pięćdziesiąt siedem lat!

Jeszcze raz przeczytał list i pomyślał: Cholera, jeszcze tu będę, kiedy odwiedzą nas te przekłete ubogie białasy!

**Fort Bragg, Północna Karolina,
Sol III 09:07,
15 grudnia 2001**

Koszary, które zajmował drugi batalion trzysta dwudziestego piątego pułku powietrznodesantowego, były prowizorycznymi budynkami z czasów drugiej wojny światowej. Drewniana konstrukcja nie odpowiadała wymogom bezpieczeństwa przeciwpożarowego, a piętrowe prycze należały do innej epoki, ale mimo to koszary jakoś spełniały funkcję tymczasowego schronienia dla jednostek przygotowujących się do wylotu z Bazy Lotniczej Pope. O wiele starsze od najsędziwszych członków Kongresu, musiały wystarczyć, dopóki jakiś miejscowy urzędnik nie przeforsuje zgody na ich wymianę.

Trzysta dwudziesty piąty pułk przygotowywał się do wylotu na Diess, planetę, o której jeszcze tydzień wcześniej nikt w pułku nie słyszał. Władze zdecydowały, że aż do wylotu powinni być pozbawieni kontaktu ze światem, i dlatego pozostali w „C-LOC”. Nikt z nich nie potrafił rozszyfrować tego skrótu.

Wszyscy zostali całkowicie pozbawieni możliwości komunikowania się nawet z bliskimi z powodów, których nikt nie potrafił dociec. Koszary były wilgotne, zimne i niewygodne, a oni nie mieli okazji, żeby trenować, bo cały sprzęt, łącznie z pancierzami wspomaganymi, popakowano w skrzynie dla ułatwienia transportu. Jedzenie było mizerne, niewielkie racje rano i wieczorem i mieszanki regeneracyjne na lunch. Odkąd opuścili teren stacjonowania batalionu, niebo zasnuwały szare, ciężkie deszczowe chmury. Czekali ich spotkanie na odległej planecie z nieznanym wrogiem, określanym jako niepowstrzymany. A na dodatek druga drużyna trzeciego plutonu kompanii Bravo szła na wojnę z dowódcą pogrążonym w głębokiej depresji.

Sierżant Duncan zamasyście otworzył drzwi i osunął się na najbliższą pryczę. Jego podkomendni oderwali się na chwilę od różnorodnych, najczęściej nieistotnych, zajęć rekreacyjnych. Czterech żołnierzy nieprzerwanie grało w karty. Dwaj inni bawili się grami elektronicznymi, jeden czytał, a reszta spała albo czyściła sprzęt. Odczekali chwilę, żeby zobaczyć, czy Duncan nie przekaże jakiejś informacji, a potem wszyscy wrócili do ignorowania się nawzajem.

Duncan przez moment patrzył na swoje buty, a potem się wyprostował.

– Wahadłowce lądują dziś po południu – powiedział i ziewnął. – Ale jeszcze nie ładujemy sprzętu.

– Dlaczego? – zapytał jeden z grających w karty.

– A kto ich, kurwa, wie – rzucił beznamiętnie Duncan. – Pewnie z tego samego powodu, co nie możemy ruszyć dupy z tej pieprzonej zimnicy.

– Komuś zależy, żebyśmy umoczyli! – warknął specjalista Arlo Schrenker i cisnął książką przez pokój.

– Znaczy co? – zapytał szeregowy drugiej klasy Roy Bittan, przebijając czwórką kartę przeciwnika.

– Cip, cip, cip – zaćwierkał specjalista Dave Sanborn, dowódca zespołu Bravo, kiedy brał lewę. – On mówi, że umoczymy, jak nie zorganizują nam ćwiczeń w tych pieprzonych pancierzach.

– U... M-O-CZ-Y... Ł-E-Ś! – zaintonował sierżant Michael Brecker, dowódca zespołu Alfa, przebijając asem damę Bittana w nowej lewie. – Może i ćwiczyliśmy trochę na naszym sprzęcie, ale

pieprzeni Posleeni i tak zrobią z nas miazgę, bo gównu wiemy o tych cholernych pancerzach.

– Tak – powiedział Schrenker, wstał i przeszedł między stalowymi pryzami. – Właśnie o tym mówię. Nie możemy tu trenować, wcześniej też nie mogliśmy, bo musieliśmy przygotowywać się do oceny, nie zrobili nam testu ARTEP, żebyśmy nie mogli pokazać, że wszystko spieprzymy, i na statku też nie ma jak trenować, nie? Czyli to tak, jakby ktoś chciał, żebyśmy umoczyli! Po co nas, kurwa, wysyłają? Dlaczego nie pošlą pieprzonych pancernych albo cholerne kawalerii? Dlaczego, kurwa, my? Jesteśmy lekkimi oddziałami desantowymi, a nie czołgistami. Co oni w ogóle chcą zrobić? Zrzucić nas z orbity?

– I piechota morska, i wojska powietrznodesantowe dostają pancerze wspomagane – powiedział Bittan, przez dłuższą chwilę przyglądając się królowi sierżanta.

– No dalej, nie śpij. Graj albo wracaj do mamusi. Gdzieś to usłyszał?

– Od zaprzyjaźnionego kapitana. Mają nas włączyć do jakiejś nowej grupy. I powiedział jeszcze, że przyślą nam jakiegoś mądralę z GalTechu, żeby nas wytrenował. – Wreszcie rzucił niską kartę na króla. – Chyba zaczynam kumać, o co chodzi w tej grze.

– No i, kurwa, dzięki Bogu – powiedział jego partner.

– Tak – potwierdził Duncan, kiedy wyciągnął ostatnio przysłany plik instrukcji i przekartkował go. – O'Neal, Michael A., pierwszy porucz...

– Co? – zapytał Schrenker.

– Był tu kiedyś jeden O'Neal z tysiąc pięćset piątej. Teraz mi się przypomniało, że był kierowcą Hornera, a Horner jest głową GalTechu. Ciekawe, czy to ten sam koleś?

– Jaki on jest? – chciał wiedzieć Schrenker.

– Niski, ale zbudowany jak pieprzony czołg, cholernie dobry w podnoszeniu ciężarów. Brzydki jak noc. Cichy, ale jak już się odezwie, to gada do rzeczy. Zbyt nie popuszcza mało inteligentnym. Wali pięścią jak młotem.

– Kiedy go spotkałeś? – zapytał Schrenker.

– W dziewięćdziesiątym siódmym? Może ósmym?

– A gdzie się dowiedziałeś, jak wali pięścią? – spytał zafascynowany Bittan.

– U Ricka – odpowiedział krótko Duncan, mając na myśli sławny bar topless w Fayetteville. – Jest tu kilka ciekawych dupereli – dodał, wertując dokument.

– Na przykład? Instrukcja, jak grać w pchełki w pancerzu? – zapytał Brecker i wziął ostatnią lewą dzięki dziesiątce karo. – Kurde, i tak trzeba by oszukiwać.

– Nie, zasrały łbie, instrukcja, jak, kurwa, przeżyć! – wrzasnął Duncan.

– Hej, zasrańcu! – warknął Brecker, odrzucił karty i zerwał się na równe nogi, wystawiając palec wskazujący jak ostrze noża. – Jak będę chciał usłyszeć od ciebie takie gówno, ścisnę ci łeb, aż samo wypłynie!

– Ty się lepiej, kurwa, uspokój, sierżancie – warknął Duncan i odsłonił zęby w grymasie złości.

Reszta drużyny zamarła, obserwując kłótnię podoficerów. Starcie zaskoczyło wszystkich, nawet samych zainteresowanych. Duncan trzasnął plikiem dokumentów o podłogę, kiedy drugi sierżant nie chciał ustąpić.

– I to, kurwa, najlepiej od razu – ciągnął. – Jak masz coś do powiedzenia, możemy to omówić na zewnątrz – dokończył prawie normalnym głosem, ale grymas gniewu nie zniknął z jego twarzy.

Twarz Breckera zmieniła się, jego duma i złość zapędziły go w koziego róg, ale dyscyplina, dzięki której uzyskał aktualny stopień wojskowy, nakazywała mu odpowiedzieć.

– Dobra, chodźmy na zewnątrz, sierżancie.

Ostatnie słowo było wypowiedziane jak pogardliwy epitet.

Dwaj podoficerowie sztywnym krokiem opuścili pomieszczenie, odprowadzeni spojrzaniem pozostałych członków drużyny.

– Dobra – rzucił Duncan, zatrzymał się i pochylił, żeby spojrzeć w twarz niższemu podoficerowi, kiedy obydwoj minęli róg koszar. – O co ci, kurwa, chodzi?

– O ciebie, pieprzony sukinsynu! – warknął młodszy podoficer, usilnie starając się nie podnosić głosu.

Stali tuż przy głównej drodze i obydwoj zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które im groziło. Otwarty konflikt zakończyłby się natychmiastowym wymierzeniem kary przez ich zwierzchników.

– To była moja cholerna drużyna, zanim cię tu wepchnięto, a teraz wszystko się, kurwa, rozpada! Weź się w garść, do cholery!

Twarz Duncana pozostała spokojna, ale nie mógł znaleźć słów natychmiastowej odpowiedzi. Cisza dała Breckerowi okazję do dalszego ataku.

– Dali cię tu, mimo że jesteś dupa wołowa. Nie mogę rozkazywać pieprzonej drużynie, bo nie słuchają mnie, kiedy im zrzędzisz nad uchem. Więc zamknij mordę, przestań gderać i prowadź ich! Prowadź ich, słuchaj rozkazów albo zejdziesz mi, kurwa, z oczu!

– Ach, więc wiesz wszystko o prowadzeniu drużyny? – szepnął Duncan, konwulsyjnie zaciskając pięści.

Bronił się, ale wiedział, że oskarżenie było słuszne.

– Wiem przynajmniej, że nie mogę siedzieć cały dzień na dupie i psioczyć!

– Ach tak?...

Duncan oderwał nagle wzrok od wpatrzonych w niego gniewnych oczu i spojrzał na ścianę koszar. Poczul, że oczy zaszyły mu łzami, i szybko zmienił temat.

– Dziesięć pieprzonych lat, Brecker. Dziesięć pieprzonych lat w tej zasranej dziurze. Nie mogę się stąd wyrwać.

Wpisują mnie na listę żołnierzy, których mają wysłać do Panamy albo Korei albo innej zasranej dziury, tylko po to, żeby później stwierdzić, że jestem niezbędny, i nakłonić mnie do pozostania w jednostce. Potem zmienia się pieprzone dowództwo, a nowy przełożony myśli, że jestem bardziej bezużyteczny niż pył na poligonie. Zgłaszam się wtedy do czegoś innego, ale okazuje się, że jestem niezbędny i nie mogę zmienić wojskowej specjalności zawodowej. Jedyne pieprzone sposoby, w jakie mógłbym wydostać się z Bragg, to zrezygnować ze statusu żołnierza wojsk powietrznodesantowych, ale to tylko inne określenie rezygnacji ze służby w ogóle. W końcu nareszcie dostaję paski starszego sierżanta, jakieś cztery lata później, niż powinienem był je dostać, a teraz to. Po prostu nie mogę już tego, kurwa, wytrzymać, nie mogę.

– Musisz. Przynajmniej zostawili ci jakiś porządny stopień wojskowy. Ja bym cię wysłał do Leavenworth.

– Nie mogli.

– Obciąłeś Reedowi nogi, draniu! Jasne, że mogli!

– Znałeś go?

– Byliśmy w tym samym pieprzonym plutonie ćwiczebnym.

– Nie mogli mnie postawić przed sądem wojskowym i wygrać – mruknął Duncan. – Sprawa nie przeszłaby nawet przez biuro JAG. Wtedy tego nie wiedziałem. Szkoda, że im nie pozwoliłem spróbować. To był sprzęt eksperymentalny. Nie powinienem był móc zrobić tego, co się stało. Nie zatwierdza się takiego sprzętu, po prostu się nie zatwierdza. Jeśli to była czyjaś wina, to GalTechu, że przysłał nam ten złom.

– Nadal go mamy!

– Znowu go zatwierdzili, wiesz? Ale teraz nie można już wygenerować takiego samego pola; próbowałem.

– Co?!

– Tym razem byłem ostrożny. W każdym razie nie da się. Ale problem polega na tym, że można postawić przed sądem wojskowym kogoś, kto złamał rozkazy, ale jeśli wypadek nastąpił z powodu niedostatecznego wyszkolenia albo braku doświadczenia, przepisy jasno stanowią, że nie można za to nikogo ukarać. Więc czy powinienem być teraz sierżantem? Sam powiedz.

– Powinieneś być pieprzonym cywilem – rzucił Brecker, ale w jego głosie nie było już złości. Musiał uznać logikę takiego rozumowania, niezależnie od swoich uprzedzeń. – Ale sprawa nie polega na tym, czy powinieneś być sierżantem, tylko czy powinieneś być dowódcą drużyny. Weźmiesz się w garść czy nie?

– Nie wiem – przyznał Duncan, zrezygnowany.

Przykucnął i oparł się o ponurą ścianę koszar, a deszcz kapiący z dachu wsiąkał w jego beret.

– Za każdym razem, kiedy mieszali mnie z błotem, jakoś potrafiłem się otrząsnąć, ale tym razem będzie mi trudno – dodał.

– Nie mieszałeś cię z błotem, idioto, upiekło ci się.

– Nie, słyszałem, że pułkownik był świadom przepisów. I tak by mi się upiekło, a teraz mogę wystąpić o rewizję i pewnie nawet odzyskać rangę. Próbuję się tego dowiedzieć. Ale kiedy o tym myślę, nie myślę o drużynie.

– To zacznij lepiej myśleć o swoich obowiązkach, bo inaczej góra uzna, że się nie nadajesz, i zostaniesz tylko specjalistą.

– „Lecę w dół po szczeblach raz po raz” – zanucił Duncan.

– Właśnie – zgodził się sztywno Brecker, który nie rozpoznał cytatu. – Ale nie musisz. Wystarczy, że się trochę ockniesz, potrenujesz, i wszystko będzie dobrze.

– Tak – powiedział Duncan.

Nagle uderzyła go jakaś myśl. Umilkł na chwilę, żeby się nad nią zastanowić. Czuł się tak, jakby zdjęto mu z oczu czarną opaskę.

– Czytałeś instrukcję?

– Nie, ale i tak nie mamy pancerzy, żeby w nich trenować.

– Nie, ale mamy mundury do zaprawy fizycznej.

– Tak – zgodził się cierpko Brecker, nie zauważając jeszcze nagłej zmiany w głosie rozmówcy. – Tak jakbyśmy na Diess mieli biegać. Jediną pieprzoną okazją do biegu będzie ucieczka.

– Mamy plac – mruknął Duncan.

Jego umysł zaczynał pracować na wysokich obrotach.

– Tak, pobiegnijmy w trasę. Pułkownikowi to odpowiada, i w dzień, i w nocy. Czy słońce, czy deszcz, pułkownik zawsze mobilizuje nas swoim przykładem do biegu po błotnistym szlaku. Jestem pewien, że drużyna będzie zachwycona propozycją wielogodzinnego biegu w deszczu.

– „W przypadku braku pancerzy można przeprowadzić musztrę w lekkich mundurach do ćwiczeń fizycznych przy użyciu standardowych metod lub polowych symulacji broni i oprządzenia pancerzy wspomaganych.” – Co?

– Tak jest napisane w instrukcji. Porozmawiam z sierżantem Greenem. Każ chłopakom wyjąć mundury do ćwiczeń.

– Cholernie leje deszcz – powiedział Brecker, wskazując na ponure niebo.

– Wielkie mi rzeczy. To są oddziały piechoty, nic im będzie, jak trochę zmokną. I niech się

zastanowią, czym można symulować broń.

– Odbiło ci.

– Chcesz przeżyć czy nie?

– Tak, ale...

– To musimy ćwiczyć „w przypadku braku pancerzy...” – To co, mamy biegać po błotnistym placu w pieprzonych sweterkach? Czemu nie w mundurach polowych?

– Chcesz biegać w buciorach? Dostać odcisków? To nie jest jogging, tylko musztra.

– Ale...

– Migiem, sierzancie Brecker. Ja idę porozmawiać z sierżantem Greenem.

– Dobra...

* * *

– Duncan, co ty paliłeś?

Pokój starszego podoficera był po prostu wydzieloną częścią koszar. Naprzeciwko znajdowała się inna odgradzona przestrzeń, która służyła jako biuro. Niestety wojsko nie pomyślało o zaopatrzeniu tego pomieszczenia w jakiegokolwiek meble. Sypialnia dowódcy plutonu w zasadzie nie różniła się od sypialni pozostałych żołnierzy: stało w niej metalowe łóżko z materacem bez pościeli. Na posłanie dowódcy składała się starannie ułożona podszewka płaszcza przeciwdeszczowego i gortexowy śpiwór. Kiedy Duncan wszedł do pokoju, sierżant Green ślęczał właśnie nad nowymi instrukcjami postępowania, walcząc z ogarniającą go powoli gorączką. Inny dowódca drużyny zdążył mu już donieść o utarczce słownej między Duncanem i Breckerem i ich nagłym wyjściu, więc sierżant spodziewał się, że doszło do oczekiwanej przez pozostałych podoficerów walki. Niespodziewana prośba Duncana absolutnie go zdezorientowała.

– Niczego, sierzancie – odpowiedział zszokowany Duncan.

Nie, żeby w ogóle nie używano narkotyków w wojsku, ale przypadki takie ścigano i tępiono tak rygorystycznie, jak homoseksualizm i komunizm w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Było zupełnie nieprawdopodobne, żeby od czasu rozpoczęcia służby dziesięć lat temu Duncan wahał, palił, żuł, wkładał pod język albo wstrzykiwał sobie cokolwiek, czego nie zapisał mu lekarz, bo inaczej nie utrzymałby się w wojsku przez dziesięć lat.

– Po prostu wydaje mi się, że tracimy wspólną okazję.

– Więc co chcesz zrobić?

– Chcę zabrać drużynę na musztrę na placu apelowym. Metody ćwiczeń opisane w instrukcji są całkowicie różne od tych, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Podobają mi się systemy, które opracowali, sposób, w jaki jednostki się przemieszczają i koordynują działania. No i żołnierze ruszyliby wreszcie tyłki, a poza tym, do diabła, ja też miałbym co robić.

– Tak – powiedział sierżant Green po chwili zastanowienia.

Przejrzał te same rozdziały instrukcji i zastanawiał się, kiedy mogliby zacząć trening. Poza tym nie zauważył propozycji ćwiczeń bez pancerzy wspomaganych.

– Dobra, omówię szczegóły z górą, ale już teraz chcę, żebyś coś zrobił. Weź drużynę i zacznij trening. Mają być możliwie dobrze wyćwiczeni. Jeżeli zostaniemy tu jeszcze przez trzy dni, spróbuję włączyć do ćwiczeń resztę kompanii, a twoja drużyna będzie je demonstrować. Pasuje?

– Świetnie! – Twarz Duncana rozjaśnił na chwilę pierwszy uśmiech, jaki sierżant Green widział u niego od czasu zastosowania Artykułu 15. – Zaraz się do tego zabieramy!

– Tylko tak trzymać, sierzancie – kiwnął głową Green.

Duncan wyszedł dziarsko na zewnątrz i miał wrażenie, jakby zdjęto mu z barków część jakiegoś przytłaczającego ciężaru.

* * *

Drużyna stała w formacji klinowej z sierżantem Duncanem na czele. Sierżant odwrócił się, żeby spojrzeć na ośmiu przygnębionych żołnierzy w szarych mundurach do ćwiczeń fizycznych.

– Dobra – powiedział, kiedy znów zaniósł się na lekki deszcz. – Różnica między taktyką działań w pancerzach wspomaganych a taktyką zwykłej piechoty polega na tym, że w przypadku pancerzy trzeba położyć większy nacisk na akcje szturmowe i przyspieszenie. Wojska powietrznodesantowe są zbyt powolne w porównaniu z nami; jednostki pancerzy wspomaganych są raczej jak kawaleria pancerna. Na początek poćwiczmy kilka prostych manewrów.

Myślcie o tym jak o grze w piłkę nożną: klin, napastnik z prawej, napastnik z lewej, obrońca z prawej, obrońca z lewej i linia autu. I jedynym sposobem trenowania walki w pancerzach na otwartej przestrzeni jest bieganie.

Zacniemy pomału, a potem zwiększymy tempo. Bez obaw, za chwilę w ogóle nie będziecie już czuli deszczu.

* * *

– Kapitanie Brandon, dzwoni major – zawołał urzędnik kompanii przed otwarte drzwi biura dowódcy.

Bob Brandon spodziewał się tego telefonu, odkąd jego kompania zaczęła na placu apelowym intensywne ćwiczenia taktyki jednostek pancerzy wspomaganych. Niechętnie podniósł słuchawkę interkomu.

– Kapitan Brandon.

– Bob, mówi major Norton.

– Słucham, sir.

– Dlaczego pańskie oddziały odbywają ćwiczenia z taktyki pancerzy?

– Wydawało mi się to właściwe, sir. Jesteśmy jednostką pancerzy wspomaganych.

Jeśli nawet major Norton wyczuł sarkazm, nie dał tego po sobie poznać.

– Problem polega na tym, że zbyt wiele metod ćwiczeniowych wymaga rewizji. Pułkownik i ja czytamy instrukcje i kiedy będziemy gotowi, a mam tu na myśli gotowość operacyjną, sporządzimy harmonogram ćwiczeń z uwzględnieniem wszystkiego, co ma się naszym zdaniem w nim znaleźć. W tej cholernej taktyce jest za dużo broni pancernej, a za mało piechoty. Pozabijają nas, jeśli zastosujemy połowę przewidzianych tu manewrów! Tymczasem proszę się trzymać ustalonego harmonogramu, rozumie pan, kapitanie?

– Tak jest, sir. Pragnę jednak zaznaczyć, że harmonogram przewiduje konserwację sprzętu. Do sprzętu mają dostęp kapitanowie.

– Wiem co przewiduje harmonogram, do cholery, sam go pisałem, zapomniał pan? W następnym tygodniu zajmiemy się tymi pancerzami wspomaganymi. Będą to manewry, które pułkownik i ja sprawdziliśmy i na które się zgadzamy. Do tego czasu ma się pan trzymać ustalonej rozpiski! Wyrażam się jasno, kapitanie, czy może życzy pan sobie, żeby pułkownik wyjaśnił to panu bardziej szczegółowo?

– Nie, sir. To nie będzie konieczne. W najbliższej przyszłości sam szerzej omówię to z

– A to jest...? – zapytał sierżant Duncan, trzymając w górze kartę z rysunkiem. – Sanborn?

– Mmm, minóg?

– Tak, a minóg to...? – zapytał o treść informacji po drugiej stronie karty.

– Łądownik. Mmm, uzbrojenie kosmiczne, na przykład... eee, działa plazmowe i inne gówno.

Trochę broni przeciwpiechotnej, naprawdę straszne paskudztwo. Aha, potrafi namierzyć stanowiska artylerii, więc nie wolno wzywać wsparcia ogniowego, kiedy jakiś jest w pobliżu.

– Tak jest. Coś jeszcze, na przykład takie duperele jak liczba żołnierzy na pokładzie?

– Od czterystu do pięciuset? Tak, podobnie jak każda z ich kompanii. I jeszcze ze dwóch Wszechwładców.

– Zgadza się. Po czym można go rozpoznać?

– Jeśli coś wygląda jak drapacz chmur, ale się rusza, to jest to pieprzony minóg – zdefiniował lakonicznie sierżant Brecker.

– No i, kurwa, zgadłeś! – przytaknął Duncan i zgrabnie wrzucił kartę do pudełka. – Jeśli nie potraficie rozpoznać minoga, to idźcie lepiej do okulisty. Następny na liście posleenkiego sprzętu, który mamy umieć identyfikować, jest ten wielki skurwiel – podniósł do góry kolejną kartę. – Bittan?

– Dodekaedr D, czyli dowodzenia. Najważniejsza część składowa dodekaedru B, czyli bojowego. Dwunastościenna bryła. Na jedenastu ścianach mieszanka broni międzygwiazdnej. Dodatkowo uzbrojenie przeciwpiechotne. Napęd międzygwiazdny. Mmm, zwykle tysiąc sześciuset żołnierzy na pokładzie, sporo Wszechwładców, trochę lekkich pojazdów pancernych. Po przyłączeniu dwunastu minogów tworzy dodekaedr B, który jest główną jednostką bojową Posleenów.

– Bardzo dobrze. Nawet wspaniale. Jak można go rozpoznać?

– Wygląda jak dodekaedr B, tylko że jest mniejszy, poza tym dodekaedry B mają zauważalne przerwy między przyłączonymi minogami.

– Blisko. Prawidłowa odpowiedź brzmi: jeśli chce się wam robić w portki ze strachu i zwiewać, to jest to albo dodekaedr B, albo D, przy czym zasadniczo nie ma znaczenia, który.

– Jak długo będziemy się jeszcze zajmować tymi duperelami? – zapytał retorycznie sierżant Brecker.

Harmonogram szkolenia, zgodnie z rozkazem dowódcy batalionu, przeczytano każdej kompanii na porannym apelu. Autoryzowane ćwiczenia z taktyki pancerzy, przewidziane na trzydzieści pięć godzin tylko w jednym tygodniu, polegały na „Identyfikacji Znanych Pojazdów i Sprzętu Posleenów”. Było dwadzieścia pięć jednostek.

W następnym tygodniu mieli się zająć punktem pod tytułem „Poznaj Swój Pancerz Wspomagany”. To też tylko na podstawie książki; nie było dostępnych pancerzy do obejrzenia.

Bittan wyłowił z pudełka kartę z minogiem.

– Naprawdę chciałbym to zatrzymać – powiedział nieśmiało.

Duncan wyglądał na zmartwionego.

– Przykro mi, stary, nie chciałem was w to wszystko wpieprzyć.

– Nie przejmuj się – powiedział sierżant Brecker. – Mimo że te pieprzone ćwiczenia z zewnątrz źle wyglądały, to jednak mieliśmy poczucie, że się czegoś uczymy. To nie twoja wina, że dowództwo ich zabroniło i zastąpiło właśnie czymś takim.

– U... M-O-CZ-Y... – zaczął intonować Stewart.

– Uwaga, żołnierze! – huknął specjalista stojący w połowie drogi do wyjścia z koszar.

– Spocznij, a nawet siadać – zawołał kapitan Brandon. – Wezwać żołnierzy z drugiego pomieszczenia i wszystkich obudzić. Mam nowinę!!!

– Co się dzieje, sir? – zapytał jeden ze specjalistów od mózdzierzy.

– Zaczekajcie, aż wszyscy tu będą. Nie chciałbym się powtarzać. – Uśmiechnął się. – Jak wam się podoba szkolenie, żołnierzu?

Specjalista od mózdzierzy przestąpił z nogi na nogę i po chwili odpowiedział.

– Jest do dupy, sir.

– Miło mi słyszeć, że pierwszy sierżant i ja nie jesteśmy jedynymi, którzy tak sądzą.

Reszta zebranych parsknęła śmiechem.

Wchodzący żołnierze ustawili się wzdłuż ścian koszar. Kiedy wojskowych przestało przybywać i zrobiło się tłoczno, kapitan Brandon usadowił się na jednej z piętrowych pryczy. Rozejrzał się po białych, czarnych i brązowych twarzach, żeby upewnić się, że większość była obecna.

– Dobra, słuchajcie. Otrzymaliśmy rozkaz wylotu pojutrze. – Rozległy się zaniepokojone pomruki.

– Właśnie, to dobrze czy źle? Cóż, wydostaniemy się stąd, ale będziemy w jeszcze większym więzieniu. Dowództwo stwierdziło jednak, że uzyskamy dostęp do sprzętu, kiedy wsiądziemy na pokład statku. Tymczasem chcę, żebyście nauczyli się możliwie najwięcej o pancierzach wspomaganych. Nie będziemy mieli wiele pracy ze sprzętem, dopóki nas nie zaatakują, więc macie przeczytać pieprzony podręcznik! Jak rozumiem, jest tylko jeden na drużynę, więc czytajcie na głos. Czytajcie w czasie wolnym, między ćwiczeniami! To jest jedyna cholerna karta, którą możemy zagrać!

Więc uczcie się, jak nigdy dotąd w szkole. Williams – wskazał na drugiego plutonowego – maksymalny efektywny zasięg granatnika pancierza wspomaganego?

– Eee, jakaś wskazówka, sir?

– Dwieście metrów, sierżancie. Skoro wy tego nie wiecie, to wasza drużyna na pewno też nie. Duncan, maksymalny efektywny zasięg karabinu grawitacyjnego M-300?

– Równy maksymalnemu efektywnemu zasięgowi systemu naprowadzającego, sir.

– Wyjaśnijcie.

– Pociski z karabinu grawitacyjnego mogą opuścić orbitę okołozemską, sir. Trafiają we wszystko, co da się namierzyć.

– Zgadza się. Szeregowy Bittan, co to jest minóg i jak go rozpoznać?

Bittan zerknął na sierżanta Breckera i dostrzegł kiwnięcie głową.

– Hmm, to jest lądownicza część dodekaedru B, zewnętrzna warstwa, która go otacza. I... jeśli coś wygląda jak drapacz chmur, ale lata, to jest to minóg, sir.

Kapitan Brandon zaśmiał się.

– Dobra odpowiedź, żołnierzu...

– Załoga składa się z czterystu wojowników i jednego albo dwóch Wszechwładców. Pojedyncza broń kosmiczna w osi pionowej. Zwykle silniki startowe i napęd kosmiczny...

– Dzięki, Bittan, o to chodziło. Wszyscy macie się zapoznać z materiałami. Broń, taktyka, wyposażenie wroga.

Miejmy nadzieję, że dostaniemy nasz sprzęt do ręki, kiedy już będziemy na statku, ale do tego czasu uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć. Wchodzimy na pokład pojutrze o dziesiątej trzydzieści. To wszystko.

– Sir – zagadnął Schrenker – będziemy mogli zadzwonić do rodziny?

– Nie. – Kapitan Brandon nie wyglądał na zadowolonego, kiedy musiał przekazać tę informację. –

Kazano nam się nie ujawniać i niech tak zostanie. Dopiero z pokładu będzie można wysłać wiadomość do rodziny, ale nie wcześniej, niż znajdziemy się w kosmosie.

Rozległ się pomruk niezadowolenia, ale na tym się skończyło.

– Tak jest, sir.

– Dobra, chłopaki, wracajcie do swoich zajęć. Co macie robić?

– Uczyć się – odpowiedzieli chórem.

Machnął ręką i wyszedł, a kompania podzieliła się na rozmawiające ze sobą grupki.

Prowincja Ttckpt, Barwhon V
02:05 czasu uniwersalnego Greenwich,
27 czerwca 2001

– Rany – rzucił Richards przez sieć komunikacyjną. – Czy tu kiedykolwiek przestaje padać?

– Cóż – odpowiedział bezgłośnie Mueller – jeśli za deszcz uznamy również tę niesamowicie gęstą mgłę, to nigdy.

– Spokój – warknął Mosovich, balansując na pniu zwałonego drzewa. – Nie wiemy, co się tu na nas czai.

Barwhon, jak północno-wschodni Pacyfik, był krainą bezustannych deszczów i mgieł. Żołnierze stopniowo zaczęli czuć, że chociaż gortex dobrze chroni od deszczu, mgła przejmuje zimnem do szpiku kości. Ciągły chłód i wilgoć pozbawiłyby energii zwykłych żołnierzy i byłyby główną przeszkodą dla sił ekspedycyjnych, ale Mosovich i Ersin dokonali właściwego wyboru. Zespół składał się z doświadczonych weteranów, dawno przywykłych do chłodu i wilgoci; ale nawet to nie powstrzymało ich od narzekań. Niebo przypominało teraz zimny, mokry aksamit, a mgła z wolna przechodziła w deszcz. Rozmokła purpurowa ziemia tłumiła odgłos kroków żołnierzy; przez zamglone powietrze o lekko obniżonym ciśnieniu dźwięki ledwo dochodziły do ich uszu. W pobliżu znajdowała się baza Posleenów i żołnierze wiedzieli, że Obcych niestety także trudno będzie usłyszeć.

Od dwóch dni przedzierali się przez wilgotny las. Mueller i Trapp zaproponowali zabawę w wymyślanie nazw drzew. Znaleźli trzysta osiemdziesiąt pięć różnych gatunków i prawie wszystkie były większe od leśnych gigantów na Ziemi. Najpospolitsze z nich, nazwane przez Trappa gryfimi drzewami, mierzyły średnio sto siedemdziesiąt pięć metrów, trzy razy więcej niż najwyższe drzewa w ziemskich lasach. Puszcza była niewiarygodnie gęsta, ale musiała taka być, żeby przetrwać nawet przy nieco niższej grawitacji Barwhon. Niszcząca powoli pod wpływem barwhońskich saprofitów i wszędobylskich chrząszczy. Masywne konary zwałonych drzew, liany i paprocie wyściełały podłoże lasu, a trójwarstwowy baldachim z koron drzew pochłaniał światło.

Żołnierze jak duchy brnęli przez ametystowy szlam. Żuki i muszki na moment jakby zamarły w bezruchu, żeby na swój owadzi sposób przyjrzeć się przybyszom, ale już po chwili powróciły do walki o byt. Komandosi wydawali się jedynymi rozwiniętymi istotami na planecie, dopóki Trapp nie zatrzymał się nagle i nie podniósł w górę zaciśniętej lewej pięści.

Żołnierze przykucnęli i zaczęli powoli zapadać się w rozmokłą ziemię, kiedy Trapp dał dwa razy sygnał ręką i wystawił dwa palce. Był to znak informujący o zbliżającym się nieprzyjacielu i rozkaz złamania szyku. Tuż na krawędzi widoczności zamajaczyły postacie kilkunastu Posleenów, którzy robili coś, czego nie udało się wyjaśnić za pomocą podręcznego informatora. Ponieważ zespół miał za zadanie dowiedzieć się, czym Posleeni zajmują się na co dzień, żołnierze z wielkim zaciekawieniem obserwowali wroga.

Mosovich podpełzł bliżej i zręcznie wystawił głowę zza splotu lian zasłaniających Trappa. Dwunastu Posleenów, zwykłych wojowników, jak wywnioskował Mosovich, powoli sunęło przez polanę, zbierając pierzaste liście i purpurowe jagody.

Obcy przypominali centaury wielkości koni arabskich. Długie ręce zakończone czterema szponiastymi wypustkami – trzema „palcami” i szerokim, tworzącym szczypcę kciukiem – wystawały z podwójnych ramion.

Nogi z pazurami na końcach były dłuższe niż u konia i zginały się w dwóch miejscach, co przypominało odnóża pająka. Budowa kolan powodowała, że Posleeni poruszali się dziwnie chwiejnym krokiem, niczym przerośnięte, skaczące pająki. Ich długie szyje wieńczył spłaszczony pysk krokodyla. Głowy kołysały się jak w tańcu, a paszcze to się zamykały, to znów otwierały z sykiem. Był to złowrogi, hipnotyczny taniec, zrozumiały tylko dla jaszczurczych umysłów uzbrojonych w kły, które czaiły się gdzieś w mroku.

Dziesięciu Posleenów stało w szeregu, a pozostałych dwóch trzymało się z tyłu. Każdy miał uprząż z zamocowaną bronią. Czterech niosło magnetyczne karabiny kaliber 1 mm o długich, szarych lufach, które ludziom wydałyby się zniekształcone; sześciu dźwigało strzelby o bulwiastych magazynkach; jeden z pozostających w tyle maruderów taszczył wyrzutnię raket hiperszybkich, a drugi trzymał karabin magnetyczny kaliber 3 mm. Wyrzutnia raket była małą bronią o długości około jarda, ale bulwiasty magazynek z tyłu mieścił trzy pociski z napędem antygravitacyjnym, który mógł przyspieszyć raketę do ułamka prędkości światła na dystansie poniżej dwudziestu metrów. Szkody, jakie wyrządzał taki pocisk, były katastrofalne.

Od czasu do czasu któryś ze zbieraczy odwracał się, żeby podać liście i jagody maruderowi z wyrzutnią, który wkładał je do skomplikowanej konstrukcji na ramieniu. Obcy nie wydawali żadnych dźwięków, dopóki szereg strzelców nie wypłoszył z ukrycia chrząszcza wielkości królika.

Jeden ze strzelców, którego wystraszył się chrząszcz, wydał z siebie dziwaczny okrzyk i rzucił się w pogoń.

Kiedy dopadł nieszczęsnego owada, wsunął go do paszczy. Maruder z karabinem kaliber 3 mm zawył wysokim głosem, błyskawicznie podniósł broń i uderzył strzelca kolbą w tył głowy. Chrząszcz upadł na ziemię względnie nie uszkodzony i próbował czmychnąć w krzaki, ale ukarany Posleen chwycił go i podał magazynierowi.

Mosovich klepnął Trappa w ramię i gestem dłoni polecił mu pozostać w miejscu. Skinął na Ersina i – po ledwo zauważalnej chwili wahania – na Muellera. Tymczasem starszy sierżant Tung nakazał członkom zespołu pójść w rozsypkę. Mosovich zdał sobie nagle sprawę, że Ellsworthy gdzieś zniknęła, co bardzo mu odpowiadało.

Oznaczało to, że w razie kłopotów na Posleenów na pewno spadnie gniew boży.

W ciszy Mueller przemieścił się na pozycję, z której mógł obserwować Posleenów z góry, i zaczął filmować Obcych mikrokamerą. Ersin patrzył tylko, starając się dowiedzieć jak najwięcej o nieprzyjacielu. W pewnej chwili z ukrycia wyskoczył kolejny chrząszcz, a Posleeni odbyli ten sam rytuał próby konsumpcji. Mimo że Obcy znajdowali się na nowo podbitej planecie, nie wystawili straży; maruder z karabinem kaliber 3 mm wydawał się dowódcą posiłkowym. Wyglądało na to, że wyjątkowo łatwo jest ich zaskoczyć.

Kiedy obydwaj podoficerowie zwiadowczy Mosovicha dobrze przyjrzeni się wrogom, sierżant ruchem dłoni polecił im się wycofać. Dał znak Trappowi, żeby poprowadził zespół z daleka od zbieraczy, i sam też się cofnął.

Żołnierze ruszyli wstecz i zatoczyli szeroki łuk. Ellsworthy pojawiła się tak bezszelestnie, jak zniknęła. Nagle zdjęła z ciemnego ubrania skrawek gnijącej roślinności. Trzymając go w koniuszkach palców wyciągniętej ręki, przyjrzała mu się i odrzuciła z grymasem wstrętu. Mueller roześmiał się cicho i potrząsnął głową, a Tung wniósł oczy ku niebu.

Po tym krótkim przedstawieniu Ellsworthy dźwignęła w górę Tennessee 5-0 kaliber .50 i zdecydowanie ruszyła naprzód. Łatwość, z jaką niosła karabin snajperski, przeczyła jego czternastokilogramowej wadze.

Przez resztę dnia coraz częściej napotykali buszujących w poszyciu Posleenów. Celem ich marszu

była wyżyna, na której znajdowała się kiedyś kolonia Tchpth, ale w miarę upływu czasu zagęszczenie Posleenów tak wzrastało, że Mosovich dał znak do odwrotu i zwołał naradę wojenną, kiedy tylko zapadł zmrok.

W miejscu postoju Ellsworthy zdradziła wreszcie, gdzie się poprzednio ukrywała. Przerzuciła przez ramię czternastokilogramowy karabin, wsunęła ręce w pokryte metalowymi kolcami rękawiczki bez palców i wspięła się na trzydzieści metrów po pniu gryfiego drzewa. Jej ruchy były tak szybkie i bezgłośnie, a widok tak nierzeczywisty, że przywodził na myśl sceny z filmu; drobna kobietka poruszała się bardziej jak pająk niż człowiek. Dobrze zbudowani, odznaczający się nieprzeciętną kondycją podoficerowie do zadań specjalnych, wszyscy z wyjątkiem Trappa, wiedzieli, że nie zdołaliby dokonać takiego wyczynu. Trapp tylko pokiwał głową i wygłosił kilka uwag na temat małej ekscentrycznej marine, która usiadła w końcu na jakiejś gałęzi.

– Dobra – powiedział bezgłośnie Mosovich przez sieć komunikacyjną zespołu, kiedy pozostali podoficerowie usiedli i zaczęli żuć mieszankę regeneracyjną. – Napotyamy coraz więcej Posleenów. Może uda nam się prześlizgnąć, ale na pewno dojdzie do konfliktu przynajmniej z jedną grupą. Czekam na sugestie, najpierw młodszy podoficerowie. Martine.

– Www... wyc... cofujemy się. Ttt... to rekonesans, nie desant.

– Mueller?

– To nasza pierwsza penetracja. Zatrzymajmy się i przez jakiś czas poobserwujmy wroga. Potem chodźmy do drugiego celu misji. Ten teren najechano dopiero pięć tygodni temu. Może na dłuższej zajmowanym terenie będzie mniej strzelców.

– Trapp?

Reprezentant Komanda Foki tylko kiwnął głową.

– Czy ktoś chce iść głębiej?

– Ja zawsze lubiłam pełną penetrację, sierżancie – szepnęła Ellsworthy ze swojej gałęzi.

Rozległ się stłumiony śmiech, a Mosovich potrząsnął głową.

– Ersin, cholera, mówiłem ci, że będą z nią kłopoty!

– Ja? To był twój pomysł! – zaprotestował sierżant zwiadowca.

– Tak, ale i tak mówiłem ci, że będą z nią kłopoty.

– Kłopoty to moja specjalność, sierżancie. A skoro już mowa o kłopotach, zbliżają się do nas właśnie jacyś Posleeni. – Wychyliła się do przodu. – Kolejna zgraja, około piętnastu.

– Dobra, wycofujemy się do miejsca naszego przechwyty. Trapp, zróbmy to powoli i ostrożnie. Martin, nadaj sygnał do lądownika, niech nas odbiorą za dwa dni, punkt A.

– T-t-taa... sam wiesz, co.

Okręg Habersham, Georgia,
Sol III 20:25,
24 grudnia 2001

Mike i Sharon postanowili nie ruszać się z ich domu w Piedmont. Dzieciaki przyzwyczyły się do regularnych wypadów z ojcem do okręgu Towns, a Sharon pracowała tutaj jako inżynier. Mimo ostatnich powołań do wojska większość byłych żołnierzy miała zostać wezwana do służby nie wcześniej niż przed upływem roku, kiedy na dobre rozpocznie się produkcja sprzętu. Mike zajmował aktualnie stanowisko, które dawało mu kontrolę nad pewnymi sprawami, o których chciał dzisiaj porozmawiać z Sharon. Po drodze do domu miał czas na uporządkowanie myśli; zapowiadał się dziwny tydzień.

Skreślił w drogę dojazdową do starego domu na farmie, zatrzymał się i spojrzął na zachodzące nad polami słońce.

Ostatni raport dostarczony przez Beltway Bandit, jedną z licznych firm consultingowych, która wykonywała specjalistyczne analizy dla rządu Stanów Zjednoczonych, dotyczył zmian klimatycznych. Mike wystarczająco znał się na klimatologii, żeby wątpić w dokładność jakichkolwiek prognoz klimatycznych, dopóki działania wroga nie były znane. Z pewnością należało się spodziewać bombardowania kinetycznego albo jądrowego, a zmiany pogody będą zależały od jego intensywności.

Gdyby bombardowanie przeprowadzono na małym obszarze, globalny spadek temperatury też byłby niewielki.

Minimalny atak, zrzuconie sześćdziesięciu do siedemdziesięciu bomb w różnych miejscach globu, skierowanych tylko przeciwko projektowanym Centrum Obrony Planetarnej, wywołałby co najwyżej efekt podobny do skutków erupcji wulkanu Pinatubo. Średnia temperatura powietrza na świecie spadła wtedy o blisko jeden stopień i miało miejsce kilka spektakularnych zachodów słońca, ale poza tym pogoda niewiele się zmieniła.

Jednak wraz ze wzrostem liczby zrzuconych bomb ich wpływ byłby coraz poważniejszy. Dwieście bomb kinetycznych rzędu pięciu do dziesięciu kiloton wywołałoby efekt odpowiadający wybuchowi wulkanu Krakatau, który w końcu dziewiętnastego wieku wprowadził świat w małą epokę lodowcową i wywołał całoroczne mrozy.

Przy ponad czterystu bombach przewidywano prawdziwą epokę lodowcową, zwłaszcza że emisja dwutlenku węgla miała spaść prawie do zera w ciągu następnych dwunastu lat.

Ta ostatnia informacja budziła największy sprzeciw. Raport dostarczał argumentów zwolennikom teorii, że Ziemia znajduje się obecnie w samym środku epoki lodowcowej, a zapobiega jej tylko emisja dwutlenku węgla, czyli że zaplanowaną na nasze czasy epokę lodowcową powstrzymuje „efekt cieplarniany”. Gdyby ta teoria była prawdziwa, a niektórzy klimatolodzy chętnie przyznawali, że mogło tak być, koniec ery stosowania paliw wywołałby również epokę lodowcową.

Gdyby tak się stało wskutek wojny, to niezależnie od jej wyniku większość zaludnionych regionów Ziemi nie nadawałaby się do użytku. A zniszczenia spowodowane samą wojną? Mike widział wstępne raporty, które nie przeciekły jeszcze do prasy. Ta wiedza uświadomiła mu, że był w położeniu, w jakim nigdy nie powinien się znaleźć żaden rodzic. Z umysłem zaprzątniętym takimi myślami wysiadł z samochodu w gęstniejącym mroku i poszedł do kuchni odświeżnie wystrojonego domu. W powietrzu unosił się zapach cedrowej choinki ściętej na rodzinnej farmie, a Sharon piekła

ciasteczka.

– Cześć, kochanie, wróciłem!

Wyrażenie było oklepane, ale kryły się za nim szczerze uczucia.

Sharon weszła do pokoju z najmłodszą córką. Serce Mike'a zabiło mocniej, kiedy zdał sobie sprawę, że Michelle prawie wyrosła już ze swojej różowej piżamy.

W ciągu ostatnich długich miesięcy Mike spędzał od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu godzin tygodniowo w kwaterze głównej GalInfu w Fort Banning albo jeździł od jednej bazy wojskowej do drugiej. Jako jeden z niewielu ekspertów od nowych systemów piechoty, za każdym razem musiał rozwiązywać jakieś problemy. W większości przypadków były to rzeczywiste kłopoty z dostosowaniem nowej technologii, ale czasami miał też do czynienia z technofobią dowódcy w zakresie pancerzy wspomaganych.

Osiem miesięcy prawie bez kontaktu z rodziną i bez jakichkolwiek spotkań towarzyskich bardzo go zmęczyło.

Teraz nadeszła krótka chwila odpoczynku.

– Wesołych świąt, skarbie – powiedział do córki i rozłożył ręce, żeby ją uścisnąć. – Przytulisz tatusia?

– Nie! – Objęła nogę mamusi i wtuliła twarz w jej opiekuńcze ciepło.

– Dlaczego?

– Nie tatusia.

– Na pewno?

– Nie!

– Myszko! Puchatku! – Dmuchnął jej we włosy, a ona zachichotała.

– ...stań!

– Myszko! Puchatku!

Śmiech.

– ...stań!

– Myszko!...

– Puchatku!

Śmiech.

– Ach! Masz mnie! Przytulisz?

Objęła go rękami i przez tę jedną chwilę wszystko na świecie było w porządku.

– Masz wolne święta? – zapytała Sharon.

Koniec wspaniałej chwili.

– Właściwie mam ponad tydzień wolnego. Ale są też i złe nowiny.

– Co?

To była kolejna niespodzianka, a niespodzianki zaczynały ją już męczyć. Zwłaszcza, że przez ostatnie osiem miesięcy musiała radzić sobie jako samotna matka.

– Włączono mnie jako doradcę do jednostki pancerzy wspomaganych, wysyłanej na Diess z wojskami ekspedycyjnymi – powiedział i wstał, nadal trzymając w ramionach zwiniętą w różowy kłębek córkę. – Robisz się coraz cięższa!

– Opuszczasz planetę? – zapytała oszołomiona Sharon.

– I to jak! – przytaknął Mike, bojąc się nadchodzącej kłótni.

– Kiedy?

– W przyszłym tygodniu. Jeszcze przed wysłaniem wojsk.

– Jak to się dzieje, że całą resztę zawiadamia się kilka miesięcy wcześniej? – spytała stanowczo

Sharon.

– Może dzieje się tak dlatego, że cała reszta ma rozsądną pracę – odpowiedział Mike.

– Niech to szlag!

– Kochanie. – Mike pokazał, że nadal trzyma Michelle na rękach. – Możemy to odłożyć na później?

– Jasne. Skoro już jesteś w domu, możesz wykąpać Cally.

– Dobra. Spóźniłem się na kolację?

– Tak, ale nawet gdybyś się nie spóźnił, i tak wyrzuciłabym ją do kubła.

– Kochanie...

– Wiem, ale ciężko mi się z tym pogodzić, rozumiesz? – Sharon miała łzy w oczach. – Trochę trudno cały czas żyć jak samotna matka! Tym bardziej, jeśli się wie, co nas czeka. A ja już nie daję rady i mam wrażenie, że i tak nic nie ma sensu!

Mike stał i nic nie mówił. Była to jedna z tych chwil, kiedy słowa niewiele mogły zdziałać.

– Dlaczego mamusia płacze? – zapytała Michelle.

– Bo tatuś musi na jakiś czas wyjechać.

– Czemu?

– Bo na tym polega praca tatusia.

– Nie chcę, żebyś jechał!

– Wiem, serduszko, ale muszę.

– Ja nie chcę!

Michelle także zaczęła płakać.

Cholera.

– Nie chciałem poruszać tego tematu, kochanie, ale może moglibyśmy pojechać na tydzień na Florydę. Mama na pewno chciałaby zobaczyć dzieci.

– Babcia?

– Tak, złotko, babcia.

– Jedziemy do babci!

– Jedziemy do babci? – zapytała Cally, która dopiero teraz oderwała się od zabawy.

– Kochanie, nie wiem, czy znajdę na to czas – odpowiedziała natychmiast Sharon. – Jesteśmy w samym środku prac nad modyfikacją F-22.

– Jeżeli Lockheed nie da ci urlopu, odejdz z pracy. Nie brakuje nam pieniędzy, a mogłabyś spędzać więcej czasu z dziećmi.

– Nie mówmy teraz o tym – powiedziała i potrząsnęła głową. – Połóżmy najpierw Michelle i Cally do łóżka, a później porozmawiamy.

– Dobra.

* * *

Kiedy dzieci poszły już spać, Mike i Sharon wyciągnęli butelkę „naprawdę dobrego towaru” i zaczęli rozmawiać.

To był dobry sposób spędzenia czasu przed wręczaniem prezentów. Sharon wtuliła się w kanapę z kieliszkiem brandy w rękę i starała się jak najdokładniej wprowadzić Mike'a w szczegóły życia ich dzieci – te wszystkie drobne sprawy, które ominęły go w ciągu ostatnich miesięcy. Mike siedział na podłodze i patrzył na migające lampki choinkowe, i opowiadał Sharon w najdrobniejszych szczegółach o swojej pracy i przygotowaniach do zbliżającej się wojny. Wreszcie wbrew regułom

bezpieczeństwa przedstawił jej też zagrożenia i wyjaśnił, co to oznacza.

– Wszystko? – zapytała Sharon i odstawiła kieliszek.

– Wszystkie równiny nadbrzeżne. Po prostu nie będziemy jeszcze wtedy mieli sprzętu, żeby walczyć z Posleenami. A to dotyczy tylko Stanów Zjednoczonych. Nie mówię o Trzecim Świecie.

– To po co wysyłamy te jednostki pancerny wspomaganych na Diess i Barwhon? – zapytała zagubiona Sharon, wzięła kieliszek i wypłała duży łyk.

Piekące ciepło brandy pomogło jej przywrócić opanowanie.

– Batalion pancerny wspomaganych nie będzie decydującym czynnikiem. Tak przynajmniej twierdzi Główne Dowództwo, a ja się z tym zgadzam.

– Masz na myśli Szefa Połączonych Sztabów?

– Nie, Główne Dowództwo. Tak właśnie będzie się nazywał naczelny organ Wojsk Obrony Stanów Zjednoczonych. Nowe zadania, nowe nazwy. Tak jak Dowództwo Liniowe, Floty i Uderzeniowe. Pozostałe jednostki marynarki i sił powietrznych, które nie zostaną wcielone do floty, połączy się w jedną całość, a Główny Dowódca będzie generałem armii. Nikt jednak nie poruszył jeszcze kwestii, że to wszystko oznacza zniesienie cywilnej kontroli nad wojskiem. Myślę, że nie przedyskutowano też wszystkich spraw związanych z konstytucją.

W każdym razie mieliśmy nadzieję, że zarobimy na wysłaniu wojsk na Diess i Barwhon wystarczającą ilość pieniędzy, żeby wyposażyć wiele jednostek w pancerny wspomagane. Ale niestety sprzęt pójdzie najpierw do jednostek pancerny lecących na Barwhon i Diess. Dopiero kiedy zostaną zaspokojone ich potrzeby, wyposaży się Terrańską Flotę Uderzeniową. Ale jednostki sponsorowane przez Galaksjan otrzymają wszystkie zaatakowane planety, a nie tylko Ziemia. Potrzebujemy wielu lądowych jednostek pancerny wspomaganych, więc pewnie nie będziemy ich jeszcze mieli, kiedy dotrze do nas pierwsza fala najazdu. Niektóre oddziały mogą dostać pancerny bez zasilania tuż przed inwazją. Staraliśmy się, żeby zwiększono czas treningu, ale chyba niewiele da się zrobić w tej sprawie.

Mike sęczył brandy i zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć. Było tyle rzeczy, które jego zdaniem powinna wiedzieć Sharon, nie tylko jako jego partnerka, ale też jako oficer marynarki, który wkrótce zostanie przywrócony do czynnej służby.

– Jeszcze bardziej przydadzą nam się oddziały marynarki, ale większość statków nadal będzie w budowie, kiedy przybędą Posleeni. Wozy bojowe, wielkie działa, które mogą stawić czoło kulom kolonizacyjnym, nie będą dostępne przed upływem roku od uderzenia pierwszej fali, ale dzięki Bogu będą gotowe jeszcze przed dotarciem drugiej.

Mike urwał na moment. Wyglądał na szczególnie zmartwionego.

– A to dotyczy także ciebie.

– Dlaczego?

– Wkrótce ogłoszą, że każdy z personelu floty i naziemnych sił uderzeniowych będzie miał możliwość przeniesienia jednego członka swojej rodziny na bezpieczną planetę. Sprawdziłem i dowiedziałem się, że ty zostaniesz wezwana do jednostki w Stanach Zjednoczonych. Zanim ta sprawa stanie się powszechnie znana, mogę pociągnąć za kilka sznurków i załatwić, żeby przeniesiono cię na inną planetę. A to oznacza, że moglibyśmy wysłać Cally albo Michelle w bezpieczne miejsce.

– A kto by się nimi opiekował? – zapytała Sharon, a jej źrenice rozszerzyły się.

Mike zdawał sobie sprawę, że powinien stopniowo przekazywać szokujące informacje, ale po prostu było niewiele czasu.

– Pewnie jakaś rodzina Indowy z wyższych sfer.

– Czy to byłaby ta sama planeta, na której mnie by umieszczono?

– Prawdopodobnie nie. Gość, który jest mi winien przysługę, może załatwić ci przeniesienie poza Ziemię, ale nie do dowolnie wybranego miejsca. To mogą być Siły Ziemskiej Obrony Planetarnej albo Baza na Tytanie, kto wie.

Wiem tylko, że mogę cię wysłać poza Ziemię, ale ja sam na razie muszę tu zostać.

– Dlaczego?

– Na tym polega moje zadanie. Przydzielono mnie do oddziałów na Diess, ale tylko jako tymczasowego doradcę, a nie na stałe, więc nie traktuje się tego jako pobytu poza planetą. Z tego samego powodu personel Amerykańskiego Korpusu Ekspedycyjnego nie jest wliczany do osób przebywających poza Ziemią, bo jest tam tylko tymczasowo. Jak długo to rzeczywiście potrwa, to zupełnie inna kwestia, ale to jest stała zmiana miejsca odbywania służby.

– Jak długo będą tam te oddziały? – zapytała Sharon.

– Nie wiadomo. Ale trzeba należeć do floty albo sił uderzeniowych, żeby otrzymać status żołnierza przebywającego poza planetą, a Amerykański Korpus Ekspedycyjny na razie nie jest w siłach uderzeniowych floty.

Trzeba po prostu otrzymywać wynagrodzenie bezpośrednio od Federacji, a nie od formacji narodowej albo planetarnej.

– Czyli mam zdecydować, czy jedno z naszych dzieci ma być bezpieczne, ale oddalone od nas.

Jej twarz wykrzywiła się w grymasie, którego nie potrafił zinterpretować.

– Niezupełnie. Jeśli chcesz to traktować jak szantaż, to proszę bardzo, ale lepiej przyjmij tę propozycję. Nie mogę zagwarantować, że wrócę przed inwazją, i wtedy żadne z nas nie będzie mogło być z dziećmi podczas walki.

To oznacza, że zostaną pozbawione naszej opieki, a mówiłem ci już, jak źle to wszystko wygląda. Powiem jaśniej.

Stracimy całe wybrzeża wschodnie i zachodnie, aż do Appalachów na wschodzie i Gór Skalistych i Kaskadowych na zachodzie. Możemy też stracić Wielkie Równiny, ale myślę, że uda się powstrzymać albo znacznie opóźnić tę stratę.

Tereny miejskie wewnątrz pierścienia obrony otrzymają poważny cios. Nigdzie na Ziemi nie będzie całkiem bezpiecznie. Będą schrony dla niecałych dziesięciu procent populacji, ale nie wydaje mi się, i to są profesjonalne prognozy, żeby obrona schronów dobrze funkcjonowała. Zakopanie ich pod ziemią było prawdopodobnie niewybaczalnie głupim pomysłem. Jeśli zechcemy zostawić dziewczynki z rodziną, to może to być albo na Florydzie, która stanie się jedną wielką rzeźnią, albo w północnej Kalifornii lub górach Georgii, po drugiej stronie wododziału kontynentalnego. Tam pod wieloma względami jest bezpieczniej, ale to nadal za blisko Atlanty.

– Nie wierzę, żeby mogli mnie zmusić do powrotu do wojska na takich warunkach – powiedziała z furią Sharon.

– Uwierz w to. Tym razem nikt nie wykręci się od służby, o ile tylko jest choć trochę wyszkolony. Oboje będziemy musieli sprostać wielu wymaganiom. Opieka nad rodziną nie zostanie uznana za dostateczny powód do zwolnienia z tych obowiązków.

– W takim razie nie wierzę, że chcesz zostawić córki ze swoim ojcem – Sharon nie dawała za wygraną.

Nie znosiła, kiedy Mike zachowywał się w ten sposób. Zasypywał ją wtedy gradem logicznych argumentów i zmiatał wszystkie przeszkody na swojej drodze. Jej doświadczenia z zawodowymi żołnierzami, szczególnie oficerami, nie były zbyt przyjemne.

– Tata jest wprawdzie dziwakiem, ale odpowiednim człowiekiem, żeby poradzić sobie w tych warunkach – powiedział Mike, starając się odzyskać normalny ton głosu.

– Twój ojciec nie jest dziwakiem, jest starym czubkiem. Ma kota.

Sharon nakreśliła palcem kółka na czole.

– Tak, ale za to jakiego kota? Jego kot nosi karabin. On jest właśnie takim typem wariata, który mógłby ochronić jedno z naszych dzieci przed śmiercią.

– Kochanie, on jest niebezpieczny! – powiedziała Sharon, wiedząc, że przegrywa kłótnię.

– Nie dla swoich bliskich.

– W większość morderstw zamieszani są krewni! – odparła.

– Mój ojciec jest zbyt wielkim profesjonalistą, żeby skrzywdzić rodzinę. Wszystkie jego morderstwa były szybkie, dyskretne i nie było później żadnych śladów. – Potrząsnął głową, zbity z tropu. – Jest idealną osobą, z którą można zostawić dzieci, zważywszy na obecną sytuację. A może chcesz je zostawić ze swoimi rodzicami? Dobrze ułożonymi bywalcami salonów, którzy twierdzą, że cała ta sprawa to tylko wymysł rządu? A może z moją matką?

Jest wprawdzie wspaniałą osobą, ale absolutnie niezdolną, żeby obronić samą siebie, a co dopiero jedno z naszych dzieci. Poza tym mieszka w Kalifornii, gdzie są tysiące miejsc, w których mogliby wylądować Posleeni. Nie lepiej zostawić ich z byłym Rangersem i najemnikiem, który należał kiedyś do Zielonych Beretów? I który nadal jest w formie, ma kolekcję wspaniałej i całkowicie nielegalnej broni i farmę w górach? Daj spokój!

– Nie podobają mi się jego opowieści. Nie pozwolę faszerować moich dzieci tymi bzdurami.

Wiedziała, że robi się drażliwa. Gdyby Mike tylko się bronił, miałyby czas, żeby się zastanowić, dogadać się. Ale on naciskał.

– Jakimi bzdurami? Jego akta potwierdzają większość jego historii. I zawsze kończą się jakimś morałem. „Nigdy nie wyciągaj zawleczonego granatu, gdy nie masz go gdzie rzucić.” „Zawsze zaminuj pozycję sojusznika. Możesz ufać wrogom, ale nigdy nie ufaj partnerowi.” Nie był zabójcą bez serca; zapewnia, że nigdy nie zabił tego, kogo lubił.

Mike uśmiechnął się. Zgadzał się ze stwierdzeniem, że jego ojciec jest starym czubkiem. Ale za to był doskonale przystosowany do zbliżającej się nawałnicy.

– Och, Michael! – wykrzyknęła Sharon.

– Och, Sharon! – odpowiedział Mike.

– No to kogo zostawimy? Na Boga, kochanie! Jak można podjąć taką decyzję?

Jej ściągnięta twarz wydała się nagle w świetle lampy o wiele starsza.

– Na szczęście jest to decyzja, której nie musimy podejmować. Kiedy przygotowywano program, uznano, że nie warto pozostawiać wyboru zainteresowanym członkom personelu. Flota ustaliła to za nas, a wybór nie będzie podlegał dyskusji. Nie dotyczy to naszych dzieci, ale gdyby jedno z nich miało jakiś defekt genetyczny, to niezależnie od uczuć rodziców takie dziecko nie mogłoby lecieć. Częściowo powodem całego przedsięwzięcia jest chęć umieszczenia poza Ziemią materiału genetycznego dobrej jakości. Ponieważ powołano do służby głównie żołnierzy marynarki, jest to korzystne dla zachowania przede wszystkim genów północnych Europejczyków. Było to i jest nadal tematem żartowanych dyskusji. Nie wydaje mi się jednak, żeby to się zmieniło, niezależnie od tego, że Chińczycy nazywają to rasizmem.

– A nie jest tak? – Sharon wolała odejść od tematu, niż nadal rozmyślać nad całą sytuacją.

– Nie wydaje mi się, ale nie oczekuj ode mnie, żebym analizował teraz darhelską psychologię. Są bardzo skomplikowani, a ja jestem na to zbyt zmęczony. Nie wiem nawet, jak się do tego zabrać. A szkoda, bo moim zdaniem jest to najważniejsza sprawa, którą należałoby się teraz zająć, ważniejsza nawet od samych przygotowań do wojny.

– Dlaczego zrozumienie Darhelów jest takie ważne i jak to możliwe, żeby było ważniejsze od

przygotowań do wojny? Wydaje mi się, że byli dosyć otwarci, pozwalając nam wysłać pozaplanetarne delegacje i dając nam pomoc materialną, a teraz oferując nawet ewakuację rodzin żołnierzy. Są chyba bardzo mili. Nie można oczekiwać, że poświęcą całą swoją energię, żeby nas ratować.

– Owszem, można. Zasadniczo jesteśmy jedyną rasą, która może ich ocalić, i oni o tym wiedzą. Więc powinni skoncentrować wszystkie swoje siły na ochronie Ziemi chociażby po to, żeby utrzymać przy życiu jak najwięcej naszych żołnierzy. Ale nie zrobili tego. Dlaczego? Po zakończeniu wojny, według optymistycznych scenariuszy, jakie widziałem, liczba żołnierzy na Ziemi zmniejszy się o siedemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent. To są Ziemianie, od których zależy los Darhelów, a jednak nie zrobili wszystkiego, żeby nas chronić.

– Cóż, o wszystkim decyduje raczej Federacja niż Darhelowie. Polityka potrafi komplikować sprawy. Może ktoś w Federacji nie zgadza się z tą analizą?

– Jestem przekonany, że Darhelowie kontrolują całą Federację. Za każdym razem, kiedy odbywa się planowana dyskusja, Darhelowie przysyłają swojego reprezentanta. Można rozpoznać, czy spotkanie jest warte uczestnictwa, po tym, czy są tam Darhelowie. I często na posiedzeniach, na których byłem obecny, subtelnie sterowali dyskusją.

A jeśli rzeczywiście jest jakaś grupa, która ustala reguły gry na wszystkich zebraniach, na których podejmowane są decyzje, to lepiej dowiedzieć się, o co chodzi. Mam też wątpliwości co do niektórych przesłanek finansowania naszej obrony. Darhelowie mówią stale o wolnej i równej międzygwiazdnej Federacji, ale zawsze mówią to właśnie oni i tylko czasem starannie dobrani Tchpth. Darhelska rasa kontroluje wszystkie transakcje pieniężne, wszystkie pożyczki. Wśród Galaksjan nie ma miłosierdzia; kiedy Darhelowie żądają od ciebie zwrotu pieniędzy, jesteś ugotowana. Darhelowie są całkowicie zhierarchizowani. Jeśli wykiwasz jednego, puszczają tę informację przez swoją sieć i już nigdy nie będziesz miała szansy, żeby wykiwać drugiego. To właśnie od nich dostajemy dziewięćdziesiąt procent informacji, łącznie z danymi na temat funduszy na obronę planetarną, wymaganego rozmieszczenia zasobów floty i możliwości produkcji poza planetą.

– Wydaje mi się, że dostajesz lekkiej paranoi. Z mojego punktu widzenia Galaksjanie wydają się w porządku – nie zgodziła się Sharon.

– Może. Możliwe, że moja paranoja jest dziedziczna. Ale Jack chciał, żebym z nim pracował, bo jestem autorem książek fantastyczno-naukowych. Każdy zapalenię science fiction zna historię „Ludzkość jest najlepsza”.

– Ja nie.

– A szkoda. Dobra opowieść z lat pięćdziesiątych. Obcy lądują na Ziemi i zaczynają wspierać rasę ludzką. Lepsze żywienie, koniec wojen, kontrola przyrostu populacji. Wszyscy kosmici noszą przy sobie małą książkę. Mówią, że tytuł brzmi „Ludzkość jest najlepsza”. Jedną z postaci opowieści jest lingwista, który próbuje zrozumieć język Obcych. Do dyspozycji ma jedną kopię ich książki. Na koniec kilku szczęśliwców zostaje zaproszonych na planetę przybyszów. Lingwista wreszcie tłumaczy książkę. To książka kucharska.

– Uf! Ale w czym problem? Myślałam, że Darhelowie są wegetarianami.

– Wszystkie tłumaczenia odbywają się za pośrednictwem inteligentnych przekaźników zaprogramowanych przez Darhelów. Ta rasa filtruje także wszelkie informacje, które docierają do nas spoza planety, i miała wpływ na wszystkie ważne decyzje, których byłem świadkiem. Podejrzewam, że kontrolują wszystko, co dotyczy prowadzenia wojny, a podejmowane decyzje są bardzo złe. Unikają fotografowania, więc pewnie nie miałaś okazji dobrze im się przyjrzeć. Wierz

mi, może i jedzą tylko warzywa, ale nie są zbudowani jak roślinożercy. Darhelowie są inteligentni i pragmatyczni, więc skąd te złe decyzje?

– Jakie złe decyzje?

– Bardzo różne. Cholera, wyboru Szefa Sztabu, przyszłego „Głównego Dowódcy”, dokonano bardzo chytrze.

– Sekundę, Mike! Darhelowie nie wybierają przecież przewodniczącego Sztabu.

– Zdziwiłabyś się, na co oni mają wpływ.

– A czy ktoś nie może, nie wiem, sprawdzać tych decyzji? Przyjrzeć się Darhelom?

– Tak, rzekomo prowadzona jest pewna „czarna” operacja, ale jest drobny problem: z nielicznymi wyjątkami uczestnicy operacji, których spotkałem, to beznadziejne ofermy. W projekcie, który jest zapewne największym przedsięwzięciem naszego wywiadu, powinni brać udział najlepsi i najbystrzejsi, a nie półgłówki, których przydzielono do tego zadania.

– Czy nie jesteś... cóż, nieco zbyt krytyczny... czasami?

– Kochanie, jeden z nich zapytał, czy nie moglibyśmy przeprowadzić ziemnowodnej inwazji na Diess. Nie możemy, do cholery. Najwyraźniej nie chwycił, że w kosmosie jest próżnia, promienie lasera rozchodzą się mniej więcej po liniach prostych, a Ziemia jest okrągła. Albo David Hume, który zarządza projektem, jest wspaniałym aktorem, albo jednym z najgłupszych ludzi na świecie.

* * *

Komandor porucznik David Hume dwa razy przekręcił na palcu sygnet Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis i podrapał się w tył głowy. Główny lingwista, Mark Jervic, kłócił się właśnie ze swoim asystentem na temat jakiegoś szczegółu deklinacji w języku Tchpth i nie zwracał najmniejszej uwagi na przełożonego. Po chwili z wigorem pokiwał głową na znak, że zgadza się z jakimś stwierdzeniem, i zamasyście machnął rękami, jak gdyby chciał nakłonić cały świat do jego jednomyślnego poparcia.

Po lunchu w lokalnych delikatesach komandor Hume poszedł do parku Washington Mall i skręcił Independence Avenue w stronę Kapitolu. Chłodny północny wiatr dał przez park i targał na wszystkie strony łysymi gałęziami wiśniowych drzew. Komandor przez chwilę patrzył na drzewa i zastanawiał się, dlaczego tak przyciągają jego uwagę. Wreszcie zdał sobie sprawę, że przypominały mu one werset z „Piekle” Dantego. Dreszcz, który nim wstrząsnął, miał niewiele wspólnego z przenikliwym bożonarodzeniowym chłodem.

Na chwilę stanął przy odbijającym światło basenie, a następnie ruszył naprzód. Po chwili dołączył do niego doktor Jervic i obydwaj powoli poszli ścieżką w stronę Pomnika Ofiar Wojny w Wietnamie.

Komandor Hume wyciągnął z aktówki duży pakunek i wcisnął włącznik zamontowany na prowizorycznej plastikowej skrzynce. Mijający ich biegacz zaklął po japońsku, kiedy potężny impuls elektromagnetyczny wyłączył jego walkmana.

– A może laser? – zapytał Jervic.

– To będzie bardzo trudne w tych warunkach. To samo dotyczy mikrofonów na karabinach, a szумы w tle mają tę samą częstotliwość co głos ludzki.

– Czytanie z ruchu ust.

– Rozglądaj się – powiedział Hume, odwrócił się, żeby spojrzeć na drugą stronę basenu, i usiadł na ławce. – Więc?

Mimo że osiemdziesiąt procent uczestników „Operacji Głęboki Wgląd” istotnie stanowili

wysokiej klasy kretyni, to ani dowódca projektu, który był bardzo, bardzo dobrym aktorem, ani jego główny asystent nie zaliczali się do tej kategorii.

– Czy nie powinieneś być zadać tego pytania, zanim, że się tak wyrażę, przeszedłeś Rubikon? – zapytał Mark i dyskretnie wskazał na generator impulsów elektromagnetycznych. – Przecież nas obserwują.

– Oczywiście, wiem o tym. Ale z moimi informacjami i tak byliśmy już po drugiej stronie Rubikonu. Co masz jeszcze do dodania? – zapytał ostro Hume.

Chciał udawać głupiego dla celów misji, a doktor Jervic czasem najwyraźniej zapominał, że to tylko gra. Po sześciu długich latach, które przepracowali razem w Bostonie, Mark powinien już wiedzieć, kim był mózg operacji.

– Cóż, programy tłumaczeniowe inteligentnych przekaźników zawierają kilka ciekawych protokołów. Bardzo ciekawych.

Jervic, były wykładowca na Harvardzie, umilkł na chwilę i strzelił palcami.

– Skończ z tym cholernym dramatyzmem – warknął Hume. – Nie ma na to czasu.

– No, dobrze – westchnął Jervic. – Protokoły umyślnie wprowadzają w błąd, szczególnie w zakresie genetyki, biotechniki, programowania, a także, o dziwo, analiz socjologicznych i politycznych. Wprowadzanie w błąd polega na czymś więcej niż tylko zamianie słów, ma bazę tematyczną. Nie mam dostępu do samych programów, ale nie ulega wątpliwości, że Darhelowie umyślnie kierują nas w tych dziedzinach w ślepy zaułek. Szczególnie widoczne jest to, moim zdaniem, w ich niezwykle dziwnym podejściu do socjologii. Stale zdarzają się umyślnie spowodowane błędy i modyfikacje danych dotyczących ludzkiej socjologii, prehistorii i archetypów.

– Archetypy – powtórzył komandor Hume.

Spojrzał na pomnik Washingtona i pomyślał, jak George poradziłby sobie z tym wszystkim. Pewnie niewiele by zrobił; zrzuciłby takie szwindle z lukami informacyjnymi na barki Benjamina Franklina.

– Przypuszczalnie wrodzone wyobrażenia w ludzkiej psychce, wspólne dla wszystkich...

– Wiem, co to są cholerne archetypy, Mark – przerwał ze złością David, wyrwany z zadumy. – Powiedziałem „cholerne” archetypy, nie: „Archetypy? Co to, u licha, są archetypy?”. Przypadkowo zgadza się to z pewnymi danymi, którymi dysponuję. Dobra, czas sprawdzić, czy rzeczywiście mamy nieograniczony dostęp do wszystkiego – ciągnął, wstając z ławki. – Nie uwierzyłbyś, co znalazłem w sanskryckim tłumaczeniu...

– Hej, koleś, masz ognia? – Jeden z wszędobylskich przechodniów zagroził im drogę z papierosem w ręku.

– Niestety, żołnierzu – powiedział komandor Hume, kiedy zauważył marynarkę polową i blizny, które u każdego żołnierza zasługiwałyby na uznanie. – Nie palę.

– Spoko, koleś – wymamrotał nie ogolony obwieś. – Spoko.

Rozległy się cztery ściszone wystrzały z tłumika na lufie Colta kaliber .45 i obaj naukowcy wpadli do basenu, barwiąc kryształową wodę na czerwono.

– Spoko – znowu mruknął obwieś, kiedy wokół zaczęły się rozlegać krzyki.

– Jazda! Ruszać się! Wysiadać! Z autobusu! Ruszać się!

Młodzi mężczyźni w szarych ubraniach wylegli z autobusu marki Greyhound. Niektórzy z pośpiechu przewrócili się na ziemię. Nieszczęśliwcy zostali bezceremonialnie poderwani na nogi i popędzeni do reszty grupy, która tworzyła teraz parodię formacji. Trzech śniadych młodych mężczyzn i jedna śniada młoda kobieta, którzy krzyczeli, sami wysiedli przed czterema miesiącami z takiego autobusu. Pomimo kaprałskich szewronów na rękawach, jeszcze niedawno sami byli szeregowcami, których później awansowano. Podzielili formację na cztery nierówne grupy i rozmieścili żołnierzy dźwigających ciężkie worki z rzeczami osobistymi w odpowiednich miejscach zbiórki. Nowi rekruci ustawili się w nierównych szeregach, tworzących trzy boki czworokąta. Było to ich pierwsze spotkanie z sierżantem szkoleniowym. W przypadku nieszczęsnego drugiego plutonu funkcję tę pełnił celowniczy sierżant Pappas. Stał na placu apelowym pośrodku formacji i kiwał tylko głową, sprawiając wrażenie, że najwyraźniej kontempluje ciepły wiosenny dzień. W rzeczywistości jednak starał się dorobić filozofię do sytuacji, która w jego odczuciu całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Jemu i grupie, którą wezwano razem z nim, powiedziano, że właśnie dzięki nim wojsko będzie miało teraz wszystkich starszych podoficerów niezbędnych w formacjach uderzeniowych i osłaniających. Zamiast tego umieszczono ich w Gwardii i jednostkach treningowych. Miało to „wzmocnić” oddziały, do których ich przypisano.

Specowi Pappasowi często przychodziło na myśl stare powiedzenie, że nie można wzmocnić kubła flegmy za pomocą garści grubego śrutu.

Ale był żołnierzem piechoty morskiej i kiedy otrzymywał rozkaz, mówił „tak jest, sir” i wykonywał go najlepiej jak umiał. Więc kiedy powiedziano mu, że będzie instruktorem szkoleniowym, poprosił oczywiście o umieszczenie go w Pendleton, bo była to jednostka, do której należał zgodnie z informacją w jego aktach. Kadry Sił Lądowych wysłały go więc, rzecz jasna, do Obozu McCall w Północnej Karolinie, trzy tysiące mil od Pendleton.

Pobyt w McCall mógł się jednak okazać niezłym rozwiązaniem. Galaksjanie spełnili swoje obietnice i Pappas znalazł się w pierwszej grupie, którą poddano odmłodzeniu. Program odmładzania uwzględniał podział żołnierzy według wieku, stopnia wojskowego i starszeństwa. Ponieważ byli tu tylko oficerowie i podoficerowie, starsi podoficerowie często otrzymywali w programie odmładzania ten sam priorytet, co oficerowie. Jako jeden z najstarszych podoficerów objętych programem Pappas został odmłodzony wcześniej niż wielu starszych sierżantów, którzy wiekiem byli jednak młodszy. Po miesiącu miał ciało dwudziestolatka i sześćdziesięcioletni umysł.

Znowu ogarnęło go dawno zapomniane uczucie niepokonanej siły i niespożytej energii, które pchało go do czynów.

Regularne ciężkie treningi przywracały mu dawną muskulaturę, miały też odwrócić jego uwagę od innych form wyładowania energii.

Służył w piechocie morskiej od trzydziestu lat, z czego przez dwadzieścia siedem był żonaty. W ciągu tych dwudziestu siedmiu lat nigdy nie wchodził do cudzego łóżka. Nie dotyczyło go zdanie: „Nie

jestem rozwiedziony, tylko na tymczasowej służbie". Nigdy nie myślał źle o innych żołnierzach, którzy wykorzystywali służbowe wyjazdy, żeby się trochę rozerwać. Dopóki nie obniżało to ich sprawności, nie obchodziło go, co robili. Ale on złożył przysięgę małżeńską, że „nie będzie Ignął do żadnej innej”, i wierzył w dotrzymywanie obietnic. To samo dotyczyło stwierdzenia „póki śmierć nas nie rozłączy”. Teraz jednak miał ciało i potrzeby dwudziestolatka, a jego żonie dawno stuknęła już pięćdziesiątka. Sytuacja była trudna. Na szczęście program treningów żołnierzy przywróconych do czynnej służby, a potem szkolenie nowych rekrutów było tak wyczerpujące, że nie miał siły wracać do San Diego. Program odmładzania miał w końcu objąć także rodziny żołnierzy, ale sierżant musiałby to najpierw zobaczyć, żeby uwierzyć. Krążyły już plotki o deficycie materiałów do odmładzania, więc nikt nie wiedział, czego należało się spodziewać na dłuższą metę. Sierżant bardzo obawiał się swojego spotkania z Prissy.

Na domiar złego wszystkich najstarszych podoficerów, do których się zaliczał, wezwano jednocześnie, więc w wojsku panował teraz nadmiar pułkowników i podpułkowników, dwóch najwyższych rang objętych programem odmładzania. W marynarce wojennej określano to jako „nadmiar szefów”. Dodatkowo, ponieważ główny nacisk kładziono na szkolenie, większość starszych podoficerów i oficerów została przydzielona do prowadzenia podstawowych i zaawansowanych treningów. Dlatego zamiast stanowiska starszego podoficera w kompanii Pappas otrzymał dowództwo zwykłego plutonu rekrutów.

Nie był więc w najlepszym humorze, kiedy witał grupę czterdziestu pięciu młodych mężczyzn, z których miał zrobić żołnierzy piechoty morskiej (żołnierzy wojsk uderzeniowych, hoplitów albo jakkolwiek mieli się oni teraz, kurwa, nazywać). W charakterystyczny sposób uśmiechnął się do podkomendnych. Mniej bystrzy pomyśleli, że sierżant nie jest więc sadystycznym kretynem, przed którym ich ostrzegano, tylko przyjaźnie uśmiechniętym gościem, i ostrożnie odwzajemnili uśmiech. Bystrzejsi trafnie odgadli, że wpakowali się w poważne kłopoty.

– Dzień dobry, dziewczynki – powiedział sierżant cichym, przyjaznym głosem. – Jestem sierżant Pappas. – Głos był tak cichy, że musieli wyteżać słuch. – Niestety przez następne cztery miesiące będę waszym sierżantem szkoleniowym. Mój drobny, wysportowany młodszy kolega – wskazał na stojącego obok żołnierza – to kapral szkoleniowy Adams. Myślcie o nas jako o waszych markizach de Sade, całkowicie nienormalnych instruktorach aerobiku. Jako wstęp do nauki tak zwanej kurtuazji wojskowej macie się do mnie zwracać tak, jakbym był oficerem.

Będziecie mi mówić „sir” i salutować na powitanie. Czy to jasne?

– Tak.

– Dobra.

– Nie ma sprawy.

– Tak jest, sir!

– Och, przepraszam. Nie wyjaśniłem. Prawidłowa odpowiedź brzmi: „Jasne, sir”.

– Jasne, sir.

Włożył palec do ucha, jakby chciał je przeczyścić.

– Przepraszam. Mam słaby słuch. To przez te krzyki umierających rekrutów. Prosiłbym odrobinę głośniejsze.

– Jasne, sir! – wrzasnęli.

– Widocznie jednak nie wyrażam się jasno – powiedział powoli i wyraźnie. – W prawo zwrot, padnij. Specjalnie dla kretynów, którzy tego nie rozumieją, czyli oczywiście dla was wszystkich, wyjaśniam, że komenda oznacza, iż macie się obrócić lekko w prawo i przyjąć pozycję do robienia pompek.

Kilku rekrutów szybko przywarło do ziemi, inni z wahaniem zaczęli wykonywać wydany rozkaz, ale większość nadal stała, nic nie rozumiejąc.

– Padnij! Na ziemię! Jazda! Ruszać się! – zagrział sierżant o wiele głośniej i ostrzej niż kapral, głośniej niż cała ich grupa. – Zginać łokcie! Ty! Ruszaj się! Dmuchać pompki, pierdoły! Patrzcie na wprost, głowa do góry, wzrok utkwiony w dalekim punkcie. A teraz, kiedy wydam rozkaz, wasza odpowiedź brzmi: „Jasne, sir.”. Macie być wyraźnie słyszani na Marsie! Jasne?

– Jasne, sir!

– Dotąd sądziłem, że ta pozycja ułatwi wam skupienie uwagi. Ale widzę, że przynajmniej jeden z was woli ćwiczyć na siłowni.

Podszedł do wspomnianego nieszczęśnika – wielkiego młodzieńca o herkulesowej budowie ciała i gładkich czarnych włosach – i kucnął, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Czy aby nie jest to dla ciebie odrobinę zbyt męczące zadanie, wielkoludzie?

– Nie, sir!

– A, bardzo dobrze.

Sierżant Pappas wstał i ostrożnie nadepnął na plecy rekruta w okolicy łopatek. Tęgi młodzieniec stęknął, kiedy poczuł na plecach sto trzysta kilogramów, ale wytrzymał.

– W ciągu następnych szesnastu tygodni – Głowa w górę, zasrańcu! – moim obowiązkiem jest zamienić was, laleczki, w żołnierzy wojsk uderzeniowych. – Biodra w dół, cioty! – Jednostki uderzeniowe będą wysyłane ze swoich baz – Do góry! Wy pierdoły! Jeśli ten łamaga może mnie utrzymać, wy możecie wytrzymać w tej pozycji bez obciążenia! – żeby zaatakować Posleenów, kiedykolwiek i gdziekolwiek by to było potrzebne. A to oznacza, że o ile jednostki Gwardii i wojsk osłaniających mogą zobaczyć walkę... – Ty! Mówiłem, nie leż na brzuchu, lumpie jeden! – Kapralu Adams!

– Tak jest, sir!

– To tłuste ścierwo w drugim rzędzie! Sprawdź, jak długo może biegać, zanim się porzyga i padnie!

– Tak jest, sir! Wstawaj, zasrańcu! Ruszaj się!

Kapral poderwał nieszczęsnego rekruta na nogi i pchnął go do przodu.

– Na czym stanąłem? A, tak... O ile jednostki Gwardii mogą zobaczyć walkę, wy na pewno ją zobaczycie. Moim zadaniem jest sprawić, żebyście byli twardzi i szybcy, tak żeby niektórzy z was, ofermi, mogli przeżyć. – Zszedł z rekruta. – Wstawać! Macie się rozejść do koszar. Żadnego spania ani wylegiwania się. W koszarach są dwa czerwone pudła. Jeśli przemyciliście jakieś narkotyki, osobistą broń, noże lub cokolwiek, czego nie powinniście mieć, włóżcie to do pudeł. Jeśli coś zatrzymacie, ja to znajdę. A wtedy wyślę was w takie miejsce, przy którym obóz rekrutów wyda wam się miły i przytulny. Wszyscy oprócz tego zasrańca – wskazał na rekruta, który przed chwilą służył mu za podest – rozejść się!

Kiedy żołnierze zabrali swoje rzeczy i pobiegli do koszar, sierżant obrzucił wzrokiem od stóp do głów pozostającego na miejscu rekruta. Zauważył szerokie, wystające kości policzkowe.

– Jak się nazywasz, dupku?

– Szeregowy Michael Ampele, sir!

– Hawajczyk?

– Tak, sir!

– Tatus w piechocie morskiej, chłopczyku?

Rekrut aż zbladł na tę obelgę, podczas gdy „dupku” nie zrobiło na nim wrażenia.

– Tak jest, sir!

– Myślisz, że będę dla ciebie pobłażliwy z tego powodu, chłopczyku?

– Nie, sir!

– Dlaczego?

– Najtwardsza stal pochodzi z najgorętszego ognia, sir!

– Gówno prawda. Najtwardsza stal pochodzi z właściwej kombinacji temperatury, materiałów i odpowiednich warunków, takich jak pieprzona azotowa atmosfera. Skopię ci dupę z dwóch powodów. Po pierwsze, nikt mnie nie oskarży o rasizm, a po drugie, te kontynentalne lalunie potrzebują przykładu.

– Tak jest, sir!

– Dobra, jesteś dowódcą plutonu – zdecydował. – Wiesz, co to znaczy?

– Tak, sir – powiedział szeregowiec i lekko zzieleniał. – Jeśli coś spieprzą, pan skopie mi dupę, sir.

– Właśnie – potwierdził Pappas z uśmiechem, wydał wargi i wyszczerzył zęby. – Nie mamy czasu, żeby się pieprzyć z treningiem. Wy, rekruciki, przejdziecie cięższe i szybsze szkolenia niż jakakolwiek grupa w historii. Comprende? Sądysz, że sobie poradzisz jako dowódca plutonu?

– Sí, sir – zgodził się szeregowiec.

– Wierzę na słowo, chłopczyku. Dla mnie jesteś tylko kupą gówna. Odmaszerować.

Pappas potrząsnął głową z rezygnacją, kiedy szeregowy dołączył do pozostałych w koszarach. Skracano czas szkolenia i naciskano dowódców, żeby nauczyli rekrutów nie wiadomo czego. Cóż, przeszkolili ich najlepiej, jak można to zrobić w przewidzianym czasie. Ale cieszy się, że nie idzie z nimi na wojnę. Byłoby to zbyt ryzykowne przedsięwzięcie.

Drugie zadanie zespołu zwiadowczego Zadań Specjalnych wymagało dwutygodniowej przeprawy przez mordercze bagno. Ponad połowę czasu żołnierze spędzili zanurzeni po szyję w lodowatej wodzie. Krótki wypoczynek na nocnych postojach utrudniało im mimowolne drżenie całego ciała, a kiedy stanęli u celu, nawet starszy sierżant Tung wyglądał mizernie. Na tym obszarze nie było na razie ani śladu posleenkich zbieraczy, ale zespół zwiększał czujność w miarę zbliżania się do miasta Tchpth. Wkrótce zza dźwiękochłonnej mgły dobiegło ich regularne buczenie urządzeń obozowych, a Mosovich wysłał Trappa i Ellsworthy na zwiady. Czas oczekiwania dłużył się w nieskończoność, dopóki niezmordowany żołnierz Komanda Foki nie wyłonił się nagle z bajora w samym środku grupy. Z uśmiechem dał znać, żeby ruszyli naprzód, i wyprowadził ich na brzeg mokradła.

Za zasłoną lian na skraju trzęsawiska przywitał ich widok wzmożonej aktywności Obcych. Większość wątych wież, o których żołnierze czytali w dokumentacji, leżała w kawałkach na ziemi i była demontowana dla pozyskania surowców. Gdzeniegdzie wznosiły się zigguraty albo piramidy z metalu i kamienia. Stały w sporej odległości od siebie, a pomiędzy nimi zbudowano niskie koszary z kamienia i gliny. W oddali sypano groble na bagnach, a obok montowano coś w rodzaju umocnień obronnych. Przy najbliższym zigguracie było kilka zagród, ale żołnierze nie mogli dostrzec ze swojego miejsca, co w nich trzymano.

– Ellsworthy – mruknął Mosovich – co jest w zagrodach?

– Głównie kwiatki – szepnęła ze swojego miejsca na gałęzi. – W jednym kilku Krabów.

Kiedy to mówiła, jeden z Posleenów podszedł do zagrody, wrzucił do środka kilkanaście posleenkich piskląt i potruchtał dalej.

– Obrzydlistwo – szepnęła Ellsworthy.

– Co? – zapytał Mueller.

– Inne pisklęta jedzą nowe. Chyba niektóre jeszcze żyją.

– Fuj – mruknął Richards.

– Nagraj to na taśmę – polecił Ersin.

– Mam kamerę w celowniku, spokojnie.

– Dobra, cofniemy się trochę i wysuszemy się – szepnął Mosovich. – Będziemy na zmianę obserwować, dopóki nie sfilmujemy wszystkiego, a potem wycofamy się do miejsca przechwyty. – Zaczął zanurzać się z powrotem w bagno. – Ellsworthy, obserwujesz pierwsza.

– Dobra. Już ja im się przyjrę.

* * *

Dwa dni później byli już prawie całkiem wysuszeni i bardzo zdezorientowani.

– Jesteś pewien, że to widziałeś? – zapytał Mosovich po raz piąty.

– T... t... tak, oczywiście! – Martine był na przemian zły, zgorzony i przerażony.

– Żaden gatunek nie mógłby w ten sposób przetrwać! – wykrzyknął Mueller, na chwilę zapominając o sieci komunikacyjnej.

– Przymknij się, kurwa mać – warknął Mosovich. – Skoro mówi, że widział, to widział. Szkoda

tylko, że nie uchwyciłeś tego mikrokamerą.

– K... k... kiedy ch... ch... chciałem...

– Tak, wiem, było już po wszystkim. Dobra, mamy dane na temat tempa wznoszenia budowli i użycia materiałów. Przyjrzelśmy się umocnieniom obronnym. Wiemy, czego szukają w lesie, i mniej więcej, co jedzą.

Mamy jeden nie potwierdzony raport, przepraszam, sierżancie Martine, na temat ich szczególnych upodobań żywieniowych. Coś jeszcze?

– A po co im piramidy? – zapytał Mueller.

Piramidy były uderzająco podobne do indiańskich budowli w Ameryce Środkowej. U podstawy każdej z nich stała duża chata i rozciągał się plac apelowy albo plac zabaw. Zauważono, że Wszechwładcy spędzają większość czasu wewnątrz lub w pobliżu chat. Na szczycie każdej piramidy stał mały dom albo pałac.

– Miejsce kultu? – podsunął Richards.

– Czyje? Wszechwładców? – zapytał Ersin.

– Może dlatego tak się ich określa? – poddał myśl Trapp, przesuwając cicho nóż Bushmaster po diamentowej ostrzałce.

– Siedem piramid dla siedmiu Wszechwładców? – zastanowił się Mosovich.

– Naliczyliśmy co najmniej dziesięć – zaznaczył Mueller.

– A więc nie jedna piramida na każdego Wszechwładcę. Około tysiąca trzystu wojowników, tak?

– Tak – zgodził się Mueller, kiedy wyciągnął podręczny komputer. – Tysiąc trzystu wojowników, około dziesięciu Wszechwładców i stu dwudziestu trzech Krabów. Razem... prawie tysiąc pięciuset mieszkańców osady.

W miarę budowy piramid zagrody z pisklętami przesuвано. Wyjaśnił się też powód trzymania Tchpth. Zespół patrzył bezradnie, jak Tchpth byli wyciągani jeden po drugim z zagrody i zarzynani. Żołnierze mieli świadomość, że na ich oczach zabija się i zjada inteligentne, często nawet wyjątkowo inteligentne istoty, ale nie mogli temu przeszkodzić bez narażenia swojej misji. Był to jeden z tych przypadków, kiedy powodzenie misji liczyło się bardziej niż życie jednostki czy nawet grupy jednostek. Nie podobało im się to, tak samo jak fakt, że przypadkowa grupa nowych Tchpth została schwytana w dżungli i zapędzona do zagród.

– Ale co z raportem Martine'a? – zapytał Richards. – Dlaczego jakiś gatunek miałby to robić?

– W... w... widziałem, c... c... co w... w... widziałem – powiedział z naciskiem podoficer odpowiedzialny za komunikację.

– Może to wynik ograniczonych zasobów żywności? – podsunął myśl Trapp.

– Jakich ograniczonych zasobów? – parsknął śmiechem Mueller. – Dopiero co podbili planetę pełną pożywienia.

– Może po prostu im smakuje – powiedział Tung.

Wszyscy spojrzeli na niego. Tung notorycznie oszczędzał słowa, więc kiedy w końcu coś mówił, wszyscy go słuchali.

– Wprawdzie są zbudowani jak wszystkożercy, ale to jest jedyne pożywienie pochodzące z ich planety. Może im smakuje.

Wszyscy popatrzyli na niego z podziwem. Jeszcze nigdy nie powiedział aż tyle za jednym posiedzeniem. A do tego miało to jeszcze sens; to by wyjaśniało, dlaczego Wszechwładcy jedli pisklęta swojego klanu, co sierżant Martine jeszcze przed godziną widział na własne oczy.

– Dobra – stwierdził Mosovich – przyjmijmy to jako możliwe wytłumaczenie, dopóki nie znajdzie się lepsze.

Chyba zebraliśmy już wszystkie potrzebne informacje. Czas przyrzeć się innym miejscom. Zaczynamy jutro rano.

Wysuszcie się dobrze dziś w nocy; następną okazję będziecie mieli dopiero za kilka tygodni.

**Transportowiec planetarny klasy Maruk.
Tranzyt w n-przestrzeni Ziemia-Diess, przestrzeń zerowa 09:27,
28 stycznia 2002**

– Porucznik Michael O'Neal zgłasza się na rozkaz, sir!

Mike zasalutował sztywno ze wzrokiem utkwionym piętnaście centymetrów powyżej głowy dowódcy.

– Spocznij, poruczniku.

Wysoki, szczupły oficer znowu zajął się czytaniem komputerowego wydruku raportu i robieniem notatek.

Jak pozwalała na to komenda „spocznij”, Mike stał w lekkim rozkroku z rękami splecionymi na plecach i korzystał z okazji, żeby przyjrzeć się pomieszczeniu i jego gospodarzowi. Podpułkownik Youngman miał małą łysinę i bardzo skrzywiony kręgosłup. Stalowe mięśnie zdradzały dobrą kondycję fizyczną, ale w porównaniu z O'Nealem oficer wyglądał niemal wąż. Bez wątpienia był biegaczem; sądząc po wyglądzie zagłodzonego charta, zapewne weekendowym maratończykiem.

Elipsoidalne pomieszczenie miało surowy, niemal spartański wystrój. Mike przypuszczał, że przyczyną tego były raczej przeszkody technologiczne niż upodobania pułkownika. Gołe szare ściany z masy stalowo-plastycznej były całkowicie niedostosowane do jakichkolwiek normalnych systemów zaczepu – klej by nie przywarł, a gwoździe wygięłyby się – a na rurach na suficie, wykonanych z jakiegoś prawdopodobnie organicznego tworzywa, którego używali Indowy, nie dało się niczego powiesić. Nie było luster, zamykanych szafek ani półek, było tylko biurko, dwa krzesła i podłoga. Światło miało dziwną zielonkawoniebieską barwę, za którą przepadali Indowy. Przez to światło pomieszczenie wyglądało na zimne i ciemne, i przywodziło na myśl filmowe horrory.

Na podłodze stało kilka pudeł, niewątpliwie wypełnionych rzeczami, które dowódca batalionu uważał za niezbędne do udekorowania biura. Mike zaczął wyobrażać sobie w myślach ich zawartość, zaczynając od „barwy narodowe”. Kiedy doszedł do „żona i dzieci, zdjęcie, pięć na siedem, zręcznie ukryte poniżej zdjęcie kochanki”, zdał sobie sprawę, że jego próby pozostania spokojnym powoli rozsypują się w drobny mak. Po dziesięciu minutach pułkownik odłożył drugi raport i podniósł wzrok.

– Wyglądacie na zdenerwowanego, poruczniku.

– Tak pan uważa, sir? – zdziwił się Mike.

Mimo że ten palant okazał mu swoją wyższość, każąc mu czekać dziesięć minut, Mike był pewien, że jego wyraz twarzy się nie zmienił.

– Wyglądaliście na wkurzonego już wtedy, kiedy przeszliście przez drzwi. Szczerze powiedziawszy, robicie minę, jakbyście mieli zaraz odgryźć dupę dzikiej bestii.

Pułkownik zmarszczył czoło w grymasie niezadowolenia.

– A, o to chodzi, sir – powiedział Mike i przestał się dziwić; stale ktoś popełniał ten sam błąd. – Ja mam stale taki wyraz twarzy. To od podnoszenia ciężarów.

– Ciężarowiec, co? Ciężarowcy są zazwyczaj kiepscy w biegach. Jak tam wasze wyniki na ćwiczeniach, poruczniku? – zapytał pułkownik i uniósł brew.

– Daję sobie radę, sir.

Zazwyczaj jestem najlepszy, sir, pomyślał z odrobiną cierpkiego humoru. A jeśli uważa pan, że ciężarowcy są kiepskimi biegaczami, powinien pan zobaczyć maratończyka na siłowni. Kiedy się

potrafi poderwać sztangę dwukrotnie cięższą od siebie samego, pompki i przysiady to pestka. Biegi stanowią pewien problem, ale Mike i tak był zazwyczaj najlepszy w swojej grupie wiekowej.

– „Daję sobie radę” to za mało. Od moich oficerów oczekuję maksymalnej sprawności fizycznej i mimo że nie jesteście oficjalnie przypisani do tej jednostki, oczekuję, że i tak będziecie świecić przykładem. Na tym statku nie ma odpowiednich miejsc do biegów, ale kiedy dotrzemy na docelową planetę, chcę zobaczyć, jak spisujecie się na codziennych ćwiczeniach. Czy wyrażam się jasno?

Pułkownik chciał zmrozić Mike'a wzrokiem. Jednak po wieloletnich doświadczeniach z lodowatym wzrokiem Jacka Hornera spojrzenie pułkownika spłynęło po O'Nealu jak woda po oszlifowanej ścianie diamentu.

– Tak jest, sir – rzucił Mike z udaną powagą.

– Hmm. W ten sposób dochodzimy do kwestii waszej misji. Jak rozumiem, macie doradzać mnie i moim ludziom w sprawach funkcjonowania i używania pancerzy wspomaganych. Zgadza się?

– Sir – Mike urwał na moment, zanim rozpoczął starannie przygotowane przemówienie. – Jako członek zespołu projektowania uzbrojenia piechoty GalTechu dysponuję szczegółową wiedzą na temat słabych i mocnych stron pancerzy wspomaganych. Zespół sprecyzował też wymagania w zakresie gotowości bojowej. Okoliczności sprawiły, że pański batalion został wysłany z misją, zanim spełnił wymogi szkolenia i zanim ktokolwiek, zespół GalTechu, GF TRADOC czy Siły Uderzeniowe Floty, uznał go za całkowicie przygotowany. Dlatego przydzielono mnie do pomocy. Sir, pan wie wszystko o strategii lekkiej piechoty, może też i ciężkiej piechoty, ale ja się znam na pancerzach i strategii ich użycia. Pracowałem nad pancerzami wspomaganymi dłużej niż ktokolwiek inny we flocie – zakończył nie bez dumy.

Urwał, nie wiedząc, co mówić dalej.

– Chcecie powiedzieć, poruczniku, że waszym zdaniem nie jesteśmy odpowiednio wyszkoleni do walki? – zapytał cicho pułkownik.

Mike wyglądał na zszokowanego.

– Nie, sir, ani trochę. Po prostu nie jesteście przygotowani lepiej niż piechota morska przed najazdem na Guadalcanal, a powierzono wam misję z podobnych powodów.

– Cóż, poruczniku – powiedział pułkownik i uśmiechnął się jak kocur do kanarka. – Niestety nie mogę się z tym zgodzić. Wcale nie tak trudno używa się tych pancerzy wspomaganych, którymi tak się chępcie. Do swojego przyzwyczaiłem się bardzo szybko. Będą niezwykle pomocne na Powietrzno-Lądowym Polu Walki, ale nie wydaje mi się, żeby znacznie zmieniały strategię. A nauka obsługi to pestka, więc moim zdaniem wasze główne zadanie ma polegać na patrzeniu mi przez ramię.

Jakie „Powietrzno-Lądowe Pole Walki”? Walka z Posleenami w powietrzu to najkrótsza droga do piekła!

– Sir, moja misja rzeczywiście polega częściowo na ocenie działań batalionu, ale, z całym należnym szacunkiem, moją główną funkcją jest doradztwo. Standardowy pancerz ma dwieście trzydzieści osiem funkcji, które można łączyć w nieskończoną liczbę permutacji. Dla pełnej sprawności żołnierz musi umieć połączyć w środowisku bojowym co najmniej trzy funkcje. Można oczywiście poradzić sobie przy użyciu jednej albo dwóch, ale dopiero trzy do pięciu umożliwiają żołnierzom piechoty „bieganie, skakanie i strzelanie”. Pancerz dowódcy ma czterysta osiemdziesiąt dwie ukryte funkcje. Główne problemy to przeładowanie kanałów przepływu informacji i trudności w obsłudze.

Mike urwał i podniósł wzrok, nadal stojąc w pozycji na spoczynku. Żałował, że nie może zapalić cygara, ale pułkownik na pewno nie był palaczem.

– Jeśli nie dysponuje się inteligentnym przekaźnikiem doskonale dostosowanym do własnych

potrzeb, ryzykuje się przeciążenie kanałów przepływu poleceń, komunikatów, komend sterujących i danych wywiadu. Albo przeładuje pan te kanały, albo odfiltruje za dużo danych, co też jest niebezpieczne. A co do samego pancerza, typ dowódczy ma tyle funkcji pozwalających posiadaczowi na kontrolowanie wielu mobilnych jednostek i utrzymujących go przy życiu, że znowu ryzykuje pan albo przeciążenie, albo wyczerpanie energii pancerza wspomaganego. Sir, TRADOC wymaga minimum dwustu godzin szkolenia w przypadku zwykłych pancerzy i trzystu w przypadku pancerzy dowódczych. Dane w aktach świadczą, że tylko podoficerowie otrzymali ponad sto godzin szkolenia. Sir, ja spędziłem w pancerzu wspomaganym trzy tysiące godzin i nadal czuję się jak początkujący. Problemem są też autonomiczne systemy, które dopasowują się do użytkownika i bywają okresowo niestabilne. Nigdy ich nie testowano w prawdziwych warunkach bojowych, a ich niestabilność pojawia się w ciągu pierwszych stu godzin użycia.

Mike urwał i zastanawiał się, czy dowódca zrozumiał jego obawy związane z niewybaczalnym brakiem przygotowania batalionu. Po głosie odprawiającego go z misją oficera wywnioskował, że TRADOC miało te same zastrzeżenia.

– Synu, rozumiem, co mówisz o przeciążeniu, już dawno zapoznałem się z tym problemem. Zrobiłem to, co zrobiłby w tej sytuacji każdy dobry dowódca: stworzyłem sieć komunikacyjną. Co do użycia pancerzy wspomaganych, masz rację, są zbyt skomplikowane, a ten autonomiczny system to kupa gówna. Wszystko jest w raporcie. Spójrz – podniósł jeden z wydruków – ja też robię raporty. I uważam, że raporty dowódcy batalionu z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem w tej armii znaczą więcej niż raporty jakiegoś cholernego porucznika. Nie obchodzi mnie, na czym polega twoja misja ani za kogo się uważasz. Masz wrócić do kabiny i nie wychodzić z niej do końca podróży. Nie jesteś zamknięty w kwaterze ani nic w tym rodzaju, ale to ja decyduję, co robi mój batalion, jak trenuje i jaka jest strategia. A nie były sierżant z błyszczącą srebrną belką na ramieniu, który zgrywa pieprzonego ważniaka. Jeśli zobaczę, że kręcisz się na terenie batalionu bez mojego wyraźnego zezwolenia, albo dowiem się, że rozmawiasz z moimi oficerami o strategii i treningu, osobiście cię zdegraduję na podoficera i pozbawię honorów, a może i życia. Czy to jasne? – zakończył dowódca batalionu, a słowa rozbrzmiały w ciszy jak przewracające się na siebie żelazne belki.

– Tak jest, sir – powiedział Mike ze wzrokiem utkwionym piętnaście centymetrów nad głową dowódcy.

– A jeśli będziesz grzecznym małym chłopcem, to kiedy wrócimy do domu, napiszę miły raport, w którym nie będzie takich przymiotników jak „arogancki” czy „bezczelny”. Jasne? – Oficer uśmiechnął się blade.

– Tak jest, sir.

– Odmaszerować.

Porucznik O'Neal stanął na bacność, wykonał przepisowy zwrot w prawo i wymaszerował za drzwiami.

* * *

Kiedy drzwi kabiny otworzyły się, Mike leżał na koi ubrany w jedwabny uniform bojowy i miał na nosie okulary z interfejsem rzeczywistości wirtualnej, zwane wojkularami. Jedwabny uniform – oficjalnie w dokumentacji: mundur, przedmiot ogólnej użyteczności, Siły Lądowe – był przeznaczony do codziennego użytku przez żołnierzy w pancerzach wspomaganych. Nie miał służyć do walki, a skoro projektował go zespół GalTechu, położono nacisk głównie na komfort i styl. Strój w jasnoszarym kolorze przypominał trochę kimono z kapturem. Materiał, bawełna udoskonalona przez

Indowy, był gładki i lekki jak jedwab, i reagował na zmiany temperatury. Miał kilka rzemieni zaciskających albo rozluźniających kołnierzyk i mankiety, dlatego można go było używać w temperaturze od minus trzydziestu do plus dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Mike wyróżniał się ubiorem, bo mimo że jedwabne uniformy dostarczono wszystkim żołnierzom jednostki pancerzy wspomaganych, pozostali nosili kamuflujące mundury polowe.

Minął miesiąc od nieudanego spotkania z dowódcą batalionu. Mike miał wrażenie, że jest w najlepszej w życiu kondycji. Skoro nie mógł wykonywać zadań należących do jego misji, czyli szkolenia i doradztwa, większość czasu spędzał na ocenianiu gotowości batalionu (która była niedostateczna) i rozwijaniu własnej sprawności. Pomimo stwierdzenia pułkownika, że na statku nie ma miejsc nadających się do biegania, Mike odkrył ciągnące się kilometrami puste korytarze. Z trudem odnalazł członka załogi Indowy; większość Indowy trzymała się z dala od niezrozumiałych dla nich drapieźników. Po ostrożnych kurtuazyjnych rozmowach Mike uzyskał dostęp do urządzeń kontroli grawitacji w większości nie używanych sektorów. Korytarze były przede wszystkim magazynami z przywodzącymi na myśl jaskinie wnękami, w których przechowywano teraz amunicję, części zamienne,czołgi, racje żywnościowe i mnóstwo innych rzeczy, które cywilizowany rodzaj ludzki zabiera ze sobą, kiedy wyrusza na wojnę. W normalnych okolicznościach wnęki zawierałyby maszynerie, narzędzia, żywność, nasiona, czyszczarki i wiele innych rzeczy, które zabierali ze sobą Indowy, kiedy wyruszali kolonizować inne planety, był to bowiem ich statek kolonizacyjny. Obszerny cylinder, długi na pięć kilometrów i szeroki na kilometr, zabrał teraz kontyngent ziemskich wojsk ekspedycyjnych NATO w czteromiesięczną podróż na Diess.

Przez ostatni miesiąc korytarze rozbrzmiewały zgrzytem stali plastycznej, kiedy Mike biegał, skakał, robił uniki, strzelał i dowodził jednostkami w trybie rzeczywistości wirtualnej, przy ciężeniu sięgającym od zera do dwóch wartości ziemskiej grawitacji. Kiedy drzwi się otworzyły, Mike poprawiał właśnie swoje wyniki w jednym z komputerowo wygenerowanych scenariuszy: „Przełęcz Asheville”.

Ameryka znalazła się w sytuacji, w jakiej nie była jeszcze w swojej historii. Ostatni poważniejszy konflikt na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych to była Wojna Secesyjna, i poza kilkoma wyjątkami żadna strona w tym konflikcie nie była zainteresowana zabijaniem cywilów. Posleenowie natomiast chcieli zabijać; dla nich populacja ludzka była po prostu ruchomą spizarnią. Nadchodziły ciężkie czasy, szczególnie dla oddziałów pancerzy wspomaganych, kiedy potrzebna będzie przysłowiowa ostatnia deska ratunku. Dlatego do tej sytuacji należało się przygotować jak do żadnej innej.

Scenariusz Asheville wymagał od jednostki pancerzy wspomaganych, żeby broniła przełęczy przed przeważającymi siłami Posleenów, tak aby wystarczyło czasu na ewakuację miasta. Program przewidywał atak posleenów na broniącą się jednostkę i jej wsparcie, i za każdym razem wrogowie mieli tysiąckrotną przewagę liczebną. W oryginalnym scenariuszu Posleenowie przełamywali szyk jednostki wspierającej i wdzierali się przez przełęcz do miasta, niszcząc uchodźców na tyłach jednostki broniącej.

Scenariusz był początkowo zaprojektowany tak, żeby nie można było zwyciężyć, ale Mike zmienił program w ten sposób, że jeśli jednostka broniąca zrobiła wszystko dobrze, wygrywała w jednym przypadku na dziesięć.

W nowym scenariuszu siły wsparcia utrzymywały szyk i pozwalały na ewakuację miasta, a nacierające wojska ulegały zniszczeniu.

Mike zastanawiał się, czy zapisać w dokumentacji, że należałoby zwiększyć liczebnie albo usprawnić własne siły atakujące. Mimo że według scenariusza nie było zwycięzców, przy użyciu

standardowych sił batalionu Mike zaczął odpiierać najazd Posleenów w dwóch przypadkach na trzy, niezależnie od tego, czy siły wspierające utrzymywały szyk, czy nie. Teoretycznie nie powinno to być możliwe, kiedy siedmiuset żołnierzy broni się przed milionem pięciuset tysiącami wojowników wroga, kiedy stosunek sił przekracza tysiąc do jednego. Okazało się, że największą rolę w obronie odgrywała artyleria. W każdym razie batalion kończył zawsze jako niewielki pluton, a to wymagało, żeby dowódca przeżył i do końca kierował wojskiem. Czyli jednak można było wygrać.

Kiedy drzwi się otworzyły, Mike był właśnie członkiem kompanii, która otrzymując wsparcie, ściągnęła ogień na swoją pozycję, i doświadczał uczucia, które towarzyszy człowiekowi tuż przed powieszeniem się. Dlatego był bardzo dezorientowany, kiedy okulary wyłączyły się automatycznie i obraz Posleenów, fioletowych promieni lasera, krwi i miażdżonych pancerzy wspomaganych zmienił się w wizerunek łagodnie wyglądającego kapitana średniego wzrostu, o krótko przyciętych blond włosach. Nad kapitanem górował chudy jak szkielet, niezwykle wysoki sierżant sztabowy.

Mike potrząsnął głową i spróbował stanąć na baczność, ale efekt rzeczywistości wirtualnej wywołał nagłą falę zawrotów głowy i mdłości. Mike zatoczył się na ściankę działową.

Kapitan spojrział na niego surowym wzrokiem.

– Brał pan narkotyki albo coś w tym rodzaju?

– Nie, sir! – odpowiedział Mike, porzucił okulary i próbę oddania honorów, po czym sięgnął po torebkę na nieczystości.

– Choroba rzeczywistości wirtualnej, kurde! Przepraszam, sir.

Wrzucił torebkę do otworu utylizatora, włączył wentylację, wyciągnął z chłodziarki butelkę Pepsi i przeszukał biurko w poszukiwaniu dwóch ampulek. Przycisnął je po kolei do wewnętrznej strony ręki.

– Teraz rzeczywiście biorę narkotyki, ale są całkowicie dozwolone, sir. Nagłe wyłączenie systemu treningowego rzeczywistości wirtualnej powoduje tak silne reakcje fizjologiczne, że przeforsowaliśmy stosowanie tych medykamentów GalTechu. Jeden to naprawdę wspaniały środek przeciwbólowy, który powstrzymuje piekielny ból głowy, jaki miałbym w tej chwili, a drugi to środek na mdłości, którego nie wziąłem na czas. Podano to na wykładzie numer sto pięćdziesiąt siedem: efekty uboczne nagłego przerwania programu rzeczywistości wirtualnej, rozdział 32-5 Polowego Podręcznika Pancerza Wspomagane.

Kapitan zaczął klaskać, a stojący za nim podoficer pokiwał głową.

– Brawo, brawo. Naprawdę wspaniale, zważywszy na to, że zaczął pan mówić w samym środku procesu zwracania pokarmu. Można teraz zadawać pytania?

– Oczywiście – odpowiedział Mike i skrzywił się; środek przeciwbólowy walczył z narastającą migreną, ale jego skuteczność była na razie niewystarczająca. – Pytania, komentarze, uwagi?

– Dlaczego po prostu nie zamknie pan tych cholernych drzwi? – zapytał kapitan.

– Nie da się, sir, to statek Indowy. Nie zauważył pan? – odpowiedział Mike.

– Moje zamykają się cholernie dobrze.

– Więc nie odwiedzili pana osobiście pułkownik Youngman ani major Pauley – Mike uśmiechnął się.

Podoficer stojący za kapitanem mrugnął oczami.

– Rzeczywiście nie.

– Nie zechciałby pan wejść do środka, sir? – zapytał Mike i cofnął się w głąb małego pomieszczenia.

System wentylacyjny usunął smród wymiocin, ale ciasny pokój i tak przypominał swoimi rozmiarami klozet.

Łóżko, na którym siedział Mike, na szczęście cofnęło się w głąb ściany, zmieniło format i powróciło w postaci dwóch krzeseł. Z przeciwległego końca pomieszczenia wysunął się blat stołu. Pomimo takiego rozmieszczenia mebli pomieszczenie było za małe dla trzech osób, a szczególnie tak szerokich jak Mike i tak wysokich jak podoficer.

Kapitan wkroczył natychmiast do środka, a sierżant wszedł za nim. Kapitan usiadł na krześle, co od razu zrobili też pozostali dwaj żołnierze. Kolana podoficera sięgały mu prawie do brody.

– Przypuszczam, że major Norton też mógłby otworzyć pańskie drzwi, sir – powiedział Mike, ciągnąc rozmowę.

– Indowcy są niesamowicie zhierarchizowani. Każdy Indowcy z wyższej kasty może wejść bez zapowiedzi. Ci, którzy mają tę samą rangę, nie mogą. Komputer pokładowy też jest w ten sposób zaprogramowany i, szczerze mówiąc, taki system jest do dupy.

– Siedzę w tej puszczy już od miesiąca i nie wiedziałem o tym – zastanowił się kapitan. – Czego jeszcze nie wiem?

– Cóż, przypuszczam, że pańska kompania nie odbyła jeszcze szkolenia w rzeczywistości wirtualnej i że jestem jedynym człowiekiem, który znalazł na statku lebensraum. Jeszcze jakieś pytania, sir? – skończył gorzko Mike.

– Wie pan co? – powiedział kapitan z lekkim uśmiechem. – Naprawdę powinien się pan nauczyć panować nad swoim językiem.

– Tak jest, sir, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Nie, ma pan. Potraktowano pana jak pacholka i nie pozwolono wykonywać pańskiej pracy. Mimo wszystko niech się pan jednak nauczy panować nad sobą.

– Tak jest, sir.

– Dobra, przyszedłem tutaj, ponieważ nurtuje mnie pewien problem. Przy okazji, jestem kapitan Brandon z kompanii Bravo.

– Wiem, sir – skinął głową Mike. – Poznaję pana.

– Mam wrażenie, że zakazano panu komunikowania się z kimkolwiek z batalionu – powiedział tajemniczo dowódca.

– Zgadza się, sir. Wyświetliłem tę informację na moim inteligentnym przekaźniku.

– Dobrze pan sobie radzi z tymi przekaźnikami, jak widzę? – zapytał dowódca.

– Tak mi się zdaje, sir.

– I jest pan ekspertem od pancerzy.

– Jestem projektantem pancerzy, sir – powiedział O'Neal z lekkim uśmiechem.

– Cóż – dowódca odwzajemnił uśmiech – to dobrze, bo przyda nam się trochę pomocy.

– Sir – powiedział Mike z niepokojem – otrzymałem pewne rozkazy...

– Poruczniku – powiedział surowo kapitan – zdaję sobie sprawę z wagi rozkazów. Jestem zawodowym oficerem i po raz drugi służę jako dowódca kompanii. Uważam, że złamanie rozkazu nie jest właściwą decyzją. Dlatego nie wydaje mi się, żeby musiał pan łamać rozkazy.

– Naprawdę? – powiedział zaskoczony Mike.

– Naprawdę? – spytał jeszcze bardziej zaskoczony podoficer.

Mike uśmiechnął się do wysokiego żołnierza. Podoficer odwzajemnił uśmiech.

– Jak rozumiem, zna pan już sierżanta Wiznowskiego? – powiedział kapitan. – Sierżant dowodzi drużyną zwiadowców-snajperów kompanii.

– Tak, sir, oczywiście – powiedział Mike i wyciągnął dłoń. – Co słyhać, sierżancie?

– Ach, raz z góry, raz pod górkę, Mocarne Maleństwo, jak zwykle. A co u ciebie?

Ręka Wiznowskiego owinęła się wokół dłoni Mike'a, tak że ten mógł ją uściskać właściwie tylko

kciukiem.

Porucznik parsknął śmiechem.

– A więc – powiedział kapitan – rozumiem, że służyliście kiedyś razem.

– Hej, Bocian – powiedział Mike – kopę lat.

– Skoro wszyscy się już znamy... – powiedział kapitan z uśmiechem, który szybko zniknął.

Zaczął mówić, ale urwał i rozejrzał się po kabinie.

– Miałem wyjaśnić powód mojej wizyty, ale muszę najpierw zadać kilka pytań. Skąd, u diabła, ma pan to oświetlenie?

Dopiero po chwili Mike zrozumiał, o czym mówi dowódca. Roześmiał się. Światło w jego kwaterze nie miało niebieskozielonej barwy jak w innych częściach statku. Przypominało mniej więcej normalne ziemskie światło i nie wyglądało na oświetlenie z jarzeniówki albo lampy fluorescencyjnej. Było jasne jak światło słoneczne o poranku po opadach śniegu.

– Ach, więc... – zaczął Mike.

– To nie jest śmieszne, poruczniku. Ludzie wariują od tego oświetlenia. A pańskie krzesła i łóżko mają właściwe rozmiary. Cholera, od dwóch miesięcy śpię na łóżku zbudowanym dla Indowy dwa razy niższego ode mnie!

– Ja śpię na podłodze – powiedział Wiznowski z głęboką rezygnacją w głosie.

Zaskoczony Mike popatrzył na dowódcę.

– Pan żartuje, sir? – spytał przerażony.

– Nie, poruczniku – powiedział ze smutkiem dowódca – z pewnością nie żartuję.

Mike pomyślał przez chwilę o żołnierzach od miesiąca żyjących w świetle z kiepskiego horroru filmowego, śpiących na łóżkach, które były zupełnie nie dostosowane do ich potrzeb, i poczuł się bardzo źle.

– Jezu, sir – szepnął i otarł twarz dłońmi. – Cholera jasna. Przykro mi. – Potrząsnął głową. – Czy nikt nie rozmawiał z tymi przeklętymi darhelskimi koordynatorami?

– Nie mam pojęcia, poruczniku. O ile wiem, na statku nie ma żadnych Darhelów.

– Michelle – Mike zagadnął inteligentny przekaźnik, odwracając się gwałtownie od dowódcy – gdzie są darhelscy koordynatorzy?

– Łącznicy Darhel przesiedli się na statek kurierski klasy Flantax podczas awaryjnego postoju na Daspardzie. Dołączą do Sił Ekspedycyjnych na Diess.

– Co?! – krzyknął.

Według jego dokumentacji, łącznicy mieli bezwarunkowo towarzyszyć Siłom Ekspedycyjnym przez całą drogę na Diess. Czekał tam już zespół, który miał zająć się wszystkim na miejscu. Nie było mowy o tym, żeby statek kurierski klasy Flantax zabrał tam Darhelów dwa razy szybciej i w dużo bardziej komfortowych warunkach. Mike znowu ze złością potarł twarz i wziął głęboki oddech.

– Czy Darhelowie pozostawili jakieś wskazówki co do dostosowania kwater i terenów szkoleniowych do warunków ziemskich?

– Brak odnośnych wpisów w bazie danych – stwierdził przekaźnik z nietypową szczerością.

Mike pomyślał nad tym przez chwilę i kiwnął głową.

– Czy istnieją zapisy rozmów na ten temat między Ziemianami i Darhelami? – zapytał ostrożnie.

Wiedział, że właściwie między Ziemianami a Indowy nie było żadnych kontaktów.

– Informacja dostępna wyłącznie dla stron uczestniczących w rozmowach albo brak dostępu z powodu utajnienia danych.

Odpowiedź znowu przyszła bardzo szybko. Mike zdał sobie sprawę, że były to odpowiedzi niejako „wgrane” do pamięci przekaźnika i omijające jego „osobowość”. Jego pozycja w Zarządzie

prawdopodobnie upoważniała go do obejścia zabezpieczeń i otrzymania dostępu do zapisów interesujących go rozmów, ale wiązałoby się to z poinformowaniem uczestniczących stron. Mike nie chciał jeszcze drażnić potwora.

– To się robi coraz dziwniejsze – mruknął.

– Co? – zapytał cicho Wiznowski.

Kapitan chciał o coś zapytać, ale Wiznowski uniósł rękę, prosząc o ciszę. O'Neal był tymczasem w innym świecie. Kiedy minęła prawie minuta, Wiznowski znowu go zagadnął.

– Mike? – powiedział. – Jesteś tam?

O'Neal znowu drgnął i podniósł wzrok.

– Coś tu jest naprawdę popieprzone – oznajmił.

– Proszę jaśniej – powiedział kapitan.

– A więc... – zagrał na zwłokę O'Neal, zastanawiając się, jak zacząć.

– Więc – powiedział znowu – po pierwsze... – Spojrzał na oświetlenie i zaczął od tego. – Wszystko na statku kontroluje załoga Indowy – powiedział i spojrzał kapitanowi w oczy. – Rozumie pan?

– Tak – powiedział dowódca.

– Dobra, wszystko, wodę, powietrze, pożywienie. Skąd mieliście jedzenie?

– No – powiedział zaskoczony kapitan – w sektorze jadalnym...

– Jezu! – wykrzyknął Mike. – Przepraszam, sir.

– Wolałbym, żeby nie wypowiadał pan w mojej obecności imienia jedyne Syna Bożego nadaremnie – powiedział kapitan z pobłażliwym uśmiechem. – Ale ogólnie podzielam pańskie uczucia religijne. Co jest złego w używaniu sektora jadalnego?

– A jak podgrzewacie jedzenie? – zapytał Mike, bojąc się odpowiedzi.

– Na polowym sprzęcie kuchennym – odpowiedział Wiznowski. – Kuchenki na propan i grzałki. Jemy dużo konserw z puszeki.

– Niezbyt dobrze służy to morale wojska – zauważył sucho kapitan.

– O rany, sir, jak można było to wszystko tak spieprzyć? – zapytał Mike i zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział. – Proszę wybaczyć moje słownictwo.

Kapitan pobłażliwie skinął głową.

– Może powinien mi pan wyjaśnić, jak to się ma właściwie odbywać – powiedział.

– Dobra – odpowiedział Mike. – Indowy kontrolują wszystko. Według oryginalnego planu – proszę pamiętać, że miałem z nim do czynienia tylko przelotnie, więc mogłem zapomnieć szczegóły – Darhelowie mieli przygotować wszystko dla Ziemiaków za pośrednictwem Indowy. Indowy zaś mieli dostosować oświetlenie, grawitację, skład powietrza, wszystko.

Upewnił się, czy obydwaj żołnierze rozumieją, co mówi, i ciągnął dalej, kiedy kapitan skinął głową.

– Cała przestrzeń statku już dawno powinna zostać dostosowana do ludzkich potrzeb. Właściwie zaraz po naszym wejściu na pokład. Indowy zarządzają też głównymi zapasami żywności. Macie świeże owoce, warzywa i mięso? – zapytał.

– Nie – powiedział kapitan Brandon i potrząsnął głową.

Nagle zdał sobie sprawę, co wynika z tego pytania.

– Myśli pan, że w tej puszcze jest świeże jedzenie? – ciągnął, robiąc się coraz bardziej zły.

– W sektorach jadalnych powinna być obsługa, tak jak to było w Bragg. Jezu, jeśli mamy aż takie pieprzone kłopoty, to ciekawe, jak radzą sobie cholerni Chińczycy.

Mike zamyślił się.

– Można to naprawić? – zapytał kapitan, cierpliwie naprowadzając rozkojarzonego porucznika z powrotem na temat rozmowy.

– Nie wiem – powiedział Mike i podrapał się w podbródek. – Nie rozumiem tylko, czemu nie zajął się tym już Oberst Kiel.

– Kto? – zapytał Wiznowski.

– Pułkownik Kiel, dowódca niemieckiej jednostki pancerzy wspomaganych – wyjaśnił Mike. – Sprytny z niego Szwab. Ciekawe, czemu się tym nie zajął. Michelle?

– Słucham, sir?

– Czy Oberst Kiel starał się uzyskać pomoc Indowy dla ziemskich żołnierzy? – zapytał Mike.

– Brak...

– Obejdz zabezpieczenia. Rozpoznawanie głosu i identyfikacja sensoryczna. Jakikolwiek wymagany priorytet – rzucił.

– Tak, starał się, poruczniku – powiedział przekaźnik, tym razem rozłoszczonym tonem.

Przekaźnik postanowił widocznie utrudniać obchodzenie zabezpieczeń.

– I dowiedział się...? – zapytał Mike.

– Jeśli to potoczne wyrażenie oznacza pytanie „jaki był wynik rozmowy”, odpowiedź brzmi: żaden – stwierdził przekaźnik.

– Dlaczego? – zapytał Mike.

– Bo tak – odpowiedział przekaźnik.

Gdyby czarna skrzynka mogła się dąsać, na pewno zrobiłaby to teraz. Mike zamknął oczy i policzył do trzech.

– Michelle, czyżbym cię musiał zdebugować? – zapytał ze słodką drwiną w głosie.

– Nie – powiedział przekaźnik bardziej normalnym głosem. – Oberst Kiel komunikował się z Indowy przez sieć inteligentnych przekaźników. Jednak kapitan Indowy odmówił udzielenia większej ilości informacji, niż zezwolili mu Darhelowie, zanim opuścili statek. Ponadto odmówił osobistego spotkania z Oberstem Kielem. Jak wiadomo...

– Rasie Indowy zdecydowanie nie odpowiadają spotkania twarzą w twarz – Mike pokiwał głową i znowu spojrzał kapitanowi w oczy. – Dobra, już wiem, na czym polega problem.

– Może go pan rozwiązać? – zapytał zdeorientowany kapitan.

– Tak – powiedział Mike. – Pewnie tak, sir.

– Mówiłem panu, że to tęgi łeb, sir – powiedział Wiznowski.

– Dlaczego pan może – zapytał kapitan – skoro nie mógł niemiecki pułkownik i przypuszczalnie też dowódca korpusu?

– Częściowo z powodu wzrostu, sir. – Mike skrzywił się w grymasie niezadowolenia. – I mowy ciała. Dla Indowy nie wyglądam na mocarza; większość z nich jest dość krępa. I jestem dla nich tylko wysoki, a nie olbrzymi.

Poza tym bardzo dobrze reagują na gesty, które stosuje się przy oswajaniu koni. Robiliśmy to na farmie – wyjaśnił. – Więc mogę się z nimi dogadać, podczas gdy większość ludzi ma z tym problemy. Prawdopodobnie dowódca korpusu komunikuje się z Indowy za pośrednictwem Obersta Kiela, sir. Nie wiem czemu, ale Indowy rzadko robią cokolwiek bez przynajmniej jednego pośrednika. Jeżeli uda mi się zaaranżować spotkanie z kapitanem statku, będę mógł osobiście wyłuszczyć mu szczegóły planowanego przedsięwzięcia, nakłonię go, żeby spełnił prośbę Obersta Kiela.

– Hmm – dowódca przetrawił zagadnienie w myślach. – A jeśli się nie uda?

– Wtedy, sir, osobiście dostosuję każdy sektor – odpowiedział Mike.

– Dobra – powiedział Brandon. – Naprawdę są świeże owoce na statku? – zapytał po chwili

żałosnym głosem.

– I warzywa – potwierdził Mike. – W stanie stazy, żeby pozostawały nieskończenie długo świeże.

Ma pan ochotę na sałatkę?

– Nie – powiedział dowódca.

Zerknął na Wiznowskiego, który miał dosyć dziwną minę.

– Nie, jeśli nie możemy jej zanieść żołnierzom...

– Tak jest, sir – powiedział podoficer. – Widzisz, Mike, odkąd skończyły nam się zapasy z Ziemi, jemy tylko suchą żywność w torebkach. I groch z puszki, kukurydzę z puszki i fasolę z puszki.

Żołnierze zaczynają już mieć tego dość.

– Ale nie ty, prawda, Bocian? – uśmiechnął się Mike. – Wariują? – zapytał, odwracając się z powrotem do dowódcy.

– Nie – potrząsnął głową Brandon. – U nas wszystko w porządku. Każdy bierze witaminy, a jedzenia starcza. Nie mówiąc o napojach. Ale mamy poważny problem z morale żołnierzy. W innych kontyngentach, nawet amerykańskich, wybuchają zamieszki.

Znowu potrząsnął głową, tym razem z rezygnacją.

– Dobra, zajmijmy się tym, sir – powiedział z przekonaniem porucznik.

Kapitan uśmiechnął się.

– Miło mi to słyszeć. Ale przypomniawo mi to prawdziwy powód mojej wizyty. Szkolenie.

Tym razem Mike zmarszczył czoło.

– Otrzymałem wyraźne rozkazy, sir.

– A mógłby pan zdradzić mi naturę tych rozkazów?

– Mam się nie mieszać do szkolenia. Mam nawet nie rozmawiać z oficerami o szkoleniu. Mam nie wchodzić na teren batalionu ani na teren szkolenia.

– Hmm – oficer uśmiechnął się. – W porządku, widzę, że moje źródła dobrze mnie poinformowały. Jak już mówiłem, nie chcę, żeby łamał pan rozkazy...

– Cóż, sir – powiedział O'Neal. – Skoro rozkazy były najwyraźniej błędne...

– Ale musi pan pamiętać, poruczniku – powiedział ostro kapitan i pogroził palcem młodszemu oficerowi – że należy wykonać rozkaz starszego stopniem oficera.

Brandon przestał mówić żartobliwym tonem.

– Poza tym nieposłuchanie pułkownika byłoby wyrazem braku dyscypliny i zniszczyłoby pańską karierę.

Kapitan utkwiał wzrok w poruczniku, żeby się upewnić, że ten zrozumiał sens wypowiedzi.

– Tak, sir – powiedział Mike.

Zdawał sobie sprawę, że dowódca zmierza do czegoś, ale nie był pewien, do czego.

Kapitan podniósł wzrok i zastanowił się przez chwilę nad tym, co miał do powiedzenia. Zamknął jedno oko i zmarszczył czoło. Brew nad otwartym okiem drgała w górę i w dół.

– Ustalmy jedno. Czy rozmawialiśmy na temat szkolenia z użyciem pancerzy wspomaganych albo jakiegokolwiek galaksjańskiego sprzętu? – zapytał. – Ani przez moment – podkreślił.

– No tak, sir – potwierdził Mike po chwili namysłu.

Wiznowski tylko potrząsnął głową.

– Dobra – skinął głową kapitan na znak zgody. – I nie będziemy rozmawiać o szkoleniu. Ale pozwoli pan, że zadam pewne pytanie. Gdyby kompania miała zespół, który pan by prowadził, musiałby pan być na miejscu? Osobiście? – zapytał kapitan tonem sugerującym odpowiedź.

Zaskoczony Mike potężnie zmarszczył czoło i po chwili otworzył szeroko oczy. Zerknął na leżące na stole okulary z interfejsem rzeczywistości wirtualnej. Pomyślał o tym jeszcze przez chwilę i nagle

zdał sobie sprawę, dlaczego chytry dowódca kompanii przyprowadził ze sobą podoficera.

– Hej, Wiz, czy ty i chłopaki macie coś takiego? – zapytał i podniósł w górę okulary wojskowe.

Wiznowski przymknął powieki w zamyśleniu.

– Tak – szepnął z lekkim uśmiechem.

Roześmiał się szeroko.

– Tak!

– No, panowie – powiedział kapitan, wstał szybko i położył dłonie na biodrach. – Jestem pewien, że macie sporo do omówienia. – Obdarzył ich dobrodusznym uśmiechem. – Jednak mimo że pozwalam sierżantowi Wiznowskiemu na krótkie wizyty, bo jesteście starymi przyjaciółmi, mam nadzieję, że będziecie ostrożni, jeśli chodzi o wybór tematu rozmów. Nie pytajcie, nie mówcie za wiele, nic nie wiecie.

Mrugnął okiem, odwrócił się i szybko wyszedł z ciasnej kabiny.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbii,
Sol III 14:24 czasu wschodniego USA,
12 listopada 2002**

Grupa oficerów wojskowych i cywilów przy stole konferencyjnym wstała, kiedy do Pokoju Sytuacyjnego wszedł prezydent. Tchpth nigdy nie siadali, tylko zawsze balansowali na swoich pokracznych pajęczych nogach, trudno więc było powiedzieć, czy pseudo-stawonóg o dziesięciu odnóżach okazywał szacunek należny przywódcy ostatniego supermocarstwa na Ziemi. Z drugiej strony Obcy był starszym filozofem-naukowcem, wywodzącym się z rasy supernaukowców, i mógł pozwolić sobie na pewną dozę luzu. Zachowywał się teraz swobodnie, tańcząc na czarnym szklanym stole.

– Tchpth Tctchpah – wymówił prezydent z silnym przydechem i, jak wszyscy zauważyli, dość dobrym akcentem – dziękuję ci za przybycie. Chciałeś mówić o naszych planach w zakresie użycia broni jądrowej, biologicznej i chemicznej w zbliżającym się konflikcie.

Usiadł w fotelu i skinął na pozostałych, żeby zrobili to samo.

Starszy Tchpth odczekał, aż grupa doradców i wojskowy personel usiądzie; w spotkaniu uczestniczyli wszyscy członkowie Narodowej Rady Bezpieczeństwa, Główny Dowódca i jego personel. Ich asystenci stali wzdłuż ścian i służyli za żywe magnetofony. Kiedy tylko ucichł szmer rozmów, Tchpth wykonał duży podskok i zwrócił słupki oczu w stronę prezydenta.

– Tak, Starszy Przywódco tej Zacofoanej Grupy Występnych Wszystkożerców. Dziękuję ci za to ograniczone forum.

Słyszając wypowiedź Obcego, wszyscy spojrzeli ukradkiem na prezydenta. Błękitny Tchpth, tak jak wszyscy w pokoju, używał dla celów przekładu inteligentnego przekaźnika. Nie było jasne, czy obelgi wynikały z błędnego tłumaczenia przez przekaźnik, czy stanowiły wierny przekład umyślnej obrazy. Prezydent postanowił znieść to spokojnie i wszyscy zrobili to samo.

– Szczególnie pragnę omówić waszą doktrynę biologiczną i chemiczną.

Pseudo-stawonóg odsunął się tanecznym krokiem na bok, kiedy pojawił się hologram.

– Wasze plany zakładają utworzenie wydziału do spraw broni biologicznej i chemicznej, składającego się z grupy ekspertów, którzy tworzyli tę broń do walki z Posleenami.

Hologram zaczął pokazywać sceny przeprowadzania testów z użyciem broni chemicznej: kozy drżące i wymiotujące pod działaniem Sarinu oraz wycinki z filmów o pierwszej wojnie światowej – żołnierze wypluwający sobie płuca od gazu musztardowego.

– Mimo że filozofia Tchpth sprzeciwia się jakiegokolwiek formie przemocy, rozumiem logikę takiego postępowania. Wydajne użycie broni biologicznej i chemicznej znacznie zwiększy szanse w walce, zważywszy na trudności, jakie nastęcza wojna z Posleenami.

Hologram ukazał sceny posleńskich nalotów. Wieże Tchpth waliły się pod uderzeniami ciężkiej broni Posleenów, a wielkie spychacze grzebały zwłoki Indowy w masowych grobach.

– Niestety, to nie wystarczy Posleenom. Żeby wyjaśnić wam to dokładniej: czy wy prymitywni, obcy, występni wszystkożercy jesteście świadomi, że gdyby wasz kucharz pomylił mnie z ziemskim krabem i ugotował na obiad, umarlibyście po zjedzeniu mnie?

Hologram zaczął przedstawiać różne obrazy: od światów tlenu i wody przez ciężkie, wodorowe giganty, po sceny, które mogły pochodzić z innych wymiarów.

– Wspomniano mi o tym – powiedział prezydent i uśmiechnął się, słysząc słowa, które uznał za

wynik zbyt dokładnego tłumaczenia przez przekątnik. – Chodzi o niekompatybilność chemiczną naszych organizmów.

– Zgadza się. Zdumiewające, że nawet wy nieokrzesani potraficie się uczyć. Istnieją miliardy miliardów światów i żadne organizmy z dwóch różnych planet nie są w pełni kompatybilne. Jednak Posleeni mogą bez problemu spożyć na obiad każdego z nas. Każdego mieszkańca tlenowo-wodnych światów, które najechali.

– „Spożyć bez problemów” to dość dwuznaczne określenie. Tak, to... zwróciło uwagę naszych doradców naukowych – powiedział prezydent i coś zanotował. – Wiadomo, dlaczego?

– Niezupełnie. Zdajecie sobie sprawę, że nigdy nie dostarczono nam ciała Posleena do analizy? Hologram wyświetlił schemat ludzkiego ciała, obok przesuwawała się kaskada danych, potem pojawiły się ciała Darhela, Tchpth, Indowy i Himmita.

– Nie ma sprawy, załatwimy ci jedno, doktorku – wtrącił przy wtórze ponurych śmiechów Zastępca Dowódcy, były komendant Marynarki.

Uwaga ta rozluźniła nieco napiętą atmosferę, wywołaną niezbyt dyplomatycznym tłumaczeniem i pokazywanymi obrazami. Generał McCoy, nowy Główny Dowódca, zamyślił się i szepnął coś na ucho swojemu asystentowi.

– Tak, jestem pewien, że wy, nikkzemni wszystkożercy, wykonacie wspaniałą robotę. Ale na razie możemy tylko spekulować.

Na hologramie zaczął się obracać wizerunek Posleena, ale dane przesuwające się po obrzeżach obrazu składały się głównie ze znaków zapytania.

– Posleeni wykazują wszelkie symptomy modyfikacji genetycznej, co częściowo wyjaśnia zagadnienie. Pełnej odpowiedzi dostarczą nam analizy ciał, które wasz starszy, nieokielznany mięsożerca tak wspaniałomyślnie zaproponował nam dla celów badawczych.

Filozof-naukowiec wydawał się całkowicie nieświadomy konsternacji, jaką tłumaczenie wywołało wśród słuchaczy. Zebrani wciąż nie potrafili ustalić, czy była to kwestia nazbyt dokładnego tłumaczenia, czy umyślnej ironii, i na przemian to wpadali w gniew, to parskali śmiechem. Sekretarz obrony zasłaniał usta ręką, podczas gdy sekretarz stanu po prostu przybrał minę pokerzysty. Narodowy doradca do spraw bezpieczeństwa siedział ze spuszczoną głową, zakrył twarz ręką i zawzięcie robił notatki. Od czasu do czasu jego ciało trzęsło się jakby od śmiechu.

– Dysponujemy jednak pewną informacją na interesujący nas temat. My też posiadamy broń masowej zagłady.

Wprowadziliśmy bardzo surowe przepisy jej użycia. Jednak desperacja pchnęła naszą rasę do próby użycia broni biologicznej i chemicznej przeciw Posleenom. Mimo wsparcia renegatów Tchpth, nie przyniosło to najmniejszych efektów.

Po tym stwierdzeniu większość obecnych odchyliła się do tyłu w fotelach. Głównodowodzący wymienił z sekretarzem obrony spojrzenia, które wyrażały jednocześnie niepewność i zrezygnowanie. Tchpth najwyraźniej wykorzystali już cały program Broni Masowej Zagłady. Mimo że prawo Federacji i liczne umowy sprzed nawiązania kontaktu z obcymi rasami zabraniały użycia takiej broni, odkurzono stare projekty i notatki i rozpoczęto prace w laboratoriach. Plany produkcyjne nie stwarzałyby większych trudności kompetentnemu przedsiębiorstwu chemicznemu, których Stany Zjednoczone miały mnóstwo. Założenie użycia broni masowej zagłady, jak gazu, bomb atomowych i biologicznych, było centralnym punktem planów wojennych. Bez tego, a szczególnie bez broni chemicznej, większość obecnych planów można było wyrzucić do kosza.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział generał Harmon, Szef Sztabu Sił Lądowych. – Myślę, że gaz VX na pewno przyniósłby efekty.

– Właściwie, generale, wasz gaz VX nic by mi nie zrobił. Mógłbym wypełnić nim ten pokój i wyjść z niego cało.

Rozchorowałbym się może trochę od tego waszego obrzydliwego gazu musztardowego w jego śmiertelnie stężeniu, ale gazy atakujące układ nerwowy nie miałyby na mnie najmniejszego wpływu. Pomimo mojego podobieństwa do karalucha albo kraba, wy jesteście o wiele bliżej niż ja spokrewnieni z waszymi skorupiakami albo stawonogami.

Tchpth zachwiał się w górę i w dół i zaaferowany pokręcił słupkami oczu. Przybrał na chwilę turkusową barwę.

– Wasi naukowcy i dowódcy wojskowi poczynili spore postępy – ciągnął, wskazując na hologram.

Przedstawiał on na przemian personel laboratorium, szczelnie osłonięty ubraniem ochronnym, i obrazy różnorodnych gatunków ziemskich stworzeń, które dusiły się w agonii i umierały. Były to z pewnością najnowsze wydarzenia, bo wszędzie widać było supernowoczesne komputery, a nawet trochę galaktycznych urządzeń o charakterystycznych dla Indowy wygiętych kształtach. Przy pierwszej scenie Głównodowodzący zbladł jak papier.

– Są już przygotowani na eksperymenty z pierwszą próbką posleenkiej tkanki i wyprodukowanie odpowiednich gazów. Problem jednak pozostaje: zawiodły wszelkie starania wspaniałych filozofów-naukowców Tchpth, mimo że nasza technologia jest lepsza, a doświadczenie większe. Budowa Posleenów sprawia po prostu, że są odporni na wszelką możliwą broń. Mam przeczucie, że byłaby to strata waszego czasu, nie wspominając już o tym, że jest to niemoralne. Ldd!ttnt! nie pochwaliby tego. – Stawonóg wielkości kraba nagle obrócił się dwa razy w miejscu, huśtając się przy tym w górę i w dół. – Tak mówi Ldd!ttnt!

– A więc dobrze, Tchpth Tctchpah – powiedział prezydent i spojrzał na starszych oficerów. – Rozumiem i szanuję twoje zdanie. Będziemy eksperymentować z bronią chemiczną i biologiczną całkowicie jawnie, ale jeśli nie odniesiemy sukcesu, przerwiemy te starania na rzecz innych metod prowadzenia wojny. Bardziej moralnych. Odpowiada ci to?

– Tak, o Szczodrośliwy i Wspaniały Przywódco Nieoświeconych. Dziękuję ci za twój czas. Jak na bezlitosnego mięsożercę nie jesteś aż tak bezrozumny.

Prowincja Ttckpt, Barwhon V
05:29 czasu uniwersalnego Greenwich,
12 lutego 2002

– No tak – powiedział starszy sierżant Mosovich, kiedy przeczytał e-mail z Dowództwa Zadań Specjalnych. – Wiedziałem, że idzie nam zbyt łatwo.

Żołnierze siedzieli przy malutkim stole w kabinie himmickiego statku, popijając gorące napoje i czekając na swoją kolej pod prysznicem. Zespół spędził na Barwhon już prawie rok. Himmici dwa razy przysyłali zaopatrzenie.

Planowany początkowo krótki pobyt był stale przedłużany, aż twardzi, wybrani wojownicy stali się niemal grupą automatów. Nie było już dowcipów, żartów, scenicznych szeptów. Wszyscy schudli do tego stopnia, że wyglądali prawie jak anorektycy. Nieustanne zimno i wilgoć oraz napięcia związane z penetracją podłamały nawet najtwardszych członków zespołu. Mieli zszarpane nerwy. Mosovich myślał o tym, gdy czytał wydruk wręczony mu przez Rigasa.

Nawet Galaksjanie nie potrafili przysłać listów przez hiperprzestrzeń, więc statki prznosiły tysiące elektronicznych wiadomości z jednego punktu do drugiego. Satelity w kosmosie odbierały i kompresowały tysiące danych, sortowały je i przechowywały do czasu przesłania dalej. Kiedy w okolicy pojawiały się statki, dane przekazywano tym, które zmierzały akurat we właściwym kierunku. Wiadomości docierały do celu raz szybko, a raz wolno, w zależności od kaprysów statków na trasie. W przypadku listów z Dowództwa dane były przysyłane do statku Himmitów, który kursował między ostatnią działającą radiolatarnią a układem planetarnym Barwhon.

Himmicki statek kurierski przechwytywał dane z Ziemi i odsyłał odpowiedź zespołu. W ten sposób informacje dotarłyby na Ziemię, nawet gdyby żołnierze nie przeżyli misji. Rigas odebrał najświeższą transmisję na krótko przed powrotem żołnierzy z 24. Punktu Obserwacji w pełni zorganizowanego miasta Posleenów.

Mosovich myślał o tym jeszcze przez chwilę, kiedy Mueller wyszedł z kabiny prysznicza.

– Następny!

– Chwileczkę, Richards. Zaczekaj.

Richards usiadł z powrotem na niewygodnym krześle i ściągnął brwi. Musiały to być złe nowiny. Z każdą otrzymaną wiadomością sytuacja tylko się pogarszała.

– Dobra, po pierwsze szefowie są bardzo zadowoleni z przebiegu misji. Rzeczywiście jesteśmy tu po to, żeby nie tylko potwierdzić dane galaksjańskiego wywiadu, ale by sprawdzić, czy inni mięsożercy potrafią dowiedzieć się czegoś więcej niż Galaksjanie. Ale wymyślili też dla nas jeszcze inne zadanie. Mamy zdobyć Posleena, żywego lub martwego, i odesłać go na Ziemię do badań. Proszę właściwie o grupę Posleenów.

– O, rany! – wykrzyknął Ersin. – Jak, u diabła, mamy niepostrzeżenie złapać Posleenów? Co będzie, kurwa, z rekonesansem? Względnie: gdzie jest, kurwa, rozkaz powrotu?

– Jasno stwierdzają, że głównym celem misji jest teraz porwanie Posleenów, a rekonesans jest celem drugoplanowym – powiedział Mosovich.

Był to tylko kolejny przykład tego, w jaki sposób Waszyngton rozumiał misję oddziałów zadań specjalnych.

Sierżant zaczynał się już nawet zastanawiać, czy nie postanowiono ich zostawić na tej planecie, aż zgniją. A skoro on tak myślał, wiedział, że innym też przyszło to do głowy. Jak dotąd nie zostali

odkryci i nie stracili nikogo.

Widocznie ci na górze chcieli to zmienić.

– Kto to podpisał?

– Generał Baird, Szef Sztabu w Generalnym Dowództwie Zadań Specjalnych. Najwyraźniej podpisał to w zastępstwie generała Taylora – powiedział Mosovich, zerkając na dół pisma.

Trapp wyciągnął rękę, a Mosovich podał mu dokument. Przestudiował list i po chwili oddał go z obojętnym wyrazem twarzy.

– Baird jest w Siłach Powietrznych. Widzisz tu jakichś zasranych spadochroniarzy? – parsknął śmiechem Trapp.

– To nie ma znaczenia – powiedział Mosovich. – To jest rozkaz. Na szczęście nie napisali, jak to mamy zrobić i jakich Posleenów mamy schwytać. Himmicie Rigas? – zapytał podniesionym głosem.

– Tak, starszy sierzancie? – odpowiedział Himmit przez interkom.

– Czy statek zaopatrzeniowy może tu wylądować? – zapytał Mosovich.

Na polanie było dość miejsca.

– Mógłby, ale nie wyląduje. Załoga nie zdecyduje się na coś takiego po tym, co się wydarzyło w Galaktyce – odparł Himmit.

– Dobra, kończymy misję. Dokonamy porwania i wynosimy się stąd, do diabła. Himmicie, ilu Tchpth da się wcisnąć w tę puszkę i czy możemy wykonać przeskok za pierwszym punktem transferu? Czy zastrzyk hibernacyjny zadziała na Tchpth?

– Widzę, do czego zmierzasz, ale wasze rozkazy nie wspominają o Tchpth. Czytałem je.

– W dupie mam rozkazy! – wrzasnął wkurzony podoficer.

Był tak samo zmęczony jak reszta zespołu i jeszcze bardziej przybity rozkazami. Osobiście uważał, że oznaczały one wyrok śmierci.

– Mamy schwytać Posleenów; widzisz tu gdzieś miejsce na dorosłego Posleena? Ja nie. Więc weźmiemy pisklęta. A skoro pisklęta są tuż obok Tchpth...

– Zabierzemy tylu Tchpth, ilu się da – dokończył Ersin.

– Właśnie.

– Strategicznie źle. Moralnie dobrze. Możemy tak zrobić? – zapytał Tung.

Miał nadal nieodgadnioną, kamienną twarz. Jego doświadczenie, prawie tak samo duże jak Mosovicha, uświadamiało mu niemożność wykonania rozkazów w ich obecnej postaci.

– Powrót będzie cholernie trudny – powiedział Trapp. – Mogą nam się nieźle dobrać do dupy.

Wyjął nóż Bushmaster i zaczął go ostrzyć.

– Idziemy jak owieczki na rzeź – mruknęła Ellsworthy i szybko przejechała pilnikiem po jednym z paznokci.

– Wielką, cholerną rzeź – dodał Mueller – i będzie tam dużo cholernej broni.

– Czyli musimy tam wejść i wyjść nie zauważeni – powiedział Richards i wzruszył ramionami.

– Dywersja – stwierdził Tung.

– A, teraz już wiem, po co mnie tu ściągnąłeś! – roześmiał się Mueller. – Mam umrzeć bohaterską śmiercią rozkładając ładunki wybuchowe! Widziałem ten film. To był dobry film, nie zrozum mnie źle, ale nie wiem, czy zależy mi akurat na tej roli.

– Przygwoździmy Wszechwładców – powiedział Richards.

– Ja bym tak zrobiła – uśmiechnęła się z rozmarzeniem Ellsworthy.

Wyciągnęła rękę na pełną długość i przyjrzała się, w jakim stanie były jej paznokcie.

– Cholera, szkoda, że nie ma tu kosmetyczki.

Spłowała kolejny nierówny paznokieć.

– Zaminujemy przejścia i budynki – stwierdził Tung, patrząc na szczupłą marine.

Ellsworthy przez większość czasu była jakby w innym świecie, ale najwyraźniej czyniło ją to tylko sprawniejszą, kiedy przychodził czas na działanie.

– Przyjdziemy w nocy, porozkładamy ładunki i uderzymy z boku tuż przed świtem. Większość zabierze pisklęta, a reszta wyciągnie Posleenów w daremną pogoń.

– Nie wiemy, czy nie mają pojazdów innych niż pojazdy Wszechwładców, które mogłyby dać sobie radę w tym bajorze – zaznaczył Mosovich. – W gruncie rzeczy pomysł jest dobry, ale powinniśmy unikać prowokowania ich do pogoni. Tung, Ersin, do mojej kabiny. Reszta niech weźmie prysznic i się wyśpi, ja porozmawiam z górą i przygotuję plan działania.

* * *

Sandra Ellsworthy była w swoim żywiole. Owinięta w jutowe szmaty usadowiła się na dolnych gałęziach gryfiego drzewa i wypatrywała celu. Kiedy pierwsze nikłe promienie purpurowego świtu zaczęły barwić barwoński horyzont, wydajność światłoczułych urządzeń na celowniku jej karabinu zmniejszyła się. Na szczęście Posleeni mieli wyższą temperaturę ciała niż ludzie i o wiele wyższą niż na wpół stałocieplni Tchpth, więc dla systemów termowizyjnych widoczni byli na chłodniejszym tle niczym flary.

Zmieniło się tu sporo od ostatniej wizyty zespołu. Było teraz siedem gotowych piramid, każda otoczona kilkoma zagrodami. Ukończono budowę grobli w zachodniej części osady i bunkrów ciągnących się na niemal kilometr od kryjówki Ellsworthy. W północnej i południowej stronie ścinano drzewa i najwyraźniej przygotowywano się do osuszania bagien. Na szczęście nie wycinano lasu po zachodniej stronie osady, gdzie czekali komandosi, gdyż otwarta przestrzeń utrudniłaby wejście zespołu dywersyjnego i zmniejszyła szanse na bezpieczny powrót. Wokół kręciło się też dwa razy więcej Posleenów niż podczas ich pierwszego rekonesansu. Jeśli coś pójdzie źle z porwaniem, wygląda na to, że będą mieli naprawdę nieźle przesrane.

– Pierwsza świnka poszła na targ – szepnęła Ellsworthy i wycelowała karabin w posleńskiego wartownika, który najprawdopodobniej pierwszy zaatakowałby ich siły dywersyjne.

Jej zadanie polegało na opóźnieniu pościgu bez zmniejszenia efektywności dywersji i zdradzenia swojej pozycji.

Dziecinne wierszyki w rytmie reggae były niezłą metodą zapamiętania kolejności strzałów. Mogła wystrzelić jedenaście pocisków, zanim będzie musiała zmienić magazynek, i każdy pocisk był przypisany do określonego celu.

– Druga świnka została w domu – wsparcie pierwszego wartownika – trzecia świnka miała rozeń – dowodzący wojownik chwycił karabin kaliber 3 mm – czwarta świnka nie miała nic – pojawili się jego towarzysze.

Posleeni najwyraźniej zawsze chodzili w kilkusobowych grupach.

– A piąta świnka... – Posleen przykucnął u wejścia do jednej z ukończonych piramid obok zagrody z pisklętami.

Oczekiwała, że za chwilę pojawią się Wszechwładczy. Planowała zlikwidować przynajmniej dwóch z nich, zanim załaduje nowy magazynek.

– Gem – drużyna zastawiająca ładunki wycofywała się.

– Set – Trapp dotarł na pozycję kontaktową.

Ellsworthy cieszyła się, że to właśnie on był w tym miejscu. Szybki, mały sukinsyn był prawdziwym mistrzem, niezależnie od tego, co mówiły jego akta.

– Mecz – szepnęła i nacisnęła spust.

– Teraz – wrzasnął starszy sierżant Tung.

Ellsworthy ledwo dostrzegła Muellera i Ersina, krążących wokół zabudowań. Teraz jednak widoczne było ich dzieło. Dwa na wpół ukończone bunkry przy grobli pochłoniął aktywny srebrny ogień, gdy zadziałały katalizowane ładunki wybuchowe C-9. Jednocześnie w płomieniach stanął dalszy szereg bunkrów. Z pałacu na szczycie najdalszej piramidy ściekły strumienie plazmy, kiedy zdetonowano tam ładunek antimaterii. Posleeni zaczęli wylegać z chat jak szerszenie z gniazda, a Ellsworthy częstowała ich pociskami z karabinu wśród kolejnych wstrząsających osadą eksplozji.

Jedna świnka istotnie poszła na targ, a druga udała się do domu. Przy każdym wystrzale karabin kaliber .50 odskakiwał, uderzał Ellsworthy w ramię z siłą kopiącego konia i niemal strącał ją z gałęzi. Ale kiedy sześćdziesięciogramowe pociski przeszywały piersi Posleenów, istoty o rozmiarach konia aż odrzucało na bok wśród strumieni żółtej posoki tryskającej z dziur wylotowych wielkości talerza. Ellsworthy w samą porę zmieniła magazynek, gdy w zasięgu wzroku pojawił się pierwszy Wszechwładca z uprzężą opuszczoną do połowy. Kasta przywódcza okazała tak samo łatwym celem jak reszta. Kawałki mięsa Wszechwładcy wzbily się w górę, a jego ciało spoczęło obok powalonego strażnika u wejścia do piramidy.

Podczas gdy mistrzyni snajperstwa eliminowała kolejne cele, Trapp miał inne problemy. Kiedy tylko posleński wartownik odwrócił się i spojrzał na buchające srebrne płomienie, z ziemi niepostrzeżenie poderwał się czarny cień.

Komandos nie ufał mocy dziewięciomilimetrowych kul w walce z przeciwnikiem o wadze małego konia i w ciągu czterech sekund wpakował aż siedem pocisków w pierś wartownika i trzy w jego głowę. Łeb Posleena eksplodował jak żółty melon i centaur dołączył do swoich poległych braci. Trapp powoli opuścił broń i przemieścił się na zachód osady, żeby osłonić lewe skrzydło nacierającej grupy towarzyszy.

Richards ruszył w stronę osady i ustawił tuż przy zagrodach lekki karabin maszynowy M-60. Wkrótce dołączył do niego starszy sierżant Tung ze średnim laserem. Pozwoliło to Mosovichowi i Martine'owi skoncentrować się na celu misji.

Zespół miał jednak pewien problem z Tchpth. Nie było urządzeń translacyjnych. Kiedy opuszczali Ziemię, nie dostosowano jeszcze inteligentnych przekładników do ludzkich potrzeb, a Himmici coraz częściej wzbraniaли się przed użyczeniem swoich. Mosovich był więc zmuszony wykorzystać swoją nikłą znajomość języka Tchpth w rozmowie z więźniami, którzy jak nic przypominali mu niebieskie kraby królewskie z Alaski. Martine miał w pewnym sensie pecha i to on musiał napełnić trzy worki piskletami Posleenów.

Jack podbiegł do ogrodzenia zagrody i krzyknął, mocno akcentując spółgłoski.

– TcKpth! !Klik! Tit! Tit!

Jak szczerze zapewnił go Himmit, znaczyło to: „Przyjaciele przybywają na pomoc, cofnijcie się, cofnijcie się!” Obawiał się, że się nie uda, i rzeczywiście, w chwili, gdy z jego ust padły pierwsze słowa, Tchpth rzucili się w odległy kraniec zagrody. Wybuchł ładunek C-4 i pokaźny fragment ogrodzenia grubości jednego metra po prostu zniknął w białym błysku eksplozji.

– Ikdee! Ikdee! – krzyknął komandos i ruszył biegiem w stronę dżungli, gestem dłoni nakazując Tchpth, żeby zrobili to samo.

Odwrócił się i stwierdził, że żaden z nich nie ruszył się z miejsca. Wszyscy bez wyjątku pozostali w zagrodzie.

Klnąc wszystko co galaktyczne, Mosovich popędził z powrotem.

Tymczasem starszy sierżant Martine borykał się z własnymi problemami. Przezornie założył

wcześniej rękawice, bo mięsożerni Posleeni już jako piskłeta mieli zęby jak skalpele, ale standardowych skórzanych rękawic roboczych nie zaprojektowano do ochrony przed szczękami mięsożerców i szponami drapieżnych ptaków. Martine przechylił się przez ogrodzenie, tak jak kilka miesięcy wcześniej podpatrzył to u Posleenów, i stwierdził nagle, że piskłeta nie jest wcale tak łatwo chwycić.

Tak jak w przypadku węża albo wkurzonego kota, najlepiej chwycić je z tyłu głowy. Okrzyk bólu i wściekłości Martine'a utonął w huku wybuchającego ładunku Mosovicha, kiedy pisklę wpiło siekacze w dłoń komandosa, błyskawicznie podskoczyło i zatopiło szpony w jego ramieniu. Złorzeczenia sierżanta dały się wyraźnie słyszeć na tle odgłosów rozpoczynającej się w oddali bitwy.

– P... p... pieprz... sk... k... kurwysyn! – zdołał wypowiedzieć Martine.

Musiał kilka razy trzasnąć uczepionym pisklęciem o ściankę zagrody, zanim ogłuszył je na tyle, żeby rozewrzeć jego jaszczurcze szczęki i odczepić szpony.

– Kurde, kurde, kurde – zaklął i wepchnął nieprzytomne pisklę do worka.

Wytarł krew z dłoni i spojrzał na kłębiące się w zagrodzie posleenijskie pociechy. One też gapiły się na niego i najwyraźniej miały ochotę schrupać go na kolację. Sierżant znowu włożył rękę w kłębowisko i tym razem udało mu się natrafić na miękką skórę na karku jednego z piskląt. Pozaziemska ptaszyna wielkości kota wydała z siebie pisk, ale chcąc nie chcąc wylądowała w drugim worku.

Mueller i Ersin zdążyli w tym czasie rozłożyć wzdłuż ścieżki, którą podążyliby ścigający ich Posleeni, szereg min detonowanych wyzwalaczem drutowym lub sygnałem sterującym, i teraz wysadzali ładunki, żeby odwrócić uwagę Posleenów. Jeden z Wszechwładców zauważył w końcu zamieszanie przy zagrodach i szykował się do kontrataku. Kula o dużej prędkości kalibru .50 skutecznie udaremniła ten zamiar. Wojownicy Wszechwładcy i inni uwolnieni z uprzęży Posleeni byli rozwścieczeni śmiercią przywódców. Grupa Obcych ruszyła w stronę zagrody, a więc najwyraźniej nadszedł czas, żeby rozpętać piekło.

Richards rozpoczął bezpośredni ostrzał z M-60. Kule kaliber 7,62 milimetra zwały Posleenów na ziemię.

Jednak mięsożercy całkowicie ignorowali straty w swoich szeregach i kontynuowali natarcie na źródło kierowanych w ich stronę pocisków. Niektórzy z nich odpowiadali ogniem. Trapp i Ellsworthy przyłączyli się do ostrzału, ale dopiero kiedy Trapp użył lasera, udało się atak opóźnić. Zmasowany ogień z różnych rodzajów broni powstrzymał pierwszą falę natarcia, ale bitwa po południowej stronie osady zwróciła uwagę głównych zastępów wroga. Ładunki rozłożone dla zmylenia Posleenów stały się przez to bezużyteczne.

Kiedy rozpętała się strzelanina, Mosovich natychmiast przestał cackać się z krabami. Wskoczył do zagrody, przebył pas ochronnych kolców i zaczął wykopywać Tchpth przez wyrwę w ogrodzeniu. Kraby odwróciły się najpierw w stronę ich dotychczasowego schronienia, ale kiedy spostrzegły szalejącą bitwę, popędziły, ćwierkając z przerażenia, do dżungli na południe od osady.

Mosovich, krążąc w kółko i wymachując bronią, którą jego zdaniem można by w tej chwili użyć do lepszych celów, zdołał naprowadzić Tchpth na właściwy kierunek biegu. Usłyszał przez sieć komunikacyjną srebrzysty śmiech i podniósł wzrok na korony drzew.

– Pieprz się, Ellsworthy – rzucił ze złością.

Zaśmiała się znowu, przygotowując się na odparcie drugiej fali ataku.

– Wybacz, skarbie, ale wyglądasz jak hodowca krabów ze swoim stadem.

Śmiech przerwał bulgot wypluwanej krwi, kiedy drzewa zatrzęsły się od gradu kul. Żołnierz

dostrzegł, jak ciemny kształt odrywa się od gałęzi i uderza w ziemię trzydzieści metrów niżej z chrzęstem łamanych kości.

– Nadchodzi! – krzyknął Richards, kiedy wehikuł Wszechwładcy w kształcie spodka wzbił się w powietrze.

Machina zatoczyła łuk w lewo, a zamontowany na niej karabin magnetyczny wypluwał serię pocisków. Martine wrzasnęła i runęła na ziemię, kiedy nawała ognia podziurawiła mu nogi, a starszy sierżant Tung zacharczał i zwałił się na ziemię bluzgając krwią.

Jake odwrócił się od swojego stadka i rzucił pędem do miejsca, gdzie leżały szczątki Sandry Ellsworthy.

Pochwycił jej masywny karabin, wycelował w spodek Wszechwładcy i poczęstował machinę łożem. Szarpnięcie potężnej broni cisnęło go w tył, bo trzymał karabin tylko w jednej ręce.

Posleeni stosowali system magazynowania energii podobny do federacyjnego. Moduł w stałym stanie skupienia, ukryty głęboko wewnątrz „baterii”, wytwarzał pole, które umożliwiało znaczne zaburzenia pozycji wiązań molekularnych. Wiązania wracały później do stanu uporządkowania i uwalniały nagromadzoną energię. Była to zaawansowana technologia, która doskonale się sprawdzała, o ile tylko nie została zachwiana integralność modułu stabilizacji.

Kula kaliber .50 przebiła lekką obudowę spodka i utkwiała w skrzynce energetycznej. Pocisk nie trafił właściwie w sam moduł stabilizacji, ale fala uderzeniowa wywołana jego przejściem przesłała tysiące dzuli energii. Jeszcze zanim kula przeszła na wylot krystalicznej matrycy, wiązania zaczęły się rozpadać i uwalniać ogromną energię w nie kontrolowanej eksplozji, porównywalnej z detonacją ładunku antymaterii.

Podmuchał wyrzucił spodek w powietrze i machina Wszechwładcy zniknęła w rozbłysku białych płomieni. Fala uderzeniowa powaliła Mosovicha i Trappa na ziemię, cisnęła Richardsa w powietrze i ogłuszyła lub zabiła Posleenów w pierwszych szeregach. Dzieła dokończyła piekąca fala termiczna.

Trapp i Mosovich poderwali się po chwili na nogi, ale Richards leżał nadal, z głową dziwnie odchyloną na bok.

Jake spojrział na niego, podniósł worki i Zamiatacz Ulic Martine'a, po czym pobiegł w głąb dżungli.

**Transportowiec planetarny klasy Maruk.
Tranzyt w n-przestrzeni Ziemia-Diess,
przestrzeń zerowa 11:47 czasu uniwersalnego Greenwich,
14 marca 2002**

Mike podnosił ciężary w ciasnej sali gimnastycznej wciśniętej między sektor ładowniczy numer osiemnaście a otaczające go przestrzenie strefy gamma, kiedy zaćwierkał jego inteligentny przekąźnik.

– Jest pan proszony o stawienie się przy najbliższej okazji u generała Housemana.

Wykonanie polecenia stwarzało pewne problemy. Flotylla Sił Ekspedycyjnych składała się z czterech statków.

Jeden zajmowały w całości chińskie dywizje. W dwóch podróżowały: Aliancki Korpus Ekspedycyjny, jednostki NATO, III Korpus Stanów Zjednoczonych, wojska Niemiec, Wielkiej Brytanii, Holandii, Japonii i Francji. Ostatni statek był wypełniony wojskami z Rosji, Trzeciego Świata, południowo-wschodniej Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Z wyjątkiem oddziałów NATO kontyngenty miały własne, ściśle wydzielone sektory. Poza uniknięciem konfliktów na tle kulturowym, do których mogłoby dojść, pozwalało to na użycie sił innych narodów, gdyby w obrębie jakiejś armii doszło do zamieszek.

Od dwóch miesięcy żołnierze, źle wyszkoleni i nie przygotowani, podróżowali zamknięci w międzygwiezdnym mamrze. Pomieszczenia były wprawdzie duże, ale niskie stropy dostosowano do potrzeb Indowy, a brak wiatru, słońca i wystarczającej ilości miejsca doprowadzał wojsko do skrajnej rozpaczki, nawet kiedy rozwiązano już problem powietrza, żywności i oświetlenia. Bez łączności ze światem i na ograniczonej przestrzeni żołnierze niemal wariowali. Raz w jednostkach NATO i cztery razy na statku z mieszaną załogą lokalne kłótnie wymknęły się spod kontroli.

Problem polegał na tym, że generał Houseman, dowódca III Korpusu i kontyngentu amerykańskiego, przebywał czasem na Maruku, na którym był porucznik O'Neal, a czasem, podczas postojów spowodowanych usuwaniem skutków hiperprzestrzennych anomalii, przesiadał się na Sorduk, drugi statek z siłami NATO. Jego biuro i kwatery III Korpusu mieściły się na Maruku, ale jego dowódca, generał Sir Walter Arnold z Armii Brytyjskiej, przebywał na Sorduku.

– Gdzie jest generał? – Mike zapytał przekąźnik, kiedy wycierał się ręcznikiem i ociężałym krokiem zmierzał w kierunku urzędów kontroli grawitacji.

– Generał Houseman jest swoim biurze, Kwadrant Alfa, pierścień piąty, pokład A, na rufie koło kwatery starszych oficerów NATO.

To miało sens, generał nie oczekiwałby go na Sorduku bez wcześniejszego zawiadomienia. Drugi problem: kiedy generał broni mówi pierwszemu porucznikowi „proszę przyjść przy najbliższej okazji”, ma na myśli: „rusz tyłek, do jasnej cholery, i to już”. Ale gdyby Mike pokazał się w przepoconym mundurze do ćwiczeń fizycznych, podpadałoby to pod paragraf Nieodpowiedni Ubiór. No, cóż. Będzie musiał się przebrać, ale był przecież w odległości czterech kilometrów od biura generała. Sytuacja zapowiadała się ciekawie.

– Proszę wysłać wiadomość do generała, że zatrzymały mnie sprawy nie cierpiące zwłoki i nie będę mógł dotrzeć do miejsca jego pobytu w ciągu co najmniej... trzydziestu minut.

Trzeci i nie do rozwiązania problem: Mike nie miał odpowiedniego munduru. Miał tylko mundur Floty Uderzeniowej, a wszystkie jednostki Stanów Zjednoczonych nosiły uniformy regularnych

oddziałów wojska: bojowy mundur kamuflujący lub jednolicie zielony uniform.

– Jakie mundury nosi dzisiaj personel kwatery głównej III Korpusu?

– Mundur kamuflujący.

Standardowy ubiór bojowy. W przypadku Mike'a został on zastąpiony jedwabnym uniformem, ale te dwa mundury bardzo się od siebie różniły. Mundur floty mniej się rzucał w oczy, ale można go było pomylić z ubiorem bojowym armii jakiegoś innego państwa.

Zespół projektowania mundurów dla Floty Uderzeniowej kierował się swoimi własnymi zasadami. Mundur oficera miał głęboką kobaltowoniebieską barwę i cienkie naszywki na szwach w kolorze odpowiadającym rodzajowi wojsk. W przypadku O'Neala był to błękit piechoty. Naszywki miały czujniki ciepła i mieniły się określoną barwą, kiedy noga dotykała do szwów podczas chodzenia. Tunika nie miała kołnierzyka ani klapy i była zapinana ciśnieniowo z lewej strony. Był to niestety cholernie zwracający uwagę mundur.

Dwadzieścia siedem minut później porucznik Michael O'Neal, ubrany w szary jedwabny uniform i błękitny beret, wszedł do poczekalni biura Dowódcy Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych i Wojsk Ekspedycyjnych na Diess. Stał tam, niczym Cerber u bram, krępy starszy sierżant, który sprawiał wrażenie, jakby ostatnio uśmiechał się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Mimo to Mike mógłby przysiąc, że sierżant ledwo powstrzymał się od śmiechu na widok jego ubioru.

Porucznik O'Neal umył się, ogolił, zmienił ubranie i przebył cztery kilometry w ciągu dwudziestu siedmiu minut.

Było to możliwe tylko dlatego, że zabrał na salę gimnastyczną swój pancerz wspomagany. Zamiast zwykłymi korytarzami przebiegł przez szereg rozhermetyzowanych pomieszczeń, w których panował stan nieważkości, osiągając prędkości, które jeszcze teraz przyprawiały go o zawrót głowy. Semibiologiczna podszywka pancerza osuszyła pot, usunęła brud i zarost na twarzy.

Kiedy dotarł do kabiny, musiał tylko wyskoczyć z pancerza i przebrać się. Niestety pancerz bardzo utrudniał tę ostatnią czynność. Mimo że nie zajmował on więcej miejsca niż potężny człowiek, a w tym wypadku również niski człowiek, trzeba go było oprzeć o ścianę. Do tego pancerza nie można było ruszyć z miejsca, dopóki nie założyło się go z powrotem. Potem pozostał już tylko bieg przez kwatery młodszych oficerów na poziom dowódców.

Starszy sierżant z kamienną twarzą zmierzył wzrokiem mundur porucznika i podszedł do drzwi biura. Otworzył je bez pukania.

– Porucznik O'Neal, sir.

– Proszę go wpuścić, sierżancie, koniecznie – powiedział miły głos.

O'Neal wyraźnie usłyszał dźwięk, jaki powstaje, gdy rzuci się teczkę dokumentów na przeładowane biurko.

Sierżant odstąpił na bok, zaprosił porucznika gestem dłoni do środka i zamknął za nim drzwi. Dopiero kiedy drzwi bezpiecznie się zatrzasnęły, pozwolił sobie parsknąć śmiechem, nadal jednak zachowując kamienną twarz.

Z wyglądu generał bardzo przypominał sierżanta. Obydwaj byli średniego wzrostu, odznaczali się kręłą budową ciała, mieli okrągłe, rumiane twarze i rzadkie, siwiejące blond włosy. Ogólnie rzecz biorąc, przywodzili na myśl parę buldogów. Ale podczas gdy starszy sierżant miał stale zachmurzone czoło, na twarzy generała kwitł uśmiech, a jego łagodne niebieskie oczy zamrugały, kiedy porucznik O'Neal zaszalutował.

– Porucznik O'Neal melduje się na rozkaz – powiedział Mike.

Jak wszyscy młodszy podoficerowie w takiej sytuacji, wykonał szybko rachunek sumienia i zastanawiał się, które z jego przewinień zwróciło uwagę generała. Jednak w odróżnieniu od innych

Mike miał większe doświadczenie z oficerami flagowymi, więc był teraz mniej onieśmielony, niż wielu byłoby na jego miejscu.

Generał odpowiedział na salutowanie.

– Spocznij, poruczniku, a tak w ogóle proszę siadać. Kawy?

Generał chwycił własny kubek i sięgnął ręką w kierunku wbudowanego w ścianę ekspresu do kawy Westbend.

– Z chęcią, sir, dziękuję. – Mike urwał. – Czy to Indowy zainstalowali panu ten ekspres?

– Indowy, do licha – parsknął śmiechem generał. – Musiałem wezwać kogoś z obsługi technicznej Korpusu, żeby zainstalował przenośny generator kilka poziomów wyżej, a potem przewiercił się przez tę cholerną ścianę.

Dysponujemy tylko standardowym sprzętem biurowym, a mamy kupę cholernych problemów z jego zintegrowaniem. Śmietanki i cukru? – zaproponował łaskawie.

– Dużo i jednego, i drugiego. Dziękuję, sir. Mogłbym się tym zająć dla pana. Dostyc dobrze sobie radzę z Indowy, sądzę, że dlatego, że mam taki sam jak oni wzrost.

– Jak rozumiem, zawdzięczamy panu zmianę tego cholernego oświetlenia. Nie mówiąc już o jedzeniu, które mieliśmy dostawać przez cały czas. Ma pan za dużo czasu, poruczniku?

Generał wręczył Mike'owi kawę i wypił łyk swojej, świdrując porucznika wzrokiem znad krawędzi kubka.

– Sir?

– Przedwczoraj odbyłem ciekawą rozmowę z Oberstem Kielem z Bundeswehry. Sądzę, że wie pan, kim jest Herr Oberst?

– Tak, sir. Był jednym z dyrektorów zespołów projektujących broń dla piechoty NATO w GalTechu.

– Przyszedł tu na prośbę generała Arnolda, który chciał, żebym pomówił z nim na temat batalionu panczerzy wspomaganych. Domyśla się pan, co mi powiedział?

– Tak, sir.

– Jak zrozumiałem, miał pan doradzać batalionowi w sprawach związanych z pancierzami wspomaganyimi, zgadza się? – zapytał łagodnie generał.

– Tak, sir – powiedział Mike.

Teraz już wiedział, o co chodzi. Zaskoczyło go, że generał nie został poinformowany. Oficera flagowego czekał teraz kolejny szok.

– A jak pan ocenia umiejętności batalionu jako jednostki panczerzy wspomaganych?

– Niewielkie, sir – powiedział Mike i wypił łyk kawy.

Powstrzymał grymas obrzydzenia. Generał był najwyraźniej Teksańczykiem; w tej kawie nie utonęłaby nawet podkowa.

– Dziękuję. Wolno spytać, gdzie pan był w ciągu ostatnich dwóch miesięcy? Gdzie pan był dzisiaj? – zapytał generał ze wzbierającą w głosie złością.

– Otrzymałem bezpośrednie polecenie, aby trzymać się z daleka od batalionu, dopóki nie wylądujemy – powiedział Mike i wmusił w siebie kolejny łyk kawy.

Na szczęście rozmowa toczyła się takim torem, że będzie mógł wkrótce odstawić kubek i wymigać się od wypicia całej kawy.

– Od kogo? – zapytał zaskoczony generał.

– Od podpułkownika Youngmana, sir.

– Bezpośrednie polecenie? – zapytał zdumiony oficer.

– Michelle? – Mike zagadnął przekaźnik.

– Tak, poruczniku O'Neal? – powiedziała Michelle.

Doświadczona maszyna wiedziała, kiedy zadziałać bez zarzutu.

– Odtwórz odpowiednią rozmowę.

– *Nie obchodzi mnie, na czym polega twoja misja ani za kogo się uważasz. Masz wrócić do kabiny i nie wychodzić z niej do końca podróży. Nie jesteś zamknięty w kwaterze ani nic w tym rodzaju, ale to ja decyduję, co robi mój batalion, jak trenuje i jaka jest strategia. A nie były sierżant z błyszczącą srebrną belką na ramieniu, który zgrywa pieprzonego waśniaka. Jeśli zobaczę, że kręcisz się na terenie batalionu bez mojego wyraźnego zezwolenia, albo dowiem się, że rozmawiasz z moimi oficerami o strategii i treningu, osobiście cię zdegraduję na podoficera i pozbawię honorów, a może i życia. Czy to jasne?* – odtworzył przekaźnik.

– Przyznaję, sir, że ze swojej strony też nie poprowadziłem zbyt dobrze tej rozmowy – pozwolił sobie powiedzieć Mike, gdy zaległa głucha cisza. – Pozwoliłem pułkownikowi rozżłościć się, ale szczerze mówiąc, już na samym początku nie podobał mi się harmonogram szkolenia.

– To pan kazał przekaźnikowi nagrać rozmowę? – zapytał generał z obojętnym wyrazem twarzy, kiedy już otrząsnął się z szoku.

– Nie wiedział pan, sir? – zapytał Mike z niepokojem w głosie i zerknął na przekaźnik generała, który leżał w widocznym miejscu na jego biurku.

Nie był szczególnie zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Czego?

– Nagrywają wszystko, sir.

– Co?

– Dowiedzieliśmy się o tym w GalTechu, sir. Obraz, dźwięk, wszystko. Można to potem w każdej chwili odtworzyć.

– Kto może to odtworzyć?

– Obecnie przekaźniki są zaprojektowane do odtwarzania tylko po autoryzacji użytkownika, sir, co wzbudziło trochę sprzeciwów. Niektóre kraje chciały, żeby mógł to odtworzyć każdy wyższy stopniem żołnierz, ale nie zgodziliśmy się na to my, Amerykanie, Brytyjczycy i szczególnie Niemcy. Gdyby nasi żołnierze dowiedzieli się, że ich przekaźniki szpiegują ich przy każdej okazji, stale by je „gubili”. Jednak generalnie można uzyskać dostęp do nagrań w czasie wojny, jak również nagranie może słyszeć każdy, kto w danym momencie rozmawia z właścicielem.

– Dobra. Cholera, może pan zostać moim doradcą w sprawach sprzętu. A więc pułkownik kazał panu zostać w kabinie. Czyli w zasadzie nałożył na pana areszt. Złamał pan rozkaz?

– Nie, sir. Zaniechałem nadzoru nad treningiem fizycznym i taktycznym. Poza tym dosłownie potraktowałem polecenie pułkownika, że mam nie nawiązywać stosunków towarzyskich z żołnierzami batalionu panczerzy wspomaganych, więc unikałem klubu i tym podobnych miejsc.

– Więc przez ostatni miesiąc ćwiczył pan na sali gimnastycznej?

– I trenowałem z panczerzem wspomaganym, sir.

– Pracował pan z jakimiś jednostkami trzysta dwudziestego piątego pułku?

– Sir?

– Zdaje pan sobie sprawę, że odpowiada pan zawsze w ten sam sposób, kiedy unika odpowiedzi? Wydaje się, że kompania Bravo jest jedyną jednostką panczerzy wspomaganych w batalionie, która nadała za harmonogramem.

Według Herr Obersta, Bravo poczyniła znaczne postępy w ciągu ostatniego miesiąca. Oberst najwyraźniej odnosi wrażenie, że żadną z moich jednostek panczerzy wspomaganych, oprócz kompanii Bravo, nie warto sobie nawet wytrzeć nosa. Bravo nie osiąga wprawdzie takich wyników, jak

powinna, ale nie jest też kompletnie bezużyteczna.

Zwróciło też moją uwagę to, że podpułkownik Youngman sporządził Raport Oceny Oficera na temat dowódcy kompanii Bravo, w którym oskarżył go o wszystkie grzechy oprócz sypiania z moją córką. Według raportu kompania jest „całkowicie nie przygotowana do walki”. Nikt z członków kompanii nie zdał ostatniego testu wewnętrznej sprawności batalionu EIB – powiedział generał z lekkim uśmiechem.

– Sir, jednym z założeń EIB jest bieg orientacyjny na tysiąc metrów. Gdzie by to zrobili?

Po raz pierwszy podczas całej rozmowy generał zaczynał przypominać Mike'owi Jacka Hornera.

– Dobrze pytanie. Poza tym, skoro EIB nie został dostosowany do standardów jednostek pancerzy wspomaganych, jaki jest sens jego przeprowadzania? – zapytał generał.

Miły wyraz twarzy zmienił się w coś podobnego do miny rozwścieczonego psa.

– Mmm, członkowie kompanii... muszą zachować sprawność na wypadek, gdyby zostali przeniesieni do niepancernej jednostki, sir?

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się ponuro generał i potrząsnął głową. – Wspaniale sprawdza się pan w roli adwokata diabła, poruczniku. Jednak obecne przepisy nakazują bezwarunkowe pozostawienie żołnierzy wytrenowanych do walki w pancerzach w jednostkach pancerzy wspomaganych. Czyli że taki argument można wyrzucić do kosza. Właściwie jedynym dowódcą, z którego pułkownik wydaje się być zadowolony, jest dowódca kompanii Charlie. Oddziały Alfa też nie sprawdziły się najlepiej. Jednak zauważyłem, że mimo iż większość batalionu nie zdobyła nawet dziesięciu procent wymaganych umiejętności jednostki pancerzy wspomaganych, Alfa i Bravo zdobyły odpowiednio dwadzieścia i trzydzieści procent. Skomentuje to pan, poruczniku?

– Przypuszczam, że sami szefowie Alfy i Bravo są niekompetentni i nie są w stanie sprostać wymogom ćwiczeń fizycznych, sir.

– Sarkazm, poruczniku?

– Przepraszam, sir. Może trochę.

– Właściwie kiedy zapytałem podpułkownika Youngmana o kompanię Bravo, stwierdził, że zastanawia się nad zwolnieniem jej dowódcy.

– Jezu!

– Czy zawsze przerywa pan generałom, poruczniku? – zapytał sucho generał.

– Nie, sir. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – powiedział Mike.

Wziął głęboki wdech i spróbował opanować emocje. Zwolnienie kapitana Brandona przekreśliłoby możliwość dostarczenia batalionowi chociaż minimum wiedzy.

Żołnierze piechoty byli zawsze mistrzami znikania. Częściowo wynikało to z natury ich misji; zadania piechoty w znacznej mierze polegały na byciu „duchami”. Inną przyczyną był fakt, że gdy nie było wojny lub nie stosowano napiętego harmonogramu szkolenia, właśnie im w pierwszej kolejności powierzano najbardziej żmudne zadania.

Więc doświadczeni żołnierze jednostek piechoty potrafili stać się praktycznie niewidzialni poza wyznaczonymi porami treningu.

Mike i Wiznowski maksymalnie wykorzystali te ich zdolności. Kompanie stawiały się, zgodnie z wydanymi rozkazami, w pełnym składzie na poranne, popołudniowe i wieczorne apele. Tuż obok sektorów zajmowanych przez batalion znajdowały się puste sektory. Każdego dnia podoficerowie z kompanii Bravo, a później też kompanii Alfa, wymykali się z przydzielonych im pomieszczeń na statku i zbierali się w opuszczonych strefach. Tam doskonalili techniki walki w obrębie swojej nowej specjalności, żeby później przekazać tę wiedzę podkomendnym. Jak na ironię stale psioczyli, że nie pomaga im żaden „ekspert z GalTechu”. Mike tymczasem nadzorował proces szkolenia za

pomocą okularów wojskowych albo pancerza i wysłuchiwał ich zrządzenia. Kiedy sytuacja wymagała wyjaśnień, przekazywał je przez Wiznowskiego. Wszyscy sądzili więc, że to właśnie Wiz prowadzi cały program szkolenia.

Gdyby zwolniono kapitana Brandona, cała ta akcja ległaby w gruzach.

– Uprzedzono mnie o pańskim stałym wyrazie twarzy – ciągnął cicho generał Houseman. – Ale teraz robi się pan czerwony i zaczyna panu dymić z uszu. I czy byłby pan uprzejmy nie wiercić wzrokiem dziur w ścianie?

– Grodzi, sir. Na statku są grodzie.

– Niech będzie. A wracając do mojego pytania, czy rzeczywiście złamał pan bezpośrednio i pośrednio rozkazy przez uczestniczenie w treningu taktycznym jednej z jednostek podpułkownika Youngmana?

– Częściowo, sir – zaczął kręcić Mike.

Wysilał umysł.

– Pomagając kapitanowi Brandonowi i kapitanowi Wrightowi w szkoleniu w zakresie pancerzy wspomaganych?

– Sir, nie rozmawiałem z żadnym oficerem batalionu o szkoleniu ani o galaksjańskiej technologii.

– Byłby pan łaskaw wyjaśnić? – zapytał generał i uniósł brew.

– Nie mówiłem bezpośrednio z żadnym oficerem o szkoleniu, sir. Taki właśnie miałem rozkaz. Nie pojawiłem się także w sektorach zajmowanych przez batalion ani na terenach przeznaczonych do szkolenia. Właściwie wykonałem rozkaz co do słowa.

– Rozumiem. – Generał uśmiechnął się. – Przypuszczam, że istnieje jednak jakiś powód, że podoficerowie i inni żołnierze w kompaniach radzą sobie lepiej niż oficerowie?

– Możliwe, sir.

– I powód ten jest związany z pańską działalnością?

– Możliwe, sir. Ale może to też wynikać z faktu, że oficerowie spędzają więcej czasu w klubie niż w pancerzach.

– Ale miał pan wpływ na szkolenie – zaznaczył generał.

– Tak, sir.

– Pomimo harmonogramu treningu zatwierdzonego przez dowództwo batalionu?

– Tak, sir.

– Był pan świadomy wydanego harmonogramu?

– Tak, sir.

– Dobrze. Cieszę się, że nie przymyka pan oczu na swoje przewinienia.

Generał potrząsnął nagle głową, jakby się spieszył.

– Synu, powiem ci coś jako przeprosiny. Batalion został dołączony do kontyngentu i nie jest już właściwie moją jednostką, jest jednostką III Korpusu. Dlatego byłoby mi cholernie trudno oddelegować podpułkownika Youngmana, na co mam w tej chwili ogromną ochotę.

Uniósł brew w oczekiwaniu komentarza, ale Mike siedział cicho. Generał znowu potrząsnął głową i kontynuował wypowiedź.

– Piekielnie ciężko zabierać wojsko na wojnę, kiedy się nie ufa żadnemu dowódcy. Dlatego złamałem moją odwieczną zasadę, żeby nie kierować centralnie wszystkimi jednostkami, i wydałem podpułkownikowi Youngmanowi pisemne polecenie rozpoczęcia intensywnego programu szkolenia w pancerzach wspomaganych.

Napisałem, podkreślając wykazaną przez niego dotychczas niezdolność do wyszkolenia jednostek w przewidywanym czasie, że jeśli batalion nie wykona do chwili lądowania co najmniej

osiemdziesięciu procent programu szkolenia, nie będę miał innego wyjścia, jak zwolnić go dyscyplinarnie. Bynajmniej nie przyjął tego zbyt dobrze. Najwyraźniej uważa, że skoro nie było możliwości odpowiedniego przeszkolenia żołnierzy na Ziemi, batalion powinien otrzymać z powrotem zwykłą broń i status regularnych wojsk powietrznodesantowych.

– Dobry Boże – szepnął Mike.

Czekająca ich bitwa z pewnością przerodzi się w krwawą jatkę nawet dla jednostek pancerzy wspomaganych.

Wykorzystanie lekko uzbrojonych wojsk powietrznodesantowych byłoby samobójstwem.

Generał znowu uśmiechnął się chłodno.

– Nawet nie będę próbował powiedzieć, jak bardzo się z panem zgadzam. Na szczęście rozwiąłem złudzenia pułkownika co do tego pomysłu. Jeszcze zanim wyszły na jaw niektóre sprawy, wysłałem osobisty e-mail do Jacka Hornera. Stwierdził, że problem polega tylko na tym, żeby utrzymać cię w ryzach. Jeśli pojawi się natomiast sprawa, która będzie wymagać ślepej siły niszycielskiej, muszę tylko spuścić cię ze smyczy. Właśnie dlatego odbywamy tę rozmowę. Udzieliłem pułkownikowi Youngmanowi wszelkich wskazówek, jakich moim zdaniem potrzebuje. Nie rozkazałem mu jednak, żeby zatrudnił cię jako doradcę w sprawach szkolenia. Więc jeśli nie skontaktuje się z tobą w ciągu tygodnia, zostaw wiadomość na moim przekaźniku. Złożę mu wtedy nie zapowiedzianą wizytę i rzucę pytanie w stylu: „A co z tym ekspertem z GalTechu, jak mu tam? O'Neal.” Jasne?

– Jak kryształ, sir.

– Jeśli uznam to za konieczne, dam ci carte blanche. Wtedy będę musiał oddelegować pułkownika. Nie mam go kim zastąpić, dlatego mam nadzieję, że wykaże się inteligencją. Rozumiesz więc skutki powierzenia dowództwa batalionu kapitanowi takiemu jak, dajmy na to, Brandon?

– Tak, sir.

Mike miał nogi jak z waty. Polityczni nadgorliwcy w Waszyngtonie wściekliby się. Reperkusje dla GalTechu, który i tak miał złą opinię za łamanie konwencji, mogłyby być gorsze nawet niż utrata batalionu. Biurokraci potrafili rzucać najgorsze kłody pod nogi, kiedy czuli się zagrożeni, i najwyraźniej cholernie trudno było im pojąć, że toczy się wojna.

– Dziękuję za przybycie, poruczniku. Nie było tej rozmowy. To pomieszczenie ulegnie samozniszczeniu za trzydzieści sekund. Zjeżdżaj.

– Tak jest, sir. Gdzie ja właściwie jestem?

– Witam, sierżancie, siadajcie.

Jak wiele innych pomieszczeń podczas przygotowań do wojny, połączone biuro i kwatera dowódcy kompanii znajdowały się w baraku o długości dwudziestu metrów. Biuro mieściło się z jednej strony, a kwatera mieszkalna z drugiej. Między innymi oznaczało to o jeden budynek wymagający dostosowania do potrzeb tworzącego się korpusu oficerskiego mniej. Dowódcą kompanii był drugi porucznik z odzysku, który jako jedyny oficer uczestniczył w szkoleniu.

Wskutek wprowadzenia starych technik utrzymania dyscypliny i niewielkiej liczby oficerów odbywających szkolenia przepaść między oficerami a pozostałymi żołnierzami, która zmniejszyła się w ciągu ostatniej dekady, zaczynała się znowu powiększać. Mimo że dowódca kompanii był zasadniczo miłym, chociaż głupim kolesiem, rekruci patrzyli na niego tak, jakby zasiadał po prawicy Boga. Bogiem był oczywiście dowódca batalionu.

Specjalista celowniczy sierżant Pappas i inni podoficerowie podtrzymywali taki stan rzeczy; coraz trudniej było utrzymać podkomendnych w ryzach. Nie tylko trzeba się było zapoznać z zupełnie nowymi technologiami, ale grożące Ziemi niebezpieczeństwo stale rodziło fale niepokoju. Mimo wysokiego prestiżu służby w Oddziałach Uderzeniowych, stres wywołany brakiem informacji o ostatecznym przydziale do określonych zadań, niewiedzą, czy – jak w przypadku oddziałów Gwardii – będzie się bronić bezpośrednio własne rodziny, doprowadził do wzrostu liczby dezercji w przyszlých kompaniach uderzeniowych.

Dezercje były problemem, z którym armia Stanów Zjednoczonych musiała się borykać po raz pierwszy od wielu lat. Pappas słyszał plotki, że w uformowanych już jednostkach sprawy miały się nawet jeszcze gorzej. Żołnierze z tych oddziałów uciekali z bronią i sprzętem, i wracali do domu, żeby bronić swoich rodzin. Ich krewni ukrywali ich i skradziony sprzęt przed władzami. Nikt nawet nie próbował myśleć, co mogło z tego wyniknąć na dłuższą metę.

Dlatego należało koniecznie wpłynąć na tego miłego kretyna. Czasem bowiem zwykłe klepięcie w plecy albo przelotne, surowe spojrzenie dowódcy powstrzymywało rekruta od ucieczki.

– Sierżancie – ciągnął porucznik, kiedy gigantyczny Pappas usadowił się ostrożnie w chwiejnym fotelu obrotowym – wprowadzono kolejne zasadnicze zmiany. Teraz wszystkie jednostki po podstawowym szkoleniu zostaną przeniesione do ich późniejszego stałego miejsca pobytu, gdzie odbędą indywidualny i zespołowy trening. I tam właśnie wyślemy pancerze wspomagane.

– Dobra, sir. Przekażę żołnierzom.

Pappas czekał cierpliwie. Czasem dowódca musiał się długą chwilę zastanawiać, żeby przypomnieć sobie o kolejnych sprawach. Tym razem jednak najwyraźniej zrobił sobie notatki.

– Tak, cóż, poza tym – ciągnął porucznik, patrząc w notatki, i pociągnął nosem – poproszono nas o wyznaczenie kadry. Jesteście osobiście przydzieleni do byłej jednostki powietrznodesantowej, która ma zostać zmieniona w jednostkę pancerzy wspomaganych. Zabierzecie wasz pluton do Indiantown Gap i przygotujecie do walki. To będzie, oczywiście, wasze stałe miejsce pobytu. Przypuszczam, że dołączą do was inne oddziały.

Kurde. Ten pluton? Pappas pomyślał z niechęcią o żołnierzach, którymi teraz dowodził.

– Tak jest, sir. Będzie pan nadal naszym dowódcą?

Nie, nie, nie, nie, nie, nie!

– Nie, jestem tu, cholera, niezbędny. Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy otrzymam dowództwo w walce – powiedział tęgi oficer i nerwowo obciągnął mundur. Nigdy, jeśli dowódca batalionu ma po kolei w głowie.

– To wszystko?

– Niezupełnie. Dowództwo do spraw szkolenia Sił Lądowych postanowiło skrócić cykl treningowy do dwóch tygodni zamiast czterech, a test końcowy został odwołany. Jednostka zajmie pozycję w przyszłym tygodniu, a wy do niej dołączycie. Macie przygotować się do transportu, ale nie wiadomo, kiedy dostaniecie resztę podoficerskiej kadry. Oczywiście wasi oficerowie powinni na was czekać.

– Tak, sir, rozumiem – powiedział Pappas i zastanowił się nad budzącymi niepokój słowami „oczywiście” i „powinni”. – Czy otrzymamy wkrótce rozkaz wymarszu?

– Cóż, właśnie w tej chwili wydaję ustne rozkazy przygotowania plutonu i kompanii jako całości do wylotu. Szczegóły uzgodnijcie z pierwszym sierżantem.

– Tak jest, sir.

– Odmaszerować.

Diess była gorącą, suchą planetą, co dla porucznika O'Neala stanowiło wskazówkę, że Galaksjanie mają problemy z przeludnieniem. Trzy olbrzymie kontynenty zajmowały około sześćdziesięciu procent powierzchni planety. Na wybrzeżach notowano niewielką ilość opadów, mniej więcej taką jak na Saharze, a rozległe góryste tereny w głębi lądu były suchsze niż Dolina Śmierci.

Morza obfitowały w ogromną różnorodność form życia; dominowały organizmy nieco podobne do ziemskich wieloszczetów, z elastycznym pancerzem ze złożonych polimerów zamiast chityny. W zasadzie nie było lądowych form życia. Na wybrzeżach życiodajnych mórz tłoczyły się liczne megalopolis Indowy i Darhelów, a ich odnogi wrzynały się daleko w głąb lądu. Galaksjańska technologia pozwalała na łatwe uzyskiwanie wody pitnej i pożywienia z bogatych w plankton wód oceanicznych. Było oczywiste, że rasie Indowy wystarczała do życia zaledwie odrobina żywności, wody i surowców naturalnych.

Planety podobne do tej tworzyły przyjazną, miłą pokój Federację Galaksjan. Miliardy Indowy wykonywały niewolniczą pracę dla garstki zbierających śmietankę Darhelów. Pokojowe światy roły się od przyjaznych istotek o zajęczym sercu, które żyły tylko po to, by służyć. Nieświadomi wyzysku Indowy harowali w polu, a darhelscy poganiacze niewolników twierdzili, że ich wszystkich kochają. Galaksjańska polityka przyprawiała Mike'a o mdłości, ale nie tak bardzo jak to, co robili Posleeni.

Technologia Galaksjan, wysoki przyrost naturalny i nikłe potrzeby Indowy przyczyniły się do powstania populacji rzędu dwunastu miliardów, zanim przybyli Posleeni. Teraz liczba Indowy wynosiła pięć miliardów i stale spadała. Jeden kontynent został całkowicie stracony, jeden wciąż był nietknięty. Trzeci kontynent wpadł w ręce wroga w całości, oprócz małego skrawka w kształcie odkrojonego kawałka pizzy na północno-zachodnim wybrzeżu.

Posleeni nie interesowali się wnętrzem lądów bardziej niż Galaksjanie.

Mike stał na wirtualnej krawędzi zbocza na terenie tego kawałka pizzy i patrzył na dwie armie wijące się na dnie doliny jak szarpane wiatrem płótno. Zbliżali się Posleeni, a drugi batalion trzysta dwudziestego piątego pułku piechoty zmechanizowanej przygotowywał się odparcia ataku.

Pierwszą stawiającą opór jednostką był pluton zwiadowczy, który wyłonił się nagle z głębokiego koryta wyschniętej rzeki i otworzył ogień z karabinów grawitacyjnych. Kiedy węże srebrnych błyskawic dotarły do Posleenów, pierwsze szeregi wroga zaczęły znikać wśród błysków eksplozji. Rozpalone pękate pociski pręły powietrze wśród śmigających strumieni srebrzystej plazmy. Upadając, przekazywały swoją energię cieplną organizmom Posleenów, którzy stawali się żywymi bombami, ich krew zmieniała się w parę, a udar hydrostatyczny rozsadzał ich ciała na drobne kawałki. Pociski ze zubożonego uranu, wystrzeliwane z prędkością równą sporemu ułamkowi prędkości światła, waliły w Posleenów jak hiperszybkie granaty.

Mike z trudem dostrzegał zwiadowców. Z rozkazu dowódcy batalionu ich pancerze zostały pomalowane w brązowe łaty, żeby nie odróżniały się od otoczenia. Jednak kiedy Mike nastawił sensory na długość fali światła widzialnego dla Posleenów, okazało się, że związki chemiczne w użytej farbie fluoryzują pod wpływem energii gwiazdy F-2 układu podwójnego Diess. W chwili, gdy O'Neal przekazał obraz kilku pozostałym obserwatorom, Posleeni otworzyli ogień.

Zważywszy, że zwiadowcy czekali, aż wróg zbliży się na odległość pięciuset metrów, że byli widziani w promieniach gwiazdy rozbłyskowej jak żarówki w ciemnym pokoju, że wybiegli na otwartą przestrzeń zamiast strzelać z ukrycia i że cztery tysiące Posleenów w pierwszych szeregach nacierało na trzydziestu Ziemiaków, projekt pancerny wspomaganych należało uznać za genialny, skoro od pierwszej salwy zginęło tylko dziewięciu zwiadowców. Reszta została odrzucona z powrotem do koryta rzeki przez grad zaostrzonych szrapneli.

Stłumiło to nieco ogień artyleryjski i Posleeni ruszyli naprzód, szybcy jak lwy na krótkim dystansie. Zbliżyli się na dwieście metrów, zanim zwiadowcy wznowili chaotyczny ostrzał. Z tej odległości, pomimo pełnej siły ognia zdolnych jeszcze do walki zwiadowców, wróg w ciągu kilku sekund uporał się ze skierowanym przeciw sobie atakiem i zajął pozycje Ziemiaków.

Z dystansu ponad tysiąca metrów kompania Charlie rozpoczęła daleki ostrzał z karabinów i broni maszynowej.

Na tabun Posleenów poleciał grad pocisków z granatników pancerny wspomaganych i kompanijnych moździerzy 100 mm. Eksplozje ryły w ziemi rozległe dziury, a dalsze hordy Posleenów tratowały poległych i parły naprzód.

Wężę srebrnych błyskawic wżerały się na dwa, trzy szeregi w głąb masy wrogów, ale cały tabun dalej szarżował wśród rozszalałych strumieni ognia artylerii. Horda Posleenów rozlała się na boki i wzięła w kleszcze rozstawione szeregi kompanii. Pociski śmignęły w stronę bocznych skrzydeł formacji wroga, co zmniejszyło ogólną siłę ognia.

Horda przypuściła szybki atak, tratując stosy własnych poległych. Ponieważ Posleeni wyznawali zasadę, że nie należy niczego marnować, tylne szeregi natychmiast ćwiartowały i wnosiły ciała jako racje żywnościowe na następne dni.

Bez chwili wytchnienia i bez wahania niezmordowany wróg nacierał na obłożoną kompanię. Czasem pocisk moździerzowy albo granat przypadkiem zabijał Wszechwładcę, a wtedy sfera wokół niego jakby traciła orientację.

Jednak już po chwili wasale poległego dołączali do orszaku innych Wszechwładców i kontynuowali natarcie.

W końcu zdziesiątkowana masa wrogów, w liczbie około trzystu tysięcy, zbliżyła się na tyle, że ich chaotyczny ogień zaczął trafiać członków kompanii. Zgodnie z planem żołnierze rozpoczęli odwrót, jedna sekcja po drugiej.

Dwa plutony osłaniały jeden, który się wycofywał. Tutaj pojawiły się jednak pewne problemy. Po pierwsze, kiedy pluton przestawał strzelać, żeby się cofnąć, zmniejszona siła ognia powodowała, że masa wrogów bardziej zdecydowanie parła naprzód, a widok wycofującego się plutonu rodził wśród posleenińskich wojowników chęć pościgu. Po drugie, manewr powodował trudności w koordynacji. Już w drugim etapie odwrotu wróg zajął pozycję trzeciego plutonu, kiedy formacja ta zatrzymała się w bezładzie, próbując osłaniać pierwszy pluton.

W tym momencie oryginalny plan, podobny do zastosowanego w starożytnej bitwie pod Kannami, można było wyrzucić do pojemnika na śmieci. Alfa i Bravo otrzymały rozkaz opuszczenia pozycji na zboczu, zejścia w dół do doliny i przygotowania obrony powracających niedobitków kompanii Charlie. Kompanii strzelców rozkazano natomiast wspiąć się na grań i porazić wroga rzęsiwym ogniem terwatowych laserów.

Bystry Wszechwładca w ostatnim szeregu zauważył, jak żołnierze mozolnie dźwigają ciężkie lasery w górę zbocza, polecił więc swoim wasalom rozpocząć zmasowany atak na wspinającą się grupę i w ten sposób ostatecznie unicestwił pluton laserów batalionu. Kiedy zginął kapitan Wright z oddziałów Alfa, chwilowa dezorientacja żołnierzy pozwoliła grupie Posleenów na przedostanie się

na tyły kompanii Charlie. Na bocznym skrzydle tej grupy Posleeni w liczbie dwustu wojowników i jednego Wszechwładcy rozgromili kompanię Alfa i cała horda wdarła się przez wyrwę powstałą w szeregach obrońców. Centaury załazy batalion od środka, zaczęły obdzierać żołnierzy z pancerzy i ich szlachtować. Okrzyki zwycięstwa słychać było wyraźnie aż na szczytach gór wokół doliny.

– Cóż – powiedział generał Houseman na kanale obserwatorów – to był... brak mi słów.

– Naprawdę szybki sposób, żeby stracić miliardowe nakłady, sir – zażartował Mike.

– Najgorsza porażka od czasu meczu Cumberland College z Georgia Tech – stwierdził jego szef sztabu, generał Bridges.

– Co? – odpowiedziały dwa albo trzy głosy, w tym głos generała Housemana.

– Dwieście dwadzieścia dwa do zera dla Tech – wyjaśnił Zwinny Niszczyciel.

– Wyłączyć projekcję – usłyszeli podpułkownika Youngmana na kanale dowódcy.

Obraz unoszących się odpadów uranowych, dymu, pyłu i uczujących Posleenów ustąpił miejsca widokowi ładowni, wypełnionej całkowicie sprawnymi pancerzami wspomaganyymi w różnych pozycjach.

– Przekąźnik, proszę przełączyć podpułkownika Youngmana i majora Nortona na ten kanał – polecił generał Houseman. – Pułkowniku Youngman, majorze Norton, słuchajcie. Chcę mieć pierwszy raport na biurku zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjno-szkoleniowych jutro w południe. Ćwiczenie przedyskutujemy o szesnastej trzydzieści. Dobra, skopali wam tyłki, ale robicie postępy. Powtórzmy to pojutrze. Do roboty. Przerwać połączenie.

– Chryste – dodał, kiedy inni nie mogli go już usłyszeć – mam nadzieję, że przynajmniej na Barwhon sprawy mają się lepiej.

Prowincja Ttckpt, Barwhon V
12:28 czasu uniwersalnego Greenwich,
25 lutego 2002

– Sierzancie, ma pan jeszcze pociski do dziewiątki? – zapytał Trapp i ostrożnie wycelował w Posleena, który brnął z karabinem przez bagno.

Masywne, gigantyczne drzewo zważyło się swego czasu na ziemię i zbutwiało; pod osłoną jego bryły korzeniowej czaiło się dwóch ziemskich wojowników w oczekiwaniu na centaury.

– Niestety – mruknął Mosovich, który zawiązywał właśnie bandaż na górnej części ramienia, przytrzymując go sobie zębami.

Pociski z karabinu o mały włos nie odcięły mu lewej ręki i oderwały transponder umieszczony na jego biodrze.

MP-5 z tłumikiem syknął i Posleen padł w purpurową maź.

– Cóż, chyba została nam tylko walka wręcz.

– Mam nadzieję, że nie. U mnie jest jeszcze jedna. Łap – powiedział Jack i rzucił Trappowi swój pistolet kaliber .45. – To niewiele...

Amunicja kaliber .50 już dawno się skończyła, ale przynajmniej zrobiono z niej dobry użytek. Była to jedyna broń, która mogła powstrzymać spodek Wszechwładcy. Po tygodniu pościgu Wszechwładcy odkryli, że nie należy się zbliżać za bardzo do zwierzyny.

Trapp i Mosovich znaczyli trasę ucieczki ciałami Posleenów. Dwaj mistrzowie sztuki wojennej używali przez ostatni miesiąc każdego dostępnego środka, żeby umknąć mieszkańcom punktu B, ale ich sytuacja coraz bardziej przypominała ostatni poranek w Alamo⁷.

– Pieprzyć ilość, lepszy rydz niż nic – powiedział filozoficznie żołnierz Komanda Foki. – Potrafisz strzelać z Zamiatacza Ulic jedną ręką?

– Powiedzmy, że mogę używać lewej, ale tylko do przytrzymania karabinu.

Jack popatrzył przez chwilę na przetarty wcześniej szlak i położył karabin na porozwidlanym korzeniu.

Sprawdził jeszcze szybko, czy lufa nie była zatkana, i wycelował w głąb dżungli.

– Kropnę pierwszego, który się pojawi, a kiedy pójdą w rozsypkę, wycofujemy się. Zostały jakieś ładunki wybuchowe?

– Tylko granaty – powiedział Trapp. – Ale chcę je zatrzymać.

– Po co? Dobra, przygotuj się.

W krzakach po drugiej stronie coś się poruszyło.

Trapp powiesił MP-5 na ramieniu i wyciągnął zestaw granatów zaczepnych. Mimo że błoto zmniejszało efekt rozpryskowy, ciecz bardzo skutecznie przenosiła za to falę uderzeniową. – Dobra, niech będzie.

Pięciu Posleenów wynurzyło się nagle zza gęstych paproci i ruszyło przez polanę. Ogień Mosovicha powalił czterech, ale inna mała grupka wybiegła z zarośli nieco z boku. Nie odpowiedziała na ostrzał, zdecydowana podejść na niewielką odległość wśród szalejącego ognia. Kiedy Mosovich skierował broń na drugą grupę, Trapp rzucił granaty. Jeden wylądował w samym środku nowej grupy, ale drugi wyslizgnął mu się z ręki i upadł poza skutecznym polem rażenia. W chwili, gdy obydwa eksplodowały, z krzaków z boku polany wyległa banda rozmiarów plutonu.

Mosovich zmienił sposób wystrzeliwania pocisków z pojedynczych strzałów na ciągły ogień, a

centaury parły naprzód. Trapp rzucił jeszcze trzy granaty, ale garstka Posleenów nadal zbliżała się na niebezpieczną odległość.

Trapp skierował na wrogów MP-5 i wykorzystał ostatnie kule na przestrzelenie głów trzech Posleenów, kiedy banda zbliżyła się na tyle, że żołnierz Komanda Foki nie mógł nie trafić. Rzucił bezużyteczną teraz bronią w zbliżającego się wroga i wyciągnął nóż bojowy. Przystudiował wcześniej fizjologię Posleenów, których obaj zabili. Posleńska klatka piersiowa okazała się dobrze chroniona wewnętrznym pancerzem kości, więc w razie walki wręcz Trapp planował uderzyć od tyłu. Jednak los najwyraźniej przestał mu sprzyjać.

Strzelba Mosovicha zacięła się i komandos wiedział, że oznacza to koniec amunicji. Nacierало na nich jeszcze co najmniej sześciu Posleenów i nagle pożałował, że oddał Trappowi swoją czterdziestkę piątkę. Wyciągnął nóż Gerber i wyszedł zza bryły korzeniowej, kiedy w łapach centaurów błysnęły ich długie na metr ostrza.

Centaury parły naprzód, a Trapp chwycił wystający korzeń i zanurzył się w bajorze. Kiedy jeden z Posleenów zbliżył się do rannego starszego sierżanta, ze szlamowatej mazi wyłoniła się dłoń uzbrojona w stalowe ostrze i rozpruła mu brzuch. Błotnista postać wynurzyła się z bagna i zwinnie doskoczyła do drugiego Posleena. Zanim centaur zdołał się uchylić, otrzymał cięcie w tył głowy. Kiedy stwór z niemal odciętą głową zwałił się w błoto, grupa zwróciła się przeciw zwinnemu napastnikowi, ale ten znów zniknął w bajorze.

Kiedy pozbawieni przywódcy Posleeni dreptali wkoło, szukając w błocie zwinnego jak węgorz żołnierza Komanda Foki, Mosovich doskoczył do jednego z nich od tyłu i szybko podciął mu gardło. Nie mógł dorównać towarzyszowi, ale chciał udowodnić, że też potrafi posługiwać się nożem.

W tym samym momencie dziesięć metrów od grzebiącej w błocie gromadki Posleenów wynurzył się z wody Trapp z Coltem w rękę. Potrząsnął bronią, żeby oczyścić lufę, chwycił ją oburącz i oddał trzy strzały, kładąc trzech wrogów. Kiedy celował w czwartego, pocisk z karabinu powalił go na plecy w kałuży krwi i wypływających na wierzch wnętrzności.

Czterdziestka piątka wypadła mu z dłoni i Mosovich błyskawicznie rzucił się w stronę grzęznącego w błocie pistoletu. Pozostali dwaj Posleeni podbiegli w jego stronę i zaczęli grzebać w fioletowej kleistej mazi. Jeden zadowolony, kiedy namacał uprząż bojową i wyciągnął zakamuflowanego niedobitka. Mosovich wyślizgnął się z jego uścisku jak węgorz, zaczepił butem o uprząż i wygiął się jak akrobata, żeby skierować rękę w stronę napastnika. Zaskoczony Posleen zdążył jeszcze tylko zauważyć w swojej piersi dziurę od kuli kaliber .45.

Ostatnia konferencja na temat planowanego włączenia do akcji batalionu panczerzy wspomaganých przypominała pospieszne zebranie. Większość jednostek udawała się już do miejsca rozpoczęcia działań. Niewielki pokój został pospiesznie wyposażony w chwiejne sztalugi i stół dostatecznie duży dla wszystkich, którzy uważali, że powinni zabrać głos w dyskusji.

Dowódcy batalionu dali popis elokwencji, zakończony prezentacją oficera sztabowego w panczerzu. Mike znał co do minuty czas, jaki oficer spędził w tym stroju, i zauważył pewne oznaki słabej asymilacji. Mimo to pancierz i multimedialna prezentacja różnych rodzajów broni okazały się dla większości skutecznym argumentem.

Mike wypowiadał się jako ostatni i był starannie przygotowany. Uważnie wysłuchał wszystkich prezentacji i miał wrażenie, że już wie, jaka będzie decyzja. Adiutanci i oficerowie to wchodzili, to wychodzili z pokoju, przynosząc informacje i otrzymując rozkazy. Uczestnicy zebrania byli rozkojarzeni i każdy już z góry podjął decyzję w całej sprawie. Mike czuł się jak Kasandra.

– Mimo że batalion spełnia w wymaganych osiemdziesięciu procentach kryteria dopuszczenia do akcji, pod pozorami dobrego przygotowania i wyszkolenia kryją się poważne braki. Niedostateczna wiedza technologiczna starszych oficerów batalionu i podoficerów i jednocześnie słabe opanowanie systemów komunikacji dają obraz rażącej niekompetencji. Z punktu widzenia powodzenia misji oznacza to, że przedstawiciel zespołu projektującego panczerze nie może obecnie udzielić poparcia projektowi wysłania batalionu w teren. Starsi oficerowie powinni uzupełnić szkolenie o minimum sto pięćdziesiąt godzin ćwiczeń taktycznych bez udziału żołnierzy, zanim można ich będzie uznać za przygotowanych. Dziękuję.

Ukrył wskaźnik laserowy w rękawie jedwabnego uniformu, podszedł do swojego miejsca i usiadł. Ponieważ był przedstawicielem zespołu projektującego, miał przynajmniej miejsce przy stole.

– Dobra – powiedział generał Houseman – przejdźmy prosto do sedna sprawy: wysyłamy czy nie wysyłamy? Oczekuję odpowiedzi od zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjno-szkoleniowych, Szefa Sztabu i przedstawiciela zespołu projektującego.

Wyłączenie z decyzji przedstawicieli batalionu było umyślnym policzkiem wymierzonym pułkownikowi wojsk powietrznodesantowych. Dowódca batalionu wiedział, że jeśli jednostki nie zostaną wysłane na akcję, jego kariera jest skończona.

– Generale Stafford, czy Trzeci Oddział Sztabu się zgadza?

– Tak, sir – powiedział chudy generał, bębniąc palcami w blat stołu. – Rozumiem punkt widzenia w kwestii problemów komunikacyjnych i koordynacyjnych, ale, bez urazy, poruczniku, patrzy pan na wszystko oczami niedoświadczonego młodszego oficera. Symulacje są bardzo realistyczne i wystarczająco prawdziwe, żeby ukazać chaos bitwy. W takich sytuacjach mogą powstać problemy z komunikacją i koordynacją. Porucznicy zawsze oczekują, że wszystko będzie całkowicie proste, a nigdy tak nie jest. Myślę, że żołnierze są gotowi, czas rzucić ich na głęboką wodę.

– Dobra. Generale Bridges?

– To trudna decyzja – oznajmił zrędlivy mały Szef Sztabu. – Uważam, że w sytuacji, w jakiej mają się znaleźć żołnierze, i tak będzie wiele ofiar, niezależnie od stopnia przygotowania. Moim zdaniem panczerze wspomagane i pakiet komunikacyjny zwiększą nasze szanse w walce. Atakowane

miasta mają duże znaczenie strategiczne, a pancerze nadają się do użycia w terenie niedostępnym dla innych systemów bojowych. Proponuję ich użycie mimo oczywistych braków przygotowania.

Po tej przemowie dowódca batalionu i oficer operacyjny skrzywili się.

– Poruczniku O'Neal?

– Podzielam opinię, że pancerze wzmocnią nas w walce, ale stanowczo nie zgadzam się z argumentem „zamętu wojny”. Istotny wydaje się tu mój ulubiony cytat z wypowiedzi dowódcy batalionu w operacji Pustynna Burza: „Bohaterowie zdarzają się, bo ktoś popełnił błąd.” Myślę, że jeżeli wyślemy batalion, będziemy mieli wielu bohaterów. Sztab batalionu i załoga używają systemów komunikacyjnych i wywiadowczych dokładnie na odwrót, niż zostały zaprojektowane, bo nie działają właściwie. Systemy komunikacyjne miały z założenia ułatwić kontakt, ale dowódca i major ukrywają się za szeregi podkomendnych, co powoduje problemy z łącznością.

Mike całkowicie zignorował fakt, że wspomniani oficerowie byli obecni na sali.

– Podczas symulacji dwa razy doszło do porażki przez to, że prowadzący akcję, mimo że wiedzieli, co robić, nie mogli się skutecznie porozumieć. Ponadto dowództwo batalionu i sztab systematycznie pozbawiają dowódców kompanii możliwości wydawania bezpośrednich rozkazów. Gdyby wyeliminować choćby jedną z tych przeszkód, batalion mógłby jeszcze mieć jakieś szanse. W obecnej sytuacji nie ma żadnych. Trenowano dokładnie, jak przebiegałaby walka i co się może podczas walki wydarzyć. Podpułkownik Youngman i major Norton stosują taktykę „lekkiej piechoty”, ale porzucili wszystkie dobre techniki tych formacji, a pozostawili przestarzałe. Jeśli wyślemy batalion w obecnych warunkach, będzie to powtórka z Little Bighorn. Stanowczo namawiam do dalszego szkolenia żołnierzy.

Kiedy skończył, dowódca batalionu był blady z gniewu, a oficer operacyjny zgrzytał zębami.

– Cóż, poruczniku O'Neal – powiedział generał Houseman i spojrzał ukradkiem na wściekłych oficerów polowych, którzy musieli wysłuchać słów druzgocącej krytyki – dwóch generałów za i jeden porucznik przeciw.

Będę jednak musiał uwzględnić zdanie bardziej doświadczonych oficerów. Taka jest moja decyzja. Żołnierze zostaną wysłani na akcję, poruczniku.

Nie wydawał się szczególnie zadowolony ze swojej decyzji, gdyż zasadniczo zgadzał się z porucznikiem.

Batalion wykazywał wprawdzie osiemdziesięcioprocentową gotowość, jednak jednostka powinna jeszcze przeciwiczyć symulowane starcia. Informacje na temat taktyki kawalerii i piechoty, które przemawiały za stanowiskiem O'Neala i które wyszczególniono w doktrynie jednostek pancerzy wspomaganych, najwyraźniej wprawiały w zakłopotanie większość dowództwa batalionu i sztabu. Nie była to najlepsza perspektywa.

– Decyzja należy oczywiście do pana, sir. – Z wyrazu twarzy porucznika generał odgadł, że Mike czyta w jego myślach. – Właściwie, sir, myślę, że wstrzymanie wymarszu nie uszłoby panu na sucho. Zważywszy na koszty zakwaterowania żołnierzy i fakt, że spełniają minimalne wymagania, Kongres zjadłby pana na lunch, gdyby ich pan nie wysłał na akcję.

Z rezygnacją wzruszył ramionami. W całej historii ludzkości żołnierze zawsze byli pionkami w politycznych utarczkach.

– Poruczniku, gdybym sądził, że stracimy batalion, przedłużyłbym szkolenie wbrew wszystkim biurokratom w Waszyngtonie.

Po ponurych wnętrzach statku kolonizacyjnego i gołych ścianach megawieżowca Mike był mile zaskoczony bogatą dekoracją pokoju. Mimo że było to pomieszczenie użytkowe, prawdopodobnie odpowiednik Indowy magazynu z częściami do maszyn, ściany, podłogi i sufit pokrywały skomplikowane malowidła, freski i reliefy.

Wszystkie korytarze, które przemierzył, i wszystkie pokoje, do których zajrzał, urządzone z równym przepychem.

Miłość Indowy do rzemiosła najwyraźniej obejmowała też wystrój wnętrz. W odróżnieniu od podobnych dekoracji tworzonych przez Ziemiaków, nie było tu żadnych scen ani portretów. Wszystkie ornamenty przedstawiały abstrakcje w postaci zawitych linii i skomplikowanych figur geometrycznych. Były miłe dla ludzkiego oka i zdumiewająco przypominały motywy na celtyckich broszach.

Około sześćdziesięciu osób zebrało się w dużym pomieszczeniu, które miało służyć jako centrum operacji taktycznych. Maszynę i pojemniki z tajemniczą cieczą przesunięto pod ściany, szereg krzeseł ustawiono przed niskim podium. W pierwszym rzędzie stało krzesło z obiciem. Na oparciu widniał znak srebrnego dębowego liścia i słowa: „2 Sokół 6”. Z jednej strony podium w klatce gdakał kogut. Kiedy Mike przyglądał mu się złowieszczo, kogut zapiał.

Na podium stało kilku młodszych podoficerów i żołnierzy zajętych uaktualnianiem map rozłożonych na sztalugach. Nadzorował ich major batalionu Norton; kojarzył się on Mike'owi z kogutem rządzącym w kurniku.

Porucznik szybko się przekonał, że wysoki, wyróżniający się wyglądem mężczyzna nie był wcale tak inteligentny, na jakiego wyglądał. Mimo że był bardzo energiczny, niezbyt dobrze radził sobie z nowymi sytuacjami i pomysłami.

Między nim a O'Nealem doszło do kilku sprzeczek podczas pracy nad szkoleniem batalionu.

Mike włączył w okularach tryb przybliżania i spojrzął na rysowany na tablicy plan bitwy.

– Chryste – szepnął – czy nikt nie rozmawiał z oficerem wsparcia ogniowego?

Właśnie wtedy kapitan Jackson, oficer wsparcia ogniowego, uważnie przyjrzał się tablicy i podszedł do majora Nortona. Próbował odciągnąć go na bok, ale major spławił go. Był przecież tylko artylerzystą, więc jego zadanie polegało na udzielaniu wsparcia, i do tego tylko kapitanem, więc można go było zignorować.

Mike rozejrzał się po pokoju wypełnionym żołnierzami w strojach kamuflujących. Obecni byli dowódcy pięciu kompanii z drugimi oficerami, członkowie sztabu z asystentami i starszymi podoficerami, dowódcy posiłkowi, inżynierowie, żołnierze wsparcia ogniowego, sanitariusze i artylerzyści. Wszyscy w oczywisty sposób go ignorowali; w przypadku niektórych było mu to nawet na rękę. Zażyłość z dowódcami kompanii mogłaby spowodować, że w razie ich sprzeczki z majorem Mike też miałby kłopoty. Porucznik zaczął liczyć krzesła.

– Michelle – zagadnął swój przekaźnik – ilu wojskowych w stopniu pierwszego porucznika i wyższych rangą znajduje się w pomieszczeniu?

– Pięćdziesięciu trzech.

– A ile jest krzeseł? – zapytał.

– Pięćdziesiąt.

– Michelle, kto kierował ustawianiem krzeseł?

– Sekcja operacyjna batalionu.

– Jasny gwint.

Jego stosunki z dowódcą batalionu i jego sztabem nie tylko nie poprawiły się, ale nawet uległy pogorszeniu.

Jego, jak mniemał, taktowną i konstruktywną krytykę w zakresie komunikacji i systemów kontrolnych odbierano negatywnie jako nie wspartą doświadczeniem, mimo że ograniczył się tylko do spraw bezpośrednio związanych z pancierzami wspomaganymi. Skrytykował na przykład chęć dowódcy do wysyłania batalionu naprzeciw nieprzyjacielskich wojsk. Pomimo groźby ogromnej liczby poległych w walce wręcz, pułkownik najwyraźniej uznał, że broń Posleenów w ogóle nie ma się pancerzy, i wołał spotykać się z nimi *mano y monstro*. Scenariusze szkoleniowe były jednak tylko teoretyczne; ziemskie jednostki nie zgromadziły jeszcze żadnych danych na temat zachowania Posleenów podczas walki. Pogarda pułkownika dla badań nad udoskonaleniem scenariuszy zwiększyła się tylko po nieudanej próbie Mike'a niedopuszczenia batalionu do walki.

Mike uznał za konieczne, jakkolwiek nietaktownie mogło to zabrzmieć, skrytykowanie struktury komunikacji.

Brak wiedzy podpułkownika Youngmana na temat pancerzy i technofobia generała spowodowały, że musiał w sprawach przekazywania informacji polegać na sekcji komunikacyjnej i oficerach łączności, zamiast zaprogramować odpowiednio inteligentne przekaźniki. Oficerów łączności przydzielono do odpowiednich sieci i bezpośredni kontakt z dowódcą mieli tylko niektórzy członkowie sztabu i drugi oficer batalionu, major Pauley.

Ponadto Youngman wyznaczył batalion jako odpowiedzialny za zatwierdzanie wszystkich wniosków o wsparcie, z wyjątkiem dotyczących opieki lekarskiej i logistyki. Dowódcy kompanii musieli na przykład składać u niego wnioski o wsparcie ogniowe, a on określał, czy prośba była zasadna. Musieli praktycznie prosić go o zgodę na wszystko. Pułkownik odkrył, że systemy pancierza umożliwiały mu obserwację pola bitwy z pozycji niemal równej bogom Olimpu i że mógł dowodzić ruchami każdego plutonu, jeśli tylko miał ochotę. A miał ochotę. Kontrolował więc wszystkie aspekty operacji. Wspaniały przykład zarządzania w skali mikro.

Niestety winę za powstałe przeciążenie systemów informacyjno-dowodzących postanowił zrzucić na pancierz wspomagany zamiast na sposób prowadzenia akcji. Utworzył zatem dłuższy łańcuch przekazywania informacji między nim a dowódcami kompanii i systematycznie pozbawiał ich inicjatywy. Dlatego w każdym scenariuszu bojowym, jaki dotąd przećwiczano, nie rozwijano umiejętności przeprowadzania skutecznych manewrów i przekazywania rozkazów. A teraz żołnierzy wysyłano do walki.

Na krótko przed dziewiątą poszczególne grupy zebranych zaczęły zajmować miejsca przed podium. Mike'a ani trochę nie zaskoczyło, że kiedy wszyscy już usiedli, zabrakło krzeseł dla drugiego porucznika Eamonsa, dowódcy plutonu inżynieryjnego, drugiego porucznika Smitha, dowódcy plutonu zwiadowczego – obydwaj byli drugimi oficerami kompanii – dla niego samego oraz podoficerów od starszego sierżanta po szeregowców. Starszy sierżant wyglądał na naprawdę wkurzonego.

Po chwili major Norton polecił powstać z miejsc, do pokoju wkroczył podpułkownik Youngman i przeszedł między rzędami do swojego krzesła. Zajął miejsce oznaczone „2 Sokół 6”, wziął filiżankę kawy od krążącego z tacą szeregowca i pozwolił wszystkim usiąść.

– Witam panów – powiedział major Norton. – Oto nasza misja: Zespół Uderzeniowy drugiego batalionu trzysta dwudziestego piątego pułku piechoty zajmie się obroną skrzydła III Korpusu w regionie megalopolis Deushi u podnóża masywu Nomezdi. Pierwszy porucznik przedstawi szczegóły.

Tym pierwszym porucznikiem był Phil Corley. Miał ciemne włosy i lekką niedowagę, i był niezwykle inteligentny, choć czasem brakowało mu zwykłego zdrowego rozsądku. Podszedł do sztalugi i dramatycznym gestem odrzucił płótno. Mapy na sztalugach zasłonięto przed wejściem pułkownika. Płótno pokrywały gęsto czerwone odciski pieczęci **ŚCIŚLE TAJNE**. Mike nie był pewien, przed kim chciano utajnić plany, skoro Posleeni, o ile było mu wiadomo, nie mieli systemów

wywiadowczych.

– Na dużym schemacie na południowym wschodzie widać „Linie Bordoli”, sformowaną z oddziałów chińskich, rosyjskich, południowoazjatyckich i afrykańskich, które wycofały się na strategiczne pozycje koło masywu Bordoli w megalopolis Aumoro. Stacjonują między masywem a wybrzeżem. To jest drugi odwrót strategiczny od czasu, kiedy jednostki wylądowały na powierzchni. Ponieważ front ma teraz niecałe sześćdziesiąt kilometrów szerokości, a pozycje broni trzy czwarte miliona żołnierzy, nie spodziewamy się dalszych odwrotów. Połączone jednostki Alianckich Sił Ekspedycyjnych NATO i oddziałów Chin i Japonii udają się obecnie na pozycje rozpoczęcia misji.

Z powodu opóźnienia w lądowaniu żołnierze będą zmuszeni działać w dwóch fazach. Główny front oporu ma przebiegać na obszarze podobnym do Bordoli, na terenie megalopolis Deushi. W tym miejscu masyw Deushi rozciąga się na odległość czterdziestu pięciu kilometrów od morza. Zadaniem wojsk NATO jest utworzenie i utrzymanie frontu w tym miejscu. Jednak marsz Posleenów odbywa się tak szybko, że należy go spowolnić, żeby przygotować obronę. Zmechanizowane jednostki pancerny wspomaganymi wojskami alianckimi zajmą więc pozycje na obszarze masywu Nomezdi w Alei Qual. Frontu będą bronić trzecia dywizja pancerna, drugi batalion zmotoryzowanej piechoty, dziesiąta dywizja grenadierów pancernych, siódmy pułk kawalerii, Deuxième Division Blindée, drugi regiment lansjerów i sto dwudziesty szósty pułk pancerny. Niemieccy żołnierze pierwszego i dwudziestego szóstego batalionu pancerny wspomaganymi będą tworzyć ruchomą rezerwę. Plan obrony wymaga utrzymania frontu albo wycofania wojsk na odległość najwyżej sześciu kilometrów w czasie dwudziestu czterech godzin. Oczekuje się, że Posleeni dotrą do Alei Qual za dwanaście godzin. Jakies pytania?

Kapitan Brandon podniósł rękę.

– Jaka jest liczba i rozmieszczenie posleeńskich oddziałów wzdłuż frontu?

– Na razie nie wiadomo. Wiemy, że broń energetyczna na lądownikach Posleenów skanuje przestrzeń nad nimi aż do głębokiego kosmosu. Nie mamy więc jak dotąd możliwości zrobienia zdjęć satelitarnych. Informacje, jakimi dysponujemy, pochodzą z raportów darhelskich zarządców ewakuowanych megawieżowców i częściowo od himmickich zwiadowców. Dane Darhelów nie mówią o liczbie wroga, a Indowy uciekają, kiedy tylko wyczują Posleenów w pobliżu. Himmici dostarczają wspaniałych raportów, ale ich możliwości obserwacyjne są ograniczone.

Porucznik odpowiedział na kilka innych pytań i zszedł z podium.

Major Norton wstał, wziął wskaźnik i zwrócił uwagę zebranych na mapę na tablicy.

– Misja Zespołu Uderzeniowego drugiego batalionu trzysta dwudziestego piątego pułku polega na zajęciu pozycji obronnych wzdłuż Qual i koordynacji działań z bocznymi jednostkami w celu utrzymania frontu przez co najmniej sześć i najwyżej dwanaście godzin. Nasz batalion został przydzielony do sektora, którego w normalnych okolicznościach broniłby pułk; jest to taki sam obszar, jaki otrzymał cały siódmy pułk kawalerii. Uważamy, że z naszym nowym uzbrojeniem i sprzętem będzie stosunkowo łatwo utrzymać ten sektor. Dlatego Oddziały Specjalne zajmą następujące pozycje: kompania Alfa przy północno-wschodnim rogu megawieżowca Qualtrev, ze strefą ostrzału sięgającą do Bulwaru Sisalav, kompania Charlie przy północno-zachodnim rogu megawieżowca Qualtren, z zadaniem koordynacji strefy ostrzału na Bulwarze z kompanią Alfa. Alfa przejmie odpowiedzialność za integrację wsparcia z oddziałami Bravo, a siódmy pułk kawalerii zajmie pozycje między linią brzegową a megawieżowcami Qualtrek i Saltrek. Charlie udzieli wsparcia ogniowego jednostkom flankowym. Jak widać na mapie, Qualtren opiera się o masyw, co zabezpieczy nasze boczne skrzydła. Jednostki laserów batalionu wesprą kompanie Charlie i Alfa.

Zwiadowcy batalionu ukryją się w megawieżowcu Naltrev, żeby ostrzec o zbliżającym się wrogu i

rozpocząć walkę.

Moździerze batalionu zajmą pozycje na tyłach megawieżowca Qualtren i razem z moździerzami kompanijnymi udziela wsparcia ogniowego. Po ustaleniu przez zwiadowców batalionu pozycji wroga korpuśne MLRS i artyleria 105 mm baterii zgrupowania ostrzelają w razie potrzeby przestrzeń między Daltren i Daltrev. Tam zacznie się ostateczny ostrzał obronny. Kompania Bravo pozostanie w rezerwie i ruszy do akcji tylko na bezpośredni rozkaz dowódcy batalionu. Dowódca kompanii może nakazać ostrzał, kiedy wróg podejdzie na tysiąc metrów lub pojawi się w zasięgu wzroku. Żadnego bezpośredniego ognia powyżej dystansu tysiąca metrów. Musimy spowodować jak największe straty wroga już przy pierwszej salwie. Kiedy Posleeni znajdą się w zasięgu wzroku batalionu, ostrzałem będą kierować dowódca batalionu i oficer wsparcia ogniowego. Nie będziemy wznosić widocznych fortyfikacji, drutów kolczastych, zasieków ani bunkrów. Mamy uderzyć nagle i wykorzystać element zaskoczenia, a nie zdradzić pozycji naszych wyrzutni raketowych. Jakies pytania?

Mike odwrócił się do porucznika Eamonsa i szepnął mu na ucho.

– Na przykład: „Czy mamusia upuściła cię w dzieciństwie na główkę?”

Porucznik Eamons parsknął śmiechem, nie zmieniając wyrazu twarzy. Major Norton spojrział na niego ze złością, a Mike uspokoił się natychmiast jak skarcone dziecko. Każda symulacja, jaką przeprowadził, i każda informacja o walce z Posleenami, którą słyszał, wskazywały, że bitwa była skazana na porażkę. Pionowe rozstawienie batalionu, które zakładał plan, wystawiało wojska na atak nacierającej masy wroga bez możliwości skutecznego działania batalionu.

Podstawowa technika zalecana w walce z Posleenami była dwustopniowa. Należało zająć bezpieczną pozycję, dosyć dobrze się ścięsnąć – jak bardzo, to zależało od zabezpieczenia pozycji przed pociskami hiperszybkimi – i rozpocząć zmasowany atak artyleryjski na Posleenów. Jeden ze szkockich oficerów w GalTechu nazwał to „zalewaniem ich Martini”. Walka z Posleenami była niczym walka z szybko rozprzestrzeniającym się pożarem i wymagała poważnego zaangażowania.

Kapitan Jackson, oficer wsparcia ogniowego, wstał.

– To nie jest pytanie, majorze, to jest stwierdzenie. Tego nie da się zrobić.

– Co to znaczy „nie da się tego zrobić”, kapitanie? – zapytał ze złością major.

– Nasze MLRS w całości przekazaliśmy dziesiątej dywizji pancерnej. Wywiad Korpusu uważa, że Posleeni zaatakują przede wszystkim ich pozycje. Możliwe, że udałoby nam się złapać ich w pole siłowe, ale jest pewien kłopot: megawieżowce. Odstęp między nimi wynosi siedemdziesiąt pięć metrów, a mają prawie cholerną milę wysokości. Z takim kątem widzenia artyleria sobie nie poradzi. Oddziały wsparcia ogniowego mogą pomagać tylko kilku jednostkom i strzelać wzdłuż alei. W tym wypadku nie możemy tego zrobić, bo Bulwar Sisalav ostro meandruje po zboczach gór. Więc w zasadzie trzeba by zapomnieć o artylerii.

Major Norton wyglądał przez chwilę na oszołomionego, ale zaraz doszedł do siebie.

– Dobra, zapomnijmy o artylerii. Jeszcze jakieś pytania albo stwierdzenia?

– Nie – szepnął Mike. – „Kto to w ogóle wymyślił?” byłoby nietaktowne.

Fredericksburg, Wirginia,
Sol III 13:42,
4 sierpnia 2002

Pierwsza część podróży z Fort Benning w Georgii do Indiantown Gap w Pensylwanii była koszmarem. Bez drugiego sierżanta szkoleniowego Pappas szarpał się z utrzymaniem rekrutów w ryzach. Starszy szeregowy Ampele i kapral Adams stali się jego prawą ręką podczas zaganiania żołnierzy, którzy po raz pierwszy od czternastu tygodni zobaczyli „prawdziwe życie”, z powrotem do szeregu. W ciągu tych dwóch dni Pappas czuł się raczej kowbojem niż sierżantem i obiecywał sobie, że rekruci słono mu za to zapłacą, kiedy znowu będzie ich miał w koszarach.

Całą podróż odbywali autobusem, a kierowca nalegał na postoje dosłownie co pięćdziesiąt kilometrów. Na pokładzie znajdowała się toaleta, więc przez cały pierwszy dzień Pappas trzymał pluton w środku autobusu, ale w końcu musieli zatrzymać się na obiad. Miejscowi zlecieli się jak pszczoły do miodu na widok rekrutów w szarych i srebrnych jedwabnych uniformach. Pappas został zarzucony pytaniami, na które musiał odpowiedzieć. Nagle zdał sobie sprawę, że widzi tylko dwudziestu z czterdziestu żołnierzy, których miał pod swoją komendą. Zaklął, kiedy okazało się, że większość brakujących rekrutów należała do sławetnej drugiej drużyny.

Już trzy albo cztery razy zastanawiał się nad podzieleniem tej drużyny, ale za każdym razem rezygnował z takiego zamiaru. Problem z tymi żołnierzami polegał na tym, że byli rzeczywiście tak dobrzy, jak im się wydawało. Pojmowali każdą lekcję już za pierwszym razem. Nigdy nie zasypiali, ich sprzęt był zawsze w idealnym stanie, zawsze wykonywali zadania na czas albo nawet przed czasem. Mieli przeciętne wyniki lepsze niż ktokolwiek, z wyjątkiem kilku osób w całej kompanii. Był to jeden z rzadkich przypadków, kiedy jakaś grupa w wojsku odznaczała się kompetencją i zdolnościami. Niestety dowódca drugiej drużyny, starszy szeregowy James Stewart – najbardziej czarujący młodzieniec, jakiego tylko mogłaby sobie wymarzyć każda młoda dziewczyna – najprawdopodobniej był wichrzycielem całej grupy.

Wkrótce po przyjeździe podstawowej grupy szkoleniowej inspekcje ujawniły ogromne ilości mocnego alkoholu w posiadaniu rekrutów. Ponieważ nie sposób było całkowicie odciąć dopływ nieprzepisowego płynu do armii, dotychczas podczas podstawowego szkolenia jedna butelka mogła pojawiać się raz na kilka tygodni. Intensywne przesłuchania wystraszonych rekrutów nie ujawniły źródła; dostawcy tworzyli zgraną siatkę.

Rekruci mogli zamawiać alkohol w ten sposób, że małe zwitki papieru z zapłatą ukrywano w szparach ścian koszar, w toalecie albo na gdieś na placu apelowym. Następnego dnia w szafce rekruta pojawiała się butelka albo instrukcja, gdzie ją odebrać. CID, Kryminalny Wydział Śledczy Sił Lądowych, przez długie tygodnie próbował złapać szmuglerów na gorącym uczynku, ale zawsze zjawiał się na miejscu odrobinę za późno. Inspektorzy dochodzeniowi obserwowali kiedyś przez trzy dni miejsce, w którym zostawiano zapłatę, tylko po to, żeby przekonać się, że dziura w ścianie przechodziła na wylot.

Alkohol, papierosy, pornografia, ale o dziwo żadnych narkotyków. Po dwunastu tygodniach szkolenia kompania Alfa miała dwutygodniowe ćwiczenia w terenie. Okazało się, że przez cały ten czas w całej kompanii, a nawet batalionie, nie pojawiła się ani jedna pełna butelka. Było zatem oczywiste, że roznosiciele należeli do kompanii Alfa.

Agenci CID masowo rzucili się na kompanię Alfa, ale Spec sierżant Pappas od dawna już wiedział, kto był przywódcą szajki. W ostatnim tygodniu szkolenia, po nieudanej sobotniej inspekcji, Pappas wyprowadził pluton z koszar i wraz z pierwszym sierżantem kompanii, surowym weteranem Sił Specjalnych o stażu jeszcze dłuższym niż jego, przewrócili koszary do góry nogami.

Łóżka wylatywały przez okno wraz z osobistymi szafkami, szafkami na wyposażenie, ubraniami, sprzętem i wszystkim, co tylko dało się ruszyć. Każdy przedmiot poddano krótkim, ale dokładnym oględzinom. Kiedy już prawie mieli się poddać, znaleźli wreszcie to, czego szukali, w samym środku betonowej ściany za szafką dowódcy drużyny.

Było to prawdziwe wyzwanie dla doświadczonych podoficerów. Z jednej strony pogwałcono wprawdzie liczne przepisy, ale z drugiej strony żołnierze drużyny spisywali się w innych dziedzinach lepiej, niż każdy podoficer mógłby sobie wymarzyć. Najgorszy w tym wszystkim był fakt, że bycie dowódcą wojskowym wymagało szacunku podkomendnych. Dowódca musi czasem wysłać żołnierzy na pewną śmierć, a oni pójdą, jeśli będą go szanowali, kochali i bali się go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Gdyby szli na wojnę z przekonaniem, że są w stanie dokonać wszystkiego, mogłoby to skończyć się gorzej, niż gdyby w ogóle nie byli szkoleni. Ale ci żołnierze byli tak dobrzy w swoim rzemiośle – szczególnie Stewart – że posłanie ich w odstawkę byłoby zmarnowaniem całego procesu szkolenia i ich talentu.

Mieli trochę czasu, żeby wszystko przedyskutować. Kaprale musztrowali rekrutów do utraty tchu, a sierżant Pappas był całkowicie pewien, że żołnierze nie spodziewali się przeszukania. Podoficerowie szybko doszli do porozumienia, obmyślili plan i wyszli na plac do rekrutów. Rekonstrukcja pomieszczeń drużyny została bardzo dokładnie przeprowadzona przez kaprali szkoleniowych. Potem, kiedy Stewart sprawdzi skrytkę, zacznie się zastanawiać, czy to podoficerowie, czy rekruci splądrowali jego tajny magazyn.

Dwa dni później odbyły się nie zaplanowane ćwiczenia połowe. O drugiej nad ranem rekruci zostali poderwani z łóżek, wbici w mundury i popędzeni w ciemność.

Pluton podzielono na drużyny i poddano morderczej musztrze. Były to ćwiczenia biegu i padu, przywierania do ziemi, żeby ostrzelać wroga, podczas gdy inna drużyna rusza naprzód, a potem znowu biegu do następnej pozycji ostrzału. Trzeba było biec dwadzieścia do trzydziestu metrów, paść na ziemię, wystrzelić kilka ślepek, poderwać się na nogi z pięćdziesięcioma kilogramami sprzętu na plecach, a potem powtarzać wszystko całymi godzinami.

Rekrutów nadzorowali kaprale szkoleniowi, a Spec sierżant Pappas cicho przemieszczał się w ciemnościach od drużyny do drużyny i obserwował wszystkich, samemu nie będąc widzianym. Zniknęły wszystkie zaokrąglenia, ten „cywilny tłuszcz”, który na początku był widoczny nawet u rekrutów w dobrej formie. Wszyscy stali się twardymi, wytrzymałymi mężczyznami o niespożytej energii, niebezpiecznymi jak małe grzechotniki. Dokładnie takimi, jakimi mieli się stać.

Przed świtem drużyny rozproszono, a potem zgodnie z zaleceniami kaprale szkoleniowi zebrali wszystkich i całkowicie wbrew obowiązującej doktrynie rozpalili ogień. Ognisko było niebezpieczne dla współczesnej piechoty, ujawniało jej pozycję, stwarzało zagrożenie pożarowe w lasach i szkodziło środowisku naturalnemu. Ale Pappas wiedział, że żołnierze piechoty są pod wieloma względami atawistyczni. Chętnie tarzają się w pyłe i błocie, nawet gdy to przeklinają, a ogień trąca szczególną strunę w każdym człowieku. Jak niewiele rzeczy na świecie, ogień otwiera duszę, a czasem nawet stworzyć ją może właśnie tylko on.

Kiedy druga drużyna rozłożyła się na plecakach i wypoczywała przy ciepłym świetle, Pappas po cichu wyłonił się z mroku i gestem dłoni polecił kapralowi szkoleniowemu oddalić się.

Członkowie drużyny podnieśli się do pozycji siedzącej i rzucali ukradkowe spojrzenia na

Stewart. On natomiast utkwiał bazylijszkowy wzrok w sierżancie Pappasie; jego spojrzenie mogło powstrzymać nawet szarżującego byka.

W pierwszym tygodniu nauczył się, żeby nie patrzeć w ten sposób na Pappasa, ale teraz najwyraźniej nadszedł czas, aby to zrobić.

Pappas sięgnął do przepastnych kieszeni spodni i wyciągnął dwanaście zwitków banknotów.

– Chyba coś zgubiliście – powiedział i rzucił po jednym do każdego rekruta.

– Sir – zaczął jeden z żołnierzy – to nie jest tak, jak pan myśli!

– Zamknij się – warknął Stewart.

Rekrut zamknął się.

– Zdradzę wam pewien sekret, żołnierze – powiedział Pappas cichym i pozornie obojętnym głosem.

Po raz pierwszy zwrócił się do nich w ten sposób i wszystkich to zaskoczyło. W zasadzie nie powinno się ich nazywać żołnierzami, dopóki nie przejdą końcowych testów. To był cel, do którego wszyscy dążyli, dowód uznania pod wieloma względami cenniejszy nawet niż życie.

– To jeden z wielkich sekretów – ciągnął Pappas. – Wiecie, sekretów sierżanta. Rekruci zawsze myślą, że ich sierżanci mają swoje tajemnice, których nie można poznać, dopóki samemu nie zostanie się sierżantem. Zupełnie, jakby zdradzano nam je ostatniego dnia „Szkoły Sierżantów”.

Roześmiał się ze swojego dowcipu i wydał policzki.

– Cóż, tak nie jest. Sekrety poznaje się po prostu będąc w jednostce, w wojsku, niezależnie od tego, czy to są siły lądowe, piechota morska, oddziały uderzeniowe czy liniowe. Zazwyczaj poznaje się je w ciągu pierwszych kilku miesięcy. Ale to nie jest ten duży sekret. To jest mały sekret.

– Duży można ująć w trzech słowach – ciągnął po chwili poważnie. – „Kontrabanda jest wszędzie”. Gdzieś w koszarach zawsze są narkotyki, osobista broń palna albo ładunki wybuchowe. I zawsze kwitnie czarny rynek. Wy nie byliście ani pierwszymi, ani drugimi, ani nawet dwieście pięćdziesiątymi. Kontrabanda w koszarach jest stara jak samo wojsko. A sprzęt, który mają nam przydzielić, jest marzeniem każdego czarnorynkowego handlarza. Wszyscy w tym pieprzonym kraju chcą galaksjańskiej broni, narkotyków, zastrzyków hibernacyjnych. Cholera, nawet najmniejszy duperel GalTechu, pióra, baterie Eterna, wszystko jest warte kupę dolców. A więc zgarniemy wkrótce całą pulę; można łatwo zarobić dwanaście kawałków za jeden zastrzyk regeneracyjny.

Podniósł gałąź i podsycił dogasający ogień, przez chwilę to wydymając, to wciągając policzki w milczeniu.

– Jest jeszcze większa tajemnica – powiedział prawie szeptem. – Jedno małe zdanie. „Dopóki nie wpływa to na skuteczność jednostki, nie ma sprawy.” Znowu się uśmiechnął i rozejrzał po zebranych wokół rekrutach. Jego wzrok zlodowaciał, a uśmiech zmienił się w minę szczerzącego zęby psa.

– Waszym tatusiom, zasrańcy, nawet się jeszcze o was nie śniło, kiedy ja służyłem już w pieprzonej piechocie morskiej. Wtedy oficerowie musieli mieć uzbrojoną obstawę, żeby wejść do koszar, bo problem pieprzonych narkotyków był ogromny, a niewiele lepiej było nawet w cholernym Korpusie. Gdybyśmy musieli iść na wojnę w latach siedemdziesiątych, nikt z was by nie poszedł. W całej pieprzonej armii, czy to w piechocie, czy w artylerii, w wojskach pancernych czy powietrznodesantowych, nie było jednostki przygotowanej do walki, bo armią zawładnęli kryminaliści. Jeśli pójdziecie na wojnę z przekonaniem, że dostaliście właśnie klucz do sklepu z cukierkami, jednostka, do której traficie, będzie miała przesrane. Kiedy naprawdę będzie wam potrzebny ten cały zafajdany sprzęt, kiedy wkoło będą się rozlegać jęki mordowanych, a wasi kumple zaczną na waszych oczach umierać, zabraknie wam tego zasranego wyposażenia. Amunicja, broń i każdy rodzaj sprzętu będzie wysprzedany. A wtedy będziecie mieli przesrane. Już tak kiedyś było. I

niech mnie diabli, jeśli powtórzy się to na moich oczach.

Spojrzał na ogień i wrzucił w płomienie drugą gałąź. Jego gniew powoli opadał. Wypuścił powietrze z dźwiękiem przypominającym odgłos silnika motorówki.

– Długo z tym walczyliśmy – ciągnął z ożywieniem – i musieliśmy się z tym uporać, bo takie wojsko po prostu nie może funkcjonować. W wojsku chodzi o szacunek. Jeśli wam się wydaje, że możecie mnie wykiwać, to nie macie dla mnie szacunku i nie wykonacie moich rozkazów ani rozkazów waszych oficerów, kiedy nadejdzie czas, żeby iść na śmierć.

Urwał i popatrzył na ogień, mając nadzieję, że przynajmniej niektórzy z rekrutów zrozumieli, do czego zmierza.

Ale tak naprawdę mówił do Stewarta i wszyscy o tym wiedzieli.

– Jesteście dobrzy, naprawdę dobrzy. Ale jeśli uważacie, że w tym wszystkim chodzi o pieniądze, to nie nadajecie się na żołnierzy szturmowych, bo nie zostaniecie ze mną wtedy, kiedy będziecie mi najbardziej potrzebni.

– Teraz zaczniecie poznawać tę wielką tajemnicę, możliwe, że największą. Nie zdradzę wam jej, musicie ją sami odkryć. Powiem wam tylko, że to nie jest: „Pieniądze to nie wszystko” ani nic równie banalnego. A teraz sedno sprawy: jeśli chcecie założyć pancierz wspomagany, jeśli chcecie być takimi żołnierzami, na jakich szkolicie się od czternastu tygodni, musicie wrzucić te zwitki banknotów do ognia.

Drużyna słuchała go w napięciu, zastanawiając się nad tym, co mówił. Rekruci ściskali zwitki, spazmatycznie połykali ślinę i patrzyli po sobie. Wszyscy trzymali w garści kilka tysięcy dolarów, na które ciężko zapracowali.

Stanowczo nie chcieli ich teraz stracić.

– Możecie też wstać i wrócić do obozu. Wtedy po zakończeniu szkolenia zostaniecie przeniesieni do waszych lokalnych jednostek Gwardii Narodowej. Nie będzie żadnej ciężkiej musztry ani sądu wojskowego, tylko trochę papierkowej roboty. Statystycznie będziecie mieli większe szanse na przeżycie w Gwardii. Jeśli tylko Posleeni nie zaatakują was bezpośrednio, jako gwardziści pozostaniecie na stałe w tej samej jednostce i nie będą was przenosić z jednego pola walki na drugie, tak jak w oddziałach uderzeniowych czy osłaniających. Jako żołnierze szturmowi traficie natomiast do wiecznego kotła, i niezależnie od tego, jak jesteście dobrzy, wielu z was zginie. Żeby znaleźć się w Gwardii, wystarczy zatrzymać pieniądze. To powinno być proste.

Kiedy skończył mówić, oparł się plecami o rosnącą obok sosnę i czekał na reakcję. Podrapał się w głowę krótką gałązką i automatycznie strzepnął z ramienia znajdujące się tam płatki naskórka.

Stewart wciąż świdrował go bazylijszkowym spojrzeniem. Wreszcie odezwał się.

– Moglibyśmy przyjąć pana do spółki.

Propozycja nie obraziła Pappasa, spodziewał się jej i miał nadzieję, że w ten sposób będzie mógł jeszcze raz podkreślić sedno sprawy. Poza tym był pewien, że Stewart zaproponował to tylko pro forma i nie oczekiwał, że sierżant się zgodzi.

– Nie, raczej nie. Widzisz, ja już znam ten wielki, wielki sekret.

– Tak – szepnął Stewart i po raz pierwszy spojrzał na zwitek w rękę.

Powoli ściągnął gumkę i rozłożył banknoty. Po chwili znowu ułożył je w stos i przetasował tuż pod nosem, żeby poczuć ich zapach. Jeszcze raz je rozłożył i bez słowa, z kamienną twarzą, wrzucił je do ognia. Któryś z rekrutów – nie wiadomo, który – westchnął ciężko.

– Pieniądze nie mogą być aż tak ważne, prawda? – zapytał Stewart.

– Tak, ale to nie jest jeszcze cała tajemnica – odpowiedział Pappas.

Sierżant patrzył, jak członkowie drużyny, jeden po drugim, niektórzy z widocznym ociąganiem, ale

większość, o dziwo, prawie bez mrugnięcia okiem, wrzucali pieniądze do ognia.

– Dobra – powiedział Pappas zmęczonym głosem – wyśpijcie się. I mam nadzieję, że nigdy nie będziecie musieli przekonać się, jaka jest reszta tajemnicy.

Wstał i rozpląnął się w mroku.

* * *

Teraz Pappas żałował, że nie zerznął im tyłka. W pobliżu McDonalda drużyna była bez nadzoru i, jeśli historia lubiła się powtarzać, pakowała się w jakieś kłopoty. Zauważył Ampele'a, którego jakaś ładna, choć nieco zbyt zaokrąglona młoda dama prowadziła za róg, i podbiegł do niego.

– Gdzie jest Stewart? – zapytał i wyprowadził Ampele'a zza rogu.

– Co...? Nie wiem, sir. Ja tu tylko rozmawiam z Rikki. Jeszcze minutę temu był ze swoją drużyną koło toalety.

Ruszył w stronę restauracji, ale nagle cofnął się, jak gdyby był na bungee. Ręka młodej damy była niewidoczna i Pappas miał ochotę krzyknąć „Pokażcie ręce” tylko po to, żeby zobaczyć ich miny.

– Proszę pani – powiedział łagodnie Pappas – mogłaby nas pani zostawić na chwilę samych?

Jej dłoń niechętnie puściła żołnierza, a sierżant zdecydowanie odciągnął Ampele'a za rękę.

– Skoncentruj się. Pomyślisz o ślicznotkach, jak dotrzemy do Indiantown Gap.

Wszedł do restauracji i kątem oka zauważył, jak członek drugiej drużyny ucieka przez służbowe wejście.

Sierżant dopadł do drzwi, zanim się zamknęły, zatrzymał się, rozejrzał i ruszył w stronę toalety.

– Sierżancie, Wilson pobiegł tędy – zauważył Ampele.

– Tak, ale tu chodzi o Stewarta. Zastanawiam się tylko, czy to nie jest podwójny blef.

Otworzył, a raczej chciał otworzyć drzwi męskiej toalety. Coś je blokowało.

– Stewart! Otwieraj te cholerne drzwi albo licz się z konsekwencjami! – z całej siły pociągnął za klamkę. – Raz! Dwa!

Rozległ się trzask, jak gdyby gwałtownie usunięto jakąś blokadę, i drzwi otworzyły się. Dziewięciu członków drużyny tłoczyło się w niezbyt dużej toalecie. Wszyscy co do jednego patrzyli na niego, jakby nagle oszalał.

– O co chodzi, sierżancie? – zapytał Stewart, kiedy odszedł od pisuaru, a inny rekrut zajął jego miejsce. – Te drzwi okropnie się zacinają jak na McDonalda.

– Dobra, gdzie ona jest? – zapytał Pappas i odwzajemnił jego lodowate spojrzenie.

W toalecie unosił się zwykły zapach rozwodnionego moczu, ale z zapachem tym mieszała się też delikatna woń tanich perfum.

– Gdzie jest kto, sierżancie?

– Ta druga. Ta, której nie napuściłeś na Ampele'a.

Dowódca plutonu wyglądał na zaskoczonego; znowu się okazało, że sierżant był dwa kroki przed nim.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi, sierżancie – powiedział Stewart z miną niewiniątka. – W tej toalecie nie ma kobiet – ciągnął, zataczając ręką koło po stłoczonych w pomieszczeniu członkach drużyny – a wszedł pan przez jedyne drzwi.

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową, jakby dziwiły go nagłe urojenia sierżanta.

– Ampele, zostań tu. Stewart – powiedział i położył umięśnioną dłoń na ramieniu starszego szeregowego – czeka nas jeszcze jedna mała pogawędka.

Pappas wyprowadził rekruta z toalety i powiodł go w głąb jesiennej mgły na dworze.

– Jeśli mówię coś raz – powiedział łagodnie, kiedy przyparł szeregowca do ściany restauracji – to tak, jakbym mówił dwa razy – ciągnął, przyciskając rondo wojskowego kapelusza do górnej części nosa Stewarta, i przytknął palec do jego piersi. – Nie rób ze mnie wała. Myślę, że nadajesz się na oficera, ale jak na razie wygląda na to, że skończysz w Leavenworth. Ta głupia suka schowała się w drugim szybie wentylacyjnym na lewo od pisuaru i jest niewątpliwie wystraszona na śmierć. W toalecie był zapach perfum i kawałki pokruszonej cegły przy szybie, które chcieliście ukryć. Każ swojej drużynie wrócić do jadalni, wyprowadź dziewczynę z toalety i zamelduj się u mnie, jak skończysz, czy to jasne?

– Jak kryształ, sierżancie.

Nutka kpiny w głosie szeregowca rozżłościła Pappasa i nagle, jak grom z jasnego nieba, przyszło mu do głowy rozwiązanie problemu. Uśmiechnął się złowrogo. Na ten widok w oczach szeregowca pojawił się wyraz niepokoju.

– Od tej chwili nie jestem na służbie – powiedział Pappas, śmiejąc się w duchu z przerażenia Stewarta. – Jeśli coś źle pójdzie – ciągnął – będzie to twoja wina – palec twardy jak skała znów naparł na pierś Stewarta. – Całkowicie umyvam ręce, kapujesz? Jeśli ty coś spieprzysz – palec – zabieram ci belkę. Jesteś starszym szeregowym, więc masz coś do stracenia. Jeśli oni coś spieprzą, ty – palec – tracisz belkę. Odpowiadasz za wszystko, dopóki nie dotrzemy do hotelu; ogłoszę to w autobusie jeszcze zanim odjedziemy. To powinno oduczyć cię głupich dowcipów. Czy wyrażam się jasno?

– Jasno, sierżancie – potwierdził Stewart i zbladł.

– Ja i Ampele odpoczniemy sobie podczas dalszej podróży, bo za wszystko ty odpowiadasz. Jeśli coś pójdzie źle, dojdzie do publicznego pijaństwa, sprośnych zaczepek, wkurzą się czyiś ojcowie, zostaną okradzeni jacyś sklepikarze, któryś rekrut zwymiotuje w miejscu publicznym, to polecą – palec w klatkę piersiową – twój tyłek.

Przez całą noc i cały jutrzejszy dzień. Zamierzam spać jak dziecko. Czy to jest absolutnie, całkowicie, kryształowo jasne?

– Tak, sierżancie.

– Cieszę się.

Podoficer roześmiał się od ucha do ucha, a jego białe zęby zaśniły na tle szerokiej śniadej twarzy.

– Życzę miłego dnia.

Reszta podróży była już jak piknik.

Porucznik O'Neal zdjął magazynek z karabinu grawitacyjnego M-200 i popatrzył bezmyślnie na tysiące pocisków w kształcie kropli, które znajdowały się wewnątrz. Włożył magazynek z powrotem i powtórzył całą czynność.

– Czy mógłbyś przestać? – zapytał porucznik Eamons.

Obydwaj czekali przy oknach w północno-zachodnim narożniku megawieżowca Qualtren. Kąt widzenia był jeszcze większy, niż ocenił oficer wsparcia ogniowego, i żołnierze mogli sięgnąć wzrokiem na odległość tysiąca ośmiuset czterdziestu dwóch metrów, aż do następnego skrzyżowania. Dalej widok przesłaniał megawieżowiec Naltrev. Budowla ta wraz z siostrzanym megawieżowcem Naltren mieściła pluton zwiadowczy batalionu, i górna część systemów wizyjnych O'Neala wyświetlała obraz, który widział dowódca zwiadowców.

– Gdzie są twoi ludzie, Tom? – zapytał Mike.

– Na dole.

– Mają coś do roboty?

O'Neal wciąż śledził obraz z systemów wizyjnych dowódcy. Obraz trząsał się z powodu migotania osobistego pola siłowego, które włączono w miejscu oczekiwanego ataku, i nieprzyjemnego nawyku porucznika Smitha – gwałtownego kręcenia głową jak koń odpędzający muchę. Powodowało to ruch obrazu po skosie w górę i w prawo.

Wątpię, żeby w ogóle zdawał sobie sprawę, że tak robi, pomyślał Mike, wyjmując magazynek i wkładając go z powrotem, ale wolałbym, żeby przestał.

– Czy mógłbyś, proszę, przestać, Mike?! I dlaczego pytasz? Nie, siedzą sobie tylko i trzymają palec na spuście karabinu.

– Przestać co? – zapytał Mike ze wzrokiem skupionym jak wiązka lasera chirurgicznego na widoku z hełmu. – Każ im rozstawić ładunki wybuchowe w poprzek Anosimo i Sisalav na Linii Sal, a potem ładunki C-9 w miejscach, których lokalizację prześlę do ich przekaźników.

– Hola, Mike. Fajny z ciebie gość i jesteś ode mnie starszy o cały stopień, ale niech mnie diabli, jeśli narażę dla ciebie karierę. Pułkownik zabierze mi belkę, jeśli to zrobię.

Porucznik próbował potrząsnąć głową, ale przeszkodził mu w tym organiczny żel w hełmie.

Galaretowata substancja wypełniała hełm i wnętrze pancerza. Podnosiła koszt produkcji pancerza o ponad jedną trzecią i stanowiła jedyną część projektu, która zasadniczo nie była pomysłem O'Neala.

Kiedy zakładało się hełm pancerza wspomaganego, miało się wrażenie wkładania głowy w pełne dzemu wiadro.

Substancja amortyzowała jednak najpotężniejsze uderzenia i spełniała wiele innych istotnych funkcji. Odczytywała na przykład przez własną sieć neuronową zamiar ruchu użytkownika i odpowiednio do tego poruszała pancerzem.

Odzyskiwała z wydzielin ciała wodę pitną, jadalną żywność i powietrzne zdatne do oddychania. I dysponowała wystarczająco zaawansowaną technologią, żeby utrzymać swój „Protoplazmatyczny System Inteligencji” przy życiu, dopóki użytkownik nie otrzymał bezpośredniego uderzenia w serce, mózg albo górną część kręgosłupa.

Żadna z tych rzeczy nie pocieszała jednak żołnierzy podczas wkładania hełmu. Nieudane próby założenia pancerza podczas pierwszego miesiąca treningu były spowodowane faktem, że żołnierze nie potrafili sobie poradzić z wetknięciem głowy w hełm, wstrzymaniem oddechu i odczekaniem, aż galareta, kotłując się i kłębiąc, utworzy kieszenie do oddychania i patrzenia. Czas, który musiał upłynąć, zanim pancerz był gotowy do użytku, wydawał się wiecznością.

Galareta działała też jako namiastka urządzenia do tłumienia sensorycznego, co mogło prowadzić do nieszczęśliwych wypadków. Broń i sprzęt jednostek należało stale modyfikować. Bez zwrotnych danych z punktów dotyku pancerze miały tendencję do niszczenia wszystkiego w zasięgu ręki.

Ponieważ przez galaretę i tak nie można było niczego zobaczyć, hełm był całkowicie matowy. Użytkownik widział tylko wysokiej jakości obraz z małych diod laserowych świecących w ścianie hełmu. Nie trzeba było kręcić głową, kiedy chciało się spojrzeć w bok. Żołnierze widzieli przesuwający się obraz zupełnie jakby za pomocą joysticka. Do tego też trzeba się było przyzwyczaić. Nie miało się wrażenia ruchu, więc można było dostać choroby lokomocyjnej, a poza tym mogło się nagle okazać, że patrzy się w tył z powodu niewłaściwego ustawienia sterowników wizyjnych. W analogiczny sposób stymulowano wyrostki sutkowe w uszach, żeby przenosić dźwięk.

Dla wygody pancerz pozwalał użytkownikowi ruszać głową na boki, ale tylko powoli. Ponieważ diody wykonywały różnorodne sztuczki z wizją, obraz na krańcach pola widzenia był właściwie lepszy niż w normalnych warunkach. Poprawiono też jakość dalekich i bliskich obrazów. Do tego dochodziły jeszcze szczególne życzenia, jak wyświetlanie „nad głową”, ukazywanie schematów uzbrojenia, przybliżanie obrazu, dzielenie obrazu na części i sześćdziesiąt siedem innych możliwości.

– Podpułkownik Youngman jest teraz zajęty i nie zauważy niczego, dopóki nie zdetonujemy ładunków. A kiedy to zrobimy, zostaniesz bohaterem za przejęcie inicjatywy, bo będzie to jedyny sposób, żeby uratować prawe skrzydło Korpusu.

– Jest aż tak źle? – zapytał inżynier, zastanawiając się, jak bardzo przygnębienie kolegi było uzasadnione.

– Tom, posiekają nas na sałatkę, a ja nie widzę żadnego innego pieprzonego sposobu, żeby to zmienić. Po dzisiejszej akcji nazwisko Youngmana będzie wymawiane jednym tchem z nazwiskiem Custer, tylko że George Armstrong miał za sobą wspaniałą karierę, zanim ją schrzanił. Ustaw ładunki. I niech będą duże. Chcę, żeby wyleciały wszystkie szyby w megawieżowcach. Na rozstawienie ładunków zostało jeszcze najwyżej czterdzieści minut.

– Dobra, pieprzyć pułkownika – powiedział oficer i wzruszył ramionami. – Masz rację, nikt nie zauważy, chyba że trzeba będzie je wysadzić. Mam zaminować obydwie bulwary? A co z siódmym pułkiem kawalerii?

– Tak, jeśli kawaleria zacznie się wycofywać, będzie im potrzebna osłona. – Urwał. – A oto i nasze wojsko.

– Co? – zapytał porucznik i spojrzął przez okno w stronę miejsca oczekiwanego pojawienia się wroga.

– Garstka, cholerna trzódka Indowy zbliża się w tę stronę – powiedział Mike, kiedy przełączył obraz z pozycji dowódcy zwiadowców na daleki widok. – Każ chłopakom brać się do pracy, Tom. Już!

Porucznik Eamons nieznacznie skinął na pożegnanie i bezceremonialnie wypalił swoim M-200 dziurę w ścianie.

Gdy wyszedł przez nią na zewnątrz budynku, jego pancerz dowódcy pozwolił mu opaść lekko jak piórko dziesięć pięter w dół. Reaktory termonuklearne megawieżowców stanowiły niewyczerpane źródło energii, a to był najszybszy i najzabawniejszy sposób zejścia na dół. W batalionie zakazano

tego „niestrategicznego” manewru, ale jednostka właśnie w taki sposób miała zaatakować wroga w chwili jego dostrzeżenia, więc cóż znaczyła jeszcze jedna dziura?

Miało to tyle samo sensu, co zakaz budowy fortyfikacji obronnych, żeby „nie ujawnić głównej linii obrony”. A czy cały batalion atakujący Posleenów nie ujawni tej linii? Mike miał rację, posiekają ich na sałatkę.

Tom rozglądał się wkoło podczas powolnego opadania i po raz kolejny był zdziwiony widokiem znajomych elementów. Weź Nowy Jork, szklane fasady budynków i styl bliźniaczych wież WTC. Zwiększ ich wysokość do tysiąca czterystu siedemdziesięciu metrów, a długość krawędzi podstawy do tysiąca ośmiuset czterdziestu metrów, a będziesz miał właśnie to, co tutaj. Głębokie, mroczne kaniony ulic przypominały te, które można było znaleźć w każdym większym mieście na Ziemi, tyle tylko, że te tutaj były głębsze i ciemniejsze. Kiedy porucznik wylądował, przypomniał sobie o jeszcze innych różnicach. Ciężenie miało nieco mniejszą wartość, a światło słoneczne odznaczało się zielonkawym fluoroscencyjnym odcieniem. Słońce Diess było też jaśniejsze, płonęło jak acetylenowa pochodnia, oświetlając ubitą warstwę gliny, która zastępowała asfalt; napędy grawitacyjne nie wymagały specjalnej nawierzchni. I żadnych roślin, nawet najmniejszych źdźbeł trawy albo zieleni w doniczkach na oknach. Porucznik przeszedł przez przypominający pieczarę portal na parterze, który podobnie jak kilka innych służył za wjazd i wyjazd dla pojazdów, i żwawym krokiem zagłębił się w długi, rozbrzmiewający echem korytarz.

– Przekąźnik: pokaż trasę do miejsca zbiórki mojego plutonu i połącz mnie z sierżantem plutonu.

Nadszedł czas na działanie.

Mike nadal przyglądał się rosnącej grupie uchodźców na Bulwarze Sisalav. Zmniejszył obraz do jednej czwartej powierzchni wizjera i obserwował w czasie rzeczywistym, jak Indowy wchodzi do sektora batalionu. Usłyszał w sieci komunikacyjnej kompanii, którą monitorował, wołania „Wstrzymać ogień” i uśmiechnął się. Małych Indowy naprawdę z wielkim trudem można było pomylić z wrogiem. Włochate, karzełkowate dwunogi szły pieszo, pokryte żółtawym pyłem drogi, i nie niosły żadnych bagaży. Najwyraźniej nie odczuwali ludzkiej potrzeby zachowania majątku.

– Przekąźnik: gdzie jest ich środek transportu? – zapytał zaciekawiony Mike.

Nie było samochodów, ciężarówek ani nawet pchanych ręcznie taczek, których można by się spodziewać w podobnej sytuacji u ludzi.

– Nie potrzebują, więc praktycznie nikt go nie posiada. Prawie żaden Indowy nie opuszcza megawieżowca w ciągu całego swojego życia; właściwie tylko nieliczni wychodzą poza mały obszar, piętro albo sektor. Niektórzy nigdy nie opuszczają pokoi, w których mieszkają. Wszystko, czego potrzebują, mają w budynku, mieszkaniu, zakładach produkcji żywności i łaźniach.

– Dokąd teraz pójdą?

– Nie ma żadnego wsparcia dla uchodźców. Jeśli nie mogą niczego produkować, są zbędni. Niektórzy znajdą może posady służebnych, niektórzy o wybitnych zdolnościach otrzymają pracę, ale znaczna większość zapewne umrze z głodu lub wycieńczenia.

Mike zadrżał; im więcej wiedział o galaksjańskim etosie, tym mniej mu się on podobał.

– Pokaż schemat systemu wodno-kanalizacyjnego Qualtren i Qualtrev wraz z informacją o średnicy rur i miejscach dostępu.

Zastanowiło go, że schemat był tak prosty. Używano tylko niektórych wyższych kondygnacji, a przestronne sutereny i kanały były zupełnie puste. Podczas drugiej wojny światowej Rosjanie i Niemcy intensywnie wykorzystywali kanały. Przynajmniej teraz Posleeni nie strzelaliby do Indowy, gdyby schowali się pod ziemią.

Przyjrzał się schematowi i zaciekawiony zmarszczył czoło.

– Michelle, te systemy wodociągowe... Niezależnie od tego, jak minimalne potrzeby mają Indowy, w budynku nie ma wystarczającej ilości linii wodno-kanalizacyjnych. Jak to możliwe?

– Większość wody i ścieków ulega wtórnej przeróbce i oczyszczaniu w megawieżowcach.

– Hmm. – Rury wodociągowe były wystarczające duże, żeby się w nich poruszać. – Michelle, przekaż do wszystkich przekazników, żeby każda jednostka przemieściła się do najbliższego wylotu rury wodociągowej.

Przygotuj plan odwrotu przez podziemne kanały do Saltrev/Saltren i uaktualnij plan obrony. Nieprzerwanie uaktualniaj manewry Kobe i Jerycho na podstawie ruchów plutonu inżynierskiego. Przygotuj koordynację planu detonacji z kompaniami Alfa i Bravo. I będziemy musieli jakoś odciąć dopływ wody.

Oczekuj zwycięstwa, bądź gotów na porażkę.

Masa Indowy zaczynała przesłaniać bulwar, ich szarozielone postacie tłoczyły się i wypełniały całą szerokość drogi. Mike dostrzegł z punktu widzenia dowódcy plutonu, jak jeszcze większa rzeka uchodźców wypływa z Waltren i łączy się z głównym strumieniem procesji. Ulica była zatłoczona jak Wall Street w porze lunchu, a tłum ścieśniony jak masa wiernych wokół pojazdu papieża; pochód Indowy przypominał marsz lemingów do morza.

Tłum rozgniatał krępe, małe postacie na metalowych elewacjach budynków i tratował wszystkich – młodych, starych, silnych i słabych. Mniejsze strumienie zalewały Naltren i Naltrev, przekraczały aleję i wpadały do Qualtrev/Qualtren, a każdy osobnik powiększał ścisk i panikę.

Kiedy główny zastęp uchodźców Indowy dotarł do Qualtren/Qualtrev, parcie z tyłu i panika pchnęły tysiące małych człekokształtnych istotek do północno-zachodniego kwadrantu niższych kondygnacji Qualtren. Tam uchodźcy natknęli się na pierwszy pluton kompanii Charlie i skutek był tragiczny.

Pojedynczo Indowy odznaczali się zachowaniem królika, ale ogromna wystraszona horda zachowywała się jak tabun przerażonych bizonów. Kiedy czoło fali natrafiło na pierwszy pluton, Indowy wchodzący przez liczne otwory drzwiowe parteru otoczyli uzbrojonych Ziemiaków. W miarę zwiększania się ścisku zaczęli wspinać się na żołnierzy.

Kiedy ciężar spłoszonych kosmitów przytłoczył pancerze wspomagane, żołnierze zaczęli się rzucać wśród przerażonego tłumu. Szarpali się i kopali, żeby odepchnąć tłum, a wspierane układem nadążnym pancerze miażdżyły łagodne, małe istotki, i babrały pastelowe ściany ich zieloną posoką.

Dowódca i pierwszy sierżant kompanii Charlie pospieszyli na miejsce masakry z zamiarem przywrócenia porządku, ale i oni utonęli w tabunie Indowy. Dwa terawatowe działa laserowe batalionu, wycelowane prosto „w gardła Posleenów”, również zostały zmiecione przez skotłowaną masę. W ten sposób unieszkodliwiono najważniejszy pluton i dowódcę kompanii obronnej batalionu, i wyeliminowano trzydzieści procent siły ognia, jeszcze zanim rozpoczęła się bitwa. I to wszystko bez jednego nawet Posleena w zasięgu wzroku.

Mike przełączył się na odbiór sygnałów z sieci komunikacyjnej kompanii Charlie właśnie w tej samej chwili, kiedy została ona zablokowana przez krzyki i przekleństwa. Próbował skontaktować się z dowódcą kompanii, kapitanem Vero, dzięki odfiltrowaniu przez przekaznik niepotrzebnych transmisji, ale dowódca wrzeszczał i miotał przekleństwa jeszcze głośniejsze niż jego żołnierze. Mike przełączył się zatem na sieć dowodzenia batalionu, ale oficer łączności nie mógł sobie w tym momencie poradzić z natłokiem wezwań od kompanii Alfa, sekcji broni i wsparcia ogniowego, a nawet dowódców kompanii w kwaterze głównej, którzy oczekiwali na rozkazy i wskazówki.

Plutonowi kompanii Alfa, rozmieszczonemu na parterze, także groziło pochłonięcie przez horde. Mike usłyszał, jak kapitan Wright prosi o pozwolenia przejścia na wyższe kondygnacje i otrzymuje

natychmiastową odmowę od oficera łączności. Było jasne, że oficer nie skonsultował decyzji z podpułkownikiem Youngmanem.

Podpułkownik Youngman i major Norton rozmawiali tymczasem przez sieć komunikacyjną sztabu. Major polecił swojemu przekąźnikowi wstrzymywać wszystkie przychodzące połączenia. Technika sprawdzała się w przypadku oficerów łączności, ale nie przekąźników. Oficer łączności przekazywał mimo rozkazów połączenia, jeśli uważał je za naprawdę pilne. W ten sposób rozpoznawało się dobrych oficerów. Ale niedoświadczony przekąźnik był jak zły oficer, rozumiał każdy rozkaz dosłownie i nie miał za grosz poczucia odpowiedzialności. Gdyby major Norton nie odwołał rozkazu, o ile w ogóle pamiętałby o tym w ogniu walki, dowódcy kompanii nie mogliby połączyć się z dowódcami batalionu przez przekąźnik, jeśli zostali zablokowani przez obsługę systemu łączności.

Kapitan Wright wycofał trzeci pluton bez rozkazu i przygotował żołnierzy do ponownego zajęcia pozycji.

Kapitan Vero uspokoił się w końcu i także zaczął wycofywać swoich żołnierzy. Zebrano około połowy plutonu Charlie i większość Alfa, kiedy przyszedł pierwszy raport o zbliżających się Posleenach. Jednak lasery zostały w tłumie. Pułkownik i major nie byli nawet świadomi sytuacji; zostali zupełnie odcięci od komunikacji.

„Wróg w zasięgu wzroku” rozbrzmiało we wszystkich sieciach dowodzenia, a priorytet tej wiadomości zablokował wszystkie inne rozmowy. Natychmiast każdy dowódca przełączył się na systemy zwiadowcze.

Za morzem Indowy, niczym jastrzęb spadający na zdobycz, pojawiła się zwarta, jeszcze bardziej zorganizowana masa krostowatych żółtych centaurów. Pierwsze szeregi kłusowały, żeby dogonić uciekających Indowy, wprawnie wymachując długimi ostrzami. Dopadłszy tłumy, zaczęli kosić Indowy jednego po drugim, a dalsze szeregi podnosiły ciała i przenosiły je poza miejsce walki. Po drodze zwłoki były patroszone i ćwiartowane, a potem równiutko układane pod ścianą. Armia była gigantyczną ruchomą rzeźnią, w której od czasu do czasu wrzucano coś na ząb.

Za pierwszym blokiem wojska w liczbie około dwunastu tysięcy Posleenów pojawiły się trzy strumienie centaurów. Środkowy strumień szedł za przednią grupą jako wsparcie, a boczne skrzydła kierowały się w stronę megawieżowców.

Przywódcy, Wszechwładcy, wyraźnie odróżniali się od pozostałych. Sunęli w swoich spodkach, szerokich na około dwa metry i uzbrojonych w lasery albo wyrzutnie pocisków hiperszybkich na mocowaniu kardanowym.

Zgodnie z rozkazami strzelcy, po jednym w każdym trzyosobowym zespole zwiadowczym, unieśli snajperskie karabiny M-209 i jednocześnie wystrzelili poddźwiękowe pociski, każdy prosto w wyznaczonego Wszechwładcę.

Jak marionetki, którym za jednym zamachem przecięto sznurki, dziesięciu Wszechwładców runęło na ziemię. Cała masa Posleenów zawahała się na ułamek sekundy, a następnie odpowiedziała ogniem.

Poddźwiękowe pociski snajperów nie miały sygnatury większej od zwykłych pocisków, więc nie powinny zdradzać pozycji zwiadowców. Ale niedostrzeżone wcześniej systemy celownicze na spodkach pozostałych przy życiu Wszechwładców automatycznie naprowadziły broń. Kiedy cele zostały namierzone, rój pocisków hiperszybkich śmignął w kierunku Ziemi. Wasale zabitych także sypnęli gradem rakiet i pocisków w stronę celów, które wskazał ogień przywódców. Wśród rozbłysków eksplozji i palących wiązek lasera zespoły zwiadowcze opuściły swoje pozycje, uciekając przed burzą rozszalałego ognia. Skoncentrowane strumienie pocisków z dwudziestu dział na spodkach i dwunastu tysięcy ręcznych karabinów wygryzały głębokie wyrwy w budynkach, i jeśli

nawet ekrany siłowe przyniosły jakiś pozytywny efekt, to nie zasługiwał on na uznanie. Pluton zwiadowczy zniknął w oparze krwi.

W sztabowej sieci komunikacyjnej rozległy się odgłosy wymiotowania, a kapitan Vero mruczał w kółko przez sieć dowodzenia „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą”. W innych sieciach panowała cisza. Posleeni niepowstrzymanie parli naprzód, a przednie szeregi zaczęły rozchodzić się na boki i wbiegać do budynków.

– Cóż – powiedział podpułkownik Youngman przez sieć sztabową, zagłuszając odgłos wymiotów – przyznaję się do błędu. Analizy nie uwzględniły rzeczywistych rozmiarów zagrożenia. Majorze Norton?

– Tak, sir?

– Proszę iść do Saltren/Saltrev i zacząć przygotowania do odwrotu. Chyba nie utrzymamy długo naszych pozycji. Aha, poruczniku Eamons?

Bez wiedzy dowódcy batalionu przekaznik przełączył się na właściwą częstotliwość.

– Tak, sir? Podpułkownik Youngman? – wydyszał porucznik.

– Tak. Proszę natychmiast rozstawić ładunki wybuchowe na Sisalav.

– Już to zrobiłem, sir, teraz minujemy budynki – powiedział ostro oficer inżynieryjny.

– Dobra inicjatywa. To może nam uratować tyłki. Wróc potem do Saltren i rozmieść wszystkie ładunki i miny, jakie tylko wpadną ci w ręce.

– Tak jest, sir.

Dzięki Bogu nie zapytał, jakie miny. Zgadzam się z O'Nealem, że nie powinienem mu zdradzać programu detonacji.

– Kapitanie Brandon.

– Podpułkownik Youngman? – zapytał dowódca kompanii z nutką zaskoczenia w głosie.

– Tak. Proszę się przygotować do osłonięcia odwrotu batalionu do Saltren i Saltrev. Zamierzam zapędzić Posleenów w pułapkę. Pańska jednostka ma rozstawić się w obydwu budynkach wzdłuż bulwaru i spowolnić marsz wroga. Potem wyjdźcie z budynków i zablokujcie aleje po bokach Sisalav.

– Tak jest, sir. Z całym należnym szacunkiem, gdzie pan był, do cholery? I gdzie jest major Norton?

– Jesteśmy obaj w głównym taktycznym centrum operacyjnym. A raczej byliśmy, major Norton udaje się do Saltren, żeby przygotować pozycje do odskoku.

– Wie pan, że pierwszy pluton kompanii Charlie i trzeci pluton Alfa zostały zalane przez masę Indowy? – zapytał dowódca kompanii.

Mówił zmęczonym i niemal zrozpaczonym głosem.

– Co? – zapytał zaskoczony dowódca batalionu.

– Nie mogliśmy się z panem połączyć przez ostatnie piętnaście minut. Na parterze nie ma nikogo i straciliśmy trzy lasery. Parter Qualtren jest całkowicie bezbronny.

– Zaczekaj. – Pułkownik na chwilę przełączył się na inny kanał. – Mój oficer łączności mówi, że też nie mógł się ze mną skontaktować z powodu ciągłej blokady połączeń do mnie i majora Nortona.

– Oficer zaklął cicho. – Nienawidzę tych pieprzonych pancerzy – dodał.

– Za późno, sir. Musi pan jak najszybciej skontaktować się z Vero i Wrightem. Mają poważne problemy.

– Dobra. Pancierz: połącz mnie ze wszystkimi dowódcami kompanii. Są wszyscy? Alfa Sześć, Charlie Sześć, Bravo Sześć. Czekać na rozkaz ataku na wroga. Pluton inżynieryjny minuje budynek, macie upoważnienie do udzielenia wsparcia. W razie potrzeby i na moją komendę zaczniemy

wycyfywać się na te same pozycje na Linii Sal.

Bravo będzie osłaniać odwrót. Spróbujcie odzyskać pozycje ciężkiej broni, kiedy otrzymacie wsparcie. Nie ma czasu na pytania, uderzcie ich mocno i dobrze, po to tu jesteśmy. Sokół Sześć, koniec.

* * *

– Tom, mówi Mike.

– Słucham, Mike.

Porucznik O'Neal znajdował się cztery kondygnacje niżej w budynku. Korzystał głównie z korytarzy transportowych; były wyższe i szersze, i można było w ten sposób uniknąć spotkania z uciekającymi Indowy. Setki z nich wciąż blokowały większe skrzyżowania i budynki. Wszyscy próbowali wyjść jednocześnie, czym przeszkadzali w działaniach bojowych. Mike stanął na chwilę, powstrzymany przez widok zablokowanej klatki schodowej, i przyjrzał się badawczo dużemu pojemnikowi z cieczą, który łączył się z niewielkim destylatorem.

– Jak wam idzie? – zapytał.

– Skończyliśmy rozkładać ładunki wzdłuż dróg i w jakiejś jednej czwartej budynku. Pułkownik wyraził zgodę na minowanie – skończył oficer z nutką zadowolenia w głosie.

Mike nie monitorował tej rozmowy; więc wiadomość go zaskoczyła.

– Pozwolił na Jerycho?

– Cóż, powiedziałem mu, że minujemy budynki.

– Ale chyba nie powiedziałeś, w jaki sposób?

– Powiedział, że mam się wykazać inicjatywą.

Mike zaśmiał się ironicznie.

– Nieźle. Dobra, ładunki zapewnią nam osłonę.

Nie wiedział jeszcze, jak prorocze były to słowa.

Doświadczony przekaźnik Mike'a, Michelle, wyświetlił szczegółowy schemat działań plutonu inżynierskiego w postaci wirtualnego hologramu. Zaminowane obszary miały kolor zielony, obszary, na których ładunki powinny zostać rozłożone przed nadejściem Posleenów, były żółte, a obszary, których żołnierze nie zdążą zaminować, świeciły na czerwono. Mike dotknął strefy w pobliżu kompanii Charlie w Qualtren.

– Skoncentrujcie się tutaj, jeśli łaska.

– Ależ jakżeby inaczej, bon homme, i tu powiadam: au revoir.

– Przyjąłem, koniec.

Mike zerknął jeszcze raz na schemat i wyłączył go ruchem dłoni. Skoro pułkownik był wtajemniczony w jego plan na wypadek porażki, to nawet gdyby bitwa przerodziła się w prawdziwy dramat, sektor batalionu był zabezpieczony.

– Powodzenia, Tom.

* * *

– Kapitanie Brandon – powiedział Mike, wywołując przełączenie przekaźnika na kanał dowódcy na drugim piętrze Qualtren.

– Porucznik O'Neal?

– Tak, sir. Zakładam, że zaczniemy odwrót krótko po bezpośrednim ataku wroga. Potrzebna mi

pańska pomoc we wdrożeniu planu dowódcy. Pańscy chłopcy muszą się tylko wycofać trasą, którą im pokażę, i zniszczyć po drodze kilka budynków.

Kiedy dotarł na parter, skierował się w stronę składu amunicji. W pośpiechu studiował schematy, na których w miarę rozkładania przez inżynierów ładunków coraz większe obszary zmieniały barwę na zieloną.

– Jaki jest plan?

– Nazywa się Jerycho, sir.

Mike wyjaśnił naturę manewru.

– To jest cholernie ryzykowne, poruczniku. Pozwoli nam na chwilę wytchnienia, ale...

– Sir, pozwoli nam to na więcej niż tylko chwilę oddechu, to zabezpieczy cały sektor. Potem możemy dołączyć do siódmego pułku kawalerii.

Kiedy doszedł do składu amunicji, zaczął ładować na grawitacyjne sanie karabin maszynowy M-323 i zasobniki z amunicją.

– Szczerze mówiąc, właśnie to powinniśmy byli zrobić, zamiast posyłać jednostki zmechanizowane na rzeź.

– Mike, to nie jest jedna z twoich gier komputerowych. Bardzo trudno będzie powstrzymać żołnierzy od uciezki.

– Sir, kiedy będziemy się wycofywać, żołnierze stracą poczucie kierunku. Ja już kiedyś zgubiłem się wraz z jednostką; sam diabeł wskazuje wtedy drogę. Ten plan pozwala na odwrót bez narażenia się na ogień nieprzyjaciela i zabezpiecza sektor. Czego jeszcze można chcieć?

– Ograniczenie ubocznych zniszczeń? – zapytał retorycznie dowódca. – Dobra, dobra, zrobimy to. Postaraj się, żeby informacja była dostępna natychmiast po rozkazie odwrotu.

– Przekazniki kompanii już otrzymały plany. Potrzebowałem tylko pańskiej zgody.

– Powodzenia, poruczniku.

– Vaya con Dios, kapitanie, z Bogiem.

Urwał na chwilę i odczekał, aż kapitan się wyłączy.

– Michelle, połącz mnie z kapitanem Wrightem.

Pociągnął sanie grawitacyjne i ruszył z powrotem w górę rampy, patrząc równocześnie na schemat.

*Od strachu, pychy, trwogi,
Zemściwych, dzikich zmów,
Bezprawia spiesznej drogi
Uchronić racz nas znów.*

*I oblecz nas, mizernych,
Ukołysz drżący nam dech,
By w ciszy dni niezmiennych
Twa śmierć nasz zmyła grzech.*

– Kipling

Prowincja Andata, Diess IV
22:08 czasu uniwersalnego Greenwich,
18 maja 2002

– Puk, puk, mogę do was dołączyć? – porucznik O'Neal użył lokalnej sieci.

Wiedział, że w sąsiednim pokoju byli żołnierze kompanii Charlie, ale nie wiedział, którzy. Przekaznik mógł mu powiedzieć, ale był zbyt zajęty, żeby go o to spytać. Poza tym osobiście znał bardzo niewielu żołnierzy tej kompanii.

Zważywszy na to, jak bardzo byli zdenerwowani, lepiej było uprzedzić ich, że wchodzi do środka, zamiast wtargnąć bez pytania.

– Proszę bardzo – powiedział sierżant John Reese, kiedy spojrzał przez ramię.

Przez podwójne drzwi przeszła krępa postać, ciągnąc sanie grawitacyjne wyposażone bronią i amunicją. Wśród sprzętu znalazło się jeszcze jedno M-300 i wyrzutnia rakiet hiperszybkich. Reese rozpoznał w przybyszu porucznika O'Neala; budowa ciała była bardzo charakterystyczna. Porucznik najwyraźniej uważał się za przygotowanego.

– Mogę w czymś pomóc, sir? – Reese skinął na odpowiedzialnego za amunicję szeregowego Pata McPhersona, żeby pomógł przy rozładunku.

– Dzięki. Chciałbym przyłączyć się do zespołu, jeśli to nie kłopot.

Pancerz Mike'a wyświetlił mu przed oczami nazwiska i stopnie także ubranych w pancerze postaci w pomieszczeniu. Była to sekcja ciężkiej broni z dowódcą drużyny. Ich własne ciężkie działo grawitacyjne M-300 stało w pozycji do strzału, a amunicja w pojemnikach tylko czekała na użycie. Wszyscy trzej członkowie zespołu kucali pod zewnętrzną ścianą, a ich ekrany siłowe zabezpieczały prawdopodobną trasę nadejścia wroga. Poświata chylącej się ku zachodowi gwiazdy F-1 przybrała dziwną fioletową barwę i pancerze pokryły się lekkim odcieniem purpury.

– Tam do czorta, żaden kłopot, sir. Przyda się nawet najmniejsza pomoc – powiedział asystent, specjalista czwartego stopnia Sal Bennett.

– Czyżby trzymały się was kiepskie żarty, specjalisto? – zapytał Mike z udawaną srogością.

– Och, do czorta, sir. Nie to miałem na myśli!

– Wiem, wiem, to tylko mały brak powagi, co? Mały brak powagi, rozumiecie?

Drużyna zaśmiała się, a Mike zaczął rzucać trzydziestokilogramowe pojemniki z amunicją pod ścianę.

– Michelle, pokaż trójkolorowy schemat rozmieszczenia Indowy, Posleenów i Ziemian w sektorze dziewięcioblokowym.

Przekaznik wyświetlił trójwymiarowy schemat dziewięciu megawieżowców i zaczął rysować grupki Posleenów, Ziemian i Indowy na czerwono, zielono i niebiesko. Zieleń tworzyła zwarty stożek w narożnikach Qualtren i Qualtrev i kilka mniejszych punktów z tyłu. Schemat przedstawiał duże skupiska Indowy w Saltren i Saltrev, które przesypywały się jak niebieski piasek w klepsydrze w dół kondygnacji Qualtren i Qualtrev. Na Bulwarze Sisalav widniał zwarty strumień koloru niebieskiego, ale tuż poza zasięgiem wzroku, wokół występu Daltren/Daltrev strumień szybko robił się czerwony.

– Zaraz ich zobaczymy – powiedział Mike, wypił łyk wody, kucając za lichą osłoną ściany, i nastawił wyrzutnię rakiet hiperszybkich na automatyczny ostrzał.

– Musimy czekać na rozkazy, zanim otworzymy ogień. Na co tak patrzysz?

– Michelle, przełącz hologram do pancerzy drużyny – powiedział Mike, kiedy skończył nastawiać wyrzutnię, żeby strzelała dziesięć metrów od obiektów, które on brał na cel.

Następnie zaczął montować M-300 po przeciwnej stronie pozycji drużyny i nastawił działo w ten sam sposób.

Mike mógł teraz kontrolować strumień ognia nie tylko swojego karabinu laserowego, ale też dwu innych sztuk ciężkiej broni. Nie było trudno przystosować się do takiej techniki ani ustawić sprzęt w odpowiedni sposób. Ale batalion oczywiście nie był przygotowany.

– Ha – powiedział po chwili sierżant Reese – nie wiedziałem, że tak można.

– Wy nie możecie. Tylko pancerze dowódcze mają dodatkowe możliwości przetwarzania i gromadzenia danych.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Mike odezwał się obojętnym tonem.

– Idą tu.

Słowa zaskoczyły sierżanta Reese'a i żołnierz odwrócił wzrok od hologramu, i spojrzał w głąb ciemniejszego kanionu.

– Przekaznik – powiedział. – Powiększenie sześć, podkreść obraz i stabilizuj.

Kąt widzenia zmniejszył się, a obraz pojaśniał.

Sposób działania systemu stabilizacji, zjawiska świata odmienne od rzeczywistych zawsze przyprawiały go o mdłości. Obraz na ekranie wizyjnym sprawiał, że Reese po prostu nie czuł się najlepiej. Dostał gęsiej skórki i oblał go zimny pot. Nagle bardzo zachciało mu się sikać i zaschło mu w gardle. Kiedy Pat zaczął wymiotować, Reese musiał się do niego przyłączyć.

Posleeni odzyskali kontrolę nad przednimi szeregami i bezlitosna rzeź zaczęła się na nowo. Po obu stronach drogi z megawieżowców wybiegali spóźnieni Indowy i próbowali umknąć nadciągającej hordzie. Przyjazne, płochliwe istoty, które mordowali Posleeni, stały się żołnierzom niemal bliskie, a widok ich rzezi był wstrząsający.

Indowy zawsze mówili, że w strachu nie ma nic złego, ale z pewnością nie mieli na myśli tak wielkiej zgrozy, tak ogromnej trwogi. Mimo że pancerze dawały ochronę przed wieloma rodzajami broni, rozwidlone miecze Posleenów miały niesamowicie cienkie ostrza i mogły pokroić pancerz wspomagany na kawałki z łatwością, z jaką pani domu rozcina kurczaka. Kiedy Posleeni bezlitośnie nacierali na uciekających Indowy, Reese mógł myśleć tylko o tym, że noże są skierowane w jego stronę i cały świat zdaje się tonąć w blasku stali.

Nie potrafił tego zrozumieć. Był jednym z dzielnych, nieustraszonych żołnierzy wojsk powietrznodesantowych.

W ciągu pięciu lat służby ponad pięćdziesiąt razy skakał ze spadochronem, odnosząc czasem przypadkowe zranienia, i nigdy nie dostawał z tego powodu mdłości. Uwielbiał sytuacje, które u innych wywoływały dreszcz przerażenia. Śmiał się w duchu z kolegów, którzy bledli, trzęśli się i z zamkniętymi oczami szli za dźwiękiem huczącego za drzwiami samolotu wiatru. Kochał widok spadochronów otwieranych w powietrzu, widok ziemi, samolotu i nieba, chaotycznie wirujących jak w kalejdoskopie w ciągu pierwszych krótkich momentów po wyskoczeniu z maszyny. Otwarcie spadochronu przynosiło niemal rozczarowanie, a lądowanie było źródłem rozgoryczenia. Ale nie odczuwał nigdy strachu. Teraz się bał.

Reese nie mógł znieść widoku bezbronych Indowy, mordowanych z zimną krwią. Ich drobne postacie i umiłowanie jaskrawych kolorów sprawiały, że wydawali mu się niemal dziećmi. W miarę zbliżania się Posleenów Reese coraz mocniej przyciskał M-232 do ramienia i pocierał zamek karabinu.

– No, dalej, chodźcie.

Kiedy przesunął wzrok na wyświetlacz poziomu amunicji, nie czuł łez płynących mu po policzkach ani odoru przeciążonego systemu podtrzymywania życia. Jego strach z wolna przechodził w gniew, ślepą, dziką furię, kiedy zbliżały się do nich te złe żółte potwory.

– Chodźcie, łotry.

Mike znowu wyciągnął magazynek i tym razem przyjrzał mu się uważnie. Tak, ostre kule w środku. Włożył magazynek z powrotem i nacisnął przycisk ładowania. Z niemal niesłyszalnym zgrzytem pierwszy pocisk ze zubożonego uranu w kształcie kropli wsunął się na miejsce. Mike miał wrażenie, jak gdyby patrzył na świat przez grubą wodną osłonę. Rozpoznał to uczucie jako strach i zignorował je. Jego umysł pracował szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Miał gotowy plan działania na każdą ewentualność. Przygotowywał się do tej chwili tak ciężko, że teraz odnosił wrażenie, jakby już ją kiedyś przeżył: *śmiertelne déjǎ vu*.

– „I zdaje się, jak gdybym raz już był na scenie tej” – zanucił cicho, a przekaźnik, który poprawnie zidentyfikował to jako prywatną wypowiedź, nie przesłał piosenki przez sieć. – „I kiedyś przez noc ten sam przy mnie szalał tłum...” – Kompania Charlie, czekajcie.

Mike przycisnął kolbę do ramienia. Powiedz o dużej liczbie celów.

– „I arlekin w tańcu tym też ze mną ujrzyć chciej...” – Ognia!

Ponad trzysta karabinów i broni maszynowej, połączony ogień kompanii Charlie i Alfa oraz cztery terawatowe lasery zalały hordę Posleenów wiązkami skupionego światła i metalicznych błyskawic. Cała falanga wrogów doznała szoku, a jedna trzecia jej przednich szeregów zniknęła wśród srebrnych błysków eksplozji pocisków relatywistycznych.

Kurwa, na piątkę! ucieszył się Mike w duchu. Kurwa, działa! Skopią nam dupę, bo jest ich cholernie dużo, ale ten pieprzony sprzęt działa!

Wyrzutnia zaczęła wypluwać hiperszybkie rakiety kinetyczne, które śmignęły na teren oznaczony jako wrogi, a po chwili przyłączył się M-300.

Tysiące pozostałych przy życiu Posleenów podniosło broń w kierunku źródła ostrzału.

– „Bo to, co dostaniemy w zamian...” – szepnął Mike i wycelował w tylne szeregi wroga.

W przedniej falandze pozostało osiem tysięcy wojowników i dwudziestu Wszechwładców. Panczerze wspomagane były odporne na większość rodzajów broni, ale przeciw nim było jeszcze piętnaście ciężkich laserów i pięć wielokrotnych wyrzutni rakiet hiperszybkich z automatycznym systemem naprowadzania, dziewięćset sztuk broni rozpryskowej kaliber 3 milimetry i czterysta pięćdziesiąt ręcznych wyrzutni rakiet. Kiedy huragan ognia uderzył w pozycje batalionu, bitwa przerodziła się w orgię wzajemnego niszczenia. W ciągu dwóch minut po pierwszej salwie zabito jeszcze sześć tysięcy Posleenów, ale zginęło też ponad sześćdziesięciu spadochroniarzy, a dwudziestu zostało rannych. I tu bitwę przegrano; spadochroniarzy było niewiele, a martwych Posleenów zastąpił kolejny zwarty strumień oddziałów wroga. Kiedy zmniejszyła się siła ognia batalionu, Posleeni ruszyli naprzód, sunąc jak żółta lawina w stronę źródła ostrzału.

Ciężki laser przesunął się w stronę kompanii Charlie i skosił snopem światła budynek skrywający Mike'a i drużynę. Czwarty specjalista Bennet na zawsze pożegnał się z rodzinnym Trenton w New Jersey. Laser ciął po skosie, załamując ściany do środka, i na chwilę oślepił drużynę wznieconą przez gruz chmurą pyłu. Skupiona wiązka minęła o włos sierżanta Resse'a, zamazując hologramowe projekcje w jego hełmie, i rozplątała specjalistę Bennetta od lewego ramienia po prawą pierś, pomimo pola siłowego i wysoce ogniotrwałego pancerza.

Laser smagnął przód pancerza, którego masa nie pozwoliła na jego całkowite rozcięcie. Straszliwy żar skupionej wiązki światła zamienił tors żołnierza w parę i chmury lotnego wapnia. Pancerz nie rozpadł się pomimo wypalanej w nim wyrwy szerokości trzech centymetrów, a szczątki Bennetta

trysnęły z otworu jak woda sodowa ze wstrząśniętej butelki.

Laser wskazywał brygadzie wojowników Wszechwładcy kierunek ognia. Karabiny i ręczne wyrzutnie rzygnęły na nieszczęsnych członków zespołu szerokim strumieniem rakiet i pocisków rozpryskowych. Rakiety na szczęście trafiały w cel z dużą niedokładnością. Żołnierz trafiony jednym z pocisków miałby chyba największego na świecie pecha, ale Bogini Losu nie ma swoich ulubieńców.

Porucznik O'Neal i sierżant Reese zostali gwałtownie odrzuceni w tył gradem metalu. Przez chwilę O'Neal odpowiadał na ogień, kierując strumienie kul tak, jak to ćwiczył, a jego prototypowy pancerz chronił przed burzą ognia. Szeregowy McPherson nie miał tyle szczęścia. Dwie trzymilimetrowe kule przeszły jego magazyn amunicji na brzuchu, zdetonowały ukryte wewnątrz granaty, topiąc panele wydmuchowe w morzu aktywnego ognia, i przeszły przez zewnętrzną warstwę pancerza. Pancerz McPhersona zaczął podskakiwać nierówno w powietrzu i machać kończynami, kiedy dwa pociski hiperszybkie oddawały energię kinetyczną. Po dwóch sekundach, kiedy wszystko wreszcie się skończyło, dowodem całego zdarzenia były tylko dwie małe dziury, jedna nad lewym biodrem, a druga prawie dokładnie w miejscu pępka. Ulewa bezpośredniego ognia przeszła w małą mżawkę, a sierżant Reese ruszył w kierunku szeregowca.

– Zostaw – powiedział O'Neal, skanując teren w poszukiwaniu celu.

– Miał konwulsje! – powiedział Reese, zaskoczony i zły, że porucznik przeszkadza w udzieleniu pierwszej pomocy.

– Nie żyje. Sprawdź teletetrię. Konwulsje nie... – powiedział i odwrócił się, żeby zatrzymać żołnierza, ale było już za późno.

Sierżant Reese zwolnił blokadę hełmu i ze środka wypłynęła czerwona masa, nieprzyjemnie kojarząca się z sosem do spaghetti. Reese dostał torsji, kiedy głowa McPhersona wytoczyła się z hełmu i ugrzęzła w masie, która została z ciała szeregowca. Z wnętrza pancerza wyciekł zabarwiony na czerwono ochronny żel.

– ... sprawiają, że wykonuje się pełny obrót i pół śruby w powietrzu. Chodźmy, sierżancie, czas wiać.

O'Neal wyjął z sań grawitacyjnych kasetę nabojoową, załadował karabin, wziął dwa pudełka i ruszył do drzwi.

– Chodź. Oni nie żyją, my tak. I niech tak zostanie.

Przez następne pół godziny sierżant Reese był jak w transie. Zapomniał swój stopień wojskowy, nazwę jednostki, nawet nazwisko. Potrafił tylko iść za porucznikiem O'Nealem i strzelać, kiedy mu kazano. Pamiętał mgliście, jak przez sen, widoki z różnych okien i szybkie strzały, zanim przechodzili do następnej pozycji. Pamiętał rozkaz porucznika Browninga, drugiego oficera, który łamiącym się z przerażenia głosem nakazał odwrót do Saltren.

Pamiętał niezrozumiałe polecenia porucznika O'Neala, żeby skruszyć ładunkami wybuchowymi belki i łuki architektoniczne. Pamiętał także niskie stropy jasno oświetlonych korytarzy, którymi kroczył z poruszającym się z kocią gracją niskim porucznikiem. Sierżant wrócił do okrutnej rzeczywistości dopiero przy pierwszym bliskim spotkaniu z Posleenami.

Znajdowali się w suterenie i przemieszczali w nieznanym kierunku wzdłuż ściany olbrzymiego magazynu. Półki były zastawione rzędami zielonych kauczukowych beczulek z olejem. Kiedy porucznik minął jeden z rzędów, obydwie przekaźniki wykrzyknęły spóźnione ostrzeżenie. Grupa około pięćdziesięciu Posleenów w towarzystwie jednego Wszechwładcy otworzyła w kierunku porucznika O'Neala ogień ze wszystkich dostępnych rodzajów broni.

Na grzbiecie pancerza znajdowały się wydajne kompensatory bezwładności. Umieszczono je tam,

żeby nie dopuścić do uszkodzenia najważniejszych części ciała użytkownika przez siły bezwładności. Porucznik O'Neal wybił się w powietrze i odskoczył od źródła zagrożenia – zadziałał instynkt wyrobiony podczas setek godzin ćwiczeń – a przekaźnik nastawił kompensatory na maksymalną wydajność. Miało to zmniejszyć ryzyko, że kule przebiją pancerz Mike'a, tak jak stało się to z szeregowcem; z odległości, w jakiej znajdowali się Posleeni, możliwości penetracyjne kul były nieporównywalnie większe.

Brak bezwładności pozwalał przesunąć pancerz w bok albo odepchnąć go do tyłu, jak gdyby ważył nie więcej niż koliber. W połączeniu z grubością pancerza pozwoliło to na skuteczne odbicie pierwszego strumienia pocisków, ale pancerz stał się wywrotny jak piłeczka pingpongowa podczas huraganu. Kule wybiły Mike'a w górę, obróciły kilka razy w powietrzu, uderzyły nim o ścianę i rzuciły na bok.

Sierżant Reese krzyknął i strzelił zgodnie z wektorem celu na wyświetlaczu hełmu. Posleeni stali za osłoną beczulek, ale okazało się, że moc karabinu grawitacyjnego pozwalała na ich przebicie i wzięcie nieprzyjaciół pod bezpośredni ostrzał.

Właściwie Posleenów nie trzeba już było trafiać. Beczułki w całym magazynie wypełniał olej uzyskany z glonów. Indowcy używali go do gotowania. Był tak samo powszechny jak olej kukurydziany, a pięć milionów Indowcy z Qualtren potrzebowało go tak dużo, że zbudowano magazyn o powierzchni pół kilometra kwadratowego.

Tak samo jak olej kukurydziany miał dość wysoką temperaturę zapłonu, ale w pewnych warunkach łatwo się palił, a nawet wybuchał.

Uranowy śrut wystrzelony z karabinu grawitacyjnego leciał z prędkością bliską ułamka prędkości światła.

Projektanci dokładnie wyliczyli parametry, tak żeby uzyskać jak największy efekt kinetyczny przy jak najmniejszej jonizacji i związanym z nią promieniowaniu. W rezultacie powstał pocisk w kształcie kropli łzy, który śmigał nieopisanie szybko. Przy nim każda kiedykolwiek wyprodukowana kula wydawała się nieruchomo zawieszona w powietrzu. Uranowy śrut był o wiele szybszy od meteorytu i jeśli nie natrafił na przeszkodę, opuszczał orbitę planety i czynił nawigację kosmiczną bardzo ryzykownym zajęciem. Przeszywał atmosferę z takim wigorem, że wybijał elektrony z atomów i cząsteczki gazu stawały się jonami. Energia uwolniona podczas jego przelotu była tak duża, że tworzyła elektromagnetyczną falę uderzeniową. Po przejściu pocisku atomy z powrotem się łączyły.

Uwalniały się fotony i ciepło, powstawały rodniki, ozon i kule Bucky'ego. Głównym produktem ubocznym były strumienie naenergetyzowanych jonów, łudząco podobne do błyskawic. Tak samo gorące i tak samo naenergetyzowane. Naturalna świeca zapłonowa.

W ciągu dwóch sekund tysiąc tych niszczycielskich kul przebiło pięćdziesiąt beczulek oleju. Jedna kula wystarczyłaby, żeby rozprościć zawartość beczułki w dwóch do trzech tysięcy metrów sześciennych powietrza.

Następne kule natrafiały już tylko na opary i zgodnie z niezmiennymi prawami fizyki leciały dalej, przebijając kolejne beczułki. Olej z tysięcy beczulek zamienił się nagle w gaz i osiągnął gęstość zapłonu jak w tłoku w silniku Diesla. W rezultacie powstała bomba oparowa, najlepszy po bombie atomowej wynalazek wojskowej technologii Ziemi, a suterenny magazyn stał się cylindrem Diesla. Dla sierżanta Reesa cały świat stanął nagle w płomieniach.

Magazyn znajdował się dwa poziomy pod ziemią. Niżej było jeszcze sześć pięter, Bulwar Sisalav przebiegał w odległości trzystu pięćdziesięciu metrów, a Aleja Qual ciągnęła się w odległości stu pięćdziesięciu metrów.

Wybuch oparów oleju wygryzł krater o średnicy dwustu metrów, głęboki aż do fundamentów,

rozbebeszył budynek na kilometr w górę i wysadził wszystkie ładunki podłożone zgodnie z planem Jerycho. Fala uderzeniowa wymiotła wszystkie sprzęty z budynku aż na Sisalav i Qual, i wypłuła na zewnątrz pozostających na parterze żołnierzy.

Zginęły wszystkie nie opancerzone stworzenia w budynku: trzysta dwadzieścia sześć tysięcy Indowy i osiem tysięcy Posleenów. Ładunki wybuchowe zadziałały planowo i skruszyły sto dwadzieścia głównych belek konstrukcyjnych.

Z zaskakującą gracją wysoki na milę budynek przechylił się na północny zachód i powoli, jak gdyby klękając na znak czci, upadł na Daltrev i zablokował Sisalav i Qual, miażdżąc przy tym południowo-wschodni kwadrant Daltrev.

Zgniótł jeszcze więcej Posleenów i całkowicie powstrzymał natarcie wroga z masywu na Qualtrev.

Zgodnie z przygotowanym wcześniej planem, kiedy po pięciu minutach zmechanizowane niedobitki kompanii Alfa i Bravo opuściły Qualtrev, wybuchły też ładunki w tym budynku. Budowla spoczęła w poprzek Alei Anosimo, oparła się o resztę Daltrev i uniemożliwiła Posleenom marsz przez sektor batalionu i wzdłuż głównej osi ataku na sektor siódmego regimentu kawalerii. Teraz niedobitki batalionu mogły bez przeszkód wesprzeć oddziały kawalerii.

O ile było jeszcze co wspierać.

* * *

Mike jęknął i otworzył oczy. Tak mu się przynajmniej zdawało, ale świat był tak samo czarny jak przedtem, a jemu kręciło się w głowie. Albo coś było nie w porządku z jego wewnętrznym uchem, albo leżał na plecach z nogami powyżej głowy.

– Poruczniku O'Neal – powiedział przekaźnik najmiłszym głosem – nie oślepl pan, po prostu nie ma światła.

– Reflektory pancerza – wymamrotał oszołomiony Mike.

– Najpierw powiem panu, gdzie pan jest. Co pan pamięta?

– Ból głowy.

Przekaźnik poprawnie zinterpretował wypowiedź jako medyczną prośbę i wybrał trzy leki z apteczki.

– No – powiedział Mike po jakichś dwóch minutach walki z ciemnością – tak lepiej. A teraz powiedz, gdzie jestem? I włącz te cholerne światła.

– Co pan pamięta? – przypomniał pytanie przekaźnik.

– Wszedłem do magazynu w suterenie Qualtren.

– Pamięta pan, co się stało w suterenie?

– Nie.

– Pamięta pan sierżanta Reese'a?

– Tak. Żyje?

– Ledwo. Natknęliście się na Posleenów. Podczas ostrzału sierżant Reese przebił kinetycznym śrutem kilka beczulek oleju. Spowodowało to zapłon oparów, który z kolei doprowadził do wysadzenia ładunków Jerycho...

– Jestem pod Qualtren – Mike wyciągnął nagle przerażający wniosek.

– Tak, sir. Znajduje się pan pod około studwudziosześciometrową warstwą gruzu.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania,
Sol III 00:25,
5 sierpnia 2002**

Pappas miał otwarte oczy, wyprostowane plecy, splecione ręce i skupiony wyraz twarzy. Mimo to w rzeczywistości głęboko spał.

Było już po północy, kiedy autobus zajechał przed bramę Fort Indiantown Gap, pilnowaną przez członka żandarmerii wojskowej. Kierowca zdziwił się łuną ognia w oddali, ale pozdrowienie żandarma odciągnęło całą jego uwagę od płomieni. Wychylił się przez okno, żeby spytać, dokąd mają jechać rekruci i pozbawiony poczucia humoru sierżant, ale zanim zdążył otworzyć usta, żandarm już udzielił odpowiedzi.

– Nie wiem, gdzie mają jechać ci skurwiele, u kogo się mają zameldować ani co mam z nimi, kurwa, zrobić. Jeszcze jakieś pytania? – zapytał agresywnym tonem pilnujący bramy szeregowiec.

Pappas zamrugał oczami i zanim się jeszcze dokładnie rozbudził, wysiadł z autobusu i chwycił żandarma tak, że ten zadyndał na kołnierzu munduru bojowego.

– Co to jest, kurwa, za odpowiedź, szczyłu? – wrzasnął.

Kolega żandarma zaczął się budzić i sięgnął po pistolet marki Berretta.

– Wyciągnij broń, a już w czwartek będziesz kruszył skały w Leavenworth, zasrańcu! – powiedział rozwścieczony Pappas i wpił w drugiego żandarma swoje piorunujące spojrzenie.

Żandarm przestał sięgać po broń, poderwał się na nogi i stanął na baczność.

– Dobra – powiedział Pappas, kiedy jego gniew trochę opadł – jaki macie, kurwa, problem, szeregowy?

Opuścił żandarma, tak że jego stopy dotknęły ziemi, ale nie zwolnił uścisku.

Szeregowy miał ostatnio mnóstwo okazji do ćwiczeń walki wręcz. Ale nigdy jeszcze nikt tak szybko go nie obezwładnił, i doświadczenie to było wstrząsające. Podoficer w szarym jedwabnym uniformie, który wskazywał, że jest jednym z nietykalnych żołnierzy Sił Uderzeniowych Floty, był górą mięśni. Nikłe oświetlenie i daleki blask płomieni zmieniły go w surrealistyczną postać o niemal pierwotnej sile i furii, niczym wulkan na dwóch nogach mocnych jak konary. Szeregowiec szybko jeszcze raz przemyślał swoją sytuację.

– Sierżancie – na pewno był to sierżant, choć trudno było dostrzec belki floty na jego ramieniu – mamy mnóstwo problemów...

– Nie chcę słuchać o problemach, szeregowy, chcę usłyszeć odpowiedzi.

– Sierżancie, nie mam żadnych. Przykro mi.

Na twarzy szeregowego niemal pojawiły się łzy, i sierżant musiał dostosować się do nowej sytuacji.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał, puścił żandarma i wygładził kołnierzyk jego munduru.

Potem odwrócił głowę i spojrział na odległe płomienie.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał jeszcze raz i potrząsnął głową.

– Słuchaj... proszę posłuchać – poprawił się szybko żandarm. – Pieprzona sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Sierżancie – powiedział drugi żandarm – przykro mi, że tak spieprzyliśmy sprawę z tą odpowiedzią, ale naprawdę nie wiemy, gdzie wysłać pańskich żołnierzy.

Pierwszy żandarm pokiwał głową na znak zgody.

– Po pierwsze, w zeszłym tygodniu musieli przenieść parę jednostek, bo ich koszary spłonęły podczas zamieszek.

Wtedy część żołnierzy związała, a reszta mieszkała w otwartych koszarach. Kiedy chcieli ich przenieść, wybuchły o to zamieszki. A gdziekolwiek są rozruchy, zadymiarze biorą się do palenia baraków mieszkalnych, więc może już nawet nie być miejsca, gdzie można zakwaterować pańskich żołnierzy...

– Cholera jasna – szepnął były żołnierz piechoty morskiej.

Usłyszał, że rekruci wysiadają za nim z autobusu, i podniósł głos.

– Dajcie tu Stewarta, Ampele'a, Adamsa i Michaela. Reszta, ptaszyny, wracać do autobusu!

Podczas gdy dowódcy drużyny zbierali się, Pappas stał w przepisowej pozycji na spocznij i patrzył na migoczące płomienie. Lekko wydał wargi w zamyśleniu.

– Macie jakąś pomoc? – zapytał.

– Niewiele, sierzancie – powiedział żandarm. – Żołnierze trzech, czterech batalionów są spokojni, ale nawet z nimi są czasem problemy. I nie można ich użyć do tłumienia rozruchów, bo trudno by było odróżnić jagnię od wilka. – Szeregowiec urwał i potrząsnął głową. – Prawdziwy pierdolnik, sierzancie.

– Dla ciebie „panie sierzancie”.

– Dobra, prawdziwy pierdolnik, panie sierzancie.

Żandarm stłumił śmiech.

Pappas odwrócił się do zebranych dowódców drużyny.

– Mamy tu niezły burdel, chłopaki, ale musimy sobie dać radę. Najwyraźniej wojsko straciło kontrolę nad jednostkami. – Odwrócił się z powrotem do żandarma. – O ilu jednostkach mówimy?

– Dwie dywizje, kilka dodatkowych jednostek Korpusu i batalion uderzeniowy floty. Największe problemy mamy jednak z jednostkami posiłkowymi i kilkoma z batalionu piechoty. Sęk w tym, że większość starszych oficerów i podoficerów jeszcze tu nie dotarła, więc mamy tylko garstkę pieprzonych rekrutów i wyrzutków z innych jednostek. Gdybyśmy mieli pełny korpus oficerów i podoficerów, dalibyśmy sobie radę, tak przynajmniej twierdzi nasz komendant, ale dopóki wszyscy się nie zjadą, dalej tak będzie.

Pappas skinął głową i odezwał się znowu.

– Powiem wam, jak to załatwimy. Po pierwsze, nie zabieramy autobusu w ten pierdolnik. Więc musimy iść. Ale nie będziemy taszczyć plecaków, żeby się dowiedzieć, gdzie nas mają zakwaterować. Więc, Ampele, pierwsza drużyna pilnuje bagaży.

– Panie sierzancie...! – chciał zaprotestować pierwszy żandarm.

– Wyładujemy tu cały bagaż. – Rozejrzał się. – Tam, przy strumieniu. – Pokazał kierunek skinieniem głowy. – Siadać na tyłku i czekać na wsparcie. Jak znajdziemy nasze kwatery i jednostkę, przyśle transport i pluton po bagaże.

Ale bądźcie świadomi, że mogą was zaatakować.

Spojrzał na żandarmów, a oni kiwnęli głowami.

– Tak – powiedział całkiem już rozbudzony drugi żandarm. – Kręciły się tu już grupy uzbrojonych dezertów.

Jak was zaatakują, będziemy was wspierać – ciągnął – ale nie możemy strzelać, dopóki nie otworzą do nas ognia – dodał kwaśno.

– Więc bądź gotowy na wszystko. Zostawiam cię tutaj, bo ufam, że nie dasz się kropnąć i nie zostawisz swoich ludzi. Niech ci się we łbie nie przewraca od tego pieprzonego komplementu. I lepiej dobrze pilnuj naszych bambetli. – Pappas pomyślał przez chwilę i postanowił zadać jeszcze

jedno pytanie. – Hmm, przekazali wam coś o innych zasadach traktowania oddziałów floty uderzeniowej...?

– Tak, panie sierzancie – odpowiedział pierwszy żandarm. – Jesteście nietykalni. Na szczęście flota uderzeniowa nie sprawia większych problemów poza terenem koszar. – Urwał i zastanowił się przez chwilę. – No, bo dla mnie – dodał – CID to już inna historia.

– Dobra – powiedział Pappas. – Zabierzemy jeszcze trzy drużyny – skinął głową w odpowiednim kierunku – żeby dołączyły do formacji kontaktowej.

Wydął policzki w zamyśleniu.

– Wezmę trzech członków pierwszej drużyny jako grupę kwatery głównej. Idźcie powoli, marsz. Miejcie oczy otwarte i rozglądajcie się. Niech jeden zespół idzie przodem, a drugi go ubezpiecza. Rozmawiajcie ze sobą, nie ścieśniajcie się, ale i nie idźcie w rozsypkę. Jeśli jedna drużyna wpakuje się w coś, z czym nie będzie mogła sobie poradzić, niech pozostałe dwie udzielą jej wsparcia. Jak wpadniemy w cudze bajoro, będą z nas chcieli zrobić mięso armatnie, więc skopcie im dupę i nie cackajcie się z nimi, po prostu musimy się szybko przedrzeć przez teren obozu.

Wziął mapę, którą podał mu żandarm.

– Dobra – ciągnął, patrząc na mapę przy słabym oświetleniu, i żałował, że nie przysłano im jeszcze wojkularów.

– Jesteśmy pewnie przy tej drodze koło lądowiska dla helikopterów, tuż u podnóża gór. – Spojrzał w ciemność. – Zaraz przy ogniu.

Potrząsnął głową.

– Stewart – odwrócił się do drobnego szeregowca – druga drużyna ma swoje zadanie. Żadnego szabrownictwa po drodze; nie tylko jest to wbrew przepisom, ale też nie ma na to, kurwa, czasu. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – powiedział młodzieniec.

Stał w przepisowej pozycji na spocznij, a jego twarz była śmiertelnie poważna.

– Nie mów do mnie więcej „sir”, Stewart – powiedział sucho Pappas. – Wygląda na to, że znowu muszę zarabiać na życie – westchnął ciężko. – Cóż, nie może być chyba gorzej niż w Wietnamie? – Zastanowił się przez chwilę. – Mają broń palną? – zapytał żandarma, pogrążony w myślach.

Szeregowy skrzywił się.

– Niewiele. Zasadniczo zabieramy broń, jak tylko się pojawi. Tylko to pozwala nam powstrzymać rozlew krwi.

Mają jednak dużo noży i pałek – ostrzegł.

Pappas kiwnął głową.

– Zabierajcie po drodze wszystko, co wygląda na broń. Kolejność marszu jest następująca: drużyny druga, czwarta i trzecia. Ja będę szedł między drugą i czwartą. Trzecia, Adams, niech uważa na trasę odwrotu. Jeśli zajdą nas od tyłu, będziemy musieli ich zgnieść.

– W porządku, sierzancie – powiedział były kapral szkoleniowy.

– Dobra, pamiętajcie, żeby się nie grupować, ale pozostawać w zasięgu wzroku innych drużyn. Przedstawcie swoim ludziom sytuację.

Urwał na chwilę i z rezygnacją potrząsnął głową. Miał ponurą minę.

– Kurwa, co za koszmar – dodał.

– Poradzimy sobie – powiedział z przekonaniem Stewart. – Mieliśmy szkolenie, mamy pracę zespołową i dowództwo.

Uśmiechnął się do sierżanta celowniczego, zastanawiając się, dlaczego dowódca jest tak wstrząśnięty całą sytuacją.

Pappas uśmiechnął się wesoło. Stewart natychmiast zrozumiał, że sierżant uznał jego wypowiedź za szczególnie durną.

– Stewart, jesteś idiotą – powiedział sierżant łagodnie i wskazał ręką na zbuntowane jednostki w oddali. – Za rok lub dwa ci skurwiele będą nas wspierać w walce. Pomyśl o tym. Co by się stało, gdyby Posleeni wylądowali jutro?

Szeregowiec odwrócił się, spojrzął na płomienie i podrapał się w głowę. Wydał policzki i huśtał się w przód i w tył w przepisowej pozycji na spoczynku.

– No tak.

* * *

Pappas nie zauważył, kiedy Stewart podniósł dwa kije od miotły, ale sposób, w jaki kręcił nimi w obydwu rękach, zdradzał wyszkolenie, które zaskoczyło nawet doświadczonego podoficera. Stewart powalił na ziemię agresywnego pijanego żołnierza, zanim ten zdążył wrzasnąć, a dwóch innych członków drugiej drużyny zaciągnęło go w krzaki. Po usunięciu przeszkody pluton dalej zagłębiał się w wir.

Wydawało się, jakby płonął cały świat. Belki i deski wyrwane z baraków płonęły poukładane w stosy na podwórzach i placach apelowych. Ogień trawił sprzęty z mieszkań żołnierzy i ogrzewał jesienną noc.

Wszędzie szwendały się małe grupki rekrutów, czasem z butelką w ręku, a czasem popalając wonne substancje.

Odgłosy w ciemnościach mówiły także o innych uciechach, którymi umilano sobie czas. Ponieważ wyglądało na to, że rozkoszne igraszki odbywały się za zgodą wszystkich zainteresowanych, Pappas zignorował je. Szczerze powiedziawszy, zapewne nie wiedziałby, co zrobić, gdyby któraś ze stron nie wyrażała zgody. Misja polegała na odnalezieniu jednostki i dołączeniu do niej. Wtedy sprawy powinny pójść łatwiej. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Nakazał gestem dłoni, żeby druga drużyna zatrzymała się, a pluton stanął wkoło. Żołnierze stanęli na zacienionym obszarze, trzymając mnóstwo różnych pałek w rękach. Dowódcy zespołów dołączyli do sierżanta pośrodku koła. Pappas wyciągnął mapę z kieszeni i ruchem ręki polecił żołnierzom przyjrzeć się jej w migotliwym świetle odległych płomieni.

– Żeby dostać się do celu, czyli do miejsca, w którym, jak sądzą żandarmi, jest nasz batalion, musimy przejść tędy.

Pokazał na plac apelowy za budynkami. Obiekt był zaznaczony na mapie jako dawne lądowisko dla helikopterów. Obecnie w najlepsze odbywało się tam wielkie przyjęcie, płonęły liczne ogniska, a wkoło szwendało się z dobre tysiąc osób, mężczyzn i kobiet.

– Możliwe, że nie natrafimy na opór, ale to tylko przypuszczenia. Moglibyśmy obejść teren dookoła, ale zeszlibyśmy z drogi, a prędzej czy później szczęście i tak przestałoby nam sprzyjać. – Wskazał ręką na miejsce, gdzie pijany żołnierz dochodził do siebie po uderzeniu. – Jestem otwarty na sugestie.

– A może po prostu przebiegniemy przez środek, jakbyśmy byli na ćwiczeniach? – zapytał Michaels. – Mało prawdopodobne, żeby zaczepili całą formację. Co pan o tym sądzi, sierżancie?

Stewart parsknął śmiechem.

– Widzisz tu kogoś na ćwiczeniach? – zapytał.

Adams potrząsnął głową.

– Wyjątkowo muszę się zgodzić ze Stewartem. Nie wydaje mi się, żeby ktoś tu odbywał trening.

Byłoby nas widać jak na dłoni.

– A jeśli się zgrupujemy, możemy wyglądać na zagrożenie – zaznaczył Stewart i przymrużył oczy.

– Dobra, zrobimy tak... – zaczął Pappas.

– Sierzancie, przepraszam, mogę coś powiedzieć? – zapytał mały szeregowiec.

Jeszcze kilka dni wcześniej przerywanie instruktorowi musztrówemu byłoby nie do pomyślenia. Jednak obecna sytuacja nie tylko wymagała pomysłów, ale też, o dziwo, Stewart czuł się w tych warunkach jak w domu.

– Dobra – powiedział sierżant – słucham.

– Myślę, że ja i chłopaki moglibyśmy odciągnąć część z nich – powiedział szeregowiec, utkwił wzrok w odległym przyjęciu, a jego brew uniosła się w zamyśleniu. – Utworzylibyśmy coś w rodzaju korytarza, a reszta z was prześlizgnęłaby się.

– Jak? – Pappas patrzył, jak szeregowiec myśli.

Zauważył już, że podczas gdy on bił Stewarta na głowę w doświadczeniu i wiedzy, żołnierz wyprzedzał go znacznie w przebiegłości i podstępach.

– Przyłączmy się do nich – ciągnął Stewart, nieświadomy spojrzenia sierżanta. – Prawie wszyscy w drugiej drużynie jesteśmy z latynoskiej dzielnicy – ciągnął mały szeregowiec. – Jesteśmy tu ziomkami, czujemy się jak u siebie w domu. Moglibyśmy znaleźć się w samym środku przyjęcia – wskazał na libację – gdyby nic nam w tym nie przeszkodziło.

Odwrócił się, spojrzał na porucznika i dostrzegł wyraz szacunku w jego oczach.

– Mówisz teraz bardziej do rzeczy niż kiedykolwiek.

Podoficer skinął głową na znak zrozumienia.

– Ruszaj.

– Ale moglibyśmy... Znam kilka sposobów na zorganizowanie atrakcji, trochę sztuczek cyrkowych. Ja i chłopaki możemy przyciągnąć ich uwagę. To otworzy korytarz, którego pan potrzebuje.

– A jak się nie uda? – zapytał Pappas.

– Będziemy uciekać jak cholera – uśmiechnął się szeregowiec.

Pappas przyjrzał mu się uważnie.

– A kiedy dotrzesz do jednostki? – zapytał z oczywistą podejrzliwością w głosie.

Stewart potrząsnął głową z wyrzutem.

– Sierzancie, nie mówię, że urządzimy sobie małe przyjęcie. Będziemy musieli wmieszać się w tłum. Ale dołączmy do was wszyscy do świtu. Będzie trudniej się wydostać niż wejść. Odciągnięcie uwagi od was będzie najłatwiejszą częścią planu.

Pappas skinął głową i popatrzył z rozwąga na szeregowca.

– Hmm. – Wydał policzki w zamyśleniu. – Wiesz, Stewart, pewnego dnia będziesz musiał mi powiedzieć, jak przemyciłeś ten twój uliczny gang przez filtry osobowe floty uderzeniowej do mojego plutonu podstawowego. – Urwał. – Wykonać.

Stewart uśmiechnął się lekko.

– Ale nie dzisiaj – powiedział z przekonaniem.

– Nie dzisiaj – zgodził się podoficer. – Jednak nie ufam całkowicie twojej ulicznej mądrości. Kiedy tylko przedostaniemy się na drugą stronę, będziemy cię obserwować, aż uznam, że wszystko jest w porządku. Nie spiesz się, będziemy tam tak długo, jak trzeba.

– Poradzę sobie, sierzancie – powiedział szeregowiec z przekonaniem.

– Dobra, więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy się przyglądali? – zapytał Pappas z uśmiechem.

Stewart potrząsnął głową z rezygnacją.

- Niech będzie, szefie.
- Dobra – powiedział podoficer. – Czas na zabawę.

* * *

Stewart wytarł ręce o jedwabny uniform, zrobił krok naprzód i poklepał stojącego przed nim żołnierza w szerokie ramię.

– Hola, 'migo, ¿dónde 'stá el licor?

Zadanie wymagało, jak widać, wysokich kwalifikacji w pewnych dziedzinach.

Wielki latynoski żołnierz parsknął i odwrócił się.

– Qué chingadero quiere saber, cameron?

– Hej, dopiero co przyszliśmy. Muszę się napić.

W dłoni Stewarta pojawiła się dwudziestka. Członkowie drużyny przyjęli za nim postawę twardzieli. Włożyli dłonie za pasek lub do kieszeni, wysunęli biodra do przodu i rozglądali się. Wyglądali jak garstka ziomek szukających dobrej zabawy. Stewart włożył dwa kije od miotły za kołnierz kurtki. W razie potrzeby mógł je w jednej chwili wyciągnąć.

Wielki żołnierz zerknął na gang i jeszcze raz przemyślał sprawę. Mógł zawołać własnych zbirów, ale nie była to odpowiednia pora na walkę z nieznanymi dziwakami. Żołnierz był niemal całkowicie pewien, że rozgniółby drobnego przybysza jak pluskwę, ale nigdy nic nie wiadomo. Przybysz wyglądał na okropnie pewnego siebie.

– Trudno coś znaleźć, koleś – powiedział wielki żołnierz i pociągnął z butelki duży łyk tequili. – Zapytaj Maracone, tam przy trybunach, on zazwyczaj coś ma.

– Gracias – powiedział Stewart, a dwudziestka nagle zniknęła z kieszeni latynoskiego żołnierza.

– De nada – powiedział Latynos i odwrócił się do swoich kumpli.

– I co? – szepnął Wilson.

– Miał nóż – powiedział cicho Stewart – i jakiś pistolet.

– Miał – powiedział z uśmiechem zastępca dowódcy.

– Miał – potwierdził Stewart bez najmniejszych oznak rozbawienia. Był całkowicie skoncentrowany na misji. – Ubijemy interes.

Nawet z daleka z łatwością można było rozpoznać dealera. Wściekły mały szeregowiec, otoczony mięśniakami i grupą kobiet w mundurach przyciętych w taki sposób, że odsłaniały pępek i nogi poniżej ud. Kobiety na pewno marzły w zimną i wilgotną jesienną noc.

– Dobra – powiedział Wilson i odruchowo rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu zagrożenia.

Sprawdził, czy reszta drużyny jest na miejscu i czy też się rozgląda. Tak było, i Wilson z zadowoleniem kiwnął głową. Jak ująłby to sierżant, wszystko było tip-top.

– Potem urządzę pokaz połknięcia mieczy – Stewart dalej wyjaśniał plany i taktykę przyszłego działania, a Wilson dbał w tym czasie o bezpieczeństwo.

Taki podział obowiązków był warunkiem przetrwania na ulicach latynoskiej dzielnicy, ale ani Stewart, ani Wilson nie zdawali sobie sprawy, że przypominało to także relacje między oficerami i podoficerami.

– Jasne.

– Trzymaj – dyskretnie podał szeregowcowi mały pistolet.

Wilson ukrył się za plecami Stewarta i szybko sprawdził magazynek dwudziestki piątki.

– Osłaniaj mnie.

Stewart ruszył w stronę dealera. Drogę zagroził mu jeden z jego ochroniarzy, ale dealer gestem

dłoni nakazał mu odejść na bok. Była to demonstracja siły, która jednak obchodziła Stewarta nie bardziej niż zeszłoroczny śnieg.

Teraz, kiedy podszedł tak blisko, mógł powalić trupem dealera i przynajmniej dwóch ochroniarzy nawet bez wsparcia Wilsona. Ależ z nich pieprzeni amatorzy, pomyślał.

– Hola – zawołał z uśmiechem. – Co masz?

– A czego chcesz? – zapytał dealer znudzonym głosem. – Mam prawie wszystko.

– Potrzebny mi jakiś mocny trunek, koleś. Jesteśmy świeżo po treningu i przyda nam się coś, co daje niezłego kopa!

Uśmiechnął się jak głupi, mały rekrut na podstawowym szkoleniu. Tak, o to chodzi.

– To będzie sporo kosztować, koleś – powiedział dealer. – Trudno dostać towar. Ci pieprzeni żandarmi tylko patrzą, żeby mi zakosić zapasy.

– Hej – powiedział Stewart i wyjął zwitek banknotów. – Mam kasę, koleś. Masz jakąś dobrą tequilę?

– Jasne – uśmiechnął się mały żołnierz.

Machnął dłonią w stronę jednej z dziewcząt, która wyjęła butelkę z pomalowanej sprayem skrzynki na amunicję.

– To będzie sześćdziesiąt.

– Jezu – powiedział Stewart i potrząsnął głową. – To rozbój.

Odliczył odpowiednią ilość pieniędzy i wziął butelkę. Jeden łyk wystarczył, żeby się upewnić, że alkohol nadawał się do przeprowadzenia planu.

– Rany! Czas na odlot!

– Tak – powiedział kwaśno dealer. – Ale gdzie indziej. Ja mam innych klientów.

– Spoko, koleś, na razie.

Stewart uśmiechnął się znowu i wrócił do drużyny.

– Snajper na trybunach – szepnął Wilson. – Nie widzę karabinu, ale gdzieś tam jest.

– Możesz go zdjąć z tyłu?

– Nie tą pieprzoną małą Astrą. Może ty, ale też nie jednym strzałem. Zresztą ktoś obstawia tyły.

– No problemo. Ludzie zawsze chętnie podziwiają talenty – uśmiechnął się Stewart.

– Jesteś pieprzonym świrem, Manuel.

– Nazywam się James Stewart. Nie zapominaj o tym.

– Jasne, a ja jestem królewna Śnieżka.

– Chusteczki – powiedział Stewart bez komentarza i wyciągnął rękę.

Członkowie drużyny podali sobie kawałki materiału i przywiązali je na końcach złamanych kijów od miotły.

Skropione wysokoprocentową tequilą stały się gotowymi do podpalenia pochodniami.

– Nadchodzi nicość – powiedział Stewart i poszedł w stronę grupy, która obstawiała sekcję trybun z dala od dealera.

– Hej, chłopaki – powiedział do białych żołnierzy.

Patrzyli podejrzliwie, jak podchodzi. Skinął na przywódcę, przysadzistego, grubego sierżanta z fałdami tłuszczu na szyi.

– Wiecie, co by się przydało na tym przyjęciu? – zapytał Stewart donośnym, rozradowanym głosem.

– Pieprzony idiota? – zapytał przywódca.

Grupa roześmiała się z ciężkiego dowcipu.

Co za Einstein, pomyślał Stewart.

– Trochę rozrywki!

Wskoczył na trybuny i wypił haust tequili z butelki. Błysnął ogień zapalniczki i Stewart wypłuł alkohol w chmurze płomieni. Buchający ogień oświetlił teren i rozległy się okrzyki podziwu.

– Panie i panowie – zawołał Stewart donośnym głosem. – Witamy na największym przedstawieniu na Ziemi!

Zadziwię i urzeknę was mocą iluzji i możliwościami umysłu! Moja moc nie zna granic!

Wyciągnął pałki, podpalił je i zaczął nimi kręcić.

* * *

– Dobra – powiedział Pappas – to sygnał. Przygotować się, ruszamy.

Oczekiwanie, aż Stewart zajmie pozycję, wydawało się wiecznością, ale kiedy wreszcie zaczęło się przedstawienie, tłum istotnie ruszył się z miejsca. Sierżant postanowił zrobić to samo.

– Drużyna czwarta, w stronę Stewarta, postarajcie się podejść możliwie najbliżej. Trzecia: idźcie do środka terenu. Kiedy czwarta zajmie pozycję, skróćcie do koszar. – Potrząsnął głową. – Wszyscy chcą zobaczyć tego pieprzonego małego idiotę.

* * *

Jeszcze nigdy nie występował przed tak liczną publicznością. Żołnierze najwyraźniej byli spragnieni rozrywki.

Wszystko szło dobrze. Sztuki cyrkowe zawsze zachwycały ludzi, a tequili wystarczyło, żeby żonglować i połykać ogień.

Kiedy już się rozkręcił z magicznymi sztuczkami, nadszedł czas na wielki finał. Dał znać Wilsonowi, który podwinął rękawy, stanął naprzeciw Stewarta i spojrział na drużynę. Ktoś rzucił mu nóż, a on rzucił go do Stewarta.

Stewart odrzucił nóż z powrotem i tak zaczęli dwuosobową żonglerkę. Któryś z pozostałych członków drużyny zaśpiewał znaną piosenkę i cyrkowcy zatańczyli na trybunach, robiąc obroty i stając na głowie. Drużyna rzucała coraz więcej przedmiotów do żonglowania. Po piętnastu minutach Stewart podrzucał już czternaście przedmiotów, łącznie z płonącymi pochodniami i dwoma nożami. Stwierdził, że czas już kończyć. Skinął na Wilsona, wyskoczył w górę z uniesioną ręką i złapał garść przedmiotów przy wtórze gromkiego aplauzu.

* * *

– Sierżancie – powiedział Adams, przepychając się przez ścieśniony tłum. – Mamy problemy.

Nawet najdalsza droga zaczyna się od jednego kroku, pomyślał O'Neal. Reflektory pancerza przegnały ogarniającą go ciemność, ale widok pogiętej masy plastobetonu i gruzu był tak samo przygnębiający.

– Dobra, przyszedł ci do głowy jakiś pomysł? – zapytał przekąźnik.

– Tylko jeden. Jest mały otwór trzy i pół metra stąd, azymut sto dwadzieścia trzy i osiem dziesiątych stopnia.

Jeśli uda się panu tam przekopać, będzie pan mógł utorować sobie drogę do wyjścia przez wysadzenie małych otworów ładunkami aktywacyjnymi na pociskach grawitacyjnych.

– Co? Mam ich użyć jak materiałów wybuchowych? Jak?

– Jeśli umieści je pan w jednym miejscu, a potem do nich strzeli z pistoletu grawitacyjnego, rozszczepi to ładunek aktywacyjny antimaterii i uwolni energię w eksplozji.

– To brzmi... dziwacznie, ale jest prawdopodobne. Dobra, muszę się tylko dostać jakieś trzy, cztery metry w górę i na prawo. Jak mam się odwrócić? Nieważne... mam pomysł.

Jego prawa dłoń znajdowała się na szczęście w pobliżu pistoletu. Biomechaniczna muskulatura pancerza umożliwiła odrzucenie części gruzu na bok. Kiedy rękawica natrafiła na znaną rękojęść, Mike chwycił ją i przesunął lufę w stronę brzusznej części pancerza, która zdawała się najbardziej przygnieciona. Wyszeptał modlitwę do wszystkich bogów, którzy mogliby spoglądać na tę wyschniętą na pył planetę, i wystrzelił pojedynczą kulę w plastobetonową masę.

Wstrząs odbił się nieoczekiwanie głośnie echem w pancerzu. Pomimo dźwiękochłonnej warstwy wyściełającej pancerz Mike'owi zadzwoniło w uszach, jak gdyby ktoś włożył mu na głowę cynowy garnek i uderzył go pałką.

Przez chwilę poczuł luz, ale kiedy przekręcił się szybko w prawo i w lewo, znowu utknął. Gdyby nie miał na sobie pancerza, mógłby skulić ramiona i obrócić się. Z drugiej strony jednak gdyby nie miał pancerza, już by nie żył.

Zewnętrzne czujniki wskazywały bardzo niski poziom tlenu i duże stężenie toksyn aerozolowych, prawdopodobnie wskutek spalania tak dużej ilości oleju rybnego. Z trudem skierował lufę do góry i odwrócił głowę na bok. Gdyby kula uderzyła w hełm albo resztę pancerza, zostałby skutecznie posiekany na miazgę. Wepchnął lufę możliwie najdalej w głąb rumowiska i jeszcze raz pociągnął za spust. Tym razem strzał nie był skuteczny i kula tylko trochę musnęła plastobeton, odbiła się rykoszetem i trafiła w pancerz. Pocisk relatywistyczny pozostawił głęboką, świecąca szramę w pancerzu ochronnym, który wcześniej odbijał tysiące kul o mniejszej prędkości. Ciepło zaczęło uciekać przez warstwę wyściełającą pancerz wspomagany.

Pomimo prerażenia spróbował znowu i tym razem skruszył oporny plastobeton. Obrócił się i znalazł się na brzuchu z głową lekko ku dołowi. Chociaż pancerz był przygnieciony w kilku miejscach, Mike'owi udało się po chwili poruszyć gruz, co było dowodem straszliwej mocy drzemiącej w pancerzu bojowym. Kiedy przez chwilę wiercił się w miejscu, kawał płyty, który przygniatał wcześniej jego lewe ramię, a teraz leżał w poprzek prawego, ześlizgnął się po nim z donośnym chrzęstem i odsłonił małą przestrzeń u góry na prawo. Włożył pistolet do kabury i wyciągnął rękę w kierunku dogodnego do zaczepienia się występu, który dostrzegł w świetle

reflektorów. Ścisnął mocno wystający kawał ceramitu i gwałtownie podciągnął resztę ciała po skosie do góry i w prawo. Ponieważ okazało się, że jest to właściwa droga, postawił stopy na gruzie, spod którego się wydostał, i ruszył w górę. Po chwili gwałtownie zsunął się w tył.

Po dobrych kilku minutach zmagania i dwukrotnym użyciu pistoletu, kiedy mimo jego starań pancerz zaczepiał się o wielkie płyty, Mike dotarł wreszcie do obiecanej wolnej przestrzeni. Nad głową dostrzegł fragment jakiejś maszyny niewiadomego przeznaczenia. Właśnie ten wielki, nie zidentyfikowany wynalazek Galaksjan utworzył dziurę. Mike wypił łyk wody i usiadł, żeby przemyśleć swoje położenie. Brak karabinu; zgubił go gdzieś podczas wybuchu. Naramienne granatniki zmiażdżone. Ich naprawa wymagała zwykłej wymiany części zapasowych, a Mike ich nie miał. Pozostałe sto dwadzieścia osiem uranowych kul kaliber 3 milimetry w penetratorach z aktywnym ładunkiem antimaterii nie nadawało się do niczego, skoro nie było karabinu. Pistolet grawitacyjny i cztery tysiące pięćset kul. Dwieście osiemdziesiąt trzy granaty do użytku ręcznego lub z zastosowaniem wyrzutni. Tysiąc metrów cienkiej liny o wytrzymałości dziesięciu ton, klamra uniwersalna i dźwig. C-9, cztery kilogramy. Zapalniki. Różne materiały pirotechniczne i specjalistyczne materiały wybuchowe. Osobiste pole siłowe, bezużyteczne, jak sam stwierdził, przeciw broni kinetycznej, ale przydatne w innych sytuacjach. Pancerz dysponował zapasami powietrza, pożywienia i wody na następny miesiąc.

Niestety przy obecnym zużyciu energii zasilanie siądzie za dwanaście godzin; systemy tłumienia wstrząsów musiały pracować niezwykle wydajnie, żeby zniwelować skutki nie tylko wybuchu oparów, ale też przygnięcia gruzem. W połączeniu z napięciami podczas przeciskania się przez rumowisko zapowiadało to porażkę.

Mike wrzucił na ząb część racji żywnościowych pancerza. Ach, smażona wieprzowina z ryżem rozgotowanym na papkę. Semibiologiczna podszewka pancerza wchłaniała wszystkie wydzieliny ciała, wydzielany przez skórę wodór i tlen, martwe komórki naskórka, pot, mocz i inne nieczystości, a następnie przerabiała je na zdatne do oddychania powietrze, wodę pitną i żywność zaskakująco dobrej jakości. Jedzenie było nawet dosyć smaczne i urozmaicone; teraz na przykład mógł delektować się brokułami. Nie musiał się martwić niczym oprócz energii.

Cóż, gdyby przeprawa przez rumowisko miała trwać dwanaście godzin, Mike mógłby tego nie przeżyć. Przez ten czas powinien być już daleko za linią frontu. Gdyby był sam, już byłby martwy...

– Michelle, ilu członków batalionu jest pogrzebanych pod gruzami?

Sygnaly sieci komunikacyjnej GalTechu mogły z łatwością przeniknąć rumowisko i dokładnie zlokalizować każdą jednostkę.

– Pięćdziesięciu ośmiu. Najstarszy stopniem jest kapitan Wright z kompanii Alfa. Kapitan Vero też został uwięziony, ale jest ciężko ranny i przekaźnik zaaplikował mu zastrzyk hibernacyjny. Trzydzieści dwie osoby przeżyją, jeśli dostarczy się je do szpitala w ciągu stu osiemdziesięciu dni. Są teraz w stanie hibernacji.

Mike kołysał pancerzem w przód i w tył, żeby znaleźć bardziej stabilną pozycję na stercie plastobetonu.

– Dobra, pokaż ich położenie na trójwymiarowej mapie i zaznacz stopnie wojskowe odpowiednim poziomem jasności. Uśpionych podświetl na żółto, przytomnych na zielono.

Kiedy mówił, przed oczami formowała mu się mapa. Większość ciężko rannych znajdowała się w pobliżu wybuchających oparów lub ładunków Jerycho.

– Czy inni też próbują się wydostać?

– Kilku. Przekaźniki dzielą się informacjami na temat możliwych rozwiązań. Na początku trudno było zacząć bez pistoletu, ale sierżant Duncan z kompanii Bravo zaproponował granaty.

– Połącz mnie z kapitanem Wrightem – powiedział Mike, zadowolony, że ktoś jeszcze mógł zastanowić się nad tym problemem.

– Tak jest, sir.

Przełożony zaczął i rozległy się bezsilne, stłumione przekleństwa.

– Przepraszam, sir?

– Tak! Kto mówi? – Kapitan Harold Wright sprawdził wyświetlacz nad głową. – A, O'Neal. Pański wspaniały pomysł zadziałał wprost wyśmienicie. Moje gratulacje.

– Byłoby całkiem nieźle, gdyby nie ten wybuch oparów, sir – powiedział Mike ze smutkiem.

Ze sklepienia niszy obsypała się garstka pyłu.

– Właśnie dlatego trzeba przewidywać wszystkie ewentualności, poruczniku. Teraz batalion jest niezdolny do walki, nie mówiąc już o tym cholernym gruzie! Ma pan jeszcze jakieś fenomenalne pomysły?

– Może przedostaniemy się na peryferie, zbierzemy rannych i dołączymy do własnych linii? – zapytał retorycznie Mike.

– A niby jak pan to sobie wyobraża? – chciał wiedzieć kapitan.

– Przełożony mają plany, sir. Przedostałem się na wolną przestrzeń i staram się dotrzeć na obrzeża. Potem możemy wysadzić sobie przejście.

Kapitan Wright zastanowił się przez chwilę nad planem, który wyjaśnił mu przełożony.

– Dobra, to może się udać. Trzeba powiadomić podoficerów...

– Sir, przełożony mogą sporządzić plan ewakuacji na podstawie informacji o tym, kogo tu mamy i kto z nich może się wydostać. Mój przełożony ma znacznie większe możliwości niż pański. Jeśli pan sobie życzy, może kontaktować się z pańskim i pomagać w trudnych kwestiach...

– Jak pewien niezwykle pomocny porucznik?

– Nie tak miało to wszystko wyglądać.

– Cóż, jakkolwiek miało to wyglądać, według schematu, który przesłał mi pański pomocny przełożony, jest pan tu jedynym żywym porucznikiem. Moje gratulacje, drugi oficerze – podsumował kwaśno kapitan.

– Nie mam uprawnień dowódczych, sir.

– Teraz je pan ma. Poza tym według schematu jesteśmy w znacznej odległości od siebie. Ma pan na swoim obszarze trzydziestu pięciu żołnierzy. Kiedy zbierzecie się razem, możemy skorzystać z tuneli użytkowych, żeby się spotkać. Najpierw jednak musimy się stąd wydostać. Proszę się porozumieć z pańskimi ludźmi, zwłaszcza ze starszym sierżantem Greenem, dowódcą mojego drugiego plutonu. Niech się wydostaną z gruzu, a potem zgłoszą do mnie.

– Proszę uważać na poziom energii, sir – ostrzegł Mike i spojrzał na własny opadający wykres słupkowy. – U mnie jest już dosyć niski. Możemy uzupełnić energię, jak znajdziemy źródło, ale do tego czasu...

– Racja. Niech się pan upewni, że wszyscy to wiedzą. Naprzód, drugi oficerze.

– Tak jest, sir.

Przez kilka następnych godzin żołnierze kontaktowali się ze sobą i formowały się jednostki. Ci, którzy mogli się poruszać, otrzymali rozkaz uwolnienia całkowicie zaklinowanych kolegów. Pomysł z granatami sprawdził się nieźle, oprócz przypadku jednego nieszczęsnego szeregowca, który już po uzbrojeniu granatu odkrył, że nie może ruszyć ręką. Na szczęście technologia medyczna GalTechu pozwalała na regenerację utraconej dłoni, o ile tylko udało się wrócić do własnych oddziałów. Szczęśliwie ból trwał dość krótko, bo pancerz prawie natychmiast zapieczętował wyrwę i znieczulił rękę, ale to doświadczenie kosztowało szeregowca sporo dowcipów na jego temat. Było jeszcze

gorzej, kiedy żołnierz przyznał się, że jego ostatnie słowa przed eksplozją brzmiały „To będzie bolało”.

Po siedmiu godzinach wszyscy żołnierze, których można było uratować, dotarli do tuneli użytkowych. Nie dotyczyło to, niestety, kapitana Wrighta i trzech innych ludzi z kompanii Alfa. Byli uwięzieni w straszliwej stercie kawałków ciężkiej maszyneryi. Pomimo licznych prób żołnierzy nie udało się wydostać z kupy złomu. Kiedy wyciągnięto już wszystkich innych, kapitan Wright polecił uwięzionym uruchomić system hibernacyjny, przekazał dowództwo w ręce porucznika O'Neala i sam poszedł w ich ślady.

O'Neal przyjrzał się grupie przygnębionych żołnierzy zebranych w głównym kanale wodociągowym.

Splaszczona rura była rozbita na kawałki i zwisała w dół jaskini, którą wydrążyli żołnierze w ciągu ostatnich kilku godzin. Jeden z dowódców drużyny poszedł do drugiego końca tunelu i stwierdził, że był zablokowany właśnie na trasie, którą mogliby wybrać.

– Sierżancie Green.

– Tak, sir?

– Niech żołnierze coś zjedzą i sprawdzą broń i pancerze. Niech załadują karabiny i pistolety i zajmą się zwykłymi zadaniami. Przez ten czas powinienem dokładnie poznać teren i wtedy wydam rozkazy operacyjne.

– Tak jest, sir.

– Dobra, jeden problem z głowy. Oby tak dalej, a wszystko będzie dobrze.

– Michelle, kto z dowództwa pozostał przy życiu?

Mike nacisnął klawisze kontrolne na lewym przedramieniu i wyświetlił kolorowy schemat poziomu energii w pancerzach żołnierzy. Obejrzał go i skrzywił się. Naładuj albo giń, pomyślał z nutą czarnego humoru. Nie jesteśmy króliczkami Energizera.

– Major Pauley dowodzi obecnie niedobitkami batalionu.

– Dobra, połącz mnie. Gdzie oni są?

– Jednostka cofnęła się jakieś sześć kilometrów bezpośrednio w stronę głównej linii obrony.

– Co? A gdzie jest kawaleria?

– Jednostki amerykańskiej kawalerii rozpoczęły ogólny odwrót w głównej linii obrony. Ich siła bojowa spadła do trzydziestu procent. W innych okolicznościach należałoby je uznać za niezdolne do walki.

– Wyświetl.

Lokalny schemat zmienił się i ukazał masę czerwieni, połączoną z cienką linią zieleni. Linia nieznacznie przerywała się w kilku miejscach, a we fragmencie od strony lądu była duża przerwa oddzielająca główną masę od kolejnego małego fragmentu zieleni. Wyrwa zwiększała się i było jasne, że czerwień Posleenów wkrótce otoczy ścigane zielone jednostki pancerzy wspomaganych.

– Nadal się jeszcze wycofuje – powiedział Mike, patrząc, jak jednostka pancerzy wspomaganych przesuwa się ku wątpliwemu schronieniu, jakie mogła dać główna linia obrony.

– Tak.

– Czy ma kontakt z przełożonymi? – zastanawiał się na głos porucznik.

– Nie mam możliwości monitorowania komunikacji z dowództwem – stwierdził przekaźnik.

– Świetnie. Połącz mnie.

– Linia jest w tej chwili zajęta. Połączę, jak się zwolni.

– Dobra.

Mike znowu przyjrzał się schematowi, odruchowo rozprostowując i zaciskając dłoń. Przekaźnik

automatycznie dostosował opór rękawicy do oporu, jaki stawiałby przyrząd gimnastyczny, którego zwykle używał Mike.

– Czy schemat tej nieprzerwanej czerwonej masy jest dokładny, czy może są w niej jakieś wyrwy?

– Informacja opiera się na odczytach z sensorów audiowizualnych, więc jest dość dokładna.

Proponuję przed wydostaniem się na powierzchnię odejść daleko od terenu bitwy.

Przekaźnik podświetlił na mapie obszary o prawdopodobnie małej liczbie Posleenów.

– Dobra, gdzie jest najbliższy kanał odpływowy? – zapytał Mike. – Musimy się stąd jakoś wydostać. – Urwał na chwilę i dwa razy zacisnął rękawicę. – Hej, skąd, u licha, wytrzasnęłaś teraz tę informację, a nie wiedziałaś tego przed atakiem? – zapytał z gniewem.

– O czym pan mówi? – zdziwił się przekaźnik.

– Kiedy czekaliśmy na atak Posleenów, mogłem liczyć tylko na strzępy informacji od Indowy i Himmitów.

– Pytał pan o dane wywiadu batalionu – powiedział przekaźnik.

– Tak – potwierdził niecierpliwie Mike.

– Nigdy nie pyta pan mnie – powiedział przekaźnik.

Mike prawie wyczuł w tym pretensję. Zastanowił się nad tym i miał ochotę po prostu skończyć rozmowę.

W chwilach takich jak ta nienawidził pancerzy wspomaganych. Gdyby nie miał na sobie tony ceramitu i plastycznej stali oraz grubego na pięć centymetrów hełmu, mógłby palnąć się w czoło, uderzyć głową w mur albo przynajmniej pokiwać nią. W obecnej sytuacji stał jednak tylko w miejscu i czuł się jak idiota. Wziął głęboki wdech.

Wydmuchane powietrze zwiększyło ciśnienie w małej niszy wokół jego ust. Nie mógł już być bliżej namacalnej porażki.

– Michelle, wypełniasz ciągle raporty? – zapytał zmęczonym głosem.

– Nie, transmisje jednostki są kontrolowane, dostępne są tylko lokalne przekazy.

System lokalnych transmisji pancerza korzystał z kierunkowych impulsów jednookresowych transmisji podprzestrzennych. Transmisje przekazywano przez sieć z jednego pancerza do drugiego, który znajdował się właśnie w zasięgu wzroku. Informacje obiegały członków batalionu na takiej samej zasadzie, jak pakiety danych krążą w Internecie. Ponieważ transmisja po prostu przechodziła z jednego pancerza do drugiego, zużywana energia była niewielka, a ryzyko wykrycia albo zakłócenia prawie zerowe. Posleeni mogliby przechwycić przekaz tylko wtedy, gdyby znajdowali się już w obrębie batalionu.

– Dobra. Kiedy tylko skontaktujemy się z dowództwem, co nastąpi już wkrótce, chcę, żebyś przesłała mi pełny raport. Wszystkie dane. A co z kanałami ściekowymi?

– Nie ma głównych kanałów odpływowych. Istnieją rury neutralizujące toksyczne chemikalia, ale odradzam ich użycie. Mogłyby uszkodzić pancerz.

– W takim razie jak mamy się wydostać? – zapytał zdezorientowany O'Neal.

Michelle jasno stwierdziła wcześniej, że ma jakiś plan.

– Przez sieć wodociągową.

– Sieć jest zamknięta. Jeśli otworzymy tunel, woda wyrzuci nas i będzie nam bardzo trudno wrócić. Można wyłączyć dopływ wody? – zapytał.

Przyjrzał się schematowi systemu wodociągowego. Woda wpływała z oceanu przez rozmieszczone wzdłuż wybrzeży stacje przetwarzania. Od wody oddzielano plankton i sole mineralne, które były następnie przetwarzane, a oczyszczoną ciecz pompowano do megalopolis. Mimo że większość niezbędnych do życia produktów odzyskiwano wewnątrz miast, znaczną ilość wody tracono w

procesie parowania, co stworzyło potrzebę budowy przeogromnego systemu uzupełniania zasobów. Tunele biegły przez całą megalopolis, łącząc się i przecinając w ogromnej sieci wodociągowej.

– Nie można wyłączyć przepływu wody – przekąźnik odpowiadał na pytania w odwrotnej kolejności niż je zadano. – Pośleńi uzyskali kontrolę nad większością systemów pompowania między naszą pozycją a morzem i rozpoczęli instalację własnych sterowników sprzętu i oprogramowania. Poza tym nawet gdybyśmy wyłączyli stacje pomp, musielibyśmy borykać się z falą powrotną z megawieżowców.

– To jak sobie poradzimy?

– Nie mam obecnie żadnego planu – przyznał zapędzony w kozi róg przekąźnik.

– Cóż, ja też nie. Zajmiemy się tym w swoim czasie.

* * *

Duncan podrapał się po hełmie. Zewnętrzne czujniki wskazywały, że w tunelu wystarczy tlenu do oddychania, ale pluton zużyłby go szybko, gdyby hełmy zdjęto. Sytuacja była do dupy, zważywszy że bardzo chciało mu się zapalić Marlboro.

– Daj mi sierżanta Greena – powiedział do przekąźnika i spojrział na nowego porucznika.

O'Neal wyglądał, jakby dostał skurczów, kiedy tak zaciskał i rozluźniał dłonie. To był ten sam koleś z dywizji; przez ostatni miesiąc, kiedy nagle szaleńczo zwiększono intensywność szkolenia, kręcił się w pobliżu batalionu.

Batalion w żaden sposób nie mógł jednak osiągnąć gotowości bojowej szybciej niż w dwa miesiące, skoro przebił tyle czasu na statku. Po prostu porwali się z motyką na słońce. Z drugiej strony szkolenie, które przeprowadził Wiznowski, naprawdę pomogło. Żałował, że nikt nie zmusił pułkownika, żeby go posłuchał; Wiz naprawdę zna się na rzeczy.

– Na co patrzy O'Neal? – zapytał.

Odkrył wcześniej, że wszystkie przekąźniki były ze sobą połączone i czasem można było odczytać, nad czym pracują inne systemy.

– Nie mogę uzyskać dostępu do jego systemu – odpowiedział przekąźnik.

– A sierżant Green? – zapytał Duncan i kopnął gruz na drodze.

Odłamki plastycznej stali poturlały się w świetle reflektorów pancerza i odbiły od blokującego tunel rumowiska.

– Rozmawia z sierżantem Wiznowskim.

– Spróbuj się włączyć.

Był przekonany, że pozwolą mu włączyć się do rozmowy. Podczas podróży jego drużyna była jako pierwsza poddana tajnemu szkoleniu Wiznowskiego, i Duncan nawiązał z nim wtedy dobre stosunki.

– Słucham, Duncan – zapytał Green zmęczonym głosem.

– Wiadomo, co mamy robić? – spytał.

Widział obydwu podoficerów po drugiej stronie tunelu. Sprawdzali blokadę, a strużka wody pod ich stopami lśniła w świetle reflektorów pancerza.

– Poniekąd. Właśnie rozmawiam o tym z Wiznowskim. Porucznik mówi, że możemy się stąd wydostać przez system wodociągowy. Musimy podzielić żołnierzy na drużyny. Weź siedmu, Bittana i Sanborna ze swojej drużyny i inżyniera. Dam Breckerowi jego własną drużynę.

Pojawiły się nazwiska żołnierzy rozsypanych po całym tunelu, a ich pancerze podświetliły się. Duncan wybrał jedno z nazwisk, a na ekranie wizyjnym ukazała się kaskada danych.

– Dobra, niech będzie. Jedno pytanie: czy ten skurwiel – skierował wskaźnik laserowy na

porucznika – w ogóle wie, co mamy, do diabła, robić, czy będziemy musieli mu skopać dupę?

Ostatnia uwaga miała być w zamyśle żartem, który się jednak nie udał, kiedy rozmówcy zdali sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Byli uwięzieni pod stumetrową warstwą pieprzonego gruzu, a na powierzchni roіło się od Posleenów. Zasadniczo siedzieli w gównie. A dowodzący nimi oficer był całkowicie nieznany w całym batalionie.

O'Neal przestał zaciskać dłonie i stał teraz jak posąg. Zdawało się, że pokryta kamuflażem powierzchnia jego pancerza pochłania całe światło w tunelu. Nagle zniknął, a po chwili znowu pojawił się w zasięgu wzroku. Pancerz oficera najwyraźniej wykonywał jakieś analizy. Green odwrócił się do Wiznowskiego i przez moment prowadził jakąś prywatną rozmowę. Po chwili Wiz rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Duncan – powiedział Wiznowski dziwnie napiętym głosem. – Jeśli sprawisz jakiś kłopot temu karłowatemu sukinsynowi, to on ci skroi dupę, i to tak szybko, że się nawet nie zorientujesz, kiedy. Powiem krótko. Jak ci się, do cholery, wydaje, skąd mam tak wspaniałą wiedzę na temat wszystkiego, co jest potrzebne do obsługi pancerzy?

Krótki śmiech drugiego oficera był wyraźnie słyszany przez sieć komunikacyjną.

– Aha! – powiedział Duncan.

Szokująca swoim bogactwem wiedza Wiznowskiego była przedmiotem wielu dyskusji. Przypuszczano, że po prostu umiał lepiej posługiwać się przekaźnikiem. Zawsze podczas szkolenia, gdy padało jakieś pytanie, jego przekaźnik znał odpowiedź.

– Jak, u licha... – zaczął.

– Za każdym razem, kiedy trenowaliśmy, O'Neal siedział w swojej kabinie i nadzorował wszystko, jakbyśmy byli jego kukiełkami na sznurkach. Do cholery, w większości przypadków, kiedy Wiznowski odpowiadał na pytania, w rzeczywistości robił to O'Neal. Zazwyczaj był nawet obecny. Wystarczyło nakazać waszym przekaźnikom, żeby go nie „widziały”.

– Cholera.

– Więc – powiedział sierżant Green – porucznik wie, co robi. Lepiej zajmij się własnymi pieprzonymi zadaniami, zamiast wtrącać się do jego pracy.

Podoficer potrafił być zgryźliwy, kiedy chciał.

– Dobra, jeszcze tylko jedna kwestia.

– Co? – zapytał sierżant Green.

– Wymyśliłem, jak stąd wyjść. Na wypadek, gdyby porucznik pytał.

– Dobra, przekażę mu. A tak z ciekawości, coś ty wymyślił?

– No więc moglibyśmy umieścić za nami osobiste pola siłowe i odblokować tunel – powiedział i wskazał na rumowisko – to by zalało ten obszar jak komorę powietrzną.

– Dobra – powiedział sierżant Green i jeszcze raz spojrzął na stertę. – Przekażę porucznikowi. A teraz zbierz swoją drużynę.

– Się robi – powiedział Duncan i odszedł od ściany. – Mam tylko nadzieję, że porucznik będzie wiedział, co robić potem – skończył.

* * *

Sierżant Green podszedł do miejsca, gdzie stał porucznik O'Neal. Jednolity pancerz dowódcy poruszył się, co oznaczało, że porucznik zauważył sierżanta.

– Sir – powiedział Green na tajnym kanale – możemy porozmawiać?

– Jasne, sierżancie. Chyba powinienem nazywać pana moim zastępcą. Ale jakoś nie czuję się jak

dowódca.

Mówił zdecydowanym głosem z wymuszoną nutką humoru, ale w tle przebijało zmęczenie.

– Chyba obydwaj zostaliśmy rzućni na głęboką wodę, poruczniku – powiedział podoficer.

– Tak, ale nie wolno nam zatonać, sierżancie. Właśnie dlatego zarabiamy tak dużo forsy – powiedział oficer tonem podnoszącym na duchu.

Green był dla O'Neala w pewnym sensie zagadką. Nie uczestniczył w programie szkoleniowym Wiznowskiego, więc Mike nie miał okazji poznać jego metod. Wydawał się jednak bardzo ambitnym i zdolnym podoficerem. Lepiej, żeby tak było.

– Zgadza się, sir. Dobra, problem polega na tym, że żołnierze wiedzą, że siedzimy po uszy w gównie, sir, a ja nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Była jedna propozycja, ale moim zdaniem jest dosyć wątpliwa.

Green przedstawił Mike'owi sugestię Duncana. Mike kiwnął głową i odbył krótką rozmowę z przekaznikiem.

– Tak – powiedział. – Chyba się uda. Proszę podziękować Duncanowi, znowu coś mu zawdzięczam. Musimy jednak być pewni, zanim skoczemy w ogień. Zaczniemy, kiedy tylko porozumiem się z dowództwem.

– Może pan nawiązać łączność przez te wszystkie skały?

Green był zadowolony, że dowodził nimi właśnie ten porucznik. Najwyraźniej nie tylko znał się na rzeczy, ale chętnie też przyjmował dobre propozycje. Na początku rozmawiał tylko z Wiznowskim, ale Wiz był oficjalnym ekspertem batalionu. Kiedy Wiz powiedział Greenowi, skąd pochodziły wskazówki i ekspertyzy, porucznik zyskał szacunek w oczach podoficera. Zastanawiał się, ilu jeszcze dowódców kompanii dało się w ten sposób zwieść.

– Jasne – powiedział bez namysłu Mike – komunikatory działają nie tylko w zasięgu wzroku i po prostu wchodzą na odpowiednią częstotliwość.

– Rozumiem, sir. – Natychmiastowa odpowiedź była kolejną podnoszącą na duchu oznaką kompetencji oficera. – Dobra, kiedy zaczniemy operację, sir?

– Wkrótce. Sądzi pan, że byłoby lepiej wyruszyć od razu, czy najpierw odpocząć, a dopiero potem wyruszyć?

Mike wyświetlił schemat proponowanej trasy w taki sposób, żeby obaj mogli go zobaczyć.

– A czy będziemy się mogli zatrzymać gdzieś po drodze, sir?

Powinien lepiej orientować się w schematach, ale brak przeszkolenia w zakresie działania systemu wciąż dawał mu się we znaki.

– Chyba tak.

Mike podświetlił kilka możliwych miejsc odpoczynku.

– W takim razie proponuję, żeby wyruszyć jak najszybciej, sir. Żołnierze są podenerwowani i jeśli nie przemieścimy ich na otwartą przestrzeń, zaczną wariować. I tu pojawia się drugi problem.

– Jasne, sierżancie, broń i energia.

Pięćset kilometrów! Siedemdziesiąt dwie godziny! Mówiłem im, żeby używali antimaterii!

– Tak, sir, albo raczej brak broni. Większość z nas nie ma nawet pistoletu.

– Cóż, na razie broń nie jest nam potrzebna, a później coś znajdziemy, niech się pan nie martwi. A co z tą drugą grupą, gdzie oni są?

– Sierżant Brecker dowodzi osiemnastoma ludźmi, sir, w tym dwoma inżynierami. Byli około dwustu metrów dalej, w innym tunelu. Przekopują się teraz do nas.

– Kiedy tu dotrą, rozpoczniemy drugą fazę. Potrzebuję tych inżynierów, ale przydadzą się też wszyscy inni.

– Poruczniku O'Neal – wtrącił się przekaźnik. – Major Pauley może już z panem rozmawiać.

– Dobrze, połącz mnie. Sierżancie, proszę nakazać żołnierzom, którzy nie pracują nad ewakuacją, żeby kopali tunel w stronę sierżanta Breckera i jego ludzi. Muszę porozmawiać z batalionem.

– Tak jest, sir.

W głosie sierżanta wyraźnie zabrzmiała ulga. Zaczął ze swoimi podkomendnymi przekopywać się do drugiej grupy, zadowolony, że misja była jasno określona.

* * *

Przekaźnik zaćwierkał na znak rozpoczęcia nowego połączenia.

– Majorze Pauley, mówi porucznik O'Neal.

– O'Neal? Czego chcesz, do cholery?

– Sir, dowodzę obecnie żołnierzami, którzy przeżyli wybuch i są pod Qualtren. Oczekuję rozkazów, sir.

Mike patrzył, jak podoficer prowadzi grupę przez rumowisko. Pierwszy żołnierz w pancerzu, który dotarł do przeciwległego krańca tunelu, chwycił i wyciągnął kawałek gruzu. Sterta natychmiast się osunęła i zapadł się fragment stropu, przysypując w jednej chwili innego żołnierza. Wśród przekleństw na prywatnym kanale Green, wymachując rękami, nakazał grupie pracować z większą ostrożnością.

– A kto, u diabła, dał ci dowództwo? – zapytał stanowczo oficer przez sieć komunikacyjną.

– Kapitan Wright, sir – odpowiedział O'Neal.

Oczekiwał wprawdzie pewnego oporu, ale surowość głosu Pauleya zbiła go z tropu.

– A gdzie jest Wrioth, do cholery?

– Mogę złożyć raport, sir?

– Nie, cholera. Nie chcę twojego przekłętego raportu. Pytam, gdzie jest kapitan Wright.

Oficer dyszał dziwnie, jak podczas obscenicznej rozmowy telefonicznej.

– Kapitan Wright jest nieosiągalny za pomocą dostępnego nam sprzętu, majorze. Powierzył mi dowództwo nad żołnierzami, którzy mogą się poruszać, a sam wprowadził się w stan hibernacji.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę dowodzić moim wojskiem jakiemuś sierżantowi nie wiadomo skąd – powiedział major łamanym głosem, a jego wypowiedź zakończyła się wysoką, urwaną nutą. – Gdzie, do diabła, jest reszta oficerów?

– Jestem tu jedynym oficerem zdolnym objąć dowództwo, majorze – odpowiedział rozsądnie O'Neal. – Jest tu jeszcze tylko czterech starszych sierżantów i pięciu sierżantów, sir. Tylko ja jestem oficerem.

– Nie mam czasu na twoje wyliczanki – warknął dowódca. – Połącz mnie z innym oficerem.

– Sir, mówiłem już, że nie ma tu innych oficerów.

– Cholera, poruczniku, dawaj mi tu zaraz kapitana Wrighta albo postawię cię przed sądem wojennym!

– Sir – powiedział pobłaźliwie Mike.

Zaczął zdawać sobie sprawę, że major Pauley nie najlepiej kontaktuje.

– Sir... – zaczął znowu.

– Cholera, poruczniku, sprowadź mi tu tych żołnierzy, i to już! Potrzebne mi wszystkie oddziały! Nie mam czasu na pieprzenie w bambus. Połącz mnie z kapitanem Wrightem!

– Tak jest, sir. – Mike nie wiedział, co zrobić, ale na początek należało zakończyć tę rozmowę. – Poprowadzę żołnierzy do pańskiej lokacji możliwie najszybciej i przekażę kapitanowi Wrightowi,

żeby się z panem skontaktował tak szybko, jak się da.

– Tak jest lepiej. I zwróć mu dowództwo, do cholery. Jak śmiesz uzurpować sobie prawo do wydawania rozkazów, ty mały szczeniaku? Oddam cię za to pod sąd wojenny! Zamelduj się zaraz u mnie!

– Tak jest, sir, już lecę. Koniec. Michelle, przerwij połączenie. – Zastanowił się przez chwilę. – Michelle, kto jest następnym w dowodzeniu tym burdelem?

– Generał brygady Marlatt jest zaginiony w akcji. Zostaje generał Houseman.

– Dobra, kto został w dowództwie batalionu?

– Major Norton i kapitan Brandon nadal biorą udział w akcji i są przypisani do batalionu.

– Połącz mnie z kapitanem Brandonem.

– Na lewo, na lewo! Zespół Bravo, odwrót!

Kapitan Brandon kierował resztkami wojska na otwartym kanale, zazwyczaj wykorzystywanym w manewrach plutonu. Zważywszy że z mapy Mike'a wynikało, iż Brandonowi zostało już tylko niecałych czterdziestu żołnierzy, wszystko się zgadzało.

– Kapitanie Brandon.

– Przekaznik: kanał półprywatny – powiedział szybko kapitan. – O'Neal? To ty? Myślałem, że zginąłeś pod tą twoją piramidą.

– Dzięki za wsparcie – ciągnął z sarkazmem Brandon. – Niestety większość mojej choleryjnej kompanii nie całkiem zdążyła opuścić budynek!

– Wybuchu nie wywołały podłożone ładunki, mimo że one też zostały zdetonowane – zaczął Mike.

– Świetnie, teraz wymyśl jakiś cud, żeby nas wyrwać z tego koszmaru! Albo zwróć mi moją cholerną kompanię! – skończył z gniewem kapitan.

– Mam tu część pańskich żołnierzy, sir. Zaczniemy ewakuację, kiedy tylko dołączy do nas reszta. Ale przed chwilą próbowałem zameldować się u majora Pauleya, a on, jak by to powiedzieć, po prostu...

– Bredził – powiedział beznamiętnie Brandon.

– Tak, sir.

– Wiem o tym, dziękuję. Coś jeszcze?

– No... – no, dalej, pomyślał, powiedz to. – Co ja mam, do cholery, robić? Ja... ja... – ugryzł się w język, zanim powiedział to, co chciał – nie jestem pewien, jaką obrać taktykę, sir.

– Nie mam czasu, żeby prowadzić cię za rękę, O'Neal. Rób wszystko, co twoim zdaniem przyniesie wrogowi najwięcej szkód, zanim będziesz mógł znowu do nas dołączyć. Przyjmij to jako rozkaz, jeśli ci to pomoże.

– Dobrze, sir. – Głęboki wdech. – Tak jest, sir.

– O'Neal.

– Tak?

Przez chwilę było cicho.

– Możesz mieć w dupie te pieprzone brednie, że jesteś podoficerem, który miał szczęście i dlatego tylko dostał cholerny awans. Uratowałeś nam tyłek, burząc budynki. Przepraszam, że natarłem ci uszu, to było niesprawiedliwe.

Więc udanych łowów. Nabij ich na pal, poruczniku. To rozkaz.

Głos oficera był stanowczy i spokojny.

– Dobrze, sir – powiedział Mike, a w każdej sylabie brzmiało przekonanie. – Tak jest, sir.

– A teraz zjeżdżaj z tej choleryjnej częstotliwości. Mam tu wojnę na karku. Zespół Alfa! Pozycja piąta!

Odpowiedzieć na ostrzał! Jazda!

Mike brnął pod prąd płynącej wody, zwisał na linie jak przynęta na żyłce wędkarskiej i szczerze żałował, że okazał się mądrzejszy i nie wymyślił lepszego planu.

Kiedy stworzono już prowizoryczną śluzę, a teren został zalany, pojawił się problem z poruszaniem się przez kanały wodociągowe. Między miejscami nie podbitymi jeszcze przez wroga, gdzie wciąż korzystano z wody, a wyrwami w rurach prędkość przepływu była dość duża. Dobry pływak bez obciążenia może płynąć pod prąd wody o prędkości od trzech do czterech węzłów. Mike oszacował szybkość nurtu w miejscu, gdzie się znajdowali, na siedem węzłów.

Mike trenował już pod wodą w pancerzu wspomaganym, ale zawsze była to woda stojąca. Kiedy sprawdził nurt przy pierwszym rozwidleniu, odniósł przygnębiające wrażenie, że sprzęt okaże się nic niewart, zwłaszcza że brak mocy nie pozwalał „przelecieć” w pancerzu pod wirnikami. Nadal nie był pewien, na czym, oprócz „nabicia Posleenów na pal”, miała polegać jego misja, ale miał szczerzy zamiar zobaczyć jeszcze fluorescencyjne słońce Diess, i to szybko. Oznaczało to, że musi się wydostać ze strefy całkowitego zniszczenia, a jedyna droga prowadziła przez system wodociągowy, niezależnie od siły nurtu. Skoro nie można było pływać w pancerzu, pozostawała tylko przeprawa na linie. Zresztą Mike ułożył trasę, która biegła z prądem i kończyła się trzy bloki od Qualtren. Ponieważ pierwsza zasada dowodzenia głosiła, że nie należy prosić innych o zrobienie tego, co można zrobić samemu, Mike, nie bacząc na protesty sierżanta plutonu, postanowił iść jako pierwszy.

Linę zaczepiono na początku trasy uniwersalną klamrą i rozwijano w miarę marszu zwiadowcy, czyli O'Neala, który zwisał z niej jak pajak w rwącej rzece. Określono miejsca postoju, w których nurt był wolniejszy, a także ustawienie żołnierzy w kolejności do dalszego marszu. Uzgodniono, że po pierwszym postoju inni żołnierze przejmą obowiązki zwiadowców.

Dźwig i lina były wbudowane w pancerz. Dźwig był wybrzuszeniem wielkości paczki papierosów na plecach pancerza, a lina była cieńsza niż wkład długopisu. Chociaż zaprojektowano ją do pracy w warunkach niskiej grawitacji, mogła być nawijana i rozwijana przy ciężeniu trzykrotnie większym niż na Ziemi, nawet przy pełnym obciążeniu pancerza. Z drugiej strony, mimo że system szpuli i uniwersalnej klamry – „magnes” oparty na technologii współdzielenia protonów – przetestowano w warunkach pełnego zanurzenia, nigdy nie sprawdzono wytrzymałości na rozciąganie pod wodą.

Ten brak testów był osobistą porażką Mike'a, zwłaszcza że teraz musiał jako pierwszy eksperymentować z pancerzem. W razie jakiegokolwiek niepowodzenia nie miał na kogo zrzucić winy. Kiedy skakał w głąb ciemnego tunelu, obawiał się, że będzie musiał przeklinać samego siebie: projektodawcę, eksperymentatora, użytkownika. Idiotę.

W tunelu panowała nieprzenikniona ciemność, którą tylko trochę rozświetlały reflektory pancerza. Szlam z otworów wirował w wodzie. Kiedy Mike obracał się gwałtownie w szalejącym nurcie, światło na chwilę rozwidniało mrok, żeby zaraz znów zginąć wśród zawirowań. Chwilowy odbłask na ścianie, czysta woda, ściana, otwór, pokruszone kawałki plastobetonu z konstrukcji, którą zbudowali kiedyś Indowy. Uczucie bezradności, obrotowe ruchy i błyskające światła przyprawiły Mike'a o potężne zawroty głowy. Gwałtownie zwymiotował, a zwrócona zawartość żołądka została przechwycona i usunięta przez systemy hełmu.

– Jak daleko jeszcze?

Na chwilę zamknął oczy, co jeszcze pogorszyło jego samopoczucie, więc otworzył je znowu i utkwiał wzrok w wyświetlaczach pancerza. Sprawdzał właśnie schemat, kiedy pancerz silnie wałnął w ścianę. Potężne uderzenie zostało bardzo dobrze zamortyzowane przez system i Mike prawie niczego nie poczuł.

– Dwieście siedemdziesiąt pięć metrów do pierwszego punktu – odpowiedział przekaźnik.

– Zwiększ prędkość rozwijania do pięciu metrów na sekundę.

Kiedy przekaźnik wykonał polecenie, obroty zmniejszyły się, bo pancerz przemieszczał się teraz z prędkością zbliżoną do szybkości nurtu. Mike próbował ustabilizować swoją pozycję, odchylając się, kiedy znów uderzył w ścianę.

– Michelle, ustaw dźwig na stałe napięcie czterech i pół kilograma bez względu na prędkość rozwijania, zwiększ szybkość do dziesięciu metrów na sekundę.

– Poruczniku O'Neal, jeśli natrafi pan na dużą przeszkodę przy prędkości dziesięciu metrów na sekundę, może to spowodować poważne uszkodzenia. Według przepisów bezpieczeństwa, zalecana prędkość przy nie kontrolowanym poruszaniu się wynosi siedem metrów na sekundę.

– Michelle, sam określiłem tę specyfikację, więc jest dobra, podoba mi się. Ale czasem trzeba trochę nagiąć przepisy. Jakie maksymalne ciężenie wytrzymał żołnierz w pancerzu podczas wybuchu oparów pod Qualtren?

– Szeregowy Slettery wytrzymał sześćdziesięciopięciokrotność ziemskiej grawitacji przez pięć mikrosekund i ponad dwudziestokrotność przez trzy sekundy – odpowiedział przekaźnik.

– Więc chyba mogę wytrzymać uderzenie w beton przy mizernej prędkości dziesięciu do piętnastu metrów na sekundę? – zapytał Mike z uśmiechem.

– Mimo wszystko systemy pancerza szeregowca wykazują pewne wewnętrzne uszkodzenia – zaprotestował przekaźnik.

– Czy pancerz nadal działa?

– Ledwo.

– Chyba że tak.

Jej uwagi były dla Mike'a dużą pomocą. Przed tą małą przygodą odbyli razem ponad trzy tysiące godzin ćwiczeń, i O'Neal, pancerz i przekaźnik stali się zgranym zespołem. Dowiedział tego fakt, że Michelle bez wezwania wyświetliła ostrzeżenie, kiedy zbliżali się do miejsca od poczynku. Ograniczenia programowe uniemożliwiały jej wprowadzić zmianę zaleconych przez Mike'a prędkości rozwijania liny, ale mogła zasygnalizować mu potrzebę ostrego hamowania. Porucznik zastanawiał się czasem, kiedy Michelle rozwinęła taką osobowość. Większość przekaźników, z którymi miał do czynienia, była raczej nudna. Postanowił zrobić na złość Michelle i nie zwolnił aż do ostatniej chwili. Grał przekaźnikowi na nerwach.

Kiedy miejsce postoju pojawiło się w zasięgu wzroku, O'Neal nacisnął kciukiem przycisk ręcznego sterowania dźwigiem. Zatrzymał się dokładnie w chwili, gdy Michelle krzyknęła „Ach, Mike!” – Mam cię – zaśmiał się.

Brak odpowiedzi był zamierzony. Manewr hamowania rzucił Mike'a prawie aż na przeciwległą ścianę rury o przekroju trzech metrów. Poluzował linę jeszcze o kilkadziesiąt centymetrów i spróbował „przelecieć” do otworu, skręcając ciało do pozycji zwanej w nurkowaniu powietrznym „manewrem delta”. Zasadniczo polega ona na utworzeniu z ciała samonaprowadzającej strzały. Niestety zewnętrzna budowa pancerza nie nadawała się do tego manewru, i mimo że Mike'owi udało się doskoczyć do otworu, równie szybko powrócił do punktu wyjścia. Chwytał linę i spróbował odchylić się jeszcze raz, ale pokonał go nurt i geometria ruchu.

Powstrzymał wreszcie obrót szpuli przez włączenie klamer na butach, które były uniwersalnymi

chwytakami, przyczepił stopy do przeciwległej ściany i zastanowił się nad swoim położeniem. Musiał przekroczyć trzymetrowy strumień wody, podczas gdy utrudniały mu to wszelkie prawa fizyki. Chwileczkę, w którą stronę działa siła grawitacji? Cóż, jej wektor był prostopadły do kierunku ruchu, więc ciężenie nie stanowiło żadnego wsparcia. Mike poluzował jeszcze trochę linę, aż znalazł się w pozycji prostopadłej do ściany, na której się zaczepił, z twarzą zwróconą w dół strumienia wody. Znowu zapomniał o grawitacji i wyciągnął ręce jak najdalej. Nie mógł dosięgnąć, był o wiele za niski. Co robić, co robić?

Buty pancerza. Uwolnił prawy but, postawił stopę z boku i znowu zacisnął klamrę. Teraz lewy but. Krok. Klamra.

– Poruczniku O'Neal? – zabrzmiał po kilku minutach zaniepokojony głos sierżanta Greena.

– Tak? – sapnął Mike.

– Wszystko w porządku, sir?

– Tak – mruknął Mike.

Walka z prawami fizyki w obecnej sytuacji przypominała wtaczanie buldożera pod górę, a pancerz tylko utrudniał sprawę. Pseudomuskulatura nie była zaprojektowana do poziomego przemieszczania się w poprzek rwącego nurtu. To znowu moja wina.

– Jestem już prawie na miejscu – sapnął. – Proszę przygotować pierwszy zespół.

– Tak jest, sir.

Wspinał się po śliskiej ścianie tunelu. Buty nie ślizgały się, co – jak ustalił Mike – należało przypisać raczej producentom Indowy niż projektodawcy-idiocie. Jednak zaczepienie ich było znacznie trudniejsze. Wreszcie postawił stopy na gzymsie i prawą ręką zapiął klamrę na ścianie w miejscu postoju. Uchwycił klamrę drugą ręką i przeturlał się z sapnięciem na spokojne wody bocznego tunelu.

– Niech będą potępieni wszyscy dyletanci – powiedział chrapliwym głosem, dysząc ciężko. – Michelle, zwiększ stężenie tlenu, zanim wpadnę w panikę.

– Słucham, sir?

– Nic, sierżancie – powiedział Mike, walcząc z pragnieniem zderzenia z siebie pancerza, żeby wziąć prawdziwie głęboki wdech. I wchłonąć wodę do płuc. Zwiększone stężenie tlenu na szczęście zaczynało już zaspokajać głód tlenowy.

– Jestem na miejscu. Proszę sprawdzić zaczepy, a ja zapnę klamrę po tej stronie.

– Tak jest, sir.

– Poślij następnego fraje...ochotnika – powiedział Mike i przypiął koniec liny do stropu.

Poluzował jeszcze kilkadziesiąt centymetrów i przypiął swój kawałek do ściany tunelu.

– Muszę was jednak ostrzec. To nie jest takie proste, jak sądziłem.

– Tak, sir – powiedział sierżant Green ze stłumionym śmiechem. – Powiem panu, że właśnie pozwolił mi pan zarobić pięćdziesiąt dolców. Założyliśmy się pięć do jednego, że się panu nie uda.

– Bardzo przepraszam. To ja zaprojektowałem te systemy i mam do nich całkowite zaufanie. – Chyba we śnie. – Trudny jest tylko ostatni odcinek.

– Ach tak, sir, jak pan uważa.

Dalsza ewakuacja ze strefy całkowitego zniszczenia była czasochłonna, ale dość bezpieczna. W miarę marszu żołnierze odkrywali nowe techniki pokonywania siły nurtu. Musieli zatrzymywać się przed nielicznymi zakrętami i przechodzić na drugą stronę tunelu. Po kolejnych trzech godzinach dotarli do pompowni w suterenie innego megawieżowca, cztery kilometry od Qualtren.

Mike upewnił się, że w okolicy nie ma Posleenów, postawił przekaźnik na straży i nakazał żołnierzom odpoczynek. On jednak musiał czuwać. Problem polegał na tym, że mimo iż O'Neal miał

około pięćdziesięciu podkomendnych, nie było praktycznie żadnej broni. Ich zewnętrzne uzbrojenie zostało oderwane od pancerzy podczas wybuchu i tylko kilku żołnierzy zachowało sprawne pistolety. Na szczęście wszyscy posiadali kilka tysięcy pocisków, które używały antymaterii jako źródła energii, więc z pewnością mogły się na coś przydać. Najpierw jednak Mike musiał zorientować się w ogólnej sytuacji..

Czuł się zbyt zmęczony, żeby używać systemów sterowanych głosem, więc przywołał wirtualny pulpit. Najpierw sprawdził ogólny stan bitwy. Tym razem schemat przedstawiał dużo gorszą sytuację. Masa Posleenów miała już kontakt z drugą zieloną kreską. Linia obrony, z dala od której zmechanizowane jednostki miały utrzymać Posleenów przez dwadzieścia cztery godziny, została przekroczona już po dwunastu.

Resztki jednostek zmechanizowanych zostały zepchnięte na wybrzeże plecami do morza i wzięte w kleszcze.

Mike wyświetlił schemat innego miejsca na polu bitwy i patrzył, jak obwód zawęża się, miga i znika. Osiem godzin.

A przecież projekt operacyjny zakładał utrzymanie pozycji przez osiemnaście do dwudziestu czterech godzin.

Mike zlokalizował niedobitków trzysta dwudziestego piątego pułku w rezerwie głównej linii obrony. Tylko jednostka pancerzy wspomaganych zdołała wycofać się wystarczająco szybko, żeby uniknąć okrążenia. Nie zawracał sobie głowy ustaleniem swoich bezpośrednich przełożonych. Założył, że major Pauley stracił dowództwo, co oznaczało, że dowodził nim teraz major Norton. Z punktu widzenia Mike'a sytuacja wcale się nie poprawiła. Z mapy wynikało, że amerykańska jednostka połączyła się z niemiecką.

Zakreślił okrąg wokół jednostek pancernych składających się głównie z Francuzów, Niemców i Anglików.

Siódmy pułk kawalerii, rozlokowany najdalej od morza i mający odsłonięte skrzydło po odwróceniu trzysta dwudziestego piątego pułku, z całą pewnością został wyeliminowany najwcześniej. Cienie Little Bighorn. Nie musiało się tak stać. Przecież zmieciono niemal wszystkie oddziały głównego szturmego Posleenów, kiedy wysadzono w powietrze Qualtren i Quatrev. Przy wsparciu batalionu siódmy pułk kawalerii miał szansę przetrwać. Gdyby tylko nie wybuchły opary oleju, nie obniżyły morale batalionu i nie zabiły pułkownika Youngmana. Udałoby się....

I ciągle jeszcze może się udać, pomyślał. Żadnej broni, ale mnóstwo ładunków wybuchowych. Moglibyśmy przełamać oblężenie. Zaczął szkicować w umyśle plan bitwy.

– Michelle, spróbuj połączyć mnie z generałem Housemanem albo generałem Bridgesem. Chyba wciąż możemy wyciągnąć tego królika z kapelusza.

* * *

– Sir, pierwszy porucznik O'Neal z jednostki pancerzy wspomaganych jest na linii. Nalega na rozmowę z panem.

Lucius Houseman nie był w tej chwili w nastroju do rozmów z porucznikiem O'Nealem. Potrafił czytać mapy tak samo dobrze jak porucznik, a gdyby nawet tak nie było, miał jeszcze całą masę oficerów sztabowych gotowych powiedzieć mu, co przyniesie jutro. Po wybiciu jednostek uwięzionych na wybrzeżu Posleeni mogli poważnie zagrozić głównej linii obrony. Trudno będzie ją utrzymać bez wsparcia dywizji kawalerii, która została zniszczona w czasie odwrotu. Generał musiał się teraz zgodzić z porucznikiem, że jednostka pancerzy wspomaganych nie była przygotowana do

walki. Jako kawalerzysta nie wiązał żadnych nadziei z cholernymi jednostkami powietrznodesantowymi, ale nie chciał też, żeby O'Neal powiedział mu: „A nie mówiłem?” Generał słyszał też plotki, że zniszczenie batalionu spowodował jakiś kretyński plan „eksperta”. Przez całą minutę zastanawiał się, czy przyjąć połączenie. Jego umysł pracował ospale po dwudziestu godzinach patrzenia, jak Posleeni wyrzynają jego wojska. Wypił łyk letniej wody z menażki i zastanowił się, jakie ma wyjście. To chyba kara za rozdzielenie jednostek w obliczu wroga. Moglibyśmy użyć ładunków jądrowych, myślał, to by nam dało chwilę wytchnienia i wymiotło wroga w kosmos. Wreszcie jego adiutant wręczył mu odbiornik.

– O co chodzi, O'Neal? – warknął krótko.

– Wiem, jak wszystkiemu zaradzić, sir.

– Co?

– Nadal możemy wygrać, sir. Jestem za linią frontu z połową kompanii. Nie mamy broni, ale mamy antymaterię.

O'Neal mówił szybko, bo wiedział, że jego propozycja nie jest zgodna ze sposobem, w jaki Ameryka chciała toczyć tę grę. Ale wiedział też, że jeśli generał Houseman dobrze się nad nią zastanowi, dostrzeże zasadność planu bitwy.

– Możemy przemieścić się na obszar oblężenia i zrzucić megawieżowce prosto na Posleenów. Wystarczy tylko skruszyć trzydzieści głównych belek i budynki padną. Zrzucimy je na Posleenów i w ten sposób zwolnimy trasę przelotu pocisków hiperszybkich. Prawdopodobnie moglibyśmy stworzyć dojście do głównej linii i uwolnić kawalerię, a przynajmniej ochronić jej jednostki do czasu, aż można je będzie ewakuować od strony morza.

– Chce pan wysadzić jeszcze więcej budynków? Darhelowie już się pienią z powodu Qualtren i Qualtrev!

– Sir, z całym należnym szacunkiem, mam dwie sprawy. Po pierwsze, budynki i tak wpadną w ręce Posleenów, chyba że użyjemy broni jądrowej, a wtedy miną stulecia, zanim można będzie znowu z nich korzystać. Po drugie, to nie jest decyzja polityczna, tylko operacyjna. Darhelowie przyznali nam już prawo do decydowania o sposobie prowadzenia wojny. I mimo że wiem, że armia Stanów Zjednoczonych woli ograniczać uboczne zniszczenia, czasem warto się posunąć do tego, niezależnie od konsekwencji. Wszelkie przyjaźnie na tym polu i tak są już zerwane.

– Potrzebuję kilku minut na zastanowienie, poruczniku. Jak szybko może pan dotrzeć na miejsce?

– Trasą, którą mam zamiar iść, około godziny, sir.

– Dobra. Odezwę się znowu za najwyżej pięć minut. Czy wsparcie jednostek pancerzy wspomaganych będzie przydatne, niezbędne czy niepotrzebne?

– Bardziej potrzebuję broni niż ludzi, sir. Jeśli załatwi mi pan broń i ładunki wybuchowe, wystarczy mi jeszcze tylko pięćdziesięciu żołnierzy.

Generał Houseman czuł, jak wraca mu energia, a znika depresja spowodowana miazdzącą porażką. Niezależnie od tego, czy plan się powiedzie, czy wygrają, czy nie, Posleeni poczują, że zadarli z nie byle kim, albo on nie nazywa się Lucius Clay Houseman.

* * *

Po trzech minutach i czterdziestu sekundach generał Houseman znów nawiązał połączenie.

– Zgadzam się na pański plan, poruczniku. Pańska misja polega na dotarciu wraz z żołnierzami do strefy oblężenia Daltren i zburzeniu megawieżowców wewnątrz i wokół pierścienia wrogów. Pańskim głównym celem jest zmniejszenie sił wroga, a drugorzędne zadanie polega na utworzeniu

korytarza, przez który obłązione jednostki przedostaną się do przyjacielskich szeregów. Wolno panu wykorzystać każdą metodę, łącznie z użyciem znacznych ilości antymaterii. Proszę się szczególnie skoncentrować na przerwaniu pierścienia obłączenia. Wezwę ochotników z jednostki pancerzy wspomaganych w rezerwie i wyślę trzydziestu sześciu żołnierzy w dziewięciu wahadłowcach bojowych. W tej chwili nie mogę zaoferować więcej personelu ani sprzętu.

– Dziękuję, sir – powiedział O'Neal zdecydowanym głosem. – Wyruszamy, kiedy tylko obudzę moich żołnierzy i wydam odpowiednie rozkazy.

– Powodzenia, synu, udanych łowów.

– Rozkaz, panie generale!

– Żebyś wiedział, cholera! Zachowaj się jak kawalerzysta!

– Umieć biegać szybciej niż M1 Abrams i zestrzelić helikopter Apache – powiedział cicho porucznik. – Nie jestem ani z piechoty, ani z kawalerii, ni pies, ni wydra, sir.

– No to kim jesteś? – zapytał z rozbawieniem generał.

– Jestem tylko cholernym zmechanizowanym piechurem, sir.

– No to ruszaj, cholerny zmechanizowany piechurze.

– Tak jest, sir. Kończę. Michelle, częstotliwość plutonu. Sierżancie Green, proszę budzić żołnierzy.

– Ach, Jezu. Dopiero co się zatrzymaliśmy! – skarżył się sierżant.

– Raz na wozie, sierżancie, a raz...

Zmrużył ciężkie powieki i wypił łyk nieświeżej wody z pancerza. Byli na nogach od przedświt, stoczyli morderczą bitwę, dostali się w podmuch katastrofalnej eksplozji, wykopali tunele z piekiel, przepłynęli głębiny Styksu, a teraz musieli iść dalej po dziesięciominutowym postoju. Cóż, od czego nowoczesna technologia?

– Michelle, nakaz wszystkim przekaźnikom zaaplikować Provigil-C.

Specyfik był kombinacją ziemskiego lekarstwa na narkolepsję i galaksjańskiego środka pobudzającego. Ziemski specyfik zapobiegał wprawdzie zapadaniu w sen, ale stres walki był tak duży, że należało zastosować coś mocniejszego.

Kiedy silny galaksjański środek pobudzający o przedłużonym działaniu zaczął krążyć w żyłach żołnierzy, wojsko ruszyło się z miejsca. Niektórzy otwierali przyłbice hełmów, żeby przetrzeć zmęczone oczy i zaczerpnąć świeżego powietrza. Czuli się zaskoczeni, że w zajmowanym przez nich magazynie było ciemno jak w nocy. Przekażniki od tak dawna automatycznie wzmacniały niktłe światło albo uruchamiały ultrafioletowe reflektory, że żołnierze zupełnie stracili poczucie pory dnia. Nielicznych żołnierzy, którzy odnieśli obrażenia, łącznie z nieszczęśnikiem o jednej ręce i szeregowym Slatterym – teraz na zawsze uwiecznionych w statystykach jednostek pancerzy wspomaganych – obejrzał lekarz, bardziej żeby sprawdzić poprawność działania przekaźników, niż żeby zrobić coś, czego one by nie potrafiły.

Tymczasem Mike zebrał wokół siebie podoficerów i wstępnie ustalił kolejność marszu. Inżynierowie okazali się nagle niezbędni dla powodzenia misji. Przemieszczali się prawie tak samo szybko jak piechota, którą wspierali, mimo że ich pancerze były tak obciążone sprzętem, że wyglądali jak chodzące kiście winogron. Większość sprzętu stanowiły ładunki wybuchowe i zapalniki. Mimo że istniała cała masa sposobów, żeby detonować ładunek wybuchowy, najlepsze z nich były chwilowo niedostępne. Więc zamiast zabrać tylko materiały wybuchowe i zapalniki, żołnierze postanowili spróbować czegoś innego. Rzeczywiście mieli przy sobie dwadzieścia kilogramów C-9, z czego część zużyli podczas kopania tuneli, ale była to tylko drobna część ich bagażu.

Magazyn pancierza dzielił się na przegrody, z których każdą przeznaczono na odpowiedni rodzaj materiałów wybuchowych. Teraz żołnierze otworzyli przegrody i zaczęli rozdawać podtrzymujące na duchu pakunki. Każdy wziął po pięćdziesiąt ładunków i zapalników. Zapalniki były dość inteligentnymi urządzeniami, które można było zaprogramować do wysadzenia ładunku o odpowiedniej porze lub po otrzymaniu sygnału. Dodatkowo pluton rozdzielił między siebie zapasy C-9, tak żeby każdy miał przy sobie co najmniej pół kilograma; to powinno wystarczyć na ich potrzeby.

Najwięcej problemów sprawiał fakt, że do strefy oblężenia trzeba było dojść po powierzchni planety. Nie starczyłoby im czasu, żeby przemieszczać się systemem wodociągowym. Mike miał pewien plan, ale czuł, że spotka się z ostrym sprzeciwem, kiedy zdradzi go żołnierzom. Morale żołnierzy Mike'a wzrosło jednak, kiedy przeprowadził ich przez pierwsze zakole tunelu, a szczególnie kiedy znaleźli się na względnie bezpiecznym terenie.

Teraz musieli znowu wejść w ogień walki, ale gotowi byli, tak jak to czynią żołnierze od niepamiętnych czasów, wykonać każdy jego rozkaz i pójść za nim jak w dym.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania,
Sol III 02:43,
5 sierpnia 2002**

– Sierzancie – powiedział cierpliwie Pappas – miałem długi, cholerny dzień. I nie jestem, kurwa, w najlepszym nastroju, żeby wysłuchiwać tych dupereli. Mam tu pluton i muszę go gdzieś umieścić, do cholery. Potrzebny mi środek transportu i kwatery. Nie potrzebuję natomiast waszego pieprzenia.

Pappas cieszył się, że kompania ma swojego zarządcę koszar. Podoficer miał na sobie tylko połowę munduru, bo najwyraźniej spał, kiedy znalazł go Adams, i był potwornie upierdliwy, ale Pappas i tak się cieszył. Żeby jeszcze tylko udało mu się choć w niewielkim stopniu przywrócić zarządcy poczucie rzeczywistości.

– Przykro mi, sierzancie – upierał się otyły podoficer, wymachując kopią rozkazów, którą wręczył mu Pappas. – To nie wystarczy, żebym wpuścił pańskich ludzi do koszar. Rozkazy mogą być sfalszowane.

Spojrzał na grupkę żołnierzy czekających w ciemności.

Rozmowa odbywała się w snopie światła dużej latarni wiszącej nad drzwiami jednego z baraków. Każdy barak mieścił pluton. Kompania potrzebowała pięciu baraków. Pięć rejonów kompanii tworzyło z kolei teren batalionu z kwaterą z jednej strony i barakami dla starszych podoficerów z drugiej. Bataliony były poddzielane od siebie ulicami i placami apelowymi. Brak oświetlenia sprawiał, że wszystko wyglądało jak jeden wielki labirynt budynków.

Pappas spurpurowiał ze złości. Z trudem się powstrzymał przed złajaniem tego durnego palanta.

– Zdajecie sobie, mam nadzieję, sprawę – powiedział niebezpiecznie cicho – że macie do czynienia z waszym nowym pierwszym sierżantem?

Groźba nie zrobiła jednak żadnego wrażenia.

– Cóż – powiedział nonszalancko podoficer – musimy najpierw sprawdzić, co powie na to pierwszy sierżant Morales.

Pappas wyglądał na niepokieszonego.

– Jest tu jeszcze jeden pierwszy sierżant? – zapytał.

Nie zgadzało się to z informacją, jakiej mu udzielono, ale w Indiantown Gap nic nie odpowiadało warunkom, o których czytał w raporcie.

– Cóż – powiedział zarządca z lekko wzburzonym wyrazem twarzy – sierżant Morales jest starszym sierżantem – przyznał. – Ale pełni funkcję pierwszego sierżanta tej kompanii – zakończył z przekonaniem.

Pappas popatrzył na sierżanta przez chwilę, a potem palnął się w czoło. Co oni tu zrobili? Otworzyli dom wariatów czy co? pomyślał. Pochylił się w stronę podoficera.

– Spójrzcie no dokładnie tutaj – powiedział i wskazał na ramię. – A teraz policzcie te belki! Ile ich jest?

– Trzy – powiedział podoficer bez cienia wcześniejszej pewności siebie.

– A ile ma ich Morales?

– Dwie.

– Wiesz, co to znaczy, ty pieprzony szczyłu? – nie wytrzymał Pappas.

Odwrócił się i spojrzał podoficerowi prosto w oczy.

Usta sierżanta rozciągnęły się w nerwowym grymasie, a w oczach stanęły mu łzy.

Pappas otworzył szeroko oczy.

– Czyżbyś zaczynał płakać? – zapytał z niedowierzaniem.

Po twarzy zarządcy spłynęła łza i podoficer zaszlochał.

Pappas cofnął się i wniósł oczy ku niebu.

– Boże święty, dlaczego ja? – zapytał. – Gdzie jest, kurwa, podoficer sztabowy? – rzucił.

– Nie wiem, kto to jest – powiedział puciołowaty sierżant.

– Jak, do diabła, sierżant może nie wiedzieć, kto to jest podoficer sztabowy batalionu? – zapytał

Pappas.

I nagle uderzyła go pewna myśl.

– Od jak dawna jesteś sierżantem? – spytał.

– Miesiąc.

Sierżant nadal chlipał, ale nie ciekły mu już łzy.

Pappas potrząsnął głową i kontynuował przesłuchanie.

– Czy to jest twoja pierwsza jednostka?

Sierżant przytaknął bez słowa.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Od kwietnia.

– Kwietnia! Jesteś w pieprzonej flocie od pół roku i już zostałeś sierżantem?!

– Szczególne okoliczności, sierżancie – powiedział głos w ciemnościach.

Wysoki żołnierz stanął w snopie żółtego światła.

– Lepiej się nie mieszaj, Lewis – syknął zarządca. – Albo wiesz, co się stanie.

– Zamknij się – powiedział Pappas. – Jak jeszcze raz będę chciał usłyszeć od ciebie takie gówno, ścisnę ci łeb, aż samo wypłynie.

Przyjrzał się przybyszowi w żółtym świetle. Jego szary jedwabny uniform był zadbane i wyprasowany, a żołnierz miał starannie ułożone włosy. Nosił oznaczenie rangi młodszego podoficera, ale było jasne, że na mundurze jeszcze niedawno widniały belki sierżanta.

– Jakie szczególne okoliczności? – zapytał i spojrzał na pulchnego podoficera. – No bo... – wskazał na delikwenta.

– W kompanii brakuje obecnie starszych podoficerów – odpowiedział kwaśno przybysz. – Kurde, nie brakuje nam chyba tylko kłopotów.

– Przywiozłem nowych żołnierzy do kompanii – powiedział Pappas i całkowicie zignorował beużytecznego zarządcę. – Potrzebne mi kwatery.

– Nie może pan tu ich umieścić – powiedział z uporem zarządca.

Pappas w końcu stracił cierpliwość. Wyciągnął rękę i chwycił otyłego sierżanta za kołnierz. Uderzył nim o drzwi baraku i podniósł go do góry, tak że znaleźli się twarzą w twarz.

– Wyjaśnię ci to jeszcze raz – powiedział lodowatym głosem. – Jeśli usłyszę od ciebie jeszcze choć jedno słowo, które nie będzie odpowiedzią na bezpośrednie pytanie, osobiście zerznę ci tyłek. Zro-zu-mia-no?

Trzęsący się ze strachu podoficer rozbeczał się, ale kiwnął głową na znak zrozumienia. Pappas puścił go, a ten upadł jak kłoda.

– Mogę pana zabrać do kogoś, kto panu pomoże – powiedział spokojnie Lewis. – To niedaleko.

Pappas przyglądał mu się przez chwilę w zamyśleniu i kiwnął głową.

– Dobra, chodźmy.

Lewis skinął na roztrzęsionego sierżanta przy drzwiach.

– Hm, moglibyśmy go zabrać ze sobą. – Urwał i dokładnie przemyślał dobór słów. – Powiedzmy,

że lepiej będzie, jak nie zawiadomi pewnych osób – wyjaśnił.

Pappas uznał to rozumowanie i przytaknął. Było jasne, że sytuacja w kompanii nie odpowiadała standardom.

Możliwe, że najlepiej będzie wziąć tego starszego sierżanta Moralesa z zaskoczenia. Nawet się nie obejrzał.

– Adams, zajmij się tym.

Poprowadził pluton w głąb labiryntu baraków i potrząsnął głową z niezadowoleniem.

– Lewis, albo jak ci tam – powiedział spokojnie – może zechciałbyś mi wyjaśnić, co tu się, kurwa, dzieje?

Czy ktoś w całej flocie coś z tego rozumie? – zastanawiał się.

Prowincja Andata, Diess IV
07:14 czasu uniwersalnego Greenwich,
19 maja 2002

– Po pierwsze – powiedział Mike na otwartym kanale plutonu – musimy naładować pancerze.

– Ale jak mamy to zrobić, sir? – zapytał sierżant Green, jak dotąd odporny na dziwactwa powołanego niespodziewanie dowódcy.

Projekt był szalony, ale jednak mógł się udać.

– Ustawcie pancerze na ogólny tryb wyszukiwania źródeł energii. Zasilimy je podczas marszu. Kiedy będziemy już na powierzchni, rozglądajcie się za ruchomym sprzętem. Wszystkie maszyny używają takich samych baterii, które są zazwyczaj umieszczone w prawej przegrodzie i wyglądają jak duże zielone kryształy. Kiedy są całkowicie naładowane, świecą jasno, a później ciemnieją w miarę zużycia energii. Pasują do gniazda po prawej stronie w tylnej części pancerza. Jak je znajdziemy, rozdamy je żołnierzom z najniższym poziomem energii. Trzeba też szukać ciężkich maszyn, takich jak ta, pod którą utknął kapitan Wright. Można podłączyć pancerze do ich gniazd mocy.

Proszę teraz rozdać zwiadowcom pistolety i amunicję. Niech idą przodem, kiedy wyruszymy. Jeśli nie uda nam się uciec przed Posleenami, zaatakujemy ich, koncentrując się na tych z ciężką bronią. Lekka broń nie przebije naszych pancerzy, więc nie musimy się nią przejmować. Kiedy powalimy Posleenów z ciężką bronią, będziemy mogli wystrzelać resztę jak kaczki. Jeśli się da, starajmy się jednak unikać wszelkiego kontaktu z wrogiem. Kiedy naładujemy pancerze, podkreśamy kompensatory i kończymy z tym żółwim chodem. Mamy być szybcy, cisi i zabójczy. Dobra, to by było na tyle. Zwiadowcy naprzód, idźcie za piłeczką na wyświetlaczu.

Czterech pozostałych przy życiu zwiadowców złapało rzucone im pistolety i wyszło z pomieszczenia w ślad za projekcją chwiejnej jak błędny ogień piłeczki, skaczącej trzy metry przed nimi. Piłeczka prowadziła ich i nie musieli stale patrzeć na mapę. Projekcja była wystarczająco przezroczysta, żeby nie zasłaniać widoku otoczenia, i oczywiście niewidoczna dla wroga, bo pojawiała się tylko w hełmach żołnierzy. Tuż przed wyjściem z warsztatu Wiznowski zatrzymał się i wrzucił małą piłeczkę sensoryczną do następnego pomieszczenia. Zadowolony z odczytu, ruchem ręki nakazał pierwszemu zwiadowcy przejść przez drzwi. Kiedy żołnierze opuścili warsztat, znaleźli się na terenie hali produkcyjnej w następnym sektorze. Po obu stronach hali wznosiły się gigantyczne krosna, jak metalowe drzewa w lasach przemysłu.

Mike klepnął w ramię jednego z żołnierzy i wskazał uniwersalny podnośnik, który stał samotnie pośrodku strefy napraw. Żołnierz znalazł lekko błyszczący kryształ i pomachał nim triumfalnie. Podał go członkowi trzeciej drużyny, którego wskaźnik poziomu mocy migał nerwowo. Kiedy gniazdo wyssało energię z kryształu, wskaźnik nadal migał, ale wolniej, a kryształ pociemniał i zmatowiał. Na sygnał Mike'a żołnierz rzucił mu rozładowany kamień. Można go będzie z powrotem naładować, o ile jeszcze kiedyś nadarzy się do tego okazja.

Sierżant Green wskazał ręką na wznoszącą się wokół maszynię, ale Mike potrząsnął głową i wykonał zamaszty gest, żeby pokazać, że potrzebują o wiele więcej energii z cięższego sprzętu. W trakcie marszu do serca budynku musieli się dwa razy zatrzymać i przepuścić grupkę Posleenów, która się akurat napatoczyła.

Chociaż pluton nie poruszał się w ciszy – wyraźnie słychać było pracujące systemy pancerzy i

odgłos przełączania systemów bezpieczeństwa Michelle – żołnierze mogli z dużym wyprzedzeniem wykrywać zbliżających się Posleenów. Kiedy doszli do elektrowni, Mike zarządził postój. Zwiadowcy cofnęli się, a pluton utworzył okrąg.

Nadszedł czas na naradę wojenną.

– W porządku, oczekuję waszych opinii – powiedział Mike na otwartym kanale plutonu.

Znajdowali się na dużej, otwartej przestrzeni, w kolejnym magazynie, tym razem na jakieś duże części zamienne.

Półki piętrzyły się na wysokość trzech kondygnacji. W oddali maszerowały ciemne postacie, szereg za szeregiem.

Mike nacisnął przycisk i wszystkie wyświetlone dane zmieniły się teraz w obraz posleeńskich wojowników. Jasność obrazu spadła niemal do zera. W oddali jarzyło się światło, przypuszczalnie okno biura lub jakieś wejście. Inne polecenie wyłączyło szum systemów wentylacyjnych i ustawiło normalny poziom słyszalności. Pierścień żołnierzy w pancerzach wokół Mike'a milczał, a szary kamuflaż zlewał się z ciemnością i czynił zebranych niemal niewidzialnymi. W powietrzu unosił się słaby zapach zgnilizny i ozonu. W najbliższym otoczeniu nie było żadnych śladów wroga, ale nigdy nie szkodziło sprawdzić tego własnymi zmysłami. Mike z powrotem włączył czujniki i wentylację pancerza i mówił dalej.

– Nie wiem, czy skorzystam z rady, ale wysłucham jej – ciągnął. – Jesteśmy o pięć minut drogi od stacji energetycznych budynku. Możemy tam uzyskać potrzebną nam ilość energii, ale Posleenii rozbierają właśnie elektrownię na części. Nadal jeszcze możemy z niej skorzystać, ale oznacza to walkę i ryzyko ściągnięcia na siebie większej liczby wrogów. Nie znamy dokładnie systemów komunikacji Posleenów ani nie wiemy, co robią na świeżo podbitych obszarach. Oznacza to, że już po pierwszym wystrzale możemy mieć na karku dwa miliony Posleenów. Albo też możemy nie spotkać żadnego. Są tu liczne wyjścia i prawdopodobnie wydostaniemy się stąd, ale możliwe, że zużyjemy przy tym więcej mocy, niż uda nam się uzyskać. Z drugiej strony może nie być kontrataku, jeśli uderzymy szybko i cicho. A teraz słucham opinii podoficerów, najpierw młodszych. Sierżancie Brecker?

Młody dowódca trzeciej drużyny rozłożył ręce.

– Energia mojego pancerza wystarczy jeszcze na dwie godziny normalnego użytkowania, sir. A jeden z moich żołnierzy ma jeszcze gorzej. Nie uzyskaliśmy za dużo mocy. Moim zdaniem nie mamy wyboru.

– Sierżancie Kerr?

Pierwsza drużyna.

– A można, powiedzmy, podzielić się energią?

– Nie, pancerze mogą ją tylko gromadzić, dlatego chciałem zasilić najpierw te najbardziej wyczerpane. To zagadnienie techniczne budziło już przedtem wiele kontrowersji. Opowiem o tym, jak wszyscy przeżyjemy.

Zasadniczo można się przyłączyć tylko do otwartego źródła mocy. Niezależnie od tego, czy przeżyjemy, na Ziemię dotrze raport o naszych poczynaniach i prawdopodobnie znowu rozpocznie się debata na ten temat. Jednak teraz jest już za późno, żeby nam pomóc. Więc jak będzie? – zapytał.

– Atakujemy, sir. Nie mamy wyjścia.

– Rozumiem. Sierżancie Duncan? Druga drużyna.

– Dlaczego po prostu nie pójdziemy tam, gdzie jest ciężka maszyna, poruczniku? – zapytał Duncan.

– Zabierze nam to około godziny przy naszej obecnej prędkości. Za bardzo zboczylibyśmy z trasy.

Mike poczuł, że po raz pierwszy może prowadzić dialog ze swoimi podoficerami. Dużo się uczył z ich odpowiedzi.

– A więc jaka decyzja?

– Atakujemy.

Odpowiedź była szybka i niemal entuzjastyczna.

– Sierżancie Wiznowski?

– Wybijmy ich do nogi, sir – powiedział Wiz z nietypową u niego drapieżnością. – Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wybór, a mam ochotę skopać kilka tyłków.

Zawtórował mu stłumiony pomruk w sieci komunikacyjnej plutonu.

– Sierżancie Green?

– Na nich, sir.

– Dobra. Cieszę się, że podzieliliście się ze mną swoim zdaniem. Idziemy po energię. A teraz, kto ma prawdziwe doświadczenie w walce na noże, wrestlingu i poważnej sztuce wojennej? Czyli czy ktoś wygrał jakieś walki oprócz bójek w barze? Potrzebuję kogoś, kto potwierdzi tę informację, nie wystarczy mi wasze słowo. Dowódcy drużyn, zbierzcie tę informację od żołnierzy. Macie trzy minuty.

Patrzył z zadowoleniem, jak drużyny dzielą się na gestykujące grupki. Z ruchów rąk zgadywał, że żołnierze bronili swoich umiejętności bojowych, ale kiedy przełączył się na zewnętrzne systemy dźwiękowe, jeden z żołnierzy trzepnął go niechcący pięścią w rękę i rozległ się odgłos uderzenia.

– Druga drużyna! Cisza! – warknął sierżant Green, zanim O'Neal zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Przepraszam za to, sierżancie – powiedział sierżant Duncan.

Dopiero wtedy Mike zorientował się, kto narobił hałasu. Wydał polecenie Michelle, żeby przy każdym żołnierzu pojawiała się oznaczenie nazwiska, kiedy tylko Mike spojrzy w tym kierunku. Los pięćdziesięciu ośmiu istnień ludzkich zależał od jego właściwych decyzji, a on znał z nazwiska tylko sześciu, może siedmiu żołnierzy. Zostały dwie minuty. Dość czasu, żeby skontaktować się z górą.

– Michelle, spróbuj połączyć się z generałem Housemanem.

– Połączyłam się z kwaterą główną – powiedziała po chwili. – Generał Houseman już idzie.

– Dobra, dziękuję.

– Nie ma za co.

– O'Neal, jak wygląda sytuacja? – zapytał wprost generał.

– Oczywiście kończy nam się moc, generale. Musimy zboczyć nieco z trasy, żeby naładować panczerze. Za około godzinę wrócimy na kurs. Na pewno będziemy przemieszczać się szybciej, kiedy będzie więcej energii.

– W porządku, niech będzie. Jak zamierzasz uzyskać energię?

Mike powiedział mu.

– Jesteś pieprznięty, O'Neal – zaśmiał się ponuro oficer. – Uda się?

– Nie ma powodu, żeby się nie udało, sir. Nie potrafię przewidzieć siły oporu Posleenów, ale powinniśmy ten opór stłumić. Martwię się tylko posiłkami. Są jakieś szanse?

– Wyślę wahadłowce, kiedy będziecie gotowi na spotkanie. Zaznaczam jednak, że nie wszystkie do was dotrą.

Wszechwładcy mogą wystrzelać wahadłowce z broni swoich pojazdów jak kaczki.

– Bardziej potrzebna mi broń niż ludzie, sir. Proszę nie wysyłać żołnierzy.

– Miałem nadzieję, że to powiesz – powiedział z ulgą generał. – Nie wiem, czy cofnąłbym wsparcie, ale im więcej o tym myślę, tym mniej mi się to podoba.

– Proszę po prostu załadować wahadłowce amunicją, karabinami, granatnikami i bateriami do

pancerzy, i pozwolić nam zająć się resztą. Proszę wysłać wahadłowce na zdalnym sterowaniu.

– Tak właśnie zrobimy. Zawiadom mnie, jak już się spotkacie.

– Tak jest, sir.

– Koniec.

– Dobra, żołnierze – ciągnął Mike, a Michelle automatycznie przełączyła go z powrotem na kanał komunikacyjny plutonu – kim są szczęśliwi zwycięzcy Gwiazdnej Loterii Diess? Druga drużyna?

– Tylko ja – powiedział sierżant Duncan.

– Chyba nie przypominam sobie twoich wyczynów – zaśmiał się Mike. – Ale pamiętam, że dziesięć lat temu miałeś cios jak kopnięcie muła. Cieszę się, że jesteś ze mną. Dalej. Pierwsza drużyna?

– Lyle, Knudsen i Moore, sir – powiedział sierżant Kerr.

– Brzmi jak nazwa kancelarii prawniczej w Minneapolis.

– Tak, sir – zaśmiał się sierżant Kerr. – Cóż, Lyle i Knudsen znają kung-fu. Widziałem kiedyś kilka ich turniejów. Są dobrzy. A Moore... – Wskazał na wyjątkowo duży pancierz wspomagany obok siebie, a usłużny przekaźnik wyświetlił: „Specjalista czwartego stopnia Moore, Adumpaya”.

– ... był chyba największy w swojej klasie – dokończył O'Neal.

– Grałem też w piłkę, sierżancie. Poradzę sobie – zabrzmiał aksamitny bas.

– Jasne. Trzecia?

– Cóż, sir – powiedział sierżant Brecker. – Nikt z nas właściwie nie spełnia kryteriów, ale ja się zgłaszam.

Uprawiałem wrestling w szkole średniej i jestem pewien, że też sobie poradzę.

– Zgadzam się, ktoś musi reprezentować pańską drużynę. Zwiadowcy?

– Ja pójdę, sir – powiedział sierżant Wiznowski. – Nic mnie nie powstrzyma.

Mike sprawdził stan energii zespołu i wyraził zgodę; wszyscy świecili na żółto, ale żaden nie zbliżał się jeszcze to poziomu krytycznego.

– Dobra, oto plan – powiedział Mike i polecił wyświetlić wszystkim członkom plutonu mapę. – Zwiadowcy pójdą do pomieszczenia leżącego dwa sektory od elektrowni – powiedział i podświetlił odpowiedni obszar.

– Pomiędzy tym pomieszczeniem a elektrownią jest korytarz w prawo, a potem dziesięć metrów na lewo.

Sprawdzamy korytarz i idziemy do drzwi elektrowni, a reszta plutonu zostaje tutaj. Kolejność marszu jest następująca: Wiz, Moore, ja, Lyle, Knudsen, Duncan, Brecker – ciągnął.

– Wiz, zabezpieczasz korytarz. Czujniki budynku wskazują, że drzwi są zablokowane. Moore, wyważasz drzwi i na ziemię. Ja wchodzę i strzelam do wszystkiego, co się rusza, potem idą Lyle, Knudsen i Duncan. Wchodzi Moore. Brecker, pilnujesz drzwi. Przesyłam wektory marszu do waszych systemów. Posleeni usunęli albo zniszczyli czujniki w środku, więc nie wiemy dokładnie, gdzie są. Jeśli któryś z was zostanie unieszkodliwiony, wektory automatycznie się zmienią. Wprowadzimy resztę plutonu na mój rozkaz. Wtedy wyznaczę ochronę korytarza. Pytania?

– Ilu jest Posleenów w całym rejonie elektrowni? – zapytał Duncan.

– Około trzydziestu – powiedział Mike.

– Trzydziestu? – zatkąło Duncana. – I tylko siedmiu z nas?

– Tak – powiedział Mike. – Ekstra, co?

– Sir...

– Wystarczy, sierżancie. Nie pora na dyskusje. W każdej chwili można zrezygnować z udziału w akcji.

Członkostwo w zespole szturmowym jest całkowicie dobrowolne.

Mike zaczekał na odpowiedź.

– Niech będzie – powiedział Duncan po kilku chwilach zastanowienia. – Mimo wszystko jednak nie wydaje mi się, żeby nam się udało, poruczniku.

– Przyjąłem. Jeszcze jakieś pytania?

Nie było.

– Zwiadowcy naprzód.

Marsz do korytarza za elektrownią udał się, ale za ostatnim rogiem pojawiła się przeszkoda.

– Jest wartownik – szepnął sierżant Wiznowski.

– No to koniec – szepnął Duncan.

– To jeszcze nie jest koniec, sierżancie Duncan. Wzięłem to pod uwagę. Dobra, reszta z was siada na tyłku i nie odzywa się. Po cichu ustawić się.

Mike ustawił kompensatory i ruszył w stronę drzwi. Na szczęście ryk reaktora termonuklearnego w odległym pomieszczeniu częściowo zagłuszał ich kroki. Mike przez chwilę przyglądał się drzwiom, żeby upewnić się, czy łatwo je będzie otworzyć, i uchylił schowek na brzuchu. Wyciągnął rozładowany kryształ, który podał mu wcześniej żołnierz, i podrzucił w powietrzu, żeby go lepiej złapać.

– Michelle, siatka celownicza. Lewe ramię na automatyczne sterowanie, celowanie wizyjne. Gwałtownie otworzył drzwi, wszedł w korytarz i spojrzał na posleńskiego wojownika, który bronił dostępu do elektrowni.

– Ognia.

Pseudomuskulatura pancerza uniosła lewe ramię do pionu i cisnęła jednokilogramowy kryształ z prędkością dwustu metrów na sekundę w czoło Posleena. Centaur runął jak skała, która go trafiła.

– Naprzód.

Wiznowski minął Mike'a jak duch i przywarł do ściany za Moorem. Kiedy Moore dotarł do drzwi, porucznik sprawdził, czy wszyscy są na miejscu, zatrzymał się, wyciągnął lewą ręką rozwidlony miecz martwego posleńskiego wartownika i dał sygnał.

– Teraz.

Moore cofnął się o pół kroku, wyważył drzwi i przywarł do ziemi; siła bezwładności pchnęła go ponad metr w głąb pomieszczenia. Mike ucieszył się, że nie wtargnęli wśród burzy ognia, kiedy zorientował się, że patrzy na główny system chłodniczy reaktora.

– Żadnych granatów – warknął, kiedy dostrzegł Posleenów.

Kiedy się zbliżyli, przekaźnik wystrzelił po łukowatym torze pocisk z miotacza. Pociski były trzymilimetrowymi szpikulcami z oczyszczonego uranu. Osiągały cel z prędkością ponad stu metrów na sekundę i śmiertelnością precyzją.

W pomieszczeniu było siedmiu Posleenów, stojących równo w szeregu, oprócz jednego, który znajdował się dokładnie naprzeciw Mike'a i był zasłonięty przez sprzęt. Pięciu z nich zajmowało się głównym pulpitem sterowniczym systemów chłodzenia. Posleen z lewej strony dopiero niedawno wszedł do środka, a ten na wprost właśnie przechodził z prawej strony na lewą. On też stał się pierwszym celem. Kula z oczyszczonego uranu w kształcie kropli łyzy ważyła tylko sześćdziesiąt gramów, ale przecinała powietrze z prędkością pocisku z czterdziestki piątki i trafiała w cel z dokładnością do milimetra.

Pocisk zatopił się w krokodylej głowie Posleena tuż u nasady pyska. Przebił jeszcze górną część kręgosłupa i utkwiał w tylnej części czaszki. Z karku centaura bluznęła żółta krew i Posleen runął na ziemię, martwy jak żaba laboratoryjna z przeciętym rdzeniem kręgowym. Żołnierze podobnie

skutecznie wyeliminowali trzech Posleenów przy pulpicie sterowniczym, zabijając ich wszystkich, jeszcze zanim pierwszy zwał się na ziemię. Ale Posleen, który niedawno wszedł do pomieszczenia, był doświadczonym wojownikiem z dobrze wyrobionymi odruchami i nowoczesną bronią.

Mike stęknął, kiedy trzymilimetrowa kula przeszła na wylot przez jego lewą nogę, i natychmiast wypalił na oślep w stronę Posleena. Stwór uniknął trafienia, nurkując za zasłonę pulpitu. Mike unieszkodliwił ostatniego widocznego wojownika, odskoczył na lewo i wyciągnął pistolet. Wykonał rzut strzelecki, zamieniając w rękach pistolet i miecz, i nadal miał nadzieję, że uda mu się nie narobić hałasu i jednocześnie nie stracić za dużo energii. Nie był jednak pewien, czy miało to jakiś sens; wysoki świst kul karabinu zapewne rozniósł się już po całym budynku.

Nagle Posleen wyłonił się kilka metrów od miejsca, gdzie się ukrył, i trzymilimetrowe kule karabinowe zadudniły na ciężkim pancerzu Mike'a i cisnęły go w tył. Mike odwrócił się gwałtownie, pchnięty impetem pocisków, i wypuścił miecz z ręki. Zwązające się do grubości kilku atomów ostrze ze świstem przecięło powietrze i utkwilo w piersi Posleena. Centaur zacharczał, upuścił karabin i upadł na wszystkie cztery kolana, plując żółtą krwią.

Mike wyrwał ostrze, kopnął karabin i dla pewności odciął Posleenowi głowę. Rozejrzał się po pomieszczeniu, ale wszyscy Posleeni już nie żyli, a zespół szturmowy ustawiał się w szyku. Teraz musiał już tylko wrócić na swój wektor ruchu.

Mike sam ułożył plan zabezpieczenia zewnętrznego skrzydła pilnowanego obszaru. Przypuszczał, że zorganizowany kontratak nadejdzie właśnie z tej strony, i wołał sam się nim zająć.

Ruszył chwiejnie, ale biomechaniczne procesy naprawcze pancerza były już w toku. Automatyczny lekarz wykonał miejscowe znieczulenie i potraktował ranę szybko działającymi środkami medycznymi, antybiotykami i tlenem. Wewnętrzna skóra pancerza zalepiła dziurę po kuli, żeby ograniczyć wypływ krwi, i zaczęła przetwarzać wydzieliny na powietrze i żywność. Jednocześnie mikrosystemy naprawcze zajęły się uzupełnianiem ubytków zewnętrznego pancerza, kładąc miliony latek wielkości kilku atomów. W odpowiednim czasie i przy wystarczającej ilości energii i materiałów system samonaprawczy mógł usunąć nawet największe uszkodzenie.

Kiedy O'Neal lepiej zorientował się w wielkości kompleksu, polecił plutonowi przemieścić się do pomieszczenia chłodniczego i nakazał sierżantowi Breckerowi rozejrzeć się za oddziałami wroga. Jeszcze trzy razy natknął się na Posleenów, ale za każdym razem był to tylko jeden centaur i nie miał ciężkiej broni. Wojownicy posleeni walczyli przebiegle, ale ich ataki zawsze kończyły się niepowodzeniem, bo jednomilimetrowe kule z karabinów i strzelb odbijały się od pancerzy z dźwiękiem kropli deszczu na blaszanym dachu. Był tylko jeden dobrze uzbrojony wojownik, a ten został unieszkodliwiony przez sierżantów Wiznowskiego i Duncana. Wśród Ziemiaków nie było ofiar.

Pod koniec przeczesywania terenu Mike poczuł się wyczerpany napięciem walki. Cofnął się chwiejnie do pomieszczenia chłodniczego, gdzie inżynierowie szczęśliwie podłączali żołnierzy do obwodów energetycznych.

Dołączył do nich i osunął się na jedno z malutkich krzeseł Indowy.

– Jak nam idzie, sierżancie Green? – wydyszał.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego, do diabła, był tak wyczerpany pomimo zażycia specyfiku Provigil-C. Brał już udział w ćwiczeniach polowych cięższych i dłuższych niż te ich dotychczasowe zmagania. Spędził siedemdziesiąt dwie godziny na wirtualnych walkach i pod koniec był świeży jak skowronek. Teraz miał wrażenie, jakby w ogóle nie zażył Provigilu. Czułby się lepiej, gdyby zaaplikował sobie wcześniej amfetaminę.

– Zostało jeszcze tylko trzech członków zespołu, których pancerze trzeba naładować. – W głosie sierżanta też wyraźnie brzmiało zmęczenie. – Znaleźliśmy magazyn kryształów energetycznych i każdy

dostał co najmniej po jednym. Spóźniamy się o dwanaście minut w stosunku do planu, nawet tego poprawionego. Nie ma ofiar w zespole szturmowym ani w całym plutonie i pozbieraliśmy broń Posleenów. Ale, sir, żołnierze są cholernie zmęczeni mimo zażycia tego specyfiku do budzenia zmarłych. Musimy odpocząć.

– To jest ostatni postój, sierżancie – stwierdził O'Neal.

Oczy zaczęły mu się zamykać i wziął głęboki wdech. Ten cholerny specyfik miał działać przez dziesięć godzin! – pomyślał.

– Musimy wykonać misję. Ruszamy po naładowaniu ostatniego pancerza.

– Sir, chyba powinien to pan przedyskutować z górą. Żołnierze są wyczerpani. Proszę tylko na nich spojrzeć – powiódł ręką po pokładających się pod ścianami pancerzach. – Chce pan ich zabrać na wojnę? Potrzebują co najmniej godziny snu. Kiedy pytał pan pod Qualtren, czy mamy odpocząć, czy wyruszyć od razu, dał pan do zrozumienia, że jeszcze będzie czas odpocząć później.

– Nie mamy kilku godzin, sierżancie, i nie ma czasu na kłótnie. Niech żołnierze ruszają.

– Raczej nie dadzą rady, sir.

– Mówi pan, że raczej tego nie zrobią?

– Tak, sir.

– Jakieś sugestie?

– Nie, sir, nie wiem, co z tym zrobić.

– A czy pan pójdzie?

– Ja... tak, sir, ja tak, ale ja jestem profesjonalnym podoficerem. Poszedłbym gasić piekło z wiadrem wody, gdybym otrzymał taki rozkaz. Ci żołnierze widzieli jednak, jak pada ich cały batalion, i ich morale jest bardzo niskie.

Raczej nie pójdą. Chyba nie mają aż tak silnej motywacji.

– O, wy małej wiary. Zebranie plutonu. Żołnierze, słuchajcie. Umawiamy się tak. Pokaż schemat...

Michelle wyświetliła schemat u wszystkich, z wyjątkiem członków zespołu szturmowego, którzy nadal wracali jeszcze do pomieszczenia chłodniczego.

– To jest mapa terenu – powiedział Mike i podświetlił część punktów orientacyjnych, które żołnierze mogliby rozpoznać. – Widzicie tę niebieską plamę? Michelle, podświetl. To niedobitki wojsk pancernych NATO. Są w okrążeniu. Mamy ich uwolnić.

Rozległ się wyraźny pomruk niedowierzania.

– Nie zostało im wiele czasu, więc musimy się tam dostać szybko. Sposób, w jaki to zrobimy, jest niekonwencjonalny. Zauważyliście, że te budynki są blisko siebie? A wszystkie dachy są na jednym poziomie?

Budynki są więc identyczne i znajdują się na tyle blisko siebie, że żołnierz w pancerzu może przeskoczyć z jednego na drugi. I to właśnie zrobimy.

– Wejdziemy na dach i dotrzemy do celu dwa razy szybciej, skacząc między budynkami. Potem zaminujemy te wszystkie cholerne budynki wkoło i zwalimy je na Posleenów. Po drodze obiecano mi dostawę broni i amunicji – ciągnął w odpowiedzi na ponurą ciszę – i skorzystamy z tego wsparcia. To proste. Rozumiecie?

Sierżant Wiznowski, ostatni z zespołu, siadał właśnie, żeby naładować pancerz. Cisza.

– Pytałem, czy rozumiecie?

– Tak.

– Jasne.

– Tak, sir.

Mike rozejrzał się po zebranych żołnierzach. Ich pochylone postacie jasno dowodziły

wyczerpania.

– Pytałem, czy rozumiecie – powiedział, przystawił palec do hełmu i wykonał ruch, jakby chciał sobie przeczyścić ucho.

Michelle uczynnie przesłała przez sieć dźwięk zgrzytania.

– Nie sły-szę.

– Tak jest, sir!

Teraz ton był dla odmiany gniewny, co zdaniem Mike'a pokonało zmęczenie i ospałość. Należało zatem skierować gniew przeciw komuś innemu.

– Do tej chwili wróg walił nas w dupę – stwierdził. – Nie odpowiada mi to, z całym szacunkiem dla naszych seksualnie tolerancyjnych polityków. Ale jakakolwiek jest wasza orientacja seksualna, nie wydaje mi się również, żeby wam odpowiadało, kiedy wali się was w dupę.

– Osobiście jednak coś wam obiecuję – ciągnął złowrogim szeptem – a na wypadek, gdybyście nie zauważyli: może i jestem palantem, ale potrafię doprowadzić sprawę do końca. I dotrzymuję obietnic.

A obiecuję wam, że nasza operacja wyjdzie Posleenom nie tylko uszami, ale i tyłkiem. I to wam, kurwa, gwarantuję. Nie obiecuję jednak, że któryś z was będzie w pobliżu, żeby móc to zobaczyć. Tego nie ma w umowie – syknął.

– Ale żeby to zrobić, musimy stanąć na nogi i iść tańczyć z diabłem. Możemy prowadzić my albo diabeł. Ale wykonamy ten cholerny taniec, zrozumiano? – wyszeptał.

– Tak, sir.

– Cholera jasna, przestańcie odpowiadać jak garstka pieprzonych fryzjerów! – krzyknął.

– Tak jest, sir!

– Co będziemy robić?

– Walczyć!

– Damy sobie skopać tyłek czy my skopiemy tyłek?

– Będziemy tańczyć, sir – powiedział Wiznowski i odłączył się od systemu zasilania.

– Będziemy tańczyć. Dobra, co będziemy robić?

– Będziemy tańczyć, sir.

– Cholera...

– BĘDZIEMY TAŃCZYĆ, SIR! – wrzasnęli.

– Z KIM BĘDZIEMY TAŃCZYĆ?

– Z DIABŁEM!

– BĘDZIE PROWADZIŁ DIABEŁ CZY MY?

– MY BĘDZIEMY PROWADZIĆ!

– WŁAŚNIE TAK, CHOLERA! ZWIADOWCY NAPRZÓD!

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania,
Sol III 03:05,
5 sierpnia 2002**

Kwatery oficerów i podoficerów znajdowały się na skraju terenu batalionu, naprzeciwko kwatery głównej.

Baraki nie różniły się od tych, w których mieszkali żołnierze. Po prostu zajmowało je mniej osób. Starsi sierżanci i niżsi stopniem podoficerowie oraz dowódcy drużyny w randze sierżanta byli zakwaterowani razem z ich podkomendnymi. Sierżanci plutonów, podoficerowie batalionu, pierwsi sierżanci i starsi podoficerowie mieszkali po jednej stronie terenu, a dowódcy plutonu i kompanii oraz sztab batalionu po drugiej. Te dwie grupy oddzielał mały czworokątny plac. Dowódca batalionu miał swój własny barak na samym końcu placu.

Intencją takiego rozmieszczenia było zmuszenie dowódcy batalionu i jego sztabu do przejścia przez cały teren w drodze do kwatery głównej i przeprowadzenia w ten sposób pobieżnej inspekcji batalionu.

Niestety nie było dowódcy batalionu, a sztab również nie był liczny. Większość kwater świeciła pustkami. Po całym rejonie przewalały się śmiecie, a przeważająca część baraków była zniszczona; zdewastowano nawet część jednego z nich w sektorze podoficerskim.

Lewis poprowadził towarzyszy przez plac w głąb labiryntu baraków. Pappas zauważył ostrożne poruszenie na skraju rejonu. Bezpośrednio potem grupka szabrowników wybiegła z jednego z baraków i pognała w mrok nocy.

Wszyscy w bazie zdawali się zbiorowiskiem padlinożerców rozszarpujących ciało martwej bestii.

Lewis dotarł w końcu do baraku, który nie wyróżniał się niczym spośród pozostałych. Wszedł po chwiejnych schodkach, zapukał do drzwi i cofnął się. Chwilę później wewnątrz baraku rozległ się odgłos szurania. Poruszyła się zasłona okienna, kiedy ktoś sprawdzał, kim byli przybysze, i zapaliło się światło nad schodkami.

Drzwi otworzył wysoki, przedwcześnie łysiejący mężczyzna z pistoletem kalibrier .45 w ręku. Spojrzał na Pappasa, potem na Lewisa i zarządcę koszar stojącego między dwoma krępyimi szeregowcami, i uniósł brew.

– Tak? – zapytał sucho.

Pappas zasalutował.

– Porucznik Arnold?

Oficer obejrzał Pappasa od stóp do głów i powiódł wzrokiem po jego drużynie, zanim odpowiedział.

– Tak.

Odpowiedział na salutowanie i zezwolił tym samym Pappasowi na opuszczenie ręki.

– Jestem pańskim nowym pierwszym sierżantem, sir. Sierż... Starszy sierżant Ernest Pappas melduje się z grupą czterdziestu żołnierzy.

Pappas nie był pewien, co go tak zaintrygowało w tej postaci we drzwiach. Oficer nie wyglądał ani na potężnego, ani nawet na szczególnie wysportowanego, ale otaczała go aura charyzmy. Był starszy niż zwykle pierwszy porucznik i nie otrzymał jeszcze awansu; to był częściowy powód. Jego jasnobrażowe oczy patrzyły też z wyrazem pełnej humoru mądrości i życzliwości. Zważywszy na niewątpliwie katastrofalną kondycję kompanii, trudno było uwierzyć, że ten oficer jest jej czynnym

dowódcą.

Porucznik jeszcze przez chwilę przyglądał się Pappasowi, zanim na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

– Samończyk? – zapytał z nutką radości w głosie.

Była to ostatnia rzecz, jaką Pappas spodziewał się usłyszeć z ust porucznika, więc po prostu skinął głową.

– Próbuje mi pan powiedzieć – zapytał oficer i zaczął trząść się ze śmiechu – że Departament Matki Boskiej Przenajświętszej – ciągnął, najwyraźniej z trudem powstrzymując rechot – uznał za stosowne... – urwał i w końcu wybuchł gromkim śmiechem.

– Przysłać mi żołnierza piechoty morskiej! Samończyka! Pierwszego sierżanta! – skończył z okrzykiem radości.

* * *

– Więc tak to wygląda, zastępczo – powiedział porucznik i spojrzał na swojego nowego pierwszego sierżanta w oczekiwaniu na jego reakcję.

Siedzieli w kuchni kwatery oficerskiej kompanii Bravo pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty. Kwatera była dwudziestodwumetrowym barakiem, podzielonym na cztery jednoosobowe sypialnie ze wspólną kuchnią, duży pokój i łazienkę. Pokoje nie były większe od zwykłej ubikacji, a jedyne źródło oświetlenia w kuchni stanowiła prowizorycznie zamontowana żarówka bez osłony.

Dowódca kompanii dzielił tę pełną przepychu kwaterę z jedynym drugim oficerem kompanii, dowódcą pierwszego plutonu. Ten cenny żołnierz został wysłany wraz z Michaelsem w ciemną noc z zadaniem zabezpieczenia transportu pierwszej drużyny i bagażu przy bramie wjazdowej.

Arnold starał się odgadnąć myśli doświadczonego podoficera, choć jego twarz zmieniała się w żółtym świetle nagiej żarówki w obojętną maskę.

Pappas tymczasem zastanawiał się, jak uratować swój tyłek w tej sytuacji bez wyjścia. Wszystko byłoby dobrze, gdyby miał wsparcie swojego dowódcy, ale jeśli Arnold pójdzie po najmniejszej linii oporu...

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, sir – powiedział ostrożnie. – Dotarł pan tu dopiero pięć dni temu.

A ten drugi porucznik, Richards?

– Rogers.

– ... Rogers jest tu od dwóch tygodni. Wcześniej kompanią dowodził sierżant Morales?

– Tak.

– A mógłbym prosić o pańską osobistą ocenę umiejętności starszego sierżanta Moralesa? – zapytał ostrożnie Pappas.

– Cóż, sierżancie – powiedział oficer, a ton wypowiedzi wskazywał, że zamierza coś dokładnie wyjaśnić – staram się niczego nie oceniać. Wolę, kiedy wszystkie karty są odkryte i nie ma żadnych wątpliwości. Dodam, że jak dotąd sierżantowi Moralesowi udawało się unikać przedłożenia mi dokumentacji na temat stanu wyszkolenia żołnierzy, doradztwa, umiejętności przywódczych i sprzętu kompanii. Za każdym razem, kiedy go o to proszę, okazuje się, że jest cała masa innej, o wiele ważniejszej papierkowej roboty.

A więc o to chodziło. Miało nie być żadnych akcji przeciwko Domowi Moralesa.

– Ale... – urwał.

To, co miał zamiar powiedzieć, mogło z łatwością narobić mu kłopotu. Ale musiał wyjaśnić kilka kwestii.

– Ale, sir, czemu nie przywołał pan go jeszcze do porządku?

– A potem co, sierżancie? Sierżant Morales miał pół roku, żeby ustawić tę kompanię tak, jak chciał. Wszystkie główne pozycje zajęte są przez jego ludzi. Kto tak jak Lewis nie zgadzał się z nim, był degradowany albo przydzielany do innej jednostki. Drzwi do jego biura są zamknięte, zabite na głucho, i najwyraźniej tylko on ma do nich klucz. I do tego w zeszłym tygodniu pojawiły się jeszcze spotkania, na których on po prostu musi być obecny.

Sfrustrowany podoficer urwał i pogładził ręką krótko przycięte włosy.

– I właśnie teraz jest problem, co z tym zrobić – ciągnął i spojrzał w oczy ponurego podoficera. – Powiedzmy, że użyję swojej pozycji i spróbuję go zmusić, żeby bezzwłocznie doręczył mi raport. I powiedzmy, że to robi.

Wyobraźmy sobie teraz, że między liniami świeżo nałożonego atramentu – powiedział z kwaśnym uśmiechem – znajdę jasny dowód na braki w wyposażeniu, niesłuszne kary administracyjne, cokolwiek. Co wtedy, zastępczo?

Pappas nigdy nie szedł tym tropem, ale znał ogólne przepisy. Wyjął pióro Skillcraft z kieszeni na piersiach i podrapał się nim w głowę.

– Myślę, że powinien pan wtedy wezwać dowódcę batalionu, sir, może głównego inspektora, na pełne śledztwo.

Jeżeli okaże się, że popełniono przestępstwo lub przestępstwa, powinien pan wezwać żandarmerię, może CID.

Arnold uśmiechnął się sennie i spojrzał na zegarek.

– Cóż, chyba nie mamy zbyt dużo czasu, żeby się nad tym rozwodzić, skoro pan, a teraz już raczej ja mam tu na głowie cały pluton i trochę sprzętania w bazie. Dlatego powiem krótko. Nie ma dowódcy batalionu.

Pappas gapił się na niego w osłupieniu.

– Sir, nawet kiedy brakuje oficerów, zawsze pozostaje łańcuch dowodzenia – powiedział stanowczo.

Był to fundament wojska. Zawsze istniał łańcuch dowodzenia.

– Funkcję dowódcy batalionu pełni dowódca kompanii Charlie. Ogranicza się jednak tylko do sprawowania tej funkcji. Kapitan Wolf usilnie stara się utrzymać swoich żołnierzy w ryzach. Nie ma dowódcy brygady, bo chociaż jesteśmy oddzielnym regimentem bojowym, składamy się w zasadzie z trzech oddzielnych batalionów; nie ma więc dowódcy ani nawet sztabu regimentu. Zatem następny w łańcuchu dowodzenia po kapitanie Wolfie jest generał Left w bazie na Tytanie.

– O, kurde – szepnął Pappas.

– Może powinienem do niego zadzwonić? „Przepraszam, generale Left, mówi porucznik Arnold. Mój pierwszy sierżant jest dla mnie niedobry i nie wiem, co zrobić.” Oficer znowu się uśmiechnął.

– Jest tylko jeden, słownie: jeden połowy oficer floty na wschodnim wybrzeżu, major Marlowe, czynny dowódca drugiego batalionu w Fort Jackson. Dzwoniłem do niego przedwczoraj. Stwierdził, że rozumie mój problem, ale on ma ich tyle, że nawet nie potrafi ich zliczyć, i że jestem zdany na siebie, dopóki nie pojawi się mój własny sztab batalionu. „Triple Nickle” jest ostatnią jednostką pancerny wspomaganych, która zostanie uformowana z jednostek amerykańskich. Jest ostatnia w kolejce do szkolenia i otrzymania sprzętu, a w szczególności personelu.

Pappas kręcił głową. Nie z niedowierzaniem, raczej z przerażeniem. – Nie wiedziałem, że siedzimy aż tak głęboko w gównie.

– Sierżancie, wprost nie mogę uwierzyć, że pana odmłodzono. W zeszłym roku powołano i wyszkolono ponad cztery miliony żołnierzy. Ale – uśmiechnął się i rozłożył ręce – ponieważ Galaksjanom skończyły się specyfiki odmładzające, zaspokojono tylko pięć procent zapotrzebowania na majorów, podpułkowników i pułkowników.

– Ukazał się artykuł w Army Times – ciągnął – na temat obsadzania stanowisk w jednostkach. Zapełniono tylko trzy procent miejsc w oddziałach zbrojnych i bojowej brygadzie posiłkowej oraz w niższych jednostkach.

– Auć!

– To samo dotyczy odpowiednich stopni wojskowych. A tak przy okazji, moje gratulacje, został pan czynnym starszym sierżantem w dowództwie batalionu.

Urwał i znowu pogładził włosy.

– Więc, starszy sierżancie, do kogo mam się zwrócić? Ach, do CID i żandarmów. Na wypadek, gdyby pan nie zauważył, toczy się tu coś bardzo podobnego do wojny – wskazał kciukiem na ciemność za oknem. – Żandarmi patrolują teren w drużynach. Noce spędzają w jeepach z bronią w rękę, a każdy jeep pozostaje w zasięgu wzroku załogi drugiego. Kwatery wojskowe tej wielkości wymagają zazwyczaj batalionu żandarmerii. My mamy kompanię.

Powinniśmy mieć pluton CID, może kompanię. Mamy trzech członków CID. Mniej niż drużynę.

– Więc – porucznik Arnold uśmiechnął się ponuro – jak już mówiłem, cieszę się jak cholera, że się pan, kurwa, pokazał.

– Co by pan zrobił w przeciwnym razie? – zapytał Pappas.

– Pojmałbym go, pewnie jutro albo pojutrze.

– A potem co?

– Pewnie rano byłbym już martwy – odpowiedział oficer całkiem poważnie. – Czterech żołnierzy z tej kompanii w stopniu sierżanta i starszych rangą zostało oficjalnie uznanych za dezertersów. Dobiegły mnie słuchy, że nie chcieli skończyć jak sierżant Rutherford – znowu uśmiechnął się ponuro. – Chyba chciano, żebym to usłyszał. Jeden z pierwszych raportów, jakie otrzymałem od podoficera operacyjnego, dotyczył dezercji. Przeczytałem, że straciliśmy starszego sierżanta z ośmioletnią karierą w wojskach powietrznodesantowych i piersią pełną medali.

Pappas potrząsnął głową.

– Kurwa, sir. To znowu lata siedemdziesiąte.

Oficer uniósł brew.

– Co?

Pappas znowu potrząsnął głową i podrapał się w nią.

– Nieważne, sir. Jeszcze nie służył pan wtedy w wojsku. – Zastanowił się przez chwilę i spojrzał na zegarek. – Kiedy zwykle można spotkać Moralesa? – zapytał.

– Zazwyczaj udaje mu się zwlec z łóżka do dziewiątej – zaśmiał się porucznik. – Oficjalnie wykonuje „solowy trening fizyczny”. Jedyne obecny starszy sierżant zajmuje się formacjami. Sierżant Ryerson jest chyba w porządku, tylko po prostu nauczył się nie wychylać głowy i patrzeć na różne rzeczy przez palce. Nie wiem jednak nic o zarządcy koszar, mógłby chyba zawiadomić Moralesa.

– Cóż, sir – powiedział Pappas, patrząc na zegarek – w takim razie może mógłby pan pójść ze mną do koszar. Chciałbym, żeby potwierdził pan fakt, że jestem teraz w łańcuchu dowodzenia. Potem może pan po prostu siedzieć i patrzeć.

– Ach, z przyjemnością, sierżancie – powiedział czynny dowódca kompanii z uśmiechem. – I chyba zatrzymamy się po drodze w arsenale – ciągnął, a jego uśmiech stał się nagle podejrzany. – Drzwi mogą otworzyć tylko osoby wprowadzone do systemu. Moralesa nigdy tam nie wpisano, a w

ciągu ostatniego tygodnia sierżant stale prosił mnie o moje kody dostępu.

– Broń, sir?!

– Nie mamy jeszcze pancerzy wspomaganych, ale otrzymaliśmy już pełną dostawę broni. Karabiny grawitacyjne M-200, działa grawitacyjne M-300, lasery terawatowe, moździerze, granatniki i podstawowy ładunek przybył w jednej dostawie arsenału. – Porucznik znowu uśmiechnął się sztywno. – Gdybym musiał pojmać go w tym tygodniu, przypuściłbym niespodziewany atak wraz z niektórymi członkami kompanii. Cieszę się, że jest pan z nami; inaczej byłoby ciężko. Musimy się spieszyć. Wątpię, żeby już wiedział, że pan tu jest, więc chyba możemy to zrobić bez pełnego rozkazu operacyjnego – skończył z kwaśnym uśmiechem.

Miał chmurne spojrzenie, kiedy naciągał marynarkę jedwabnego uniformu na czterdziestkę piątkę za paskiem.

– Tak, tak, sir – przytaknął ponuro sierżant.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Adams! Ustaw szeregi!

Prowincja Andata, Diess IV
08:21 czasu uniwersalnego Greenwich,
19 maja 2002

Chyba powinienem był ich motywować dopiero teraz, pomyślał Mike. Wschodząca główna gwiazda Diess rzucała intensywne, zielone fluorescencyjne światło na pełną napięcia scenę na dachu. Pięćdziesiąt osiem pancerzy wspomaganych zajmowało pozycję w różnym oddaleniu od krawędzi budynku, niektóre z nich lekko kucaly, jak gdyby się przed czymś ukrywając. Jeden stał dokładnie na krawędzi. Rozległa szachownica dachów rozciągała się od śródlądowych wyżyn po dalekie, zielone morze. Na krańcach widoczności w kierunku zachodnim Mike dostrzegł przerwy i oczywiście brakowało tam dwóch budynków – powalonych Qualtren i Qualtrev. W odstępnie równym niemal długości boiska piłkarskiego widniała na tym samym poziomie krawędź dachu innego megawieżowca.

– Jak daleko jest do tego megawieżowca, sierżancie Wiznowski?

Podoficer skierował swój miernik odległości na daleką ścianę i potwierdził przypuszczenia Mike'a.

– Siedemdziesiąt dwa metry z hakiem, sir – odczytał na wyświetlaczu nad głową.

– Nie znasz przypadkiem maksymalnej długości skoku zwykłego pancerza wspomaganego?

– Nie, sir, przykro mi.

– Jasne. Cóż, tak się składa, że maksymalny zasięg skoku w specyfikacji wynosi sto metrów dla zwykłych żołnierzy, sto dwadzieścia dla zwiadowców i sto pięćdziesiąt dla dowódcy.

Mike kucnął i szepnął rozkaz. Jego pancerz odwrócił się na dachu wysokiego na półtora kilometra budynku i skoczył. Pozornie wbrew grawitacji wykonał obrót w powietrzu i upadł miękko na przeciwnym dachu. Następnie Mike skoczył i z powrotem wylądował wśród żołnierzy.

– Sierżancie Wiznowski, proszę przeskoczyć z rozbiegu na drugi dach...

– Mike, sir...

– Uda ci się, Wiz. Jeśli ja mogę, to ty też. Cofnij się kilka kroków, weź rozbieg, odbij się i powiedz pancerzowi, żeby skakał. Zrób to.

Przyłbice porucznika i podoficera znalazły się naprzeciw siebie, dwie gładkie powierzchnie, dwa nieprzeniknione pancerze. O'Neal zastanawiał się, co działo się teraz w umyśle sierżanta. Wiznowski zawsze był wspaniałym podoficerem wojsk powietrznodesantowych, dzielnym do ostatniej kropli krwi. Teraz najwyraźniej rzucono mu wyzwanie, na które nie był całkiem przygotowany.

– Mam skoczyć jeszcze raz?

– Nie, sir. Nie trzeba.

Wysoki pancerz oddalił się od grupy i pobiegł w stronę krawędzi dachu. W sieci panowała absolutna cisza, kiedy Wiz dobiegł do końca i szepnął: „Skacz”. Pancerz wzbił się w powietrze wbrew grawitacji i zdrowemu rozsądkowi.

Tym razem, po rozbiegu z prędkością o wiele większą, niż mógłby rozwinąć człowiek bez pancerza, poszybował daleko w głąb dachu, na odległość prawie stu metrów od krawędzi.

– Trochę przesadziłeś, Wiz. Mówiłem, że specyfikacja podaje sto dwadzieścia metrów; okazało się, że może być nawet trochę lepiej. – Mike cofnął się po powierzchni dachu, żeby wziąć rozbieg.

– Michelle, bieg i maksymalna długość skoku, wykonać – powiedział.

Nogi pancerza poruszały się tak szybko, że zlały się w jedno. Na odcinku stu metrów od miejsca startu do krawędzi dachu pancerz przyspieszył do ponad stu kilometrów na godzinę. Kiedy buty pancerza stykały się z powierzchnią dachu, przyczepne podeszwy zapobiegały ślizganiu, więc na każde wybicie szła maksymalna ilość energii. Kiedy Mike dotarł do krawędzi, przekaźnik pancerza automatycznie wyrzucił go w górę. Połączenie siły rozpędu, antygravitacyjnej funkcji kompensatorów bezwładności i siły wyrzutu z katapult wbudowanych w pancerz przeniosło go ponad dwieście metrów w głąb sąsiedniego dachu. Następnie Mike odbił się od odległej krawędzi i bez wysiłku skoczył z powrotem w stronę plutonu.

– To jest oczywiście prototyp pancerza dowódczego, nie pochodzący z produkcji seryjnej. Właściwie jest to jedyny egzemplarz. Ale zwykły pancerz może bez problemu przeskoczyć przepaść taką jak ta, co powinniście wszyscy wiedzieć. Przydałyby wam się ćwiczenia w pancerzach; gdybyście, tumany, byli odpowiednio przeszkoleni, nie musielibyśmy teraz o tym rozmawiać. Ruszamy w szerokiej formacji operacyjnej, dwadzieścia metrów między zwykłymi żołnierzami, trzydzieści metrów między drużynami, zwiadowcy na przodzie w formacji skręcającej na lewo. Jeśli ktoś nie trafi na następny dach, zespół wraca i podnosi go dźwigiem. Jeśli komuś się to zdarzy, niech się nie martwi, pancerz automatycznie włączy system antygravitacyjny, a siła rozpędu poniesie was na ścianę budynku.

Użycie uniwersalnych klamer na rękawicach, przypnijcie się do ściany i czekajcie, aż kumple was podniosą. Albo wespnijcie się sami, kawałek po kawałku, jeśli wolicie. Pierwszy postój czeka nas dopiero przy spotkaniu z wahadłowcami dostawczymi. Nie wszyscy muszą być obecni, więc jeśli zatrzyma się tylko jeden zespół, niech cała reszta biegnie dalej, jasne?

– Jasne, sir.

– Jeśli zostaniemy zaatakowani przez Posleenów, niech ci, którzy mają broń, odpowiedzą ogniem. Skopcie im dupę, nie cackajcie się z nimi. Strzelajcie do nich ze wszystkiego, co macie, i rozwalcie skurwieli. Nie chcemy, żeby nas zatrzymano na dachach bez broni – ciągnął.

– Chcę coś jeszcze wyjaśnić. Cofniemy się teraz i ruszamy przez dachy jak pluton, a nie jak pieprzona gromadka zbirów, jasne?

– Tak jest, sir.

– Sierżancie Green!

– Tak, sir?

– Pokonamy trasę w niskich, długich susach.

– Tak jest, sir.

– W porządku, ruszamy.

Pluton cofnął się powoli, a podoficerowie odpowiednio ustawili żołnierzy. Kiedy wszyscy zajęli już pozycje, Mike wydał rozkaz swojej głównej drużynie, składającej się z sierżanta Greena i inżynierów, żeby stanęła z tyłu, i donośnym głosem nakazał ruszać.

Zespół zwiadowców ruszył naprzód w długich susach, a pluton, rozsypany na powierzchni prawie pół kilometra kwadratowego, skakał potem. Kiedy zbliżyli się do krawędzi, Mike wydał Michelle polecenie.

Wszyscy zwiadowcy bez problemu wykonali skok, a kiedy kilku żołnierzy regularnych oddziałów nie trafiło w dach, ich pancerze i tak pognały dalej. Kiedy przemierzyli drugi budynek, wciąż nie zatrzymywani przez wrogie wojska ani nie nękani ogniem, żołnierze zaczęli chwytać rytm biegu. Każdy był biegaczem, bo w nowoczesnych wojskach powietrznodesantowych musieli nimi być wszyscy żołnierze, i rytm lekkiego biegu łagodził ich zdenerwowanie, a szybkość podnosiła na duchu. Mike odczekał kilka minut i poszedł za ciosem. Nagle z przekaźników wszystkich żołnierzy

popłynęły dźwięki piosenki Pat Benetar „Legend of Billy Jean”.

– Takie są korzyści z faktu, że nie trzeba się zachowywać taktownie – powiedział Mike do sierżanta Greena.

„Nie stać nas, żeby niewinnie żyć, Czas powstać przeciw wrogom, Trzeba działać albo zginąć, I nic nie zwycięży nas. W obliczu mocy przeznaczenia Nie składa się ofiar, Trzeba działać albo zginąć I nic nie zwycięży nas.” Żołnierze pokonywali całe kilometry, a w zasięgu wzroku nie pojawił się ani jeden Posleen, więc muzyka brzmiała dalej. Rock z lat siedemdziesiątych, muzyka alternatywna, raker rock, turn fusion, heavy metal. Wiele piosenek mówiło o wyjątkowości natury życia, wadze honoru i męstwa albo bezsilności w obliczu nieuniknionego.

Nawet jeśli repertuar nie odpowiadał żołnierzom, nie słychać było protestów, tylko szeleszczące oddechy, a każdy żołnierz był zatopiony w myślach. Kiedy zbliżyli się do miejsca spotkania, sześć kilometrów od otoczonych oddziałów, Mike przełączył się na sieć komunikacyjną plutonu i przerwał realistyczną wersję „Nie bój się śmierci”.

– Dobra, zatrzymajcie się pośrodku następnego budynku, formacja eliptyczna, żołnierze z bronią na zewnątrz – powiedział, kiedy rozejrzał się po pustym dachu. – Tu mają przylecieć wahadłowce.

– Mike – zapytał zaciekawiony Wiznowski na prywatnym kanale – co to jest?

Na wschodzie na stronie linii oporu Ziemi nagle wystrzeliły fajerwerki.

– Michelle, powiększ.

Z przestrzeni między budynkami zionęły języki ognia. Hiperszybkie rakiety i pociski z innej broni kinetycznej, wiązki lasera i strumienie plazmy wzbijały się w niebo. Nagle zniszczony wahadłowiec wyłonił się zza krawędzi budynków w imponującym błysku płomieni. Pojawiło się jeszcze sześć statków – jeden uszkodzony – i poszybowało ponad megawieżowcami. Jeden wzniósł się za wysoko i kula plazmy strąciła go na ziemię ku uciesze załogi jakiegoś krążownika kosmicznego. Ogień przełamał pole ochronne wokół zbiornika antymaterii i statek zniknął w oślepiającym rozbłysku eksplozji nuklearnej, niszcząc górne części budynków po obu stronach i zrzucając inny wahadłowiec prosto na dach.

Czujniki wizyjne pancerzy natychmiast wyrównały przeciążenie optyczne.

– Cholera! Poszła połowa naszej amunicji – zaklął sierżant Green, kiedy wokół sypały się gruzy zniszczonych budynków.

– Raczej jedna trzecia – poprawił Mike dokładnie w chwili, gdy sześciu posleńskich Wszechwładców w spodkowatych maszynach wynurzyło się zza krawędzi dachu w pogoni za wahadłowcami.

Jego zmysły wyostrzyły się nagle jak skalpel.

– Pluton, padnij! Uruchomić systemy maskujące!

Kiedy pancerz namierzył Posleenów, pistolet Mike'a automatycznie w nich wycelował. Pierwszy srebrny strumień z broni porucznika strącił z odległości trzech kilometrów aż dwóch z nich, a jeden ze spodków zniknął w chmurze aktywnego ognia, kiedy kule w kształcie kropli łyzy przebiły jego system zasilania. Mike przeturlał się na bok, kiedy systemy celownicze obróciły w jego stronę działa pozostałych Wszechwładców. Huragan ognia uderzył w jego poprzednią pozycję, a on zdjął jeszcze jednego Posleena, nawet nie wstając z kolan. Dwóch pozostałych wrogów wróciło do pościgu za wahadłowcami, a jeden ruszył w stronę plutonu.

Pancerze spisywały się znakomicie, maskując żołnierzy na powierzchni dachu, więc Posleeni myśleli, że mają do czynienia tylko z jednym człowiekiem. Dwie kolejne kule Mike'a nie trafiły w uchylający się wehikuł, a sam porucznik dzięki dzikim podskokom i przewrotom uniknął śmierci od trzech grud plazmy. Jedna z nich usmażyła jednak zewnętrzne czujniki z jednej strony jego pancerza.

Posleen wychylał się szaleńczo na boki i zbliżał się z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Michelle rzuciła pancierzem w bok za pomocą dolnych katapult, a kolejna gruda plazmy przeleciała nad miejscem, w którym wcześniej stał Mike. Przewrócił się na plecy, co było trudno wykonać w pancierzu, aby spróbować strzelić w górę, ale płonący wrak spodka Wszechwładcy już spadał na powierzchnię dachu.

– Frajer myślał, że mu się udało, sir – powiedział Duncan i schował pistolet, który pożyczył wcześniej przed wejściem do elektrowni – więc w końcu przestał latać po całym niebie.

– Dzięki, Duncan – powiedział Mike i wstał na nogi. – Był już dość blisko.

– O krótki spacer o poranku, sir.

– Jasne. Ktoś widzi pozostałych Wszechwładców albo wahadłowce?

– Nie, sir – powiedział sierżant Green. – Nie ma nic w zasięgu wzroku.

Nagle na zachodzie pojawiły się dwa wahadłowce, nadal bezlitośnie ścigane przez Wszechwładców. Żołnierze z pistoletami lub przechwyconą bronią Posleenów otrząsnęli się już z szoku po ataku i otworzyli ogień. Jeszcze jeden wahadłowiec rozbił się po uderzeniu grudą plazmy, ale już po kilku chwilach obydwaj Wszechwładcy byli martwi.

Ostatni wahadłowiec zanurkował w stronę pozycji plutonu i wyrównał lot, żeby wylądować między żołnierzami.

Natychmiast otworzyły się tylne drzwi.

– Dobra, pierwsza drużyna do środka, chwytajcie co trzeba i wracać! Jazda! Sierżancie Green, proszę się zająć rozdzieleniem broni, w wahadłowcu powinien być spis sprzętu.

– Tak jest, sir.

Podoficer ruszył w stronę opuszczanych drzwi, kiedy pierwsza drużyna ustawiła się w kolejce po broń.

– Posleeni! – zawołał jeden z żołnierzy na straży.

Oślepiające błyski rykoszetów pokryły pancerną powierzchnię wahadłowca. Mike spojrzał w kierunku morza, skąd pochodziły strzały. Grupa posleeńskich wojowników wspięła się na dach sąsiedniego budynku i otworzyła ogień do wahadłowca i zebranego wokół plutonu.

– Rozdzielić się!

Zauważył, że pierwszy zespół nawet nie przykucnął, tylko stał dalej przy wahadłowcu.

– Strzelać, cholera!

Wsadził nowy magazynek do pistoletu i dał żołnierzom przykład, kładąc trupem kilka końskich postaci.

Żołnierze z przechwyconą bronią Posleenów otworzyli ogień.

– Dostałem! – krzyknął jeden z żołnierzy. – Myślałem, że dostałem – dodał po chwili, ogłupiały.

Usiadł na dachu i obejrzał sobie udo.

– Dostałem?

– Dostałeś – powiedział Mike i przywarł do ziemi. – Wszyscy na ziemię, cholera. Bez obaw, pancierz zajmie się uszkodzeniami.

– Druga drużyna! – ryknął sierżant Green.

– Ogień z zachodu!

– Wszechwładcy od lądu!

– Załatwić ich, sierżancie Green! Pierwsza drużyna, skupcie się na Wszechwładcach!

Nagle jeden z pancerzy drugiej drużyny, zwrócony w stronę wahadłowca, rozpoczął istny taniec śmierci. Pancierz upadł i zaczął skakać na boki. Drużyna próbowała go złapać, ale nagle pancierz uspokoił się i zaległ nieruchomo.

Żołnierze chcieli go otworzyć, ale Mike wrzasnął.

– Nie ruszajcie go! Na wypadek, gdyby któryś z was nie wiedział, szeregowego Laskiego nie da się już uratować. Sierzancie Green?!

Mike otworzył ogień do zbliżającego się Wszechwładcy.

– Trzecia drużyna! – ryknął sierżant Green w odpowiedzi.

Wiznowski wychylił się nagle z wahadłowca i pobiegł na zachód; Mike ledwo zauważył, jak się wymknął.

Lżejszy i szybszy zwiadowca zaczął strzelać do zbliżających się Wszechwładców z ręcznej wyrzutni rakiet hiperszybkich. Skakał po dachu jak pchła. Strumienie ognia skupiły się na nim, kiedy tak biegał, zatrzymywał się, skakał i robił uniki. Czasem stawał tylko po to, żeby wystrzelić raketę hiperszybką.

– Wiz! Do cholery, przestań zgrywać bohatera! – krzyknął Mike i ściągnął na siebie kolejną grudę plazmy, kiedy wychylił się na pomoc. – Weź dupę w troki i wracaj tu!

– Skoro mamy tańczyć, sir... – zwiadowca urwał, kiedy pocisk Wszechwładcy zmiotł go z dachu.

– Wiz! – wrzasnął Mike i poderwał się na nogi.

– Skurwiele! – Zmienił magazynek i rzucił się pędem w stronę Wszechwładców. – Michelle, manewry unikowe Gamma, maksymalna prędkość, automatyczne przerwanie pola, wykonać!

Teraz musiał tylko ładować broń i strzelać. Zużywał magazynek po magazynku, kiedy zbliżał się do czterech, potem trzech, a za chwilę już tylko dwóch spodków. Ogień Wszechwładców omiatał go bezskutecznie.

Pancerz robił zygzakowate uniki, a napęd w butach niezmiennie pchał go naprzód. Przypadkowe kule, które trafiały w pancerz, odbijały się od niego jak krople wody. Z odległości stu metrów wiązka lasera lekko musnęła pancerz, ale kontakt był tak krótki, że usmażyła się tylko para sensorów, a pancerz nieco się podgrzał.

Mike podbiegł zygzakiem do ostatnich Wszechwładców, których spodki próbowały bezskutecznie namierzyć wściekle skaczący pancerz. Mike wspiał się jak łasica po pochyłym spodku, zacisnął rękawicę na głowie Wszechwładcy, oparł stopę na jego ramieniu i odrąbał jaszczurczy łeb. Drugi Wszechwładca zawrócił spodek, żeby uciec, ale Mike wyciągnął rozwidlone ostrze z pochwy na plecach i zatopił je w tułowiu centaury, wkładając w ten cios cały gniew świata.

Potem O'Neal oberznął łeb drugiemu Wszechwładcy. Zszedł z chwiejnego spodka i podniósł do góry obydwie głowy. Rzucił je daleko i wyciągnął pistolet.

Strzał w skrzynkę energetyczną najbliższego spodka zatopił wehikuł w ogniu wstrząsającej eksplozji. Porucznik wyszedł triumfalnie z chmury ognia jak cesarz powracający z wygranej wojny i spojrzał na płomienie. Nie było niebezpieczeństwa; pancerze mogły wytrzymać wybuch tak potężny jak ten, który wywołał kataklizm pod Qualtren.

I nawet wtedy były jeszcze warte swojej ceny.

Mike zwrócił swój przypieczony pistolet w stronę następnego wehikułu Wszechwładcy i maszyna skryła się w płomieniach. Potem rył stopami we wrakach i wyciągał szczątki Posleenów. Ułożył z nich stos, skakał po nim, aż całkiem go rozgniół, i w powstałą w ten sposób miazgę włożył granat z ładunkiem antimaterii.

Nastawił zegar detonatora, odsunął się i patrzył, jak szczątki dwóch Wszechwładców znikają w ogniu eksplozji.

Podszedł do najbliższego spodka i walił go z góry dotąd, aż zrobiła się ogromna dziura w dachu. Kiedy wyładował swój gniew, podniósł dwie głowy Wszechwładców za grzywy i poleciał z powrotem do plutonu.

Kiedy dotarł na miejsce, strzały ucichły. W zasięgu wzroku nie było już Wszechwładców ani wojowników. Mike rzucił głowy najbliższemu żołnierzowi.

– Połóż je na szczątkach Wiznowskiego – warknął.

Spadochroniarz pospieszył wykonać rozkaz.

– Przysięgam na wszystkich bogów – powiedział Mike do siebie, ale Michelle wiernie przesłała wypowiedź przez sieć – że stopy posleenkich trupów jeszcze wzrosną.

Utkwił wzrok w odległym oceanie, żeby wymazać ostatnie wspomnienia. Chroniony swoim pancerzem wysyłał już na śmierć żołnierzy pod swoją komendą, ale każdy z nich był tylko zjawiskiem elektronicznym. Dziś po raz pierwszy stracił prawdziwych ludzi, istoty z krwi i kości, z którymi łączyła go pewna więź.

Nagle wtargnięcie rzeczywistości do jego uporządkowanego wirtualnego świata bezkrwawych bitew oszołomiło go. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że dowodzi już nie cieniami, ale żywymi ludźmi, którzy mają swoje nadzieje i marzenia. Tych ludzi matki nosiły w swym łonie przez dziewięć długich miesięcy, a ich krótka nić życia rwała się teraz na dachu zalanym światłem obcego słońca.

Kiedy pluton zgromadził się i sprawdzał sprzęt, Mike patrzył zamyślony w dal i nawet nie zauważył, jak jeden z inżynierów podłącza do jego pancerza nowe granatniki i napełnia magazynki. Wreszcie sierżant Green wyrwał porucznika z zadumy.

– Sir?

– Słucham, sierżancie Green.

– Jesteśmy gotowi do wymarszu.

– Dziękuję.

Duncan podał mu karabin. Mike sprawdził magazynek i upewnił się, że sprzęt nadal jest na swoim miejscu. Zdał sobie sprawę, że wciąż patrzy w dal. Nie chciał ruszyć się z tego miejsca.

– Sir?

– Słucham, sierżancie Duncan.

– Musimy już wyruszać.

– Tak, chyba tak.

Nadal się wahał. Brakowało mu czegoś ważnego, czegoś, co zazwyczaj pchało go naprzód mimo przeciwności.

Szukał tego czegoś, ale miejsce w duszy, gdzie zazwyczaj to znajdował, jakby opustoszało.

– Michelle – powiedział znużonym głosem – ściągnij namiary wszystkich miejsc zniszczenia.

– Pluton, oto plan misji – głos O'Neala brzmiał beznamytnie. Zespół mógł równie dobrze otrzymywać te rozkazy od nieinteligentnego komputera. – Zebrany pluton drugiego batalionu trzysty dwudziestego piątego pułku piechoty wykona zadanie skrytego rozmieszczenia ładunków w megawieżowcach Daltren, Arten i Artal. Pluton podzieli się na dwu- i trzyosobowe zespoły. Każdy zespół otrzyma lokalizację miejsc, które albo bezpośrednio zniszczy, albo zaminuje. Po podłożeniu wszystkich ładunków i zniszczeniu kluczowych punktów jednostka opuści budynki i zdetonuje miny.

Kiedy mówił, wokół niego zbierali się żołnierze. Akcja było bardzo ryzykowna: jeden udany strzał z lasera Wszechwładcy mógł ich wszystkich pozabijać. Ale pluton reagował na śmierć towarzyszy dokładnie tak jak Mike, i każdy żołnierz odczuwał potrzebę identyfikacji z grupą, potrzebę dzielenia smutków i radości. Pancerze wywoływały normalnie silne wrażenie wyobcowania, lecz w chwilach takich jak ta pojawiała się iskierka człowieczeństwa.

– Megawieżowce powinny runąć na obszar w kształcie litery L, leżący nad oceanem i wokół otoczonych jednostek. Uwolni to te jednostki i pozwoli im się wycofać do przyjacielskich szeregów. A oto dobra wiadomość, żołnierze: znaczna większość Posleenów na tym cholernym kontynencie

próbuję zgnieść Deuixième i lansjerów, więc kiedy zrzucimy na nich te budynki, wojna będzie w połowie wygrana.

Mike urwał i rozległ się znużony, ale niekłamany okrzyk radości.

Grupowanie się plutonu zaczęło oddziaływać na niego i wyrwać go z oszołomienia.

Po tylu godzinach przebywania w pancerzu był tak samo podatny na poczucie wyobcowania jak żołnierze.

– Będziemy działać w dwuosobowych zespołach. Jeśli natkniecie się na Posleenów, z którymi nie dacie sobie rady, wezwijcie wsparcie. Sztab wesprze trzecią drużynę i inżynierów w budynku L. Budynkiem tym zajmą się inżynierowie, bo trzeba się z nim obejść ostrożniej. Jeden zespół z każdej drużyny udzieli wsparcia ogniowego pozostałym, a kiedy inne drużyny wykonają zadanie, też zajmą się osłanianiem kolegów.

Rozejrzał się po zebranych zwiadowcach i poczuł ukłucie smutku, że nie ma wśród nich wysokiego, szczupłego pancerza.

– Zwiadowcy, macie umieścić ładunki, ale przede wszystkim chcę, żebyście umieścili sondy wizyjne w nie zaminowanych budynkach. Powinniście być ponad linią ognia, ale jeśli zauważą was Posleeni, czekają was ciężkie chwile. Po podłożeniu ładunków skierujcie się przez sieć wodociągów do stacji przetwarzania nad oceanem.

Przerwał suche, monotonne przemówienie i rozejrzał się. Jednolite pancerze sprawiały wrażenie, jakby pluton był kiepsko wykonanym zestawem figurek z plasteliny. Do jego umysłu wtargnęło nagle pytanie: ilu jego żołnierzy dożyje jutra?

– Z powodu zniszczeń kanały wodociągowe powinny być puste; jeśli tak nie będzie, skruszcie ściany i osuszcie je. Według moich danych, na tym obszarze nie ma działających stacji pomp.

– Za chwilę rozejdziemy się do odpowiednich budynków. Nie mamy czasu, żeby się ukrywać w korytarzach, więc opuścimy się za pomocą kompensatorów wzdłuż zewnętrznej ściany megawieżowca. Wasze przekaźniki mają w pamięci program lądowania. Opadajcie szybko, potem włączcie kompensatory i zamortyzujcie upadek. To będzie jak skok, tylko że opadniemy szybciej i nie pójdziemy w rozsypkę. Kiedy będziemy na dole, rozdzielcie się i zaczniemy misję.

Rozejrzał się po dachu, a potem znowu zwrócił wzrok na pluton.

Nie był pewien, co powinien powiedzieć. Chwila wydawała się odpowiednia na przemówienie motywacyjne, ale niech go szlag trafi, jeśli przychodziło mu coś do głowy.

– Krótka modlitwa – powiedział wreszcie i spuścił głowę.

Przez dłuższą chwilę przebiegał w myślach niewielką liczbę modlitw, które pamiętał. Żadna z nich nie wydawała się teraz odpowiednia. Nagle przyszedł mu do głowy fragment wiersza jakiegoś nieznanego poety. Uznał, że wiersz doskonale się nadaje. Wziął głęboki wdech.

*O Mario rozetkana,
Pamiętaj, utul, dbaj,
By dusza Ci oddana
Wnet w Boży wrosła gaj!*

*Z niewiasty każdy zrodzon,
Każdemu w biedy czas,
Życzliwym nam i wrogom,
Madonno, pomóż wraz!*

– Sierzancie Green!

– Sir?

– Ruszamy.

– Tak jest, sir. Zwiadowcy, drużyna druga, pierwsza, czwarta, główna, piąta. Jazda!

Kiedy dotarli do pierwszego budynku wskazanego do zaminowania, drużyny rozdzieliły się i rozbiegły do innych obiektów. Trzecia drużyna, przydzielona do tego budynku razem z główną drużyną, czekała rozstawiona wzdłuż krawędzi dachu, aż pozostałe zespoły dotrą na miejsce. Następnie pluton zrobił krok naprzód ponad krawędzią.

Pancerze runęły w dół pod działaniem sztucznie wytworzonego ciężenia, dwukrotnie większego od ziemskiej grawitacji, i zwolniły dopiero na wysokości dwustu metrów nad ziemią. Uderzyły w powierzchnię planety z prędkością sześciu metrów na sekundę, ale system zamortyzował upadek. Po bulwarach wałęsało się bez celu kilku Posleenów.

– Drużyny, wyznaczcie zespół do zabezpieczania tyłów i idźcie do punktów minowania. Trzecia drużyna, sierżant Green i ja udzielimy wsparcia. Naprzód!

Mike chwycił karabin grawitacyjny i poszedł za czerwonymi znacznikami kierunku. Michelle analizowała wszystkich Posleenów w zasięgu wzroku i określała kolejność niszczenia celów. Najpierw ci z ciężką bronią, od najbliższych do najdalszych, chyba że dalsi celowali w Mike'a, a bliżsi nie. Mike szedł obojętnie za migającymi wskaźnikami; wściekłość po śmierci sierżanta Wiznowskiego zniszczyła w nim coś ważnego i teraz powoli ogarniała go depresja.

Posleeni padali jak muchy, a Mike coraz bardziej oddalał się od rzeczywistości. Miał wrażenie, jakby oglądał wszystko w telewizji, a otoczenie było pełne nieprawdziwych cieni.

On i sierżant Green osłaniali wejście trzeciej drużyny, a potem sami weszli do budynku.

– Jak mamy ich tutaj wspierać? – zapytał sierżant Green w jednym z gigantycznych garaży na parterze.

– Prawie wcale. Pójdziemy do wnętrza budynku i dalej wzdłuż szybu.

Mike i sierżant Green ruszyli naprzód, wykańczając po drodze Posleenów, którzy się akurat napatoczyli. Mike ustalił, że przebywający w budynku Posleeni byli wasalami zabitych Wszechwładców. Przypomniawszy sobie dokumentację, którą czytał całą wieczność temu, jeszcze w normalnym świecie.

Posleńscy wojownicy nie byli obdarzeni dużą inteligencją. W ludzkich kategoriach nie można było ich nawet nazwać niedorozwiniętymi. Wszechwładcy używali nielicznych nieco inteligentniejszych wojowników jako żołnierzy przodowych lub podoficerów. Wszyscy posleńscy „zwykli” i „wyżsi” wojownicy byli związani ze swoim Wszechwładcą.

Ale kiedy Wszechwładca ginął, zrywały się łączące ich więzi. Jeśli w pobliżu był inny Wszechwładca, mógł spróbować przejąć nad nimi kontrolę. Nazywało się to zaprzęgnięciem „na gorąco”. Jednak jeśli nie udało się tego zrobić w krótkim czasie po śmierci ich pana i władcy, nie można ich było zaprząć na nowo przez kolejne dwa tygodnie. Dopiero po takim czasie wojownicy sami zaczęli szukać innego Wszechwładcy. Mike wspomniawszy o tym sierżantowi Greenowi.

– Muszą się u nich dziać ciekawe rzeczy przez jakiś czas po każdej bitwie, sir.

– Dlaczego? – zapytał Mike obojętnym tonem.

– Cóż, sir – powiedział sierżant Green, który miał nadzieję na nowo rozbudzić u porucznika zainteresowanie przebiegiem wojny – zauważyłem kilka tych istot, które zginęły niedawno, i to nie z naszych rąk.

– Tak, ja też je widziałem.

– Myślę, że atakują też swoją rasę, sir. Przez kilka tygodni po bitwie na tyłach musi się aż roić od

tych opuszczonych przez przywódców istot.

– Ich tyły rzeczywiście nie są bezpieczne – powiedział Mike z narastającym powoli zainteresowaniem.

Wciąż był w depresji po stracie sierżanta Wiznowskiego, ale zaczynała ją już pokonywać chęć kontynuowania bitwy.

– Tak, sir. Jeśli tylko odbyła się bitwa, w której zabito kilku Wszechwładców. Założę się, że wojownicy tych, którzy zginęli podczas pościgu za wahadłowcami, też tam są.

– Oprócz tych, których zaprzęgnięto „na gorąco” – zaznaczył Mike.

– Tak, sir, ale proszę spojrzeć, ilu ich tu jest. Posleeni muszą wielu tracić.

– Jak to wykorzystamy? – zastanowił się Mike.

– Nie wiem, sir, ale to może się nam przydać. Muszą przecież jakoś dostarczać zaopatrzenie. „Armia walczy z pełnym żołądkiem”, prawda? Więc ma to także wpływ na ich logistykę.

– Niezupełnie, zaopatrują się po drodze.

Rozmowę przerwał im zespół, który natknął się na grupę Posleenów po wodzą Wszechwładcy. Po kilku chwilach walki bez ofiar wśród ludzi porucznik i sierżant wrócili do rozmowy.

– Co pan chciał powiedzieć o ich logistyce, sir?

– Chodzi o zaopatrywanie się po drodze?

– Tak, sir.

– Cóż, zaopatrują się tak jak ziemskie armie prawie w całej historii wojen, przez plądrowanie. Do niedawna to, co dziś nazywa się grabieżą i jest karalne, było całkowicie normalnym sposobem zdobywania przez żołnierzy żywności i żołdu. Nie zauważył pan niczego ciekawego u Posleenów?

– Oprócz tego, że do nas strzelają, sir? – zażartował sierżant.

– Mam na myśli ich uprężę – podpowiedział Mike z lekkim uśmiechem.

Sierżant Green obejrzał leżące w pobliżu zwłoki Posleena.

– Mają na nich jakieś kamyczki, sir.

– Tak, błyszczące kamyczki. Jeśli dobrze poszukać, na pewno znajdzie się też srebro i złoto. Najwięcej na Wszechwładcach. W ich torbach są pewnie części ciał Indowy i kawałki roślin i zwierząt. Indowy przerzuca się w tył do lądowników, a w przeciwnym kierunku przypuszczalnie podaje się amunicję. Rdzenni mieszkańcy podbijanych planet stają się pożywieniem Posleenów, a wojownicy zbierają wartościowe lub pozornie wartościowe przedmioty dla swoich szefów. Po bitwie budują coś w rodzaju świątyń dla Wszechwładców i wypełniają je zagrabionymi przedmiotami. Wydaje mi się, że są podobni do wielu żołnierzy. Kipling mawiał kiedyś: „Tylko grabież, grabież, grabież zwabi wojska chętną gawieź”. Ale to nie może być ich jedyna motywacja. Prawda?

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania,
Sol III 05:23,
5 sierpnia 2002**

– Rany! – zawołał Stewart, kiedy wszedł do kwatery głównej kompanii. – Kurwa, ale odlot! Niebo za nim zaczynało się już przejaśniać. Wstawał świt.

Na widok sceny przy biurku zarządcy koszar Stewart stanął jak wryty.

Pokój nie był szczególnie duży, zwykły pokój w pojedynczym baraku mieszkalnym. Na podłodze leżało tanie linoleum, a żarówki nad głową miały zwykłe plastikowe osłony. Przy przeciwległej ścianie stało biurko, częściowo pokryte sklejką, z telefonem na blacie. Nad biurkiem wisiał emblemat witający przybysza w kompanii Bravo pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty z napisem „PRAWDZIWE Czarne Pantery”. Po prawej były drzwi z szyldem „Pokój Dzienny”, a na lewo odchodził korytarz.

Obok biurka na składanym krześle siedział z wybałuszonymi oczami zakneblowany pucołowaty sierżant, przywiązany do oparcia wielokrotnie oplatającą go taśmą izolacyjną. Za biurkiem tkwił natomiast kapral szkoleniowy Adams z tyłkiem usadzonym wygodnie w fotelu obrotowym, zamkniętymi oczami i nogami na blacie.

Na biurku leżał masywny karabin maszynowy z lufą wycelowaną w drzwi. Ręka kaprała spoczywała luźno na rękojeści pistoletu. Przy drzwiach pokoju dziennego stało podobnie uzbrojonych trzech członków jego drużyny.

Wszyscy uśmiechali się złowrogo.

– Co jest, kurwa? – zapytał Stewart i zrobił krok naprzód, żeby jego drużyna mogła wejść do środka.

Po pierwszym spojrzeniu na pełną napięcia scenę drużyna rozdzieliła się, niektórzy zajęli pozycje, żeby mieć widok przez okno, inni rozstawili się po całym pokoju. Wilson po prostu się odwrócił, żeby zabezpieczać tyły Stewarta.

Adams podniósł głowę i uchylił jedną powiekę.

– Sierżant chce cię widzieć w swoim biurze – powiedział chrapliwie kapral musztrowy. – I to już. Machnął głową w stronę korytarza i znowu zamknął oczy.

Stewart jeszcze raz rozejrzał się po pokoju i ruszył we wskazanym kierunku. Korytarz biegł wzdłuż koszar do innego pomieszczenia. Tu też stało biurko, na którym rozłożył się Ampele i chrapał z otwartymi ustami. Na krześle za biurkiem siedział szeregowiec żandarmerii i czyścił broń kaliber 9 milimetrów na szerokiej piersi pogrążonego we śnie Hawajczyka.

Na lewej ścianie korytarza było troje drzwi. Nad pierwszymi widniał ręcznie wydrapany napis „Bagno”. Na drugich znajdowała się plastikowa wywieszka ze słowem „Ustęp”, nagryzmołonym czarnym markerem. Ostatnie, szerokie na metr drzwi stały oparte o ścianę. Wisiała na nich oprawiona w drogą mahoniową ramkę mosiężna tabliczka, na której wygrawerowano słowa „Pierwszy sierżant Morales”. Koło zawiasów widniał duży odcisk buta.

Stewart przyglądał mu się przez chwilę w świetle dobiegającym z obydwu stron korytarza. Obejrzał własny but i porównał wzór na podeszwie. Widoczne były też buty Ampele'a. Stewart spojrzał na nie, potem na drzwi, na Ampele'a, na drzwi. Potrząsnął głową i ostrożnie zapukał w uszkodzoną framugę. Na odgłos pukania Ampele chrząknął. Ale za chwilę znowu zaczął chrapać.

– Wejść! – zagrzmiął głos ze środka pokoju.

Stewart przeszedł przez drzwi i znalazł się nagle wśród przepychu. Malutki pokój był przepełniony cennymi przedmiotami. Mahoniowe biurko ręcznej roboty niedawno wypolerowano. Na biurku stał najnowszy model dwudziestojednocalowego monitora. Puszysta wełna perskich dywanów zdradzała styl Isfahanu. Na wszystkich ścianach wisiały drzeworyty, a oświetlenie pochodziło z przerobionych dziewiętnastowiecznych lamp olejnych.

Nadawały pokojowi ciepły, żółty poblask, który doskonale komponował się z ciemną czerwiecią drewna.

Pierwszy sierżant pochylał się nad dużym antycznym sejfem i majstrował przy pokrętle. Obejrzał się przez ramię i wstał z wściekłością w oczach.

– Stewart! – ryknął Pappas. – Gdzieś ty się, do licha, podziewał?

Stewart zrezygnował z nonszalanckiego wyliczenia wszystkiego, co robił po drodze z placu apelowego do koszar. Stał się ostrożny, przynajmniej kiedy zobaczył odcisk buta na drzwiach.

Przyjął przepisową pozycję na spocznij.

– Przepraszam, sierżancie. Gdybyśmy wiedzieli, że ma pan kłopoty, szybciej byśmy tu przyszli. Przyznaję, że nieco opóźniłem swoje przyście o świcie. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Pappas potrząsnął głową.

– Nieważne. Wiedziałem, że się spóźnisz, ale nie miałem ochoty nikogo po ciebie wysłać – przyznał i wykonał ruch głową w stronę placu apelowego. – Ale rzeczywiście mamy kłopoty. Muszę otworzyć ten sejf – ciągnął – i włamać się do komputera. – Wskazał stację roboczą na biurku.

Stewart nawet nie zaprotestował.

– Wilson – powiedział podniesionym głosem. – Daj mi tu Minnetta.

Podszedł do sejfu. Wyciągnął z kieszeni koszuli małe czarne urządzenie z wyświetlaczem cyfrowym i umieścił je na drzwiach sejfu. Pappas przyjrzał się temu, potrząsnął głową i odsunął się.

– Tak, szefie? – spytał Minnet, kiedy wślizgnął się przez drzwi.

Jeszcze niższy od Stewarta, podobny do elfa szeregowiec był szybki jak błyskawica. Przystanął i rozejrzał się.

– Jezul! – Chwycił małą figurkę baleriny i odczytał napis na spodzie. – A niech mnie, prawdziwa drezdeńska porcelana! Jest warta fortunę!

– Odłóż to – warknął Pappas, który nawet bez patrzenia wiedział, że figurka zniknęła z półki. – To dowód.

Stewart skinął głową i figurka wróciła na półkę.

– Zapalniczkę też – powiedział Pappas, przeglądając dokumenty w otwartej szufladzie.

Minnet wyglądał na zaskoczonego, ale wyjął złotą zapalniczkę z rękawa i odłożył ją na biurko.

– Minnet, zajmij się tym – powiedział Stewart i wskazał stację roboczą.

Szeregowiec przytaknął i zabrał się do pracy.

Stewart przesunął kilka razy pokrętko w jedną i drugą stronę. Po kilku chwilach zaczął manipulować pokrętłem przy urządzeniu z wyświetlaczem. Wkrótce sejf odblokował się.

– Nie otwieraj – warknął Pappas. – Potrzebny nam tu dowódca. – Ruszył do drzwi i zatrzymał się. – I żadnych numerów.

– Jasna sprawa – powiedział Stewart.

– Jakich numerów? – zapytał Minnet, przyglądając się wyświetlaczowi czarnej skrzynki, którą wydobył z kieszeni na piersiach.

Zdziwił się odczytem i dotknął przycisku. Najwyraźniej zadowolony, uśmiechnął się znowu.

– Mamy niczego nie brać – powiedział Stewart – i nie ruszać niczego.

– Ach. – Szeregowiec przycisnął guzik i potrząsnął głową. – Ludzie myślą, że są tak cholernie

sprytni – mruknął.

Włożył dyskietkę do komputera i uruchomił go. Kiedy pojawiło się zapytanie o hasło, nacisnął przycisk na czarnej skrzynce. Komputer przeanalizował wprowadzone dane, stwierdził, że mu się podobają, i wpuścił Minneta. – Tak bywa, kiedy się zmieni hasło CMOS-u.

– Czego my właściwie szukamy? – zapytał po chwili.

– Rozejrzyj się – powiedział Pappas, kiedy pojawił się w drzwiach w towarzystwie porucznika Arnolda i szeregowego żandarmerii, który wkładał pistolet do futerału. – Jak na mój gust, to nie jest normalny wystrój biura pierwszego sierżanta.

Stewart nie mógł opanować ciekawości, otworzył drzwi sejfu i zagwizdał.

– Rety – wykrzyknął. – Zobaczmy. Sterty rachunków, fiołki jakiejś Tolemiratyny i trochę zielonych kryształów.

– Podniósł jeden i przyjrzał mu się. – To nie są szmaragdy – ciągnął tonem eksperta. – Co to jest?

– Cóż, mam tu plik o nazwie „Wydatki Kompanii” – powiedział Minnet, żeby nie wypaść gorzej. – Jest zaszyfrowany.

– No to go odszyfruj – powiedział zimno porucznik Arnold.

Szeregowiec podniósł wzrok, uważnie przyjrzał się twarzy czynnego dowódcy kompanii i zaczął wściekle stukać w klawiaturę.

* * *

– Starszy sierżant Tomas Morales? – zapytał porucznik żandarmerii wojskowej.

Zmarszczył nos, kiedy poczuł dolatujący z apartamentu w Annville zapach alkoholu i feromonów. Półnagi mężczyzna po trzydziestce przestał naciągać koszulę jedwabnego munduru. Porucznik dostrzegł za nim kobiecą postać. O ile nie był w błędzie, blada blondyna na pewno nie osiągnęła jeszcze pełnoletności. Sierżant jednostek pancerzy wspomaganych nosił grube okularzyska, a jego głowa kiwała się z boku na bok. Pokażne jabłko Adama podskoczyło, kiedy kiwnął głową na znak potwierdzenia.

– Jest pan aresztowany – powiedział porucznik, podczas kiedy towarzyszący mu podoficer wystąpił naprzód i skuł byłego czynnego pierwszego sierżanta – pod zarzutem sprzeniewierzenia i nielegalnego handlu tajną technologią Galaksjan. Ma pan prawo zachować milczenie...

Zorganizowany opór albo kontratak nie pojawiał się, więc Mike i sierżant Green mogli tylko wyczekiwać w ciemnym wnętrzu megawieżowca.

Obaj stali w małej wnęce w głównym korytarzu. Zaciekle walki wokół otoczonych dywizji spowodowały olbrzymie zniszczenia w tej części megawieżowca. W pomieszczeniach panował półmrok, promienie Eterny prześwitywały przez wyrwy w murach. Chybotliwy poblask ognia bardziej tłumiał niż podsyczał niebieskozielone oświetlenie. Rejon przeznaczono na zakłady przemysłu lekkiego, które przeważały w megawieżowcach Indowy; w tym budynku najwyraźniej zajmowano się procesami chemicznymi. Wszechobecne malowidła Indowy były na ekranach wizyjnych w hełmach ciemne i bezbarwne, okaleczone przez kule karabinowe, pokryte bliznami po rykoszetach i płomieniach. Niewielkie destylatory, od których roilo się w sąsiednich pokojach, spłonęły jak pochodnie pod ostrzałem z broni.

Przez ostatnie pół godziny Mike zdał sobie sprawę, że oczekiwanie jest najgorszym elementem tej walki. Nie mógł swobodnie poruszać palcami w pancerzu, więc kopnął kawałki gruzu pod stopami, które po chwili rozpoznał jako lufę i osłonę karabinu M-16A2. Rozejrzał się po wnęce, ale nie dostrzegł ani śladu właściciela broni. Mruknął do Michelle, żeby zaznaczyła to miejsce do późniejszego przeszukania, zakładając, że można będzie coś znaleźć po zburzeniu budynku. Znow czekał.

– Czterdziestu pięciu żołnierzy natknęło się na Posleenów sto dwadzieścia trzy razy – powiedział po kolejnych dziesięciu minutach oglądania postaci na ekranach – i tylko trzy razy były to zorganizowane grupy.

– Ich tyły wydają się dość słabo zabezpieczone, sir – powiedział sierżant Green, który najwyraźniej miał świętą cierpliwość.

– Tak, zgadza się, sierżancie. Problem sprawiają tylko główne szeregi. I jestem pewien, że gdyby Posleeni w pierwszych szeregach wiedzieli, że jesteście tutaj, oblegliby nas jak szarańcza.

– Jak idzie żołnierzom w otoczonych jednostkach?

Mike przyjrzał się wyświetlanym informacjom.

– Wygląda na to, że na razie się trzymają. Ich liczebność nie zmniejszyła się zbyt.

– Myśli pan, że wahadłowce odwróciły uwagę wroga, sir?

– Nie na długo. I nie wydaje mi się, żeby utrata jakichś dziesięciu Wszechwładców aż tak bardzo im zaszkodziła.

Chyba ci, którzy przeżyli w dywizjach pancernych, to straszni skurwiele.

Mike uśmiechnął się na tę myśl. Zawsze tak było. Często podczas pierwszej bitwy rozstrzygało się, kto przeżyje, a kto zginie. Częściowo wyjaśniało to, dlaczego doświadczone jednostki były tak niebezpieczne w walce; dysponowały wieloma niezniszczalnymi żołnierzami.

– Chyba Posleeni nie są zachwyceni rozwojem wypadków, poruczniku? – zapytał sierżant.

Oczekiwanie najwyraźniej też zaczynało go nużyć.

– Nie, chyba nie – powiedział O'Neal.

Przez chwilę było cicho.

– A do tego – ciągnął z nutką ozywienia w głosie – czeka ich niespodzianka. Ostatni zespół

wykonał zadanie!

– Czas na przedstawienie!

– No i, kurwa, bardzo dobrze. Pluton – zawołał O'Neal, a przekaźnik automatycznie przełączył się na tryb transmisji – wszyscy mają wycofać się przez tunele po wyznaczonych wektorach. Macie piętnaście minut na odejście na bezpieczną odległość. Powodzenia i do zobaczenia przy stacjach przetwarzania!

– Wynosimy się, sierzancie.

Ruszyli w kierunku najbliższej komory powietrznej razem z inną drużyną będącą na tej samej trasie. Mike sprawdził położenie wszystkich zespołów i westchnął z ulgą. Skręcający trzewia strach O'Neal miał już za sobą.

Wojskowa doktryna zakładała, że nigdy nie należy rozdzielać wojska w ogniu bitwy, ale inteligentne systemy pancerzy i dezorganizacja tyłów posleenkiej armii pozwalały na wykonywanie trudnych misji. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby udało się przedostać przez szeregi Posleenów, silne uderzenie na tyły wroga byłoby bardzo skuteczną metodą walki z nimi. Poza hordami centaurów były tak niebezpieczne dla człowieka w pancerzu jak chmara komarów, która wprawdzie może sprawiać ból, ale nie zagraża życiu. Los wahadłowców stanowił niezbitą dowód, że nie należy stosować tradycyjnych metod natarcia.

Zespoły przeciskały się przez tunele, znajdując czasem ludzkie zwłoki i oznaczając ich pozycje. Jeśli był na to czas, żołnierze zabierali metalowe identyfikatory. Pluton miał dotrzeć do sutereny stacji przetwarzania, a piętnaście minut w zupełności wystarczyło, żeby się tam dostać.

Wszystkie zorganizowane jednostki centaurów zajmowały się wypieraniem z najbliższego megawieżowca niedobitków dziesiątej dywizji grenadierów pancernych, a jedynymi Posleenami w stacji byli nie zaprzężeni wojownicy.

Mike posłał zabójczą grudę plazmy w stronę Posleena, który wszedł akurat na kondygnację przetwarzania, i podniósł przyłbicę. W suterenie unosił się zapach glonów i dymu, ale nie zgnilizny; utrzymywano tu zaskakującą w tych okolicznościach higienę. Żołnierze wokół też otwierali przyłbice i wkrótce czujne grupki sprawdzały porozrzucaną maszynię sutereny. Molekularne zamki hełmów świeciły w półmroku jasnymi kręgami.

– W porządku, żołnierze – powiedział Mike.

Po raz pierwszy zobaczył twarze swoich podkomendnych, którymi dowodził od prawie dwudziestu czterech godzin. Żołnierze natomiast przyglądali się małemu oficerowi, który przeprowadził ich przez czeluście piekieł. Mike nie był w stanie niczego odczytać z wyrazu ich twarzy, tak bardzo bowiem ich reakcje różniły się teraz od ludzkich.

Patrzyli na niego martwymi oczami, jak zwierzęta idące na rzeź. Zadrżał przez chwilę z przerażenia, ale nie dał tego po sobie poznać.

Widział wielu z nich na dwa dni przed nałożeniem pancerzy, podczas przygotowań do nadchodzącej walki.

Większość była przerażona, ale ukrywali to pod maską brawury na pokaz. Niektórzy mieli mózgi tak wyprane przez mentalność jednostek powietrznodesantowych, że z niecierpliwością oczekiwali spotkania z wrogiem. Niektórzy tylko otwarcie okazywali strach, ale byli gotowi czynić swoją powinność. Teraz wszyscy co do jednego stali się automatami. Mike wyrwał ich z beztroskiego życia i powiódł w nieznaną, a teraz jak Frankenstein obawiał się potwora, którego stworzył. Ale profesjonalizm z trudem umiera i dlatego Mike działał dalej.

– Za półtorej minuty wybuchną ładunki – ciągnął łagodnym, ale zdecydowanym tonem. W oddali dudniły armaty i grzmiały karabiny, co bardziej się czuło niż słyszało, a wokół rozlegał się odgłos

kapania wody z pękniętych rur. – Przyjrzyjmy się temu przez systemy w hełmach. Właśnie po to zwiadowcy umieścili sondy wizyjne. Poza tym będziemy mogli w ten sposób zobaczyć, czy nasza mała wyprawa sprowokuje jakąś zorganizowaną odpowiedź.

Poczuł, że ogarnia go nieodparte zmęczenie, i zastanawiał się, co by się stało, gdyby teraz zasnął. Po sposobie, w jaki żołnierze patrzyli na niego, prawie spodziewał się, że przy najmniejszych oznakach słabości rzuciliby się na niego w jakimś krwiożerczym szale.

– Kiedy budynki runą, jednostki pancerne powinny móc przedrzeć się do głównej linii obrony. Kiedy tak się stanie, dołączymy do nich i, miejmy nadzieję, udamy się na zasłużony odpoczynek. – Uśmiechnął się ze znużeniem na dźwięk na wpół radosnych okrzyków. – A teraz opuście przyłbice, jeśli nie chcecie stracić przedstawienia.

Skrył się jak żółw w swoim pancerzu. Żołnierze nadal gapili się na niego, ale teraz przynajmniej ich nie widział.

– Michelle, połącz mnie z generałem Housemanem.

– Dobra, Mike.

W głośnikach zaszumiło; generał Houseman musiał być daleko od stanowiska dowodzenia, skoro używał przekierowania na zwykłej częstotliwości wojskowej.

– O'Neal? Co cię jeszcze zatrzymuje? – zapytał niecierpliwie generał.

Mike słyszał regularne grzmoty artylerii w tle i bliski terkot ciężkiej broni maszynowej.

– Ładunki są podłożone i za chwilę wybuchną, sir – powiedział i spojrzał na zegar odliczający czas do eksplozji.

– Mieliśmy drobne kłopoty.

– Tak, widzieliśmy na monitorach, co zrobili z wahadłowcami. To ty opuściłeś swoją pozycję?

– Tak, sir.

– Nie szalej tak, synu, jeszcze zdążysz się wykazać w tej wojnie.

– Tak jest, sir.

Mike nie mógł wytłumaczyć na otwartym kanale niepohamowanej ślepej furii, która go ogarnęła po śmierci Wiznowskiego.

– To kiedy będzie wybuch?

– Za... dwadzieścia pięć sekund – odpowiedział Mike.

Podzielił ekran, żeby przyjrzeć się uwięzionym dywizjom. Sytuacja nie wyglądała dobrze.

– Doskonale, wojska pancerne naprawdę potrzebują pomocy. Powodzenia, synu, tylko tak dalej.

– Tak jest, sir, dziękuję.

– Koniec.

Mike przechwycił obraz ze zdalnych czujników i przesłał go do hełmów plutonu, żeby każda drużyna widziała swój budynek. Na górze ekranu widniał zegar odliczający czas. Dokładnie w chwili zero z niższych kondygnacji budynku wzbily się kłęby pyłu, buchnął ogień i wyleciały różne dziwne rzeczy. Budynki zaczęły się powoli przechylać, stopniowo coraz szybciej, i w końcu runęły na ziemię wśród gradu kawałków gruzu.

W sieci komunikacyjnej plutonu rozległy się radosne okrzyki, a żołnierze śmiali się i klęli z ulgą. Dopiero w tej chwili Mike zdał sobie sprawę, jak mało wierzyli dotąd w powodzenie misji. Tylko kilku z nich zakładało, że budynki mogą runąć. Potrząsnął głową i zastanawiał się, dlaczego żołnierze po prostu nie uciekli na tyły.

Odrzucił na bok tę myśl i nakazał podoficerom zebrać się do wymarszu. Kiedy pluton ruszył w stronę komór powietrznych, Mike uaktualnił schemat bitwy. Musiał zapytać Michelle, czy odczyty były dokładne.

Było za dużo przerw w łańcuchu. Żołnierze w oblężonych budynkach stanowili mieszaninę obywateli pięciu różnych krajów. Mimo że powstała prosta droga wyjścia, obecność Posleenów i zerwana łączność spowodowały, że żadna z jednostek nie mogła otwarcie wesprzeć grenadierów.

Przez krótką chwilę patrzenia na monitor porucznik O'Neal wyobraził sobie śmierć własną i żołnierzy pod swoją komendą. On i żołnierze z drugiego batalionu trzysta dwudziestego piątego pułku piechoty zrobili swoje aż z nawiązką. Ale czasem nie wystarczy, żeby żołnierz robił swoje najlepiej jak umie. Żołnierz musi kontynuować misję, dopóki jej do końca nie wykona. Misja jednostek pancernych wspomaganych polegała na przełamaniu pierścienia oblężenia i uwolnieniu jednostek pancernych. Fakt, że sytuację komplikowała niezdolność konwencjonalnych jednostek do utrzymania łączności, nie miał znaczenia. Misja nie była zakończona.

– Czekaście.

Mike przywołał klawiaturę i zaczął sprawdzać różne scenariusze. Tymczasem żołnierze zbiorowo wstrzymali oddech. Nie wiedzieli, jaki czarny anioł rozpostarł nad nimi cień swoich skrzydeł, ale byli całkowicie pewni, że obiecany raj oddala się.

– Nadal nie mogą się ruszyć.

Żołnierze zaszurali nogami i zaczęli sprawdzać swoją praktycznie nie używaną broń. Lufy, granaty na miejscu, wyrzutnia obrotowa. Mike wystukał polecenie i wyświetliła się wolna droga z suterenu na wybrzeże morza. Duże zbiorniki na wodę morską doskonale nadawały się do ich celów.

– Grenadierzy nie mogą po prostu wykurzyć Posleenów. Spójrzcie.

Wyświetlił obraz, na którym czerwone i niebieskie ikony unosiły się w ciemnościach jak zło czające się w mroku.

– Teraz Posleeni są przyparci do muru, ale dysponują wystarczającymi siłami, żeby wytrzymać, i nie ma dobrego sposobu, żeby przełamać ten impas w krótkim czasie.

Mike wyświetlił schemat wojsk nacierających z obu stron na Posleenów.

– Trzeba uderzyć na nich z boku, najlepiej od morza, i zepchnąć ich w głąb lądu.

Zniknęła strzałka pokazująca wewnątrz lądu i pojawiła się druga, wskazująca morze i kierunek spychania Posleenów z ich obecnej pozycji.

– I wygląda na to, że musimy to zrobić my – zakończył.

Wypił łyk chłodnej wody z pancerza i uśmiechnął się drapieźnie. Zrzucenie budynków na drani to tylko fragment zadania. A teraz szykowała się walka na ziemi, jeden na jednego. Prawdziwa rzeź. Już dawno nadszedł czas, żeby słać trupy Posleenów. I żeby ich stosy rosły.

– Dlaczego my? – zapytał smętny głos. – Czemu nie Niemcy?

– Ich jednostka pancernych wspomaganych wspiera główną linię obrony w głębi lądu – odpowiedział Mike, kiedy sprawdził status jednostki. Uważał, żeby nie parsknąć śmiechem. – I jest prawie tak zdziesiątkowana jak nasz batalion. Zostaliśmy tylko my, żołnierze.

– Pieprzę to, kurwa, kurwa, kurwa!

– Cholera!

– Spokój, kurwa mać! – warknął sierżant Green. – Porucznik coś mówi.

– Do diabła, sierżancie – roześmiał się Mike. Tylko trochę podniósł głos. – Zgadzam się. Ale, jak to się mówi, „nie do nas należy szukanie powodów”. Na nogi, żołnierze. Czas iść za skaczącą piłeczką.

Mike zastanawiał się, kiedy któryś z nich wpadnie na pomysł, żeby mu się przeciwstawić, ale jak dotąd wszystko szło dobrze. Poczul nagle przyływ energii, a zmęczenie opadło jak zasłona. Pewnie działało się tak dlatego, że oczekiwał chwalebnej bitwy.

Przeraziło go jego nagłe pragnienie spotkania z wrogiem. Nie powinien prowadzić żołnierzy na

wojnę, jeśli nie potrafi opanować nienawiści. Ale nie widział też żadnego innego wyjścia. Niemiecka jednostka panczerzy wspomaganych miała własne zadania i nie można jej było użyć. W obecnych warunkach skuteczne były tylko panczerze wspomagane, a dysponował nimi jeszcze tylko jego pluton. Więc nadszedł czas, żeby odplacić Posleenom.

– Dobra, oto co zrobimy – powiedział, kiedy pluton zgromadził się w komorze powietrznej. – Wyjdziemy w morze przez wyloty kanałów wodociągowych i wydostaniemy się na plażę. Schwerpunkt, główny nacisk, położymy na Bulwar Alisterand, nad którym stale przesuwa się linia frontu. Zbliżyliśmy się w zwartej formacji i weźmiemy wroga pod ostrzał z marszu.

– Można użyć tylko brutalnej siły. Mam kilka asów w rękawie. Możemy pozostać niewykrywalni, nawet kiedy otworzymy ogień.

– Nie będzie już miejsca dla zwiadowców. Wasz lżejszy pancierz będzie bezużyteczny. Pozostańcie pod wodą, dopóki nie rozpoczniemy ostrzału. Uruchomcie wtedy systemy grawitacyjne i przedostańcie się do budynków.

Wejdźcie kilka kondygnacji wzwyż i zajmijcie pozycje snajperskie. Otwórzcie wtedy ogień do Wszechwładców. Nie wierzę, żeby ich system naprowadzania wykrył źródło ostrzału w ferworze walki, ale dla pewności sam oddam pierwszy strzał. Aha – uśmiechnął się – żadnych granatów bez mojego rozkazu. – Niektórzy żołnierze zaśmiali się ponuro. – Mamy uwolnić Niemców, a nie pozabijać ich.

Pluton zanurzył się w spokojnej ciemnej wodzie, a kompensatory bezwładności pchały żołnierzy przez toń w stronę wylotu kanału.

W wodzie roiło się od rurkopławów żywiących się szczątkami przynoszonych przez morze roślin. Kiedy pompy przestały działać, przetwarzana woda wróciła w górę kanału i spowodowała rozwój tysięcy mikroskopijnych grzybów, które pokryły ściany. Kolonie rurkopławów, napędzane przez specjalne polipy, pospieszyły na miejsce, żeby uzyskać żywność z niespodziewanego przydziału. Woda wypełniła się masą podłużnych galaretowatych stworzeń, z których każde starało się wziąć udział w uczcie. Kiedy się odżywiały, poruszały wewnętrznymi organami, co przesyłało wysoką falę dźwiękową przez morze. Dźwięki tworzyły piśczętliwy sopranowy szept.

Przez środek tunelu brnęła gromada mięsożernych robaków wieloszczetów. Kiedy panczerze ocierały się o galaretę, rurkopławy wydzielaly wielobarwne światło i wydawały dźwięczny szept, tak że pluton zdawał się płynąć przez śpiewający ogień. Śmierć galaretowatych stworzeń, kiedy ginęły w paszczy robaka, stanowiła kontrapunkt tej symfonii.

Czyste piękno nie wzruszało w tej chwili żołnierzy plutonu. Wkroczyli w wąską cieśń między zwykłym życiem a walką i w tym wymagającym skupienia świecie nie było miejsca na zachwyty.

– Kiedy walczyliśmy po drodze tutaj – ciągnął Mike – dwa razy widziałem, jak Wszechwładcy rozdzielają się i uciekają. Chcę, żeby ci dranie zesrali się ze strachu, kiedy wyjdziemy z wody. Posleeni stracili właśnie pod budynkami setki tysięcy wojowników i Wszechwładców, i oczekuję, że nasz atak będzie kroplą, która przepełni pieprzony kielich.

– Będziemy się kamuflować przy użyciu holograficznego obrazu morskich fal, dopóki nie znajdziemy się na plaży. Kiedy już wszyscy wyjdziemy na ląd, włączę specjalny hologram, który zamaskuje nas na czas bitwy.

Pamiętajcie, żeby przez chwilę suszyć lufy, zanim otworzycie ogień. Wtedy damy im niezłego kopa w dupę. Jasne?

Skończył wydawać krótkie rozkazy operacyjne właśnie w chwili, gdy pluton dotarł do wylotu kanału.

Zewnętrzne światło przyćmiło błyski umierających rurkopławów, a niesiony przez wodę huk bitwy

zagłuszył subtelny szept delikatnych istotek.

– Jasne, sir – potwierdzili chórem i popłynęli przez płytką toń równoległe do wybrzeża.

– Inżynierowie, zużyjemy tu cholernie dużo energii – ciągnął O'Neal. – Kiedy zabezpieczymy przyczołek, idźcie z zespołem Bravo z trzeciej drużyny do budynku i przedostańcie się do reaktora, żeby zaopatrzyć nas w energię.

Urwał i nacisnął przycisk.

– A tak, moi mili, wygląda cały pieprzony plan. Jesteście ze mną? – zapytał, podkreślając w ten sposób doniosłość tej chwili.

Chwycił karabin grawitacyjny, kiedy jego buty dotknęły szlamu. Miał nad głową tylko metr wody.

– Tak, sir!

Niezależnie od osobistych wątpliwości nie mogli powiedzieć nic innego. Duma i jedność zawsze pchały żołnierzy do działania.

– Więc co będziemy robić? – zapytał i zrobił pierwszy krok naprzód.

– Będziemy tańczyć, sir! – odpowiedzieli i ruszyli za nim.

– Z KIM BĘDZIEMY TAŃCZYĆ?

Hełm porucznika wyłonił się z wody i oczom Mike'a ukazał się obraz szokująco zacieklej walki. Armaty czołgów sterczały z okien dolnych kondygnacji i odpowiadały z furją na wściekły ostrzał ze spodków Wszechwładców, a między posleeńskimi wojownikami i grenadierami w szarych uniformach wrzała zacięta walka.

Cienka wstęga plaży była zasłana stosami trupów grenadierów i Posleenów, którzy nawet po śmierci wyglądali tak, jakby ścierali się ze sobą, a mieszająca się w kałużach krew spływała do oczyszczających wód morza. Salwa granatów utworzyła w masie Posleenów wyrwę, przez którą ponad stertami ciał poszybowały kolejne granaty.

Trafiony pociskiem czołg wyrzucił w powietrze wieżę, a grudy plazmy spenetrowały złom w poszukiwaniu załogi.

Płomienie białego ognia spaliły na popiół zgrupowanych grenadierów i Posleenów.

– Z DIABŁEM! – wrzasnęli żołnierze i jednocześnie strząsnęli wodę z karabinów grawitacyjnych.

Błysk eksplozji od pocisku Wszechwładcy rozświetlił linię starcia pierwszych szeregów Posleenów i grenadierów, a żółta i czerwona ciecz trysnęła w górę w krwawej fontannie. Ostrzał ze spodka Wszechwładcy gwałtownie uciszył niemiecki snajper.

– BĘDZIE PROWADZIŁ DIABEŁ CZY MY? – krzyknął Mike, kiedy osuszył lufę i przygotował granatniki.

– MY BĘDZIEMY PROWADZIĆ! – krzyknęli, a lufy jednocześnie uniosły się w górę.

Broń przesuwała się lekko, kiedy żołnierze celowali w Posleenów. Z samego środka pola bitwy poderwał się spodek Wszechwładcy, poszybował ponad wrzawą walki i zanurkował w stronę samotnego grenadiera, który miał już tylko nóż. Mike i inni żołnierze, którzy biegli w tę stronę, skierowali broń na posleeński spodek.

– Michelle, uruchom program Tiamat.

Pancerz dowódcy uniósł się w górę, pchany przez system antygravitacyjny, a wskaźnik poziomu energii opadał jak wodospad. Powietrze przed żołnierzami zawirowało na chwilę i zaraz się uspokoiło.

– PLUTON, OTWORZYĆ OGIEŃ!

Prowincja Andata, Diess IV
10:04 czasu uniwersalnego Greenwich,
19 maja 2002

Tulo'stenaloor, Wielki Mistrz Zakonu Bitewnego Sten Po'oslenna'ar, uważał się za znawcę sztuk wojennych.

Zgłębił wszystkie trzy dyscypliny dostępne w jego randze. Nie ogarniał go szła bitewny te'aalan, który na jego oczach wyniszczał jego współziomków. Ale nigdy w czasie nauki, w bitwach tej kampanii ani też w innych podbojach nie spotkał się z taką zaciętością, jaką odznaczały się demony w szarych szatach, z którymi ścierało się teraz jego oolt'ondai. Choć w ferworze walki mury spływały nienawistną czerwoną krwią wrogów, oni wciąż dawali odpór mocy Sten Po'oslenna'ar.

– Tele'stenie – zawołał przez komunikator – zabierz swoich oolt na lewe skrzydło, wesprzyj Alllllntta i przygotuj się do przejęcia jego oolt'os.

– Jak sobie życzysz – odezwał się komunikator.

Siedzący obok eson'antai dyszał z wysiłku. Opuścił swój tenar, żeby wesprzeć innego kessentai, ranionego przez przekłete młóciwa. Taki altruizm był wśród Po'oslenna'ar rzadki, prawie niespotykany. Możliwe, że nawet niemoralny. Młody kessentai wdrapał się z powrotem na swój tenar.

– Sądzisz, że zawiedzie na ścieżce?

– To pewne jak wschód słońca – powiedział Tulo'stenaloor.

Podniósł wzrok na nienawistne zielone słońce obmierzłego świata. Powinien był zostać na spowitej chmurami Atthanaleen. Pewnie była na najlepszej drodze do ordonath, ale przynajmniej padało! I nie było tam tych parszywych szarych młóciw!

– Te po trzykroć przekłete demony mnożą się, choćbyśmy na nich napierali z całych sił. Spójrz, jak ten kessentai wychyla tenar, wkrótce usunie go ze ścieżki jedna z tych prostych strzelb chemicznych. Ucz się na jego błędach, eson'antai!

– Jak pragniesz, mój edas'antai.

– Tulo'stenaloorze! – zagrzniał komunikator. – Sprowadź swoich tel'enalanaa oolt'os do budynku albo cię przedziurawię!

Odezwał się do niego Al'al'anar, jego zaprzyjaźniony mistrz.

– Chciałbym, żebyś to uczynił, Al'al'anarze. Wtedy to ty traciłbyś oolt przez te młóciwa.

– Zawsze byłeś zbyt miękki! Ruszaj albo oddaj ścieżkę, a'a'danie! – parsknął śmiechem jego zaprzyjaźniony dowódca batalionu.

– Chcesz ścieżkę! – krzyknął Tulo'stenaloor, nagle żółty z gniewu. – Weź sobie tę parszywą ścieżkę!

Stracił już połowę swojego oolt'ondai i nie był w nastroju do wysłuchiwanie skarg byle pisklaka.

– Tulo'stenaloorze! Al'al'anarze!

– Jak chcesz – powiedział Tulo'stenaloor, a w jego głosie nadal kipiał gniew.

Zazgrzytał zębami i machnął grzebieniem, co pozwoliło mu się opanować.

– Mój edas'antai – zabrzmiał głos Al'al'anara.

– Tulo'stenaloor przejmie ścieżkę – zarządził wyższy dowódca z odległego dwunastościennego łądownika. – Al'al'anar zaczeka, póki nie nabierze mądrości. A ja stracę całe oolt'ondai, bo on jest twoim eson'antai.

– Jak chcesz, aad'nal'sa'anie. Jednak wkrótce skończą mi się oolt.

– Dostrzegam to. Al'al'anarze, ustaw się za Tulo'stenalorem i przygotuj do ponownego ataku ze skrzydła od strony morza. Dostrzegam tam słabość; tam jest mniej tenarów tel'enalanaa.

– Jak pragniesz! – rozradował się Al'al'anar.

– Wielka jest twoja mądrość – powiedział Tulo'stenaloor.

W ten sposób tracę status, pomyślał. Ale teraz wykorzystam sytuację, kiedy ten po trzykroć przeklęty pisklak sknoci jakieś proste posunięcie.

Al'al'anar nigdy nie potrafił skutecznie wesprzeć innych oolt'ondai i zamiast tego popadał w szal bitewny i gonił za bezbronnymi, zielonymi młóciwami jak dziki oolt'os. Gdyby nie modyfikator genów, mógłby zostać co najwyżej mistrzem zwiadowców, ale bardziej prawdopodobne, że już by nie żył. Takie były bitwy na ścieżce.

Spodek Allllntta nagle wymknął się spod kontroli, kiedy łeb Wszechwładcy pękł jak melon; niemiecki żołnierz skutecznie wziął go na cel, kiedy centaur uniósł się w tenarze, żeby pod lepszym kątem podejść pod pierwsze szeregi. Oolt'os jego kompanii rozbiegli się po wyższych kondygnacjach w gwałtownej furii, ale już po chwili zaczęli torować sobie drogę na tyły. Grenadierzy przypuścili jednak nagły kontratak i odzyskali drugorzędne pozycje.

– Tele'stenie! Sprowadź tu zaraz swoich oolt!

– Tak, aad'nal'sa'anie, jak sobie życzysz.

Młody Wszechwładca, dopiero niedawno awansowany ze stanowiska mistrza zwiadowców, po raz pierwszy w życiu postanowił zaprząć „na gorąco” wojowników innego zgłodzonego Wszechwładcy. Ponieważ jednak trzeba było dotknąć każdego po kolei wojownika, przestał uchylać się swoim tenarem. Pojedyncza kula kaliber 7,62 mm zakończyła ścieżkę młodego dowódcy kompanii.

– Tel'ena, fuscrito utt! – zaklął Tulo'stenaloor po śmierci syna. – Alld'nt! Pchnij oolt'os Tele'stena i Allllntta na szare demony i bądź przeklęty razem z nimi!

Tele'stenie, mój eson'antai, mówiłem ci tyle razy: Nigdy się nie zatrzymuj.

* * *

– Majorze Steuben, odzyskaliśmy drugorzędne pozycje!

– Wspaniale, poruczniku. Utrzymać je za wszelką cenę! Staram się wezwać wsparcie i mam nadzieję, że nie zdołają nas zepchnąć, zanim nie przyślą nam tu innych oddziałów!

– Tak, sir, dziesiąta dywizja grenadierów nigdy się nie podda!

– Dobra robota, poruczniku Mellethin. Muszę już iść. Bądźcie twardzi jak stal!

– Jak stal, sir.

Jak stal, rzeczywiście, pomyślał major Joachim Steuben, ale nawet stal mięknie w ogniu.

Ze swojej pozycji na niższym piętrze megawieżowca widział dokładnie płonące czołgi swojej dziesiątkowanej dywizji. Jednak jeszcze gorszy niż widok był swąd palonego mięsa i gumi, wyraźnie wyczuwalny nawet z tej odległości. Niedobitki dziesiątej dywizji grenadierów nie sformowałyby niepełnego batalionu nawet po otrzymaniu posiłków, a o tego nie miały kontaktu z większością wspierających je dywizji Francuzów, Brytyjczyków i Amerykanów. Jeśli sytuacja się nie poprawi, i to szybko, wszyscy będą straceni.

Tyle przekazał do głównego dowództwa i otrzymał rutynową, banalną odpowiedź. Pomoc nadejdzie, amerykański batalion pancerzy wspomaganych jest nadal sprawny i jest już w drodze. Nie miał pojęcia, co będą w stanie zrobić, kiedy już się pojawią.

Wcześniej odkryli, że w ogniu walki systemy naprowadzania Wszechwładców nie mogą namierzyć snajpera, i zmarły dowódca batalionu Steubena bardzo dobrze wykorzystał tę informację. Biorąc Wszechwładców na cel i przypuszczając bezlitosne ataki w czasie zamieszania po ich śmierci, grenadierzy długo opóźniali nieuniknione. Ale teraz zadziałała zwykła matematyka. Otaczały ich przytłaczające siły wroga i najlepiej było oszczędnie gospodarować życiem żołnierzy.

– Majorze – powiedział jeden z niewielu pozostałych jeszcze przy życiu techników i podał mikrofon – dowództwo korpusu.

– Majorze? – zabrzmiał głos dowódcy amerykańskiego korpusu.

– Tak, Herr General Leutnant – odpowiedział ze znużeniem major.

– Czeka was miłe zaskoczenie. Nie rozładuje to wprawdzie u was napięcia, ale pozwoli innym jednostkom udzielić wam wsparcia. Megawieżowce na wschód i północ od was przewrócą się. Mamy nadzieję, że wasz budynek pozostanie na miejscu.

– Słucham, sir? Mógłby pan powtórzyć? – wyjąkał do mikrofonu zdumiony major dokładnie w chwili, kiedy zatrzęsała się ziemia. – Mein Gott! Was ist so heute los hier?

Zebrani wokół grenadierzy krzyczeli w nieludzkim strachu, kiedy ziemia zadrżała pod ich stopami. Technik łączności przywarł do ostatniego nadajnika dalekiego zasięgu, który chwilę potem spadł na ziemię.

– Majorze! – krzyknął podoficer operacyjny spod ściany od strony lądu – budynki!

Ulica wypełniła się nagle pyłem i gruzem, kiedy budynek na północnym zachodzie rozrucił wyższe kondygnacje po całym bulwarze. Gruz zmiażdżył pierwsze szeregi Posleenów i przykrył kilka z działających jeszcze czołgów Leopard, które jednak po chwili wyjechały spod rumowiska i znów plunęły ogniem. Większość linii frontu zajmowały jednostki francuskie i angielskie oraz niedobitki amerykańskiego trzeciego batalionu pancerzy wspomaganych i siódmego pułku kawalerii. Gdyby tylko major miał teraz łączność z tymi jednostkami, mógłby polecić im, żeby przedostały się przez pierścień oblężenia do własnych linii. Nagle zdał sobie sprawę, że nadal ma na linii generała broni.

– Herr General? – powiedział major i zakasłał od chmury pyłu, która przetoczyła się przez kwaterę główną.

– Zakładam, że się udało?

– Tak, chwilowo wszystko ist so heute los, ale wkrótce będziemy to mieli za sobą. Możliwe, że mamy teraz jakieś szanse, Herr General!

– O to chodzi. Przekażcie tamtym jednostkom pancerzy wspomaganych rozkaz dołączenia do was, my nie mamy z nimi łączności. Potem wycofajcie się jak najszybciej.

– Przekazałbym im rozkaz, Herr General – powiedział major – ale z żalem informuję, że od ponad dwóch godzin również nie mamy łączności z tymi jednostkami.

– Cholera! Cóż, pošlijcie tam kogoś z wiadomością.

– Już to zrobiłem, posłałem też nadajniki, ale nikt nie wrócił. Do budynku wtargnęła już cała kompania Posleenów. Oddziały na moim skrzydle pozostają w styku z jednostką Francuzów, ale ja nie mam łączności z tym skrzydłem i nie mogę wywalczyć dostępu do pozostałych jednostek NATO bez posłania do walki całej rezerwy. – Urwał i zastanowił się nad sytuacją. – Zbyt wiele razy musiałem to już robić, więc nie chcę jej wykorzystać teraz bez bezpośredniego rozkazu. Dla celów praktycznych dowodzę tylko wojskiem w zasięgu wzroku.

– Tak, macie całkowitą rację. Majorze, to jest bezpośredni rozkaz. Jeśli uda się wam wycofać wojsko bez wsparcia tych jednostek, zróbcie to. Nie utrzymujcie pozycji w nadziei, że się pojawią. Nie możemy podjąć obecnie takiego ryzyka. Zgodnie z tym, co wiemy, równie dobrze może ich już nie być.

- Jawohl, Herr General.
- Powodzenia, majorze.
- Danke schön, Herr General. Życzę szczęścia.
- Tak, w tej chwili wszystkim przyda nam się odrobina szczęścia.
- Majorze – zawołał jeden z podoficerów przy radiostacji. – Skrzydło od strony morza!

* * *

Czy demony bitwy a'a'lonaldal tego świata nigdy nie spoczną? Jaka nowa niespodzianka jeszcze ich czeka?

Tulo'stenaloor słyszał o wielkim upadku koło wyżyny, ale większość obserwatorów uznała to za wynik zniszczenia podczas bitwy albo słabej konstrukcji. Tym razem celowo zagrodzono drogę oolt'ondai na północ i zachód. Tutaj, na południu, wkrótce odczują gniew połączonych or'nallath w budynku.

Pocieszający był tylko fakt, że oolt'ondai Al'al'anara zdołało wesprzeć skrzydło od strony morza i rozpoczęło natarcie te'naal z zaciętością, jaką Tulo'stenaloor rzadko widywał. Nie lubił wprawdzie Al'al'anara, ale musiał przyznać, że potrafił on motywować swoich oolt'os. Oolt'ondai spadło na szare demony, kiedy próbowały podnieść się z klęski na zachodzie, i zadało im duże straty. Zostało zdziesiątkowane w walce wręcz, a Po'oslana'ar przodowali w tej sztuce. Parszywi or'nallath tracą wkrótce skrzydło od strony morza i Po'oslana'ar ruszą naprzód do centrum miasta.

* * *

Stanowisko dowodzenia dziesiątej dywizji grenadierów było całkiem opuszczone. Major Steuben pognął całą rezerwę, wszystkich urzędników i lekko rannych, jakich tylko znalazł, na skrzydło od strony morza, ale nowy batalion Posleenów wciąż spychał ich z powrotem do budynku. Grenadierzy musieli walczyć wręcz, a kiedy major dotarł na linię frontu, zauważył wieżyczkę działa jednego z nielicznych już czołgów Leopard, wylatującą w powietrze w katastrofalnej eksplozji. Języki ognia wybuchającej amunicji usmażyły znajdujących się wokół czołgu grenadierów i Posleenów.

Major stwierdził, że nie można już zrobić nic więcej, chwycił G-3 zabitego żołnierza i popędził prosto w sam środek bitwy, zdecydowany zyskać przynajmniej straż honorową w Walhalli. Dał się ponieść się emocjom i, nie panując nad gniewem i rozzaleniem, wspiął się na stertę gruzu w poszukiwaniu wrogich dowódców.

* * *

Al'al'anar z Alan Po'oslana'ar, mistrz i wojownik, był w swoim żywiole. Zbrukany nienawistną krwią wrogów szukał okazji do szlachetnego pojedynku. Jego dowódcy oolt'os i oolt pozwalali mu walczyć według jego woli.

Pchnął naprzód swój tenar, zrzucając tych oolt'os, którzy nie zdołali się dobrze chwycić, i tłukł młóciwa w szarych szatach jak cepem. Spostrzegł na odległym skrzydle frontu, jak jedno z młóciw wymachuje swoją lichą bronią chemiczną. Młóciwo spojrzało na niego, odrzuciło broń i wyciągnęło jeszcze bardziej lichy nóż. Al'al'anar obnażył ostrze swojego miecza, uniósł spodek na napędzie antygravitacyjnym i ruszył na przeciwnika z szyderczym śmiechem.

Posleński spodek poszybował nad polem bitwy z oszłamiającą prędkością. Nóż bojowy Gerber majora Steubena został odcięty siedem i pół centymetra od nasady przez grubą na kilka atomów klingę miecza Wszechwładcy. Spodek zatoczył łuk, żeby znów zaatakować. Steuben odwrócił się, patrząc wrogowi w oczy, zdecydowany umrzeć jak prawdziwy mężczyzna. Kiedy po chwili spojrzął za siebie, stanął jak wryty i w zdumieniu utkwiał wzrok w ogromnym kształcie wylaniającym się z morza. Wielogłowy czerwony smok wielkości budynku wynurzał się powoli z zielonych fal. Dziesiątki głów wiły się nisko nad powierzchnią wody, a pośrodku wznosiła się jedna głowa z gęstą grzywą i ziejącą purpurową paszczą.

Kiedy ogarnięty szalem bitewnym Wszechwładca szykował się do kolejnego natarcia, smocze głowy otworzyły paszcze i zionęły srebrnymi błyskawicami.

Z pierwszym oddechem bestia wydała z siebie głośny okrzyk. Po tym okrzyku gniewu i dzikich emocji major Joachim Steuben, oszołomiony zbliżającą się śmiercią, padł na kolana i zalał się prawdziwie nieteutońskimi łzami.

Kiedy pierwsze tony perkusji z „Immigrant Song” Led Zeppelin rozbrzmiały z największym natężeniem dźwięku w pancerzach wspomaganych, świat wokół jakby zamarł w bezruchu.

* * *

Pierwsze zadanie, jakie wyznaczył sobie Mike, polegało na zniszczeniu posleńskiego Wszechwładcy, który atakował samotnego żołnierza na stercie gruzu. Trzech innych żołnierzy wzięło sobie za cel ten sam obiekt, więc Wszechwładca i jego spodek rozpadli się na kawałki pod zmasowanym ostrzałem z karabinów grawitacyjnych.

Podmuch eksplozji i uwolniona fala energii zabiła setki zgrupowanych wokół posleńskich wojowników.

Wszechwładca znajdował się prawie po drugiej stronie bulwaru, więc wybuch nie spowodował większych szkód wśród grenadierów.

Mike wziął na cel innych Wszechwładców na polu bitwy. Kiedy pluton grupował się, porucznik zastanawiał się przez chwilę nad pierwszym uderzeniem w bitwie. Batalion nie miał żadnych stałych fortyfikacji, żadnych min, zasieków z drutu kolczastego ani bunkrów, co pozwalało Posleenom bez przeszkód kierować całą masę ognia i swój gniew przeciw żołnierzom. Poza tym planowane wcześniej pionowe rozmieszczenie batalionu pozwalało wprawdzie strzelać do tylnych szeregów wroga, umożliwiało jednak ostrzał dziesiątkom tysięcy, a nie tylko setkom Posleenów.

Dlatego bitwę z użyciem doskonale przystosowanych pancerzy należało prowadzić na ziemi, gdyż właśnie na ziemi tylko setki Posleenów mogły jednocześnie strzelać do żołnierzy. A stosy posleńskich i ludzkich trupów służyły jako nasyp ochronny, zza którego pluton mógł razić wroga.

Nikt nie pomyślał zawczasu o pewnej kwestii, która pomogłaby podczas bitwy o Qualtren. Batalion otrzymał rozkaz otwarcia ognia do masy Posleenów. A przecież w zasięgu wzroku znajdowały się setki Wszechwładców, i gdyby batalion skoncentrował się właśnie na nich, posleńscy wojownicy pozostałiby bez przywódców. Zabójcze hordy czułyby się jak opuszczone włóczęgi i wtedy żołnierze mogliby ich łatwo wybić. Mike zamierzał naprawić teraz ten błąd, o ile było to jeszcze możliwe.

Porucznik skierował ogień na Wszechwładców, a główna grupa żołnierzy rozpoczęła zmasowany i nieustający ostrzał wojowników. W konflikcie nie było nic eleganckiego, żadnych wybuchów ani

manewrów mylących przeciwnika, tylko zwykła, brutalna rzeź. Gnając ku pozycjom grenadierów Posleeni zgrupowali się tak ciasno, że nie mogli teraz nawet wyciągnąć broni. Centaury całkowicie wypełniały bulwar, więc żeby się przez niego przedrzeć, trzeba było zebrać krwawe żniwo. Przez pierwsze kilka minut Posleeni prawie nie odpowiadali na ogień głównej grupy żołnierzy, która zasypywała ich ciągłym, przytłaczającym gradem kul.

Hiperszybkie pociski z broni grawitacyjnej pchały przed sobą czoło fali energii. Efekt trafienia pojedynczego Posleena strumieniem kul był katastrofalny; czoło fali hydrostatycznej rozchodziło się z prędkością bliską prędkości światła. Pomimo stosunkowo niewielkich rozmiarów uranowych kul, impet ich uderzenia w jednego Posleena miał efekt porównywalny ze zdetonowaniem pięćdziesięciu kilogramów trotylu wewnątrz jego ciała: po okolicy rozbryzgiwała się żółta, dokładnie rozdrobniona maź. Prawie nie odkształcone kule z niemal równym impetem trafiały kolejnych Posleenów. Większość pocisków wgrzyzała się w ten sposób na sześć albo siedem szeregów w głąb masy, niszcząc ją jak nuklearny pług.

Nie nabijali ich na pale, lecz raczej ścinali jak trawę ze zbyt długo nie koszonego trawnika. Na drodze do plaży piętrzyły się stosy broczących żółtą posoką trupów i trudnych do rozpoznania części ciała. Strumienie krwi zlewały się w żółtą rzekę i płynęły do morza, a masa Posleenów falowała i wyrzucała kawałki ciał wskutek ostrzału z broni kinetycznej.

Tymczasem zamaskowani przez holograficzną technologię zwiadowcy podpłynęli do okien najbliższego budynku i pospiesznie zajęli pozycje snajperskie.

W ciągu kilku chwil przekonali się o nieprawdziwości stwierdzenia, jakoby Posleeni nigdy nie zawracali. Na widok wyłaniającej się z morza istoty niczym z mitów wojownicy zatrzęśli się ze strachu. Mike zauważył, jak tylne szeregi pierzchają w popłochu. Wielu wojowników odpowiedziało jednak ogniem w kierunku Mike'a, ale hologram wokół niego utrudniał ustalenie jego rzeczywistej pozycji. Jedyne dokładnym celem była lufa jego karabinu, która wypluwała strumienie kul sięgające celu z ogromną precyzją. Każdy pocisk osłabiał nieco morale wroga.

Nagle Mike'a uderzył strumień ognia i Michelle oznaczyła pozycję odległego Wszechwładcy, otoczonego przez zdyscyplinowane wojsko, które go namierzyło. Porucznik strzelił do Wszechwładcy, ale spodek przesunął się zwinnie w bok. Mike oddał jeszcze cztery szybkie, precyzyjne strzały, ale każda z kul minęła Wszechwładcę o włos i zabiła dziesiątki wojowników na linii ognia. Kimkolwiek był Wszechwładca, kierował spodkiem jak mistrz i był zbyt dobry, żeby się nim zajmować. Wobec tego Mike automatycznie nakierował granatniki na wojowników wokół zręcznego Posleena i zapomniał o nim.

* * *

– Thral nah toll. Na demony ognia i przestworzy, cóż to jest?

Cokolwiek to było, pomyślał Tulo'stenaloor, służyło demonom w szarych szatach. Zastanawiał się właśnie nad tym przez dłuższą chwilę, kiedy oolt'os wokół niego rozbiegli się nagle na boki i zaczęli zrywać rzemienie uprząży w strachu przed bestią jeszcze większą i bardziej niebezpieczną od nich.

– Tel'enalanaa – szepnął po chwili. – To iluzja! – krzyknął. – Alld'nt! Spójrzcie! Wewnątrz bestii są zwykli żołnierze! Celujcie w paszczę! Tam! Na uniesionej głowie! Celujecie i strzelajcie!

Oolt'os, którzy otrzymali rozkazy i mieli jasno określony cel misji, otworzyli ogień. Karabiny plunęły we wskazanym kierunku strumieniami zaostrzonych, podłużnych pocisków. Kule zniknęły w głowie smoka bez widocznego śladu. Pociski hiperszybkie po prostu przechodziły przez cielsko bestii i nie wybuchały.

– Patrzcie! Nie ma krwi! To podstęp! Fałszywy demon! Gdzieś tam jest kessentai! Strzelajcie w głowę! Celujcie i strzelajcie!

Wycelował ręcznie ciężki laser i skierował na smoka jego wiązkę. W odpowiedzi smok ryknął i odwrócił głowę w jego stronę. Szpony Tulo'stenaloor zatańczyły na przyciskach pulpitu sterowniczego i tenar wychylił się w bok, a oddech smoka nadtopił osłonę. Posleen jeszcze raz dotknął klawiszy i smok znów nie trafił. Jeszcze dwa razy i bestia najwyraźniej straciła zainteresowanie. Podczas gdy smok zajął się odległym mistrzem trzeciego stopnia, wokół rozszalały się wybuchy. Kiedy straszliwe eksplozje pochłonęły jego oolt'ondai, Tulo'stenaloor zdecydował, że już wystarczy. Na razie wróg przejmie pole; w końcu Lud zawsze zatriumfuje.

– Lo'oswand! – rozkazał i wskazał do tyłu. – Oolt'ondai, lo'oswand! Cofamy się walcząc!

* * *

Kiedy zwiadowcy zajęli pozycję i zaczęli eliminować Wszechwładców, Mike stwierdził, że może już wrócić na ziemię. Zużył ponad trzydzieści procent mocy, głównie na latanie, i musiał teraz włączyć tryb naziemny.

Kiedy znalazł się na dole, zwiadowcy ruszyli naprzód. Wspięli się na stosy posleeńskich ciał i przedostali na bardziej pusty teren. Panczerze automatycznie dostosowały się do nieznanego podłoża i drużyny otworzyły ogień.

Trafiąło w nich teraz znacznie więcej pocisków, ale na ziemi Posleeni mogli do nich strzelać tylko z niewielkiej odległości, więc była to praktycznie walka jeden na jednego. Masywna horda Posleenów skierowała się na żołnierzy, ale oni obawiali się tylko tego, żeby nie skończyła im się amunicja.

Mike wylądował właśnie w chwili, gdy druga grupa przygotowywała się do przejścia przez stosy trupów, więc poszedł razem z nimi. Po drodze sprawdził stan plutonu. Odnieśli niewiele strat, a poziom energii u większości żołnierzy przekraczał siedemdziesiąt procent. Zmniejszyła się ilość amunicji, ale wkrótce też powinien osłabnąć ostrzał ze strony wroga. Kiedy przedostali się przez stosy, Mike sprawdził schemat pola bitwy i stwierdził, że Posleeni byli wygodnie zgrupowani.

– Pluton! Salwy z granatników, program: pojedynczy, daleki rzut, nakładanie stref: pięćdziesiąt procent, wesprzeć FPF na lewo. Gotów... Pal!

Wokół rozległa się szybka seria głuchych odgłosów.

– Sprawdzić cel!

Nie chciał, żeby żołnierze strzelali na oślep z granatników, skoro w pobliżu znajdowały się sojusznicze jednostki.

Granaty były ładunkami antymaterii wewnątrz osłony z czystego osmu. Skutek wybuchu każdego z nich był porównywalny z eksplozją studwudziestomilimetrowego pocisku z mózdzierza. Promień strefy silnego rażenia, obszaru całkowitego zniszczenia, wynosił piętnaście metrów, a promień strefy słabego rażenia blisko trzydzieści pięć. Samo użycie granatów w bezpośrednim sąsiedztwie Panzergrenadiere było niebezpieczne. Granaty nie rozpryskiwały się jednak tak bardzo jak pociski mózdzierzowe i były nieco mniej skuteczne na większą odległość; w strefie słabego rażenia prawdopodobieństwo zabicia człowieka na otwartym terenie nie sięgało piętnastu procent.

Program spowodował wystrzelenie podwójnego strumienia granatów wzdłuż szerokiego na siedemdziesiąt pięć metrów bulwaru. Granaty upadały w odległości piętnastu metrów od zajmowanego przez Posleenów budynku i w promieniu dwudziestu metrów. Dlatego strefa całkowitego zniszczenia obejmowała pięćdziesiąt metrów od megawieżowca będącego w rękach

Posleenów, a dalsze dwadzieścia pięć metrów znajdowało się w strefie słabego rażenia. Długość rzutu wynosiła od trzydziestu metrów do blisko kilometra od frontu jednostek panczerzy wspomaganych. Strefa słabego rażenia sięgała pozycji Panzergrenadiere, ale większość, jeśli nie wszyscy grenadierzy, zdążyła się już ukryć.

* * *

Wybuchy rozszalały się po całym bulwarze i Tulo'stenaloor wiedział już, co teraz będzie. Zdawało się, że biały ogień obejmuje całą szerokość alei, a potężne eksplozje następują ułamek sekundy jedna po drugiej. Droga ucieczki przez południowy budynek była odcięta; większość wejść uległa zniszczeniu podczas walki, a te, które pozostały, były zapchane pieszą flotą lub spodkami.

Kiedy ogień zaporowy zbliżał się do jego wycofującego się batalionu, mistrz kulił się w krótkich chwilach między wybuchami. Wszystkie granaty wystrzelowano jednocześnie, ale ponieważ niektóre miały większą odległość do przebycia, odstępy czasu między nimi zwiększały się w miarę wycofywania się wojsk.

Wiedział, że może uciec, zostawić oolt'os i razem z innym kessentai umknąć w tenarach. Ale stracić swoje oolt'ondai, które tak wytrwale budował przez lata z najlepszego materiału genetycznego? Nie, wolał umrzeć niż zaczynać od początku. Jak Lot prowadził swoją watahę w bezpieczne miejsce, a klęska nadchodziła wielkimi krokami.

Kiedy zbliżyli się do odległego skrzyżowania, a cisza przeciągała się w nieskończoność, Tulo'stenaloor w końcu odważył się spojrzeć za siebie.

Od oceanu do połowy długości budynku rozciągał się dywan trupów Po'oslenna'ar, przemieszane kotłowisko ciał oolt'os i kessentai, którzy w obliczu śmierci różnili się od siebie tylko rozmiarami. W tej rozległej rzeźni żaden Po'os nie poruszał się, nie było żywej duszy. Energia wybuchów wywołała ogromny wzrost temperatury w bezpośrednim otoczeniu. Powietrze wypełniał swąd pieczonego mięsa Posleenów, usmażone ciała lekko parowały, a z roztrzaskanych tenarów unosiły się kłęby dymu.

Kiedy oolt'ondai Tulo'stenaloor skrzył na południe, mistrz obejrzał się jeszcze raz i spostrzegł, jak morski demon migocze i zamienia się w grupkę młóciw w metalicznych pancierzach kosmicznych. I tyle zostało po morskim demonie. Na jego oczach wykończyli swoimi straszliwymi srebrnymi błyskawicami kilku rozproszonych oolt'os i ruszyli wzdłuż bulwaru w dudniących podskokach. Tulo'stenaloor pomyślał: ci tresh'akrenallai byli chytry, oj chytry.

Prowincja Andata, Diess IV
10:09 czasu uniwersalnego Greenwich,
19 maja 2002

Major Steuben podciągnął się na kawałku gruzu i wytarł krew z ust. Bezustannie dzwoniło mu w uszach, ale był żywy, o co nie założyłby się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Całkowita utrata słuchu wydawała się w obecnej sytuacji niewielką ceną do zapłacenia. Próbował wstać, ale fala zawrotów głowy zwyciężyła go i musiał znowu usiąść. Zauważył pierwszą drużynę zwiadowców, która zbliżała się w podskokach i rzucała srebrnymi błyskawicami. Huk broni kinetycznej brzmiał w uszach Steubena jak głuche dudnienie, ale był to pierwszy dźwięk, jaki major usłyszał od czasu eksplozji.

Pamiętał, jak płomień z paszczy smoka strącił z nieba nacierającego Wszechwładcę jak muchę. Wspomnienie podziało jak kubeł zimnej wody i major zszedł natychmiast z rumowiska, chwycił w przelocie G-3 i ruszył w stronę jednego z bunkrów, które pospiesznie usypali grenadierzy. Chciał dostać się do systemów łączności, skoro wydawało się, że jednostka mogła cudem przetrwać. Zanim tam dotarł, drogę zagroził mu czołg Leopard, który plunął ogniem i barwił wodę krwią Posleenów. Huk głównego działa stanowił znowu zamach na Steubena i major stracił na chwilę wszelką nadzieję na odzyskanie słuchu w tym wściekłym, chaotycznym świecie.

Kucnął za uszkodzoną ścianą i wystawił za róg lufę karabinu. Scena za rogiem była jeszcze bardziej wstrząsająca niż to, co się tu rozgrywało przez ostatnie dni. Major widział, jak głowy holograficznego smoka zieją ogniem na Posleenów stłoczonych od strony morza. Posleeni nie mogli uciec i teraz ich szeregi rozmywały się pod gradem kul jak gliniane urwisko zalane strumieniem wody z węża strażackiego. W powietrzu fruwały kawałki ciał i krople krwistej mazi, kiedy na Posleenów zionął metaliczny oddech smoka. Stosy trupów rosły tak wysoko, że stały się dla smoka przeszkodą, więc jego niższe głowy musiały się unieść ponad stertą na całą swoją wysokość, i wtedy dopiero mogły dalej zionąć językami ognia. Kiedy głowy opadły z powrotem razem ze środkową głową, wyleciała z nich grupka małych okrągłych obiektów.

Majorowi Steubenowi zajęło trochę czasu, zanim domyślił się, co to za obiekty. Poinformowano go, całe tysiąclecia temu na Ziemi, o możliwościach panczerzy wspomaganych floty. Patrzył, jak niewinnie wyglądające, stosunkowo drobne kuleczki dryfują leniwie w górę, a potem zaczynają opadać. Nagle zbladł jak papier, wrzasnął „POCISK!” i zanurkował w tył z rękami na uszach.

Następnie podniósł się na nogi i wyszedł chwiejnym krokiem na ulicę. Kiedy pojawiła się druga grupa zwiadowców, major wybiegł naprzeciw jednego z nich, podoficera, sądząc po belkach na ramieniu. Steuben miał nadzieję, że sierżant go widzi. Nie było widocznej przyłbicy, pochyły przód hełmu wykonany był z gładkiej, szarej stali plastycznej.

– Oficerze! – zawołał do żołnierza, pochylając się nad naszywką na kołnierzyku. – Muszę pomówić z pańskim dowódcą!

Broń żołnierza nawet nie drgnęła i dalej wyrzucała strumienie pocisków w stronę celów. Major trzasnął żołnierza w ramię; poczuł się tak, jakby uderzył belkę dwuteową i o mało nie złamał sobie ręki. Miał wrażenie, że mówi do jakiegoś bezdusznego robota, i przez chwilę zastanawiał się, czy w panczerze jest rzeczywiście żywy człowiek.

– Eine Minute bitte, Herr Major. Der Leutnant ist hierher unterwegs – powiedział żołnierz doskonałą niemiecką.

– Was? Was? Ich bin ein wenig taub.

Głośniej!

– Eine Minute bitte, Herr Major. Der Leutnant ist hierher unterwegs – zagrzemiał znów pancierz.

– Sind Sie Deutscher? – krzyknął zaskoczony major Steuben, który wyraźnie widział czerwono-biało-niebieską tabliczkę na ramieniu pancierza.

– Nein, Herr Major, Amerikaner. Die Rüstung hat einen Übersetzer. Bitte, Herr Major, ich muss gehen. (Nie, panie majorze, Amerykaninem. W pancierzu jest translator. Przepraszam, panie majorze, muszę iść).

Pluton oddalił się w podskokach, pozostawiając w tyle jeden niski pancierz. Podszedł on ociężale do majora i rękawica z brzdęką uderzyła o hełm w geście salutowania.

– Leutnant Michael O'Neal, mein Herr – zadudnił pancierz. – Tut uns leid, dass es so lang gedauert hat. Wir hatten unterwegs eine Störung. (Przepraszamy, że tak długo to trwało. Coś nam przeszkodziło po drodze).

– Lepiej późno niż wcale, poruczniku. Musi się pan wycofać ze swoją jednostką? Gdzie jest pański dowódca?

– Ja nim jestem, sir. Reszta batalionu albo nie żyje, pogrzebana pod Qualtren, albo działa na głównej linii obrony.

W rękę O'Neala nagle pojawił się pistolet. Broń wypluła strumień pocisków w ciemność niższej kondygnacji odległego budynku. Rozległ się słabnący krzyk i zanim major się obejrzał, pistolet już wrócił do futerału. Wszystko stało się w czasie krótszym, niż Steuben potrzebowałby na pociągnięcie za spust.

– Cóż – powiedział drżącym głosem Steuben. – Pan też patrzy na ostatniego członka dziesiątej dywizji grenadierów. Nie zostało nam nawet wystarczająco dużo żołnierzy, żeby pogrzebać naszych zmarłych, gdyby udało się ich odnaleźć.

– Tak, sir – powiedział ze stoickim spokojem pancierz wspomagany. – Pewnego dnia wszystkich nas spotka śmierć. Tylko że dzisiaj spotkała zbyt wielu.

– Ja. Jakie są pańskie rozkazy? – zapytał major.

Zaczął mrużyć oczy ze zmęczenia, kiedy opadał poziom adrenaliny, gwałtownie podniesiony w ciągu ostatnich kilku minut. Poczł nagłą potrzebę zwymiotowania i ledwo się przed tym powstrzymał.

– Otrzymałem od generała Housemana ustny rozkaz uwolnienia jednostek z tego budynku i niezwłocznego eskortowania ich do głównej linii obrony, sir.

– Cóż, zostaliśmy uwolnieni i myślę, że powalone budynki pozwolą uwolnić się także Brytyjczykom, Francuzom i Amerykanom – powiedział major i gwałtownie usiadł na stercie gruzu. – Ale nie mamy z nimi żadnej łączności. Nie możemy im nawet powiedzieć, że droga wyjścia jest wolna.

– Cóż, właściwie jeszcze nie jest, sir. Trzeba będzie walczyć po drodze do głównej linii obrony.

– Tak, ale może się udać, skoro zepchnęliśmy główne oddziały Posleenów z ich pozycji. W każdym razie uda nam się, jeśli wyruszymy przed ich kontratakami. Aleja na zachodzie jest otwarta, ale musimy się jeszcze uporać z trzema budynkami i dwiema alejami.

– Proszę chwilę poczekać, sir. Muszę coś sprawdzić.

Pancierz wspomagany szczelnie zasłaniał postać, ale coś mówiło majorowi, że młody, jak sądził, porucznik był tak samo zmęczony jak on.

– Zabezpieczyliśmy skrzyżowanie, majorze – ciągnął po chwili Mike – i mamy kontakt z pańskimi jednostkami w tym rejonie. Uważam, że powinniśmy tam iść, przynajmniej ja powinienem. Musimy

ruszyć tym dylizanssem, sir.

– Ja, verstehe.

Steuben odwrócił głowę i dostrzegł czołg Leopard, który zablokował mu drogę odwrotu. Kierowca i dowódca patrzyli z włazu na stosy posleńskich trupów. Czołgiem dowodził porucznik z trzeciej brygady, którego major znał tylko z widzenia. Nieważne. Wstał, podszedł i zacisnął dłoń na uchwycie przy włazie. Zachwiał się przez chwilę, kiedy zakreśliło mu się w głowie, ale postawił nogę na gąsienicy i za drugim razem zdołał wdrapać się na maskę czołgu. Wziął głęboki wdech.

– Poruczniku – warknął – w następnej fazie bitwy będziemy przemieszczać jednostki. Potrzebny mi transport, a ten sektor musi zostać zabezpieczony, ranni opatrzeni, a żołnierze przygotowani do marszu. Zabieram wasz czołg, a wy przejmujecie dowództwo nad tym sektorem.

Porucznik przełknął ślinę i mężnie powstrzymał wściekłość.

– Jawohl, Herr Major. Rozumiem.

Wyskoczył z siedzenia dowódcy czołgu, odpiął hełm, podał go majorowi i wyszedł z czołgu, żeby zaraz zacząć organizować jednostki.

Major Steuben wślizgnął się na wygodne siedzenie w żelaznym czołgu. Służył w jednostkach pancernych i z miłością wspominał dni, które spędził jako dowódca czołgu. Żałował, że już nim nie jest, że nie może odpowiadać za maszynę i życie załogi. Ale z kolei coraz większa odpowiedzialność wciąga jak nałóg, coś, czego się potem szuka, a nie unika. Na razie musi stawić czoła obecnej sytuacji jak wielu w historii, jako Niemiec i Steuben.

Głowa do góry, plecy wyprostowane i pracujący umysł!

– Kierowco, jedziemy do skrzyżowania, schnell.

* * *

Kiedy Mike dotarł do skrzyżowania, sytuacja była już pod kontrolą. Ulica na północy została całkowicie zablokowana przez przewrócony megawieżowiec. Nieliczne nie zniszczone pojazdy pancerne z szuflami buldożerów spychały gruz w hałdy, a pospiesznie usypana barykada z rumowiska broniła teraz dostępu do wschodniej drogi. Pod ścianą piętrzyły się fragmenty budynków i stały wymieszane z drużyną zwiadowców szeregi Panzergrenadiere.

Daleko, w odległości około kilometra, widać było Posleenów, ale te grupki były najwyraźniej w odwrocie. Mike żałował, że nie ma wojsk, żeby ich popędzić, ale teraz nie mógł o tym nawet marzyć.

Południowa ulica też była zablokowana, ale zostawiono dużą wyrwę do ucieczki. Tutaj nadal widać było Posleenów, którzy gwałtownie strzelali w obie strony. Większość niedobitków plutonu znajdowała się właśnie tutaj i prowadziła wymianę ognia z dalekimi siłami Posleenów. Większość pocisków hiperszybkich, które wystrzelili Posleeni, rozbijała się o barykadę i trzeba było stale dosypywać gruzu, ale jak na razie sytuacja była pod kontrolą.

Żołnierze prowadzili ostrzał jak weterani, a zwiadowcy, którzy nadal wchodzili do bocznych budynków, brali Wszechwładców na cel i niszczyli w ten sposób organizację wojsk nieprzyjaciela. Dołączyli do nich snajperzy Panzergrenadiere, prawie tak samo skuteczni ze swoimi wyposażonymi w celowniki optyczne karabinami G-3.

– Sierżancie Green – zawołał Mike, kiedy sierżant plutonu wrócił z południowej barykady.

– Kogo nam brakuje, sierżancie?

– Straciliśmy Featherly'ego i Simmsa, Meadows jest ciężko ranny, ale pancierz się nim zajął i jego stan jest stabilny.

– Nieźle, zważywszy na to, czego dokonaliśmy.

Mimo wszystko Mike wiedział, że każda śmierć będzie go dręczyła w czasie bezsennej nocy. Jego nonszalanckie podejście do walki przeminęło wraz ze śmiercią Wiznowskiego. Od tej chwili każdy wskaźnik na monitorze będzie prawdziwym człowiekiem, i Mike nie chciał o tym zapominać.

– Musimy odzyskać łączność z innymi jednostkami w budynku. Niemcy nie mają z nimi kontaktu i mówią, że Korpus też nie. Proszę posłać drużynę Duncana z dwoma zwiadowcami do budynku, żeby znaleźli te jednostki.

Utrzymamy pozycję, dopóki nie dam rozkazu do odwrotu. Każda jednostka, która wyjdzie z budynku, tymczasowo wesprze jednostki na froncie i osłoni odwrót.

– Tak jest, sir.

– Dogadam się z tym szwabskim majorem, żeby czekali tutaj, dopóki nie wycofamy naszych jednostek. A potem wiejemy stąd w te pędy.

– Tak jest, sir, powodzenia.

Sierżant Green ruszył na barykady, żeby wysłać drugą drużynę do budynku, i wezwał dwóch zwiadowców na otwartym kanale plutonu.

Kiedy odszedł, czołg Leopard plunął pociskiem z lufy skierowanej na wschód. Daleki spodek wyleciał w powietrze z hukiem i błyskiem płomieni. Mike zauważył, że dowódcą czołgu był niemiecki major. Sprawdził poziom energii, ale wciąż przekraczał on dwadzieścia pięć procent.

– Sierżancie Green, proszę zarządzić ogólne sprawdzenie stanu energii i amunicji. Rozdać amunicję i sprawdzić postępy inżynierów. Zająć się rannymi, których trzeba ewakuować. Mogą przejść przez bezpieczny sektor. Proszę posłać żołnierzy do południowego budynku i upewnić się, że ta aleja pozostanie zabezpieczona.

Próbował przypomnieć sobie, czy powinien zająć się czymś jeszcze, ale był zbyt zmęczony. Czuł, jak zamykają mu się oczy, kiedy stał na czołgu, i stwierdził, że nadszedł czas na stymulator.

– Michelle, jeszcze raz Provigil-C i połącz mnie z generałem Housemanem.

– Przekroczy pan maksymalną dopuszczalną dawkę.

– Zrób to – warknął Mike, zbyt zmęczony, żeby dbać o dobre maniery wobec maszyny. – Niech przekaźniki zaaplikują stymulator całemu plutonowi. Jeszcze nie wyjechaliśmy z dżungli.

– Tak jest, sir, generał Houseman jest na linii.

– O'Neal? Jaka jest sytuacja? Straciliśmy łączność z dziesiątą dywizją.

Generał wydawał się zmartwiony.

– Uwolniliśmy ich, sir – powiedział Mike i wystukał komendę przesłania danych. – I oczyściliśmy ich pozycje z Posleenów. Pozostałe skrzydła ukrywają się za zasłoną zwalonych megawieżowców. Zabezpieczyliśmy skrzyżowanie i przy wsparciu dziesiątej dywizji usypaliśmy pospieszne barykady. Poza tym... odzyskaliśmy nasze pozycje i obecnie próbujemy skontaktować się z innymi jednostkami. Ponieśliśmy dopuszczalne straty w ludziach podczas manewrów i walki. Jakie są pańskie rozkazy, sir?

– Poruczniku – zaczął generał i urwał, żeby odchrząknąć – zostańcie na pozycji, dopóki jednostki nie opuszczą budynków, a potem wracajcie do domu. Jesteście teraz w strefie ogniowej głównej linii obrony i możecie uzyskać ograniczone wsparcie artylerii. Podczas waszego odwrotu będziemy osłaniać ogniem drogę za wami. Na razie zostańcie jeszcze trochę na pozycji. Dacie radę?

– Tak jest, generale, zostaniemy tu, aż otrzymamy rozkaz odwrotu. Moglibyśmy ewakuować rannych, sir? Helikoptery powinny mieć wolną drogę do morza i mogłyby wylądować na bulwarze, żeby ich zabrać. Mam jednego żołnierza w ciężkim stanie, a grenadierzy mają pełno rannych.

– Jak cholera, synu, zaczekajcie.

Kiedy Mike czekał, zauważył, że ściana budynku jakby pulsowała w rytmie bicia jego serca. Co za

dziwny widok, pomyślał. Podniósł wzrok, spojrzął przez głęboką, czystą wodę na niebo i wciągnął w płuca chłodne, suche powietrze z regulatora. Podwodne skały wokół niego żyły i drżały odcieniami żółci i czerwieni, nietypowymi na tej głębokości. Ale ogarnęło go upojenie nurkowania i przestał analizować sytuację. Pozwolił, by czas płynął obok niego, jakby każda sekunda była wiecznością. Poruczniku, helikopter sanitarny w drodze. O'Neal! Specjalisto, czy radio działa? Tak, sir, mamy jego falę nośną, chyba tam jest, sir, ale nie odpowiada. Dobra, O'Neal! Obudź się!

– O'Neal! Odpowiedz!

– Tak jest, sir, przepraszam!

Nagły powrót do rzeczywistości był dla Mike'a wstrząsem.

– Wszystko w porządku?

– Tak, sir, nigdy nie było lepiej. Nic mi nie jest, sir. Nic mi nie jest.

Mike pokręcił głową z boku na bok i próbował znowu zorientować się w swoim położeniu. Brak normalnych bodźców, uczucie powiewu i zapachy bitwy sprawiały, że sytuacja stawała się jeszcze bardziej nierzeczywista. Mike miał wrażenie, że pogrąża się w elektronicznej symulacji, i starał się przypomnieć sobie, w której. Niemiecki major patrzył na niego z obojętnym wyrazem twarzy.

– O'Neal! – wrzasnął generał, kiedy wyczuł, że porucznik znowu odpływa. – Nie zawieź mnie teraz. Sprowadź mi tu te jednostki i wtedy dam ci spokój, ale nie zasypiaj mi w środku bitwy. Możesz chwilę odpocząć?

– Nic mi nie będzie, sir, naprawdę. Wszyscy jesteśmy odrobinę zmęczeni. I chyba przedawkowałem stymulator.

– Nie możesz się teraz poddać, synu. Jeśli słabnie któryś z żołnierzy, to trudno, ale kiedy zasłabnie dowódca, dzieją się dantejskie sceny, przede wszystkim ty powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. Zdrzemnij się trochę, nawet kilka minut ci pomoże.

– Tak jest, sir. Spróbuję – powiedział Mike i wziął głęboki wdech.

Ściana znowu zapulsowała.

– A teraz do roboty.

– Tak jest, sir. Do roboty. Racja. Koniec, sir.

* * *

Mike wiedział, że problem stanowił pancierz, więc otworzył hełm. Uderzył go wszechogarniający odór posleeeńskich trupów i na chwilę zaparło mu dech.

– Das ist ja ein Geruch, nicht wahr? – powiedział niemiecki major.

– Ja, er sind. Przepraszam, ale przy otwartym hełmie trudno jest nadażyć z tłumaczeniem, a nie mówię dobrze po niemiecku. Zna pan angielski?

– Tak, jako młodszy oficer zostałem przydzielony do amerykańskiej jednostki pancерnej – powiedział major z wyraźnym akcentem. – Przy okazji, major Joachim Steuben, miło mi pana poznać.

– Mnie również, sir. Rozmawiałem właśnie z generałem Housemanem. Czy mogę zasugerować przebieg akcji?

– Oczywiście, Leutnant.

– Chciałbym, żeby zaczekał pan tu, aż wydostaniemy pozostałe jednostki. Moglibyśmy wtedy zastąpić pańskie jednostki nowymi. Mój pluton osłoni tyły podczas odwrotu przez bulwar. Generał Houseman stwierdził, że możemy też liczyć na wsparcie artylerii, kiedy wycofamy się do głównej linii obrony, więc mój pluton powinien wystarczyć.

– To wygląda na dobry plan, Leutnant. Ale jak dostaniemy się na miejsce przez szeregi wrogów?

– Hmm, cóż, kiedy zbiorą się pierwsze wystarczająco liczne jednostki, mógłbym razem z moim plutonem przedrzeć się do głównej linii obrony, ustawić siły zaporowe na skrzyżowaniach i patrolować wejścia do budynków. Mój pluton pozostałby, proponuję, w roli mobilnego wsparcia. Kiedy wszystkie jednostki już ruszą, wycofamy się za ostatnią z nich.

– Zgadza się na ten plan, Leutnant. A teraz mogę coś zaproponować?

– Oczywiście, sir.

– Niech się pan zdrzemnie. Wygląda pan jak żywy trup. Powiedziałem już żołnierzom swojej jednostki, żeby odpoczęli, jeśli to możliwe. Pan powinien zrobić to samo.

– Za pozwoleniem, majorze – zaśmiał się Mike – sam pan wygląda jak własny pradziadek.

Po chwili widocznych zmagających z tłumaczeniem major Steuben roześmiał się.

– Cóż, posiedzę sobie przez chwilę w tym wygodnym miejscu i jeśli przypadkiem odpłynę, nie uznaję tego za zaniedbanie. Ale najpierw upewnię się, że wszystko zostało zabezpieczone.

– Tak, sir, ja sprawdzę szybko pozycje mojego plutonu, a potem jeśli będę cicho przez dłuższy czas, może pan wyciągnąć właściwe wnioski.

Mike zasalutował pospiesznie majorowi, zamknął hełm i skoczył w stronę barykady.

– A więc, sierżancie, jak to wygląda? – zapytał sierżanta Greena, kiedy podoficer oparł się o ścianę z lufą skierowaną ku dołowi.

Słysząc tylko odległy pomruk artylerii od strony głównej linii obrony. Było cicho, jak jeszcze nigdy od czasu pierwszego kontaktu z wrogiem.

– Posleeni chyba na razie nie wrócą, sir – odpowiedział podoficer. – Wycofują się teraz wzdłuż obydwu bulwarów i przeczesują teren na wschodzie i północy. Możliwe, że przerywają natarcie na główną linię obrony, tamtejsze jednostki zgłaszają mniejszą aktywność wroga. Najwyraźniej uciekają od nas jak najdalej; chyba naprawdę zesrali się ze strachu przed nami.

– Inżynierowie będą tu za jakieś pięć minut, zgodnie z ich ostatnim oszacowaniem czasu przybycia. Natknęli się na Posleenów, ale zespół poradził sobie. Druga drużyna ma kontakt z żabojadami, którzy się wycofują. Dowodzi nimi jeszcze francuski generał, ale stan jednostki odpowiada co najwyżej brygadzie. Przesłałem im plan uwolnienia Niemców i zgodzili się.

– Duncan próbuje odnaleźć teraz starszych oficerów Brytyjczyków. Melduje, że Brytyjczycy dostali niezłego łupnia. Muszą uporać się z wieloma Posleenami, który dostali się do ich sektora. Nadal ani śladu amerykańskiej jednostki, szuka jej Williams.

– Sam?

– Tak, sir. Poradzi sobie, jest zwinny jak kot. Kiedy znajdzie Amerykanów, skontaktuje się z nami. Uważa, że mogą być w lepszej kondycji niż Brytyjczycy, bo na tym obszarze jest mniej Posleenów.

– Dobra, niech będzie. Mam mu dać medal czy oddać pod sąd wojskowy? Dobra, świetnie, dobra, niech sobie pisze ten cholerny list.

– Sir?

– Co?

– Bredzi pan – powiedział sierżant. – Mogę coś zasugerować? – dodał nieśmiało.

– Wiem, mam odpocząć. Wszyscy mi to mówią. Generał, major, sierżant. Ani się obejrzę, a dołączają się jeszcze pieprzeni szeregowcy. „Poruczniku O'Neal, musicie odpocząć” – skończył tonem małego dziecka.

– Tak, sir, musimy móc dobudzić pana, kiedy coś się wydarzy. Usiądźmy przy ścianie, sir.

Sierżant plutonu taktownie odwrócił porucznika, kładąc mu rękę na ramieniu, i poprowadził go do sterty gruzu pod ścianą. Usadził go i poklepał po ramieniu.

– Proszę się chwilę zdrzemnąć, sir.

Miał duże doświadczenie w sprawach dowodzenia. Szeregowiec musi po prostu wykonywać polecenia, płynąć z nurtem. Często może wypocząć na stojąco albo podczas marszu, ze zmysłami w pogotowiu, ale wyłączonym umysłem. Dowódcy natomiast muszą stale myśleć, czuć i zwracać uwagę. Muszą wszystko kontrolować i motywować żołnierzy. To ich wykańcza. A młodszy dowódcy rzadko się oszczędzają i dlatego jeszcze szybciej się wypalają. W końcu uczą się odpowiedniej strategii albo muszą sobie szukać łatwiejszego zajęcia.

– Dobra, sierżancie, dobra. Aha, niech trzydzieści procent plutonu pozostanie na nogach i...i...hmm...

Mike urwał. Wiedział, że o czymś zapomniał, ale nie mógł sobie przypomnieć, o czym.

– Tak jest, sir, zajmujemy się tym.

Sierżant Green został przy oficerze, aż upewnił się, że porucznik zasnął. Ciągłe napięcie działało pewniej niż jakikolwiek środek nasenny.

– Przekąźnik: czy O'Neal śpi?

– Tak, sierżancie.

– Dobra, otwarty kanał dowodzenia. Dowódcy drużyny, niech jedna trzecia żołnierzy obejmie wartę, a pozostałe dwie trzecie idą spać. I wy też macie s-p-a-ć, a nie grać w pieprzone karty! Przepraszam, druga drużyno, odpoczniecie, jak wrócicie. Zwiadowcy, ustalcie między sobą, kto ma spać. Dowódcy pierwszej i trzeciej drużyny, przekażcie wszystkie obowiązki dowódcom waszych zespołów Alfa i odpocznijcie, do cholery! Przekąźniki: zaaplikować antidotum na Provigil-C. Jeśli żołnierze się nie zgodzą, zameldować mi. I niech żołnierze dalej przygotowują się do wymarszu. To nie może czekać. Trzydzieści minut odpoczynku, potem zmiana. Jakies pytania?

– Kiedy się wycofujemy? – zapytał sierżant Brecker.

– Kiedy powie o tym porucznik. Coś jeszcze?

Nie było więcej pytań. Sierżant Green rozejrzał się i, podobnie jak jego dowódca, starał się ustalić, czy należy coś jeszcze załatwić. Zastanawiał się, czy nie powiedziec szwabskiemu majorowi, jak wygląda sytuacja, ale oficer był pogrążony we śnie z głową wtuloną w siedzenie dowódcy czołgu. Na żadnym z bulwarów nie było widać Posleenów, a przypadkowi włóczędzy byli natychmiast atakowani pociskami z broni maszynowej albo karabinów grawitacyjnych, w zależności od tego, który z żołnierzy miał akurat szybszy refleks. Sierżant wzruszył ramionami i ruszył na obchód.

Wkrótce wrócili inżynierowie i, opowiadając barwnie o swoich przygodach, ustawili stację ładowania. Sierżant Green wykorzystał starszeństwo swojego stopnia wojskowego, a potem pozwolił zwiadowcom podchodzić pojedynczo i ładować swoje pancerze. Były cztery stacje, więc Green oszacował, że wszyscy skończą za jakąś godzinę. Poleciał inżynierom ustawić boczne odgałęzienia ładowarek i uzupełnić zapasy energii w pancerzach śpiących żołnierzy. Zaczynając od porucznika.

Podczas pierwszej zmiany odpoczynku z rumowiska przy jednym z budynków wyłonił się francuski czołg podstawowy FX-25. Maszyna skręciła i pospieszyła w stronę skrzyżowania, rozgniatając na miazgę posleeńskie trupy na drodze. Sierżant Green w podskokach zagroził czołgowi drogę i machnął, żeby się zatrzymał. Miejsce dowódcy czołgu zajmował łysy kapitan z długą, głęboką blizną z lewej strony łysiny. Tę samą stronę twarzy kapitan miał owiniętą bandażem. Sierżant Green pomyślał, że oficer miałby na pewno dużo do opowiadania. Zasalutował.

– Starszy sierżant Alonius Green, osiemdziesiąta druga dywizja powietrznodesantowa, Monsieur Capitaine. Jak rozumiem, jesteście pierwszą jednostką francuską?

– Kapitan Francis Alloins, sierżancie, Deuxième Division Blindée – odpowiedział kapitan i

zasalutował z przesadną dwornością. – Enchanté. Tak, to my. Mamy wielu rannych, czy musimy się z nimi przedzierać przez wrogie szeregi?

– Cóż, sir... – przekąźnik Greena przerwał rozmowę przychodzącą transmisją.

– Trzysta dwudziesty piąty, trzysta dwudziesty piąty, tu helikopter sanitarny 481, musimy wiedzieć, gdzie mamy lądować.

– Nadlatuje helikopter sanitarny, sir – powiedział sierżant z zadowoleniem. – Możecie zabrać rannych nad wodę. Gdybyście mogli jeszcze podesłać jakiś oddział do pomocy przy helikopterze, byłbym wdzięczny, mamy naprawdę dużo pracy.

Sierżant Green przełączył się z zewnętrznych głośników na częstotliwość helikoptera sanitarnego i zaczął rozmawiać z pilotem.

– Certainement – zgodził się kapitan, nieświadomy faktu, że podoficer skutecznie przerwał łączność. – Pardon.

Wziął radionadajnik i warknął kilka krótkich rozkazów do mikrofonu. Na ulicy pojawiło się więcej czołgów FX-25 razem z ciężarówkami pancernymi i pojazdami wspierającymi. Pojazd zwiadowczy kawalerii ciężko przesunął się wzdłuż bulwaru i zahamował naprzeciwko czołgu.

Wysoki i szczupły generał w kamuflażu bojowym wysiadł z pojazdu zwiadowców, rozejrzał się i poprawił pasek w spodniach. Za nim wysiadła drużyna zbrojnych żołnierzy piechoty, którzy rozbiegli się, żeby go kryć. Kapitan stanął na baczność i przepisowo zasalutował. Sierżant Green, podirytowany, tylko przystawił rękawicę do hełmu.

– Bonjour, Sergent, bonjour! Muszę przyznać, że bardzo się cieszę, że mogę pana poznać – stwierdził generał, odpowiedział na salutowanie i z całej siły uściśnął rękawicę. – Niezliczoną ilość razy myślałem, że już do tego nie dojdzie. I witam pana, kapitanie Alloins! Wspaniale tu pana widzieć! Jak tam najazd?

– Dosyć prosty, skoro mieliśmy zabezpieczone skrzydła, mon Général – powiedział kapitan z uśmiechem.

Wskazał uroczyście na pancierz wspomagany. – Generale Jean-Philippe Crenaus, pragnę przedstawić sierżanta Alonisusa Greena ze Skonfederowanej Floty Uderzeniowej.

– Tak, tak, poinformowano mnie już o sierżancie Greenie – powiedział generał. – A gdzie jest ten niezwykły porucznik O'Neal?

Sierżant Green ściągnął brwi, czego nie było widać spod jednolitej maski hełmu. Skąd generał dowiedział się o poruczniku O'Nealu?

– Ucina sobie drzemkę, sir. Jest wyczerpany.

– Przykro mi to słyszeć – zakrzyknął generał. – Sierżant Duncan zapewnił mnie, że O'Neal jest z najlepszej stali i kamienia! Wydawało się, że nie potrzebuje czegoś tak przyziemnego jak odpoczynek!

Sierżant Green zdał sobie sprawę, że generał należy do ludzi, którzy potrafią mówić tylko wykrzyknikami.

Zauważył jednak powagę w jego twarzy i przypomniał sobie, że w bitwie właśnie ten generał utrzymał przy życiu znacznie więcej żołnierzy ze swojej jednostki niż którykolwiek inny dowódca. To przemawiało za jego wysokimi zdolnościami.

– Cóż, sir, przykro mi. Ale porucznik jest człowiekiem tak jak pan i ja. Czy sierżant Duncan przekazał panu plan bitwy? I czy się pan zgadza?

– Tak – powiedział generał.

Rozejrzał się po stosach trupów z lekko zadowolonym uśmiechem i kopnął rękę Posleena, która leżała mu pod stopami.

– Zgadzą się z jednym wyjątkiem. Uważam, że mam pod swoją komendą największą zwartą jednostkę, jaka jeszcze pozostała. Nalegam, żeby Deuxième Blindée utrzymała pozycję przy skrzyżowaniu, aż przejdą inne jednostki, chociaż zgadzam się, żeby wasza jednostka pancerny wspomaganych wspierała ostateczny odwrót. Jest świetnie dostosowana do tego zadania, bo może w ekstremalnych przypadkach przejść przez budynki albo po nich.

Zaśmiał się ze swojego dowcipu.

– Majorze? – zapytał zmęczonym głosem sierżant i znowu zmarszczył brwi.

– Jeśli o mnie chodzi, w porządku – powiedział niemiecki major. – Ostatni atak Posleenów zredukował nas do niepełnego batalionu.

– Wyśmienicie! – zakrzyknął generał, zacierając ręce. Sierżant Green nie mógł uwierzyć, że oficer ma jeszcze tyle energii. – Możemy zaczynać za piętnaście minut. Moja jednostka zbierze się na bulwarze. Będziemy nadal posyłać rannych na plażę, żeby ich ewakuowano drogą powietrzną. Sierżancie, skoro tylko pan dysponuje sprawnym systemem łączności, proszę powiedzieć pańskim ludziom, niech przekażą innym jednostkom, żeby jak najszybciej przemieściły rannych nad brzeg morza.

Sierżant Green wykonał polecenie i patrzył z podziwem, jak Francuzi szybko i skutecznie poprawiają fortyfikacje. Zwiększono obstawiony teren i nasypało więcej gruzu na zapory.

Wyczerpani żołnierze jednostki pancerny wspomaganych i grenadierzy z wdzięcznością oddali pozycje i wrócili do miejsca zbiórki. Wkrótce rannych odwożono nad morze w nieprzerwanym strumieniu ciężarówek. Droga była teraz wolna od ciał Posleenów, które po prostu wrzucono do wody. Sierżant Green polecił drużynie pierwszej i czwartej, żeby eskortowały Niemców do głównej linii obrony.

Francuski generał stwierdził, że ma wystarczającą liczbę żołnierzy, żeby utrzymać też skrzyżowanie, więc Niemcy mogli wyjechać w bezpieczne miejsce. Sierżant Green monitorował sieć komunikacyjną, kiedy dziesiątkowana dywizja zorganizowała się w jednostki i wyruszyła. W ciągu czterdziestu minut od pojawienia się pierwszego francuskiego czołgu XF-25 wszyscy Niemcy, ranni, zdrowi i martwi, opuścili fortyfikacje czołgami, ciężarówkami, pieszo lub helikopterami, i sierżant Green zdecydował, że nadszedł czas zamienić się miejscami z dowódcą.

Prowincja Andata, Diess IV
10:37 czasu uniwersalnego Greenwich,
19 maja 2002

Az'al'endai, Pierwszy Zwierzchnik Po'oslana'ar, zaciskał pięści i zgrzytał zębami, kiedy walczył z narastającą falą te'aalan. Jego najlepszy produkt genetyczny był martwy, a jego oolt'ondai, łącznie z tym po trzykroć przeklętym pisklakiem Tulo'stenalooem, w pełnym odwrocie! Jeśli te młóciwa sądzą, że triumfują nad Po'oslana'ar, to się bardzo mylą!

– Cała obrona oolt'ondai do statku dowódcy – warknął do sieci komunikacyjnej, a oolt'os jego straży spojrzeli na niego wielbiącymi oczami. – Statek dowodzenia uniesie się za pięć tar!

Niech poczują jego słuszny gniew, kiedy spadnie na nich swoim oolt' Posleen. Kipiał z wściekłości, kiedy rozbite bataliony i ich pojazdy, łącznie z poslezeńskimi czołgami używanymi do obrony statku, wjeżdżały do ogromnego dodekaedru. Tysiące wojowników i ich Wszechwładcy tłoczyli się w głębokich i mrocznych lukach, zapakowani w chłodne kapsuły letargiczne, w towarzystwie całej maszynierii niezbędnej cywilizacji Posleenów.

– Zmłóczę na miazgę podłe nasienie mych wrogów! – warknął zwierzchnik i zmienił obraz na ekranie na bardziej podsycający nienawiść. – A ich grody spłoną w moich pazurach! Będę się pławił w ich krwi i chrupał ich kości!

Będą płonąć i płonąć, aż dymy z ich stosów posłają wieść do demonów nieba, że nikt nie oprze się mocy A'al Po'oslana'ar.

Rozproszone minogi i trapezowate maszyny, które przyłączały się do statku dowódcy na czas lotu kosmicznego pozostały na miejscu z własnymi małymi oddziałami obronnymi, a ogromny statek z rykiem napędu antygravitacyjnego podążył ociężale w stronę ludzkich szeregów.

* * *

Coś bolesnego czaiło się za zasłoną, która otaczała Michaela O'Neala, i porucznik bronił się przed tym. To coś czekało z wygłodniałą paszczą, żeby go pochłonię, a on uciekał w głąb nieskończonych korytarzy o metalowych ścianach. Gdziekolwiek się odwrócił, było tam i wzywało go wabiącym głosem. Michael, obudź się. Poruczniku O'Neal, niech się pan obudzi. Obudź się, obudź się, obudź się. Przykro mi, sierżancie, nie mogę go obudzić... No dobrze. Nagły piekący ból wyrwał go ze snu i szybko zniknął.

– Co to było, do diabła? – wymamrotał ospale.

– Przesłałam bezpośredni bodziec bólowy do pańskiego systemu nerwowego – odpowiedział zdenerwowany przekaznik.

– Następnym razem postaraj się potrząsnąć pancierzem albo coś w tym rodzaju. Bolało jak cholera.

Sprawdził czas i potrząsnął głową. Tyle snu będzie mu musiało wystarczyć.

– Tak jest, sir.

Spróbował przetrzeć oczy, ale przeszkodził mu w tym pancierz. Już miał otworzyć hełm, kiedy zmienił zamiar.

Ostatnim razem uderzył go w nozdrza straszny smród i mógł sobie wyobrazić, co działo się godzinę później pod gorącym słońcem Diess. Poczul pragnienie, a Michelle podała mu kawę. Niestety była to jedyna rzecz, której pancierz nie potrafił wykonać jak należy. Smakowała jak błoto z

domieszką kawy.

– Dzięki – mruknął i sącył podane błoto.

Kofeina mniej obciążała organizm niż Provigil. O'Neal nie chciał na razie doświadczyć kolejnych halucynacji.

Rozejrzył się ze zdumieniem po wykonujących normalne czynności ludziach.

– Postarał się pan, sierżancie.

– Nie, sir – powiedział sierżant Green i uniósł dłonie w geście protestu – to ten generał żabojadów, niezły z niego organizator. Po prostu wszedł i zorganizował. Teraz rozumiem, dlaczego jego żołnierze uważają go za boga. Chce się z panem widzieć jak najszybciej, sir.

– Dobra, powiedz mi, jaka jest sytuacja, i idziemy.

Mike wypił jeszcze jeden łyk błota i polecił Michelle odtworzyć z dziesięciokrotną szybkością wszystkie dane z czujników od czasu bitwy. Obawiał się, że coś przeoczył podczas halucynacji. Liczniki jednostek mrugały na ekranie, a porucznik jednym uchem słuchał sierżanta Greena.

– Drużyny pierwsza i czwarta eskortują szkopów do głównej linii obrony, sir. Nie mają zbyt wielkich trudności, używają dobrych technik mylących wroga, a zwiadowcy posuwają się przez budynki i zdejmują po drodze Wszechwładców. Straciliśmy jednak Creytona. Myślę, że systemy celownicze Wszechwładców uczą się, jak wykrywać snajperów. Dlatego kazałem strzelać i uciekać.

– Żabojady zabezpieczają bulwar podczas marszu, a główna linia obrony wysunie się by zająć ostatnie skrzyżowanie. Niemiecka jednostka pancerzy wspomaganych umieściła kompanię na tyłach Posleenów w ich sektorze. Ogólnie siły ofensywne Posleenów są w rozsypce, ale Korpus spodziewa się, że nie potrwa to długo.

Mike odtworzył kilka szczegółów z mniejszą prędkością i uzyskał potwierdzenie swojego przypuszczenia. Kiedy przywołał informacje na temat jednostki Posleenów, która zabiła specjalistę Creytona, okazało się, że był to batalion, który wydostał się z ich kleszczy.

– Dobry raport – powiedział Mike i śledził ruch tego batalionu, aż wszystkie jednostki wywiadowcze straciły z nim kontakt.

– Dziękuję, sir – powiedział z zadowoleniem sierżant Green.

– Skąd pan ma te informacje?

Mike podniósł wzrok na wskaźniki poziomu energii i skinął głową. Zauważył, że inżynierowie nadal ładują pancerze śpiących żołnierzy, ale zaczęła się już druga zmiana.

– Obserwowałem pana przez ostatnie dwa dni, sir. Kazałem mojemu przekąźnikowi uczyć się od pańskiego i kiedy poprosiłem go o raport, powiedział mi prawie wszystko.

– Dobra – powiedział O'Neal z niewidocznym uśmiechem. – Teraz powiedz mi o tym francuskim generale.

– Generał Crenaus. Piekielnie zorganizowany, naprawdę przyjazny sukinsyn, ale proszę się nie dać zwieść jego osobowości, jest wymagający. A sierżant Duncan najwyraźniej wystawił panu bardzo dobre świadectwo. Generał dziwił się, że musi pan spać; powiedział, że myślał, że jest pan ze stali i kamienia.

– Ha! Teraz czuję się tak, jakbym był z żeluz i tego, co masz między palcami u nóg.

Mike w końcu otworzył hełm i wciągnął powietrze w płuca. Trupi odór Posleenów znacznie osłabł. Sierżant Green zauważył wyraz twarzy Mike'a.

– Kiedy inżynierowie pokazali żabojadom, jak dostać wodę, generał nakazał swoim żołnierzom zmyć ciała Posleenów do morza, sir. Przez chwilę zaczynało się już robić bardzo nieprzyjemnie na zewnątrz pancerzy – przyznał podoficer.

– Formidable.

– Przepraszam, sir?

– Niesamowity.

– Tak, sir – przyznał starszy sierżant. – Jednym słowem generał Crenaus.

– I w końcu sprawa na pewno nie mniej ważna: sierżant Duncan. – Mike sprawdził położenie sierżanta i ściągnął brwi.

– Brytyjczycy dojeżdżają właśnie do pozycji zabojadów, sir. Mają ich przerzucić do głównej linii obrony.

– A amerykańska jednostka? – zapytał Mike, szukając na schemacie ikon z orłem.

Było ich cholernie mało, znajdowały się daleko od siebie i reprezentowały niewielkie oddziały.

– Nie ma amerykańskiej jednostki, sir – powiedział ponuro sierżant.

– Co?

– Williams melduje o niedobitkach w rozsypce, naprawdę niewielu, i najwyraźniej mają za sobą piekielne walki, ale to jest zlepek grup wielkości plutonu i kompanii, żadna z nich nie przypomina oryginalnej jednostki. Jest nawet kilku starszych oficerów, ale oni dowodzą kompaniami i plutonami urzędników wojskowych. Prawdziwy bałagan, sir.

– Niezły pasztet. Dobra, wyślę resztę drużyny w dwuosobowych zespołach, żeby pozbierali jak najwięcej niedobitków. Kiedy wrócą, wyruszamy.

– Tak jest, sir.

– Teraz reszta spraw. Jaki jest harmonogram odpoczynku?

– Hmm, kiedy wrócą drużyny pierwsza i czwarta, przejmą obronę, a trzecia i czwarta odpocznie, sir.

– Dobra, niech się pan prześpi.

– Tak jest, sir.

Podoficer zaczął mówić niewyraźnie. Osunął się na płytę z rumowiska, na której leżał porucznik, i natychmiast zasnął.

Mike skontaktował się z drugą drużyną i poinformował żołnierzy, że mają pół godziny, żeby zebrać wszystkich maruderów i eskortować ich do skrzyżowania. Potem ruszył na spotkanie z francuskim generałem, który był jednym słowem formidable.

Znalazł go na byłym niemieckim stanowisku dowodzenia, rozmawiającego z Korpusem przez transmiter grenadierów. Mike odsunął się na bok, kiedy adiutanci dreptali tam i z powrotem z raportami i rozkazami. Czuł się obco w osmalonym pancerzu wspomaganym na tle działającego stanowiska dowodzenia. Pomimo trudów walki większość oficerów i personelu nosiła zadbane, jeśli nie świeże mundury służbowe. Przy nich pancerz Mike'a wyglądał nędznie.

Tak, ale gdyby nie my, byłiby już paszą dla piskląt.

Generał podniósł oczy i utkwiał wzrok w przybyszu.

– Porucznik O'Neal? – zapytał.

– Tak, sir. Sierżant Green powiedział, że chce się pan ze mną widzieć.

– Mamy raporty, że Posleeni się grupują. Jaki jest szacowany czas przybycia pozostałych jednostek?

– Dałem drugiej drużynie trzydzieści minut i poleciłem wycofać się po tym czasie. Zatem pół godziny i sam czas odwrotu, jak sądzę, sir.

Mike niezauważalnie wzruszył ramionami wewnątrz pancerza.

– Czyli jak długo pańskim zdaniem?

– Łącznie jedna godzina, sir. Jednostka amerykańska jest w rozrzucona w terenie. Moi ludzie będą musieli biegać po budynkach z głośnikami.

– Czy to ich nie narazi na ogień nieprzyjaciela? – wtrącił się jeden z francuskich oficerów.

Mike nacisnął przycisk i na jego hełmie pojawiła się holograficzna głowa szczerzącej zęby pantery.

– Oznacza to mniej więcej o jednego Posleena mniej, sir – powiedział.

Generał Crenaus roześmiał się.

– Ha, więc produkt odpowiada reklamie! Jest pan tak ostry, jak sugerował pański sierżant, tak! Cóż, tacy nam teraz potrzebni! Chodźmy, porozmawiajmy.

Gestem dłoni zaprosił Mike'a w głąb budynku.

Zatrzymali się w niewielkiej odległości od stanowiska dowodzenia. Pomieszczenie znajdowało się w pobliżu najdalszego punktu w niemieckim sektorze, do którego dotarli Posleeni. Na poranych rykoszetami ścianach tkwiły pochodnie i widniały dziury wybite studwudziestomilimetroowymi pociskami artylerii i rakietami hiperszybkimi.

Pod stopami półtonowego pancerza Mike'a chrzęściły łuski po nabojach. Generał podniósł wzrok na rozbebeszony wóz bojowy piechoty Marder, odwrócił się i puknął palcem w pierś Mike'a.

– Tutaj bije serce wojownika, poruczniku O'Neal – powiedział poważnie. – Ale wojownik i żołnierz to nie zawsze to samo. Ma pan dyscyplinę żołnierza czy tylko zapał wojownika?

– Potrafię przyjmować i wydawać rozkazy, sir – powiedział O'Neal po chwili namysłu. – Uważam się za żołnierza. Natura obecnej służby tłumi aspekt wojownika, moim zdaniem niesłusznie. Tylko wojownik może przeć naprzód, kiedy wszyscy wokół są martwi. Jest wielu żołnierzy na świecie, ale los bitew zależy od wojowników.

– Więc proszę posłuchać mnie teraz jako żołnierz, poruczniku – powiedział generał z ponurym wyrazem twarzy.

– Jeśli Posleeni wrócą tu w przytłaczającej sile, wycofujemy się, niezależnie od tego, czy będzie tu amerykańska jednostka.

Mniej więcej tego się spodziewał, ale jednak miał nadzieję, że tego nie usłyszy.

– Rozmawiał pan o tym z generałem Housemanem? – zapytał ostrożnie porucznik.

– To jest jego rozkaz. I całkowicie się z nim zgadzam, tak przy okazji. Główny front wymaga, żeby moje jednostki pozostały w stosunkowo dobrej kondycji. Kiedy Posleeni tu wrócą, zostaną na dłużej, nie dadzą się znowu wypłoszyć. Korpus potrzebuje wsparcia mojej dywizji na froncie. Nie wolno nam tu zostać i poświęcić się na ołtarzu odwagi. Rozumie pan?

Generał patrzył na jednolitą maskę pancerza i zastanawiał się, co wyrażała ludzka twarz wewnątrz.

– Tak, sir. Rozumiem. – Mike urwał i poprzyciskał guziki na przedramieniu. Po chwili ciągnął. – Sir, ja i mój pluton zostaniemy tutaj, dopóki nie okaże się, że nie możemy już utrzymać pozycji.

– Doskonale, zgadzam się. Mam nadzieję, że taka sytuacja nigdy nie nastąpi.

– Mon Général! – krzyknął jeden z francuskich oficerów i podał mikrofon.

Generał Crenaus wrócił do stanowiska dowodzenia, a Mike poszedł za nim.

– Generale, odebraliśmy transmisję z jednego z helikopterów sanitarnych. Meldują, że jakiś statek zmierza w stronę miasta.

– Daj mi to – powiedział generał i wyrwał sztabowcowi mikrofon. – Tu generał Crenaus, kto mówi?

* * *

Starszy chorąży Charles Walker najbardziej lubił szybki, niski lot. Podkręcić silnik Blackhawk

albo OH-58 i obniżyć lot przy maksymalnej mocy! Piekielnie wkurzało to mechaników, a dowódcy też nigdy nie byli z tego szczególnie zadowoleni, ale jeśli się przyjrzeć faktom, było to i tak najlepsze miejsce, w jakim można się było znaleźć podczas bitwy. Potwierdzała to też obecna sytuacja.

Na trasie przelotu do lądowiska, które żołnierze oczyścili z nieprzyjaciół, znajdował się mały obszar nie objęty kontrolą Posleenów. Brakowało miejsca, żeby odwrócić helikopter w drogę powrotną, więc przed lądowaniem trzeba było najpierw wznieść się ponad dachy budynków i tam przekręcić maszynę, a dopiero potem gwałtownie obniżyć lot i wylądować. Potem lądowano rannych kawalerzystów, żeby ich ewakuować. W powietrzu latały setki helikopterów różnych kontyngentów i tylko cudem nie dochodziło do kolizji. Kiedy Walker wykonał ostatni zakręt na niewielkiej wysokości i skierował maszynę w stronę dachu, siedzący na prawym siedzeniu chorąży, którego Walker dzień wcześniej jeszcze nie znał, wydał z siebie okrzyk.

– Co to jest, u licha? – zapytał i skinął głową w odpowiednim kierunku.

Chorąży Walker wyjrzał przez lewe okno. W oddali, w odległości trudnej do określenia z powodu zachwiania perspektywy, wznosił się gigantyczny wielościenne statek. Widok budził jakieś niejasne, dręczące wspomnienie, które po chwili odżyło. W przeszłości chorąży oglądał, jak młodszy oficerowie grali w grę „Lochy i Smoki”.

Unoszący się w oddali statek do złudzenia przypominał jedną z dziwnych kostek do gry, których wtedy używali. Czarny i nastroszony... bronią. O, cholera.

– Powiadom żabojadów – rzucił. – Chyba będziemy mieli towarzystwo.

Zwiększył obroty silnika i poleciał w górę z jak największą szybkością. Rosła temperatura silnika, a Walker mógł tylko mieć nadzieję, że jego helikopter okaże się zbyt mało ważnym celem, żeby wróg zawracał sobie nim głowę.

Chorąży na prawym siedzeniu bełkotał coś do mikrofonu, a Walker postanowił nie ryzykować. Przechylił maszynę ostro na prawo i na lewo. Z tyłu szef załogi przygotowywał się do otwarcia drzwi dla rannych żołnierzy.

Nagły przechył cisnął go przez ładownię na przeciwległe drzwi i żołnierz wypuścił powietrze z głośnym sapnięciem.

Chwycił linę, do której był przywiązany, i zaczął powoli podciągać się do fotela. Helikopter, nadal mocno przechylony, piął się w stronę dachu budynku.

Nagle przez maszynę przetoczyła się fala ciepła, kiedy gruda plazmy przeleciała tuż obok. Walkerem szarpnęło, a Blackhawk zawrócił nagle i skierował się w stronę lądowiska. Drugi pilot wrzasnął i spróbował chwycić drążek sterowniczy, poobijany szef załogi krzyczał z tyłu, a Walker wyprostował lot helikoptera w zasadzie już na płycie lądowiska. Spadli w ciągu kilku sekund z wysokości ponad trzystu metrów.

– Wezwij Francuzów – krzyknął skupiony chorąży. – Spadamy stąd! Nie możemy wznieść się ponad budynek i przeżyć. Wynosimy się!

Czuł się jak cholerny drań, kiedy zostawiał wszystkich rannych, ale w żadnym wypadku nie mógł spotkać się oko w oko z tym czymś, cokolwiek to było. Zauważył, że inne helikoptery też zawracają w głąb lądu, kryjąc się za budynkami na wybrzeżu, nawet jeśli zajmowali je Posleeni. Już lepiej niech to będą oni niż pancernik, których zbliżał się do nich. W oddali maszyny, które wyleciały za daleko w morze, zaczynały wybuchać i spadać.

Chorąży przeklinał los, ale nie mógł nic na to poradzić. Nie mógł nic zrobić nawet jako pilot helikoptera wojskowego; nic nie mogło przetrwać ataku zbliżającej się maszyny. Ale może uda się oszukać giganta podstępem?

Chorąży pomyślał o kanionach między budynkami, o starych, dobrych czasach, o głupiej dumie i

arogancji, i przechylił maszynę ostro na bok i w dół.

– Co pan robi, do diabła? – zapytał drugi pilot.

Z tyłu szef załogi sapnął znowu, kiedy lina rzuciła nim na siedzenie. Tym razem chwycił je, przyciągnął się i zdołał się przypiąć.

– Możemy lecieć wzdłuż zabezpieczonego bulwaru aż do głównej linii obrony. Będą do nas strzelać na skrzyżowaniach, ale przy maksymalnej prędkości lotu może się udać.

– „Może” mi nie wystarczy! – krzyknął drugi pilot.

– Tam są ranni i jedziemy po nich, panie kolego. I to bez dyskusji.

– Kurwa.

– Mówi się: „Kurwa, sir”.

– Kurwa, sir.

– Znasz motto Straży Przybrzeżnej, chłopcze? – zapytał po chwili chorąży.

– „Semper Paratus”? – spytał zdezorientowany drugi pilot.

– Nie to, oficjalne motto. „Musimy iść, nie musimy wrócić”.

– A, tak. – Młodszy chorąży skinął głową ze zrezygnowanym wyrazem twarzy. – Rozumiem, sir.

– Przepraszam, panowie? – zapytał szef załogi przez interkom.

– Tak?

– Co to było, do licha?

* * *

– To jest statek dowodzenia – powiedział Mike, kiedy zrobiło się cicho po transmisji. – Nazywa się dodekaedr dowodzenia, w skrócie dodekaedr D. Przewozi około tysiąca dwustu najlepszych posleńskich żołnierzy, większość pojazdów pancernych brygady, ciężką broń kosmiczną, napęd gwiazdny, działa plazmowe, ma gruby pancerz i skomplikowaną strukturę. – Urwał i rozejrzał się po francuskich sztabowcach. – Panowie, Amerykanie nazywają to ostatnim strzałem w meczu, co oznacza, że bitwa jest już praktycznie skończona. Kiedy nadlatuje coś takiego, nie mamy jak tego zatrzymać.

Budynek zatrzęsł się, kiedy gruda plazmy uderzyła w dach, a na ulicę sypnął rześisty grad gruzu. Kawał plastobetonu zmiażdżył francuskiego żołnierza, kiedy pojazdy na ulicy zginęły pod rumowiskiem. Mike usłyszał daleki łopot śmigieł helikoptera, który jakiś pilot-samobójca kierował na lądowisko. Mike oszacował jego szanse na wykonanie skrętu przy skrzyżowaniu na około jeden do dziesięciu. Jeśli helikoptera nie zmiażdżą gruzy, zrobią to pociski z dział dodekaedru D.

– To się chyba kwalifikuje jako „przytłaczające siły wroga” – powiedział Mike z dziwnym uśmiechem. – Wycofujemy się, generale. Pomożemy Amerykanom zejść na dolne poziomy. Może to nam zająć trochę czasu, ale później ewakuujemy się. Dołączymy do was.

– Oui... Merde! Cóż, jak to mówią: „Aucun plan de bataille ne survit contact avec l'ennemi.” Mike zaśmiał się ponuro z tego cytatu w ustach francuskiego generała.

– A to jest w oryginalnym klingońskim, co?

– C'est qui? – zapytał zaciekawiony adiutant, kiedy generał też się roześmiał.

Chwila rozluźnienia nie trwała długo.

– Druga drużyna! – powiedział Mike do transmitera. – Sierżancie Duncan!

– Tak, sir, zebraliśmy niedobitków, których znaleźliśmy. Co to było, do diabła?

– To był koniec świata.

Mike rozejrzał się i chwycił plecak jednego z Francuzów. Mimo protestów właściciela wysypał

zawartość i ruszył w stronę wyjścia z budynku. Zatrzymał się przy drzwiach centrum operacyjnego i pozbawił francuskiego strażnika części sprzętu. Przy pierwszym gniewnym proteście generał uciszył żołnierza gestem dłoni. Mike nawet tego nie zauważył.

– Zabierzcie wszystkich na dół. Idźcie najgłębiej jak można. Mamy tu poważny problem, zapytajcie o to przekaźniki, ja nie mam czasu. Sierżancie Green?

– Tak, sir – powiedział zaspany głos. – Obudziłem się.

– Mamy towarzystwo.

– Zauważyłem, sir. Co my z tym zrobimy? I co to jest?

– To jest statek dowodzenia, dodekaedr D. Pójdzie pan z plutonem na dach i zabawi się z nim laserem. Mam nadzieję, że przez jakiś czas uda się wam trzymać go z dala od głównej linii obrony. Zostaw mi jedną ręczną wyrzutnię raket hiperszybkich... – Zastanowił się przez chwilę. – Co zrobiliśmy z tym wahadłowcem bojowym?

– O ile wiem, nadal jest na dachu – powiedział sierżant zaskoczonym głosem.

– Dobra, ruszajcie. Weźcie dwie drużyny na dach. Rozdzielcie się i odejdźcie daleko od głównej linii i wahadłowca. Otwórzcie ogień do dodekaedru i uciekajcie po każdym strzale. Róbcie uniki. Kiedy stracie dwadzieścia pięć procent plutonu albo dodekaedr was zignoruje, wycofajcie się. Ale jeśli nie my, to nie wiem, kto go może zatrzymać.

– Może broń jądrowa, sir?

– Dodekaedr może zniszczyć praktycznie każdy system naprowadzania głowic – powiedział oficer i wyszedł z budynku.

– Dobra, to co zrobimy?

– Udaję się do wahadłowca – powiedział Mike, włączył system antygravitacyjny i wystrzelił pionowo w górę.

– A co tam jest takiego, sir? – zapytał sierżant, kiedy podzielił pluton na dwa zespoły.

– Świat bólu.

Mike przemierzał dachy z maksymalną prędkością i systemami maskowania nastawionymi na największą moc.

Oprócz kamuflującego hologramu, który teraz dokładnie naśladował kolor i strukturę powierzchni dachu, porucznik używał też zmodyfikowanego osobistego pola siłowego, które zakrzywiało wokół niego fale radaru i detektorów podprzestrzennych, podczas gdy niewielkie pole podprzestrzenne zmniejszało turbulencje ruchu i tłumilo ślad dźwiękowy. Systemy maskowania działały jak czar; dodekaedr skupił siłę ognia na zajmowanym przez Ziemiaków budynku.

Dach megawieżowca Dantren był teraz zavalony masą kawałków metalu i plastobetonu, a przewrócone sąsiednie budynki przypominały obraz Salvadora Dali. Strumienie plazmy ziały teraz ku głównej linii obrony i wycofującej się francuskiej jednostce. Mike dostrzegł, jak samobójczy helikopter wybucha w powietrzu podczas skręcania na skrzyżowaniu, i postanowił nie patrzeć więcej w tę stronę.

Dodekaedr całkowicie zignorował wahadłowca i kiedy Mike dobiegł do maszyny, zobaczył, dlaczego; byli tu już Posleeni i zdewastowali wnętrze. Pozostała broń i amunicja leżała porzucana albo zniszczona, a kratery w powierzchni dachu wskazywały, gdzie Posleeni w pośpiechu zdetonowali amunicję.

Mike skierował się w stronę sekcji napędu, podniósł klapę ochronną i wystukał kod na nie rzucającej się w oczy tablicy kontrolnej. Z sykiem otworzyła się szuflada i Mike wyciągnął z niej ciężki kanister. Włożył go do francuskiego plecaka i zaczął jeszcze pakować do wnętrza granaty z pancerza; w jego przepastnym pojemniku na amunicję było ich sto osiemdziesiąt pięć. Dodał

wszystkie magazynki i całą amunicję z wahadłowca, która jeszcze się do czegoś nadawała. Ostrożnie przypiął ostatni granat taśmą do wierzchu plecaka. Łącznie z bagażem ważył teraz sto kilogramów, z czego przynajmniej pięć setnych procenta stanowiła antimateria.

Wyszedł z wahadłowca i spojrzał na dodekaedr. Rzeczywiście zmienił kurs i ruszył w pogoń za plutonem na mniejszej wysokości, żeby móc lepiej celować. Zgodnie z rozkazami pluton kierował się w dużej rozsypce jak najdalej od głównej linii obrony. Żołnierze przemieszczali się po dachach bez kamuflażu, z możliwie największą prędkością, i intensywnie strzelali. Wężę srebrnych błyskawic tańczyły po powierzchni czarnej bryły i wzbudzały potężne eksplozje. Strzelcy za każdym razem trafiali do celu i Mike zauważył dwa zniszczone działa. Wyglądali jak osy żądłące konia i uciekające przed nim. Mike poszukał na schemacie oznaczenia sierżanta Greena, ale nie było go.

Zerknął na wykres strat w ludziach i stwierdził, że liczebność drużyn zmniejszyła się już o ponad dwadzieścia pięć procent, ale żołnierze najwyraźniej mieli zamiar nadal razić włóczniami masywnego byka. To była walka na śmierć i życie, po uderzeniu z broni kosmicznej rzadko zostawało się tylko rannym. C'est la guerre: zaciągasz się do wojska, żeby umrzeć, a ono wysyła cię na śmierć.

Mike sprawdził poziom energii własnego pancerza, wzruszył ramionami i z plecakiem na ramieniu ruszył w pogoń za oddalającym się dodekaedrem.

Włączył tryb wspomaganie biegu i jego nogi zaczęły poruszać się tak szybko, że niemal zlały się w jedną całość.

Masywna bryła zasłoniła niebo nad jego głową, kiedy się zbliżył. Po trzech ostatnich krokach wybił się w powietrze i poszybował na napędzie antygravitacyjnym. Broń i detektory posleńskiego statku zaprojektowano do walki w kosmosie. Dodekaedr dysponował laserami, które mogły zestrzelić nadlatujący pocisk hiperszybki. Miał działa plazmowe, które mogły skruszyć góry. Były też systemy wykrywania, które mogły namierzyć obce statki w promieniu godziny świetlnej. Nie zaprojektowano jednak żadnego systemu do wykrywania pojedynczego pancerza wspomaganego.

Dzięki maskującym hologramom, tłumikom podprzestrzennym i zakłóaczkom radarowych i laserowych detektorów Mike wyminął kosmiczne systemy obronne i dotarł do samej powierzchni krążownika. Zaczepił rękawice na jednej ze ścianek i wdrapał się do najbliższego ciężkiego działa.

– Michelle, transmisja wyłączająca wszelkie przekazy, na wszystkich częstotliwościach – powiedział łagodnie.

Dla pewności przypiął plecak do powierzchni bryły dwa razy. – Maksymalny priorytet. Detonacja nuklearna za trzydzieści sekund. Uderzenie na obecnych współrzędnych.

– Tak jest, sir.

Wychylił się na przypiętej linie i przełożył palec przez kółko zawleczeni staroświeckiego granatu, który „pożyczył” wcześniej od Francuza. Nie miał zapalników czasowych ani w zasadzie żadnych materiałów wybuchowych.

– Michelle.

– Tak, poruczniku?

– Miło się z tobą pracowało – powiedział i spojrzał na wyświetlacz odliczający czas do wybuchu.

– Dziękuję, sir.

– Wyślij przez sieć list do mojej żony. Skopiuj swoje dane do dowództwa i powiedz, proszę, żołnierzom mojego plutonu, żeby się schronili.

– Już to zrobiłam, sir. Protokoły ostrzeżenia przed wybuchem jądrowym nakazują natychmiastowe skopiowanie danych. Miło było dla pana pracować, sir. Niech pana chroni Alldenata.

– Dzięki.

Nagle poczuł serię wybuchów na powierzchni statku. Pancerz trzasnął w powierzchnię bryły i

zagrzechotał jak ziarnko grochu w garnku. Mike poczuł, że nie działa system amortyzacji wstrząsów.

– Michelle? – krzyknął, kiedy bez ostrzeżenia wysiadły na chwilę wszystkie systemy pancerza.

Tylko silne zaciśnięcie prawej ręki uchroniło rękawicę od ześlizgnięcia się z klamry. Statek zanurkował ostro w dół i odwrócił ścianę, na której trzymał się Mike, w stronę wylegającej na dach masy Posleenów.

– Alarm, alarm! – powiedział przytłumiony metaliczny głos, jakby sam pancerz, jego dusza. – Niebezpieczeństwo zniszczenia pancerza! Niebezpieczeństwo zniszczenia pancerza! Uszkodzenie przekaźnika: sto procent, uszkodzenie systemów środowiskowych: sto procent, system mocy: zasilanie awaryjne, uszkodzenie zasilania za dwadzieścia sekund!

Kule Posleenów wciąż odbijały się od powierzchni dodekaedru wokół Mike'a. Porucznik poczuł potężny ucisk w żołądku, kiedy pocisk hiperszybki grzmotnął w statek tylko kilka metrów od niego. Wiedział, że musi działać teraz albo nigdy.

– Kocham cię, skarbie – powiedział i puścił klamrę; w ręku została mu zawleczone granatu.

Kiedy spadał, manualnie wyłączył systemy pancerza i nastawił go na maksymalną ochronę inercyjną. Szanse były niewielkie, ale co tam.

* * *

Az'al'endai nacisnął konsolę i zahuczał triumfalnie.

– Te młóciwa płoną w moich szponach! – krzyknął i odwrócił się do Arttanalatha, swojego kasztelana.

Kessentai z niedowierzaniem potrząsnął jaszczurczą głową, kiedy ekrany wizyjne wypełniły pomieszczenie światłem zachodzącej głównej gwiazdy Diess.

– Postępujesz z nimi zbyt nieostrożnie, Kenellai. Te młóciwa są chytre jak Alld'nt.

– Bzdura – parsknął z drwiną dowódca brygady. Machnął grzebieniem i potrząsnął głową. – Jesteś starym szczerbatym głupcem.

Z głównych dział posłał kolejną grudę plazmy w kierunku uchylających się od ognia pancerzy wspomaganych.

To było jak walka z muchami za pomocą lampy lutowniczej, ale udało mu się trafić dwa cele.

– Patrz, jak te młóciwa płoną w metalowych szatach! Są jak gwiazdy na nocnym niebie!

Większość stanowisk w pokoju kontrolnym była pusta, ale statki zostały tak zaprojektowane, żeby mógł je prowadzić jeden Wszechwładca. Fakt, że przebieg bitwy zależał prawie całkowicie od decyzji zaprogramowanych komputerów, nigdy nawet nie przyszedł kessentai na myśl. Kessentai rozumieli komputery tak samo, jak szympansy rozumie telewizję. Działa, mogę zmienić kanał. Voilf.

– Az'al'endai! – rozległ się okrzyk na bocznym kanale.

To ten po trzykroć przeklęty pisklak Tulo'stenaloor.

– Czego chcesz? – wściekł się dowódca. – Najpierw zabijasz mojego eson'antai, potem niszczysz mój oolton', potem uciekasz, potem...

– Zamilcz, Az'al'endai! – zagrzemiał niecierpliwy dowódca batalionu. – Masz metalowe młóciwo na jednej ścianie oolt' Posleen! Raczej nie knuje nic dobrego. Strzelamy do niego!

– Co? – wykrzyknął dowódca, nagle zbity z tropu. – Uut Fuscrito! Gdzie są detektory?

Dopadł panelu przed sobą i zorientował się, że jeden z przełączników był ustawiony w złej pozycji. Ale który?

– Przeklęty sprzęt Alld'nt! – krzyknął, pospiesznie manipulując przełącznikami.

Za trzecim razem zobaczył na ekranie symbole, których oczekiwał, i uderzył pazurami w

odpowiednie przyciski.

Krzyknął, gdy sprawdził odczyty, i trzasnął w przycisk komunikatora na stacji detektorowej.

– Tulo'stenaloorze! Strzelaj! Zabij młóciwo! Ma bombę z ładunkiem antymaterii!

Podbiegł z powrotem do głównych przycisków kontrolnych, odepchnął mamroczącego coś kasztelana i zaczął obracać oolt' Posleen w stronę oolt'ondai Tulo'stenaloor. Nagle zaskrzeczał jakiś sygnalizator i w odpowiedzi na jego okrzyk Az'al'endai skierował statek gwałtownie w dół.

* * *

Pancerz wspomagany porucznika O'Neala przeturlał się na bok, rzucony siłą bezwładności obniżającego lot statku, który opadał szybciej, niż powinien przy lekkiej grawitacji Diess. Mike poczuł jeszcze wstrząs, zanim wybuchł granat rozpryskowy.

Eksplozja spowodowała najpierw duże zniszczenia części granatów pancerza i amunicji do broni grawitacyjnej.

W pociskach karabinu stosowano antymaterię jako ładunek wyzwalający. Podczas użycia pole energetyczne, podobne do osobistego pola siłowego, przełamywało małe pole stabilizujące, które zapobiegało spotkaniu antymaterii ze zwykłą materią. Inne pole oddzielało antymaterię od samego karabinu, tak żeby mogła się zetknąć tylko z pociskiem z oczyszczonego uranu. Wtedy dwa typy materii uwalniały ogromną ilość energii.

Energię tę bardzo wydajnie wykorzystywano do przyspieszania uranowej kuli wzdłuż lufy broni grawitacyjnej.

Wybuch konwencjonalnego francuskiego granatu przełamał pola stabilizujące w dużej liczbie pocisków.

Ładunek antymaterii w każdym z nich był porównywalny z ładunkiem stu kilogramów trotylu. Plecak zawierał kilkaset pocisków.

Rozsadzenie amunicji karabinu wywołało wybuch granatów antymaterii. Granaty zawierały właściwie mniejszy ładunek niż pociski, ale osłona dawała dużo większy efekt rozprysku.

Kanister z wahadłowca też mieścił w sobie antymaterię. I to dość dużo.

Wszędobylska substancja stanowiła główne źródło energii dla wszystkich większych systemów w Federacji Galaksjan. W przypadku wahadłowców bojowych było to najlepsze źródło z powodu korzystnego stosunku uzyskiwanej energii do zużywanej masy. Wahadłowce potrzebowały energii nie tylko do krótkich międzyplanetarnych wypadów, ale też do zasilania terawatowych laserów.

Kanister jednak, w odróżnieniu od granatów i amunicji, miał potężną osłonę. Projektanci przewidzieli możliwość zniszczeń sięgających do pojemnika ukrytego we wnętrzu wahadłowca. Pojemnik nie tylko więc wykonano z ciężkiej plastali podobnej do osłony pancerzy wspomaganych, ale też otoczono silnym polem siłowym.

Po pierwszych szybkich eksplozjach, które spowodowały powstanie rosnącego grzyba atomowego, nie widać było najmniejszych śladów. Podobnie zresztą jak po początkowych eksplozjach granatów. Siła wybuchu była po prostu zbyt mała, żeby naruszyć integralność dobrze zaprojektowanego systemu ochrony antymaterii.

Granaty wybuchły jednak praktycznie przy samym pojemniku, a odłamki ich irydowych osłon uzyskiwały szybkość bliską połowie prędkości światła.

Pierwszych kilka odprysków nadtopionego rozpalonego irydu przykleiło się do pojemnika i wyparowało pod działaniem energii rosnącego grzyba atomowego. Kilka mikrosekund po eksplozji konwencjonalnego granatu tysiące rozpalonych drobin zaczęło bombardować osłonę kanistra. Atak

przełamał najpierw pole siłowe, potem pancierz z plastycznej stali, a w końcu wewnętrzną otulinę.

Spowodowało to uwolnienie energii prawie jednej czwartej kilograma antimaterii w eksplozji porównywalnej z Wielkim Wybuchem przy narodzinach wszechświata.

* * *

Pancerz ponownie przeturlał się na bok, kiedy dowodzący statkiem spanikowany Wszechwładca wykonał ostatnią zmianę kursu. Siła bezwładności rzuciła pancierz Mike'a lekko poza krawędź ściany dodekaedru, powyżej ładunków wybuchowych eksplodujących na powierzchni statku.

W ciągu pierwszych kilku mikrosekund po detonacji amunicji karabinu i granatów miało miejsce wiele zdarzeń.

Statkiem cisnęło w tył i w górę, a pancierz znowu uderzył w jego powierzchnię. Podmuch pierwszej eksplozji zniszczył działo plazmowe, które kierowało ogień na szybko uciekające panczerze wspomagane, co pozwoliło kilku ostatnim niedobitkom plutonu znaleźć schronienie. Wstrząs wybuchu rzucił dowódcę statku na pulpit sterowniczy i tym samym wyeliminował go z gry.

Drugi wybuch odebrał też przytomność Mike'owi. W tej sytuacji biotyczny agregat zaaplikował porucznikowi zastrzyk hibernacyjny; kiedy użytkownik był nieprzytomny, agregat mógł podejmować własne decyzje taktyczne.

Zanalizował więc sytuację:

* * *

Wybuch jądrowy miał miejsce w bezpośredniej bliskości Protoplazmatycznego Sytemu Inteligencji.

Prawdopodobieństwo przeżycia PSI było niewielkie.

Zniszczenie PSI doprowadziłoby do zniszczenia agregatu.

* * *

Następnie agregat zastosował bezpośrednio środki zaradcze.

Dlatego kiedy pierwsza fala energii przetoczyła się poza krawędź krążownika, uderzyła w pancierz, który szybko stał się lotny jak piórko. Pancierz znalazł się blisko trzydzieści metrów od statku, był prawie bezwładny i wypełniony tlenem, i oddalał się z dużym przyspieszeniem, kiedy wybuchł główny pakiet. W tych warunkach agregat nie mógł zrobić nic lepszego.

Wybuch rozerwał krążownik kosmiczny na pół i odepchnął od siebie obie połowy. Jedna trafiła w najbliższy megawieżowiec, który już i tak rozpadał się od poddmuchu eksplozji nuklearnej. Trzasnęła w budynek o objętości czterech kilometrów sześciennych i cisnęła budowlą o ziemię, druzgocząc dwa inne megawieżowce, zanim sama uderzyła w powierzchnię planety.

Druga część masywnego statku została wyrzucona prawie pionowo w górę. Wznosiła się na szczycie grzyba atomowego jak czarny punkt na chmurze pyłu, aż wreszcie odwróciła się i runęła na inny megawieżowiec pozostający w rękach Posleenów.

Pancerz Mike'a znajdował się blisko pierwszej połowy statku. Początkowo chroniony przez spadający fragment krążownika kosmicznego, wkrótce został wybity w górę na fali grzyba atomowego i szybko przyspieszył do prędkości ponad sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Pancierz przefrunął nad dachami kilku budynków, gdzie oderwało mu nogi, i przebił

megawieżowiec nad brzegiem morza, tracąc jedną rękę. Pozostała część pancerza wraz z hełmem wyleciała z megawieżowca po przeciwnej stronie fali podmuchu i odbiła się kilka razy od powierzchni wzburzonego oceanu. Wreszcie kawałek żelastwa zwolnił na tyle, że spoczął na dnie morza, siedemdziesiąt metrów pod powierzchnią wody.

Pancerz wspomagany kosztował prawie tyle co wahadłowiec bojowy, i mimo ogromnych uszkodzeń nadal jeszcze miał swoją wartość. Kiedy pancerz spoczął w wodnym grobie, nadajnik ostatniego ratunku, zainstalowany na stanowcze żądanie darhelskich urzędasów, zaczął smętnie popiskiwać.

* * *

Albo biurokraci byli jasnowiedzami, albo idiotami. Żołnierze Komanda Foki przypisani do wojsk ekspedycyjnych jeszcze tego nie rozstrzygnęli. Kiedy w ostatniej chwili polecono im lecieć na Diess, nikt nie potrafił wyjaśnić, po co. Umieeli wykonywać wszystkie zadania oprócz bombardowania wspierającego, więc na Diess mogło ich czekać praktycznie wszystko. Mogliby pracować w dziale zaopatrzenia ładunków wybuchowych. Mogliby szkolić obce wojska. Mogliby także badać teren zajmowany przez Posleenów po wtargnięciu od morza.

Okazało się, że zrobią zawrotną karierę w ratownictwie.

Wybuch jądrowy w zeszłym tygodniu zdmuchnął wszystko do morza. Poza różnymi fragmentami nadającego się do ponownego użycia sprzętu Indowy, najczęściej były to pancerze wspomagane, których nadajniki wołały teraz o pomoc. Spośród czternastu, które wydobyto, tylko cztery mieściły w sobie żywego żołnierza.

Tego z całą pewnością należało już spisać na straty. Plastikowa stal wyglądała, jakby się zagotowała, a gdzieniegdzie zrobiła się niebieska od wybuchu jądrowego. Brakowało jednej ręki i obu nóg, a robactwo zaczęło już mozolnie obgryzać wystający fragment spalonego brązowego ciała. Wrażenie nie naruszonych sprawiały tylko głowa, tors i brzuch.

– Rany – powiedział dowódca zespołu przez podwodny komunikator – koleś dostał niezłego łupnia. Sprawdź go, Spock.

Odgarnął ze stroju do nurkowania myszującego tu rurkopława, a delikatne stworzenie zniknęło w świetlistej chmurze.

Młodszy oficer technik doskoczył do głowy pancerza i przystawił próbnik. Naprędce sklecone urządzenie wysłało do centrum ratunkowego w pancerzu impuls z poleceniem ujawnienia danych. Dane pojawiły się po dłuższej chwili.

– To jest porucznik, którego pan szukał, sir – powiedział młodszy oficer przy wtórze bulgoczącego powietrza.

Cierpliwie zaczekał na dane dotyczące stanu pancerza i użytkownika.

– Przekaznik usmażył się, podobnie jak większość systemów środowiskowych. Nie wydaje mi się, żeby coś z niego... Jasna cholera!

Mike przełknął ślinę.

– Miesiąc?

– Tak – powiedział generał Houseman. – Jesteś w stacji regeneracji od miesiąca i zostaniesz tu jeszcze przez pewien czas. Przez dwa tygodnie badali u ciebie same powikłania popromienne.

– Co się stało z wojskami ekspedycyjnymi na Diess? Z moim plutonem? chciał powiedzieć.

– Cóż, dodekaedr D wybuchł dość spektakularnie i wykręcił niezły numer dużej części miasta. Posleeni nie mogli przejść przez lej po eksplozji, a my wykorzystaliśmy tę przeszkodę terenową do naszych celów. Utrzymaliśmy pozycję i poprosiliśmy Indowy, żeby zbudowali nam rzeźnię – uśmiechnął się ponuro. – I wyróżniliśmy łajdaków.

– Mógłby pan wyrażać się bardziej precyzyjnie?

– Wiesz, co to są mordercze otwory? – zapytał generał i podtrzymał kubek wody ze słomką, żeby porucznik mógł z niego wypić; jego nowo wyrosnięta ręka była ciągle jeszcze słaba.

– Jak w zamkach? Otwory, przez które wlewało się oliwę u wejścia?

– Płonącą oliwę i wrzucało się włócznie, tak. Od końca epoki zamków aż do dziś używało się zupełnie innych technik. Wewnątrz zamku znajdował się obszar, wokół którego w ścianach były setki otworów strzelniczych. Kiedy wróg wkraczał na ten obszar, stawał się on zabójczym polem; stąd właśnie pochodzi nazwa.

– Oficerowi z pierwszej dywizji udało się nawiązać stosunki z pewnym wysoko postawionym Indowy. Z pomocą tego Indowy zamieniliśmy bulwary przed główną linią obrony w zabójcze pola, po czym wycofaliśmy się tam.

– Posleeni przyszedli wzdłuż bulwarów, a Korpus odciął im z każdej strony drogę. Bulwary zostały obstawione przez jednostki pancerzy wspomaganych w betonowych bunkrach. Snajperzy z karabinami kaliber pięćdziesiąt czekali wzdłuż piątej kondygnacji, żeby zaatakować Wszechwładców. Rozpętało się piekło.

– Prawie żaden Posleen nie dotarł do pozycji jednostek pancerzy wspomaganych. Obstawiliśmy w ten sposób dwa bulwary, a pozostałe zablokowaliśmy. Posleeni cały czas przychodzili, i nielicznych pozostałych przy życiu znowu zaatakowaliśmy i zepchnęliśmy z powrotem do lądowników, którymi odlecieli... Zajęliśmy ponad siedem tysięcy lądowników, minogów i dodekaedrów D, które pozostawili Posleeni.

– Czyli wygraliśmy?

– Tak – powiedział smutno generał. – Jak powiedział poeta, to jest smutne zwycięstwo; żeby je odnieść, straciliśmy „tylko” lepszą część siedmiu dywizji – skończył i z gniewem potrząsnął głową.

– Ale wszyscy się zgadzają, że punktem zwrotnym w bitwie było uwolnienie dywizji pancernych i zniszczenie dodekaedru D. Czeka na ciebie kilka metalowych krążków na wstążce. – Otworzył niebieskie pudełko. – To pierwszy, który możesz przyjąć, oprócz Purpurowych Serc. Gratulacje, twoja pierwsza Srebrna Gwiazda, noś ją w dobrym zdrowiu.

– To tylko za zebranie niedobitków batalionu. Wyobrażam już sobie, co dla ciebie szykują za resztę wyczynów. Przy okazji, ocalono resztę żołnierzy pod Qualtren, co było dosyć trudne, i

pozdrawia cię kapitan Wright.

Mike uroczyście przyjął pudełko.

– Wiznowski? – zapytał i podniósł wzrok.

Generał skinął głową.

– Zajmę się nim i sierżantem Greenem.

– Dziękuję, sir. Mógłbym dostać nowy przekaźnik? I czy można ściągnąć z komputera osobowość Michelle?

– W szufladzie czeka na ciebie nowy przekaźnik. – Generał urwał i zrobił lekko skwaszoną minę. – Podczas przesyłania informacji po ostrzeżeniu nuklearnym stracono wiele danych. Obawiam się, że większość... cóż, Darhelowie mówią, że nie można było zapisać programów osobowości.

Mike wyglądał na oszołomionego.

– Powiedziałem jej, żeby zrobiła kopię – upierał się.

Oficer, który stracił w bitwie większość swoich ludzi i trzy kończyny, żałował teraz jakiegoś cholernego programu komputerowego. Ogłupieli ci wszyscy wojacy z floty uderzeniowej czy co?

– Darhelski łącznik powiedział mi, że było po prostu za dużo strat podczas przesyłania, żeby wszystko kopiować. Zanim zaczęto kopiować osobowości przekaźników, utracono już wszystkie dane. – Generał urwał. Po zdruzgotanym wyrazie twarzy porucznika poznał, że należało powiedzieć coś jeszcze. – Darhelowie pracowali nad tym ponad tydzień, zanim się poddali. Przykro mi.

Oficer najwyraźniej wziął się w garść.

– W porządku, sir. Niech tam, przecież to tylko program. – Zmrużył oczy i wziął głęboki wdech. – To wszystko, sir?

– Ach, mam jeszcze kilka spraw. Przypominasz sobie tę wiekopomną chwilę, kiedy rozmawialiśmy przez radio?

– Tak, sir – odpowiedział O'Neal z zakłopotanym wyrazem twarzy, który jednak nareszcie był najbliższy uśmiechowi.

– Cóż, po twoich halucynacjach sprawdziliśmy ten wspaniały mały specyfik w waszych pancerzach. Wiesz, że środków pobudzających nie wytwarza się w pancerzach, tylko się je w nich umieszcza?

– Tak, sir – powiedział Mike, zastanawiając się, do czego zmierza generał.

– Więc był mały problem z ładunkiem w twoim pancerzu. I w większości pancerzy twojego plutonu. Cholerne przedsiębiorstwo farmaceutyczne, które wyprodukowało specyfik, zapomniało dodać Provigil, środek przeciwsenny. Był tylko stymulator GalTechu.

– O Boże – jęknął Mike.

Galaksjański specyfik był dziesięć razy silniejszy od metamfetaminy. Nic dziwnego, że czuł się potem jak kocur w maszynowni. Dziwił się tylko, że głowa nie przebiła mu hełmu i nie wyleciała w górę jak rakietka.

– Dodatkowo jeśli środek aplikuje się zgodnie z jednostkami objętości, dostałeś potrójną dawkę.

Mike zasłonił oczy rękami i potrząsnął głową. W końcu roześmiał się.

– Cóż, sir, to mnie chyba usprawiedliwia.

– Tak. Sierżant Duncan też dostanie całkiem niezły medalik. Doprowadził Amerykanów do sojusznicych linii po wybuchu, kiedy nadszedł pierwszy atak Posleenów. Nie byliśmy na to przygotowani i mógłby być z tego niezły bigos, ale on i major z jedenastego pułku kawalerii zebrali niedobitków i uderzyli w boczne skrzydło Posleenów.

Kiedy sierżant Duncan użył granatów jądrowych, złamaliśmy ich szeregi jak gałązkę. Dało nam to chwilę wytchnienia, której naprawdę potrzebowaliśmy, i podniosło kawalerię na duchu.

– Jest cholernie dobrym podoficerem – powiedział Mike. – Z tego, co słyszałem, nigdy go sprawiedliwie nie traktowano. Powinien dostać awans.

– Zajmę się tym – powiedział generał i kiwnął głową na znak, że zgadza się z porucznikiem. – Wypisują cię pojutrze. Dziękuję za przybycie, poruczniku, to była piekielnie dobra akcja. – Generał nachylił się, żeby uścisnąć dłoń porucznika. – Powodzenia i niech ci zawsze będzie jak u Pana Boga za piecem.

– Byłem już za piecem, sir – powiedział uroczyście Mike – i nie polecam tego.

Generał Houseman poklepał go po ramieniu z lekkim uśmiechem i cicho opuścił pokój.

Mike otworzył pudełko, za które tak wielu zapłaciło najwyższą cenę, i z kamienną twarzą popatrzył na swój pierwszy medal za odwagę. Obawiał się, że dostanie ich więcej.

„Bohaterowie zdarzają się, bo ktoś popełnia błąd. Dziś nie potrzebujemy bohaterów.” – Dowódca batalionu Armii Stanów Zjednoczonych „Gdzieś we wschodniej Arabii Saudyjskiej” 15 lutego 1991

Epilog

**21:18 czasu uniwersalnego Greenwich,
4 lipca 2002 Orbita Diess IV**

Tulo'stenaloor patrzył za oddalającą się planetą i obliczał, co stracił – ponad połowę oolt'ondai podczas krwawego odwrotu, kiedy pogoniły je młóciwa, oolt' posol i swojego eson'antai. Cała sieć jego wasali wpadła w ręce zielonych młóciw, stracił nawet swojego kasztelana, który służył mu od ponad pięćdziesięciu lat. Uciekał w śmiesznym oolt' posol, stosownym tylko dla zwiadowców, i jeśli nie znajdzie oolt' Posleen, na którym mógłby służyć, pozostanie w systemie, ścigany odtąd zawsze jak zwierzyna.

W każdym razie jeśli kiedykolwiek jeszcze spotka młóciwo w szarych albo, uchwajcie bogowie, metalowych szatach, to będzie to zawsze nie w porę. Odebrał transmisję z wędrującego oolt' Posleen w poszukiwaniu oolt' pos.

Mówiła o odległym świecie, daleko od tych nienawistnych młóciw, a asa' endai brzmiało rozsądnie. W każdym razie najazd był najazdem, a im dalej od tej obmierzłej gwiazdy, tym lepiej.

**14:28 czasu uniwersalnego Greenwich,
13 marca 2002 Prowincja Ttckpt, Barwhon V**

Mosovich wynurzył górną połowę twarzy z bajora i rozejrzał się po polanie. Ostatni raz wynurzył się w nieodpowiednim momencie, gdy na polanie roilo się od polujących Posleenów. Przez dwa dni utrzymywał pozycję w oczekiwaniu na lądownik w drugim i ostatnim miejscu przechwyty. Dwa razy patrole Posleenów przeczesywały teren. Komandos wiedział, że Himmici odznaczają się odwagą myszy; jeśli tylko zwęszą wrogów w strefie lądowania, dają drapak i tyle ich widać.

Jego konwerter białek wysiadł razem z komunikatorem. Mosovich wyglądał już jak uciekinier z obozu śmierci z powodu niedożywienia i niedoboru witamin, i nie miał absolutnie żadnych szans, żeby przeżyć kolejny rok do przybycia Alianckich Wojsk Ekspedycyjnych. Jeśli Himmici rzeczywiście zwiali ze strachu, równie dobrze mógł palnąć sobie w łeb i zakończyć katusze. Zanurzył się znowu i zaczął oddychać przez rurkę.

W samą porę usłyszał stłumione dudnienie tajnego statku Himmitów. Kiedy ostrożnie wystawił głowę z pianistej wody, wyczuł ruch wśród fioletowych mgieł Barwhon.

A niech to. Tak blisko. Że też te pieprzone muły nie mogły poczekać jeszcze dwóch minut, wściekał się w myślach.

Może gdybym je szybko kropnął, Himmici wylądowałiby, zastanawiał się z powątpiewaniem.

Podniósł do ramienia źle wyważony karabin Posleenów i czekał na cel. Dudnienie tajnego statku narastało i Mosovich zdziwił się.

Jeśli on słyszał Posleenów, nadzwyczaj skuteczne detektory Himmitów na pewno też ich namierzyły. Może Rigas poczuł się dziś mocny, zaśmiał się w duchu ponuro.

Wystawił lufę z wody i wynurzył się z bagna właśnie w chwili, gdy na granicy widoczności zamajaczył zwiadowca. Opuściła się rampa, dwie zakamuflowane postacie wynurzyły się z fioletowej zasłony i ruszyły przez bagno w jego stronę. Mosovich nie czekał, aż ochłonie z wrażenia, tylko przerzucił broń przez ramię, a drugą ręką przytrzymał torbę z jedynym żywym pisklęciem.

Mueller zatrzymał się, żeby wziąć od niego torbę, a Ersin przytrzymał go ramieniem, i trzech niedobitków zanurkowało do statku zwiadowców. Statek uniósł się z ledwo słyszalnym buczeniem i

włączonymi holograficznymi systemami maskowania. Wszyscy trzej rozłożyli się na podłodze statku.
– Ironia, co? – powiedział Mueller, a z godła Stanów Zjednoczonych na jego berecie spłynęły na podłogę grudy błota i pijawki. – Czasem miejsce w dywersji jest najlepsze na świecie.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania,
Sol III 22:42, 15 listopada 2002**

W Fort Indiantown Gap w Pensylwanii panowało poruszenie, jakiego nie było tu od czasu drugiej wojny światowej. Za budkami żandarmów Mike widział zespoły pracowników w mundurach roboczych i cywilnych ubraniach, którzy wznosili przy głównej drodze tymczasowe kwatery. Wręczył żandarmowi swoje rozkazy i identyfikator, i z kamienną twarzą czekał w mruczącym silnikiem Volkswagencie. Blizny były już prawie niewidoczne, ale Mike czuł się jeszcze słabo mimo wielu godzin spędzonych na sali gimnastycznej statku i w siłowniach na Ziemi. Chciałby znów założyć pancerz i wykonać jakieś poważne zadanie albo wskoczyć na motocykl i po prostu odjechać.

Żandarm strasznie długo oglądał dokumenty i przepuścił kilka samochodów, podczas gdy Mike czekał. O'Neal patrzył, jak strażnik prowadzi ożywioną rozmowę przez telefon, i zastanawiał się, o co chodzi. Tylko żadnych przyjęć więcej. Żadnych uścisków dłoni. Żadnych bankietów i przemówień. Oddajcie mi tylko mój pancerz.

Od czasu jego triumfalnego powrotu zasypano go nagrodami. Kiedy mówił, że chciałby po prostu zacząć przygotowania do następnej bitwy, dumny major od spraw personelu, który nim teraz dowodził, powiedział mu, że opinia publiczna potrzebuje bohatera. On najlepiej nadawał się do tej roli, więc miał się zamknąć i słuchać.

Kampania na Barwhon przeciągała się, a czynniki, które ją utrudniały – brak jednostek w tym rejonie i bogata baza surowcowa dla Posleenów – były na Ziemi wyolbrzymiane. Zwycięstwo na Diess, zwycięstwo, za które trzeba było zapłacić życiem tysięcy najlepszych żołnierzy, przedstawiano jako dzieło jednego człowieka. Nieważne, że protestował, nieważne, że podkreślał wagę pracy zespołowej – wolał nie wspominać o problemach ze szkoleniem – w przemówieniach i tak zawsze wychodził na bohatera.

A podczas odpraw u starszych oficerów – które były w zasadzie tylko teatralnym przedstawieniem dla wojskowych szefów, oczekujących dobrej bajeczki wojennej – kiedy tylko wspominał o błędach w szkoleniu i doktrynie, wszyscy przestawali nagle być tak uprzejmi. Nie spotkał jeszcze na Ziemi starszego oficera, który miałby po kolei w głowie.

Nie wiedział nawet, w której jednostce ma się zameldować. Z rozkazów wynikało, że ma się zgłosić do służby w pięćset pięćdziesiątym piątym pułku piechoty uderzeniowej floty. „Triple-Nickle” była oddzielnym regimentem, jednostką pancerzy wspomaganych, i należała nawet do floty uderzeniowej, ale była też ostatnią jednostką uformowaną przed inwazją. Ostatnią w kolejności do otrzymania sprzętu i personelu, ostatnią do służby. Gówniany pułk, który otrzymywał gówniane zadania podczas drugiej wojny światowej, i od tamtej pory nieaktywny. Żadnych zasług, żadnej szlachetnej historii, żadnego wsparcia ze strony jednostek pancerzy wspomaganych.

A teraz pułk otrzymywał doświadczonego w boju porucznika. Miał tu pełnić służbę, prowadzić szkolenie i nadzorować przygotowania. Następnym razem pułk będzie dobrze przygotowany, podobnie jak jego podkomendni.

Przysiągł to na dusze żołnierzy, których stracił.

Kiedy leżał w szpitalu, zaczął pisać listy do rodzin. Nie wiedział, kto dokładnie był w plutonie. Tylko sierżant Green miał wszystko dokładnie zapisane, a Mike nigdy nie uczył się tego na pamięć,

polegając na pamięci „zmarłej” Michelle.

Dobrze pamiętał liczbę żołnierzy: pięćdziesięciu ośmiu. Ale żołnierze, którzy pozostali przy życiu, potrafili wymienić tylko pięćdziesięciu pięciu, i nie dało się ustalić, kim byli trzej pozostali. Gryzło go to. Trzech jego ludzi, zaginionych w akcji nie znanych żołnierzy. Czy był ktoś, do kogo powinien był jeszcze napisać list?

Listy do matek i ojców, listy do żon, listy do oblubienic. Kto wymyślił ten masochistyczny zwyczaj? Czy Mongołowie, którzy osobiście zawiadamiali żonę, że jej mąż nie wróci do domu? Cóż, możliwe, a potem żenili się z nią, żeby uchronić ją od biedy. Może Brytyjczycy, to była szczególnie masochistyczna tradycja, prawdziwie w ich stylu. A może dawny amerykański oficer, który wiedział, że kongresman i tak napisze list, i tak to się zaczęło...

„Szanowni Państwo Creyton, byłem dowódcą Państwa syna, kiedy stracił życie, i pragnę przekazać Państwu, że był godnym i szlachetnym młodym mężczyzną. Osłaniał odwrót niemieckiej jednostki grenadierów... etc.” Trzydzieści dwa listy. Ominęło go pisanie trzech, bo w aktach nie było informacji o krewnych. Do tych trzech żołnierzy należał też Wiznowski. Cóż, zapamiętam cię, Wiz. Wypij za mnie w Walhalli. Wkrótce do ciebie dołączę.

– Przepraszam za opóźnienie, kapitanie – powiedział strażnik, wrywając Mike'a z zadumy.

Miał zmieniony wyraz twarzy. Mike wiedział, że powinien spodziewać się teraz gratulacji dla bohatera, ale było coś jeszcze.

– Mamy rozkaz dzwonić do dowództwa w sprawie każdego nowego oficera, żeby dowiedzieć się, gdzie go wysłać. Jednostki nadal się przemieszczają, a nie mamy jeszcze centralnego biura informacji. W każdym razie, kapitanie, pańskie rozkazy zmieniły się.

– Jestem porucznikiem, sierżancie, i gdzie dostanę te nowe rozkazy?

– Spisałem je dla pana, kapitanie. – Odchrząknął. – Z paragrafu 13587-01: „O’Neal, Michael L., porucznik Armii Stanów Zjednoczonych, winien zgłosić się do służby w pięćset pięćdziesiątym piątym pułku piechoty zmechanizowanej, Fort Indiantown Gap, Pensylwania.” Teraz czytać: „Kapitan O’Neal, Michael L., Kompania Bravo Federacyjnej Floty Uderzeniowej, pierwszy batalion pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty zmechanizowanej, Fort Indiantown Gap, Pensylwania, celem objęcia dowództwa.

– Cholera!

– Gratuluję, sir!

– Uch, dzięki.

– Czy jest pan tym, o kim myślę, sir?

– Tak, chyba tak – wzruszył ramionami Mike.

– Jest aż tak źle, jak mówią, sir? – zapytał strażnik przyciszonym głosem.

– Gorzej, sierżancie, gorzej – powiedział kapitan O’Neal i potrząsnął głową. – To jak tańczenie z diabłem, sierżancie. I diabeł prowadzi.

*I znów dziś wróg nas straszy,
I znów wojować czas...
Jak ongi ojców naszych
Tak dzisiaj wspomóż nas.*

*Ze znaków, cudów domu
O Śmierć i Życie dbasz...
Jehowo, Królu Gromów,
Wszechwładco Bitew: patrz!*

– Kipling

Spis treści

[PROLOG.. 3](#)

[1. 7](#)

[2. 55](#)

[3. 74](#)

[4. 83](#)

[5. 100](#)

[6. 121](#)

[7. 134](#)

[8. 147](#)

[9. 161](#)

[10. 186](#)

[11. 195](#)

[12. 201](#)

[13. 227](#)

[14. 237](#)

[15. 266](#)

[16. 278](#)

[17. 285](#)

[18. 319](#)

[19. 328](#)

[20. 347](#)

[21. 369](#)

[22. 374](#)

[23. 383](#)

[24. 389](#)

[25. 410](#)

[26. 430](#)

[27. 457](#)

[28. 476](#)

[29. 500](#)

[30. 532](#)

[31. 554](#)

[32. 561](#)

[33. 587](#)

[34. 601](#)

[35. 630](#)

[36. 639](#)

[37. 659](#)

[38. 685](#)

[39. 714](#)

[40. 753](#)

[Epilog. 761](#)